

Ruston Jessica

Luksus

Marzenia o luksusie można zrealizować, ale za jaką cenę?

Pewnego dnia ten raj będzie nasz! Pewnego dnia ta bajeczna wyspa będzie należała do nas – przyrzekło sobie trzech przyjaciół. Ale tylko jeden z nich osiągnął ten cel.

Bo Logan Barnes zawsze zdobywa to, czego chce. Wszystko mu się udaje. Ma pieniądze, ożenił się z piękną dziewczyną i kupił wyspę, którą zmienił w przybytek luksusu, perłę w koronie swojego hotelowego imperium. Lecz luksus może być zdrażliwy i bardzo niebezpieczny. Logan spełnił swoje marzenia – ale za jaką cenę? I jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić...

*Nam w sercach gra muzyka
Nam śmiały sen się śni
Samotność tylko nas spotyka
Na falach bystrych strumieni.
Przegrani świata zbawiciele
W księżycu światło snują się:
Lecz świat budują marzyciele
I to nigdy nie zmieni się.
Z naszych nieśmiertelnych pieśni
Tworzymy potęgę miast.
A z przodków naszych opowieści
Imperium chwały damy blask.
Jeden człowiek uzbrojony w marzenia
Koronę śmiało będzie brać.
Trzech, gdy jedną pieśń odśpiewa,
Królestwem w posiadach może zachwiać.*

Arthur O'Shaughnessy Oda

Prolog

1981

Gdzieś zza rozmytej błękitnozielonej linii horyzontu zaczął się wyłaniać zarys brzegu, miękko wygięty łuk zatoki, strome zbocze góry. W miarę jak łódź zbliżała się do wyspy, skręcając łagodnie od zachodu, narastało wrażenie, że czyjaś niewidzialna dłoń szkicuje w powietrzu plamy ciemniejszego błękitu na powierzchni wody -wskazujące na obecność rafy - wąski pas niemal białego piasku wdzierający się w morze, rozwichrzone pióropusze zielonych palm na wzgórzu.

Logan odetchnął głęboko.

- O rany. Jest dokładnie tak, jak mi opowiadała. Patrzcie: nawet pomost jeszcze stoi. Podpłynmy do niego.

Wyciągnął rękę w stronę wąskiej konstrukcji z poszarzałego drewna, wznoszącej się nad wodą na cienkich, chwiejnych nogach, i dał znak przyjaciom przy sterze, by tam skręcili. Trzej mężczyźni byli młodzi, opaleni i wypoczęci po wakacjach - tym „ostatnim lecie wolności”, jak je nazywali. Mieli na sobie tylko krótkie spodenki. Od dawna nie obcinali włosów - wiedzieli, że kiedy nadejdzie jesień, krótko ostrzyżeni, w garniturach, będą musieli rozpocząć dorosłe życie absolwentów Harvardu. To lato było czasem skradzionym między latami studenckimi i tak zwanymi poważnymi sprawami.

Johnny pochylił się do przodu, przęząc mięśnie, by obrócić łódź.

- Wygląda nieszczerólnie - zauważył.

3

- Dawno ktoś tu był? - zawołał Nicolo z drugiego końca łodzi.

- Nie mam pojęcia - odparł Logan. - Dwadzieścia lat temu? Więcej?

Zbliżyli się do pomostu.

- Zatrzymajmy się tu - powiedział. - Zobaczę, czy wytrzyma. Powoli manewrując łodzią, ustawili ją równolegle do pomostu.

Logan przerzucił nogę nad relingiem, a potem, przytrzymując się go ręką, wyciągnął stopę, sprawdzając wytrzymałość desek.

- Wydaje się w porządku. W najgorszym razie wykapię się trochę wcześniej, niż zamierzałem.

Przerzucił nad relingiem drugą nogę i wskoczył na pomost. W liściach drzew rosnących wzdłuż plaży szeleścił wiatr, morze szumiało, poza tym panowała zupełna cisza.

Johnny i Nicolo obserwowali Logana z łodzi. Deski zaskrzypiały i ugięły się pod nim, ale pomost wytrzymał. Logan z uśmiechem odwrócił się do kolegów, szeroko rozkładając ramiona.

- Zejdźcie na brzeg, przyjaciele, bracia! Witajcie na L'île des Violettes.

Nicolo włożył do ust kciuk i palec wskazujący i gwizdnął przeciągle. Johnny krzyknął podekscytowany, i szybko zabezpieczył łódź, po czym obaj podążyli za Loganem. Hałas, z jakim biegli pomostem i dalej, przez plażę, spłoszył siedzące wśród liści palm ptaki, które z piskiem wzbiły się w niebo jak chmura dymu.

Chłopcy przedzierali się przez krzaki, nie zważając na kolczaste gałęzie. Powietrze było chłodne, suche i cudownie orzeźwiający po wielu godzinach spędzonych na łodzi.

- To jest inny świat! - zawołał Nicolo.

- *Wyspa skarbów* - odkrzyknął Johnny.

- *Władca much?* - Nicolo nie pozostał dłużny.

- Mielibyśmy zwrócić się przeciw sobie? Nie my, przyjacielu. My nigdy - oświadczył Johnny.

Logan zatrzymał się i pochylił, by złapać oddech. Johnny i Nicolo w końcu się z nim zrównali.

- Czuję się jak Robinson Crusoe z dwoma Piętaszkami! - dyszał ciężko i uśmiechał się do przyjaciół szeroko, rzucając im wyzwanie.

Johnny i Nicolo spojrzeli po sobie.

- Prosi się o to, nie uważasz?

- Powiedziałbym, że błaga.

Logan zachichotał i zanim zdążyli go złapać, znów popędził przed siebie, klucząc między drzewami. Wyjął jak dzikusy, Johnny i Nicolo ruszyli za nim, aż w końcu wszyscy wybiegli spomiędzy drzew na skaliste wzgórze.

Roztaczający się stąd widok zapierał dech w piersi.

- O rany.

Nie zdając sobie z tego sprawy, dotarli na najwyższy punkt wyspy, skąd widać było ją całą doskonale piękną.

Błękitne niebo, morze o barwie turkus, zielone drzewa, piaszczyste plaże. Stojąc tam i chłonąc ten widok, wszyscy trzej poczuli dziwny, mocny ucisk w piersiach. Każdy z nich zapragnął, by ta wyspa należała właśnie do niego.

- A to co? - spytał nagle Johnny, przerywając ciszę, i wskazał jakiś budynek. Nawet z tej odległości widać było, że jest w ruinie.

- Nie wiem - odparł Logan. - Może zobaczymy?

Później leżeli w śpiworach na zapiaszczonej podłodze zniszczonego domu przy płonącym w kominku ogniu i butelkach po przyniesionym z łodzi piwie. Patrzyli w niebo. Jutro popłyną na ląd, oddadzą łódź właścicielowi i wsiądą do samolotu. Wrócą do prawdziwego życia - Johnny będzie kończył studia prawnicze, Logan rozpocznie MBA jako jeden z najmłodszych studentów, jacy kiedykolwiek dostali się na ten prestiżowy harwardzki kurs, a Nicolo pójdzie do pracy w firmie budowlanej w Nowym Jorku i zacznie poznawać tajniki tej branży. Mieli już pierwszy hotel, First, który przynosił całkiem niezły dochód. Wkraczali w dorosłe życie.

- No, to co o tym myślisz, ojcie Flores? Podoba ci się ta piękność?

Nicolo przewrócił się na bok i pstryknął Logana palcami w głowę.

- Nie nazywaj mnie tak. A co do tej piękności, tak, oczywiście, że mi się podoba.

- Dlaczego mówicie o tej wyspie tak, jakby była kobietą? - spytał Johnny.

- Na litość boską, John. Ta wyspa jest kobietą. Piękną, tajemniczą, dziką kobietą, która tylko czeka, żeby ktoś ją oswoił.
 - Na przykład ty?
 - Tak, ja. Nie, my. - Głos Logana brzmiał bardzo pewnie. Nie wątpił w to, podobnie jak jego przyjaciele.
 - Wrócimy tu jeszcze, prawda? - spytał Johnny, przeciągając słowa ze zmęczenia i lekkiego zamroczenia alkoholem.
 - Jasne. To nasza przyszłość, chłopcy. Kiedyś wrócimy tu już nie jako dzieciaki, lecz jako dojrzały mężczyźni. Mężczyźni, do których należy to miejsce. Wszyscy zobaczą, że sami tego dokonaliśmy.
- Logan wznosił do góry pięść.
- Jeden człowiek uzbrojony w marzenia koronę śmiało będzie brać...
 - Trzech, gdy jedną pieśń odśpiewa... - zawtórował mu Johnny.
 - Królestwem w posiadach może zachwiać - dokończył Nicolo.

Rozdział 1

2008

Logan Barnes stał niemal na krawędzi dachu budynku, wysoko nad Upper East Side na Manhattanie. Dzień był jasny, bezchmurny, a granatowe wody Hudsonu migotały i lśniły w promieniach słońca. Logan postąpił jeszcze jeden krok do przodu, spojrzął w dół na jadące ulicą samochody, i poczuł, jak ogarnia go strach. Stłumił go, ale nie całkiem. Odrobina strachu to dobra rzecz - pomaga się skupić na celu. Podniósł wzrok. Nad nim było już tylko niebo. W dole - wszystko. Miasto, które tak bardzo kochał, leżało teraz u jego stóp.

Zrobił kolejny krok - stał już na samej krawędzi dachu - i skoczył.

Kiedy leciał w powietrzu, każda sekunda zdawała się trwać wieczność. Czas rozciągał się i stawał cudownie elastyczny. Logan poczuł całkowitą pewność. W miarę jak jego ciało zbliżało się do nowojorskiego chodnika, wszystko nabierało niezwykłej ostrości.

Czterysta pięćdziesiąt metrów niżej stał mężczyzna i spoglądał na dach budynku, wypatrując jakiegoś ruchu. Wybrał miejsce, z którego mógł dobrze widzieć to, co miało się zaraz wydarzyć. Sprawdził małą kamerę wideo, a potem podniósł wzrok do nieba. Sekundę później zobaczył go - drobną postać na dachu. Wydawała się taka krucha. Taka bezbronna.

Johnny podniósł kamerę i zaczął filmować dokładnie w chwili, kiedy mężczyzna runął w dół. Wykonał w powietrzu salto, a potem

wyprostował się i rozłożył ramiona jak ptak skrzydła. Kilka osób zauważyło go i pokazało innym palcami albo tylko przystało i patrzyło, większość jednak nie zwracała na niego uwagi, spiesząc na spotkania przy lunchu lub do biur, zbyt zajęta, by dostrzec spadającego człowieka.

A potem, kiedy Johnny był już niemal pewny, że to koniec, i przygotował się na to, co wydawało się nieuniknione, w górę wystrzelił spadochron i wypełnił się powietrzem jak wielki grzyb. Johnny odetchnął z ulgą. Zaabsorbowany czymś biznesmen, który akurat przechodził obok, rzucił okiem na Logana i poszedł dalej.

Spływając powoli na ziemię, Logan tak ułożył ciało, by skierować spadochron w stronę miejsca, w którym mógł bezpiecznie wylądować. Budynek, z którego skoczył, stał naprzeciw Central Parku. Kiedy skoczek zbliżył się do trawnika, turyści w dorożkach ciągniętych przez konie i fani joggingu zatrzymali się i patrzyli na niego. Zawsze lubił ten wyraz zdumienia na twarzach ludzi, kiedy dostrzegali w górze jakiś kształt i nagle docierało do nich, że to człowiek spada z nieba. Dopiero kiedy zrównał się z niewielką kępą drzew, usłyszał przeraźliwy krzyk. Odwrócił głowę i kątem oka dostrzegł tuż za sobą konia i siedzącą na nim kobietę, która usiłowała zapanować nad spłoszonym zwierzęciem. Koń stanął dęba; Logan pociągnął mocno za linki sterujące i skreślił, by nie dostać się pod kopyta.

Kobieta w końcu uspokoiła konia na tyle, by móc z niego zeskoczyć, i ruszyła w stronę Logana, który wylądował dość niezgrabnie i właśnie podnosił się z ziemi. Scenie tej przyglądali się zdumieni gapie

- Ty cholerny świrze! Co ty sobie wyobrażasz? Omal mnie nie zabiłeś, mnie i mojego konia! Skąd się tu wzięłeś, do diabła? - wrzasnęła na Logana, czerwona ze złości.

- Bardzo mi przykro. - Logan wstał i otrzepał ubranie. - Jest pani ranna? Proszę pozwolić sobie pomóc.

- Nie, i zabieraj ode mnie łapy, bałwanie - rzuciła z wściekłością, ale ręce jej drżały. Logan cofnął się z przepaszającym wyrazem twarzy.

Johnny już biegł w ich stronę. Kobieta zbladła i zaczęła płakać.

- Przepraszam - powiedziała - to było bardzo niegrzeczne. Tylko że... - Spojrzała na niego dziwnie. - Czy my się znamy?

Logan się uśmiechnął.

- Nie, nigdy się nie spotkaliśmy. Proszę posłuchać: bardzo się pani wystraszyła. Może zechce pani usiąść...

Johnny chwycił konia za uzdę, a Logan poprowadził kobietę do najbliższej ławki. Thandy zaczęła się uspokajać i jeśli już ktoś musiał zwałić się na nią z nieba, miała szczęście, że był to właśnie on: niezbyt wysoki, ale doskonale zbudowany, o szerokich ramionach, wyraźnie zarysowanych pod cienkim, obcisłym kombinezonem skoczka.

Patrzył na nią z troską ciemnymi, dobrymi oczami, w których dostrzegła także siłę, twardą jak stal. Opanowała się szybko. Na litość boską, ponosiło ją jak bohaterkę jednego z romansów, które czytywała jej matka. Ale była pewna, że już kiedyś widziała tego człowieka.

- Pracuje pan w city? - spytała.

- Hm... tak. Zmrużyła oczy.

- Pracuje pan może z... Nie. - Znowu przyjrzała mu się uważnie. - Och, jest pan szefem Jeannie? Bloomingdales?

Gospodarstwo domowe?

- Obawiam się, że nie. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Na pewno? Wygląda pan zupełnie jak...

Logan uśmiechnął się i skinął głową Johnny'emu, który w lot go zrozumiał i wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Thandy uważnie słuchała.

- Mówi Johnny Stokes. Potrzebujemy pokoju, natychmiast.

- Co to znaczy: pokoju? Nigdzie z panem nie pójdę, omal mnie pan nie zabił. Skądś pana znam, ale to nie znaczy, że... - urwała. Och, Johnny Stokes. Podniosła wzrok na drugiego mężczyznę i szeroko otworzyła oczy. - O Jezu. Pan jest...

Logan kiwnął głową. Teraz już wiedziała. Nie po raz pierwszy przydarzyło mu się coś takiego - ludzie często brali go za kogoś znajomego i machali do niego na ulicy, uważając, że został im przedstawiony na jakimś przyjęciu albo że mieszka w sąsiedztwie czy coś w tym rodzaju. Wyciągnął do niej rękę.

- Logan Barnes. Miło mi panią poznać.

Podeszli do oszklonych drzwi hotelu Royal, Johnny i Logan po obu stronach oszołomionej kobiety. Konia, po jeszcze jednym telefonie Johnny'ego, zabrał z parku właściciel stajni - mogło się wydawać, że Johnny zna wszystkich na Manhattanie. Nie było chyba sprawy, której by nie załatwił. Wystarczyło, że przejrzał długą listę swoich kontaktów, a potem wszystko okazywało się już tylko kwestią jednego telefonu, spotkania czy uścisku dłoni. Weszli do budynku. Dwaj portierzy w liberiach i białych rękawiczkach powitali ich z uprzejmym uśmiechem, pochylając głowy w identycznych jasnoszarych cylindrach.

Kiedy tylko znaleźli się w holu, podszedł do nich recepcjonista, również uśmiechnięty.

- Dzień dobry, panie Barnes - powiedział i umilkł, czekając na instrukcje.

- Dzień dobry, Matthew. Piękny dzień, prawda?

- W rzeczy samej, proszę pana. Przygotowałem apartament dla pana gościa, zgodnie z poleceniem. - Spojrzał na młodą kobietę, której Logan omal nie poturbował. - Zechce mi pani towarzyszyć?

Logan położył dłoń na jej ramieniu, a w geście tym było tyle ciepła, co w jego oczach. Był naprawdę niezwykle czarującym mężczyzną. Kiedy tylko pomógł jej wsiąść do prowadzonej przez szofera limuzyny i pojechali do jednego z najlepszych hoteli w mieście, jej złość szybko minęła - co Thandy zauważyła nie bez irytacji.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, naprawdę. Zaraz ktoś przyniesie do pani apartamentu czyste ubranie. Pokój został dla pani zarezerwowany do końca tygodnia. Proszę bez wahania zamawiać wszystko, na co przyjdzie pani ochota. Matthew jest recepcjonistą. Zaopiekuje się panią; proszę zwracać się do niego, ilekroć będzie pani czegoś potrzebowała. Pan Stokes i ja mamy coś do załatwienia.

Recepcjonista kiwnął głową i Thandy uśmiechnęła się szerzej. No, no, patrzcie tylko. Ona, Thandy Stine, sekretarka z Queens, która musi oszczędzać, by było ją stać na konną przejażdżkę po Central Parku raz na dwa tygodnie, w apartamencie hotelu Royal! I to jako gość samego pana Logana Barnes'a z telewizji! I Johnny'ego Stokes'a, w którym podkochiwały się wszystkie

dziewczęta z biura. Thandy postanowiła, że zaraz zadzwoni do przyjaciółek.

Idąc za recepcjonistą po ciemnej, marmurowej podłodze zdobonej w wymyślne wzory z czegoś, co wyglądało jak macica perłowa, choć przecież nią być nie mogło, Thandy planowała już, co zamówi do pokoju z hotelowej restauracji. Wielki, krwisty befsztyk z musztardą i frytkami. Na przystawkę ostrygi, bo nigdy wcześniej ich nie jadła. A potem kilka słodkich, oblanych pastelowym lukrem makaroników, które wyglądają tak smakowicie.

Odwróciła się i puściła oko do Logana. Jeśli ktoś spada na człowieka z nieba i omal go nie zabija, a potem finał historii jest właśnie taki, to ona nie ma już absolutnie nic przeciw temu.

Johnny i Logan zostawili podekscytowaną Thandy w profesjonalnych dłoniach personelu hotelu Royal i ruszyli do West Side, hotelu i klubu należącego do Logan Barnes International, a mieszczącego się w Meatpacking District, dzielnicy Manhattanu. Było to miejsce zupełnie inne niż jego najbardziej reprezentacyjny hotel w pobliżu Central Parku, ale ono także przynosiło spore dochody. Podczas gdy hotel Royal - ze swoimi marmurowymi posadzkami i ciężkimi draperiami - symbolizował cały klasyczny szyk Manhattanu, to West Side był jego młodszym, otwartym na trendy w modzie bratem. W czarnych lśniących podłogach z perspeksu odbijały się punktowe światła neonów, zebranych w kiście na suficie z nagiego gipsu, a w wielkim, przestronnym holu stały niskie kanapy obite czarnym zamszem. Na stolikach, także z czarnego perspeksu, które zdawały się wyrastać wprost z podłogi, stały sześciennie akwaria ze złotymi rybkami. Ich delikatne płetwy powoli poruszały się w wodzie. Na środku wyeksponowano rzeźbę Damiana Hirsta, przedstawiającą serce owcy przebite srebrnym sztyletem.

Logan sprawdził e-maile na swoim iPhone, a Johnny zadzwonił do reżysera, by poinformować go, że obaj są już w drodze na spotkanie.

- Tak, spotkamy się na zewnątrz. Nie, nie ma sprawy, obejdziemy wszystko jak zwykle... Odprawa jest o której? O czwartej? -

Johnny pomachał ręką, by przyciągnąć uwagę Logana, i pytająco uniósł brwi. Logan kiwnął głową.

- Hm, dobrze, więc o czwartej, a wieczorem wylatujemy do Londynu. Tak, w trójkę, plus Rachel i Kirsten. Daj spokój, Chris, wiesz, że nie możesz. Nikt nie ma wstępu na pokład tego samolotu. Wykluczone. Ale zawsze warto zapytać - zaśmiał się Johnny. - Do zobaczenia.

Samolot był prywatnym sanktuarium Logana, rzeczywiście nikt nie miał wstępu na jego pokład poza członkami zarządu firmy, jego osobistą asystentką, Rachel, i jego rodziną. To tam Logan podejmował ważne decyzje, przeprowadzał tajne rozmowy telefoniczne, których podsłuchania nie chciał w żadnym wypadku ryzykować. Tam nigdy nikt nie wszedł z kamerą czy aparatem fotograficznym.

- Facet zawsze próbuje przesunąć granice - mruknął Johnny.

- Jak i cała reszta, czyż nie?

- To prawda. Chciał polecieć samolotem.

- No...

- Wiem.

Johnny pokiwał głową i znowu chwycił za komórkę. Spędzał na rozmowach telefonicznych mnóstwo czasu i co kilka miesięcy kupował nowy aparat. Poza tym szybko się nudził. Między innymi był już bardzo znudzony swoją dziewczyną, Melissą, ale nie wymyślił dotąd sposobu, jak się jej pozbyć - zwłaszcza że brała udział w ich reality show *General Manager*. Poznali się na balu przebierańców poświęconym tematowi rewolucji - otwierał wystawę współczesnej sztuki rewolucyjnej w Contemporary Museum of Art. Johnny przebrał się za Che Guevarę - za kogóż by innego? Melissa była doskonałą Marią Antoniną - zbyt doskonałą, od razu powinien był to zauważyć - wyraźnie dając do zrozumienia, że jest jedyna w swoim rodzaju. Nikt nigdy nie ośmielił się nadepnąć na jej obleczone w kosztowny brokat nogi.

Bal był jedną z ważniejszych imprez w towarzyskim kalendarzu Manhattanu. Dotychczas głównym wydarzeniem tego rodzaju był bal w Metropolitan Museum, o wspaniałej, długiej tradycji, niedawno jednak na scenę wkroczyło także COMA. Zdając sobie sprawę z tego, jak wiele zależy od pieniędzy i zainteresowania tak zwanego towarzystwa, zaczęli organizować jesienią własne bale tematyczne,

które zbiegały się w czasie z wernisażami ich wielkich wystaw. Za stolik trzeba było zapłacić sto tysięcy dolarów i więcej, a kostiumy projektowano wiele miesięcy naprzód, podobnie jak scenografię, dopracowaną zawsze w najdrobniejszych szczegółach. Mimo to w tym roku Bunny Shawcross, rozwścieczona, opuściła bal, w rozwianym dramatycznie płaszczu księżnej z dynastii Romanowów, ponieważ na linii jej wzroku znalazła się gilotyna z kwiatów. Bale dawały zajęcie niezliczonym stylistom, szoferom, portierom, flory-stom, firmom cateringowym i kelnerom - całemu legionowi mężczyzn i kobiet, którzy je obsługiwali i przy okazji bardzo dobrze na nich zarabiali. O najlepszych zabiegano i walczone. Aurelie Lezard, organizatorka, była smukłą blondynką o wyglądzie dobrej wróżki, bardzo jednak zdecydowaną i wierzącą w sens ciężkiej pracy. Dążyła do tego, by zorganizować bal, o którym będą mówili wszyscy. Johnny obserwował ją przez chwilę, stojąc przy lodowej rzeźbie w kształcie sierpa i młota, spod których tryskała zmrożona wódka. Aurelie właśnie z kimś rozmawiała; przez, bagatela, trzydzieści sekund poświęcając tej osobie całą swoją uwagę, by zaraz potem zwrócić wielkie niebieskie oczy na kogoś innego. Na zatłoczonej sali balowej spojrzenia Johnny'ego i Melissy ledwie się spotkały - aż w końcu Johnny nadepnął niechcący na tren sukni, który Melissa celowo udrapowała tak, by znalazł się pod jego nogami. Już od pewnego czasu interesowała się Johnnym, widywała go na różnych przyjęciach i wernisażach na Manhattanie, wypytywała o niego. A jeśli Melissa czegoś chciała, zwykle to dostawała. Poszli razem do baru Maotini, gdzie Johnny spytał, czy mógłby ją kiedyś zaprosić na kolację i dodał: „Chciałbym zobaczyć, jak wyglądasz bez tej ptasiej klatki na głowie”. Już po pierwszej randce mógł się przyjrzeć jej bardzo dokładnie, kiedy leżała nago w poprzek jego wielkiego łóżka (Melissa mogła być królową Manhattanu, ale z pewnością nie była pruderyjną księżniczką), a potem siedzieli przed telewizorem, oglądając kreskówki i objadając się czekoladowo-miętowymi lodami. Johnny był nią oczarowany, choć rzucony na niego czar osłabł trochę, kiedy godzinę później usłyszał, jak wymiotowała w jego łazience.

To Melissa wymyśliła *General Managera* i podzieliła się tym pomysłem z Johnnym i Loganem. Reality show, którego akcja rozgrywała się w hotelu, okazał się strzałem w dziesiątkę. Melissa pracowała jako producent dla swojego ojca, który był grubą rybą w mediach i akurat szukał czegoś, co mogłoby skutecznie konkurować z takimi popularnymi seriami jak *Moja kuchnia*, *Idol* i inne programy pokazywane w czasie największej oglądalności, które okazały się tak dochodowe. Johnny'emu natychmiast bardzo spodobał się ten pomysł - zawsze lubił nowe wyzwania i nowe doświadczenia. Wierzył, że w życiu żałuje się tylko tego, czego się nie spróbowało. Przedstawił koncepcję Loganowi, niepewny, jak zareaguje; opisał wszystkie potencjalne korzyści, podkreślił możliwość dotarcia do znacznie szerszego kręgu klientów - ale właściwie to wcale nie było konieczne. Oczy Logana natychmiast rozbliły się zainteresowaniem.

- Doskonały pomysł - powiedział, wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wtedy Johnny wiedział już, że przyjaciel połączył haczyk - Logan robił to tylko wtedy, kiedy był naprawdę podekscytowany. - Darmowa reklama, kto by odmówił? To może otworzyć przed nami zupełnie nowe drogi. Powiedz jej, że w to wchodzimy.

Johnny powinien przewidzieć, że tak będzie; Logan zawsze chciał się wyróżniać, nawet wtedy, kiedy obaj byli jeszcze dziećmi. Skrytość nie leżała w jego naturze. To on zwykle miał coś do powiedzenia na lekcji, to on potrafił zwrócić uwagę na swój udział w klasowym projekcie, to on podskakiwał i wyciągał w górę palce, chcąc, by wybrano go do szkolnej drużyny baseballa. Opinie, jakie wystawiali mu nauczyciele na koniec każdego roku szkolnego, na ogół się nie różniły. „Logan jest pełen entuzjazmu, zawsze chętnie dzieli się na zajęciach swoimi myślami. Nie ma problemów z wyrażaniem swojego zdania”.

I tym razem to on wymyślił slogan reklamujący program. Przygotowywał się do realizacji nowego projektu systematycznie, oglądając nagrania DVD podobnych show podczas lotów swoim samolotem albo nocami w domu, albo na swoim laptopie w samochodzie. Zwracał uwagę na to, co było dobre, a co wydawało mu się słabsze, i na to, co można by ulepszyć. Nie miał zamiaru oddać wszystkiego w ręce ekipy i pojawiać się tylko na zdjęciach - praw-

dę mówiąc, Johnny nie był pewny, czy producenci wiedzą, na co się decydują, podejmując współpracę z Loganem. - Zobacz tylko - mówił nagle, zatrzymując nagranie i wskazując plazmowy ekran dla zilustrowania swoich słów. - Uczestnicy są wzywani z powrotem w dwóch grupach: najpierw zwycięzcy, a potem ostatnia trójka, która musi stawić czoło ekspertom i wyjaśnić, co poszło nie tak. Ale tu - wcisnął inny guzik i włączył inny program - uczestnicy stają przed ekspertami pojedynczo, a werdyktu słuchają w grupie. - Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tymi dwoma rozwiązaniami, i szybko zapisał coś w notatniku.

Pewnego ranka, kiedy Johnny brał udział w telekonferencji z prawnikiem z Tokio i deweloperem z Pekinu, Logan wpadł nagle do jego gabinetu i oznajmił:

- Johnny Stokes, czas, żebyś się wymeldował! - Po czym stanął w drzwiach niezmiernie z siebie zadowolony. W Tokio i Pekinie zapadła krępująca cisza, aż w końcu jeden z rozmówców Johnny'ego odchrząknął i zapytał ostrożnie:

- Panie Stokes? Czy wszystko w porządku?

Wtedy Logan zasłonił usta ręką i zaśmiewając się, wrócił do siebie.

Producentom natychmiast spodobało się to hasło, a kiedy show wszedł na antenę, spodobało się także widzom. Częściowo było tak z powodu sposobu, w jaki Logan wypowiadał te słowa - dobitnie, ale bez melodramatycznej przesady. Wkrótce slogan pojawił się wszędzie, w skeczach i dowcipach, w radiu i telewizji, tak jak to często bywa z reklamą. Ludzie wykrzykiwali to hasło do John-ny'ego, widząc go na ulicy, studenci włączyli je do swojego żargonu, używały go na co dzień miliony ludzi. Dzięki niemu nazwiska Logana, Johnny'ego i Marka, trzeciego członka ich zespołu, trafiły pod strzechy.

Wszystko to było wspaniałe. Wszystko poza tym, że teraz, kiedy Melissa została głównym producentem *General Managera* (bycie małą księżniczką szefa dawało wiele przywilejów), Johnny widywał się z nią częściej, niż miał ochotę, i w efekcie się nią znudził. Zawsze znalazła się w pobliżu jakaś kobieta - jaśniejsza blondynka lub ciemniejsza, bardziej zaokrąglona czy szczuplejsza - która

zwracała jego uwagę. Ale gdyby rzucił Melisę, sytuacja stałaby się bardzo trudna - nadal musiałby widywać ją na planie, a ona bez wątpienia należała do osób, które długo chowają urazę. Zaczęła niedawno napomykać o wspólnym zamieszkaniu - u niego - do czego zamierzał ją jak najszybciej zniechęcić. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, była jej obecność w jego domu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Postanowił, że niedługo rozwiąże ten problem. Ale jeszcze nie teraz.

Kiedy ich samochód zatrzymał się przed hotelem, ekipa i reżyser już na nich czekali. Kamery ruszyły, jeszcze zanim Logan i Johnny wysiedli i podeszli do oszklonych drzwi. Przechodnie przystawali, zaintrygowani widokiem kamer i atmosferą pełnego ekscytacji oczekiwania, która otaczała Logana, kiedy wchodził do hotelu.

- Słuchaj, to przecież...

- Logan Barnes.

- Mnie podoba się ten drugi: Mark. Ten Anglik. Nie ma go tu? Uwielbiam jego akcent.

- Och, mam, zobacz, jest Johnny Stokes... wiesz, ten z...

- Wyciągnij aparat, Marjorie. No, pośpiesz się, wchodzą do środka!

- *General Manager.*

- Więc widziałaś to! Ja oglądam co tydzień, tak na Bravie. Tak, to ten!

- Alicio, oddaj swoje klucze do recepcji. Czas, żebyś się wymeldowała.

Kamera odwróciła się od ładnej, zaskoczonych blondynki w białej bluzce i ciemnym kostiumie do trzech mężczyzn siedzących za długim drewnianym stołem. Jeden z nich właśnie ogłosił werdykt. Ich twarze były stanowcze, podjęli już decyzję. Zapadła cisza.

Wtedy kamera objęła resztę pomieszczenia. Była to duża, kwadratowa sala, elegancka i nowoczesna, na jednej z górnych kondygnacji budynku. Z ogromnych okien rozciągał się widok na sąsiednie drapacze chmur. Wszystko to zdawało się wróżyć wybrancom spektakularny sukces. Cztery młode kobiety i trzech mężczyźni siedzieli

w rzędzie pod ścianą po drugiej stronie sali. Ich twarze - w różnym stopniu - wyrażały ulgę, satysfakcję i zadowolenie z siebie.

Alicia wstała, wygładziła spódniczkę i podeszła do trzech mężczyzn za stołem, wyciągając przed siebie rękę.

- Dziękuję za to, że mogłam wziąć udział w programie, panie Stokes.

Uścisnęła dłoń mężczyzny po lewej stronie. Uśmiechnął się do niej szeroko - i czy przypadkiem także nie mrugnął? Zaczerwieniła się. Johnny Stokes, który zawsze miał uśmiech na twarzy i dobre słowo dla każdego, był znany z tego, że lubił kobiety. Przekonała się o tym zresztą sama pewnej nocy, całkiem niedawno... Przestała o tym myśleć i ruszyła dalej.

- Panie Barnes, to był dla mnie zaszczyt.

Logan skinął głową bez uśmiechu, ale z życzliwym wyrazem twarzy. W końcu ujęła dłoń trzeciego mężczyzny, Marka Mallory'ego - Anglika o bladoniebieskich oczach, smukłych dłoniach i długich palcach. Wydawał się odległy, chłodny, uprzejmy.

- Dziękuję, panie Mallory.

Uśmiechnął się do niej, ale w tym uśmiechu nie było ciepła. Uczestnicy z Wielkiej Brytanii lepiej potrafili się z nim dogadać niż Amerykanie, na których zawsze zdawał się spoglądać trochę z góry. Mark Mallory w swoim jasnoszarym, szytym na miarę garniturze i różowej koszuli, o lekko siwych, gęstych ciągle włosach zaczesanych do tyłu był dyrektorem naczelnym operacji hotelowych w LBI. Jego zadaniem było dopilnować, by nieruchomości należącymi do spółki sprawnie zarządzano. To on zatrudniał i zwalniał dyrektorów i kierowników hoteli; to on rozwiązywał problemy pojawiające się na różnych poziomach zarządzania i robił to z wdziękiem i pełnym profesjonalizmem. Dołączył do LBI wiele lat temu, kiedy jego arystokratyczna rodzina przechodziła trudny okres. Należący do niej wielki dom w Dorset popadł w ruinę i niewiele brakowało, a przejąłoby go Towarzystwo Opieki nad Zabytkami. Wtedy właśnie pojawił się Logan, kupił posiadłość i zmienił ją w luksusowy wiejski pensjonat.

W programie *General Manager* to Mark rozdzielał zadania; kazał uczestnikom ścielić setki łóżek albo jak bagażowi nosić tony

ciężkich lub wypełnionych szkłem paczek w górę i w dół schodów. Alicia zawsze miała wrażenie, że przyglądanie się, jak się męczą, sprawia mu zdecydowanie zbyt dużą przyjemność. Dostrzegając w jego oczach błysk sadyzmu. Pożegnała się i odwróciła do innych uczestników programu.

- Powodzenia - powiedziała bezgłośnie do Dominica, wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyzny, jedynej osoby, z jaką zaprzyjaźniła się podczas swojego trzytygodniowego pobytu w Nowym Jorku. To jemu życzyła wygranej. Reszta tych dupków może spadać na drzewo. Dominie przesłał jej całusa.

Chwyła rączkę walizki na kółkach, takiej jakich w programie musieli używać wszyscy uczestnicy i wyszła z sali, połykając łzy. Nie chciała teraz zacząć płakać, bo za kilka miesięcy ten odcinek zostanie wyemitowany w ogólnokrajowej telewizji - cóż, ogólnościatowej, prawdę mówiąc, bo była to przecież międzynarodowa koprodukcja. *General Managera* kręcono jednocześnie w Nowym Jorku i Londynie, uczestnicy pochodzili z obu tych miast, a odcinki ukazywały się w obu krajach w tym samym dniu. Był to dość kosztowny sposób produkcji, który wiązał się z częstymi podróżami i wywoływał bóle głowy u członków ekipy filmowej i montażystów - ale taki był zamysł. Show miało odzwierciedlać styl życia Logana Barnes'a i jego najbliższych współpracowników.

Częściowo reality show, częściowo ostra walka o stanowisko w LBI, pierwsza edycja natychmiast stała się hitem, a wszystko wskazywało na to, że druga, kiedy zostanie wyemitowana, odniesie jeszcze większy sukces.

Alicia wzięła głęboki oddech i przygotowała się do przejścia przez wielkie czerwone drzwi, które stały się symbolem programu. Wiedziała, że to ich widok kończy każdy kolejny odcinek. Co tydzień ktoś musiał się wymeldować i przejść przez te drzwi. Teraz kolej na nią.

- No dobrze, cięcie! Alicia, skarbie, wracaj, wracaj, musimy to jeszcze ująć z góry. Możesz wyglądać na trochę bardziej zawiedzioną? Właśnie straciłaś swoją życiową szansę! Postaraj się, żebyśmy to wszyscy poczuli. Aha, Dominie, daruj sobie te buziaki, dobrze? Ludzie, nie przyjechaliście tu szukać przyjaciół. Zrozumiano? Kamera...

Alicia westchnęła i postawiła walizkę na podłodze. Chyba to właśnie nazywa się „magią telewizji” Logan miał wrażenie, że gdy wyszli z budynku, zgiełk głosów na zewnątrz przycichł nieco - tylko dlatego jednak, że nauczył się go ignorować. Kiedyś irytowało go, że wszędzie, gdzie się pojawił, ludzie odwracali za nim głowy, tręcali swoich znajomych albo otwarcie się gapili i pokazywali go sobie palcami. Teraz właśnie to lekceważył. Niemal nie zauważał nawet ekipy filmowej, która ostatnio towarzyszyła mu wszędzie - na spotkaniach, przyjęciach i w biurze. Zdumiewające, jak szybko można się przyzwyczaić do najbardziej choćby absurdalnych sytuacji i zacząć uznawać je za coś całkiem normalnego. Ktoś filmuje nas podczas oglądania nieruchomości, którą zamierzamy kupić? Cóż, to tylko kolejny dzień w pracy. Włączamy telewizor w domu i widzimy na ekranie samych siebie podczas negocjacji biznesowych? Wystarczy zmienić kanał. Jedziemy przez Manhattan i spostrzegamy na billboardach własną twarz i twarze przyjaciół, powiększone do nienaturalnych rozmiarów? Po pewnym czasie nawet nam powieka nie drgnie.

Sierpień na Manhattanie bywa często upalny - teraz rozgrzane powietrze wydawało się gęste jak zupa; Logan poczuł, że całe jego ciało oblewa się potem. Urzędnicy z teczkami i kawą w papierowych kubkach załatwiali swoje sprawy, jednocześnie rozmawiając przez telefony komórkowe; jakaś drobna kobieta koło osiemdziesiątki, w futrze do ziemi mimo upału i z kokiem większym niż jej mała ptasia głowa, spacerowała z miniaturowym pieskiem rasy chihuahua; długa ciemna limuzyna, z której dobywała się głośna, rytmiczna muzyka, zatrzymała się przy krawężniku i wysiadła z niej grupa czarnoskórych mężczyzn o nieprawdopodobnie szerokich barach - wszyscy mieli na sobie jednakowe białe garnitury i błyszczące w słońcu brylanty na palcach i nadgarstkach. Nowy Jork. Miasto jedyne w swoim rodzaju.

Pod hotelem czekały dwie limuzyny - jedna miała zabrać Logana wraz z jego osobistą asystentką, a druga Johnny'ego, Marka i Kirsten Devizes-Brown. Kirsten była wysoką, smukłą brunetką; w firmie Logana zajmowała stanowiska dyrektora do spraw komunikacji,

sprzedaży i marketingu. Należała do starej, ekscentrycznej angielskiej rodziny i była prawdziwym geniuszem PR. Potrafiła sprawić, że wszystko wydawało się cudowne i nieodparcie upragnione. Wcześniej pracowała na własny rachunek: organizowała powroty gwiazd pop, które przedawkowały narkotyki, i rapperów karanych za noszenie broni, ratowała nadszarpnięte reputacje młodych członków rodzin królewskich, których przyłapano bez bielizny, i zajmowała się dziećmi prezenterki telewizyjnej pozwanej do sądu za prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu. Była znana jako osoba twarda, pracowita, ustosunkowana, a także dowcipna. Logan wiedział, że zjednując ją sobie, wygrał los na loterii. Pomijając już wszystko inne, kiedy pracowała dla niego, nie mogła pracować przeciwko niemu.

Rachel czekała już w samochodzie, ze swoim cieniutkim laptopem otwartym na kolanach i zapewne całą listą pytań, zadań i instrukcji. Była doskonałą asystentką, nie poradziłby sobie bez niej. Wzięła udział w pierwszej edycji *General Managera*, ale odpadła w jednym z początkowych odcinków, głównie dlatego, że producentom programu wydawała się za mało przebojowa. Logan jednak dostrzegł jej skuteczność w działaniu i spokój w obliczu chaosu, i natychmiast ją zatrudnił. Okazało się, że była to słuszna decyzja - no, ale on zazwyczaj podejmował słuszne decyzje. Wsiadł do limuzyny. Za kilka godzin będzie w domu, w Londynie. Zobaczy się z Maryanne i zapozna ją z planem imprez towarzyskich na kilka kolejnych tygodni. Może spotka się też z dziećmiakami - to była jaśniejsza strona rodzinnych obowiązków. Odwrócił się do Rachel.

- Mam zaplanowane spotkanie z Charliem i Lucią?

Rachel kilknęła myszką i na ekranie pojawił się harmonogram zajęć Logana.

- Z Lucią, tak, jutro o jedenastej, a potem lunch. Zarezerwowałam stolik w Ivy Club. Charliego nie ma teraz w Londynie. Wieczorem wydajecie w domu przyjęcie.

Logan kiwnął głową. Spędzi rano z Maryanne, potem sprawdzi, co słyhać u Lucii - dowie się, czym się teraz zajmuje (oby zaczęła studiować projektowanie mody w St Martin's College, gdzie zaproponowano jej miejsce), wypyta ją o Charliego, o to, jak mu idzie nagrywanie płyty (miał nadzieję, że syn już ją nagrał i zdążył

znudzić się muzyką), zje z nią lunch, a potem pojedzie do swojego biura na West Endzie i zabierze się do pracy.

Dobrze. Limuzyna mknęła w stronę lotniska.

Silniki prywatnego odrzutowca ryknęły. Logan zrzucił marynarkę i podwinął rękawy lnianej koszuli do łokci i wraz z Rachel wszedł na stopnie samolotu, którym mieli polecieć do Londynu. Zanim Logan i jego asystentka przybyli na lotnisko prowadzonym przez szofera mercedesem, jeden z ochroniarzy sprawdził samolot, a drugi zatrzasnął drzwi za Rachel i pilot zaczął się przygotowywać do startu. Logan właściwie przestał już zauważać swoich ochroniarzy.

Przyzwyczał się do ich bezustannej obecności, do tego kokona profesjonalizmu i doświadczenia, jakim otaczali jego i jego rodzinę. Byli tylko jeszcze jednym elementem wędrownego cyrku jego życia. Traktował kwestię bezpieczeństwa bardzo poważnie, bo nadal istniało dość realne ryzyko porwań czy sabotażu.

Postawił teczkę na podłodze, zdjął buty i skarpetki i podszedł do wbudowanej w ścianę samolotu szafy po podkoszulek na czas lotu. Długodystansowy boeing był jeszcze jednym z jego licznych domów - Logan posiadał dwadzieścia pięć nieruchomości rozrzuconych po całym świecie i starał się osobiście doglądać swoich hoteli, samolot był mu niezbędny. Podróżował nim nad Atlantykiem, nad Morzem Karaibskim, po całej Europie - ilekroć musiał się spotkać z klientami, bankierami czy wspólnikami albo sprawdzić postęp w pracach remontowych jakiegoś obiektu. Przebierając się, nie przestawał zadawać pytań i wydawać poleceń swojej asystentce, która doskonale potrafiła robić pięć różnych rzeczy naraz.

Z wbudowanej w bar z marmurowym blatem lodówki Logan wyjął butelkę San Pellegrino i nalał sobie szklaneczkę.

- O trzeciej masz spotkanie w związku z planem budowy centrum handlowego, to już potwierdzone. Christian przyjedzie jutro o drugiej, żeby omówić możliwości refinansowania tego przedsięwzięcia i przedstawić ci ofertę.

Johnny dopracowuje szczegóły dotyczące strony prawnej otwarcia Luksusu.

Rachel rzuciła okiem na Johnny'ego, który wszedł właśnie do kabiny i kiwnął głową na potwierdzenie jej słów.

- W końcu będziemy musieli się do tego zabrać, ale nie ma pośpiechu.

Rachel, Logan, Johnny, Mark i Kirsten usiedli wokół dużego owalnego stołu. Zapowiadał się pracowity lot - czasami podróż była jedyną okazją, by wszyscy mogli zebrać się w tym samym miejscu o tej samej porze. Na ogół omawiano i podejmowano decyzje podczas telekonferencji albo za pomocą e-maili i rozmów telefonicznych, w ostatnich czasach niezbędnych.

- Ruszyła sprawa przeciw podwykonawcom z Vegas: tu jest aktualny raport na ten temat. - Rachel wskazała dłonią papiery, które przeglądał Logan. - Przyszło zaproszenie na debatę w Harvard Business; chcą, żebyś ją poprowadził. I kilka próśb o donacje na cele charytatywne. Wszystkie te informacje są w twojej teczce.

Logan przekładał kolejne kartki.

- Dobrze - powiedział i ciągnął: - Bracia Pink powinni byli już dostarczyć ostateczną listę kosmetyków dla gości... pogoń ich, jeśli jeszcze tego nie zrobili. I chciałbym zobaczyć, jak wygląda projekt broszury. Aha, uniformy pracowników, kiedy będę mógł zobaczyć gotowe stroje?

- We wtorek - odparła Rachel. - Potwierdzę to jeszcze.

- Film jest gotowy?

- Tak.

Na to właśnie wszyscy czekali.

Rachel wcisnęła guzik na pilocie i z sufitu spłynął bezszelestnie plazmowy ekran; światła w kabinie przygasły. Zaczął się film. Logan patrzył uważnie na pojedyncze słowo, które pojawiło się na ekranie, wypływając z ciemności, rosnąc, nabierając wyrazistości. Przez chwilę ozdobne litery migotały lekko na tle czarnego tła, po czym znowu zbladły i znikły.

„LUKSUS”

Uśmiechnął się do siebie. Słowo rozbłysło ponownie, pulsując lekko na ekranie. Rachel wcisnęła kolejny guzik na pilocie i pojawiły się sylwetki egzotycznych ptaków, które spijały nektar z kwiatów; smukłe ciała poruszały się w wolnym zmysłowym tańcu; promień światła załamywał się w szlachetnym kamieniu; cienka strużka dymu unosiła się z fajki; złocisty płyn spływał miękko do szerokiej

szklanki. Wszystko to było czarne i kremowe, wszystko trwało na ekranie tylko tyle czasu, by widz zdołał odcyfrować znaczenie tych ulotnych obrazów... i znowu rozpląnęło się w czerni... Wtedy na ekranie pojawiły się słowa:

„Tu twoje najdziksze fantazje staną się prawdą.

Spełni się każdy kaprys.

Każde pragnienie zostanie zaspokojone.

Zapewniamy absolutną dyskrecję.

LUKSUS..."

Czołówka, nad którą pracowali wiele miesięcy, była wreszcie gotowa. Stało się. Miejsce, które rozpałało wyobraźnię Logana i nawiedzało jego sny od prawie czterdziestu lat - odkąd ukochana niania, Honoré, opisała mu je, układając go do snu - należało teraz do niego. I tylko do niego.

„Na środku oceanu, tam, gdzie nikt nie podróżuje, jest wyspa..."

Tak zaczynała się ta historia, opowiadana ze śpiewnym akcentem mieszkanki Mauritiusa. Zawsze była to ta sama historia, a jednak Logan czuł w końcach palców przyjemne mrowienie, kiedy się rozpoczynała. Związał się w kłębek pod kołdrą i, podekscytowany, słuchał. Honoré od wielu lat pracowała dla jego rodziców i zupełnie naturalnie przyjęła obowiązki niańki, kiedy tylko Logan przyszedł na świat i został przyniesiony do domu ze szpitala. Jego matka uznała swoją rolę niemal za zakończoną, więc Honoré podniosła płaczący tobolek i zaczęła uspokajać noworodka, kołysać go, śpiewając i przemawiając do niego cicho. Odtąd to do niej zawsze biegł, kiedy się czegoś przestraszył, rozbił kolano albo znalazł pod kamieniem żuka o metalicznie lśniącem pancerzu. To ona nauczyła go cyfr i alfabetu, ubierała go rano i otulała kołdrą, gdy kładł się spać - i to ona zawsze na dobranoc opowiadała mu historie o tajemniczej wyspie fiołków. Wszystkie zaczynały się tak samo, ale mówiły o różnych fantastycznych wydarzeniach. Pewnego dnia na L'île des Violettes najechali piraci szukający skarbów, kiedy indziej na wyspie uwięziono piękną księżniczkę, którą z opresji ratował książę z baśniowego zamku; innym razem fiołkową wyspę zamieszkiwały elfy i wróżki, a gdy panowała cisza i spokój, można było dostrzec nawet przemykającego między drzewami jednorożca.

Tak, za każdym razem była to inna historia, zawsze jednak rozgrywała się w scenerii L'île des Violettes, opisywanej tylekroć, że Logan miał czasem wrażenie, iż topografia tego miejsca została wryta w jego pamięci na wieki. Znał tę wyspę, znał jej zatoczki i plaże tak, jak znał wzór tworzony przez splekania na suficie jego pokoju. Znał wzgórza i szczyty tak dobrze, jak dobrze wiedział, która deska w podłodze zaskrzypi, kiedy na nią nastąpi, zdradzając, że w nocy zakradł się do kuchni.

Więc kiedy w końcu po raz pierwszy naprawdę wybrał się na tę wyspę, wiele lat temu, z Johnnym i Nicolem, czuł się tak, jakby wrócił do domu.

Rachel przesunęła film do przodu i na ekranie ukazały się różne miejsca na wyspie. Wyrastająca z błękitu Oceanu Indyjskiego zawsze lśniła swym naturalnym pięknem, teraz jednak dodatkowego blasku dodała jej warta miliony dolarów inwestycja. Nazwana L'île des Violettes - wyspą fiołków, ze względu na mnogość porastających ją tych drobnych fioletowych kwiatków, należała niegdyś do pewnego gwiazdora filmowego, który cenił sobie prywatność, ale po jego śmierci w latach pięćdziesiątych wybudowany na niej dom popadł w ruinę i od tego czasu nikt na wyspie nie mieszkał. Aż do teraz.

Pierwszy obraz ukazywał wyspę z pewnej odległości, tak jak goście będą ją widzieli, przyplływając łodziami. Skrzyła się z daleka, pełna światła, pełna życia. Logan spojrzał na linię brzegu, na ciągnący się nim pas bladożółtego piasku, i niemal usłyszał szum morza, niemal poczuł na twarzy łagodny dotyk ciepłego wiatru.

Rachel wcisnęła kolejny guzik i pojawiło się kolejne ujęcie, także z perspektywy przybywających na wyspę gości, tym razem jednak ukazywało przystań i pomost wcinający się w morze. Znajdował się w tym samym miejscu co zawsze, został jednak przebudowany i stanowił teraz solidną platformę dla dystyngowanej klienteli hotelu: lśniące drewno, srebrne relingi i pracownik w liberii witający tu byłego senatora, aktualnego premiera czy światowej sławy gwiazdę filmową. Luksus był przeznaczony dla elity elit. Czasami mogło się wydawać, że obecnie niemal każdy może zostać gwiazdą; wystar-

czy odstać swoje w kolejce do takiego czy innego reality show, by później udzielać wywiadów prasie brukowej. Lile des Violettes nie była dla takich ludzi. Nie, jej przeznaczeniem było gościć śmietankę - tych na tyle sławnych i bogatych, by znaleźć się poza wszelkimi podejrzeniami i gwarantować przestrzeganie zasady absolutnej dyskrecji. Tych, którzy oczekiwali luksusu, jakiego nie mógł dać im żaden inny hotel na świecie. Właściciele światowych koncernów i funduszy inwestycyjnych, rosyjskich oligarchów, wartych miliony producentów z Hollywood. W Luksusie pokoju się nie rezerwowało - o pokój składało się wnioski, a potem należało poczekać na jego rozpatrzenie. Nie wymagano jednak zaliczki, nie trzeba też było rezerwować lotu, by się tam znaleźć. Jeśli wniosek został rozpatrzony pozytywnie, pozostawało już tylko poczekać na informację o miejscu i czasie, gdzie przyszłego gościa będzie oczekiwała limuzyna, która zawiezie go na prywatne lotnisko. Stamtąd gość uda się na wyspę hotelowym odrzutowcem. Wybierając się do Luksusu, człowiek nie wyjeżdżał po prostu na wakacje, nie, to była raczej ucieczka do własnej wersji świata zbytku.

Logan wiedział, że bogaci i sławni lubią folgować swoim kaprysom i pozwalają sobie na wiele, by zaspokoić każdą swoją zachciankę. Z jego wieloletniego doświadczenia w branży hotelarskiej wynikało, że najbardziej bezwstydni złodzieje kryształowych popielniczek, szlafroków łazienkowych i zawartości minibarów wywodzą się zwykle z finansowej śmietanki. Kiedyś musiał uzupełnić wyposażenie apartamentu, zajmowanego wcześniej przez sławną gwiazdę muzyki pop, co kosztowało go pięćdziesiąt tysięcy dolarów, i wydać kolejną znaczną sumę na renowację antycznych jedwabnych dywanów, które zniszczył jej pies. Wymyślanie sposobów na zaskakiwanie i zachwywanie gości było najzabawniejszą częścią tej pracy. Logan wiedział jednak także, że ludzie ci najbardziej cenią możliwość oderwania się od świata i poczucie bezpieczeństwa wypływające ze świadomości, iż wścibscy dziennikarze i fotoreporterzy nie mają do nich dostępu. Ważna jest dla nich pewność, że nikt nie będzie ich nagabywał, prosił o autograf ani nachalnie się im przyglądał w restauracji; że nikt desperacko nie zapragnie się dowiedzieć, od czego zaczyna dzień Bill Gates,

Madonna albo Janet Jackson. Klientela Luksusu nie potrzebowała kolejnego komfortowego hotelu - potrzebowała właśnie tego komfortowego hotelu, to znaczy takiego, który gwarantuje absolutne odcięcie od świata. Plaże, kilometry białego, drobnego piasku, który co rano starannie grabiono, wyglądały doskonale naturalnie, ale w rzeczywistości zostały stworzone ręką człowieka. Pod nimi biegł wąski korytarz, którym poprowadzono kable, umożliwiające stały dostęp do Internetu, a także stacje iPodów. Pod tonami piasku ukryto też najnowocześniejszy system chłodzenia - miał chronić gości przed przegrzaniem czy poparzeniem ich starannie wypielegnowanych stóp. Co dwadzieścia metrów znajdowały się zagłębienia na rozpalane wieczorami ogniska, które tworzyły na niebie czerwono-pomarańczową lunę. Goście, niczym rozbitkowie na bezludnej wyspie, mogli jeść na plaży kolacje przyrządzone na różnie przez prywatnego kucharza.

Na ekranie pojawiło się zbliżenie czarno-kremowego wzoru na jedwabiu, którym obito ściany jednego z mniejszych „salonów” w hotelu, a po nim twarz uśmiechniętej, bardzo amerykańskiej dziewczyny o wargach pociągniętych czerwoną szminką, ubranej w pasiasty strój sprzedawczyni papierosów w stylu retro - tak ubrane dziewczęta miały podawać popcorn i małe buteleczki szampana w prywatnych samolotach przewożących gości na lotnisko znajdujące się najbliżej wyspy. Później pokazano inne atrakcje hotelu: małą łódź podwodną, świetnie wyposażony motocykl Harley Davidson dla spragnionych przygód, na którym można było objechać wyspę, i kilka małych, eleganckich samochodów dla tych, którzy woleli przemieszczać się w spokojniejszy sposób. I kolejne obrazy: obity fioletowym aksamitem szezlong na balkonie jednego z pokoi, delikatna jak mgła firanka z białego lnu, opadająca miękko wokół okna; garderoba z całym zestawem kaszmirowych swetrów we wszystkich kolorach tęczy na cedrowych półkach. Mały jasnobrązowy psiak spoglądał pytająco w kamerę z przekrzywionym łebkiem: tutaj ci, którzy dotychczas musieli rozstawać się ze swoimi pupilami na czas wyprawy z uwagi na restrykcyjne zasady dotyczące zwierząt, mogli przyjechać wraz z nimi. Na jednych

i drugich czekało tu mnóstwo niespodzianek. Dla psów przygotowano na przykład wysadzone szlachetnymi kamieniami obroże i przeznaczone specjalnie dla nich kanapy.

Po pozytywnym rozpatrzeniu wniosku goście musieli podpisać umowę, opracowaną przez Johnny'ego, w której wyszczególniono warunki pobytu w Luksusie. Absolutna dyskrecja, absolutna prywatność. Żadnych kamer, aparatów fotograficznych, żadnych plotek w prasie brukowej. Każdy z gości miał swoje akta z danymi osobowymi, uwzględniono też w nich jego upodobania. W Luksusie klient nie musi nikomu wyjaśniać, jaką lubi pić kawę. Film dobiegł końca i na ekranie znowu pojawiło się biało-czarne logo firmy. Logan wiedział, że jest to ambitny projekt. Wiedział, co mówili jego przeciwnicy - że tego nie da się zrobić, że nikt nie będzie miał ochoty spełniać warunków aroganckiego Logana Barnes'a. Nie dbał o to. Takie głosy odzywały się wokół niego od zawsze. Z pewnością teraz nie miał zamiaru zacząć ich słuchać.

To było jego dzieło, jego *magnum opus*.

Kiedy film się skończył, Logan stanął na tle ekranu i odwrócił się do swoich najbardziej zaufanych pracowników, grupy mężczyzn i kobiet, którzy stanowili trzon jego firmy i byli też jego najlepszymi przyjaciółmi. Mogli być zarządem, ale Luksus był ukochanym dzieckiem Logana. Johnny'ego też, rzecz jasna. Ale to Logan stanowił siłę napędową tego projektu, to on o wszystkim decydował. Teraz czekał na ich reakcję.

Wstali wszyscy i zaczęli klaskać. Johnny i Mark podeszli do niego, objęli go i poklepywali po plecach; Kirsten i Rachel ucałowały go serdecznie. Kirsten zostawiła na jego policzku ślad śliwkowej szminki.

- To fantastyczne, Logan, po prostu fantastyczne.
- Gratulacje, stary. Odwaliłeś kawał dobrej roboty.
- Udało ci się. Naprawdę tego dokonałeś!

Logan odetchnął z ulgą. Liczył się z ich zdaniem; szanował wszystkich, którzy byli tu z nim teraz, i wzięłyby pod uwagę każdą ich uwagę krytyczną. Ale im się podobało. Naprawdę. A jednak coś go dręczyło... Szybko odepchnął od siebie tę myśl. Nagle poczuł

się strasznie zmęczony. Spojrzał na zegarek. Spróbuje się jeszcze trochę zdrzemnąć, zanim wylądują w Londynie.

- W porządku. Jutro pójdzie oświadczenie dla prasy. Zawiera opis hotelu i procedur związanych z naszym unikalnym systemem rezerwacji, a także adres strony internetowej i kontakt. Jest tam również informacja o planowanym wielkim otwarciu, jednak bez żadnych szczegółów. Chcemy, żeby wszyscy poznali je w tym samym czasie, więc pamiętajcie, że ciągle obowiązuje nas całkowita dyskrecja. Wiem, że nie muszę wam o tym przypominać, ale mam nadzieję, że mi to wybaczycie.

Uśmiechnął się do swojej drużyny. Boże, był taki podekscytowany. O to właśnie w tym wszystkim chodziło, dlatego to wszystko robił. Dla adrenaliny, która buzowała w jego krwi, kiedy myślał

0 bliskim sukcesie.

- Pojutrze zaczniemy zbierać pierwsze wnioski. Pracownicy działu rezerwacji są już gotowi udzielać informacji i przyjmować zgłoszenia. Jestem pewny, że będą to robili bardzo efektywnie. A teraz wracajmy do kwestii otwarcia. Jak wiecie, planujemy wydarzenie zakrojone na wielką skalę. Oczekujemy dużego zainteresowania prasy, która chciałaby się tam dostać. Dotyczy to zresztą także różnych stałych bywalców takich imprez, gwiazd reality show i innych celebrytów.

Wokół stołu rozległy się śmiechy. Przyjęcia wydawane przez Logana Barnes'a były niezwykle eleganckie, zaskakujące i trochę nieprzewidywalne - zawsze też bardzo trudno było dostać na nie zaproszenie.

- Lista gości nie może zostać rozszerzona. Będzie mnóstwo ludzi, wielu naprawdę znanych nie dostanie zaproszenia. Wiem, że to trochę ryzykowne, zrażać do siebie tych, którzy zwykle mogą dostać się wszędzie, gdzie tylko zechcą. Ale sądzimy, że to sprawi, iż jeszcze bardziej będą tego pragnęli. No i oczywiście każdy prawdziwy VIP, który nie dostanie zaproszenia, będzie pierwszy na liście, kiedy zacznie się rezerwacja. Nie chcemy ich wyłączyć, chcemy tylko, żeby trochę zapracowali na to, czego pożądamy. Jestem pewny, że to przyjęcie będzie najwspanialszym ze wszystkich, jakie dotąd wydaliśmy. Sam nie mogę się go już doczekać i mam nadzieję, że wy także.

Spojrzał na Rachel.

- Przedstawię pokrótce system, dzięki któremu wydarzenie to będzie tak wyjątkowe - powiedziała. - Jutro zostaną rozesłane zaproszenia. Dostarczą je kurierzy do rąk własnych adresatom, którzy będą mieli dwadzieścia cztery godziny na odpowiedź. Ten, kto nie odpowie na zaproszenie w wyznaczonym czasie i nie potwierdzi swojej obecności, nie otrzyma drugiej części zaproszenia, w której podane zostaną szczegóły. Nie będzie żadnej listy rezerwowej, żadnych zmian w ostatniej chwili. Nikt, kto nie został osobiście zaproszony albo nie odpowiedział w wyznaczonym czasie, nie będzie miał prawa się tam znaleźć.

Mark Mallory wysunął lekko podbródek.

- Mark?

- Czy to rozsądne? Dziennikarze i celebry ci są przyzwyczajeni do tego, że dostają to, czego chcą. Mogą się bardzo...

- uśmiechnął się cierpko - rozkrzyzczyć, jeśli poczują się zlekceważeni. Na pewno będą osoby, które z różnych względów nie zdołają odpowiedzieć na zaproszenie w wyznaczonym terminie.

- Masz rację. I właśnie o to chodzi. Jak już mówiłem, chcę, by ludzie zdali sobie sprawę, że nie każdy dostanie się na to przyjęcie, tak jak nie każdy dostanie się potem do hotelu. Niektórzy będą rozczarowani, to nieuniknione. Ale w ten sposób od samego początku ustalimy standardy i zapracujemy na wiarygodność. Luksus to miejsce ekskluzywne. Dyskretne. Nie dla każdego. Lecz kiedy już się tam dostaniesz, stajesz się członkiem elitarnego klubu. I chronimy wtedy twoją prywatność. Tak czy inaczej, ci, którym się to nie uda, będą tym bardziej zaintrygowani. A skoro już o tym mowa, Steve, chciałbym omówić z tobą kwestie bezpieczeństwa i ochrony. Możesz przesłać Rachel raport, żebym go przejrzał?

- Oczywiście, proszę pana. - Steve Bigby siedział w kącie kabiny, nieruchomo i milcząc, dopóki ktoś się do niego nie odezwał. Był szefem ochrony; szczupły mężczyzna o jednej z tych twarzy, których nie sposób sobie z czasem przypomnieć. Wcześniej pracował w kasynie i kilku innych lokalach Las Vegas. Znał wszystkie triki. Umiał znaleźć się w każdej sytuacji i przystosować do niej. Wszędzie potrafił wślizgnąć się, niezauważony, i wszystko

widział. Nic nie uchodziło jego uwagi. Logan miał do niego całkowite zaufanie.

- Pani Barnes zaaprobowała menu zarówno na przyjęcie, jak i kolejne imprezy. Mam tu też prezentację florystów. - Rachel podała laptop Loganowi, który usiadł przy stole i obejrzał przesuwające się przez monitor zdjęcia płytkich stawów, na których pływały zapalone świece i orchidee w najbledszym odcieniu różu. Woda lśniła w świetle świec jak klejnot, z drzew oliwnych rosnących nad stawami zwieszały się zapalone lampki.

- Doskonale. Menu także mi prześlij. - Zauważył zdziwienie na twarzy asystentki, zanim wstała od stołu.

Dziwne, pomyślała. Zwykle to Maryanne była całkowicie odpowiedzialna za kwestie związane z jedzeniem i wystrojem miejsc, w których odbywały się przyjęcia zarówno prywatne, jak i biznesowe. Zawsze się tym zajmowała. Często mawiano, że przyczyniła się do sukcesu, który odniósł Logan, przynajmniej w takim stopniu jak Johnny Stokes. Rachel w to nie wierzyła, ale starała się do niej nie uprzedzać - w końcu nie znała jej dawniej. Może była to prawda. Ale jeśli tak, jak bardzo Maryanne musiała się od tego czasu zmienić...

- To coś nowego. Coś, czego nikt wcześniej nie zrobił. Będzie wspaniale. - Logan był podekscytowany, jego odwieczne marzenie wkrótce miało się spełnić. Podniósł się lekko na palcach. Czuł, jak przepelnia go energia. - A jeśli kilku snobów będzie się rzucało, bo tym razem darmowy szampan i kanapki z kawiozem przeszły im koło nosa...

- Cóż, powinni byli odpowiedzieć na czas, czyż nie? - przerwał mu głęboki męski głos. Johnny Stokes rozejrzał się dookoła. Miał swobodny, czarujący uśmiech, ale pod nim kryła się żelazna wola, tak jak pod luźnym, sportowym strojem - mięśnie ze stali, wyrobione przez lata treningów. Johnny uwielbiał biegać, skakać, wiosłować, uprawiać surfing - lubił każdy niemal rodzaj aktywności fizycznej. Im bardziej była niebezpieczna, tym lepiej. Spojrzał Markowi w oczy, jakby rzucał mu wyzwanie.

Mark po chwili kiwnął krótko głową i odwrócił wzrok.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Logan oznajmił, że chce trochę odpocząć.

- Aha, Kirsten, mogę jeszcze zamienić z tobą słówko?

- Oczywiście. Mam kilka dokumentów, na które powinienesz rzucić okiem.

Logan poszedł do swojej sypialni w tyle kadłuba samolotu. Kirsten ruszyła za nim. Jak zwykle ubrana była jednocześnie elegancko i ekstrawagancko - dziś miała na sobie kostium w kolorze grafitu, z mocno dopasowanym w talii żakiecikiem i szeroko rozkloszowaną, asymetryczną spódnicą. W sypialni Logan zdjął krawat.

- Zebrałam kilka pomysłów na rozmowy z ludźmi, którym mógłbyś udzielić wywiadów na temat otwarcia - zaczęła Kirsten. - Nie jest ich wielu, to tylko parę naprawdę znaczących gazet i dziennikarzy z mniejszych periodyków, ale trafiających do konkretnych grup.

Logan otworzył teczkę i przejrzał listę. Miała rację, znalazło się tam kilka nazw magazynów i stron internetowych, którym nigdy dotąd nie udzielał wywiadów. Ale ufał jej ocenie, Kirsten miała doskonale wycucie trendów i PR.

- Są tu też pomysły na to, jak pracować nad twoim prywatnym wizerunkiem.

Logan podniósł wzrok i zauważył wyraz jej twarzy.

- Nie ma powodu, żebyś czuła się zakłopotana, Kirsten. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jakie problemy może stwarzać moja rodzina. Dziękuję.

Kirsten kiwnęła głową.

- A więc - ciągnął Logan - chodzi o to, czy nie popełniam błędu, ustalając takie zasady dotyczące otwarcia? Jeszcze nie jest za późno, żeby to zmienić. Wiesz, jak cenię twoje zdanie.

Kirsten pokręciła głową.

- Nie, nie sądzę. Rozumujesz logicznie. Ludzie będą o tym mówić więcej, jeśli pójdziemy pod prąd... nawet ci, którzy nie dostaną zaproszenia. To ryzykowne, owszem, ale uważam, że wyjdzie nam na dobre.

- To lubię - uśmiechnął się.

Jego głos brzmiał tak pewnie jak zawsze, ale Kirsten coś dostrzegła: znużenie? Może po prostu był przemęczony.

Logan się niepokoił. Ta śliczna wyspa - jego mały raj - miała zostać otwarta dla świata. Czy podjął słuszną decyzję? Czy świat zachwyci się L'île des Violettes tak jak on? No, tak nie zachwyci się nikt... ale czy inni zauważą przynajmniej jej piękno?

- Myślisz, że to dobra decyzja, Kirsten? - zapytał powoli.

- Chodzi o przyjęcie? Tak, mówiłam ci już, że...

- Nie chodzi tylko o przyjęcie. Chodzi o wszystko. Hotel, wyspę... czy to dobre decyzje?

Młoda kobieta stanęła przed nim i spojrzała mu w oczy. Po raz pierwszy w ciągu siedmiu lat zobaczyła w nich niepewność. Logan się bał. Zaskoczyło ją to. Ta wyspa musiała dla niego naprawdę wiele znaczyć.

- To nie jest tylko jeszcze jeden hotel, prawda?

- Nie, tym razem to nie jest kolejny hotel. - Wyglądał tak, jakby ulżyło mu, że ktoś inny to rozumiał. - To jest... nie potrafię tego wytłumaczyć. Eile des Violettes to najpiękniejsze miejsce na ziemi, a ja otwieram je przed światem. A co, jeśli światu się nie spodoba? Powiedz mi szczerze, Kirsten: czy to, co robię, zniszczy tę wyspę? Czy ta wyspa zniszczy mnie?

Kirsten wzięła głęboki oddech.

- Szczerze? Nie mam pojęcia. Nikt nie odpowie na to pytanie. Ten projekt... Cóż, kiedy po raz pierwszy mi o tym powiedziałeś... kiedy powiedziałeś o tym zarządowi, wszyscy uznaliśmy, że oszalałeś. Składanie wniosków, żeby dostać się na wyspę? Hotel, którego nie wolno reklamować, o którym dziennikarzom nie wolno pisać, który daje swoim klientom wszystko, czego zapragną, i kiedy tylko zapragną? Nikt nie przypuszczał, że zajdziesz tak daleko. A jednak dokonałeś tego.

- Ale jakim kosztem? - mruknął Logan. - Jakim kosztem? Nie zwracaj na mnie uwagi. - Otrząsnął się. - Coś mnie dzisiaj opętało. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Każdy może się od czasu do czasu poczuć niepewnie.

Logan uśmiechnął się lekko.

- Nie ja.

- Nawet ty. Nawet doskonały Logan Barnes.

Urwała. Cholera. Logan milczał przez chwilę, puścił to mimo uszu, i była mu za to wdzięczna.

- Tak czy inaczej - ciągnęła - wszystko będzie dobrze. Nazywasz się Logan Barnes, pamiętasz? Zawsze wszystko ci się udaje.

- Kiedyś mi się nie udało.

- To było kiedyś. A teraz jest teraz. Teraz zastosowałeś inne rozwiązania finansowe, poza tym jesteś starszy... mądrzejszy... -Wzruszyła ramionami.

- To prawda. - Ciągle jednak patrzył na nią niepewnie.

- Hej, no i wtedy nie miałeś mnie - zażartowała, chcąc mu poprawić nastrój. - Sądzę, że właśnie o to chodziło, rozumiesz.

- Punkt dla ciebie - roześmiał się. - Dziękuję, Kirsten.

- Drobiazg. Ja wierzę w Luksus, Logan. To już fakt... fakt, który zaistniał dzięki tobie. Będzie wspaniale.

- To hazard.

- Tak myślisz? W takim razie ja myślę, że to jest to, co w hazardzie nazywają „pewniakiem”.

Rozdział 2

„Logan Barnes, amerykański hotelarz i gwiazda niezwykle popularnego reality show *General Manager* i jego słynąca z urody i elegancji żona Maryanne, którzy zaledwie cztery miesiące temu zamieszkali na stałe w Londynie, wzięli miasto szturmem. Zaproszenia na wydane przez nich letnie *garden party* należały do najbardziej pożądanych w sezonie”.

„Tatler”

„Gwiazda towarzyskiej śmietanki i żona znanego milionera, Maryanne Barnes, była w doskonałej formie na wczorajszym przyjęciu wydanym z okazji otwarcia restauracji Carousel w Mayfair. Towarzyszył jej syn Charlie, muzyk, którym podobno interesuje się kilka znanych wytwórni. Maryanne żartowała, że w zastępstwie

swojego męża bada konkurencję, a następnie udała się na prywatne spotkanie przy kolacji".

„OK! Magazine"

„Czy pewna przesadnie uprzywilejowana «celebrytka», która niedawno wróciła do Londynu i bardzo się stara, by nikt tego faktu nie przeoczył, nie przesadza trochę z pigułkami szczęścia? Wiemy z naszych źródeł, że lekarz z trudem nadała ze spełnianiem jej żądań, z takim entuzjazmem połyka wszystkie przepisane przez niego specyfiki..."

www.tittle-tattler.com

„Maryanne Barnes, żona hotelowego magnata i matka muzyka rockowego, Charliego, i rozchwytywanej modelki znanej agencji, Lucii, wydała wystawny bal, którego celem było zebranie pieniędzy na nowe skrzydło Royal Ballet School. Dzięki niej w świat londyńskiej sztuki wdarło się trochę amerykańskiego blichtru a la Manhattan - pani Barnes zaczęła od kameralnego przyjęcia w domu przy Eaton Square, gdzie mieszka jej rodzina, a następnie uroczyste rozpoczęła kolację i bal na trzysta osób w pobliskim hotelu Chesham, należącym do koncernu LBI. Maryanne, której elegancja i styl zapewniają już od ponad piętnastu lat miejsce na czele listy najlepiej ubranych kobiet, miała na sobie długą do ziemi suknię z czarnego jedwabiu, bez ramiączek, z koronkowymi wstawkami i krótkim trenem oraz szpilki marki Louboutin. Stroju dopełniał naszyjnik z rzadkich różowych brylantów. Niedługo poznamy zapewne więcej szczegółów dotyczących balu, gdyż został on sfilmowany w ramach drugiej edycji reality show *General Manager*".

„Hello! Magazine"

Maryanne Barnes leżała płasko na obitym jedwabiem szezlongu w swojej garderobie, z głową zwisającą nieco w dół w taki sposób, by krew spłynęła do twarzy i nadała jej różaną świeżość. Stopy miała uniesione lekko w górę, by zmniejszyć opuchliznę kostek, a oczy zakryte maseczką nasączoną aromaterapeutycznym olejkiem za-

wierającym ekstrakt z kwiatów, które rosną wyłącznie w Nepalu. Olejek ten, według zapewnień producenta, „naturalnie relaksuje, ożywia i przywraca spokój oraz dobre samopoczucie”. Maryanne skupiła się na ćwiczeniach oddechowych, które zalecił jej instruktor jogi, próbując nadać ciału miękkość śniegu i płynność wody. Wciągając powietrze przez doskonale kształtne nozdrza - subtelnie poprawione przez doktora Langhorna z Harley Street, starała się sprawić, by jej oddech stał się częścią energii wiatru, ale od tego tylko zachciało jej się siusiać.

Westchnęła, zdjęła maseczkę z oczu, wyjęła spod poduszki fiolkę z tabletkami, i połknęła jedną, popijając ją łykiem sancer-re, po czym podeszła do toaletki z weneckim lustrem. Pochyliła się, otworzyła małą lodówkę o szklanych drzwiczkach wbudowaną w bok stolika i ponownie napełniła kieliszek. Potem zwinęła włosy w luźny kok na czubku głowy, spięła go klamrą, wyprostowała się i uważnie przyjrzała swojemu odbiciu w lustrze. Nadal była piękna, a delikatny jedwab tuniki w kolorze kawy z mlekiem wspaniale podkreślał odcień jej skóry. Oczy zawsze najbardziej przyciągały uwagę w jej twarzy, wiedziała jednak, że nie może pozwolić, by w ich kącikach pojawiły się kurze łapki. Podniosła głowę. Czy linia podbródka nie zatraciła swojej czystości? Cholera. Wpatrzyła się w lustro. Hm, może jest jakby odrobinę zamglona. Zresztą wszystko ostatnio jest odrobinę zamglone. Cóż, zamglenie to dobra rzecz, we mgle wszystko wygląda miękko. Żadnych ostrych kantów.

Ale nawet wytwarzana przez wino i pigułki mgła nie mogła ukryć pogłębiających się stale linii, które biegły od nozdrzy do kącików ust. Zaczęła się starzeć. Może powinna przyspieszyć trochę kolejny zabieg w klinice Restylane? Przyłożyła dłonie do policzków i delikatnie nadciągnęła skórę do tyłu, wygładzając linie; pogłębiała je dodatkowo pozycja, w jakiej Maryanne spała, skulona, z twarzą wciśniętą w poduszki. Sypiała w ten sposób od dziecka i choć bardzo starała się od tego odzwyczaić, nie udawało jej się. Czytała niedawno o nowym rodzaju liftingu - podobno dawał bardziej subtelny efekt. Powinna się tym zainteresować. No, ale lifting twarzy to jedno, a liftingu dłoni nikt dotąd nie wymyślił. Kiedy jej dłonie stały się dłońmi starej kobiety?

Zdjęcia w podwójnej ramce stojące na toalecie ukazywały Maryanne tuż przed trzydziestką i jej córkę Lucię. Maryanne miała na sobie obcisłą, krótką sukienkę od Alaia i tańczyła w ramionach Logana, z rozwianymi włosami, z głową odrzuconą w tył i szeroko otwartymi, śmiejącymi się ustami o bardzo czerwonych wargach. Lucia, na drugim zdjęciu, była ubrana w tę samą sukienkę - wykopała ją z czeluści jednej z licznych szaf Maryanne i włożyła na jakąś premierę filmową, a do tego wysokie botki i kurtkę w cętki leopar-da. Stała na czerwonym dywanie tuż przed wejściem do kina i wydymała usta, pozując fotoreporterom. Obie wyglądały tak młodo.

Maryanne znów naląła sobie wina. Tak, zdecydowanie przyspieszy zabieg.

Wszystko to stało się tak szybko, że nawet tego nie zauważyła. Nie zauważyła, jak minęła połowa jej życia. Wzięła głęboki oddech. Nie, nie, nie. Żadnego uzalania się nad sobą. Nie dzisiaj, Maryanne. Jak sobie pościelesz... czy nie tak mówi przysłowie? A ty sypiasz w obleczonej w jedwab pościeli z gęsiego puchu... No, dalej, rusz się wreszcie i włącz w bieg tego dnia.

Bizuteria! Tak, to poprawi jej nastrój. Błyskotki, kosztowności. Wysunęła szufladę i spojrzała na leżące w niej klejnoty. Perły? Hm, nie. Cassie, z którą Maryanne miała się tego dnia spotkać, zawsze potrafiła ją przebić, jeśli chodzi o biżuterię. Kompletne bezguście. Zupełnie jakby zawieszała na sobie zawsze wszystko, co posiadała, jak na bożonarodzeniowej choince, a potem wygłaszała ironiczne uwagi na temat „subtelnego” wyglądu przyjaciółki. No, dzisiaj to Maryanne jej pokaże. Zaczęła wyciągać kosztowności z szuflady i przykładać je do twarzy. Błysk, błysk. Dwie godziny później Maryanne Barnes skończyła toaletę i zaczęła przekopywać się przez zasoby specjalnego, klimatyzowanego pomieszczenia, w którym przechowywała buty, zdejmując z półek kolejne pudełka z perspeksu. Pokojówka Clara krzywiła się lekko przy każdej parze, wyciągniętej ze swojego, ściśle określonego miejsca, która lądowała z trzaskiem na starannie wypolerowanym parkiecie. Czółenka z perłowej satyny, wysadzane kryształami szpilki od Jimmy'ego Choo, szkarłatne skórzane botki, ręcznie robione kowbojki spadały na podłogę, podczas gdy Maryanne stała

na stołku i szukała tej jednej, jedynej pary, którą postanowiła dzisiaj włożyć. Gdzie one są? Musi je znaleźć, bo w przeciwnym razie wszystko straci sens, będzie mogła równie dobrze odwołać spotkanie i wracać do łóżka. Oprócz biżuterii Cassie Malone zawsze nosiła świetne buty. Wiele metrów plotkarskich artykułów poświęcono tym jej cholernym butom. Cassie i Maryanne łączył ten niełatwy rodzaj przyjaźni, jaka istnieje między kobietami, które próbują się nawzajem zakasować. Maryanne by sobie nie darowała, gdyby nie zaprezentowała Cassie swojego idealnego wizerunku. Zachwiała się lekko na stołku.

- Ostrożnie, pani Barnes, proszę...

- Och, na litość boską, nic mi nie jest! Po prostu szukam tych pastelowych czólenek od Blahnika.

Bum. Kolejna para butów poleciała na podłogę. Carla ugryzła się w język i schyliła się, żeby je podnieść, a Maryanne popchnęła stołek kawałek dalej.

- A niech to! - krzyknęła, sfrustrowana.

- Pani Barnes, naprawdę myślę, że zostawiła je pani w Nowym Jorku. Była w nich pani na przyjęciu dla pani Elisabeth, pamięta pani?

Maryanne odwróciła się powoli i spojrzała na Carlę zimno.

- Nie pleć bzdur. Na tym przyjęciu byłam w...

Och, do diabła. Rzeczywiście była na nim w tych pastelowych czólenkach. Teraz sobie przypomniała, bo Elisabeth de Mouton zwróciła na nie uwagę, wspominając, że przed ciążą miała znacznie węższe stopy. Tak czy inaczej, Maryanne nie zamierzała pozwolić, by pokojówka miała ostatnie słowo.

- Byłam tam w klapkach w groszki; Elisabeth bardzo się podobały. - Spojrzała na Clarę wyzywająco.

Ale młoda kobieta, która dobrze wiedziała, kto jej płaci i daje swoje używane dzinsy od światowej klasy projektantów, po prostu zaczęła zbierać buty z podłogi.

- Oczywiście, teraz sobie przypominam - powiedziała obojętnie. - Zupełnie o tym zapomniałam, przepraszam.

Wybrać dla pani jakiś nowy strój?

- Nie. Wszystko diabli wzięli. Kupię coś w drodze na lunch.

Trzy kwadransy później Maryanne niecierpliwym ruchem dłoni odrzuciła kolejny strój zaproponowany jej w przestronnej, prywatnej przebieralni u Harveya Nicholasa. Ogromne okulary od Chanel nie mogły ukryć wyrazu dezaprobaty na jej twarzy, kiedy rozmawiała przez telefon komórkowy.

Nie, nie, nie! Jej palce stukały nerwowo. Przerwała rozmowę z gardłowym prychnięciem, które miało dać obsłudze sklepu do zrozumienia, jak bardzo jest już zirytowana.

- Powiedziałam, że potrzebuję czegoś na lunch z przyjaciółką. Skąd przyszło pani do głowy, że to będzie stosowne na taką okazję? - Ruchem dłoni odrzuciła czarną, warstwową sukienkę, którą pokazywała jej ekspedientka. - Muszę kończyć, kochana, ta panienska tutaj nie potrafi zrozumieć najprostszego polecenia. Pa, pa.

Odwróciła się do dziewczyny, która stała przed nią zakłopotana.

- No i co? - spytała Maryanne, unosząc brwi.

- McQueen, pani Barnes? Dzisiaj przyszła nowa kolekcja. Maryanne wzruszyła ramionami i zainteresowała się magazynem.

Jej osobista ekspedientka wiedziała, że na więcej aprobaty nie może liczyć, i pobiegła przynieść coś, co mogło w końcu zaspokoić kaprys klientki. Maryanne naląła sobie kolejny kieliszek veuve cliquot i zaczęła przerzucać kartki „Vogue'a”. Kiedy dotarła do stron poświęconych życiu towarzyskiemu, uwagę jej zwróciło zdjęcie z jakiegoś spotkania autorskiego, na którym promowano nową książkę. Zainspirowała ją ta fotografia. Kwiaty na przyjęcie - czyż Logan nie mówił, że chce, by to ona podjęła decyzję? Zasugerował to, kiedy jadła z nim kolację w Nowym Jorku w ubiegłym tygodniu. Cóż, to był doskonały pomysł. Lepiej od razu mu o tym powie. Znowu wzięła do ręki komórkę.

- Rachel, połącz mnie z Loganem. Więc go zbudź. Nie, nie budź go... Połącz mnie z... Och, na litość boską! Z Johnnym. Ta dziewczyna jest niemożliwa, wiesz? Tak czy inaczej...

Ekspedientka podeszła do niej, tym razem z sukienką z jasnego jedwabiu w kolorze gołębiej szarości i żakietem o jeden odcień ciemniejszym. Maryanne uniosła jedną brew i lekko skinęła głową.

- Posłuchaj, zmieniłam zdanie co do kwiatów. Myślę, że wszystkie powinny być w jednym kolorze. - W tle słyszała odgłosy Nowego Jorku dobiegające z odległości tysięcy kilometrów. Klak-

sony samochodów, muzyka, kiedy Johnny przechodził obok kogoś, kto grał na gitarze.

- Jestem prawie pewny, że wybór kwiatów został już zatwierdzony, Maryanne. Ale wiesz, że ja nie jestem w tym najlepiej zorientowany.

To nie moja działka, to chciał powiedzieć.

- Wiem, ale nie mogę się skontaktować z Loganem. Ty pewnie wcześniej będziesz z nim rozmawiał, więc przekaż mu, że wszystkie powinny być różowe. Albo czerwone. Nie, różowe. W mocnym, ciemnym odcieniu różu. Elton zrobił coś takiego z okazji ostatnich urodzin Davida... efekt będzie piorunujący.

- Spróbuję zapamiętać.

Ale Maryanne odłożyła już słuchawkę i wzięła sukienkę z rąk ekspedientki.

- Cudowna. A teraz jeszcze buty. Najlepiej coś od Louboutina. Tylko szybko. Szybko!

Po kolejnych czterdziestu pięciu minutach czarny mercedes zatrzymał się przed restauracją Scotfs przy Mount Street w Mayfair. Portier natychmiast wybiegł i otworzył drzwiczki. Maryanne łyknęła kolejną pigułkę z fiolki schowanej w torebce i włożyła wielkie okulary przeciwsłoneczne w czarnej oprawce. Świat nagle pociemniał. Nie miała już ochoty na ten lunch. Równowaga - tego teraz potrzebowała. Wszystko będzie dobrze. Otworzyła butelkę wody mineralnej i upiła łyk, a potem popiła nią tabletkę C-codamolu. To powinno zwalczyć ból głowy i trochę poprawić jej nastrój.

- Proszę pani...

Wysiadła z samochodu, z wdziękiem przesuwając nogi na bok, by nie wejść do błotnistej kałuży na drodze, i spojrzała gniewnie na Henry'ego. Gdyby pobrudziła sukienkę, mogłaby ją od razu wyrzucić. Doprawdy - jedna kałuża na całej ulicy, a jemu udało się stanąć dokładnie przy niej. Czy wszyscy się dziś przeciw niej sprzysięgli?

- Maryanne, wyglądasz uroczo.

- Cassie! Po prostu nie umiem wyrazić - cmok - jak bardzo -cmok - cieszyłam się na to spotkanie!

Maryanne powiedziała to z nutą takiej szczerości w głosie, że niemal przekonała samą siebie. Szybko rozejrzała się po sali. Kilku aktorów ze swoimi agentami, znany z ekscesów syn jednego z członków rodziny królewskiej podrywający przy barze wschodzącą gwiazdkę filmową i trzech siedzących w rogu ludzi należących do elity mediów. Z całą pewnością była tu najlepiej ubraną kobietą i wszyscy dyskretnie odwrócili głowy w jej stronę, kiedy zajmowała miejsce przy stoliku. Dziennikarz z pewnego brukowca dostrzegł ją i zbiegł na dół do toalety, by ze swojego palmtopa wysłać e-maila do redakcji.

Przy Maryanne stanął kelner i nalał szampana do jej kieliszka z butelki umieszczonej w wiaderku z lodem.

- Nie mogłam się oprzeć, to bardzo brzydko z mojej strony, wiem - powiedziała Cassie, podnosząc swój kieliszek do góry. - Za dobrą zabawę.

- Za to chętnie się napiję - odparła Maryanne i uniosła swój. - Miałam naprawdę koszmarny dzień.

Dwie godziny później Cassie i Maryanne skończyły lunch -jedna jadła carpaccio z ośmiornicy, a druga homara w majonezie -obie porcje były wielkości przystawek, ale i tak każda uszczknęła tylko trochę.

Wypiły za to całego szampana i Maryanne piła właśnie trzeci kieliszek meursault. Cassie uniosła brew już przy drugim - Maryanne zauważyła to, zerkając na nią znad menu, ale nic nie powiedziała. Zresztą, do diabła z nią.

- Więc pomyślałam sobie, że przyjęcie z okazji jej czternastych urodzin powinno być naprawdę wyjątkowe, magiczne. Jesteś taka pomysłowa, zrobisz to dla mnie?

- Nie podejmuję się w tej chwili żadnych prywatnych projektów, Cassie. Po prostu nie mam na to czasu. Przy otwarciu tego nowego hotelu jest tyle roboty, że nie jestem w stanie zająć się niczym innym. Naprawdę niczym.

Maryanne okazjonalnie „organizowała” ad hoc przyjęcia dla przyjaciół i znajomych. Cassie wydeła lekko wargi i klasnęła w dłoń.

- Proszę. Bardzo ładnie proszę. Och, daj spokój, - zgódź się. Jeśli zorganizuje je ktoś inny, to po prostu nie będzie to samo, wiem o tym. Zgódź się albo zaraz się rozplączę.

Maryanne roześmiała się i podniosła ręce do góry. Prawdę mówiąc, lubiła, kiedy ktoś był jej winny przysługę.

- No dobrze! Zgadzam się. Spróbuję połączyć kilka pomysłów, żebyśmy miały od czego zacząć. Pomyślałam, że można by urządzić przyjęcie inspirowane *Snem nocy letniej* i *Kabaretem* jednocześnie. No, ale ja też chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła, kochana. Możesz poprosić Mikaela, żeby wypisał mi receptę? Kończą mi się tabletki. Cassie miała romans z lekarzem; czasami pomagał on Maryanne, kiedy zaczynała jej brakować leków, od których była coraz bardziej uzależniona. W zamian Maryanne załatwiała Cassie zaproszenia na najbardziej ekskluzywne imprezy, na które trudno byłoby jej się dostać - na przykład na przyjęcie u Eltona i Davida. Qui pro quo. Cassie i Maryanne były naprawdę dobrymi przyjaciółkami.

Samolot Logana przyleciał z Nowego Jorku o szóstej wieczorem. Logan przybył do londyńskiego domu swojej rodziny - dużej kamienicy w South Kensington - o siódmej. Wziął prysznic, przebrał się i pojechał na West End do swojego biura. Maryanne jeszcze spała; nie budził jej. Każde z nich miało swój własny apartament z osobną sypialnią, łazienką, garderobą i salonem, mogli więc spędzić cały dzień pod jednym dachem i ani razu się nie spotkać. Co dość często się zdarzało.

- Potrzebujemy trochę przestrzeni dla siebie - mówili, gdy zaczęli sypiać w oddzielnych pokojach. Kiedy to było? Logan nie mógł sobie teraz przypomnieć dokładnie, ale pewnie kilka lat temu.

- Wracam czasami tak późno - powiedział.

- Tak! A ja muszę długo spać, bo to najlepsze dla cery - odparła. Uśmiechnęli się do siebie, odwrócili i zaczęli zastanawiać, kiedy tak bardzo się od siebie oddalili. I co się stało z tym chłopakiem i dziewczyną, którzy sypiali wtuleni w siebie na pojedynczym, wąskim łóżku.

Maryanne przespała poranek, a popołudnie spędziła na przygotowaniach do przyjęcia. O trzeciej manikiur, o czwartej fryzjer.

o piątej florysta; po spotkaniu z nim poszła na górę wybrać strój i zrobić makijaż. Była dzisiaj zmęczona - naprawdę bardzo zmęczona. Ucięła sobie krótką drzemkę i wstała o szóstej, ale czuła się dziwnie rozbita i zagubiona. Przez chwilę leżała w łóżku, marząc o tym, by zostać w nim na zawsze. By nie musiała wstać, zejść na dół i być panią Barnes, żoną Logana. By nie musiała rozmawiać, zabawiać gości, śmiać się i uśmiechać... W końcu wzięła się w garść. Nalała sobie sporą porcję dżinu z tonikiem, a potem dolała jeszcze trochę dżinu. Sięgnęła do apteczki po prozac i środki przeciwbólowe - pethidine, vicodin, codeina? Raz, dwa, trzy... Pethidine. Jej ulubiony lek. Nie, żeby naprawdę miała swoich ulubieńców. Nie, wszystkie te różowe tabletki były fantastyczne. Weszła pod prysznic i przez chwilę stała w strumieniu ciepłej wody, podczas gdy w jej krwi powoli zaczynało krążyć to, co wcześniej połknęła. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Maryanne wsunęła głowę do jadalni. Ściany były obite ciemnym jedwabiem - to doskonałe tło dla fioletowego szkła. Świece w identycznych kandelabrach rzucały miękkie światło, odbijające się w wypolerowanych srebrach.

Kamerdyner skończył właśnie układać przy nakryciach pudełeczka zawierające prezenty dla gości, z których Maryanne była znana. Tego wieczoru każdy mężczyzna wróci do domu ze srebrnym nożykiem do otwierania listów w futerale ze skóry aligatora, a każda kobieta ze srebrnym etui na szminkę, z ekskluzywnego sklepu przy Bond Street. Maryanne miała aktualne katalogi znanych marek, takich jak: Asprey, Tiffany, Cartier and Smythson, i przed każdym ważnym przyjęciem, jakie wydawali, wybierała luksusowe drobiazgi dla gości, po czym wysyłała po nie Henry'ego.

Zamknęła drzwi i poszła do kuchni, upewnić się, że wszystko jest przygotowane. Idąc, wsunęła rękę do małej dyskretnej kieszonki wszytej w rąbek miękkiej dżersejowej sukienki i wymacała małą buteleczkę z pigułkami. Jeszcze jedna, zanim tam wejdzie. Jeszcze jedna, na szczęście.

- ...trzynastego wyjeżdżam na dwa tygodnie do Necker, z rodziną, przyda mi się przerwa, tak jest taaak spokojnie...
- ...niewiarygodna bezczelność, Caroline mówiła, że Beatrice nalegała...
- ...Jebb na pewno zerwie z tą dziewczyną, z którą się teraz spotyka, słyszałam też, że chce kupić dom Archiego Rathcomba w Irlandii. Rathcomb jednak nie chce o tym słyszeć...
- ...otworzył nową restaurację w Covent Garden, kompletna porażka... biedak pojechał na wyprawę do Kambodży, lizać rany...

Szum rozmów otaczał Maryanne ze wszystkich stron, nie potrafiła jednak skupić się na żadnym ze słyszanych zdań dość długo, by dać jakąś sensowną odpowiedź. Odwróciła się do mężczyzny po swojej lewej ręce, który patrzył na nią wyczekująco, ale jego twarz, dziwnie zamazana, rozpływała się w powietrzu, wywołując u niej zawroty głowy. Maryanne szybko spuściła wzrok i wbiła go w swój talerz. Próbowwała skupić się na oddechu, oddychać powoli i spokojnie, powoli i spokojnie, ale tylko dostała mdłości. Teraz słowa, które słyszała, całkiem straciły sens, zniekształcone, rozciągnięte, prawie niezrozumiałe. Docierały do niej tylko strzępy zdań.

- ...Paryż...
- ..nie mogę tego wytrzymać...
- ..nieprawdopodobnie piękna dziewczyna... Spróbowała wydobyć się z tej mgły i uśmiechnęła się w stronę, z której dobiegał głos.
- Dziękuję, to bardzo miło...

Talerz z ravioli z langusty zamigotał tuż przed nią, unoszący się znad niego zapach wywołał u niej nową falę mdłości.

Upiła łyk wina i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co powiedzieć. Mężczyzna po prawej jest bankierem, prawda? Na pewno, oni wszyscy wyglądają jak bankierzy.

- Rynki.
- Słucham?
- Rynki. Wschodzące. Co z nimi?

Goście umilkli i wszystko nagle znowu stało się ostre i wyraźne. Widziała twarze siedzących wokół stołu ludzi. Przyglądali się

jej. Dlaczego przestali rozmawiać? Mężczyzna obok niej patrzył na nią zakłopotany.

- O ile wiem, nadal, hm, nadal wschodzą. Kiwnęła głową. Mężczyzna był wyraźnie przerażony.

- Nie zajmuje się pan bankowością, prawda? - powiedziała. Spojrzał na nią życzliwie.

- Nie, historią. To znaczy, piszę powieści historyczne. Okres elżbietański, hiszpańska Armada i tak dalej. Obawiam się, że niewiele wiem o bankowości.

Zapadła straszna cisza. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Maryanne czuła na sobie ciężki wzrok Logana, który siedział po drugiej stronie stołu. Nie miała odwagi na niego spojrzeć. O Boże. Przecież była w tym dobra, miała talent, to była jej siła, jej praca. Kolacje, przyjęcia, lunche. Znała tych ludzi, zawsze wiedziała, co powiedzieć, o co zapytać. A teraz wszystko tak okropnie jej się pomieszało. Jeśli nie będzie mogła się tym zajmować, co będzie robiła? Policzki ją paliły, drżała na całym ciele. Czyjaś ręka musnęła nagle jej ramię; Maryanne drgnęła nerwowo i gwałtownie odsunęła krzesło do tyłu.

Rozległ się głośny trzask. Krzesło Maryanne uderzyło w Linny, tajsą pokojówkę, która chciała zebrać naczynia ze stołu. Piękny porcelanowy półmisek upadł na ziemię i rozbił się w drobny mak.

- Och! - Linny poczerwieniała, bliska płaczu. - Przepraszam, pani Barnes, to moja wina, jestem taka niezdarna, przepraszam... - Powstrzymując łzy, zaczęła zbierać skorupy z podłogi.

Maryanne wstała i patrzyła na nią przez sekundę, przerażona chaosem, który wywołała, a potem wybiegła z jadalni, mrużąc pod nosem, że musi przysłać Linny kamerdynera do pomocy.

- Była przez jakiś czas na antybiotykach z powodu infekcji płucnej i bardzo źle to zniosła. Dziękuję, że przyszliście... Dzięki, Jim... tak, będziemy w kontakcie... Joanie, dziękuję, przekażę to Maryanne, będzie wzruszona...

Maryanne, przycupnięta za zasłoną w połowie wysokości schodów, słuchała, jak Logan usprawiedliwia ją i żegna się z gośćmi. Filiżanka ziołowej herbaty, którą zaparzyła dla niej Linny, stała obok,

nietknięta. Co się z nią działo? Podniosła się z trudem i poszła do swojego gabinetu. Na orientalnym biurku leżała fiołka rolodeksu i kusila ją. To tu, w tym biurku, trzymała informacje o ludziach, z którymi ona i Logan utrzymywali stosunki. Prawie wszystko to знаła na pamięć. Zawody, liczba dzieci, upodobania. Czy wysłać pocztą kwiatową romantyczny bukiet róż i peonii, czy może nowoczesną kompozycję z egzotycznych roślin? Wiedziała, kto ma problemy ze starzejącą się matką, a komu nie wiedzie się w interesach. Była dumna z tego, że zna tyle szczegółów. Ludzie często to komentowali. Taka była. Tym się zajmowała.

Podeszła do biurka i przerzuciła papiery. Wypisane do połowy bileciki z podziękowaniami czekały, aż je dokończy i wsunie do eleganckich, wyłożonych od środka bibułą kopert. Jeszcze niedawno wypisywała takie kartki zaraz po powrocie z przyjęcia, jeszcze zanim zmyła makijaż. Teraz leżały tu kartki, które powinna była wysłać dwa tygodnie temu, i zaproszenia, na które nawet nie odpowiedziała.

„Maryanne ma zdumiewającą pamięć. Nie wiem, jak ona to robi, wszystko pamięta i nigdy nic się jej nie myli”. Ludziom schlebiała uwaga, jaką przykładła do najdrobniejszych szczegółów. To także z tego powodu o zaproszenia na przyjęcia wydawane przez Barnesów tak zabiegano. W ubiegłym roku „W Magazine” nazwał ją „pierwszą damą wśród pań domu”. Dziennikarz napisał, że Maryanne jest „wzorem żony biznesmena, która w sferze swoich działań odnosi sukcesy równie spektakularne, jak jej mąż. Jej towarzyskie manewry są równie przemyślane i skuteczne, jak kampanie wojskowe, różnica polega na tym, że ona zdobywa ludzkie serca i umysły”.

A teraz spójrzcie tylko na nią: posłana do łóżka wcześniej, jak niegrzeczne dziecko, bo nie potrafiła poradzić sobie z rozmową na kolacji wydanej we własnym domu. Opadła na szezlong i sięgnęła pod poduszkę po jedną z chowanych tam fiołek. Jaki sens miało teraz udawanie czegośkolwiek? Poniosła klęskę. Loganowi lepiej będzie bez niej. Będzie mógł się ponownie ożenić i na pewno to zrobi, pojmując za żonę kogoś bardziej odpowiedniego dla jego statusu.

Logan na pewno się rozgniewa, myślała, wysypując małe białe tabletki na dłoń. Dziesięć, jedenaście, dwanaście...

Nie znoś!

ludzi, którzy nad sobą nie panowali i nie umieli zachować zimnej krwi, wiedziała o tym. Ale wiedziała też, że nie mógł nienawidzić jej bardziej, niż ona sama siebie nienawidziła. Spojrzała na swoje pierścionki i rozplakała się. Tak pięknie błyszcząły w świetle: pierścionek zaręczynowy z dużym brylantem o rzadko spotykanej barwie bladego różu i dwoma mniejszymi białymi brylantami... Pamiętała wieczór, kiedy dostała go od Logana. Wieczór w Marmande. Ten wielki błyszczący brylant zastąpił tani pierścionek ze srebra, który wcześniej nosiła.

Zaszlochała i połknęła tabletkę. Oprócz pierścionka zaręczynowego nosiła tylko prostą platynową obrączkę ślubną, ale na palcach jej drugiej ręki było więcej klejnotów - składający się z trzech jednakowych diamentów pierścionek od Cartiera i jeszcze jeden z akwamaryną. Upiła kolejny łyk i połknęła kolejną tabletkę. Jej ręce były ciężkie od biżuterii, a serce od wstydu i smutku.

Logan stał na korytarzu pod drzwiami pokoju Maryanne, jak robił to już wiele razy, odkąd zachorowała i zaczęła się ta cała żałosna sprawa. Słyszał jej płacz, ale nie potrafił zdecydować, czy powinien do niej wejść, czy nie. Po raz pierwszy w życiu czuł się całkowicie bezradny.

Zdiagnozowanie u Maryanne depresji miało oznaczać początek czegoś nowego, w końcu teraz wiadomo było już, że istnieje realny problem - możliwy do rozwiązania. Logan zrobił to, co wychodziło mu zawsze najlepiej - próbował ten problem rozwiązać. Umawiał żonę na wizyty u najlepszych psychiatrów, wysyłał ją na weekendy w rozmaitych spa i na terapie do przeróżnych lekarzy i uzdrowicieli. Próbował wszystkiego, o czym czytał, w co nie wierzył i czego istnienia nawet nie podejrzewał. Uważał, że warto wykorzystać każdy sposób, który może pomóc Maryanne i sprawi, że nocą nie będzie już słyszał jej rozpaczliwego, bezsilnego szlochu, że ręce przestaną jej drżeć przy nalewaniu kawy, a z jej oczu zniknie wyraz zagubienia, który pojawiał się zawsze, kiedy budziła się rano, otumaniona, i usiłowała odgadnąć, gdzie jest. Ale okazało się, że to tylko początek kolejnego cyklu nowych recept i leków, w poszukiwaniu tego jednego, który wreszcie zadziała. Wszystkie one mia-

ły jednak działania uboczne, a Maryanne nie była cierpliwa i nie chciała czekać, aż objawy ustąpią, łykała więc kolejne tabletki na bezsenność, na znużenie, na rozdrażnienie. Ukrywała to przed Loganem, zresztą jego tak często nie było w domu, że szybko stracił orientację w tym, co powinna zażywać i o jakiej porze. Och, żadna to wymówka, wiedział o tym doskonale, ale było mu łatwiej, kiedy udawał przed sobą, że zostawił żonę w dobrych rękach.

Maryanne przemierzała Harley Street tam i z powrotem, desperacko szukając jakiegoś cudownego środka, który uśmierzy jej ból. Nic jednak nie działało. Przerzucała się, szlochając rozpaczliwie, z jednego leku na drugi, krążyła od jednego lekarza do drugiego, i w końcu nikt nie wiedział, co przyjmowała i kiedy. Zmieniała się. Z jej oczu znikł blask i Logan nie umiał już do niej dotrzeć. Gdy próbował z nią rozmawiać, powtarzała tylko, że nic jej nie jest, że nie ma się o co martwić. Więc wreszcie stracił cierpliwość i przestał pytać.

Logan potrafił prowadzić sto hoteli, zarządzać pracownikami, negocjować z równie twardymi jak on ludźmi biznesu, w białych rękawiczkach radzić sobie z politykami, a także brutalnie przejmować upadające firmy i zmieniać je w kwitnące, dochodowe interesy. Lecz czuł się bezradny i zagubiony w obliczu tej ciemności, jakiej doświadczała jego żona. I wolał, by stawiała jej czoło samotnie.

W jakim stopniu był odpowiedzialny za to, w jakim stanie znalazła się Maryanne? Może w ogóle tylko on był za to odpowiedzialny? Położył dłoń na klamce, ale nie mógł się zmusić, by ją nacisnąć.

W końcu odwrócił się i odszedł powoli korytarzem. Mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia, powtarzał sobie.

Ważnych rzeczy. W miarę jak oddalał się od drzwi, płacz Maryanne cichł powoli.

Rozdział 3

Pana nowy iPod, panie Flores. Zechce pan poświęcić chwilę i rzucić okiem na listy utworów, które na niego załadowaliśmy?

Nicolo kiwnął głową i słuchał jednym uchem, podczas gdy jego osobisty menedżer, który w Międzynarodowym Instytucie Zarządzania Gospodarstwem Domowym odebrał staranne wykształcenie w dziedzinach: takich jak identyfikacja, „profilu smakowego” pracodawcy, wiedza na temat cygar, dopasowywanie wina do potraw, konserwacja wschodnich dywanów, technologia inteligentnych domów i tworzenie garderoby - wymyślał listy utworów muzycznych, które miały stanowić dźwiękowe tło niemal każdego aspektu życia. William, jak sam się nazwał - jego prawdziwe imię brzmiało Dwayne, postanowił je jednak zmienić, przekonany, że nie pomoże mu ono wspiąć się na szczyt w branży usług osobistych i przybrał bardziej jego zdaniem stosowne - mówił dalej, starannie modulując głos, podczas gdy Nicolo przeglądał plan zajęć na rozpoczynający się dzień.

Umysł Nicola był podzielony na szufladki. W tej chwili jedna jego część słuchała Williama, odkładając pozyskane informacje do odpowiednich szufladek. Inna część zapoznawała się z wiadomościami, które pojawiały się na ekranie komputera. A jeszcze inna bacznie obserwowała wszystko, co działo się dookoła i jego samego. Nicolo zawsze był świadom swoich ruchów, gestów, wyglądu i tego, jak postrzegali go inni. Pomagało mu to wywierać na ludziach pożądane wrażenie - wrażenie, że mają przed sobą spokojnego, opanowanego i pewnego siebie biznesmena.

Była siódma rano. Nicolo zwykle o tej porze siedział już przy biurku. Wstawał codziennie o piątej trzydzieści i nie potrzebował budzika. Wskakiwał ze swojego wielkiego łóża i szedł prosto do łazienki oddzielonej od sypialni ścianą z grubego szkła, którą można było oświetlić tak, by ukazać lub ukryć znajdujący się za nią brodzik. Nicolo lubił leżeć w łóżku i obserwować kobietę, która się w nim myła i przygotowywała dla niego - kobiety jednak były pozbawione tego przywileju. Przez pięć minut stał pod strumieniem zimnej wody, a potem wycierał się, wkładał szorty i prywatną windą zjeżdżał na dół, do swojej osobistej siłowni. Mieszkanie Nicola zajmowało trzy ostatnie piętra należącego do niego hotelu Residence Flores w zachodniej części Hollywood. Był to jeden z najbardziej ekskluzywnych jego hoteli - lśniący bielą budynek uosabiał

kalifornijski szyk. Od klimatyzowanych podziemnych parkingów z indywidualnie wyznaczonymi miejscami i portami elektrycznymi dla gości o wyższej świadomości ekologicznej aż po basen na dachu i siłownię dla gości, z której roztaczał się widok na cztery strony świata, hotel był szczytem nowoczesnej elegancji i cieszył się niesłabnącą popularnością. Nicolo miał prywatne apartamenty jeszcze w trzech innych swoich hotelach - w Londynie, Tokio i kompleksie hotelowym na Bali. Kiedy musiał odwiedzić inne kraje, wybierał zwykle jakiś penthouse. Od ponad piętnastu lat nie spędził ani jednej nocy poza któryś ze swoich własnych hoteli.

Pięć razy w tygodniu o piątej czterdzieści pięć przychodził osobisty trener, z którym Nicolo ćwiczył przez godzinę - każdego dnia zestaw ćwiczeń był inny. Trener był Brytyjczykiem, ekszołnierzem Królewskiej Marynarki. Potężnie zbudowany i silny, bez litości wyciskał z Nicola ostatnie poty, nie zważając na zmęczenie ani ból mięśni. Nicolo nie lubił go - był to nieokrzesany brutal - ale to raczej mu pomagało: irytacja i obawa, że wyjdzie na mięczaka, sprawiały, że bardziej się starał. Wcześniej przez kilka miesięcy trenował z kobietą, ale okazało się to kiepskim pomysłem. Wprawdzie seks uprawiany z nią na ławce w siłowni był miłym urozmaiceniem treningów, ale w końcu jednak uznał, że za bardzo go to rozprasza. A on nie lubił, kiedy coś go rozpraszało.

Po treningu, o szóstej czterdzieści pięć, brał drugi prysznic, po czym wkładał jeden z dwóch przygotowanych dla niego zestawów ubrań. Raz w tygodniu Nicolo i William spotykali się, by przejrzeć listę spotkań zaplanowanych na kolejne siedem dni, a następnie William zestawiał stroje pasujące do „profilu wizerunkowego”, jakiego życzył sobie pan Flores. Był to wizerunek eleganckiego człowieka interesu. W bazie komputera znajdowała się specjalna biblioteka, a w niej zdjęcia wszystkich ubrań Nicola z opisami zawierającymi takie informacje jak nazwisko projektanta, rozmiar, data zakupu i wydarzenia, w czasie których Nicolo to ubranie nosił.

Tego ranka oba przygotowane stroje były nieformalne. Jeden składał się z miękkich czarnych spodni, nowego czarnego podkoszulka i czarnych sportowych sandałów, a drugi ze swetra z cienkiego szarego jedwabiu z wycięciem w serek, luźnych

dżinsów - tak starannie „wytartych” przez projektanta, że nie było wśród nich dwóch jednakowych par - i lekkich zamszowych adidasów. Wszystkie ustalone na ten dzień spotkania miały się odbyć w apartamencie Nicola; później będzie się musiał przebrać, bo w planie było jeszcze przyjęcie w domu jednej ze wschodzących gwiazd muzyki pop. Ten dzień należał do nielicznych w miesiącu, jakie Nicolo przeznaczał nie na zarządzanie siecią swoich hoteli czy prowadzenie innych interesów, ale na załatwianie spraw osobistych, związanych z rodziną, służbą i życiem towarzyskim, a także z działalnością charytatywną i sprawami biznesowym delikatniejszej natury.

Nicolo rzucił okiem na zegarek. Siódma trzydzieści. W tej samej chwili, dokładnie o oznaczonym czasie, rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

- Proszę.

W otwartych drzwiach ukazała się mocno zbudowana sylwetka Williama w uniformie. W obu rękach trzymał duży segregator. Zawierał on zaproszenia, prośby i pytania, które trafiały do Nicola przez jego skrzynkę pocztową, konto internetowe i biuro - albo też zostały doręczone do jego domu osobiście. Jak większość bogatych, odnoszących sukcesy ludzi Nicolo Flores był łakomym kąskiem dla wszelkiego rodzaju dobroczynnych fundacji potrzebujących zastrzyku gotówki, komitetów działających w takiej czy innej sprawie, organizatorów wernisaży, premier i pokazów mody, którzy szukali sponsorów. W przeciwieństwie jednak do większości osób zawsze sam czytał całą korespondencję. Wszystkie listy trafiały więc do wielkiego czarnego segregatora, który dostarczano raz dziennie, gdziekolwiek Nicolo się akurat znajdował - jeśli był za granicą, listy kopiowano, a następnie katalogowano w ten sam sposób i przekazywano mu w segregatorze. Kiedy przegląd korespondencji dobiegł końca, asystent wprowadzał stosowne zmiany w kalendarzach Nicola, by nic się na siebie nie nakładało.

Teraz William wręczył Nicolowi wielki segregator, nalał mu do szklanki gazowanej wody mineralnej i wyszedł z pokoju.

Nicolo spędził przy swoim biurku następną godzinę, przeglądając segregator i robiąc notatki na każdej stronie.

Zaproszenie na premierę nowego filmu o Jamesie Bondzie i przyjęcie dla VIP-ów po seansie. Tak, na to miał ochotę. Zaproszenie na specjalny spektakl *Così fan Tutte* i bankiet w stylu neapolitańskim, w ramach pomocy Włosko-Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Kobiet. Nie. Tłum mafijnych żon i kochanek, licytujących się nawzajem, która ma najwięcej biżuterii - widział tego dość w swoich kasynach.

Prośba o donację na rzecz Partii Republikańskiej. Tak. Pięćset dolarów.

Regularnie przychodzące prośby o donacje na rzecz wielkich organizacji charytatywnych: Czerwonego Krzyża, UNICEF-u, Fundacji AIDS. Tak - po pięćset dolarów dla każdej.

Czytał wszystko - prośby, zaproszenia, sugestie, pomysły, podziękowania. Uporządkowane i przejrzyste jak życie międzynarodowego przedsiębiorcy.

Nicolo zamknął segregator w chwili, kiedy William znowu delikatnie zapukał do drzwi.

- Pani Morton do pana.

- Dziękuję, Williamie. Helen, dziękuję, że przyszłaś.

Nicolo wstał, by powitać swoją konsultantkę do spraw sztuki, i podał segregator Williamowi.

- Witam, panie Flores. Mam tu kilka propozycji, mogą pana zainteresować.

Podczas tego spotkania, które trwało dokładnie pięćdziesiąt siedem minut, Nicolo wybrał trzy dzieła sztuki do swojej prywatnej kolekcji, zestaw rysunków Tracey Emin i pół tuzina obrazów do swoich licznych nieruchomości.

Uzgodnił także z Helen Morton, że obejrzy ona kilka dzieł, które nigdy nie pojawią się na otwartym rynku - właściciele woleli nie zdradzać, w jaki sposób weszli w ich posiadanie.

Spotkanie zakończyło się zgodnie z planem - wszystko w życiu Nicola zaczynało się i kończyło planowo - a po nim nastąpiła rozmowa z jego bankierem i ze stylistą uzbrojonym w katalogi najnowszych kolekcji. Później Nicolo zszedł na dół do baru ostrygowego i zamówił lunch - nie lubił jadać samotnie w swoim pokoju.

Kiedy ostatnia słona ostryga spłynęła gładko w jego gardło, splukana łykiem białego wina, Nicolo spojrzał na zegarek, wszedł

do prywatnej windy i wrócił do siebie. Czekał na kolejne spotkanie, zamówił kawę. Wrzucił do podwójnego espresso dwie kostki brązowego cukru, wychylił kawę jednym haustem i skrzywił się lekko. Napar był mocny i bardzo gorący. W chwili, kiedy odstawiał filiżankę na spodeczek, drzwi otworzyły się i do pokoju weszła jego dziewczyna, Vienna. Była typową mieszkanką Los Angeles - tak szczupłą, że głowa wydawała się zbyt duża w stosunku do wąskiego ciała. Przysiadła na brzegu biurka.

- Może pójdziemy dzisiaj na kolację?

- A po co? Ty nigdy nic nie jesz. Vienna wydeła wargi.

- Na kolację nie chodzi się po to, żeby jeść. To kwestia lansu. Lans. Co to właściwie znaczy? - pomyślał ze zniecierpliwieniem.

- Okej, więc zamów gdzieś stolik. Chciałaś czegoś jeszcze?

- Co się z tobą dzisiaj dzieje?

- Nic. Jestem zajęty.

- Ty zawsze jesteś zajęty.

- Tak. Dlatego właśnie masz tyle par butów. Tak to działa.

- Dobrze, dobrze, już sobie idę. - Vienna zsunęła się z biurka. Byli ze sobą mniej więcej od roku. Nicolo uważał ją za dość

atrakcyjną kobietę, a ona stosowała się do jego zasad, wiedziała, czego oczekiwał od związku - a nie oczekiwał wiele. Vienna była ładna, niezbyt ambitna i niezbyt wymagająca, co bardzo mu odpowiadało. Nie kochał jej, ale Nicolo nikogo nie kochał. Już nie.

- Och, jeszcze jedno; wiesz, co dzisiaj przypadkiem podsłuchałam? Jakiś biznesmen siedział na dole i pił brandy ze swoim kumplem. Gadali o wszystkim i o niczym. Kiedy przechodziłam, coś zwróciło moją uwagę. Logan Barnes. Nicolo szybko podniósł głowę. Vienna uśmiechnęła się lekko.

- Tak myślałam, że cię to zainteresuje. Twój stary przyjaciel, co? Rozmawiali o tym nowym hotelu, który właśnie otwiera. To ma być najbardziej ekskluzywny hotel na świecie, tak mówili. Nikt nie wie, gdzie to jest, ale najwyraźniej wkrótce zostanie otwarty.

I Vienna, rzuciwszy od niechcienia informację, którą rozkoszowała się od kilku godzin, wolnym krokiem opuściła pokój.

Podczas kolejnych spotkań tego popołudnia Nicolo był dziwnie rozkojarzony, zupełnie jak nie on. Ciągłe wracały do niego słowa Vienny: „Najbardziej ekskluzywny hotel na świecie...”

Wiedział, że powiedziała to, by zaleźć mu za skórę, ale nieważne. Podziałało. Stara uraza odżyła znowu. Nie miało to nic wspólnego z zasłyszana pogłoską - Nicolo znał się na promocyjnych sztuczkach i wiedział, że są skuteczne. Nie, chodziło o dawne, bolesne przekonanie, że Nicolo nigdy nie dorówna swojemu byłemu przyjacielowi Loganowi Barnesowi, złotemu chłopcu, który miał piękną żonę i rodzinę. Do diabła z tym wszystkim. Próbował się skupić na tym, co mówiły kolejne siadające naprzeciw niego osoby.

- Pański majątek osobisty, panie Flores, jest oczywiście znaczny, ale pozwolę sobie zasugerować, że dodatkowe inwestycje na rynkach...

- ...a kuzynka przesyła ucałowania i prosi o przekazanie, że wszyscy są panu niezmiernie wdzięczni. Teddy tak dobrze się uczy, a z pielęgniarki pensji nigdy nie byłoby ich stać na opłacenie college^...

- To są próbki tego, co robią studenci wydziału sztuki, którzy korzystają z ufundowanych przez pana stypendiów. Oczywiście zachowujemy całkowitą dyskrecję, tak że studenci nie wiedzą, kto za tym stoi...

W końcu jednak poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma.

- Przepraszam, będzie pan musiał kończyć - przerwał przedstawicielowi Nissana, który dopiero się rozgrzewał, usiłując przekonać Nicola, że flota produkowanych przez ten koncern samochodów byłaby najlepszym wyborem dla jego pracowników.

- Słucham?

- Coś mi wypadło, więc musi pan skończyć. Kiedy będzie pan wychodził, proszę umówić się z moim asystentem na inny termin.

I Nicolo zostawił zdezorientowanego mężczyznę na środku biura, z otwartym laptopem i prezentacją w toku. Poszedł do swojego gabinetu, zamknął za sobą drzwi i dla pewności przekręcił klucz w zamku. Gabinet był jedynym miejscem, w którym Nicolo pozwolił sobie na wyeksponowanie niektórych symboli własnego sukcesu. Zwykle nie znosił takiej ostentacji; uważał, że ludzie, którzy za

dużo rozmyślają o swoich osiągnięciach, stają się leniwi, zadowoleni z siebie, bez ikry. Przechwałki są dobre dla tych, którzy stale muszą przypominać innym, jak są ważni, bo inaczej nie robią na nikim wrażenia.

Ale tu, w tym pokoju, nie zaprojektowanym przez żądającego za wszystko ciężkiej forsy dekoratora wnętrz, lecz urządzonym przez Nicola, który po prostu zebrał razem ulubione rzeczy, przechowywał pamiątki swojej kariery. Oprawione w ramkę zdjęcie z gubernatorem Kalifornii na prywatnej kolacji. Dyplomy z Harvardu. Architektoniczny szkic jego pierwszego hotelu, także w ramce. Na półce w kącie leżał akt nabycia nieruchomości położonej pod numerem 13 przy Geary Lane - w tym domu dorastał i odkupił go od banku. Dom został przejęty przez bank, kiedy Nicolo miał siedemnaście lat. Obok stała zabawka, która mu to umożliwiła - mały pastelowy pluszak, który piszczał i mówił, kiedy naciśnięto się guzik w jego uchu. Wziął go teraz do ręki i nacisnął.

- Cześć, jestem Pisk-Nacisk. Zaprzyjaźnimy się?

Nacisnął znów zabawkę, w innym miejscu, tym razem na stopie. Pluszak zatrzęsł się lekko.

- Zimno mi. Przytulisz mnie?

Cienki głosik, mówiący z lekkim meksykańskim akcentem, nagle przeniósł go w przeszłość. Nicolo odkrył te tanie pluszowe zabawki w jednej z bocznych uliczek. Hurtownik, który właśnie zbankrutował, wyprzedawał towar, a Nicolo był bystrym, ambitnym nastolatkiem; jego ojciec niedawno zmarł, a matce nie udawało się zarobić na wszystkie opłaty wynajmowaniem pokoi. Chłopak szukał sposobu, który pozwoliłby im utrzymać się na powierzchni, i znalazł go na stoisku z gadającymi zabawkami. Nadał im dowcipną nazwę i w swoim rodzinnym mieście wytworzył wokół nich aurę pożądania. Wkrótce popularność tych zabawek objęła całe hrabstwo, a potem, ku powszechnemu zdumieniu, cały stan. Sam Nicolo nie mógł w to uwierzyć. Wkrótce Piski-Naciski były już wszędzie. Każde dziecko chciało mieć choć jednego. Nicolo szybko sprzedał pierwszą partię i zaczął szukać kolejnego producenta. Zamawiał różne kolory, głosy i kształty.

Po sześciu tygodniach rozwiały się ostatnie wątpliwości co do tego, czy będzie go stać na studia. Po sześciu miesiącach miał już

dość pieniędzy, by wykupić dom matki, a rok później oboje wiedzieli, że już nigdy nie będą musieli martwić się o finanse. Nicolò był poważnym przedsiębiorcą, zanim skończył dwadzieścia lat i złapał bakcyła robienia pieniędzy. Odłożył zabawkę, która pozwoliła mu opłacić studia inżynierskie na Harvardzie. To był początek drogi, a zaprowadziła go ona tu, gdzie był teraz - w najlepszym apartamencie jednego z najlepszych hoteli Los Angeles. Posiadał wiele nieruchomości, restauracji, klubów, kasyn. Miał własny samolot, na litość boską! Nikt nie mógł zaprzeczyć, że Nicolò Flores odniósł spektakularny sukces. Dlaczego więc stał tu, czując się jak kompletny nieudacznik, tylko dlatego, że usłyszał nazwisko pewnego człowieka?

Rozdział 4

1973

Johnny Stokes i Logan Barnes poznali się drugiego dnia roku szkolnego w Mason High School, w stanie Michigan. Obaj byli w pierwszej klasie szkoły średniej i stali w kolejce po lunch. „Poznali” jest prawdopodobnie nieco przesadnym określeniem ich pierwszego spotkania - przypadkiem znaleźli się obok siebie w jadalni pełnej starszych nastolatków, tłoczących się po jedzenie, silnych, pewnych siebie i hałaśliwych. Johnny i Logan spojrzeli na siebie i natychmiast zrozumieli, że są amatorami w sztuce rozpychania się łokciami. Obaj mieli po trzynaście lat, ale żaden nie był zbyt rostry jak na swój wiek. Jakiś pryszczaty osiłek wepchnął się przed Logana, następując mu przy tym na stopę.

- Hej, ty!

Chłopak odwrócił się - był szerszy niż dłuższy, a wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, co spotka każdego, kto ośmieli się stanąć między nim a jego talerzem.

- Co?

55

Logan wzruszył ramionami.

- Nic.

Chłopak rzucił mu gniewne spojrzenie i dalej przepychał się, depcząc wszystkich, którzy znaleźli się na jego drodze. Johnny i Logan rozejrzeli się wokół po morzu przepoconych podkoszulków, po dziewczętach i chłopcach, którzy wyglądali tak, jakby w jakiś sposób zdołali sobie przyswoić zasady, dla nowych będące ciągle tajemnicą, i zrozumieli, że muszą zacząć działać. Bez słowa, zgodnie pochyłili głowy i wykorzystując swój niski wzrost, zaczęli przeciskać się przez tłum, unikając cudzych łokci i szybko przemykając pod wilgotnymi pachami.

Kiedy dotarli do lady, zatrzymali się na sekundę, trochę zaskoczeni tym, co właśnie zrobili, ostrym światłem lamp i brzękiem garnków. Za ladą stała kobieta w zaplamionym brązowym sosem fartuchu z poliestru. Brązowy sos był zresztą wszędzie, polewano nim tu każde danie. Cała sala silnie nim pachniała.

- Awycochcecie, jestsztukamięsarbyaalbosafatkazkurczakiem? Patrzyli na nią w milczeniu.

- Dla mnie sztuka mięsa - powiedział w końcu Logan, przejmując dowodzenie. Na Johnnym jego wybór wyraźnie zrobił wrażenie. Kiwnął głową i podsunął swoją tacę po to samo. Tak naprawdę Logan tylko to jedno wyłuskał z potoku zlewających się ze sobą słów, ale się do tego nie przyznał. Zapłacili po dziewięćdziesiąt pięć centów za lunch i zanieśli swoje tace - a na nich talerze pełne mięsa, tłuczonych ziemniaków, gotowanej kukurydzy z masłem i szklanki mleka - do stolika w kącie, starając się nie potknąć o wystające nogi starszych kolegów.

Usiedli naprzeciw siebie i jedli. Obaj zastanawiali się przy tym, co powiedzieć.

- Nie widziałem cię wczoraj na lunchu - zaczął Logan.

- Bo nie byłem wczoraj na lunchu - przyznał Johnny.

Na chwilę zapadła cisza, w której obaj przeżuwali polane brązowym sosem ziemniaki.

- Ja też nie byłem.

I tak zaczęła się przyjaźń, która stała się pod wieloma względami najważniejszym związkiem w życiu ich obu i trwała wiele

lat. Tego dnia odkryli, że razem są bardziej skuteczni niż osobno, i nieraz jeszcze mieli okazję się o tym przekonać. Pasowali do siebie - byli podobni w wystarczającym stopniu, by mieć wspólne cele, i wystarczająco się różnili, by móc się sporo nauczyć od siebie nawzajem. Podobały im się inne dziewczęta, mieli też różne uzdolnienia, więc tam, gdzie jeden sobie nie radził, drugi przychodził mu z pomocą, gdzie jeden zostawał w tyle, drugi potrafił przyspieszyć.

Obaj uwielbiali wszelkiego rodzaju sporty, zwłaszcza ekstremalne, i na tym polu rywalizowali ze sobą, a jednocześnie dopingowali się nawzajem, poszukując nowych, wyzwalających adrenalinę doznań. Wspinali się na coraz wyższe i bardziej niebezpieczne obiekty, nurkowali, latali na paralotniach, jeździli na snowboardach, skakali ze spadochronem.

Obaj byli ambitni, obu zależało na tym, by odnieść sukces nie tylko na miarę małego rodzinnego miasteczka. Niewielka własna firma, domek na przedmieściu i kawałek ziemi - żadnego z nich nie usatysfakcjonowałyby taka przyszłość. Nie, oni chcieli odnieść sukces, dzięki któremu ludzie poznaliby ich twarze i nazwiska - ludzie spoza Mason, spoza stanu, a nawet poza granicami kraju. Chcieli podróżować, zobaczyć swoje nazwiska na liście pięciuset najbogatszych ludzi świata magazynu „Forbes”, prowadzić międzynarodowe konsorcjum, ustanawiające najwyższe standardy w swojej branży - jakiej, tego na razie jeszcze nie wiedzieli. Cóż, mieli po trzynaście lat i czuli, że w ich planie jest kilka luk, które należy wypełnić. Ale już po kilku miesiącach znajomości byli pewni, że cokolwiek to będzie, będą to robili razem.

Byli sobie bliźsi niż rodzeństwo. Logan, jedyne dziecko swoich rodziców, miał znacznie starszą - o prawie trzydzieści lat - siostrę, Annabel, z pierwszego małżeństwa ojca (jego ojciec, Peter, nie miał szczęścia do żon, dopóki nie poznał czwartej, Elisabeth, matki Logana), trudno było więc o zażyłość. Annabel przysyłała mu kartki na Boże Narodzenie i urodziny, ale zdjęcia jej dzieci, które zwykle dołączała do życzeń, świadczyły o tym, że wiekiem było mu bliżej do nich, tak że z siostrą niemal nic go nie łączyło. Annabel miałaby zapewne więcej wspólnego z matką Logana, ponieważ były prawie w tym samym wieku, los jednak nigdy nie pozwolił im się poznać.

Logan zawsze był lubiany i bez trudu nawiązywał kontakty. Dorastał przy znacznie starszym ojcu i bez rodzeństwa, a to oznaczało, że towarzystwa musiał szukać poza rodziną. Jednak dopiero Johnny stał się jego najlepszym przyjacielem.

Johnny miał brata, Bobby'ego, trzy lata od niego młodszego. Kochał go serdecznie i troskliwie się nim opiekował. Ale Bobby nigdy nie stał się jego towarzyszem zabaw. Urodził się jako wcześniak i spędził wiele tygodni w szpitalnym inkubatorze, spowity w płataninę rurek, pod czujnym okiem całego sztabu pielęgniarek i przerażonych rodziców. Długo nikt nie wiedział, czy przeżyje. Johnny tego nie pamiętał, był za mały, ale dorastał w przekonaniu, że Bobby jest inny, że potrzebuje więcej opieki i pomocy niż młodsi bracia i siostry jego szkolnych kolegów. Kiedy Bobby podrósł nieco, jego rówieśnicy zaczęli stawiać pierwsze kroki i stało się jasne, że jemu się to nie uda; Johnny siedział przy nim i zabawiał go, piorunując wzrokiem każdego, kto wyglądał tak, jakby miał zamiar dopytywać się, dlaczego jego młodszy brat jeszcze nie chodzi. Kiedy Bobby miał cztery lata, lekarze powiedzieli rodzicom, że jest mało prawdopodobne, by kiedykolwiek nauczył się chodzić. Bobby dostał wtedy wózek inwalidzki. Johnny pchał go z rozkoszą tak szybko, jak tylko potrafił, aż mama zaczynała się niepokoić i wołała, żeby uważał, by Bobby nie wypadł na chodnik, bo w przeciwnym razie zabroni im obu wychodzić w domu. Bobby uśmiechał się wtedy szeroko do Johnny'ego, zachwycony, że grożą mu takie sankcje, jak starszemu bratu.

Kiedy Logan pewnego wietrznego październikowego popołudnia po raz pierwszy odwiedził Johnny'ego w jego domu, uderzyły go dwie rzeczy - jak nowe wydało mu się tam wszystko i jak ten dom tętnił życiem. Dom Barnesów był starym, wolno stojącym budynkiem, który od lat należał do rodziny jego ojca. Opasany szerokim gankiem, stał w pobliżu wielkiego dębu, na który Logan mógł się wspinać. Pokoje były ogromne, pełne starych obrazów i mebli, a na korytarzach wisiało mnóstwo portretów członków rodziny. Matka Logana nie wstawała zwykle przed południem. Całymi dniami grywała w tenisa albo siedziała w klubie, na lunchu lub wieczornym koktajlu, lub grając w brydża. Ojciec zwykle spędzał czas

w domu, rzadko jednak był naprawdę obecny. Pierwszego drinka oficjalnie wypijał zwykle już koło jedenastej - nazywał go „wstępem do pierwszego rozdziału” - ale tak naprawdę często już wcześniej w tajemnicy wychylał kilka kieliszków czegoś mocniejszego. Reszta dnia upływała mu zazwyczaj na drzemce w bibliotece, chyba że akurat postanowił wybrać się do klubu albo na golfa.

Logan tak naprawdę widywał rodziców wczesnym wieczorem. Kiedy był małym chłopcem, sprowadzano go na dół, by powiedział im „dobranoc”, gdy pili swojego pierwszego wieczornego drinka, po czym Honoré kładła go do łóżka. Teraz był już za duży na niańkę, ale choć Honoré odeszła, zwyczaj pozostał. Ojciec pytał go o szkołę, o to, jakie uprawiał sporty i czego się tego dnia nauczył. Matka przewracała oczami i radziła Loganowi, żeby starał się dobrze bawić, i pytała, jaka jest najładniejsza dziewczyna w jego klasie i czy zaprosi ją do domu. Logan odpowiadał, że nie może tego zrobić, bo jego mama przyćmiłaby ją urodą i dziewczynie byłoby przykro... Matka śmiała się i całowała go w policzek, a on wciągał w nozdrza znajomy zapach perfum Diorissimo, lakieru do włosów i dymu papierosowego.

Dom Stokesów natomiast był nowoczesną wersją rancza. Zbudowany zaledwie przed trzema laty, miał szeroki podjazd i dobudowany garaż. Wewnątrz nie wisały staroświeckie portrety dawno zmarłych przodków; wszystko było nowoczesne i lśniące. Mama Johnny'ego siekała warzywa w malakserze i pokazywała to czasem swoim przyjaciółkom, kiedy chłopcy przemykali obok kuchni, biegnąc do pokoju Johnny'ego.

- ...po prostu wrzucacie warzywa od góry, a on to wszystko sam sieka. Można go używać niemal do wszystkiego. Przysięgam, nigdy więcej nie pokroję cebuli inaczej niż...

Rodzice Johnny'ego, Mike i Ginny, też byli inni. Jego ojciec ciągle zdawał się kręcić gdzieś w pobliżu, zagadywał do chłopców, pokazywał im swoje najnowsze gadzety, kupował bilety na mecze i wtykał ukradkiem do kieszeni czekoladowe batoniki, kiedy wychodzili na podwórko. Był młody i lubił sporty, lubił też wiedzieć, czym interesują się jego dzieci i co robią. Rano, przed wyjściem do pracy, uprawiał jogging i nosił modne ubrania. Zawsze grała tam

muzyka i było pełno ludzi - tak przynajmniej wydawało się Loganowi. Czuł się dobrze u Stokesów, bo prowadzili dom otwarty. Przychodził do nich rano, kiedy rodzice jeszcze spali, i pochłaniał całą miseczkę płatków czekoladowych - uwielbiał je, ale jego matka uważała, że to niewybredne jedzenie, i nigdy ich nie kupowała. Czasami Johnny jeszcze spał i Logan czekał, aż przyjaciel się obudzi. Rodzice Johnny'ego traktowali go jak mebel - ale wcale nie czuł się przez to ignorowany, jak u siebie w domu. Przeciwnie, robili to w taki sposób, że czuł się akceptowany. Swobodny. Tylko raz tata Johnny'ego kazał mu wracać do domu - wtedy, kiedy pojawił się tuż po tym, gdy jego matka zadzwoniła do Stokesów i poprosiła, by natychmiast go odesłali, bo jej rodzina właśnie przyjechała z wizytą. Logan liczył oczywiście na to, że zdoła uniknąć niekończącej się nudy weekendu z rodziną, udając, że o tym zapomniał. Miał nadzieję, że nikomu nie będzie go brakowało. Mike, ojciec Johnny'ego, który właśnie grabił liście, pokręcił głową, kiedy Logan wszedł do ogrodu.

- Przykro mi, stary. Twoja mama już tu dzwoniła. Logan westchnął.

- O rany.

- Tak, wiem. To niesprawiedliwe. Życie już takie jest. Logan zwlekał z odejściem.

- Mogę tylko skorzystać z toalety? Strasznie mi się chce. Mike przerwał grabienie i spojrzał mu w oczy. Logan znowu westchnął. Kiedy dorośli to robili, zwykle nie wróżyło to nic dobrego.

- Wiem, że czasem nie jest ci w domu łatwo, chłopie. Logan wzruszył ramionami i wbił wzrok w ziemię.

- Nieważne. Po prostu nie chcę spędzić całego weekendu z głupią rodziną mojej głupiej matki. I tak nikt się mną nie interesuje, więc po co mam tracić czas? Nie zwracają na mnie uwagi, a ojciec będzie tak pijany, że nawet nie zauważy, że tam jestem.

Umilkł nagle, przerażony. Nie zamierzał wcale mówić tego wszystkiego - w ogóle nie chciał tego mówić. Mike położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął je lekko. Usta Logana zadrżały. On i Johnny udawali dorosłych - w końcu byli nastolatkami, więc cóż innego mieliby robić? - ale tak naprawdę pozostali jeszcze dziećmi.

- Wiesz, mężczyzna musi po prostu zrobić to, co jest właściwe. Rozumiesz? - powiedział cicho Mike.

Logan wziął głęboki oddech i kiwnął głową. Tak. Rozumiał.

- To ważne. Zrób to, co trzeba, a wyjdzie ci to na dobre. Zobaczysz. Teraz idź do łazienki, a potem zmykaj do domu.

Logan pobiegł na górę, wytarł oczy, po czym wrócił do domu i przez cały weekend słuchał swojego pijanego, nudnego ojca i płytkiej, zajętej tylko sobą matki oraz jej rodziny, która interesowała się tylko tym, jak kto wygląda i ile zarabia. I w jakiś sposób wydawało mu się to w porządku, bo naprawdę czuł, że robi to, co trzeba. Zrób to, co trzeba, a wyjdzie ci to na dobre. Trzymał się tego, bo wierzył Mike'owi i Ginny bardziej niż komukolwiek innemu na świecie. Byli żywym dowodem na to, że nie wszystkie rodziny są popieprzone.

Ale tak zdarzyło się tylko raz. Najczęściej, kiedy przychodził w sobotę, Mike machał do niego i dawał im kilka dolców. Logan i Johnny siedzieli trochę z Bobbym, a potem jechali na rowerach do cukierni Dairy Queen na swoje ulubione kruche ciastka z masłem orzechowym i na wysokie rożki włoskich lodów z bitą śmietaną, polane płynną czekoladą i posypane tłuczonymi orzechami, które kosztowały tylko czterdzieści dziewięć centów, jeśli podeszło się do lady i powiedział do sprzedawcy: „Najlepszelodydlaochłody!” Robili to tylko wtedy, kiedy za ladą stała pani Briggs, w swoich staroświeckich okularach i ze zmarszczonym czołem. Jeśli była to Mindy Marshall, płacili pełną cenę i siadali przy ladzie, wyciągając szyje, by patrzeć na jej nogi, kiedy pochylała się nad grillem. Mindy miała szesnaście lat, ładne kręcone włosy i jeszcze ładniejszy tyłek. Była zdecydowanie najpiękniejszą dziewczyną w mieście i przedmiotem pożądania wszystkich chłopców między 1972 a 1975 rokiem, kiedy to opuściła miasto w atmosferze skandalu, z żonatym dyrektorem szkoły średniej i wystającym brzuchem, którego nie mogła już ukryć pod fartuszkim ekspedientki Dairy Queen.

Johnny i Logan przez pół roku chodzili tam i wzdychali do niej nad rożkami włoskich lodów, i Mindy w końcu się nad nimi zlitowała... czy też może postanowiła ich wykorzystać - tak pewnie widziałaby to matka Johnny'ego.

Zaprowadziła ich na parking za

budynkiem i zażądała od każdego po dolarze w zamian za możliwość obejrzenia jej biustu. Miała na sobie koronkowy różowy stanik, który podciągnęła do góry, żeby mogli zobaczyć jej sutki. Mieli wtedy czternaście lat i po raz pierwszy zobaczyli piersi dziewczyny na żywo. Później wycofali się razem, z wypiekami na twarzach, na ulicę, żeby omówić to niezwykle doświadczenie.

- Bardzo... - zaczął Logan.

- Bardzo ładne, powiedziałbym - dorzucił Johnny.

- O, tak.

- Wyglądały dość...

- Dość... miło.

- Aha.

Poruszyli się lekko.

- Cóż, ja chyba...

- Ja też już lepiej...

Zaczęli jednocześnie i jednocześnie urwali.

- Tak.

- To do jutra.

Chwycili rowery i odjechali do swoich domów, by w samotności uporać się ze skutkami oglądania piersi Mindy Marshall.

Był to jeden z wielu „pierwszych razów”, jakie wspólnie przeżyli. Kilka miesięcy później razem palili pierwsze papierosy, znowu z Mindy, za cukiernią. Kupili je w automacie stojącym w środku, kiedy nikt nie patrzył. Mindy pokazała im, jak się zaciągać, a potem udawała, że nie widzi, kiedy zbledli i starali się opanować mdłości. Wtedy byli z nią już w pewnym sensie zaprzyjaźnieni, ale nie do tego stopnia, by nie zwracali uwagi na to, co ona o nich myśli. W końcu miała siedemnaście lat.

Kiedy mieli piętnaście, po raz pierwszy się upili. Nie zrobili tego z Mindy, czując, że może im być trudno utrzymać wizerunek twardzieli, na czym bardzo im zależało - zwłaszcza Johnny'emu, którego lekka słabość do Mindy przerodziła się tymczasem w regularną obsesję. Miał zamiar umówić się z nią na randkę, spoić ją alkoholem i poprosić, by poszła z nim na całość. Postanowił więc najpierw upewnić się, że potrafi pozostać dość trzeźwym, by móc wziąć czynny udział

w pójściu na całość. Kupili butelkę wódki od kolegi ze szkoły, który miał starszego brata i z jego pomocą zaopatrywał w alkohol jego nietletnich amatorów, a w sklepie dokupili jeszcze colę, lemoniadę, plastikowe kubki i kilka torebek czipsów, po czym zabrali to wszystko do starej chaty nad jeziorem, z której czasami korzystali obserwatorzy ptaków. Pili już kiedyś wino i nierzadko piwo na jakimś grillu, nigdy wcześniej jednak nie próbowali tak mocnych trunków. Czuli, że teraz z końca staną się prawdziwymi mężczyznami.

Po pierwszym drinku nie mogli zrozumieć, o co tyle hałasu, więc postarali się, by drugi był mocniejszy. Po trzecim doszli do wniosku, że wódka to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek wymyślono, i na jej produkcji powinien zasadzać się ich przyszły sukces. Po piątym zaczęli oplakiwać wszystkie te lata, kiedy się jeszcze nie znali, i przysięgać sobie nawzajem dozgonną przyjaźń. Zaraz potem obaj dostali gwałtownych torsji, po których stracili przytomność.

Ocknęli się godzinę później na brudnej podłodze, z bólem głowy i drżącymi rękami, i przysięgli sobie, że już nigdy więcej nie wezmą do ust żadnego alkoholu. A kilka tygodni później Mindy wyjechała, zostawiając za sobą plotki i spekulacje, którymi miasto żyło jeszcze niemal przez cały rok. Johnny nie miał więc okazji dowiedzieć się, czy Mindy poszłaby z nim na randkę i na całość. Dużo później zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie dobrze się stało. Kiedy mieli szesnaście lat, poszli na pierwszą podwójną randkę. Carly i Karen były siostrami, a Carly chodziła z Johnnym na lekcje historii. Obie dziewczyny miały długie proste włosy, które opadały im na plecy aż do pasa i lśniły jak lustro. Każdego dnia nosiły na nich inne opaski, dopasowane kolorem do reszty stroju. Ich ubrania zawsze były starannie wyprasowane i pachniały świeżą bawełną. Wykluczone, by któraś z nich pozwoliła się spoić albo poszła z kimś na całość. Ale w jakiś sposób sprawiało to, że wydawały się dzięki temu jeszcze bardziej atrakcyjne. Były zadbane, inteligentne i dobre. Należały do dziewcząt, o jakich ojciec Johnny'ego mawiał, że nadają się na żony - w przeciwieństwie do tych, które nadawały się na „bara-bara”.

Logan i Johnny przez cały tydzień poprzedzający piątkowe spotkanie z Karen i Carly byli bardzo zdenerwowani. Mieli pójść po dziewczęta o szóstej wieczorem i zabrać je na *Szczęki*. Wybrali

ten film w nadziei, że rekiny i nastrojowa muzyka zrobią na nich wrażenie, więc z wdzięcznością przyjmą obejmujące je silne męskie ramiona. Po filmie chcieli zabrać je do Arby's na kanapki z pieczoną wołowiną i lody. Dla nich obu była to pierwsza oficjalna randka, choć Logan całował się już z córką znajomych swoich rodziców, a Johnny doszedł do drugiego etapu z Suzanne, koleżanką ze szkoły, ale to się tak naprawdę nie liczyło, bo z Suzanne każdemu udawało się dojść do drugiego etapu.

Uzgodnili, że Logan wstąpi po południu po Johnny'ego i dalej pójdą już razem. Obaj uznali to za dobry pomysł i choć nie przyznawali się do tego przed sobą nawzajem, obu im ulżyło, bo żaden nie miał ochoty samotnie podejść do drzwi siostrzyczek. Kiedy Logan dotarł do Stokesów, Johnny właśnie brał prysznic, o czym poinformowała go Ginny.

- Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że ogolenie tych kilku włosków, które rosną mu na brodzie, zajmuje aż tyle czasu.

- Słyszałem! - krzyknął Johnny z góry.

- Więc pospiesz się! Wszyscy gdzieś dziś wieczorem wychodzimy, a ja muszę umyć się pierwsza.

Ginny pomagała Bobby'emu jeść kanapkę z masłem orzechowym, pokrojoną w małe trójkąciki. Chłopiec miał słabe mięśnie, a jego ruchy były często nieskoordynowane i chaotyczne, co oznaczało, że posiłki trwały długo i bywały kłopotliwe.

- Cześć, Bobby - powiedział Logan, siadając na stołku przy barku śniadaniowym.

Bobby na chwilę przestał jeść, podniósł rękę i przybił piątkę z Loganem.

- No, to dzisiaj wielki dzień. Pierwsza randka - zażartowała Ginny. - Masz na sobie te majtki, które przynoszą ci szczęście?

Podawała Bobby'emu kolejny kawałek kanapki.

- Szczęśliwe majtki - zachichotał Bobby. Logan poczuł, że się czerwieni.

Ginny uśmiechnęła się do niego.

- Przepraszam. Żartowałam tylko.

Logan postanowił szybko zmienić temat. Miał nadzieję, że w końcu przestanie się tak często czerwienić. To takie dziecinne.

- A dokąd się wybieracie? - zapytał.
 - Do szpitala, porozmawiać z ludźmi, którym urodziły się wcześniaki. Poznamy ich z Bobbym, żeby zobaczyli, że czasem nawet jeśli początki są trudne, wszystko może być w porządku. Fakt, że sytuacja Bobby'ego mogłaby się komuś nie wydać „w porządku”, zdawał się nie docierać do Ginny Stokes. Dla niej stał się cud, że Bobby w ogóle żył, choć nie było łatwo. Wiedziała, że wizyty w szpitalu dają nadzieję ludziom, którzy ciągle żyli w szoku po tym, gdy ich dziecko przyszło na świat tygodnie, a niekiedy całe miesiące przed czasem. Spojrzała na Logana.
 - Nie martw się, jedziemy prosto do szpitala, a potem prosto do domu, więc nie będziemy włóczyć się po mieście. Na pewno się nie spotkamy.
 - Nie chodziło mi o to, że... Ginny się roześmiała.
 - Owszem, chodziło. No, to dokąd zabieracie te młode damy?
 - Do kina, a potem do Arby's.
 - Doskonały wybór.
 - Tak myślisz? - spytał Johnny, wchodząc do kuchni, cały różowy po prysznicu i goleniu. - Rany, to chyba powinniśmy zrobić coś innego. Wszystko, co podoba się mamie, jest do niczego. Ginny otworzyła usta w wyrazie teatralnego oburzenia.
 - Johnny, czy ty wiesz, że w klasie maturalnej zostałam wybrana na Superdziewczynę?
 - Jasne, ale to było jakiś milion lat temu.
- Drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem i po chwili na progu kuchni stanął Mike. Poluzował krawat i rozpiął górny guzik koszuli.
- Co było milion lat temu? To znaczy wtedy, kiedy byliśmy młodzi, zakochani i nie mieliśmy żadnego z tych nieznośnych dzieciaków? - pochylił się i pocałował w czubek głowy Ginny, a potem Bobby'ego. Johnny'ego objął ramieniem.
 - Właśnie. Poświęciłam urodę, figurę i życie gwiazdy filmowej dla was wszystkich, a co dostaję w zamian? - Ginny mrugnęła okiem do Logana i wstawiła talerz Bobby'ego do zlewu.
 - Akurat. - Johnny otworzył lodówkę i zajrzał do środka.

- Chyba nie jesteś głodny, synku? Dwie godziny temu jedliśmy lunch.
- Wiem. Dwie godziny! Ja jeszcze rosnę!
- Wszesz! - zapisał Bobby i wybuchł śmiechem, rozbawiony własnym żartem.

Mówił z trudem, więc starannie dobierał słowa. Fizycznie nie był całkiem sprawny, natomiast jego umysłowi nic nie dolegało. Logan obserwował tę czwórkę. Byli tacy wyluzowani, swobodni w swoim towarzystwie - ani śladu w nich tej oficjalnej sztywności, charakterystycznej dla jego własnej rodziny. I na jedną krótką chwilę ogarnęło go uczucie, którego - kiedy tylko zrozumiał, co to takiego - natychmiast się powstydział. Było to mroczne uczucie, ciemne jak smoła, i skalało jego duszę pragnieniem, by zmieść rodzinę Johnny'ego z powierzchni ziemi. Wydała mu się zbyt zżyta, zbyt doskonała. Oczywiście wcale nie była doskonała, Logan dobrze o tym wiedział. Wiedział, ile trudu kosztowała rodziców John-ny'ego opieka nad Bobbym i jednocześnie troska, by Johnny nie poczuł się odsunięty na bok. Nie wątpił, że chętnie mieliby więcej dzieci, ale bali się, że kolejne może urodzić się niepełnosprawne. Jemu jednak, tamtego dnia, w tamtej kuchni, wszystko to wydało się idealne i na krótką chwilę pozwolił, by pochłonęła go zazdrość.

I poczuł się źle.

Obaj wyszli z kina, trzymając za ręce dziewczęta, których włosy, gładkie i lśniące jak zawsze, były tylko leciutko zmierzwione przez ramiona chłopców, próbujących objąć je w ciemnej sali kinowej. Arby's, mały bar szybkiej obsługi słynący z kanapek z pieczoną wołowiną, znajdował się kilka przecznic dalej, postanowili więc, że pójdą tam pieszo. Logan i Johnny narzucili dziewczętom na plecy swoje marynarki, bo od jakiegoś tygodnia wieczory były chłodne i powoli zbliżała się zima.

Kiedy wyszli z za rogu i przystanęli, czekając, aż przejadą samochody, żeby mogli przejść na drugą stronę, Johnny po raz pierwszy w życiu poczuł się jak mężczyzna. Zabierał dziewczynę na kolację - trzymał ją za rękę i uważał, by nie weszła na jezdnię, dopóki nie będzie to bezpieczne. Niedawno zaczął kurs prawa jazdy,

razem z Loganem. Praca na pół etatu w sklepie żelaznym, którą właśnie dostał, oznaczała, że mógł oszczędzać na swój pierwszy samochód - a tata obiecał mu, że do każdego zarobionego dolara dołoży drugiego od siebie. W szkole dobrze sobie radził i miał prawdziwego przyjaciela, z którym snuł śmiałe plany na przyszłość. Tak, naprawdę stawał się dorosły. Mocniej ścisnął dłoń Carly. I w chwili, kiedy odwrócił głowę w lewo, by sprawdzić, czy nie nadjeżdża jakiś samochód, jego dzieciństwo skończyło się na zawsze.

Długi brązowy station wagon, z charakterystycznym tyłem przerobionym tak, by mógł pomieścić wózek inwalidzki Bobby'ego, leżał na boku w poprzek jezdni. Spod półotwartej, zmiażdżonej maski wydobywał się ciemny dym. Na poboczu stała karetka pogotowia i dwa wozy policyjne. Jeden z policjantów kierował ruchem. Samochód od strony kierowcy był częściowo zasłonięty przez przód ciężarówki, która w niego wjechała. Na chodniku w milczeniu stała grupa ludzi. Jakiś wysoki mężczyzna zdjął z głowy kapelusz i obracał go w dłoniach. Był bardzo blady.

Dźwięk, który wydał Johnny na ten widok, przypominał odgłos nadmuchanej papierowej torebki, w którą ktoś z całej siły uderzył dłonią. Brumgh. A potem chłopiec zaczął biec, szybciej nawet niż na boisku podczas meczu, szybciej niż kiedykolwiek przypuszczał, że to potrafi, a serce omal nie eksplodowało mu w piersi.

Logan zamarł i stał bez ruchu dłuższą chwilę. Patrzył, jak Johnny biegnie w stronę sterty pogiętego metalu i błyskających świateł. Jak wpada na potężnie zbudowanego policjanta, który odciąga go na bok. Jak wrywa się i walczy, uderzając pięściami w szeroki tors, jakby próbował przebić się przez stojące mu na przeszkodzie ciało i dostać się jakoś do swojej rodziny. Jak w końcu się poddaje i upada na ziemię - mały chłopiec, niewyglądający w tej chwili na swoje szesnaście lat, w samym centrum chaosu.

- O Boże. Czy to jego... Och, nie.

Głos Carly sprawił, że Logan wrócił do rzeczywistości i teraz to on rzucił się pędem w stronę przyjaciela, w stronę koszmaru, który tam na niego czekał. Wiedział o tym. Ale nic nie mogło przygotować go na widok, który ukazał się jego oczom w chwili, kiedy się zbliżył.

Fioletowy wózek Bobby'ego zwisał z tyłu samochodu, a do niego ciągle przypięte było szczupłe, dziwnie skrzycone ciało chłopca.

Później dowiedzieli się, że ojciec Johnny'ego zginął na miejscu, zmiażdżony siłą, z jaką ciężarówka uderzyła w bok samochodu. Johnny'emu nie pokazano jego ciała. Ginny żyła jeszcze, kiedy na miejsce wypadku przyjechali ratownicy medyczni, ale zmarła w drodze do szpitala. A mały Bobby zginął przypięty do swojego wózka, zgnieciony przez urządzenie, które miało mu zapewnić bezpieczeństwo.

Później ludzie mówili, że to błogosławieństwo, iż wszyscy odeszli tak szybko, razem. Johnny nigdy nie potrafił tego zrozumieć. Jak coś, co wiązało się ze śmiercią jego rodziny, mogło być błogosławieństwem? Oznaczało to tylko tyle, że jego rodzina przestała istnieć w ułamku sekundy - a on został sam. Wypadek spowodował kierowca ciężarówki - prowadził od wielu godzin, a po drodze, dla zabicia czasu, popijał whisky. Chwila, w której zamknął oczy, kosztowała życie całej rodziny Johnny'ego.

Na pogrzebie ludzie podchodzili do niego nieprzerwanym strumieniem. Pełni najlepszych chęci przyjaciele rodziców, koledzy taty, panie z kluby tenisowego, do którego należała jego mama. Wszyscy chcieli uścisnąć mu dłoń, poklepać go po ramieniu, powiedzieć, jakim fantastycznym facetem był Mike, jak bardzo będzie im brakowało Ginny, jakie to tragiczne, jak nie mogą w to uwierzyć... Johnny stał i patrzył, jak przepływają obok niego. Nie rozumiał, po co mu to wszystko mówią, przecież to wiedział. Czyżby sądzili, że nie wie? Tak, jego tata był fantastyczny, mama piękna, a Bobby... Nie, nie potrafił myśleć o Bobbym. Za dużo, to było dla niego za dużo, więc tylko kiwał głową, dziękował i mówił tak, na pewno zadzwoni, jeśli będzie czegoś potrzebował.

Oczywiście nie zadzwonił, bo po co? Miał Logana. A zresztą nie był już przecież dzieckiem. Skończył szesnaście lat. Rodzice Logana zgodzili się zostać jego prawnymi opiekunami. Logan poszedł do prawnika i sam zapłacił za poradę, zaledwie kilka dni po wypadku. Chciał wiedzieć, jak sprawa się potoczy. Johnny mówił, że nic go to nie obchodzi, że zostanie sam w domu, ale Logan wiedział, że trzeba coś zrobić, w przeciwnym razie Johnny może zostać

wysłany do jakiejś dalekiej ciotki czy kogoś w tym rodzaju. Nie miał żadnych bliskich krewnych. Mike i Ginny oboje byli jedynakami; rodzice Ginny zmarli, kiedy była jeszcze bardzo młoda; Mike nie znał swojego ojca, a jego matka zmarła niedawno na raka. Logan nie chciał, by do nieszczęścia, jakie spotkało jego przyjaciela, dołączył koszmar załatwiania skomplikowanych spraw sądowych. Poszedł więc do prawnika, zdobył niezbędne dokumenty (okłamał radcę, mówiąc, że jego rodzice już zgodzili się zostać opiekunami Johnny'ego), a potem pojechał z nimi do domu.

Zapukał do drzwi gabinetu ojca. Usłyszał dźwięki wskazujące na to, że ojciec próbuje oprzytomnieć po wywołanej dżinem drzemce. Zaczekał chwilę, po czym otworzył drzwi.

A wychodząc z tego pokoju kilka chwil później, obiecał sobie, że już nigdy ojca o nic nie poprosi.

Pan Barnes, zaskoczony widokiem syna, spojrzął na zegarek -sprawdzał, czy nie przespał całego popołudnia i nie ocknął się wieczorem, to znaczy wtedy, kiedy zazwyczaj pojawiał się Logan. Gdy zobaczył, że jest dopiero druga, był wyraźnie zdezorientowany. Logan czekał.

- Coś się stało, synu? Jestem dość zajęty, jak widzisz - szerokim gestem objął swój gabinet.

Logan rozejrzał się. Często to słyszał, kiedy rozmaite nianie i opiekunki pilnowały, by nie przeszkadzał rodzicom. One też mówiły, że rodzice są zajęci. Zajęci czym? - zastanawiał się teraz. Ten pokój był po prostu biblioteką. Stało w nim duże mahoniowe biurko, kilka foteli, globus. I mnóstwo starych książek, takich, które można kupić w antykwariacie. Nikt ich nigdy nie czytał. Kiedy Logan był małym chłopcem, oglądał atlasy i wodził palcem po starych mapach, ale nic poza tym. Peter Barnes nie przepracował ani jednego dnia od czasu, kiedy wiele lat temu odszedł z marynarki wojennej z powodów zdrowotnych - jakich dokładnie, pozostawało tajemnicą. Później kilka razy był w zarządach różnych spółek, co oznaczało, że od czasu do czasu wychodził na długie spotkania przy lunchu. Poza tym przesiadywał w swoim pokoju, zdaniem Logana zupełnie nic nie robiąc. Zawsze jednak powtarzał, że jest „dość zajęty”.

Logan wziął głęboki oddech.

- Potrzebuję twojej pomocy, tato.

Ojciec w pierwszej chwili wydał się zaskoczony, a potem przestraszony.

- Cóż, nie wiem, czy... Masz kłopoty w szkole? Może jest ktoś, z kim mógłbyś o tym porozmawiać? Może z jakimś nauczycielem?

- W szkole wszystko w porządku. Chodzi o Johnny'ego.

- Johnny'ego?

Logan przez chwilę patrzył na ojca w milczeniu.

- O Johnny'ego Stokesa. Mojego najlepszego przyjaciela. Jego rodzice zginęli kilka tygodni temu w wypadku samochodowym.

Ojciec przyglądał mu się uważnie, ale Logan widział, że bezskutecznie usiłuje sobie przypomnieć.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział w końcu, kiwając głową. Nie miał pojęcia, o kim mowa. Blefował. - Johnny. Wspaniały chłopak. Straszna tragedia. Czy twoja matka jest w domu?

Logan, sfrustrowany, przygryzł wargę. Wiedział, że nie może okazać uczuć.

- Jej pomoc także będzie mi potrzebna. Poprosiłem, żeby do nas dołączyła.

- Rozumiem.

Dłuższą chwilę stali i patrzyli na siebie. Ojciec na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na plecach, jak wojskowy, choć nie był w wojsku od dawna - przez całe życie swojego syna. I syn - który chyba po raz pierwszy w życiu prosił go o przysługę. Obaj mieli szerokie ramiona, wyraziste rysy twarzy i gęste włosy. Logan włożył koszulę i ciemne spodnie, zamiast ulubionych dżinsów i podkoszulka; Peter był we flanelowych spodniach i blezerze, w którym zwykle chodził, z chusteczką od Hermesa w kieszonce na piersi. Żaden z nich nie wiedział, co teraz zrobić. W końcu Logan przejął kontrolę nad sytuacją.

- Może usiadzimy? Mama powinna tu być lada moment.

- Tak, tak, doskonale. - Ojcu wyraźnie ulżyło. - Bardzo dobrze.

Logan zajął się wyciąganiem dokumentów od prawnika z teczki, w której je przechowywał. Trochę drżały mu przy tym ręce. Dlaczego tak się denerwuję, zastanawiał się. Przecież to jest mój oj-

ciec - powinienem móc przyjść do niego z każdym problemem. Ale człowiek siedzący naprzeciw niego w krępującej ciszy nie sprawiał wrażenia osoby, do której mógłby się zwrócić z czymkolwiek. Nie wyglądał nawet na kogoś, kto dał mu życie. Nagle Logan poczuł się jak intruz.

- Logan, kochanie, cóż to za pilna sprawa, która nie może poczekać? Za godzinę muszę być u fryzjera, a jutro jest Biało-Czarny Bal.

Logan wyprostował się z dokumentami w dłoni. Matka wpłynęła do pokoju cała we wzorzystych szyfonach, wypełniając nieco stęchłe powietrze biblioteki zapachem perfum, kolorami i niecierpliwą gestykulacją. Nie interesowała się domem, jej życie płynęło gdzie indziej, a ona jak najszybciej chciała do niego wrócić.

Logan odchrząknął i zaczął zaplanowane wcześniej przemówienie.

- W porządku. Jak oboje wiecie, rodzina Johnny'ego kilka tygodni temu zginęła w wypadku. Johnny nie ma żadnych innych bliskich krewnych, tylko dalekich kuzynów, którzy mieszkają w Idaho. Nigdy ich nawet nie widział. A jego rodzice nie wyznaczyli nikogo na jego opiekuna. W ogóle nie spisali testamentu. Rozwiązanie tych spraw zajmie więc trochę czasu, ale byłoby łatwiej, gdyby Johnny miał prawnego opiekuna... albo opiekunów.

Podniósł wzrok. Ojciec siedział ze wzrokiem wbitym we własne kolana i chyba przysypiał. Matka spoglądała na swoje odbicie w mosiężnej lampie biurkowej. Przyglądała włosy.

- Byłem u prawnika - ciągnął. - Jeśli podpiszecie te papiery i zostaniecie jego prawnymi opiekunami, Johnny będzie mógł zostać w swoim domu. To tylko dwa lata, do czasu, kiedy skończy osiemnaście lat. Ale jeśli każą mu się wyprowadzić, a może nawet wyjechać do innego miasta... Nie wiem, czy by to zniósł. Podpiszecie to?

Umilkł i czekał. Matka oderwała oczy od swojego odbicia i podeszła do Logana z roztargnionym wyrazem twarzy.

- Kochanie... Wiesz, że ja nie rozumiem tego prawniczego żargonu. Jestem pewna, że ojciec będzie wiedział, co zrobić. Prawda, Peter? - Poklepała męża lekko po ramieniu, najwyraźniej czekając na chwilę, kiedy będzie mogła sobie pójść.

Logan spojrział na ojca, który wydawał się coraz bardziej wystraszony.

- No, ja muszę uciekać, już jestem spóźniona.

- Ałe mamó, może najpierw to podpiszesz...

- Och, dobrze. - Wzięła długopis od Logana i szybko nabazgra-ła swój podpis tuż przy zaznaczonym ołówkiem krzyżyku. Nic nie wskazywało na to, że podjęła jakąś ważną decyzję, równie dobrze mogłaby podpisywać kartkę z życzeniami świątecznymi - prawdę mówiąc, do kartek z życzeniami przywiązywała większą wagę. Takie rzeczy zawsze miały dla niej znaczenie. Pochyliła się i pocałowała Logana w czoło.

- Będzie nam bardzo miło gościć twojego przyjaciela w naszym domu, prawda, Peter? Przynajmniej tyle możemy zrobić.

- Nie, nie będziemy go tu gościli. On...

Ale jej już nie było, usłyszał brzęk kluczyków od samochodu, a potem trzask drzwi. Ojciec przez chwilę spoglądał za nią.

- W porządku. Skoro twoja matka tak uważa... I on także złożył podpis na dokumencie.

Logan miał dopiero szesnaście lat, ale w tej chwili zrozumiał, że był jedyną osobą myślącą jak człowiek dorosły, która brała udział w tej rozmowie - jeśli w ogóle można to było tak określić. A wszystko, co się ostatnio wydarzyło, mówiło mu, że już czas, by stał się mężczyzną. Rodzice Johnny'ego zginęli, a Logan czuł, że jego rodzice, choć nadal żyli, jakby dla niego umarli. Byli z Johnnym sami - i Logan był na to przygotowany.

Rozdział 5

1977

Maryanne Curtis usiadła na swoich dłoniach w nadziei, że pocierając zaczerwienioną, opuchniętą skórą o szorstki materiał sukienki, choć na kilka sekund powstrzyma swędzenie. Czuła się tak, jakby

tysiące maleńkich, niewidocznych gołym okiem igiełek bezustannie nakłuwało jej ciało i w efekcie powstawały brzydkie, czerwone bąble. Wysypka potwornie dokuczała Maryanne i doprowadzała do szału jej matkę. Nie dość, że dziewczyna była nieśmiała i bez wdzięku, to jeszcze miała alergię na słońce.

Maryanne doskonale wiedziała, że wysypka tak jak ją irytuje też matkę, i świadomość ta dawała jej pewną satysfakcję. Sativa -było to imię, jakie niedawno przybrała - jak zwykle nie zwracała na córkę uwagi, przytrzymując ogromny słomkowy kapelusz na platynowych włosach jedną ręką i gestykulując żywo drugą, w której trzymała długiego cienkiego papierosa. Nachylała się przy tym do mężczyzny, który siedział obok i szeptał jej coś do ucha. Zaraz też skorzystał z okazji i objął ją w taliu mocno opalonym ramieniem i przesunął dłonią po biodrze. Rękaw białej koszuli, podwiniętej do łokcia, odsłaniał duży złoty zegarek marki Rolex. Sativa niemal zamruczała z zadowolenia. Boże, facet był odrażający, ona była odrażająca - wszystko to razem wywoływało mdłości.

Maryanne spojrzała na nich gniewnie i wsunęła się głębiej na swoje siedzenie. Pomarańczowy plastik zaskrzypiał w zetknięciu ze spoconą skórą. Miała bardzo pulchne nogi, co również irytowało Sativę - och, nie, naprawdę nie powinna myśleć o niej, używając tego imienia, to absurdalne. Ale jak inaczej mogłaby ją nazywać? Mamą? Na samą myśl omal się nie roześmiała. Jej „prawdziwym” imieniem? W latach sześćdziesiątych, kiedy ojciec Maryanne był jeszcze obecny w ich życiu, brzmiało ono Candy. Wcześniej jeszcze inaczej. Jakie dziecko nie zna imienia własnej matki? Chyba tylko Maryanne. Och, nie, Sativa ruszyła w jej stronę.

- Przestań się wreszcie wiercić, na litość boską - syknęła jej do ucha. Mdlący zapach Opium, zmieszany z papierosowym dymem, przyłgął do niej jak płaszcz.

- Nic na to nie poradzę. To boli.

- Kochanie, takie rzeczy są nam zsyłane, żeby nas wypróbować. Dla mnie z całą pewnością jest to ciężka próba.

Maryanne westchnęła, pociągnęła łyk fanty, która nagrzała się w słońcu, i skrzywiła się lekko.

- Dolać ci do tego trochę wódki? Może zaczniesz się lepiej bawić.

- Nie - burknęła Maryanne. - Nie potrzebuję alkoholu, żeby się dobrze bawić.

Prawdę mówiąc, po wódce było jej niedobrze, ale nie mogła przyznać się do tego matce, zaczęłaby nią gardzić jeszcze bardziej niż dotąd. Czasami udawało się jej wypić parę łyków, wiedziała jednak, że w takim upale natychmiast by to odchorowała.

- Widzę, że znowu zgrywamy grzeczną dziewczynkę. Jak zwykle. Nie wydaje mi się, żebyś się teraz dobrze bawiła.

- Bo. Się. Dobrze. Nie. Bawię. Sativa rzuciła jej gniewne spojrzenie.

- Niemożliwa dziewczyna. Jeśli nie potrafisz choćby udawać, że jest ci przyjemnie, to możesz równie dobrze wracać do hotelu. Zepsujesz mi wszystko z Carlosem.

- Świetnie.

Maryanne odwróciła głowę tak, by grzywka opadła jej na oczy i matka nie mogła zobaczyć łez, które do nich napłynęły. Schyliła się i udawała, że próbuje wyplątać sweter, który spadł na ziemię, pomiędzy nóg krzesła.

- Na litość boską, Maryanne, dlaczego nie znajdziesz sobie jakiejś przyjaciółki? Kogoś, z kim mogłabyś spędzać czas?

Maryanne nie patrzyła na nią. Nie mogła pozwolić, żeby matka zobaczyła jej łzy. Nie. Podniosła sweter, włożyła go i wstała. Matka westchnęła.

- Och, dobrze już, więc idź sobie. Nie zamykaj drzwi na klucz, jeśli położysz się spać.

Sativa wróciła do baru i zaśmiała się, kiedy Carlos przyłożył dłoń do swojej piersi.

- *Che bella, bellissima ...mi amore...* - powiedział i przygarnął ją do siebie.

Uh. Facet był naprawdę obleśny. Rany, matka umiała ich podrywać. Nikt nie zauważył, kiedy Maryanne przecisnęła się przez tłum ludzi pijących szampana i świętujących swoje bez troskie, luksusowe życie przy plażowym barze.

Wyszła na nienaturalnie czyste ulice Monako i ruszyła w stronę hotelu. Miasto wyglądało jak park tematyczny dla bogaczy. Wszystko było tu lśniące, doskonale utrzymane,

żadnego bezrobocia, żadnych strajków, żadnych punków, w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii. Tylko szampan, ruletka i mercedesy - taksówki. Maryanne bardzo się tu denerwowała. Bała się, że ktoś je w końcu odkryje.

„Dlaczego nie znajdziesz sobie jakiejś przyjaciółki...” Teraz, kiedy oddaliła się od baru, przestała ukrywać twarz i łzy spływały jej po policzkach. Rzeczywiście, dlaczego nie potrafiła znaleźć sobie przyjaciółki? Nie tylko tutaj, ale nigdzie. Odkąd ojciec odszedł i matka zaczęła prowadzić ten koczowniczy tryb życia, podróżując od jednego miejsca, w którym miała nadzieję złowić jakiegoś bogatego faceta, do drugiego, kończąc jeden nieudany związek i zaczynając następny, Maryanne zawsze była outsiderką.

Zawsze była kimś z zewnątrz, nawet w swojej własnej rodzinie. Rodzice tworzyli zgrany duet, interesowali się wyłącznie sobą nawzajem. Ojciec wpatrzony tylko w matkę, w tych rzadkich chwilach, kiedy dostrzegał Maryanne, widział ją oczami Candy. A to nie był zbyt pochlebny obraz.

Maryanne miała pięć lat, kiedy zrozumiała, że matka jej nie chciała.

Bawiła się wtedy domkiem dla lalek, samotnie, jak zwykle. Właśnie sadzała rodzinę swoich lalek do stołu. Mama nakładała tacie dużą porcję sałatki ziemniaczanej, a starsza siostra pomagała młodszej ukryć kawałek brokuła.

Candy piła w ogrodzie martini ze swoją przyjaciółką Lorną; mężczyźni stali przy piekących się na grillu kawałkach mięsa i palili papierosy. Głos matki nadpłynął od strony ganku wraz z papierosowym dymem.

- Ty to masz szczęście, Lorrie - mówiła Candy. - Nikt nie wpada ci bez przerwy pod nogi. Nikt nie płacze w środku nocy i nie psuje ci imprez. Nikt nie zdeformował ci brzucha... - Urwała. Maryanne wiedziała, że zrobiła to, by wydmuchnąć kłęb szarego dymu, który na moment spowije jej twarz mglistym woalem.

- Och, ale ona jest taka urocza, Candy. I taka grzeczna. W ogóle nie hałasuje.

- Nie ty musisz z nią żyć.

Och. To o niej. Ta „ona” to właśnie ona. Maryanne skupiła się na obiedzie dla lalek.

- No, tatusiu, zostaw trochę tej sałatki dla innych - mówiła mama z domku dla lalek wesołym tonem.

- Przepraszam cię, kochanie, ale twoje dania są takie pyszne - odparł tata.

Maryanne westchnęła.

- Dzieci są po prostu... wszędzie - ciągnęła Candy. - W całym domu jest pełno tych jej zabawek i ubrań. Nigdzie nie możemy wyjść, jeśli nie znajdziemy kogoś do opieki. Ja nie mogę nawet pójść do łazienki, bo ona zaraz płacze...

Boże, wykańcza mnie to.

- Chodźcie, są już koktajle. Wódka jest wspaniała! Pomaga na wszystko.

Kobiety zaśmiały się. Maryanne skoncentrowała się na obiedzie dla lalek, ale one straciły apetyt.

Maryanne szła szybko ulicami, chcąc jak najprędzej dotrzeć do względnie bezpiecznego miejsca, jakim był hotel.

Miała zamiar napełnić wannę zimną wodą i włożyć do niej swoje zaczerwienione, piekące nogi. Kiedy przeszła przez ulicę i podniosła stopę, żeby wejść na chodnik, zahaczyła butem o krawężnik i zachwiała się; zamachała rękami, by odzyskać równowagę, ale jej się nie udało i upadła.

- Och, do diabła!

Głupie platformy, które głupia matka kazała jej nosić, żeby nogi wydawały się dłuższe. W przyływie frustracji cisnęła torebkę na ziemię i zaczęła płakać, siedząc na krawężniku, z nogami w tych idiotycznych butach wyciągniętymi przed siebie. Dopiero teraz zauważyła, że sprzączka w jednym pękła. Dobrze - nie będzie musiała już ich nosić. Na ręce, od łokcia do nadgarstka, biegło długie zadrapanie; z torebki wszystko wysypało się na chodnik. Świetnie.

Maryanne patrzyła ponuro na swój dobytek. Jakaś tania szminka, której nigdy nie używała, bo wyglądała w niej pospolicie; mała wyszywana koralikami portmonetka z kilkoma dolarami; karta członkowska fanklubu Donnie Osmonda; zdjęcie ojca, kilka plastikowych koralików, klucz do hotelowego pokoju - i w końcu mocno podniszczony egzemplarz *Pirata* Harolda Robbinsa, który dała jej Sativa. Maryanne najpierw kręciła na tę książkę nosem, a potem

przeczytała ją od deski do deski, z wypiekami na twarzy. Podniosła ją teraz z żalem. Takie rzeczy nigdy nie zdarzały się bohaterkom powieści.

- *Puis-je vous aider, mademoiselle?*

Maryanne podniosła głowę i zobaczyła wąską, opaloną dłoń o długich palcach, wyciągniętą w jej stronę. Ujęła ją i wstała, czując, że jej ręka jest brudna i spocona.

- *Cela vous fait mai?*

Patrząc w ciemne, życzliwe oczy swojego wybawcy, Maryanne usiłowała przypomnieć sobie coś z lekcji francuskiego - cokolwiek, co pozwoliłoby jej podtrzymać rozmowę z tym niezwykle przystojnym chłopcem w lśniących skórzanych półbutach i jasnożółtym swetrze, miękkim jak świeżo wykluty z jajka kurczak.

- *Je suis... Il y a...* - Nic z tego. Wszystkie francuskie słowa, jakie zdołała sobie przyswoić w szkole, jakby rozplynęły się w powietrzu.

- O Boże, wcale nie jesteś Francuzką. Myślałem, że jesteś, bo wyglądasz tak szykownie. Właśnie wyczerpałem swój repertuar

i miałem zamiar ratować się pytaniem, gdzie jest poczta.

Mówił szybko, słowa spływały z jego ust wartkim strumieniem. Uśmiechnął się szeroko do Maryanne i znowu wyciągnął rękę. Szybko wytarła dłoń o spódnice, a on ujął ją z pewnością siebie zaskakującą u kogoś w jego wieku.

- Jestem Maryanne - powiedziała nieśmiało.

- Hej, więc ona jednak mówi! Już zaczynałem się zastanawiać. Ja jestem Nicolo. Nicolo Flores. Amerykanin, jak ty. A ty wyglądasz jak ktoś, komu przydałby się drink.

Nicolo był jej pierwszym prawdziwym przyjacielem. Pierwszą osobą, którą poznała sama, a nie przez Sative. A także pierwszym człowiekiem, który miał ochotę spędzać z nią czas i interesowało go to, co miała do powiedzenia. Słuchał jej i pytał ją o zdanie, co było dla Maryanne zupełnie nowym doświadczeniem. Czuła, jak z każdym spotkaniem z tym ciemnym, przystojnym chłopcem nabiera pewności siebie. Nie mogła uwierzyć, że on nie krępuje się iść z nią ulicą - przeciwnie, wydawał się z tego dumny. Tego pierwszego

dnia, kiedy się poznali, zabrał ją do baru i zamówił campari z wodą sodową. Drink był gorzki i Maryanne ścierpł od niego język, ale wyglądał w szklance tak pięknie jak klejnot, więc nie narzekała.

Spędzili razem całe popołudnie - pili koktajle, wędrowali uliczkami i rozmawiali. Nicolo uparł się, by nieść jej torebkę, a Maryanne śmiała się, patrząc na tę małą, hippisowską torebeczkę zwisającą z jego szczupłego ramienia. On też się śmiał i zachowywał się jak kobieta - udawał, że nakłada szminkę na usta i zabawnie drobił krocзки po chodniku, jakby nosił buty na wysokich obcasach.

Trzy campari później usiedli przy stoliku przed małą kawiarenką w jednej z bocznych uliczek, z dala od lśniących szerokich alei, tak czystych, jakby zostały wysprzątane odkurzaczem, a nie po prostu zamiecione. Maryanne czuła się tu znacznie swobodniej, z dala od bogatych właścicieli jachtów i ich tlenionych żon. Jej matka doskonale nadawałaby się na taką żonę, Maryanne natomiast czuła, że ona sama nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Tam Nicolo zapytał o jej życie, i wszystko wylało się z niej rwącym potokiem. Powiedziała mu, że jej ojciec odszedł, kiedy nakrył matkę w łóżku z którymś ze swoich przyjaciół - tym razem z szefem, co przepelniło czarę goryczy i było ostatnim gwoździem do trumny ich małżeństwa. Spakował swoje rzeczy i nawet nie obejrzał się za siebie, choćby po to, by pożegnać się z córką. Tęskniła za nim, ale nie tak, jak czuła, że powinna, bo kiedy jeszcze był z nimi, i tak zawsze patrzył tylko na matkę, nigdy na nią, jej prawie nie zauważał. Więc może tak naprawdę tęskniła nie za nim, ale za jakimś ogólnym wyobrażeniem ojca? Powiedziała też Nicolowi, że wstydzi się matki, bo wie, że interesują ją tylko pieniądze; że cierpnie, kiedy inne kobiety rzucają w stronę Sativy niespokojne spojrzenia i stają bliżej swoich mężów; że nie znosi tego błysku w jej oczach, kiedy na horyzoncie pojawia się kolejny podtatusiały lowelas. Powiedziała mu, że boi się, iż dzieci zawsze wdają się w rodziców, że pewnego dnia stanie się taką samą kobietą jak jej matka, czy jej się to będzie podobało, czy nie. Że czuje się najszcześliwsza, kiedy maluje albo rysuje; że wtedy jest w swoim własnym, małym świecie, pełnym kształtów i kolorów, i kobiet w pięknych sukniach, ogromnych kapeluszach, boa z piór i błyszczących pantofelkach.

A Nicolo słuchał; nie wydawał się znudzony, nie sprawiał wrażenia, jakby chciał, by wreszcie skończyła, nie patrzył na coś ponad jej ramieniem, uprzejmie kiwając głową. Nie - on naprawdę słuchał. W końcu uszła z niej cała para i Maryanne siedziała, czując się trochę tak, jakby ukończyła jakiś męczący bieg. Była zdyszana i nie mogła uwierzyć, że właśnie opowiedziała prawie zupełnie obcemu człowiekowi o swoim życiu. A jednocześnie czuła się wspaniale. Lekko. Zresztą Nicolo nie wydawał się jej już obcym czy prawie obcym człowiekiem. Wydawał się przyjacielem.

- Przepraszam, o nic cię nawet nie zapytałam i całkiem zdominowałam rozmowę - powiedziała.

- Zdominowałaś rozmowę? - zaśmiał się Nicolo. - Zabrzmiało to bardzo formalnie.

Maryanne zaczerwieniła się.

- Matka posyłała mnie na lekcje etykiety. Mówiła, że nikt nie będzie chciał spędzać ze mną czasu, jeśli nie nauczę się zachowywać, jak należy.

- Co za nuda. Uważam, że znacznie zabawniej jest zachowywać się tak, jak nie należy - odparł i puścił do niej oko.

Rumieniec na twarzy Maryanne pociemniał. Czy on z nią flirtuje? Nie wiedziała. Nie, na pewno nie, jest od niej co najmniej trzy lata starszy. Pewnie tam, gdzie mieszka - gdziekolwiek to jest - ma jakąś piękną dziewczynę.

- Nie panikuj, nie flirtuję z tobą.

O Boże, więc wszystko tak po niej widać? Nagle poczuła się strasznie nieobyta i skrepowana. On się z niej wyśmiewał, to oczywiste: Był młody, ale taki wyrafinowany, przystojny... Na pewno miał bogatych rodziców, skoro podróżował po świecie. A teraz dla zabicia czasu zabawił się trochę z niezdarną dziewczyną, która przewróciła się na ulicy. Maryanne wstała szybko i sięgnęła po torebkę.

- Muszę już iść. Dziękuję za miłe popołudnie. Mama będzie się zastanawiała, gdzie jestem.

- Co? Przecież mówiłaś, że... Och, uraziłem cię.

- Nie, nie, wszystko w porządku, tylko muszę już wracać do hotelu.

- Chodziło o ten flirt, prawda?

Spojrzała na niego. Uśmiechał się. Maryanne nagle ogarnął gniew. Do diabła z nim! Może jest dziecinna i niemądra, ale z pewnością nie zasługuje na to, żeby się z niej wyśmiewać.

- Posłuchaj, na pewno masz ciekawsze rzeczy do roboty, niż siedzieć tu ze mną, więc lepiej wróć do swoich bogatych znajomych czy rodziny, czy z kim tam tutaj jesteś, i zapomnijmy o tym spotkaniu. Wiesz, brzydko jest drwić z innych.

I z całą godnością, na jaką było ją w tej chwili stać, wzięła swoją wystrzępioną torebkę z jego rąk i wyszła na ulicę.

- Hej, Maryanne! Maryanne! Zaczekaj!

Lewa, prawa. Lewa, prawa. Co on sobie wyobraża? Przyspieszyła, jej nogi z trudem nadażały za resztą ciała. Ale on także był szybki i po chwili znalazł się obok niej.

- Moi bogaci znajomi? Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego uciekasz? Stój! - Chwycił ją za łokieć, a ona przystanęła i wyrwała mu się.

- Zostaw mnie!

- Doskonale! Jezu, dlaczego tak się wrednie zachowujesz?

- Ja? To ty wyśmiewałeś się ze mnie przez całe popołudnie. Wyciągnąłeś ze mnie wszystko o moim żalonym życiu, żeby teraz móc opowiedzieć innym o beznadziejnej dziewczynie, którą spotkałeś...

Urwała. To, co powiedziała, jej samej wydało się śmieszne. Ni-colo patrzył na nią zdumiony.

- O czym ty mówisz? Myślisz, że siedziałem tu z tobą, żeby móc się później z ciebie nabijać?

Nie odpowiedziała.

- Tak?

Kiwnęła głową. Nagle poczuła się głupio.

- Świetnie. Pędź do swojego hotelu. I czekaj, aż wróci twoja matka, Bóg wie o której godzinie. Nic mnie to nie obchodzi. Ale gdybyś mnie o to zapytała, powiedziałbym ci, dlaczego chciałem z tobą rozmawiać, spędzać z tobą czas.

O Boże. Teraz Maryanne naprawdę się zawstydziała. Miał rację, o nic go nie zapytała, nie wiedziała nawet, gdzie on mieszka. Rzeczywiście zachowała się wrednie.

- Przepra...

Ale Nicolo nie pozwolił jej skończyć.

- Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo czuję się samotny. Jestem tu sam i mam już naprawdę dość udawania światowca. Chciałem z kimś pogadać. Z kimś normalnym. Nieważne zresztą. Zapomnij o tym.

Teraz to Nicolo odwrócił się i ruszył przed siebie ulicą, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie spodni. Cholera. Maryanne pobiegła za nim. Naprawdę wszystko zepsuła.

- Przepraszam cię, Nicolo. Bardzo cię przepraszam. Tylko pomyślałam sobie... och, jestem taką idiotką.

Pomyślałam, że flirtujesz ze mną, a potem zdałam sobie sprawę, że to niemożliwe... to znaczy... po co miałbyś to robić. Jestem pewna, że twoja dziewczyna jest śliczna, a ja sama nie wiem...

Nicolo zatrzymał się i westchnął.

- Jaka dziewczyna? Maryanne wzruszyła ramionami.

- Wiesz co, Maryanne?

- Co? - Zebrała się w sobie, pewna, że usłyszy zaraz coś w rodzaju „odpieprz się”. Zasłużyła na to.

- Jeśli mamy się zaprzyjaźnić, naprawdę będziesz musiała nauczyć się zadawać mi pytania, zamiast zapełniać luki w tym, co wiesz, wytworami swojej wyobraźni.

Rzeczywiście się zaprzyjaźnili. Resztę tego wieczoru spędzili razem. Poszli do taniego hoteliku Maryanne zostawić wiadomość dla jej matki („Nie, żeby miała wrócić przede mną, ale zawsze...”), a potem na hamburgery z frytkami.

Teraz to Nicolo opowiadał Maryanne o sobie. O swojej firmie, o tym, jak zmarł jego ojciec, a matka zmagala się z problemami finansowymi. O swoim niespodziewanym sukcesie i o tym, że przez to stał się kimś znanym w swoim mieście, co szybko zaczęło go męczyć, więc postanowił wybrać się latem w wielką podróż po Europie. A po wakacjach, mówił, wróci, by skończyć szkołę i zmierzyć się z konsekwencjami swojego nagłego bogactwa.

- Wiesz, moi przyjaciele... cóż, nie mam ich zbyt wielu, ale ci, których wcześniej miałem, naprawdę nie wiedzą, jak się teraz

zachowywać. Jakbym stał się kimś innym. Nie czują się już przy mnie swobodnie. A bogate dzieciaki nie chcą mnie znać, jestem nuworyszem, rozumiesz? Wstydliva sprawa, samemu zarabiać pieniądze, zamiast dziedziczyć je w ramach Klubu Szczęśliwej Spermę. - Zaczerwienił się. - Przepraszam.

Maryanne roześmiała się i pokręciła głową.

- Nie ma sprawy. Słyszałam już słowo „sperma”. Zamieszkać z moją matką, a będziesz je słyszał dość często. -

Odgryzła kawałek hamburgera, wycierając strużkę tłuszczu, która spłynęła jej po brodzie.

- Moja matka spadłaby z krzesła, gdyby usłyszała, że mówię coś takiego. Jest bardzo staroświecka. Tak czy inaczej, oni wszyscy myślą pewnie, że to jakiś przekręt. - Nicolo otarł sól z ust papierową serwetką, a drugą serwetkę podał Maryanne, żeby mogła zrobić to samo.

- Twoja firma?

- Tak. Jakieś oszustwo czy coś w tym rodzaju. Wiesz, jestem bardzo młody, a to stało się bardzo szybko, więc musi być w tym coś podejrzanego. Ale to nieprawda. Po prostu odkryłem, w czym jestem dobry. Mam ciekawe pomysły. Potrafię sprzedawać je innym. Przekonywać ich, że chcą tego, co mam im do zaoferowania. - Umilkł i spuścił oczy.

- Sam nie wiem. Może to jednak jest oszustwo.

- Ja myślę, że to jest talent. I to bardzo fajny talent.

- Dzięki.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, słuchając odgłosów dobiegających z pobliskich barów.

- Hej, wiesz co? - przerwał milczenie Nicolo - Chodzi mi o tę sprawę z... z flirtowaniem...

- Uhm. - Maryanne włożyła do ust kilka frytek naraz, żeby nie musieć mówić.

- Nie flirtowałem z tobą, ale nie dlatego, że mam dziewczynę... bo nie mam. I nie dlatego, że mi się nie podobasz... bo mi się podobasz.

Urwał. Maryanne milczała. Czy powinna się teraz odezwać? Lecz co miałaby powiedzieć? „Dziękuję?” Na szczęście Nicolo mówił dalej.

- Chodzi o to, że jesteś bardzo młoda. A ja nie wiem, co się zdarzy, kiedy wrócę do domu.

Teraz patrzył na nią tak, jakby oczekiwał jakiejś reakcji.

- Okej - wydusiła z trudem. Boże, to było takie żenujące.

- Okej. - Wyglądał tak, jakby mu ulżyło. - Bo nie chciałem, żebyś myślała, że się z ciebie wyśmiewałem. Bo...

Maryanne czuła, że nie wytrzyma tego ani chwili dłużej.

- Wszystko w porządku, naprawdę. Nie myślę tak. A teraz powiedz mi, gdzie będzie następny przystanek w twojej wielkiej podróży?

Kilka dni później Nicolo pojechał do Włoch, gdzie miał zamiar wędrować z plecakiem przez dwa tygodnie i zobaczyć wszystkie dzieła wielkich mistrzów, które dotychczas znał tylko ze zdjęć. Przed wyjazdem odkrył, że Maryanne dzieli jego pasję do sztuki. Obiecał jej kartki ze wszystkich ważniejszych miejsc, które zwiedzi. Maryanne i Sativa wróciły parę dni później do rodzinnego domu w Ohio -Maryanne wiedziała, że już niedługo będzie je stać na jego utrzymanie. Był wynajęty, a kończyły się pieniądze, które zostawił Sativie ojciec Maryanne. Sativa wydała je w ciągu roku bezowocnych poszukiwań jakiegoś bogatego mężczyzny. Maryanne wiedziała o tym, ponieważ zaglądała do korespondencji matki - częściowo dlatego, że tylko w ten sposób mogła się dowiedzieć, co się dzieje, a częściowo dlatego, że skrycie liczyła na jakąś wiadomość od ojca. Ale żadna wiadomość od niego nigdy nie nadeszła.

Tym razem jednak, kiedy usiadła na najniższym stopniu schodów, otulając się swetrem, bo w domu było zimno (nie było też zbyt wielu sprzętów, gdyż Sativa sprzedała większość mebli, by opłacić przelot do Nicei, a gaz odcięto im zapewne, kiedy były za granicą), i zaczęła przeglądać pocztę w poszukiwaniu takiego rachunku, na którego zapłacenie jeszcze było je stać, choć nie znalazła nic od ojca, dostała kartkę od Nicola. Na kartce z Galerii Uffizi we Florencji była reprodukcja obrazu, który znała, *Narodziny Wenus* Botticellego. Patrzyła na piękną kobietę wynurzającą się z morza w wielkiej muszli, z rozwianymi włosami - choć zasłaniała dłonią łono, nie mogła ukryć, że jest naga.

Odwróciła kartkę.

„Zobaczyłem to i pomyślałem o Tobie"... Zamaszyste, pewne litery wypisane czarnym atramentem. Znów odwróciła kartkę i wpatrzyła się w obraz. Kobieta na nim była bez wątpienia naga. Spomiędzy palców dłoni, którą luźno przytrzymała pierś, wyzierał różowy sutek. Maryanne zaczerwieniła się. W niczym nie przypominała tej włoskiej piękności - a może przypominała? Wstała ze schodów i podeszła do lustra wiszącego na ścianie holu. Zdjęła klamrę z włosów i rozpuściła je - miały ten sam odcień rudawo-blond jak włosy *Wenus* Botticellego, były gęste i równie pięknie się wiły. Maryanne przerzuciła je przez ramię i przekrzywiła głowę, a potem dla porównania przyłożyła pocztówkę do twarzy. Zadrżała. Czy on tak właśnie ją widział? Czy to możliwe?

- Co robisz? Co tam masz? Maryanne drgnęła.

- Nic. Coś mi wpadło do oka.

Szybko wsunęła kartkę za bluzkę. Na szczęście Sativa była zbyt otepiała, by cokolwiek zauważyć. Minęła córkę i weszła do kuchni. Maryanne poczuła snujący się za nią zapach haszyszu zmieszany z kwaśnym odorem wódki. Tak właśnie pachniała jej matka.

- Witam, moje nazwisko Curtis. Chciałabym porozmawiać z osobą, która prowadzi moje konto.

Maryanne odetchnęła głęboko, starając się, by jej głos zabrzmiał spokojnie i pewnie, tak jakby nie miała zaledwie czternastu lat. Stała w budce telefonicznej, nie spuszczać wzroku z matki, która na chodniku paliła papierosa. Podszywanie się pod matkę w rozmowach z firmami usługowymi i bankiem było jedynym sposobem na utrzymanie się na powierzchni, jaki przychodził Maryanne do głowy. Sativa całkiem osunęła się w otchłań pijaństwa i nie zamierzała niczym się zajmować ani zabrać się do pracy. Maryanne nie miała pojęcia, jak długo jeszcze to wytrzyma. Za kilka tygodni lato się skończy i będzie musiała wrócić do szkoły - i co wtedy?

Czekając, aż pracownik banku podejdzie do telefonu, włożyła rękę do torebki i wymacała w środku gruby plik kartek poczt-

wych, które zebrała w ciągu kilku ostatnich tygodni. Niemal codziennie dostawała nową z jakimś dziełem sztuki - na ogół Nicolo wybierał rzeźby i obrazy przedstawiające kobiety o długich złotych włosach. Każdego ranka, kiedy tylko rozległ się dźwięk listów wrzucanych do skrzynki, Maryanne biegła na dół - teraz nie musiała się już ukrywać, bo od pewnego czasu Sativa nigdy nie wstawała przed lunchem. Pocztówki wносиły w życie Maryanne powiew ekscytacji. Ciekawiło ją, gdzie był Nicolo i co widział, jaką wybrał dla niej kartkę. Z pocztówką w ręce wracała na górę do swojego pokoju i zwijała się w kłębek pod kołdrą, wyobrażając sobie Nicola w sklepieniu takiej czy innej galerii sztuki, szukającego odpowiedniej kartki. Muskał dłonią kilka pocztówek, a potem płacił za tę, która parę dni później trafiała do jej skrzynki pocztowej. Potem może siadał w małej kafejce przy *piazza*, pił kawę i pisał do Maryanne. Wiadomości od niego były zwykle bardzo krótkie, składały się z jednego albo dwóch zdań. „Jadłem ośmiornicę. Raczej nie polecam”. „Wenecja piękna. Ale śmierdzi”. Aż w końcu przysłała ta ostatnia pocztówka. „Tęsknię za domem. Mam już bilet na samolot”.

Serce podskoczyło jej w piersi, kiedy przeczytała te słowa. Po czym podskoczyło znowu, choć tym razem ze zdenerwowania, bo w słuchawce rozległ się głos pracownika banku.

- Pani Curtis? Odchrząknęła.

- Tak, to ja. Muszę porozmawiać na temat mojego konta.

- Istotnie, pani Curtis. Próbowałem się do pani dodzwonić, ale ma pani wyłączony telefon.

- Tak, zaszło pewne nieporozumienie...

- Nic podobnego, żadne nieporozumienie. Telefon został odłączony, ponieważ nie zapłaciła pani rachunków za ostatnie sześć miesięcy. Czek, którym ostatnio próbowała pani uregulować należność, został odrzucony. Przez nas.

- Tak, właśnie chciałam o tym porozmawiać. Chciałabym dokonać przelewu...

- Pani Curtis, nie ma nic, co mogłaby pani przelać. Pani konto oszczędnościowe jest puste. Chyba że wpłaci pani...

Mówił dalej, ale Maryanne już go nie słuchała. Wszystko zdawało się wirować wokół niej. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu i pieniądze się skończą, ale sądziła, że potrwa to trochę dłużej, że zdoła w końcu skłonić matkę, by wzięła się w garść i poszukała pracy. Wyobrażała ją sobie w jakimś salonie piękności. Mogłaby robić manikiur i czesać dziewczęta na bal maturalny. Spojrzała teraz na nią, na jej opuchniętą, nie umalowaną twarz, na jej brudne, zmięte ubranie. A potem odłożyła słuchawkę i zaczęła łkać jak mała dziewczynka, którą jeszcze niedawno była. Maryanne i Sativa przybyły do Londynu pewnego wilgotnego wrześnieowego poranka. Szary pas startowy i zimne, szare powietrze pasowały do nastroju Maryanne, kiedy patrzyła w okno samolotu. Śpiąca obok niej matka chrapała cicho. Maryanne zadzwoniła do jedynej osoby, która jej zdaniem mogła im pomóc - jeśli nie z miłości, to przynajmniej z poczucia obowiązku. Tamtego dnia, stojąc w budce telefonicznej, kiedy już przestała płakać, przekart-kowała książeczkę adresową matki i znalazła ten numer. A potem sprawdziła kierunkowy i uzyskała połączenie.

Głos po drugiej stronie brzmiał obco; nawet akcent, z jakim mówił, nie przypominał żadnego brytyjskiego akcentu znanego Maryanne z telewizji. Brytyjczycy mówili albo poprawną, elegancką angielszczyzną BBC, albo robotniczym slangiem - głos w słuchawce brzmiał szorstko i ostro.

- Tak? - odezwała się kobieta znudzonym tonem.

- Czy to pani Westbrook? - zapytała Maryanne.

W słuchawce rozległo się prychnięcie. Mimo odległości Maryanne wyraźnie usłyszała w nim złość.

- Czy to pani Westbrook? Cóż, przypuszczam, że tak, choć pana Westbrooka nie widziałam tu od cholernie długiego czasu. Kto mówi?

Maryanne przełknęła ślinę. Zaczynała tracić nadzieję, że ta kobieta im pomoże. Musiała jednak spróbować. Bo jaki miała wybór?

- Mówi Maryanne Curtis z Ameryki. Cisza.

- Pani wnuczka.

Rozdział 6

1978

Ragaże Nicola stały w równym rzędzie na jedwabnym dywanie pod ścianą holu domu jego matki - proste torby z brązowej skóry, odcinające się od kremowej tapety w złoty wzór. Mama Flores nie rozumiała upodobania syna do szlachetnej prostoty zarówno w strojach, jak i meblach czy architekturze; dla niej jakość oznaczała sztukę, a ten najlepiej widoczny jest w bogatym w zdobienia, lekko ostentacyjnym stylu. Kiedy wybierała nowe rzeczy, Nicolo zawsze powtarzał:

- Mamo, a co powiesz na to? To takie subtelne, widać, że jest najwyższej jakości.

Ach, lecz jej te rzeczy wydawały się nijakie, nudne. Nie żeby chciała się chwalić sukcesem, który w tak młodym wieku odniósł jej syn, ale... jeśli kogoś stać na ładne rzeczy, to dobrze, żeby inni je zauważali - no nie? Ciągle nie mogła uwierzyć, że tak mu się powiodło. Jako dziecko nie zapowiadał się jakoś szczególnie obiecująco. Właściwie był całkiem przeciętny. Ale po śmierci ojca, kiedy wpadli w kłopoty, nastąpiła w nim jakaś przemiana. Wydoroślał nagle, przestał być chłopcem. A teraz jeszcze dostał się na Uniwersytet Harvarda. Kiedy mieszkała na Malcie, nigdy nawet nie marzyła, że będzie miała syna, który w wieku siedemnastu lat zarobi dość pieniędzy, by kupić matce nowy, w pełni umeblowany dom. Westchnęła zadowolona, ostatni raz spojrzała na jego torby, stojące w równym rzędzie od najmniejszej do największej, i poszła przyrzadzić jego ulubione danie. Była z syna bardzo dumna. Jaka szkoda, że Nicolo od kilku miesięcy wydawał się taki przygnębiony. Nie wiedziała dlaczego. Pewnie jakaś dziewczyna, pomyślała; weszła do kuchni i zaczęła przygotowywać pastizzi.

Mama Flores miała rację - przyczyną przygnębienia Nicola istotnie była dziewczyna, przynajmniej w pewnym sensie. Maryanne

bowiem głęboko zapadła mu w serce. Podczas podróży po Europie wysyłał do niej pocztówki. Znajdował przyjemność w wybieraniu tej najbardziej odpowiedniej i pisaniu na jej odwrocie, przy kawie wypijanej w jakiejś małej kafejce. Był to niemal rytuał, żelazny punkt każdego dnia. Co więcej, pulchna czternastolatka, która nie nabrała jeszcze typowo kobiecych krągłości, ale miała świetlistą cerę i wijące się włosy, które opadały jej miękko na ramiona, oczarowała go. Była jeszcze dzieckiem, a jednak nie była dziecinna - prawdopodobnie dlatego, że musiała opiekować się matką. To ich łączyło: oboje nie mieli ojców - choć ojciec Maryanne odszedł od rodziny, a jego zmarł. Rozumieli się doskonale. Poza tym Maryanne była tak pełna życia, tak czarująco podekscytowana jego zainteresowaniem nią, taka otwarta... Tak, to o to właśnie chodzi, pomyślał teraz, siedząc na brzegu łóżka w swojej pustej niemal sypialni. To w niej najbardziej pociągało - otwartość. Mówiła wszystko, co przyszło jej na myśl, i mówiła to natychmiast, a to, co czuła, natychmiast znajdowało wyraz w mowie jej ciała, w tym jak chodziła, jak poruszała rękami. Była przejrzysta - nie potrafiłaby skłamać, nawet gdyby chciała. Była szczerą, prawdziwą, a Nicolo, choć niechętnie, musiał w końcu przyznać przed samym sobą, że się w niej zakochał.

Tak bardzo chciał znowu ją zobaczyć po powrocie do domu. Podczas spotkania w Monako nie podał jej swojego adresu, bo wtedy nie wiedział jeszcze, kiedy wróci. Więc wziął adres od niej. On także, gdyby miał być ze sobą całkiem szczerą, musiałaby przyznać, że podobała mu się ta tajemniczość i poczucie, że to on kontroluje sytuację, że on wysyła do Maryanne pocztówki z różnych miejsc na świecie, a potem, kiedy będzie już na to gotowy, nagle znowu wkroczy w jej życie.

Ale to wszystko w pewnym sensie zwróciło się przeciw niemu. Najpierw próbował się do niej dodzwonić, okazało się jednak, że numer został odłączony. Spróbował jeszcze raz, sądząc, że źle wystukał cyfry, lecz w słuchawce rozległ się ten sam sygnał. Firma telefoniczna odmówiła podania jakichkolwiek szczegółów. Jej pracownik nie chciał nawet potwierdzić, że numer ten był wcześniej zarejestrowany na nazwisko Maryanne, tłumacząc, że jest to informacja poufna. Potem wysłał list, podając swój numer i adres.

Napisał, że wrócił do kraju, i prosił, by się z nim skontaktowała. Po tygodniu napisał jeszcze raz, tłumacząc sobie, że pierwszy list pewnie zaginął. Dwa tygodnie później stracił apetyt i dwa kilo wagi, mimo wysiłków podejmowanych przez matkę. Wysłał telegram za potwierdzeniem odbioru. Dwa dni później telegram wrócił do niego, nieotwarty, z adnotacją „adresat nieznany” na odwrocie.

Gdyby Nicolo nie był tak zamknięty w sobie, gdyby nie miał skłonności do wyciągania pochopnych wniosków, może pojechałby z New Jersey do dawnego domu Maryanne, a wtedy może spotkałby któregoś z sąsiadów i dowiedział się, że ona i jej matka nagle wyjechały, a do ich drzwi często pukają komornicy. I zdałby sobie sprawę, że musiały opuścić dom w pośpiechu. Gdyby pojechał tam zaraz po powrocie z podróży albo w ciągu następných dwóch tygodni, dotarłby tam, jeszcze zanim do domu wprowadziła się inna rodzina, ze swoimi pudłami pełnymi rzeczy, plastikowymi samochodzikami i trampoliną. Nowi właściciele zatrudnili profesjonalną firmę, która dokładnie wysprzątała dom, by pozbyć się wszechobecnego zapachu papierosów i kadzidełek, a także sterty listów, która urosła pod drzwiami. I zdałby sobie sprawę, że Maryanne nie dostała jego ostatnich listów, zamiast podejrzewać, że podała mu fałszywy adres i że wszystkie pocztówki wysyłał w pustkę albo, co gorsza, na pośmiewisko innych ludzi. Może nawet znalazłby małą różową karteczkę wyrwaną z notesika i wsuniętą pod wycieraczkę, z napisanym na niej pośpiesznie londyńskim adresem i numerem telefonu, złożoną na pół i zaadresowaną do niego.

Ale nie zrobił tego wszystkiego, więc kartka z adresem wyfrunęła, kiedy z wycieraczki wytrzepywano kurz, a potem ktoś ją podniósł i wyrzucił do śmieci. Nicolo nigdy jej nie przeczytał, był więc przekonany, że Maryanne go okłamała.

A Nicolo nie znosił kłamców. Bardziej niż kłamców nie znosił tylko tych, którzy się z niego wyśmiewali, więc to, co uznał za okrutną drwinę ze strony Maryanne i co zdawało się tak nie pasować do dziewczyny spotkanej na ulicy w Monako, wywołało u niego gorycz i złość. Przebrnął jakoś przez jesień i zimę, cały swój czas poświęcając nauce. W szkole czuł się kiepsko, nadal nie miał przyjaciół, a nastrój, w jakim się znajdował, nie sprzyjał nawiązywaniu kontaktów.

W czasie wakacji obiecał sobie, że po powrocie do domu spróbuje poszukać znajomych w swoim wieku, z uczelni i spoza niej, to nie miało dla niego znaczenia. Zacznie uprawiać jakiś sport, zapisze się do jakiegoś klubu, zrobi wszystko, by poznać więcej ludzi - takich, którzy dostrzegą w nim kogoś więcej niż tylko ciemnowłosego, szczupłego chłopaka, który zbił fortunę, sprzedając tanie zabawki, przez co wszyscy patrzyli na niego trochę podejrzliwie. Nigdy nie przypuszczał, że sukces może tak skomplikować życie. Myślał, że po prostu odkupi dom matki od banku i wszystko zostanie po staremu, poza tym, że życie będzie trochę wygodniejsze. Bardzo się mylił. Kiedy emocje trochę opadły, matka doszła do wniosku, że nie chce już mieszkać w swoim dawnym domu, że wiąże się z nim zbyt wiele wspomnień, że jest w nim zbyt wiele skrzypiących schodów. Chciała mieszkać w dobrej dzielnicy i mieć chłopca do koszenia trawnika, a nie trzeszczącą drewnianą podłogę i zaniedbany park miejski przy końcu ulicy. Nicolo poszedł więc do agencji obrotu nieruchomościami i upewnił się, jakie są najlepsze dzielnice w mieście, znalazł nowo wybudowany dom w jednej z nich i kupił go. Ale tu spotkało ich to, co Nicolo przerobił już wcześniej w szkole. Nowi sąsiedzi byli zarozumiali, podejrzliwi i nie przyjmowali z entuzjazmem maltańskich ciasteczek, które pani Flores dawała im w prezencie, kiedy się wprowadziła. Nikt nie miał ochoty się z nią zaprzyjaźnić. A starzy znajomi uznali, że to ona stała się zarozumiała, bo wspięła się wyżej na społecznej drabinie. Już jej nie ufali. Uśmiechali się wprawdzie uprzejmie, kiedy ich odwiedzała, ale traktowali ją tak, jak traktuje się księdza albo szefa pana domu. Przestała być jedną z nich. Oboje, ona i Nicolo, byli więc jakby zawieszani w próżni, wyobcowani i samotni. Mieli tylko siebie. Nicolo w końcu poczuł, że się dusi. Między innymi dlatego właśnie wyjechał, ale kiedy wrócił, wcale nie było lepiej, nic się nie zmieniło - a jeśli nawet, to raczej na gorsze. W Europie widział tyle wspaniałych rzeczy, tyle niezwykłych budowli - zapisał cały oprawny w skórę pamiętnik, w którym notował swoje przemyślenia i szkicował to, co zrobiło na nim wrażenie. I poznał Maryanne.

Rozczarowanie, które przeżył, zdradzało całe jego ciało; garbił się i powłóczył nogami, kiedy szedł rano do samochodu, by pojechać do szkoły. Przez kilka kolejnych miesięcy nie tylko wstawał, jechał do szkoły, wracał do domu, uczył się i szedł spać. Wszystkie dni stały się bliźniaczo do siebie podobne.

Było to skrajnie nużące, ale pozwoliło mu zająć czymś myśli i opłaciło się w dłuższej perspektywie, bo w grudniu Nicolò złożył papiery na Harvard, na wydział inżynierii, a kilka miesięcy później otrzymał zawiadomienie, że został przyjęty. Matka ucałowała go serdecznie i kazała „iść powiedzieć swoim przyjaciołom”. Nicolò pojechał do kina, gdzie obejrzał *Supermana*, popijając koktajl czekoladowy, po czym wrócił do domu i zaczął spisywać listę książek, które powinien przeczytać. Postanowił, że zacznie studia dobrze do nich przygotowany.

A teraz stał w holu domu swojej matki (był to rzeczywiście jej dom, ponieważ Nicolò kupił go na jej nazwisko), gotów do odjazdu i pewny, że - przynajmniej jeśli chodzi o naukę - bez problemu sobie poradzi. Przeczytał wszystkie zalecane przez nauczycieli książki, a także wiele grubych tomów, których tytuły znalazł w bibliografiach tychże książek. Pochłoniął wszystkie książki napisane przez tych, którzy mieli go teraz uczyć, i zapoznał się z ich dokonaniem naukowymi. Czytał biografie ludzi, którzy odnieśli sukces, i analizował przyczyny, z powodu których innym się to nie udało. Jego mózg był u szczytu swojej sprawności, jak ciało lekkoatlety tuż przed decydującym biegiem. Nicolò dobrze się do studiów przygotował.

Ale kiedy następnego dnia poszedł na uczelnię, zdał sobie sprawę, że jednak nie jest przygotowany: na ten rój obcych twarzy i kakofonię dźwięków - śmiechu, krzyków i nawoływań; na sterty formularzy, które musiał wypełnić, na niezliczone rozkłady zajęć, wykłady i dodatkowe ćwiczenia. Nie był przygotowany na te wielkie budynki, ciągnące się całymi kilometrami korytarze i schody, i sale wykładowe; na marmury i posągi, i na liczącą setki lat tradycję, którą nasiąkała tu każda cegła. No i na swobodną pewność siebie innych studentów, którzy - jak mu się wydawało - doskonale wiedzieli, czego szukają i jak to znaleźć. Mijali go, kiedy

stał pod drzewem na dziedzińcu, usiłując utrzymać w rękach papiery i bagaż, i jednocześnie odczytać coś ze skopiowanej mapy, na której ołówkiem zaznaczono akademik - jego dom na kilka następnych lat.

- Trzymasz mapę do góry nogami - odezwał się jakiś głos za jego plecami.

Nicolo odwrócił się i zobaczył chłopaka, który mógł być w jego wieku, ale wyglądał zupełnie inaczej. Nicolo był średniego wzrostu, smukły i delikatnej budowy, a ten chłopak, wysoki i mocno zbudowany, miał szeroką klatkę piersiową i muskularne ramiona. Był ubrany w znoszoną koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami, a w dużej, opalanej dłoni trzymał papierosa i wskazywał teraz mapę. Jego niedbały strój kontrastował ze starannie wyprasowaną koszulą Nicola i narzuconym na nią ciemnozielonym kaszmirowym swetrem z wycięciem w serek. To samo można by powiedzieć o jego rozwichrzonych brązowych lokach sterczących na wszystkie strony - Nicolo z gładką falą ciemnych włosów, które zawsze układały się bez zarzutu, wyglądał przy nim niemal kobieco. Ale nowo poznanego chłopaka najbardziej odróżniała od Nicola jego pewność siebie; sprawiał wrażenie, jakby czuł się tu jak ryba w wodzie, podczas gdy Nicolo doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak widoczne jest jego skrepowanie i niepewność.

- O rany, jesteś z nami, co za zbieg okoliczności, no nie? Dobrze, że cię znalazłem. Chodź, to tam. - I rozczochrany chłopak wielkimi krokami ruszył przed siebie. Za nim snuła się smuga papierosowego dymu. Był już w połowie dziedzińca, kiedy Nicolo zdołał w końcu zebrać wszystkie swoje rzeczy i podążył za nim.

- Jest nas czterech: ja, Logan, teraz też ty i jeszcze jakiś facet, który się na razie nie pojawił - ciągnął. -

Zastanawialiśmy się, kogo nam dokwaterują. W niektórych pokojach mieszka po sześć osób, ale ja myślę, że im mniej, tym lepiej, bo nie trzeba rano długo czekać do łazienki.

- Kto to jest Logan? A w ogóle kim ty jesteś?

- Och, przepraszam! Johnny, jestem Johnny. Logan to mój najlepszy przyjaciel, jeszcze ze szkoły średniej. Zwykle nie pozwalają kumplom mieszkać razem, ale stary Logana jest absolwentem i po-

ciągnął za kilka sznurków. No, on sam nic o tym nie wie, bo podrobiliśmy jego podpis.

Nicolo kiwnął głową, usiłując zapamiętać to wszystko, po czym także się przedstawił.

- Jestem Nicolo.

- Wiem, masz to napisane na mapie.

Nicolo spojrzął na kartkę papieru, którą ciągle ścisnął w dłoni. Rzeczywiście. Wsunął ją do kieszeni granatowej wełnianej marynarki. Dotarli do drewnianych drzwi na końcu korytarza. Johnny otworzył je, tymczasem Nicolo starał się wchłonąć wszystkie informacje dodane w ciągu ostatniej godziny do morza nowości, które zalało go tu zaraz po przyjeździe. Dalej był kolejny korytarz, nieco węższy, i mnóstwo drzwi po obu jego stronach. Nicolo postawił torby na podłodze i wszedł za Johnnym do pokoju; na ścianie obok widniało jego własne nazwisko, wypisane na podłużnym kartoniku. W pokoju wokół drewnianego, poznaczonego śladami po szklankach stolika do kawy stały żółto-brązowe kanapy obite szorstkim tweedem. Na jednej z nich siedział jakiś chłopak; Nicolo domyślił się, że to Logan. Chłopak wstał i spojrzął na niego, bez uśmiechu, ale przyjaźnie. Miał ciemne włosy, szerokie ramiona i przystojną twarz; sprawiał wrażenie znacznie bardziej dojrzałego niż wszyscy studenci, których Nicolo dotychczas widział. Jego przyjaciel Johnny miał swobodny, trochę krzywy uśmiech i wyglądał jak chłopiec, Logan natomiast - jak mężczyzna. Nicolo wyprostował się i wyciągnął do niego rękę.

- Nicolo Flores.

- Logan Barnes.

Wymienili uściski. Nicolo zauważył, że dłoń Logana jest silna, twarda.

- Ludzie, spójrzcie tylko na siebie. Wyglądacie jak dwóch kongresmenów. Trochę luzu. - Johnny rzucił się na jedną z kanap, uniósł nogi i położył stopy na oparciu.

Logan w końcu się uśmiechnął.

- Racja. Miło mi cię poznać, Nicolo. Była tu kobieta z działu zakwaterowania. Ten czwarty jednak z nami nie zamieszka. Wynikło jakieś nieporozumienie. Powiedziała, że znajda na jego miejsce

kogoś innego, ale, dziwna sprawa, kiedy zajrzała do swoich papierów, odkryła, że to pokój trzyosobowy. Chyba coś jej się pomyliło.

Nicolo patrzył na niego, zdezorientowany; Logan puścił oko. Wtedy właśnie Nicolo po raz pierwszy, ale nie ostatni, przekonał się, że Logan posiada niezwykły talent, który sprawia, że ludzie mu się podporządkowują.

- A więc - powiedział Logan, siadając na kanapie i podnosząc leżącą na stoliku talię kart - wygląda na to, że zamieszkamy tu we trzech. Zagramy w pokera?

We trzech. I rzeczywiście tak się stało. Dwaj kumple wciągnęli Nicola w swój mały świat, zmieniając zgrany duet w równie zgrany tercet. Tak w każdym razie wydawało się Nicolowi.

To, co wtedy mi się wydawało, nie ma teraz żadnego znaczenia, stwierdził Nicolo. Siedział w swoim gabinecie, a w uszach dźwięczały mu słowa wiersza, który kiedyś był niemal ich hymnem. „Z nas rodzi się muzyka, nam marzą się marzenia”.

Cholerny Logan Barnes wślizguje się w jego życie, w jego myśli. Nawet teraz. Musi się otrząsnąć, musi się uspokoić. Nicolo podniósł słuchawkę i wcisnął guzik łączący go bezpośrednio z jego osobistym asystentem.

- Zadzwoń, proszę, do agencji - powiedział. - I powiedz im, żeby nie przysyłali tej, co ostatnio. Była za gruba.

Potem, nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę, poirytowany nie tylko z powodu niedawnej rozmowy z Vienną. Sam nie wiedział, co jest nie tak. Podszedł do niskiej drewnianej komody, która służyła za barek, i nalał sobie kieliszek chateau petrus z karafki. Poruszył nim delikatnie, lekko ogrzewając go dłonią. Wino miało niemal dokładnie ten sam kolor, co modny teraz lakier do paznokci rouge noir. Rubinowa czerwień, tak głęboka, jakby była podszyta czernią. Usiadł i upił łyk, czekając na dziewczynę z agencji.

Nigdy nie grywał w pokera, w ogóle nie uprawiał hazardu. Jego matka nie aprobowała gry o pieniądze. On jednak polubił to i odkrył, że jest w tym całkiem niezły. Uznał to za interesujące wyzwanie. Nie był tak dobry jak Johnny, który miał umysł ścisły i potrafił oszacować prawdopodobieństwo i procenty szybciej, niż większość

ludzi potrafi dodać dwie proste liczby. Logan z kolei miał nad nim tę przewagę, że matka nauczyła go grać jeszcze w dzieciństwie. Potrzebowała partnera, z którym mogłaby ćwiczyć, by później triumfować w klubowych turniejach. Ale i Nicolo nieźle sobie radził. Grywali niemal co wieczór, po zajęciach i nauce, siedząc przy zniszczonym stoliku do kawy w swoim pokoju. Rozmawiali, jedli, pili, palili i grali. To ich relaksowało i stało się wieczornym rytuałem, stałym elementem aktywnego, stresującego życia studentów pierwszego roku.

Nicolo był na uniwersytecie szczęśliwy, naprawdę szczęśliwy, po raz pierwszy w życiu - pomijając krótki okres podróży po Europie, zresztą już skażony wspomnieniem dziewczyny z Monaco. Tutaj mógł być sobą - lepszą wersją siebie samego. Wyrwał się wreszcie spod kurateli kochającej, ale nadopiekuńczej matki i wścibskich spojrzeń mieszkańców rodzinnego miasta. Tu był po prostu jednym z wielu studentów, a nie tym chłopcem, któremu udało się zbić majątek. Uwielbiał wyzwania, jakie stawiały przed nim studia. Uczyli go najlepsi, a on chłonał to, co go otaczało, jak gąbka. Wszystko na Harvardzie wprawiało go w zachwyt: aura sukcesu, rywalizacji i ciężkiej pracy; ciągnące się do późna dyskusje, studencka gazeta, historia i uroda tego miejsca.

Przede wszystkim jednak uszczęśliwiała go, że nareszcie ma przyjaciół, prawdziwych przyjaciół, z którymi może się śmiać, żartować i pić piwo, grać w karty, snuć plany, rozmawiać o przeszłości i o przyszłości. W ciągu tych kilku pierwszych, niezwykle intensywnych miesięcy wszyscy trzej bardzo się ze sobą zżyli. Siedząc do późna i grając w karty, Nicolo dowiedział się wiele na temat rodzin swoich nowych przyjaciół. Słuchał, kiedy Johnny opowiadał mu o swoim bracie Bobbym, i widział w jego oczach łzy. Stojąc przy oknie i wydmuchując dym papierosowy w chłodne nocne powietrze, Johnny powiedział mu, jak zginęła cała jego rodzina. Potem nigdy już o tym nie wspomniał. Żaden z nich nigdy o tym nie wspominał, jakby obowiązywała ich jakaś niepisana umowa. Johnny radził sobie ze swoją stratą tak, jak umiał - to znaczy ukrywał swoje uczucia, żył pełną parą i nie oglądał się za siebie. Logan i Nicolo obaj czuli, że on za bardzo się spieszy, za dużo chce doświadczyć,

ale wiedzieli też, że nie potrafią mu pomóc. Johnny będzie musiał zmierzyć się ze swoimi demonami na swój sposób i w swoim czasie. Na razie studiował, dyskutował, chodził na imprezy, podrywał dziewczyny i grał w karty. A gniew, który czasami zapalał się w jego oczach, gnał go do przodu.

Nicolo usłyszał też sporo o rodzicach Logana. Śmiał się, kiedy Logan naśladował głos swojej matki, przeciągającej ze znużeniem samogłoski, i roztargnione burknięcia ojca.

Rozmawiali o tym, co chcą w życiu osiągnąć. Logan i Johnny, którzy także myśleli o wielkich sukcesach, włączyli Nicola do swoich planów. Teraz nie było już wątpliwości, że on również ma być częścią tego wszystkiego. Zbiorą swoje zasoby razem i razem wezmą się do pracy. Różne talenty, jakimi zostali obdarowani przez los, dodatkowo zwiększą ich szanse.

Nicolo też opowiedział im o sobie - o ojcu, który zmarł tak wcześnie, że Nicolo właściwie go nie pamiętał; o życiu tylko z matką; o tym, że zawsze był outsiderem. Opowiedział o tym, co widział podczas swoich podróży, nawet o dziewczynie, którą wtedy spotkał, i rozczarowaniu, jakiego doznał, kiedy się okazało, że go okłamała. A oni współczuli mu, klepali go po plecach i napełniali kolejne kieliszki. I Nicolo był pewny, że w przeciwieństwie do Marianne, oni nigdy go nie zawiodą.

A jednak nie powiedział im o majątku, który zarobił. Sam nie wiedział, dlaczego tego nie zrobił. Ukrył swój sekret głęboko, zachował go tylko dla siebie.

Nicolo westchnął głęboko, otworzył laptop i kliknął na pulpicie ikonę, pod którą otworzyła się lista programów telewizyjnych. Kliknął „play” i czekał.

Kiedy skończyły się początkowe napisy, na ekranie pojawiły się migawki z ulic Londynu i Nowego Jorku, a potem fasady głównych gmachów LBI w obu tych miastach. Lśniąca szklana ściana West Side, majestatyczna bryła Chesham w Londynie i elegancka elewacja Royal na Manhattanie. Ujęcia zmieniały się szybko, dynamicznie. Potem na chodniku pojawiło się trzech mężczyzn. Szli w stronę kamery i wyglądali bardziej na modeli niż na ciężko pracujących

biznesmenów. Byli to Logan, Johnny i Mark. Zatrzymali się i spojrzeli w obiektyw, twardo, zimno, przybierając zdecydowaną pozę. W tym momencie pod ich stopami błysnął napis: *General Manager*.

Nicolo obciął koniuszek cygara specjalną srebrną obcinarką, zapalił i z przyjemnością zaciągnął się dymem.

Zaraz potem trzech mężczyzn na ekranie zastąpiła atrakcyjna prezenterka telewizyjna - stała w studiu, centrum programu.

- Dobry wieczór, witam w dzisiejszym odcinku *General Manager*. Już wkrótce zobaczymy, że Denis nie potrafi znieść temperatury w kuchni. - Na ekranie na krótką chwilę pojawił się spocony mężczyzna w białym uniformie szefa kuchni; z trudem utrzymywał w rękach dwie wielkie tace z pełnymi jedzenia talerzami. - A Paula ma prawdziwe urwanie głowy w hotelowych pokojach. - Kamera pokazała dziewczynę o zaaferowanym wyrazie twarzy, wkładającą bieliznę pościelową do przemysłowej pralki. - Ale najpierw powitajmy naszych sędziów. Johnny Stokes, Logan Barnes i Mark Mal-lory. Prawdziwe tuzy biznesu i przedsiębiorczości!

Nicolo jeszcze przez chwilę ssał cygaro, a potem wyłączył laptop. Odkąd zobaczył zapowiedzi tego programu, nie mógł się powstrzymać, by go nie oglądać. Obejrzał wszystkie odcinki. Widok Logana i Johnny'ego, takich potężnych, bogatych i zadowolonych z siebie, na nowo rozpałił ogień gniewu, który - jak sądził - wygasł dawno temu. Był ciekaw, czy myśleli czasem o nim, siedząc tam i arogancko decydując o losach biednych frajerów, którzy na oczach milionów ludzi ubiegali się o pracę w jednym z ich hoteli. Czy spoglądali czasami na trzecie krzesło przy tym stole i myśleli, że powinien siedzieć na nim ktoś inny? Czy pamiętali, dlaczego jednak nie siedział?

To powinno być jego miejsce. Tak, ono powinno być jego.

Pewnego piątkowego wieczora na drugim roku studiów grali w karty jak zwykle, wśród pustych kartonowych pudełek po pizzy na wynos. Przeprowadzili się do jednego z akademików dla studentów drugiego i trzeciego roku, ale znowu udało im się zamieszkać tylko we trzech. I ten akademik przecinało mnóstwo długich korytarzy. Ich apartament składał się z małych pokoików, kuchni

i łazienki. Johnny leżał na kanapie ze stopami na jej oparciu, jak to miał w zwyczaju, przerzucając kartki w zbiorze poezji - w tym roku jako przedmiot dodatkowy wybrał literaturę. Co jakiś czas odczytywał kilka linijek z wierszy Oscara Wilde'a, Poego i Tennysona: „O piękna gwiazdo purpurowousta! O złotobrewy księżycu!... Idąc w ciemny szlak nieznany, od złych duchów opętany... Lustro przeszła niczym strzała wizja postaci lśniącej z dala...”

- Zamknij się, John - mruknął Logan. - Chciałbym wygrać tę partię.

- Nie wygrasz - odparł pogodnie Johnny. - Nie masz kart. Logan spojrział na niego gniewnie, a Nicolo uśmiechnął się do siebie pod nosem. Johnny miał naprawdę zdumiewającą pamięć do liczb.

- Posłuchajcie tego! - zawołał Johnny, podnosząc się nagle i pochylając do przodu.

Logan przycisnął swoje karty do piersi, ale Johnny tylko pokręcił głową.

- Nie próbuję ci zajrzeć w karty, głąbie.

Logan cisnął w niego poduszką, lecz Johnny zdążył ją złapać, zanim uderzyła go w głowę.

- Nie, naprawdę, posłuchajcie tego. - Zaczął czytać. Miał głos aktora, głęboki i dźwięczny.

Nam w sercach gra muzyka Nam śmiały sen się śni...

Logan i Nicolo umilkli. W sposobie, w jaki przeczytał te słowa, było coś, co przykuło ich uwagę.

Samotność tylko nas spotyka Na falach bystrych strumieni. Przegrani świata zbawiciele, W księżycu światło snują się...

Teraz Johnny podniósł do góry palec, dając znak przyjaciółom, że zamierza przeczytać coś szczególnie ważnego.

Lecz świat budują marzyciele I to nigdy nie zmieni się!

Logan uśmiechnął się, odchylił na oparcie kanapy, zapalił papierosa i spojrzał na Nicola.

- O tak, chłopcze. Ruch. Napęd. Przybili piątkę.

- Czekajcie, czekajcie, to jeszcze nie koniec - uciszył ich Johnny.

Z naszych nieśmiertelnych pieśni Tworzymy potęgę miast. A z przodków naszych opowieści Imperium chwaty damy blask.

Logan pochylił się teraz do przodu, z błyskiem ekscytacji w oczach. Mówić o ich przyszłych sukcesach - to go zawsze rozpalało. Johnny głośniej przeczytał następne linijki:

Jeden człowiek uzbrojony w marzenia Koronę śmiało będzie brać...

Wskoczył na stolik do kawy, a Logan i Nicolo unieśli ku niemu głowy.

Trzech, gdy jedną pieśń odśpiewa, Królestwem w posiadach może zachwiać.

W tym momencie Johnny wyrzucił książkę w powietrze i złapał ją, wydając głośny, radosny okrzyk. Logan i Nicolo poderwali się, krzycząc i klaszcząc.

- I co wy na to? Będziemy budować wielkość miast? - zawołał Johnny.

- Jasne, do diabła - odparł Logan, czerwony z emocji.

Byli pełni życia, młodzieńczej pewności siebie, upojeni wizją przyszłości.

Johnny zeskoczył ze stolika, a Logan położył jedną rękę na jego ramieniu, a drugą na ramieniu Nicolo. I stali tak - jasny i butny triumwirat młodości.

- Nas trzech - powiedział. - Żadnych numerów, żadnych przekrętów. Ufamy sobie, tak?

Johnny i Nicolo z powagą pokiwali głowami.

- Zbudujemy coś wspaniałego. Czuję to, rozumiecie? Zrobimy to i wcale nie będziemy czekali do końca studiów, jak wszyscy inni. Nie. My zaczniemy teraz. Dziś.

Johnny i Nicolo patrzyli na Logana. Był niemal hipnotycznie inspirujący, jego energia zdawała się przepływać na przyjaciół. Logan spojrzał na Johnny'ego.

- My zawsze chcieliśmy założyć jakiś biznes... stworzyć imperium. A teraz mamy inżyniera, który pomoże nam zbudować fundament.

- Ale nigdy jakoś nie wymyśliliśmy, jakie imperium - zauważył Johnny.

- Zastanawiałem się nad tym. Co powiecie na hotele? Najwyższej klasy, luksusowe hotele. Ludzie zawsze będą potrzebowali miejsc, gdzie można spędzić noc. A my mamy teraz doskonały zespół, w każdym razie będziemy mieli. Jesteś ty, Johnny: prawnik, który potrafi sprawić, że wszyscy będą się czuli jak w domu albo u przyjaciół. - Logan zapalał się coraz bardziej i brzmiał coraz poważniej. Wskazał Nicola. - Jest inżynier, który umie tworzyć nowe budowle, ale zapewne nie tylko. I jestem ja: biznesmen, organizator, człowiek za kulisami. - Przytknął palce do czoła i zasalutował teatralnie. - I co wy na to, przyjaciele? Zbudujemy razem największe hotelowe konsorcjum, jakie widział świat?

- Tak! - wykrzyknęli wszyscy razem i zaczęli się śmiać. - Jasne, że tak, do diabła!

Logan chwycił butelkę budweisera, otworzył ją i potrząsnął, oblewając ich wszystkich pianą.

- Dzisiaj piwo. Jutro... szampan!

Później poszli do irlandzkiego baru w pobliżu kampusu, wypić za swoje ambitne plany trochę taniego piwa i whisky z wodą sodową. Johnny poderwał dziewczynę. Jemu zawsze udawało się jąkaś poderwać. Dziewczyna posiedziała z nimi chwilę, ale szybko znudziło ją słuchanie trzech dziesiętnastolatków, którzy rozprawiali o wielkich korporacjach i zachowywali się tak, jakby cały świat należał do nich.

W końcu rozsiedli się na drewnianych ławkach, nagle zmęczeni i ze szklistymi oczami. Studia tak ich pochłaniały, że zostawało

im niewiele energii na cokolwiek innego, a spontaniczna impreza bardzo ich wyczerpała. Johnny darł podstawkę pod piwo na małe kawałeczki i układał je w misterną stertę.

- Potrzebujemy planu - powiedział Logan lekko zachrypniętym głosem.

- Mhm - mruknął zgodnie Johnny.

- Musimy wymyślić jak najlepszy sposób na start. Powinniśmy też zdobyć trochę doświadczenia, może poszukać na lato pracy w jednym z tych wielkich hoteli? A potem przekonamy bank, żeby udzielił nam kredytu.

- Ja mam trochę pieniędzy - powiedział Johnny.

- Ja też. Ale to nie wystarczy. Trzeba zacząć mocnym uderzeniem; to nie musi być nic wielkiego, ale powinno wzbudzać zaufanie. I trzeba będzie zatrudnić odpowiednich ludzi. No, my wiemy, że sobie poradzimy, ale kto wesprze trzech studentów bez doświadczenia?

- Nikt. - Johnny wziął garść tekturowych strzepów i przepuścił je między palcami.

Nicolo aż do tej chwili siedział cicho, teraz jednak podniósł głowę i spojrzał Loganowi prosto w oczy. Zwykle odzywał się najrzadziej z całej trójki, ustępował Loganowi, pozwalał Johnnyemu z siebie żartować. Ale teraz poczuł nagły przypływ pewności siebie. Nadszedł jego czas.

- Niezupełnie nikt... - powiedział.

Nicolo dopił wino. Tanie sikacze, które wtedy pijał, nie umywały się do tego gładkiego clareta. Tak, to był ten decydujący moment; patrząc na to z perspektywy czasu, nie miał co do tego wątpliwości. Pamiętał, jaki był dumny, jak wypiął pierś, mówiąc Loganowi i Johnny'emu, że jest ktoś, kto w nich zainwestuje, kto zainwestuje w ich projekt. Patrzyli na niego, zaskoczeni. A on powiedział im o pieniądzach, które zarobił, i o wiedzy z dziedziny marketingu, którą wtedy sobie przyswoił. I patrzył z radością, jak ich oczy otwierają się coraz szerzej. Szybko dotarło do nich, że on już odniósł spory sukces i że to dla nich wszystkich bardzo ważne.

Cóż, z tego błędu z pewnością wyciągnął wnioski. Pycha naprawdę poprzedza upadek.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i Nicolo otrząsnął się ze wspomnień. Dobrze. Spędzi godzinę z dziewczyną z agencji, co pozwoli mu zapomnieć o przeszłości, a potem wróci do swojego życia - wygodnego, dostatniego życia, które stworzył dla siebie całkiem sam.

Ale kiedy otworzył drzwi, na progu zobaczył nie posagową blondynkę, nie ognistą Latynoskę, lecz wysokiego, opalonego chłopca, który w szerokim uśmiechu błysnął olśniewająco białymi zębami. Miał na sobie biało-czarną liberię hotelowego boya i taką samą czapkę z daszkiem. W wyciągniętych w stronę Nicola rękach trzymał srebrną tacę przykrytą lśniącą srebrną kopułą, taką, jaką zdejmują z tac kelnerzy w eleganckich francuskich restauracjach.

- Dzień dobry, panie Flores.

- Kim ty jesteś, do diabła? To jakiś żart? Uśmiech na twarzy chłopca przygasł.

- Nie, to nie żart. Najmocniej pana przepraszam, mam nadzieję, że to nie jest nieodpowiedni moment. Przyniosłem przesyłkę dla pana.

Skłonił się lekko i, trzymając tacę w lewej ręce, prawą zdjął wypukłą pokrywę i z wdziękiem schował ją za siebie. Na tacy leżało czarne lśniące pudełko z perspleksu. Na wieczku srebrną kursywą wygrawerowano: „Nicolo Flores i Vienna Chatters”. Nicolo przez chwilę patrzył na nie. Nie musiał pytać, od razu wiedział, kto je przysłał. To musiało mieć coś wspólnego z Loganem Barnesem. Zastanawiał się przez chwilę, czy po prostu nie zatrzaskać drzwi i nie przerwać tego niekończącego się tańca, z którego ani on, ani Logan nie potrafili się wyplątać. Ale tylko przez chwilę. Potem wyciągnął rękę i wziął pudełko z tacy.

W swoim gabinecie usiadł znowu przy biurku i spojrzał na pudełko. Lśniąca powierzchnia i ostre kandy zachęcały, by go dotknąć. Oparł się pokusie. Jakby wiedział, że otwierając je, w jakiś nieokreślony sposób ulegnie Loganowi. Ktoś zapukał do drzwi. Zignorował to. W końcu westchnął i podniósł wieczko. W środku znajdowała się gruba czarna kartka. Tą samą elegancką czcionką, tym razem kremową, napisano na niej:

„Luksus”

Odwrócił kartkę. Tam, na kremowym tle, napisany już mniej fantazyjną, czarną czcionką, widniał taki tekst:

„Doświadczenie jedyne w swoim rodzaju. Jedyne w swoim rodzaju hotel. Luksus absolutny. Absolutna dyskrecja” I dalej:

„Zapraszamy na wielkie otwarcie Luksusu. Aby wziąć w nim udział, należy zadzwonić na podany niżej numer do ósmej rano 13 września i dysponować czasem 15 października.

Zaproszenie to dotyczy wyłącznie osoby adresata.

Informacje dotyczące dalszych ustaleń zostaną podane po potwierdzeniu obecności”.

Pudełko wewnątrz było podzielone na cztery części, z których każda miała osobne wieczko z miękkiej kremowej skórki, opatrzone numerem. Nicolo podniósł pierwsze z nich. W środku znajdował się srebrny otwierany pendant - tam, gdzie zwykle wkłada się czyjaś fotografię albo kosmyk włosów, spoczywał mały srebrny kluczyk z osadzonym w uchwycie brylantem. W drugiej części był starannie złożony banknot studolarowy. Nicolo wyjął go i uważnie mu się przyjrzał. W trzeciej przegródce leżał biało-czarny, jak liberia posłańca, żeton do kasyna, z napisem „LUKSUS - Hotel Logana Barnes’a”. I w końcu, w ostatniej części, mała ciemna czekoladka. Wrzucił ją do ust i natychmiast poczuł na języku intensywny smak karmelu zmieszanego z odrobiną alkoholu i czegoś jeszcze, co przypominało jakiś kwiat...

I wtedy zrozumiał. Fiołek. L'île des Violettes. Oczywiście. Powinien był się domyślić, że to jest ten wielki projekt, którego ukończenie miał wkrótce ogłosić Logan, a dotyczył on pięknej, urokliwej wyspy. Byli na niej we trzech wiele lat temu; Logan chciał zmienić ją w luksusowy hotel, jakiego dotąd nie widział świat. Logan i Johnny dokonali tego. Nicolo wziął do ręki żeton i przez chwilę obracał go w palcach, przesuwając nimi po wypukłych literach.

103

Choć niechętnie, musiał przyznać, że zaproszenie było prawdziwym majstersztykiem. Budziło ciekawość, intrygowało. Bardzo sprytnie, pomyślał. Logan zawsze był mistrzem sztuki uwodzenia.

Rozdział 7

1981

Maryanne czekała niecierpliwie, aż kolejka przejdzie przez odprawę. Czowała, że nie uwierzy, iż rzeczywiście wróciła do Ameryki, dopóki nie znajdzie się po drugiej stronie. Zrobiła krok do przodu, popychając przed sobą torbę podróżną. Jak to możliwe, że stanęła w kolejce odprawianej najwolniej? Ludzie, którzy stawali na końcach innych kolejek w tym samym czasie co ona, byli już po odprawie, a ona ciągle tu tkwiła! Pospieszcie się, popędzała w myślach umundurowanych celników. No, dalej!

W końcu jednak Maryanne stanęła przed celnikiem z niewytłumaczalnym poczuciem winy, jakby zaraz coś miało się wydać, ale co? Nie zrobiła nic złego; nie była nielegalną imigrantką - wracała do domu. Mimo to odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, kiedy przeszła już nad tą magiczną żółtą linią, patrząc przy tym na swoje stopy: jak - w sportowych butach i wystających z nich grubych różowych skarpetach - stanęły w końcu na ojczystej ziemi. Zaśmiała się i radośnie poruszyła palcami w butach. Dom! Miała tylko plecak i pięćset dolarów - ale była wolna.

Kiedy przybyły z Sativą do Anglii, sytuacja jeszcze się pogorszyła.

Babka Maryanne nie była zadowolona z tego, że córka, której pozbyła się przed wieloma laty, pojawiła się u niej wraz ze swoim nastoletnim przychówkiem. Ada Westbrook nigdy nie była typem ciepłej mamy i nie zmieniło tego nawet pięcioro dzieci z różnymi mężczyznami. Candy - a raczej Linda, bo takie pierwotnie nadano jej imię - była jej czwartym dzieckiem i Ada całą odpowiedzialność

108

za jej zdrowie i edukację zepchnęła na starsze dzieci. Tak więc mała Linda, jak ją wtedy jeszcze nazywano, brnęła przez życie, ucząc się jeść, kiedy tylko nadarzy się po temu okazja i trzymać się z dala od krewkich kochanków swojej matki. Nikt nie czuwał nad tym, czy chodziła do szkoły, więc zwykle nie zawracała sobie tym głowy. Kiedy miała piętnaście lat, uciekła z domu i ani razu nie obejrzała się za siebie.

Uciekła aż do Indii, gdzie zeszczuplała, opaliła się i wydała wszystkie pieniądze. Wpadła więc w kłopoty finansowe, wpadła jak śliwka w kompot, i w końcu wpadła w ramiona ojca Maryanne, wędrownego komiwojażera, który zabrał ją ze sobą do Ohio.

Matka Lindy nigdy nie zawracała sobie głowy troską o córkę, zadowolona, że znikła z jej życia, więc kiedy pojawiła się w nim ponownie, dla nich obu była to duża niespodzianka.

Kiedy podjechały taksówką pod nędzny czynszowy dom w dzielnicy Bethnal Green, Maryanne po raz pierwszy przyszło do głowy, że być może popełniła wielki błąd. W zakurzonych oknach wisiały sztywne od brudu firanki. Przełknęła ślinę, w deszczu wyciągnęła swoje torby z bagażnika pod kąpiącym spojrzeniem taksówkarza, po czym namówiła matkę, by wysiadła z samochodu. Stały na chodniku i spojrzały na sprawiający ponure wrażenie budynek. Taksówka odjechała. Było zimno i skądś dolatywał zapach smażonego tłuszczu. Maryanne wzięła głęboki oddech, chwyciła matkę pod ramię i poprowadziła ją do furtki, smętnie zwisającej z zawiasów. Teraz, kiedy już się tu znalazły, będą musiały jak najlepiej sobie poradzić.

I to właśnie Maryanne robiła przez prawie cztery lata. Radziła sobie, jak umiała. Kładła uszy po sobie, chodziła do miejscowej szkoły średniej, a później, kiedy była już starsza, postarała się o pracę i zaczęła oszczędzać. Narysowała sobie kalendarz i liczyła miesiące, które pozostały jej do ukończenia osiemnastu lat. Miesiące zmieniały się w końcu w tygodnie, a tygodnie w dni. Zarezerwowała bilet. Nie pozwalała sobie na rozpamiętywanie, jak bardzo była nieszczęśliwa; jak matka niemal zniszczyła ich życie, jak opuścił ją ojciec. Gdyby o tym myślała, na pewno by się załamała, a na to nie mogła sobie pozwolić. Bo wtedy już nigdy nie zdołałaby uciec z tego straszego domu, wypełnionego rykiem telewizora

i smrodem tanich papierosów. Wstawała, piła herbatę i szła do szkoły, a po szkole i w soboty wsiadała do pociągu i jechała do pracy w sklepie z obuwem w South Kensington. Robiła to codziennie przez lata, poza niedzielami. W niedziele pakowała kanapki i wybierała się w jakieś miłe miejsce. Zwykle siadywała gdzieś na ławce w parku albo w jakiejś galerii i rysowała całymi godzinami, zatracając się w ruchu ołówka, skupiona tylko na postaciach, budynkach i ptakach, które przenosiła na papier. Kiedy tak zapełniała kolejne strony swojego szkicownika, czas mijał szybko. Dopiero teraz, patrząc w okno mknącego do Nowego Jorku autobusu, spojrziała wstecz i uświadomiła sobie nędzę i samotność minionych lat. I przyznała, sama przed sobą, że się boi. Może wróciła do domu, to znaczy do Ameryki - ale Nowego Jorku nie знаła; była w nim tylko raz, kiedy miała jedenaście lat i ojciec zabrał ją tam na wycieczkę. A teraz miała w tym mieście zamieszkać. Pół roku wcześniej wysłała część swoich rysunków do sześciu wyższych szkół artystycznych w Ameryce, a potem zacisnęła kciuki i czekała. Nie musiała czekać długo, już po sześciu tygodniach zaproponowano jej studia na wszystkich i stypendium na czterech z nich - w tym także w New York School of Design, dokąd właśnie teraz zmierzała. Wszystko zostało z góry opłacone, nawet przelot. Warunki stypendium zezwalały studentom z zagranicy na jeden lot do domu na rok. Maryanne powiadomiła jednak uczelnię, że nie będzie korzystać z tego przywileju, więc w zamian za to zaproponowano jej dofinansowanie mieszkania. Będzie studiowała architekturę wewnątrz. Chciała tworzyć piękne miejsca, w których ludziom będzie się dobrze mieszkało.

Odchyliła głowę na oparcie siedzenia i patrzyła, jak drzewa i domy na przedmieściach migają za szybą i nikną w oddali. W końcu autobus wjechał na Manhattan - i strach zmienił się w ekscytację. Coś w tym mieście powodowało, że puls przyspieszał, a na policzkach pojawiały się rumieńce. Było tak pełne życia, pełne ludzi, pełne szans. Maryanne poczuła, że jej życie wreszcie należy tylko do niej; dopiero teraz naprawdę się zaczynało. Sięgnęła ręką do bocznej kieszeni plecaka. Przywiozła ze sobą tak niewiele rzeczy, jak tylko było to możliwe - nie, żeby w ogó-

le miała ich dużo, bo wszystkie pieniądze odkładała na konto oszczędnościowe, zamiast kupować za nie ubrania i płyty, jak robiły jej koleżanki ze szkoły. Jediną rzeczą, z którą nigdy się nie rozstawała, była gruba koperta pełna kartek pocztowych; na niej teraz zacisnęła palce. Zostały wysłane z różnych muzeów i galerii, i miast w całych Włoszech, z miejsc, które sama chciałaby zwiedzić. Na odwrocie każdej z nich widniało tylko kilka słów, napisanych czarnym atramentem. Wszystkie znała na pamięć. Koperta stała się jej talizmanem, jej podporą psychiczną. Mimo że zostawiła liścik, nie spodziewała się, by Nicolo kiedykolwiek go znalazł, bo z całą pewnością nie chciało mu się jechać do jej domu po powrocie do Ameryki. Nie wiedziała, czy po jej wyjeździe nadal do niej pisywał - może znudził się i w ogóle o niej zapomniał. I choć go utraciła, myślała często o tym, że kiedyś był w jej życiu ktoś, kto jej słuchał, rozmawiał z nią i spędzał z nią czas. Bo uważał, że jest tego warta. Uważał nawet, że jest piękna. I ta myśl pomagała jej przetrwać noce, kiedy kładła się do łóżka w ubraniu, tak było zimno; kiedy zamykała się na klucz, bo przez cały czas po domu kręcili się jacyś mężczyźni jej matki i babki; kiedy siedziała do późna nad książkami, po powrocie ze sklepu, w którym pracowała. Podczas tych długich, samotnych lat Nicolo Flores był jej zbawcą, jego słowa dotrzymywały jej towarzystwa. I Maryanne wiedziała, że w jakiś sposób - już niedługo - odnajdzie go i mu za to podziękuje.

- Dziękuję. Dziękuję... och, och, Boże, dziękuję!

Nicolo podniósł głowę pomiędzy nóg Maryanne i spojrzał na jej zarumienioną, spoconą twarz.

- Nie musisz mi dziękować, naprawdę. Kochanie się z kobietą tak piękną jak ty to niezbyt nużący sposób na spędzenie popołudnia. A już na pewno nie musisz dziękować Bogu. Cóż on ma z tym wspólnego? Nie chcę, żeby skradł to, co należy do mnie.

Podciągnął się na łokciu i odgarnął włosy z twarzy Maryanne. Leżała w jego ramionach, ciepła i wilgotna, i ciągle miała przyspieszony oddech. Ujęła jego dłoń i splotła jego palce ze swoimi. Leżeli na rozkładanej wersalce w kawalerce Maryanne, tak małej, że należało wejść na wersalkę, by dostać się do aneksu kuchennego

właściwie, by dostać się dokądkolwiek, bo wersalka zajmowała niemal całą przestrzeń. Ubrania, na wieszakach, wisiały na sznurkach pod sufitem, bo nie starczyło miejsca na szafę, a naczynia trzeba było myć w łazienkowej umywalce, ale dla Maryanne to mieszkanie było pałacem. Ściany pomalowała na biało i na nich eksponowała (i przechowywała) swoje rysunki. Na wyprzedazy kupiła kilka metrów zgrzebnej bawełny i ufarbowała ją sama w wannie na odcień głębokiej, rubinowej czerwieni. Świece w naczyniach z kolorowego szkła, stojące na parapecie w łazience, rzucały na kafle wielobarwne błyski.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że cię odnalazłam. Nicolo uśmiechnął się.

- A ja nadal nie mogę uwierzyć, że cię utraciłem. Opowiedz mi, jak mnie odnalazłaś?

- Opowiedziałam ci to już tyle razy! - zaśmiała się Maryanne. - Opowiedziałam ci już pierwszego wieczoru.

- Lubię o tym słuchać.

- No więc przyjechałam do Nowego Jorku, zgłosiłam się do college[^], poszłam do biblioteki i poszukałam szkół średnich w Hackensack, w New Jersey.

- Ponieważ...

- Ponieważ zapamiętałam, gdzie mieszkasz.

Nicolo uśmiechnął się na myśl o tym. Pamiętała o nim, pamiętała szczegóły z jego życia.

- A potem?

- Potem zaczęłam dzwonić, udając, że jestem z twojego college'u i potrzebuję kopii twoich świadectw. Oczywiście było to trudne, bo nie wiedziałam, do jakiego college'u poszedłeś i czy w ogóle poszedłeś... W końcu jednak dodzwoniłam się do twojej dawnej szkoły; kobieta, z którą rozmawiałam, potwierdziła, że tam się uczyłeś. Poprosiłam ją, żeby sprawdziła, gdzie rozpocząłeś studia, bo coś zaginęło w papierach. - Maryanne zachichotała. - Miałam szczęście. Ta kobieta była bardzo zajęta i chciała, żebym się jak najszybciej odczepiła, więc powiedziała mi, że studiujesz inżynierię na Harvardzie.

- Mądra dziewczynka.

- Mądry chłopczyk! Mój chłopczyk z Harvardu.

Maryanne pogłaskała go po ramieniu. Nicolo pocałował ją w czubek głowy.

- Kiedy już wiedziałam, że tam jesteś albo byłeś, poszło łatwo. Zadzwoiłam na uniwersytet i tym razem poprosiłam o połączenie ze Stowarzyszeniem Studentów. Po drugiej stronie odezwało się biuro przyjęć na twój wydział.

Potwierdzili, że tam studiowałeś i uzyskałeś dyplom, ale nie powiedzieli mi, gdzie cię znajdę.

- Ślepa uliczka.

- Tak wtedy pomyślałam.

- Ale nie poddałaś się.

- Nie mogłam się poddać. Więc zrobiłam to, co powinnam była zrobić na samym początku: zadzwoniłam do twojej matki, która od razu dała mi twój adres i numer telefonu; stwierdziła, że na pewno się ucieszysz, kiedy odezwie się do ciebie stara znajoma, i zaprosiła mnie na herbatę, jeśli tylko będę w okolicy. Więc naprawdę nie był to żaden niezwykle wyczyn z mojej strony.

Zaśmiali się oboje; po chwili Nicolo spoważniał.

- To był wyczyn. Naprawdę tego dokonałaś, odnalazłaś mnie, nieważne jak, po tym, kiedy ja tak głupio pozwoliłem ci zniknąć. - Położył się na niej i spojrzał jej w oczy. - Już nigdy na coś takiego nie pozwolę.

Nicolo frunął. Idąc ulicą Bostonu w stronę budowy, którą miał odwiedzić, czuł się tak, jakby tańczył. Kiedy siedział i rozmawiał z przyjaciółmi, oni ciągle się z niego nabijali, bo nieobecny wzrokiem patrzył w przestrzeń. Myślał tylko o Maryanne i o tym, kiedy ją znowu zobaczy. Życie nie mogłoby być piękniejsze. Miał dwadzieścia jeden lat, mnóstwo pieniędzy, właśnie zaczął pracę w dużej firmie budowlanej w Bostonie i otwierał własny biznes wraz z dwoma najlepszymi przyjaciółmi. Wszyscy trzej poświęcili ostatni rok studiów na rozkręcenie tego interesu.

Wszyscy włożyli w to tyle, ile mogli. Nicolo zainwestował znacznie więcej niż oni, ponieważ było go na to stać.

Udziały sprawiedliwie podzielili między siebie. Kupili mały hotelik w Bostonie i wyremontowali go. Trzy miesiące po jego otwarciu zarobili dość, by kupić drugą nieruchomość, a niedługo potem - trzecią.

Zatrudnili ludzi, którzy zarządzali tymi hotelami na co dzień - interes rozwijał się tak dobrze, że po dyplomie zrobili sobie miesięczne wakacje. Był to magiczny miesiąc. Spędzili go, żeglując wokół archipelagu wysp na południowo-zachodnim Oceanie Indyjskim, o którym kiedyś opowiadał im Logan. Obiecał, że będzie to najwspanialsze miejsce na ziemi. Nie mylił się. Razem odkryli tę spośród wysp, którą Honoré opisywała Loganowi przed snem. L'île des Violettes była maleńką kapsułką dzikiego, naturalnego piękna. Wszyscy się w niej zakochali. I postanowili, że pewnego dnia będzie należała do nich. Pewnego dnia.

Ale najważniejsze, cudowniejsze było to, że miał Maryanne. Och, Maryanne. Jego serce topniało, ilekroć o niej pomyślał. Była najśłodszą, najśliczniejszą dziewczyną na świecie i znowu wkroczyła w jego życie dwa miesiące po ich powrocie z wakacji i rozpoczęciu przez Nicola pracy w firmie budowlanej. I jeśli wcześniej czuł się całkiem zadowolony, to teraz miał wrażenie, że jest najszczęśliwszym facetem na ziemi.

Co weekend, kiedy tylko udało mu się wyrwać z pracy, pędził do Nowego Jorku, nie chcąc zmarnować ani jednej sekundy, którą mógł spędzić z Maryanne. Praca nie cierpiała na tym - zresztą nie sprawiała mu szczególnych trudności. Zdecydował się na nią tylko dlatego, by zdobyć trochę doświadczenia i udowodnić sobie, że jest dość dobry, by taką pracę otrzymać. Zastanawiał się, czy zostać samodzielnym przedsiębiorcą, czy w następnym roku rozpocząć studia MBA, które Logan już zaczął. Nicolo nie mógł się zdecydować. Wszystko to wydawało się dość nudne. Jasne, na Harvardzie było wspaniale i Nicolo dobrze wykorzystał te trzy lata, ale był już gotów rozkręcić prawdziwy biznes, zamiast przez kolejne dwa lata uczyć się o tym z książek i wykładów. Zresztą pokazał już, że potrafi robić pieniądze, zbił całkiem spory majątek, jeszcze zanim skończył szkołę średnią. W tych rzadkich chwilach, kiedy czuł się trochę gorszy od Logana i Johnny'ego, kiedy ich amerykański blask przyćmiewał go, delikatnego młodego mężczyznę, kiedy jego doskonale maniery dżentelmena wypadały blado przy dowcipie Johnny'ego i pełnej siły charyzmu Logana, to właśnie ta świadomość

poprawiała mu samopoczucie - świadomość, że on już udowodnił swoją wartość, że przyjaciele na nim właśnie polegają.

Minał jasnoszarą fasadę biblioteki publicznej z powiewającą nad jej schodami amerykańską flagą. Lubił Boston. Podobały mu się te szerokie ulice i wrażenie przestronności, podobała mu się historia i klasa tego miasta, i to, że jest jednym z najstarszych w Ameryce. Gmachy, na które patrzył, codziennie dawały mu radość; wystarczyło spojrzeć w górę, by odnaleźć kolejne źródło inspiracji. Pewnego dnia wejdzie tu, do budynku, który będzie należał do niego, nie miał co do tego wątpliwości. Może kiedy Maryanne skończy studia w Nowym Jorku i przeprowadzi się tutaj; wiedział, że ona także zachwyciłaby się Bostonem. Tak, tutaj mogliby zbudować swoje wspólne życie.

Nie spiesz się tak. Na to jest jeszcze mnóstwo czasu. Ale nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy wyobrażał sobie, jak idzie tymi ulicami z Maryanne, trzymając ją za rękę. Może pracowałiby tu razem - ze swoją wiedzą na temat projektowania wnętrz i wykwinnym gustem Maryanne bardzo przydałaby się First - bo taką nazwę Nicolo, Logan i Johnny nadali swojej małej sieci hoteli. Bo była to już sieć; w ciągu niespełna dwóch lat udało im się otworzyć trzy hotele. Miało to też swoją ciemniejszą stronę, z czego niedawno zdał sobie sprawę. Logan i Johnny zaczęli narzekać na to, że tyle czasu spędza w Nowym Jorku, zamiast pracować wraz z nimi. Odkąd Maryanne znowu pojawiła się w jego życiu, Nicolo spotykał się z nią w każdy weekend.

Hotele były stosunkowo niewielkie i nastawione na podróżujących biznesmenów, którzy oczekiwali sprawnej obsługi, ale nie chcieli korzystać z hoteli wielkich sieci, w których, kiedy przestąpili już próg holu, było zawsze tak samo, bez względu na to, w jakiej części świata akurat się znaleźli. Hotele First miały zdecydowanie amerykański klimat i zapewniały swoim klientom „najwyższy standard”. Chłopcy doszli do wniosku, że przyczyną, dla której ludzie chcą latać pierwszą klasą albo płacić w hotelach za pokoje o podwyższonym standardzie, nie jest tylko dodatkowa przestrzeń czy wygoda, ale to, co dostawali niejako „przy okazji”: posiłki przygotowane zgodnie z ich upodobaniami, eleganckie torby ze złotym

logo pełne nowych skarpetek, możliwość zabrania do domu jakiejś drobnej pamiątki dla dzieci i powiedzenia im, że pochodzi z eleganckiego hotelowego apartamentu. Opracowana przez nich koncepcja zakładała więc stworzenie takich hoteli, w których każdy miałby wrażenie, że korzysta z usług pierwszej klasy. Nawet w najtańszych jednoosobowych pokojach istniała możliwość wybrania poduszki o odpowiednim kształcie i odpowiednio miękkiej, a na nocnym stoliku leżały przeróżne czekoladki - zamiast nieśmiertelnej miętowej pralinki, znanej im z innych hoteli. Każdemu starali się zapewnić najwyższą jakość usług. I na razie wszystko rozwijało się zgodnie z planem. Podróżującym biznesmenom i uczestnikom konferencji korzystającym z hoteli First podobały się te pomysły i to, że traktowano ich indywidualnie, podczas gdy w innych hotelach często wręczano im po prostu klucz do kolejnego beżowego, bezosobowego pokoju. Podobało im się też menu, składające się ze znajomych amerykańskich dań, na przykład na śniadanie naleśniki, omlety i jajka sadzone, zamiast typowych kontynentalnych zestawów. Na razie było dobrze. Ale wymagało to ciężkiej pracy, cięższej, niż którykolwiek z nich mógł sobie wyobrazić. Wszyscy trzej starali się pogodzić prowadzenie interesów z innymi zobowiązaniami. Teraz kiedy Nicolo włączył w swoje życie Maryanne i uznał spotkania z nią za najważniejsze, jego zainteresowanie hotelami trochę osłabło. Nie przejmował się tym jednak. W końcu za wspólnym przedsięwzięciem stały głównie jego pieniądze. A poza tym, co jeszcze istotniejsze, Johnny i Logan byli jego przyjaciółmi. Rozumieli to. Cieszyli się, że poznał kogoś tak wyjątkowego.

Ona naprawdę była kimś wyjątkowym. Logan zrozumiał to w chwili, kiedy ją zobaczył. Jakby otaczało ją światło - o, Boże, kiedy ta myśl przyszła mu do głowy, natychmiast zdał sobie sprawę, jak banalne to określenie. A jednak oddawało też prawdę. Z nich dwóch Johnny zawsze był większym kobieciarzem; kobiety przyciągały go jak magnes. Podobały mu się te wyraźnie seksowne - nie umiał się oprzeć ładnej buzi, ponętym piersiom, długim nogom. W barze interesowały go zawsze te dziewczyny, za którymi oglądali się wszyscy mężczyźni. Logan szukał tych mniej rzucających się

w oczy, które nie prowokowały swoim ciałem. Lubił być odkrywcą, dlatego bardziej niż wydekoltowana, utleniona na jasny blond panienka ciekawiła go skromna dziewczyna o mysich włosach albo siedząca w kącie, nieśmiała intelektualistka w okularach. Pomijając wszystko inne, zdążył się już przekonać, że te szare myszki często okazywały się demonami seksu.

Ale ta dziewczyna na pewno nie była szarą myszką. Jej naturalnej urody nie sposób było nie dostrzec. Logan czekał na Nicolo pod małym biurem, w którym mieścił się zarząd First, pewnego rześkiego poranka w kwietniu 1982 roku. Wszyscy trzej mieli się tam spotkać z dyrektorami swoich trzech hoteli, przeanalizować dotychczasowe osiągnięcia i rozpocząć planowanie kolejnych ruchów. Pierwotny biznes plan zakładał otwarcie tylko trzech hoteli; teraz musieli zdecydować, czy dalej rozwijać swoją sieć, a jeśli tak, to w jakiś sposób.

Logan przyjechał wcześniej, a ponieważ nie miał kluczy do biura, siedział w samochodzie i starał się wykorzystać ten czas, czytając materiały na zajęcia z marketingu. Studia MBA bardzo go absorbowały, a przy dodatkowych obowiązkach, jakie wiązały się z zarządzaniem hotelami, każda minuta była dla niego cenna i nie mógł jej stracić. Ale bardzo mu to odpowiadało. Codziennie wstawał o wpół do piątej, nigdy nie kładł się przed północą, a jednak zawsze pełen energii witał nowy dzień. Postanowił zacząć MBA zaraz po dyplomie, zamiast pójść do pracy i zaoszczędzić na dalszą naukę, co robiło wielu innych studentów - przede wszystkim dlatego, że miał taką możliwość. Promotor zapewnił go, że zostanie przyjęty, a rodzice chętnie zapłacili za kolejne studia. Chcieli trzymać go z dala od domu, najlepiej na jakiejś prestiżowej uczelni, by w klubie i na polu golfowym móc chwalić się jego osiągnięciami. A Logan zamierzał wykorzystać ten czas, by nauczyć się jeszcze więcej, nawiązać kontakty, planować i rozbudowywać First z John-ym i Nicolem. Nie przypuszczał, że studia tak mu się spodobają i że to, co większość ludzi uznalaby za pracę ponad siły, sprawi mu tyle radości. Zrodziło się w nim swego rodzaju uzależnienie -im więcej pracował, tym więcej chciał jeszcze zrobić. Doba zawsze była dla niego za krótka.

Między innymi właśnie dlatego doprowadzali go do furii ludzie, którzy się spóźniali. Nie miał czasu do stracenia i zakładał, że jeśli on może dotrzeć na miejsce punktualnie, inni także powinni się o to postarać. Mimo że przyjechał na spotkanie wcześniej, co chwila, zirytowany, podnosił wzrok znad książki, by sprawdzić, czy pozostali już przyjechali. I właśnie kiedy po raz kolejny oderwał się od lektury, zobaczył tę dziewczynę. Szła w jego stronę. Miała gęste, kręcone włosy koloru ciemnego złota, które opadały jej na szczupłe ramiona. Była ubrana w luźną, kolorową bluzkę i niebieskie dżinsy. Śmiała się i trzymała za rękę Nicola. Przystanęli kilka metrów dalej, nie zwracając uwagi na nic poza sobą nawzajem. Pocałowali się. Spojrzeli sobie w oczy. I znowu się pocałowali. Potem rozstali się niechętnie i dziewczyna ruszyła dalej ulicą, odwracając się i machając do Nicola.

Pod wpływem impulsu Logan wyskoczył z samochodu i podszedł do przyjaciela, który stał i patrzył za Maryanne.

- A więc to jest ta dziewczyna, która zajmuje ci wszystkie weekendy? Nie przedstawisz mnie?

Nicolo odwrócił się, zaskoczony.

- Och, nie wiedziałem, że już jesteś. Tak, chwileczkę. Podniósł rękę, dając znak Loganowi, by zaczekał, i pobiegł za dziewczyną. Logan wiedział, że powinien był zostać w samochodzie i udawać, że jej nie widział. Nie powinien stać na ulicy i patrzeć, jak idzie ku niemu, z szerokim uśmiechem na pięknej twarzy. Nie powinien, z drżącymi kolanami i zdradą w sercu, czekać, aż się zbliży. Ale kiedy tylko ją zobaczył, zrozumiał, że znalazł się na rozdrożu, choć tak naprawdę nie miał już wyboru. Mógł pójść tylko jedną drogą. Dziewczyna stanęła przed nim i wyciągnęła rękę.

- Cześć, jestem Maryanne. Nicolo dużo mi o tobie opowiadał. Logan ujął jej drobną, miękką dłoń. Serce nagle eksplodowało

mu w piersi i wiedział już, że właśnie poznał swoją przyszłą żonę.

Od tego dnia Logan starał się jak najwięcej dowiedzieć o Maryanne. Delikatnie wypytywał o nią Nicola i szybko odkrył, gdzie mieszka w Nowym Jorku, co zaczęła studiować po college'u i jak spędza wolny czas, kiedy nie spotyka się z Nicolem. Nie było to

trudne. Nicolo zachwycony piękną, złotowłosą studentką, chciał o niej mówić przy każdej okazji. Po kilku tygodniach Logan znalazł adres Maryanne, wiedział, gdzie dziewczyna zwykle kupuje pędzle, farby i inne akcesoria plastyczne, jaką najchętniej pije kawę i jaka jest jej opinia na niemal każdy temat, od długości spódnic po wojnę na Falklandach. Prawie każde zdanie Nicola zaczynało się od słów „Maryanne uważa, że...”. Teraz jednak Logan - którego wcześniej irytowało, że Nicolo więcej myśli o swojej dziewczynie niż o rozwijaniu wspólnego biznesu - zachęcał przyjaciela do zwierzeń i chłonał wszystkie informacje. A Nicolo, ani przez chwilę nie podejrzewając, że Loganowi przyświeca jakikolwiek inny cel poza okazywaniem zainteresowania przyjacielowi, jak słowik śpiewał swoją pieśń o pięknej Maryanne. Logan wstydził się tego, co robi - ale nie na tyle, by z tym skończyć. Wiedział, że to niemoralne. Wiedział, siedząc po drugiej stronie ulicy i obserwując Maryanne, która wychodziła z budynku uczelni, roześmiana, w gronie przyjaciółek, że jeśli się nie opamięta, jego przyjaźń z Nicolem się skończy. Ale nic nie mogło go powstrzymać. Odkąd po raz pierwszy spojrzał jej w oczy i poczuł łączącą go z nią więź, chciał ją zdobyć. I nic innego już się nie liczyło.

Logan zdobywał serce Maryanne w taki sam sposób, w jaki zdobywał wszystko inne w swoim życiu - dowiadywał się jak najwięcej i skrupulatnie planował. Według tych samych zasad, które stosował później - budując swoje imperium, kiedy agresywnie przejmował podupadające firmy czy kupował nieruchomości - odrobić zadanie domowe, zaplanować atak, przeprowadzić ofensywę szybko i bezwzględnie, nie dając przeciwnikowi czasu do namysłu. Podczas fazy poznawczej czerpał wiele przyjemności z obserwowania Maryanne, lecz gdy o tym myślał, czuł się trochę nieswojo, jak ci samotni mężczyźni, którzy, przyczajeni w mroku, szpiegują innych. Ale przypominał sobie wtedy, że to konieczne. I rozkoszował się wdziękiem jej ruchów, miękkim, kołyszącym krokiem, widokiem jasnego pasma jej włosów opadających na gładkie czoło. Wiele lat później będzie płaciła setki dolarów na miesiąc fryzjerom, by ujarzmić te niesforne loki - teraz jednak swobodnie spływały jej na ramiona, a ona po prostu odgarniała je za uszy.

To właśnie robiła wtedy, kiedy Logan znowu ją zobaczył - odgarniała włosy za ucho, wracając do domu po zajęciach na uczelni. Czekał, aż zbliży się do małego baru, w którym siedział. A kiedy była zaledwie kilka kroków od niego, wstał, zabrał gazetę i wyszedł.

- Och, cześć!

Odwrócił się, z wyrazem twarzy jednocześnie przyjaznym i trochę zdezorientowanym.

- Cześć...

Jego mina mówiła, że ją zna, ale nie bardzo wie skąd. Pomogła mu.

- Maryanne Curtis, dziewczyna Nicola. Teraz na jego twarzy odbiło się zakłopotanie.

- Oczywiście... Maryanne! Miło cię widzieć.

Wyciągnął dłoń, a ona przycisnęła do piersi papiery, by ją uścisnąć. Kiedy dotknęła jego ręki, zadrżała lekko i unikała jego wzroku. A więc ona także to czuła.

- Bardzo przepraszam, pewnie uważasz mnie za gburę.

- Ależ nie, przecież spotkaliśmy się tylko przelotnie. Ja po prostu mam dobrą pamięć do twarzy.

- Nie, to niewybaczalne, byłem zupełnie nieprzytomny. Mogę zaprosić cię na kawę, w rekompensacie za tę gafę? Zawahała się.

- No, daj się namówić. Mają tu świetną kawę. Kiwnęła głową.

- Tak, wiem, to moja ulubiona kafejka. Mieszkam tuż za rogiem.

- Och, naprawdę?

- Tak. Dobrze, chętnie napiję się kawy, dziękuję.

Siedzieli w kafejce godzinę, pijąc latte i rozmawiając, aż Maryanne nagle poczuła się nieswojo, wymyśliła jakąś wymówkę i wyszła. Wracając do domu, zastanawiała się, dlaczego to zrobiła. Logan był przyjacielem Nicola - w końcu to nie tak, że poderwała jakiegoś obcego faceta. A jednak nie potrafiła otrząsnąć się z tego uczucia. Kiedy dotarła na swoją ulicę, wiedziała już, o co chodzi. To dlatego, że czuła się z nim tak swobodnie. Głupie uczucie swobody wprowadziło ją w zakłopotanie.

A przez tę godzinę spędzoną z Loganem w jakiś sposób - nie umiała tego wytłumaczyć - czuła się tak, jakby on dobrze ją znał. Rozumiał ją tak, jak nawet ona sama siebie nie rozumiała. Te pytania, które jej zadawał... O to, czego chce od życia, dokąd zmierza... Uświadomiła sobie, że łączy ją z nim jakaś więź, zupełnie jakby -och, nie, to idiotyczne. Skarciła się w duchu i otworzyła drzwi do mieszkania. Jej chłopakiem jest Nicolo. Kocha go. Czuła się z Loganem tak dobrze tylko dlatego, że on przyjaźni się z Nicolem. Jest więc przy nim bezpieczna. Ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że zgadzając się usiąść z nim przy kawiarnianym stoliku, zgodziła się na dużo, dużo więcej. Wszystko to stało się tak szybko, zbyt szybko, by mogła się zatrzymać i zastanowić nad tym, co się dzieje. Zakochała się w Loganie bez pamięci. Nigdy nie wierzyła w pokrewne dusze ani w miłość od pierwszego wejrzenia. Nie. Czytała o tym w tanich romansach, które podkradła kiedyś matce, lecz zawsze składała takie porywy na karb pożądania albo złudzenia. Ale kiedy idąc ulicą z Nicolem, spotkała Logana, coś się w niej zmieniło. A kiedy usiadła, by wypić z nim kawę, cały świat zawalił się i przestał być ważny.

Przez trzy tygodnie spotykała się z Loganem w tajemnicy i tylko w dzień, tak by można było łatwo to wytłumaczyć. Logan jechał całą noc do Nowego Jorku, żeby się z nią zobaczyć. Leżeli obok siebie, nie zasypiając, bo nie chcieli tracić ani sekundy bezcennego wspólnego czasu. Maryanne przyjechała na jeden weekend do Harvardu. Logan zabrał ją na spacer po lesie. Kochali się na polanie, a małe suche gałązki trzeszczały pod jej plecami. Jeszcze przez kilka dni było widać zadrapania; musiała je ukryć przed Nicolem, powiedziała mu więc, że dostała miesiączki. W to, żeby się spotykać, wkładali wiele wysiłku, oboje mieli przecież wiele zajęć i musieli się ukrywać. Godzinami rozmawiali więc przez telefon: snuli plany i opowiadali sobie o wszystkim, co robili danego dnia, jakby chcieli w ten sposób wchłonąć nawzajem swoje życie. Maryanne opierała głowę o ścianę, wtykała słuchawkę pod brodę i zamykała oczy, słuchając oddechu Logana.

Teraz zdała sobie sprawę z tego, co to znaczy zakochać się, jakie to intensywne doznanie. Nie rodzi się wcale tylko w głowie

albo w sercu, ale w całym ciele, które każdym porem chce chłonać przedmiot swej miłości. Pole widzenia zawęża się do postaci ukochanej osoby, a jej nieobecność wywołuje nieznośny ból. Tylko jeden człowiek może zaspokoić ten straszny, niemal fizyczny głód.

Spędzili jeden koszmarny wieczór z Nicolem i jakąś dziewczyną, którą on uparł się poznać z Loganem. Pewnej niedzieli wybrali się w Bostonie we czworo do kina - wymyśliła to Maryanne, żeby skrócić czas, w którym będą musieli ze sobą rozmawiać. Siedziała w kinie i kątem oka, żeby Nicolo niczego nie zauważył, zerkała na Logana, by sprawdzić, czy i on na nią patrzy. Potem poszli do restauracji, w której było cicho, co jeszcze bardziej podkreślało skrepowanie panujące przy ich stoliku. Później Maryanne i Nicolo pokłócili się w samochodzie. On oskarżał ją o to, że traktowała Logana oziębło i nie próbowała nawiązać rozmowy z jego przyjaciółką. Maryanne milczała. Nie mogła mu powiedzieć, że nie patrzyła na Logana, bo nie potrafiłaby ukryć tęsknoty w swoich oczach. Że nie rozmawiała z nim, bo gdyby zaczęła, nie potrafiłaby przestać, nie potrafiłaby się powstrzymać, by nie wyznać mu, że go kocha. Bez słowa wrócili do mieszkania Nicola i poszli spać. Nie kochali się tej nocy. Nicolo był zdezorientowany, zraniony. Nic nie mogła na to poradzić. Leżała obok niego na wąskim, jednoosobowym łóżku i cichym płaczem ukołysała się w końcu do snu. Następnego ranka Nicolo chciał się pogodzić, przyniósł jej do łóżka kawę i sok i czule ją pocałował.

- Nicolo? - wyszeptała, chcąc to zakończyć, tu i teraz. Może zdoła z nim zerwać, odejść. Nie wyjaśniając mu dlaczego, nie raniąc go tak okropnie. Ale coś ją powstrzymało.

- Tak, kochanie? O co chodzi?

- Przepraszam - wydusiła i wybuchnęła płaczem. Słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

Nicolo głaskał ją i uspokajał, i także ją przeprosił, zakładając, że było jej przykro z powodu wczorajszej kłótni.

Potem się kochali. Nicolo starał się zaspokoić swoją zdradziecką kochankę, a ona leżała z zamkniętymi oczami, nie patrząc na niego, dręczona poczuciem winy. Wiedziała, że to nigdy więcej nie może się powtórzyć,

nie potrafiłaby zrobić tego jeszcze raz. Ilekroć Nicolo ją dotykał, wzdrygała się, bo nie był Loganem. Jego pocałunki, jeszcze kilka tygodni temu dla niej źródło radości, stały się teraz zatrute, bo całujące ją usta nie należały do Logana. Wiedziała, że to, co robi, jest złe i że musi z tym skończyć. Nicolo zasługiwał na dziewczynę, która nie będzie marzyła w jego ramionach, by kochać się z kimś innym - z jego najlepszym przyjacielem! O Boże. Koniec. Zerwała się z łóżka, pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

Kilka godzin później uciekła, mówiąc Nicolowi, że musi kupić jakieś rzeczy potrzebne na zajęcia. Zamiast tego pobiegła do najbliższej budki telefonicznej. Kiedy Logan odebrał, zaczęła płakać i długo nie umiała się opanować. Logan siedział na łóżku w swoim pokoju i słuchał, jak ukochana kobieta płacze przez telefon. Miał wrażenie, że i jemu zaraz pęknie serce. Nie mógł pozwolić, by dłużej tak się dręczyła. Minał zaledwie miesiąc, odkąd usiedli razem w tej małej kafejce, i dwa miesiące, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy, ale to było bez znaczenia; zrodziła się w nim niezachwiana pewność, że postąpił właściwie.

- Maryanne, kochanie, uspokój się. Oddychaj głęboko. A teraz powiedz mi, gdzie jesteś. Dokładnie.

W końcu udało jej się opanować na tyle, by odpowiedzieć, choć głos nadal jej się łamał.

- Ale co teraz będzie? - spytała w końcu. - Co mam robić? - Znowu zaczęła rozpaczliwie łkać.

Nie mógł tego znieść.

- Zaczekaj tam na mnie.

- Muszę wracać, on będzie się zastanawiał, gdzie ja...

- Nie. Posłuchaj, Maryanne, ufasz mi?

- Tak - odparła bez wahania.

- W porządku. Ja się tym zajmę i zajmę się tobą. Tylko zaczekaj tam na mnie.

Nigdy dotąd nie prowadził samochodu z taką prędkością jak tego ranka, bo chciał jak najszybciej do niej dotrzeć.

Kiedy przyjechał, siedziała na murku przy budce telefonicznej, skulona,

z zaczerwienionymi oczami i zmarszczką na czole. Logan pomyślał, że nigdy nie widział nikogo piękniejszego od niej.

Wysiadł i zostawił samochód byle jak zaparkowany, z otwartymi drzwiczkami. Nie dbał o to, w tej chwili liczyła się tylko ona, tylko Maryanne.

- Maryanne, już jestem. Już dobrze.

- Och, Logan, nie mogę. Nie wiem... Objął ją i mocno do siebie przycisnął.

- Mówiłem ci już, nie musisz robić.

Czuł, jak jej serce uspokaja się powoli. Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się do niego słabo.

- Przepraszam. Za to, że jestem taka beznadziejna. Pokręcił głową.

- Nie jesteś beznadziejna. Jesteś cudowna. Sięgnął do kieszeni.

- Kocham cię. Kocham cię za bardzo, żeby to mogło dłużej tak trwać. Chcę, żebyśmy naprawdę byli razem, tak jak trzeba: bez ukrywania się, bez kłamstw.

Kiwnęła głową.

- Ja też tego chcę.

- To dobrze.

- Hej, ty! To twój wóz? Zabieraj się stąd! - jakiś mężczyzna wychylił się z okna swojego samochodu i pomachał do Logana, wciskając klakson. Logan spojrział w jego stronę, a potem znowu odwrócił się do Maryanne. I wyciągnął do niej rękę. W palcach trzymał małe srebrne kółko.

- Maryanne, wyjdiesz za mnie?

Nie mogła wykrztusić słowa. Próbowwała, ale nie potrafiła. Więc tylko kiwnęła głową i podała mu dłoń, żeby wsunął jej na palec pierścionek. A potem objęła go ramionami za szyję i pocałowała, a on chwycił ją i podniósł do góry.

Kierowca już nie krzyczał, lecz klaskał z entuzjazmem.

- A to dopiero, super! Zupełnie jak na filmach! A teraz rusz tę brykę, szczęściarzu!

Logan roześmiał się, przeprosił go gestem i pobiegł do samochodu. Maryanne stała na chodniku i ściskając swój zaręczynowy

pierścionek, przyglądała mu się. Logan wrócił do niej, chwycił ją za rękę. Już nie płakała. Uśmiechała się do niego.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. - Wyciągnęła do Logana dłoń ozdobioną lśniącym srebrnym kółkiem.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiliście. Odwrócili się jednocześnie, dwoje winowajców, do człowieka,

którego zdradzili. Nicolo stał kilka kroków dalej, z gazetą pod pachą i zatrzymaną w pół gestu dłonią, którą podnosił papieros do ust, i patrzył na nich. A dokładnie na rękę Maryanne. Nigdy dotąd nie widziała na niczyjej twarzy wyrazu tak absolutnego zaskoczenia, takiego niedowierzania. Nicolo wyglądał tak, jakby jego mózg nie potrafił pojąć tego, co widziały oczy; jakby umysł odmówił mu posłuszeństwa, by chronić go przed potwornym ciosem, jaki miał zaraz na niego spaść.

- O Boże! - Maryanne zamarła, przerażona.

Nicolo ciągle patrzył na jej rękę. Zapadła długa cisza. Maryanne nie miała odwagi się poruszyć, nie miała odwagi oddychać. Co on teraz zrobi?

- Nicolo? Powiedz coś - wyszeptwała.

Nicolo na moment zamknął oczy, a potem podniósł głowę i spojrzał na Logana ponurym, twardym wzrokiem.

- Nigdy tego nie zapomnę. I obiecuję, że ty też.

Potem, nie patrząc na Maryanne, odwrócił się i powoli odszedł.

W domu zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Zapalił papierosa i usiadł na podłodze, opierając się plecami o drzwi. W tym małym mieszkaniu nie było innego miejsca, w którym teraz spokojnie by usiadł; nie było miejsca, którego wcześniej nie zajmowała Maryanne, którego nie dotykała, na którym nie leżała. Po jego twarzy płynęły łzy. Pozwolił sobie na nie tym razem - i już nigdy więcej. Teraz to on sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małe czarne pudełeczko. Otworzył je i spojrzał na pierścionek z małym szafirem. A potem zatrzasnął pudełko, a wraz z nim zatrzasnęło się jego serce, na zawsze.

Logan zabrał Maryanne do siebie, żeby uczcić ich nagłe zaręczyny butelką wina. Leżeli w łóżku i słuchali Pink Floyd. Odcięli się od świata.

- Co teraz zrobimy? - spytała Maryanne.

- Co masz na myśli?

Maryanne usiadła i podciągnęła wyżej kołdrę, bo w pokoju było chłodno.

- Chodzi mi o to, gdzie będziemy mieszkali, co będziemy robili. Jeszcze rok temu miałam jakiś plan. Chciałam studiować projektowanie wnętrz, co zajęłoby mi kolejne cztery lata. Potem znowu spotkałam Nicola. Miałam chłopaka, miałam swoje mieszkanie, wszystko było takie normalne. A teraz jestem zaręczona z kimś, kogo poznałam dwa miesiące temu, Nicolo już nigdy się do mnie nie odezwie, a ja nie wiem, czy podoba mi się to, kim jestem. Nie wiem nawet, czy w ogóle wiem, kim jestem.

Wyrzuciła to wszystko z siebie jednym tchem. Logan przyciągnął ją i pocałował w czoło.

- No więc ja ci powiem. Jesteś utalentowaną, inteligentną, piękną kobietą. Będiesz robiła wszystko, na co ci przyjdzie ochota. Zrobimy to razem, cokolwiek to będzie. Jesteśmy zespołem. A ty zostaniesz moją żoną. Brzmi to wystarczająco dobrze?

Maryanne odwróciła się do niego. Nagle poczuła się bardzo spokojna i bardzo, bardzo zmęczona. Oparła głowę o jego pierś i zamknęła oczy.

- Lepiej niż dobrze.

Tej nocy Logan nie mógł zasnąć, a Maryanne spała obok niego, nieświadoma ciężaru, który czuł w piersi. Bo zanim tego ranka Maryanne zadzwoniła do niego z budki, odebrał inny telefon. Tym razem od Nicola.

Logan jeszcze nigdy nie słyszał w jego głosie takiej radości.

- Chcę, żebyś dowiedział się o tym pierwszy - powiedział.

- O czym?

- To jeszcze nieoficjalne, ale wkrótce będzie. Chcę, żebyś został moim przyjacielem; no, jednym z moich przyjaciół.

-Ty...

122

- Tak. Mam zamiar poprosić Maryanne o rękę.

Postąpił paskudnie, zdawał sobie z tego sprawę. I żałował, że odbyło się to w taki sposób. Widok twarzy Nicola, kiedy ich nakrył, był okropny. Ale kiedy tylko Nicolo zwierzył mu się ze swoich planów, Logan zrozumiał, że musi go uprzedzić. Maryanne musiała należeć do niego, nic innego się nie liczyło. Gnał więc do niej na złamanie karku, zatrzymał się tylko na moment, by kupić pierścionek. Był mały i tani, lecz teraz nie miało to znaczenia. Ważne było tylko to, by dotarł do niej pierwszy, by wcisnął go na palec, zanim Nicolo zdąży zrobić to samo. I tak, leżąc teraz i obejmując Maryanne, żałował, że zadał przyjacielowi taki ból, gdyby jednak było trzeba, zrobiłby to jeszcze raz. Bo ona już należała do niego, na zawsze, i wiedział, że tego nigdy, nigdy nie będzie żałował.

Kilka tygodni później Logan i Johnny podjęli z banku pieniądze, by wykupić udziały Nicola w ich spółce. Potem Johnny napisał do Nicola list, informując go o podjętych działaniach, i załączył czek na kwotę równą wartości jego udziałów. Odwołał się przy tym do zawartej przez wszystkich trzech umowy, z której wynikało, że łącznie udziały jego i Logana przewyższają jego udział, mogą go więc zmusić do wystąpienia ze spółki. Wszystko to było uzasadnione i zgodne z prawem. Mimo to zostało im po tym uczucie niesmaku.

Tak czy inaczej należało to zrobić. Nicolo nie mógł zostać w First. Podpisano nową umowę, zgodnie z którą Logan i Johnny byli jedynymi udziałowcami o wkładach jednakowej wysokości. Potem obaj poszli uczcić to w swoim dawnym studenckim barze.

- Dziwnie się czuję, pijąc za koniec czegoś w tym miejscu -wyznał Johnny.

Obaj spojrzeli w stronę stolika w rogu sali, przy którym zaledwie kilka lat temu pili za szczęśliwy początek swoich wspólnych interesów z Nicolem; gdzie snuli tyle planów i gdzie nawet odbyło się ich pierwsze „spotkanie zarządu”.

- Byle do przodu, nie?

Stuknęli się szklankami. Logan szybko dopił drinka.

- Muszę lecieć. Maryanne przyjeżdża na weekend.

Johnny kiwnął głową. Brakowało mu weekendów z Loganem, wspólnego picia i gry w karty. Ale rozumiał to. Cieszył się szczęściem przyjaciela. Sam także nie mógł narzekać na brak damskiego towarzystwa. Prawdę mówiąc, był już na ten wieczór umówiony z uroczą studentką pierwszego roku.

Logan niecierpliwie czekał na Maryanne na stacji. Tak bardzo chciał już ją zobaczyć. Jego plany na weekend obejmowały namiętny seks, szybką kolację i znowu seks przy butelce szampana. Logan i Johnny wspólnie cieszyli się owocami ciężkiej pracy nad sukcesem First. Firma pochłaniała mnóstwo czasu i energii, ale pozwalała im też żyć na poziomie, o jakim wielu absolwentów mogło tylko marzyć.

Ale Maryanne wysiadła z pociągu blada i zmęczona; miała głębokie cienie pod oczami. Logan natychmiast zrozumiał, że tej nocy będzie tylko spała.

- Hej. Co się dzieje? Wyglądasz na wyczerpaną. Za dużo pracujesz?

Spojrzała na niego niespokojnie spod czerwonego berecika.

- Nie, nie o to chodzi. Jestem... jestem w ciąży.

Logan głośno krzyknął z radości, chwycił ją w ramiona i zakręcił się w kółko.

- Wspaniale! Och, Maryanne! Dziecko! Postawił ją na ziemi, nagle zaniepokojony.

- Przepraszam, wszystko w porządku? Może nie powinienem tak robić?

Uśmiechnęła się.

- Nie, nic mi nie dolega. Jestem tylko zmęczona. Więc cieszysz się?

Logan wyjął jej z ręki torbę podróżną.

- Czy się cieszę? Moja najdroższa, nigdy nie czułem się tak szczęśliwy. A ty nie?

- Och, tak, oczywiście. Tylko nie byłam pewna... twoje studia i cała reszta...

- To doskonały moment. Kończę studia w przyszłym roku, w samą porę. Kiedy urodzi się dziecko? - Wziął ją za rękę i wyszli ze stacji.

Maryanne zatrzymała się i przełknęła ślinę.

- Przepraszam, trochę mi niedobrze. W czerwcu, chyba. Lekarz nie miał pewności. Mój cykl...

Ale Logan nie słuchał, zbyt zajęty planami na przyszłość.

- Doskonale. Kończę studia w maju, ty rodzisz dziecko, a potem możemy robić, co tylko zechcemy, gdzie tylko zechcemy. Przedtem jednak się pobierzemy. Nie chcę, żeby mój syn był nieślubnym dzieckiem.

- Twój syn? - Maryanne przewróciła oczami. - Skąd wiesz, że to będzie chłopiec?

- Po prostu wiem.

Logan się nie pomylił. Trzy miesiące po ślubie Maryanne urodziła zdrowego, ważącego prawie cztery kilo chłopczyka. Nazwali go Charlie. Maryanne skończyła college i wprowadziła się do Logana trzy miesiące przed porodem. Logan przygotowywał się wtedy do końcowych egzaminów. Zaplanowali swoje skromne wesele pewnego późnego wieczora, kiedy Logan skończył powtórkę przed egzaminami. Przyszedł do łóżka z dwoma kubkami gorącej czekolady i zbudził Maryanne. Siedzieli i rozmawiali tak długo, aż Maryanne znowu zasnęła. Był to trudny czas, oboje byli bardzo zajęci, ale też bardzo szczęśliwi.

Pobrali się zimnego lutowego dnia w 1983 roku. Maryanne miała na sobie różowy kostium: szeroki zakiet zasłaniał powiększony brzuch, a krótka spódniczka podkreślała szczupłe nogi. Panna młoda trzymała w ręce bukiet białych róż, we włosy wplotła różową wstążkę. Logan był ubrany w ciemny garnitur z krawatem. Po latach, oglądając ślubne zdjęcia, żartowali, że wyglądał tak, jakby wybierał się na spotkanie w interesach - rzeczywiście, choć nie powiedział o tym Maryanne, brał udział w takim spotkaniu tuż przed ślubem. Johnny był drużbą i świadkiem; drugim świadkiem została jego dziewczyna. Na ślub nie przyjechali ani rodzice panny młodej, ani pana młodego. Maryanne wysłała telegram do matki i babki z informacją, że wychodzi za mąż, ale nie spodziewała się odpowiedzi i istotnie jej nie otrzymała. Logan napisał do rodziców, zapraszając ich na ślub, nie był jednak zaskoczony, kiedy odpisali uprzejmie,

że nie przyjadą, i przysłali czek. Byli więc tylko we czworo. Po ślubie poszli razem do Fired Up, restauracji znajdującej się tuż przy pierwszym hotelu Johnny'ego i Logana, którą także kupili, na lunch składający się ze steków i martini.

Trzy tygodnie przed końcowymi egzaminami Logana i Johnny'ego Maryanne urodziła syna, trochę wcześniej, niż się spodziewali, ale bez komplikacji. Chłopiec był zdrowy i miał niebieskie oczy. Następnego dnia Logan, dumny i jeszcze podchmielony whisky po pepkówce, pojechał do Nowego Jorku i wpłacił zaliczkę na zakup mieszkania - domu jego rodziny. Postanowili zamieszkać na Manhattanie - podobnie jak Johnny, który wynajął tam apartament i przygotowywał się do przeprowadzki. Logan, Maryanne i Charlie mieli dołączyć do niego, kiedy tylko Maryanne dojdzie do siebie po porodzie. Nadszedł czas, by wprowadzić w życie kolejny etap planu.

Maryanne zobaczyła kupione przez Logana mieszkanie dopiero w dniu przeprowadzki. Stała na chodniku z dzieckiem w ramionach i patrzyła na brudną, szarą fasadę wysokiego budynku na Upper West Side. Okolica była nędzna i niebezpieczna. Maryanne nigdy się tu nie zapuszczała, kiedy studiowała w Nowym Jorku, nie mogła więc zrozumieć, co robi tu teraz - w dodatku z małym dzieckiem. Po raz pierwszy, odkąd wyszła za Logana, zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła przypadkiem straszego błędu.

- Masz dolara?

Jakiś włóczęga pociągnął ją za spódnicę. Maryanne odskoczyła do tyłu, z przerażeniem patrząc na odzianą w łańchmany postać, która pojawiła się nie wiadomo skąd i wybałuszała na nią oczy. Maryanne wybuchnęła płaczem i uciekła.

- Nie będę tu mieszkała! Nie pozwolę, by nasz syn wychowywał się w slumsach!

Kiedy Logan dotarł pod budynek i zobaczył, że Maryanne tam nie ma, a furgonetka z ich meblami czeka pod wejściem, natychmiast domyślił się, co się stało, i zaczął szukać żony. Znalazł ją szybko. Maryanne odeszła zaledwie dwie przecznice dalej i siedzia-

ła w małej kafejce, karmiąc Charliego z butelki. Policzki ciągle miała zaczerwienione ze złości. Podeszedł do niej ostrożnie. Widział, że jest wściekła. Kiedy tylko się do niej zbliżył, zaczęła krzyżeć.

- Co ty sobie wyobrażasz? Zupełnie oszalałeś? Tu jest brudno, niebezpiecznie... Niebezpiecznie... I w dodatku...

- Zarobimy na tym mnóstwo pieniędzy - przerwał jej.

- Tylko o tym potrafisz myśleć? Wszystko jest w porządku, jeśli zarabiasz pieniądze? Nie, to nie jest w porządku. Ja się nie zgadzam.

Logan kiwnął głową.

- Przykro mi, że tak uważasz - powiedział - ale tu właśnie będziemy mieszkali. Powinnaś przyzwycząić się do tej myśli. Poza tym wiem, że mieszkanie bardzo ci się spodoba. Pójdę teraz pomóc wnosić meble. Przyjdź i rozejrzyj się, kiedy ochłoniesz.

Czy ona jest jeszcze jednym meblem albo pieskiem pokojowym, żeby ustawiać ją zgodnie ze swoim widzimisię? Mieszkanie bardzo jej się spodoba? Na pewno nie! Jak mógł wiedzieć o niej tak niewiele, by sądzić, że chętnie zamieszka w takiej ruderze? Na samą myśl o tym łzy znowu napłynęły jej do oczu. Naprawdę sądziła, że Logan zna ją lepiej. Spojrzała na Charliego; chłopczyk znowu zasnął. Logan jest uparty. Oczekuje, że ona się podda. A ona też potrafi być uparta. Nie ustąpi.

Wytrzymała w kafejce jeszcze dwie godziny. Potem lunął deszcz. Charlie obudził się i zaczął marudzić, więc zdała sobie sprawę, że będzie musiała zapomnieć o dumie. Pobiegnęła do mieszkania, osłaniając Charliego płaszczem, i z furią nacisnęła dzwonek. Logan otworzył drzwi, wyraźnie z siebie zadowolony. Minęła go bez słowa.

- Mam dla ciebie klucz. Wiesz, żebyś nie musiała za każdym razem dzwonić.

- Och, idź do diabła!

A potem stanęła jak wryta na środku wielkiego, wysokiego pokoju. Ozdobny tynk wprawdzie popękał, a podłoga z surowych desek wymagała piaskowania i polakierowania. Głosy odbijały się echem po tym ogromnym wnętrzu - tych kilka mebli, które ze sobą przywieźli, zupełnie w nim ginęło.

- Och, Logan.

- Ha! Czy mogę sobie już pozwolić na małe „a nie mówiłem”, czy jeszcze na to za wcześnie?

Spojrzała na niego ponuro.

- Nie przeciągaj struny.

- Hm. Tak myślałem.

Ale nie była już zła - jak mogłaby się złościć? Pokój był wspaniały, a widok zupełnie ją oczarował. Podeszła z Charliem do jednego z okien. Było ich osiem, osiem strzelistych szklanych prostokątów, stojących w rzędzie jak strażnicy. Zaczynały się na wysokości jej talii i sięgały aż do sufitu. Jak to możliwe, by zwykle szyby dawały tak oszałamiający efekt? A jednak tak właśnie było. Maryanne zrozumiała, że Logan miał rację. Będzie szczęśliwa, mieszkając tutaj. Kiedy pomyślała o tym wszystkim, co mogłaby zrobić z tym mieszkaniem...

Logan stanął za nią, objął ją ramieniem i uniósł lekko Charliego.

- W porządku, przyznaję. Nie myliłeś się. To cudowne miejsce.

- Wiem, że wymaga generalnego remontu. Ale ty będziesz wiedziała, jak przywrócić je do życia, prawda?

- O, tak. - Już mnóstwo pomysłów cisnęło jej się do głowy.

- I wierz mi, to naprawdę okazyjny zakup. Ta okolica idzie w górę... no dobrze, rzeczywiście ceny nie mogłyby spaść niżej. Ale przysięgam, za parę lat będzie tu zupełnie inaczej. Jutro zamierzam obejrzeć inną nieruchomość niedaleko stąd. Mam dobre przeczucia, Annie.

- Wierzę ci. Wierzę. Przepraszam, że w ciebie zwątpiłam. Ale nie spiesz się. Po jednym kroku naraz, okej?

Logan nie odpowiedział, tylko pocałował ją w czubek głowy i mocno do siebie przytulił.

Robiąc jeden krok, daleko się nie zajdzie. Logan posuwał się naprzód wielkimi skokami. Budynek, o którym wspomniał Maryanne, kupił z Johnnym następnego dnia. Tym razem jako firma, bo nie chodziło tylko o mieszkanie, lecz o dużą budowlę w samym sercu Manhattanu - stary magazyn, który zamierzali przerobić na hotel, elegancki, luksusowy i wyposażony we wszystko, co najnowocześniejsze. Niektórzy twierdzili, że to szaleństwo. Okolica była pod-

pod-

128

upadła i niezdrowa, lecz oni otworzyli w hotelu wielką siłownię i restaurację sushi, taką jak te, które pojawiały się coraz liczniej na Upper East Side.

Wielu uważało, że to się nie może udać, że nikt nie zapłaci tak dużo za pobyt w tym hotelu. A jednak udało się, i ludzie płacili. Logan i Johnny zdołali przeprowadzić remont bardzo szybko, płacąc robotnikom wysokie stawki. Swój pierwszy hotel w Nowym Jorku otworzyli więc już wiosną 1984 roku i uczcili to wydarzenie, wydając wielkie przyjęcie w klubie w dolnej części hotelu. Była to pierwsza impreza zorganizowana całkowicie przez Maryanne. Logan uznał, że powinna bardziej zaangażować się w pracę na rzecz First. Pracowała więc po szesnaście godzin na dobę, by wszystko było zapięte na ostatni guzik. Wyśitek się opłacił - na otwarciu śpiewała Grace Jones, a wśród gości pojawił się Mick Jagger - po raz pierwszy pokazał się publicznie z Janice Dickinson, co przyciągnęło masę paparazzi. Następnego dnia zdjęcie Logana, Johnny'ego i Maryanne pojawiło się w „New York Timesie” z podpisem: „Trzej muszkietierowie Manhattanu?” Maryanne oprawiła je i kilka tygodni później, kiedy w gronie znajomych świętowali w swoim mieszkaniu urodziny Charliego - skończył rok - powiesiła je na ścianie z cegieł, obok rysunku Keitha Haringa - kupiła go za honorarium wypłacone jej przez Logana za organizację otwarcia. Charlie raczkował po dywanie, który Maryanne sprowadziła z Indii. Zmieniła mieszkanie w stylowy apartament - następnego dnia spodziewała się fotografa z „Manhattan Style”. Magazyn przygotowywał artykuł na temat państwa Barnes.

Logan podszedł do żony.

- Wyglądasz, jakbyś była daleko stąd.

- Nie. Jestem tutaj. I nie chciałabym być nigdzie indziej.

Firma rozwijała się lepiej, niż przewidywali. Logan, Johnny i Maryanne stanowili dobrany zespół. Logan szukał nowych nieruchomości i negocjował ich ceny; Maryanne opracowywała zachwycające aranżacje budynków, projektowała wnętrza, wynajdywała unikalne meble; Johnny zajmował się stroną prawną przedsięwzięć, doglądał płatności, rozmawiał z urzędnikami.

Nowy Jork rozkwitał. Wall Street rozwijało się tak dynamicznie jak nigdy dotąd; dzięki temu wzrastało zapotrzebowanie na coraz lepsze hotele. Bankierzy chcieli eleganckich barów, restauracji, siłowni i luksusowych hoteli dla swoich klientów. First otworzyła więc w Financial District hotel specjalnie dla handlowców, którzy nie mieli czasu ani chęci wracać do domu, a potrzebowali tylko pokoju, w którym mogliby się przespać przed powrotem na parkiet. Na Upper East Side Logan i Johnny otworzyli wkrótce kolejny hotel, zainspirowany sztuką nowoczesną - we wszystkich pokojach znajdowały się rzeźby lub obrazy, na ogół młodych, dobrze zapowiadających się artystów. Otworzyli też luksusowy apartamentowiec; kupili stary, podupadły Grand Hotel i przywrócili go do dawnej świetności, a w dniu jego otwarcia wydali bal w dziewiętnastowiecznym stylu; w dawnej fabryce otworzyli klub nocny z pokojami na górze, w których znużeni zabawą goście mogli trochę odpocząć.

Ileokroć Maryanne wpadła na nowy pomysł, przedstawiała go Loganowi, który szukał odpowiedniego miejsca, a Johnny zajmował się całą resztą. Szli do przodu jak burza. Po trzech latach First miała w swoim portfolio dwadzieścia trzy hotele, ponad tuzin restauracji, kluby sportowe, kluby nocne, bary, a nawet parking, kupiony od jego starego już właściciela, który rozbudowali i unowocześnili na potrzeby rosnącej grupy nowojorskich yuppies. Wkrótce potem wyszli poza granice Nowego Jorku. Logan zapalił się do golfa, otworzyli więc ośrodek rekreacyjny z polem golfowym. Maryanne odkryła, że uwielbia wrotki, no to otworzyli bar z dyskoteką, w której tańczyło się na wrotkach. Johnny zaczął palić cygara, zatem do portfolio First dołączyła sieć barów dla wielbicieli cygar. Pieniądze wpływały na ich konto i wypływały z niego, szybko inwestowane, ale w nikim nie budziło to niepokoju. Ku zadowoleniu banków obroty firmy były duże, a płatności zawsze regulowane na czas. Wydawało się, że nie ma przedsięwzięcia, na które nie znaleźliby funduszy i które nie przyniosłoby oszałamiającego sukcesu.

Kiedy hotele First stały już na całym Wschodnim Wybrzeżu, ruszyli dalej, szukając nieruchomości w San Francisco, Los Angeles i San Diego, co zakładał plan opanowania Zachodniego Wybrzeża. Johnny znalazł apartamentowiec w Los Angeles, który, jego zda-

niem, nadawał się na hotel. Logan obejrzał plany budynku i zgodził się z przyjacielem. Cała trójka, Charlie i jego niania, a także konsultant budowlany polecieli obejrzeć nieruchomości. Ekipa First stale się powiększała. „Trzej muszkietierowie Manhattanu?” - podpis pod zdjęciem szydził z Nicola za każdym razem, kiedy na niego patrzył. To znaczy codziennie, bo Nicolo magnesami przymocował wycinek z gazety do drzwi lodówki. Każdego ranka, kiedy sięgał do niej po mleko do kawy, widział szerokie, jasne uśmiechy Logana, Johnny'ego i Maryanne. Dlaczego zachował to zdjęcie? W końcu nie potrzebował przypomnienia, i tak nie potrafił zapomnieć o tym, co się stało. Było to jakby sypanie soli na otwartą ranę. Patrząc na to zdjęcie każdego dnia, sam zadawał sobie ból. Odrobina masochizmu do porannej kawy, proszę pana? O, tak, proszę, młody człowieku, miło zacząć dzień solidną porcją nienawiści do samego siebie. To daje niezłego kopa, nie uważasz? Zatrzasnął drzwi lodówki. Cholera. Może jednak nie może tego znieść? Jeszcze raz spojrzął na fotografię. To wszystko miało wyglądać inaczej - tylko o to chodzi. To on powinien być na tym zdjęciu obok Logana i Johnny'ego, nie Maryanne. To on powinien ożenić się z Maryanne, a nie Logan. Ale i jedno, i drugie mu odebrano -i został sam. Gdy Nicolo otrzymał czek od Logana i Johnny'ego z równowartością swojego udziału w First, rzucił pracę w Bostonie i wyjechał do San Diego, gdzie zamieszkał. Nie musiał już pracować w firmie budowlanej, chciał jak najszybciej opuścić Boston, a nie zamierzał wrócić do domu - wybrał więc to nadmorskie miasto niemal przypadkowo. Pojechał tam i kupił pierwszy nadający się do zamieszkania apartament, jaki znalazł. Po kilku miesiącach picia i użalania się nad sobą znudził się trochę i zaczął się zastanawiać, co ze sobą zrobić. Znowu przez przypadek natknął się na bar, niedawno wystawiony na sprzedaż. Nie wahał się długo - kupił go za część pieniędzy ze swojego udziału w First, a resztę ulokował w kilku nieruchomościach w Los Angeles. Były to głównie apartamenty; wynajmował je. Miał więc mieszkanie, samochód, własny bar,

gdzie mógł pić, pieniądze, które co miesiąc spływały na jego konto, i mnóstwo czasu. Poświęcał go na rozmyślanie o tym, jak bardzo został skrzywdzony.

Kiedyś Nicolo był ambitny. Teraz czuł, że ambicja została z niego wysrana. Nie miał już dla kogo budować imperium. Jego pewność siebie legła w gruzach. Dryfował. Wiedział, że osuwa się coraz niżej. Mieszkał nad jednym barem, zastanawiał się nad otwarciem kolejnego. Czuł, że niedługo skończy jak ci faceci koło sześćdziesiątki, którzy przeżywszy tyle lat, mają do zaoferowania tylko kilka barowych anegdot i opowieści o chorobie wieńcowej. Nie chciał tak żyć, uważał takich ludzi za żalonych, ale na razie nie potrafił wziąć się w garść i dokonać czegoś więcej. Więc codziennie otwierał bar, mieszał koktajle i podawał piwo, i ze swojego bezpiecznego zakątka w Kalifornii patrzył, jak prawdziwe życie toczy się obok. I codziennie dolewał oliwy do ognia swojej frustracji, spoglądając na zdjęcie na drzwiach lodówki.

Pewnego dnia pojechał do Los Angeles, żeby zabrać na kolację dziewczynę. Nie, nie była dla niego nikim szczególnym, po prostu jedną z wielu kobiet, których numery telefonów miał zapisane w książeczce adresowej. Spotykał się z nimi dla zabicia czasu. Nigdy nie oczekiwały niczego poza miłym wieczorem i nie musiał ich namawiać do osobliwych praktyk, jakimi lubił kończyć spotkanie. I zawsze wychodziły z motelu przed wschodem słońca.

Przyjechał wcześniej i postanowił wstąpić jeszcze do sklepu Hustlera naprzeciw Rainbow, żeby kupić kilka rekwizytów na wieczór. Rzeczy, w które zamierzał ją ubrać. Między półkami krążyły głównie striptizerki - wybierały stroje do pracy. Nicolo wziął kilka filmów i rodzaj upręży z czarnej skóry, która krępowała nadgarstki i łączyła je na plecach z szyją, po czym poszedł zapłacić.

Kasy znajdowały się niedaleko drzwi wejściowych. Nicolo czekał w kolejce, wpatrując się z roztargnieniem w okno. Z przyjemnością myślał o swoim pierwszym tego dnia piwie i miseczce słynnego rosółu, który podawali w Rainbow, z kawałkami delikatnego drobiowego mięsa i ziemniaków. Nagle drgnął. Za szybą pojawiła się Maryanne. Głośno wciągnęła powietrze w płuca. Sztuczne paznokcie dziewczyny przy kasie przestały stukać po klawiszach.

- Tak, to będzie pięćdziesiąt dziewięć dolarów i...

Ale Nicolò nie czekał, aż skończy. Maryanne. Przez pół sekundy, a może nawet nie, myślał, że może ona przyjechała tu do niego. I to pod wpływem tej myśli wybiegł ze sklepu i stanął jak wryty, zaskoczony, bo nie była sama. A nawet gdyby była, skąd przyszło mu do głowy, że mogła tu szukać właśnie jego? Głupiec. Ona dokonała już wyboru - była z Loganem. Była z nim także w tej chwili, na tej ulicy.

Nicolò patrzył, jak idą chodnikiem, zatrzymują się i cofają trochę, jakby chcieli dobrze przyjrzeć się stojącemu nieco dalej budynkowi. Logan pokazywał coś na jego fasadzie, a Maryanne kiwała głową. Jej smukłe palce, tak boleśnie znane Nicolòwi, wykonywały w powietrzu szybkie ruchy, jakby coś szkicowała. Budynek był zaniedbany, wejście obskurne. Nicolò natychmiast zrozumiał, po co oni tu przyszli: omawiali jego renowację. Wizja tego, co wspólnie zamierzali z nim zrobić, jak miraż z technicoloru, niemal stanęła mu przed oczami. Nie! Nie, to jest jego terytorium. Oni mają Nowy Jork. Tam ich miejsce. Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, jak absurdalna to myśl: Kalifornia „jego”? Nicolò, ty żałosny durniu.

A jednak. Nie chciał ich tutaj, nie chciał, wychodząc z domu, zastanawiać się za każdym razem, czy gdzieś się na nich nie natknie. Patrząc, jak będą otwierali kolejne hotele, podczas gdy on będzie siedział w swoim małym barze na wybrzeżu. Logan wyraźnie zamierzał odebrać mu miasto, o którym Nicolò myślał już jak o swoim, tak jak wcześniej odebrał mu jego miłość. Po co stoi tu teraz, torturując się ich widokiem? Wydawało mu się wcześniej, że jeśli kiedyś spotka Logana, zareaguje gwałtownie, ale teraz miał tylko ochotę stąd zniknąć. Wyglądali na takich szczęśliwych. Wszystko w porządku - mógł udać, że ich nie widział, wsiąść do samochodu i wrócić do domu, do swojego bezpiecznego baru.

Za późno. Czy Logan poczuł na sobie jego wzrok, czy odwrócił się przez przypadek, Nicolò nie wiedział. Ale nagle Logan spojrzał na niego, a potem odwróciła się Maryanne i go zobaczyła. Wyraźnie się przeraziła i zasłoniła usta dłonią. Nicolò widział, że natychmiast zauważyła jego ból. Popatrzyła w prawo i w lewo, jakby chciała przejść przez jezdnię. I wtedy Logan chwycił ją za łokieć.

Jego wargi poruszały się szybko. Nicolo nie słyszał słów, oczywiście nie mógł ich słyszeć, lecz wiedział, co mówi Logan.

- Nie, Maryanne, zostań. Nie chcę, żebyś do niego podchodziła. Między jej brwiami pojawiła się zmarszczka.

- Dlaczego nie? - spytała zapewne. - Logan, daj spokój, przecież on nic nie zrobi. Ja nie mogę go tak po prostu zignorować. My nie możemy...

- Ja podejść. - Ciągłe trzymał ją pod ramię.

Tak, to przerwało w końcu wszystkie tamy. Potraktowali go jak kogoś niebezpiecznego, kogoś, kogo należy unikać - i cały jego gniew i żal wróciły jedną wielką falą. To oni jego powinni się obawiać, a nie odwrotnie. To on został przez nich skrzywdzony. Odebrano mu nie tylko jego przyszłą żonę, ale także firmę i całe życie - powinien teraz płynąć wartko na fali sukcesu, a nie prowadzić zapyziały bar, podczas gdy oni zbierali owoce przedsięwzięcia, za którym stały jego pieniądze. Gdyby nie on, First nigdy nie wyszłaby poza sferę planów snuty przy piwie w studenckiej knajpie.

Niewiele myśląc, ruszył Loganowi naprzeciw. Znalazł się przed nim po kilku sekundach, bez słowa runął na niego całym ciężarem ciała i powalił go na ziemię. Maryanne krzyknęła.

Nicolo miał przewagę wynikającą z przyływu adrenaliny i efektu zaskoczenia, ale Logan był potężniejszy i silniejszy, więc szybko udało mu się zrzucić z siebie przeciwnika i wstać.

- Nicolo, nie chcę się bić...

Nie zdążył skończyć zdania, bo Nicolo znowu się na niego rzucił - tym razem pchnął go na ścianę budynku, któremu przed chwilą się przyglądali.

- Gówno mnie obchodzi, czego chcesz - syknął przez zaciśnięte zęby. - Gówno mnie obchodzi, co myślisz i co robisz. - Trzymał Logana za koszulę na piersi i przyciskał go do muru. Logan postanowił, że pozwoli mu dać upust złości, i przestał się bronić.

- Nie obchodzi mnie, dokąd jeździsz, jaki kolejny cholerny hotel kupujesz ani z kim jadasz kolacje. Nic mnie nie obchodzie. Oboje. - Nie patrzył na Maryanne, nie mógł na nią spojrzeć, ale to, co powiedział, było zupełnie jasne. Maryanne się wzdrygnęła. - Po prostu trzymajcie się ode mnie z daleka.

Logan spojrział mu prosto w oczy. Nicola oddychał ciężko, drżały mu ręce, miał zmięte ubranie. Logan był zupełnie spokojny. Milczał przez chwilę. A potem powoli pochylił się do przodu, jego skroń znalazła się tuż obok skroni Nicola, a usta przy jego uchu.

- Nigdy nie będziesz dość dobry dla niej.

W dniu, kiedy dowiedzieli się, że wygrali przetarg na budowę gigantycznego centrum rozrywki w Las Vegas, przypadała też czwarta rocznica ślubu Logana i Maryanne. Był rok 1987. Maryanne nigdy nie czuła się tak szczęśliwa. Ciężko pracowała u boku męża i John-ny'ego; zajmowała się teraz nie tylko projektowaniem hotelowych wnętrz, ale także różnymi wydarzeniami w firmie. Organizowała spotkania z ważnymi klientami - i pilnowała, by przebiegały bez żadnych komplikacji - a także zebrania zarządu i prywatne obiady, które wydawał Logan. Planowała wesela i inne przyjęcia, oferując różne style i pakiety usług w zależności od hotelu - większe i tańsze hotele proponowały pakiety podstawowe, zawierające jednak wszystko to, co niezbędne w stylowej oprawie, podczas gdy hotele z wyższej półki zapewniały luksus i wrażenie ekskluzywności, co zadowalało najbardziej wybrednego klienta. Zarabiali mnóstwo pieniędzy, a wieczory spędzali w najlepszych restauracjach Nowego Jorku, gdzie godzinami rozmawiali o pracy, o nowych projektach i swojej przyszłości. Maryanne uważnie czytała karty dań, notując pomysły, które mogły zainspirować szefów kuchni hotelowych, i kompozycje kanapek, które zamierzała wykorzystać na swoich przyjęciach. W czarnym, oprawnym w skórę zeszytcie, który wszędzie ze sobą nosiła, robiła szybkie, eleganckie szkice układów potraw na talerzach. Zarażali się nawzajem swoim entuzjazmem; ich życie koncentrowało się wokół pracy i miłości, i wokół Charliego, ich uwielbianego syna.

Kiedy w biurze zadzwonił telefon i okazało się, że zdobyli ten kontrakt, Logan odłożył słuchawkę, głośno krzyknął z radości, a potem chwycił Maryanne i zakręcił się z nią w kółko.

- Logan, puść mnie! Przestań, wszyscy widzą teraz moje majtki! Rzeczywiście: miała na sobie szeroką, rozkloszowaną spódnicę, która uleciała do góry. Johnny zachęcił całe biuro do wyrażenia

aprobaty gromkimi oklaskami. Logan postawił ją w końcu na ziemi, a Maryanne, roześmiana, schyliła głowę i ukloniła się. Posłano kogoś po szampana i wszyscy wypili za sukcesy First - „przeszłe, obecne i przyszłe”, jak powiedział Logan, „ponieważ to dopiero początek podróży, w którą razem wyruszyliśmy”. Znowu rozległy się oklaski, Maryanne przepełniała dumą z męża. Inspirował wszystkich do tego, by starali się coraz bardziej, sięgali coraz wyżej.

Później wstąpili do domu, żeby ucałować Charliego na dobranoc, i poszli do Marmande, eleganckiej restauracji na Manhattanie, gdzie na prośbę Logana szef kuchni ułożył specjalne menu, które pozwoliło im skosztować wszystkich najlepszych potraw. Znalazła się wśród nich wielka krewetka na pieczonych ziemniakach, przybrana czarnym kawiozem, risotto z trufkami i parmezanem, homar z mussem z *foie gras*.

Ostatnie danie zostało podane na białym talerzu z porcelany Limoges, udekorowanym wzorem z pastelowych róż - był to wybór kilku delikatnych deserów inspirowanych różami, jak choćby su-flet z róż i truskawek, z różowym płatkim w cukrze na wierzchu, baklava z pistacji, lepka od miodu i syropu różanego, i pudełeczko z białej czekolady, w którym leżał pierścienek z dużym różowym brylantem otoczonym mniejszymi białymi brylancikami.

- Maryanne. Zostaniesz moją żoną? No dobrze, zostaniesz moją żoną na zawsze?

- Ty wariacie - zaśmiała się Maryanne. - Och, Logan.

- Cztery lata. Wydaje się to niemożliwe, prawda? Pewnie myślałaś już, że nigdy nie doczekasz się przyzwoitego pierścienka zaręczynowego. - Wsunął go na jej palec, tuż obok obrączki.

- Jest przepiękny. Musiał kosztować ...

- Fortunę. Owszem. Będziemy musieli pozmywać naczynia, żeby zapłacić za kolację.

- Bardzo, bardzo mi się podoba. Kocham cię. Te wiadomości z Las Vegas, a teraz to... Cóż, ja też mam wiadomość.

Znowu jestem w ciąży.

Logan nie posiadał się z radości. Miał wrażenie, że miesiące mijają bardzo szybko, ale dla Maryanne nie był to łatwy czas. Dru-

gą ciężę znosiła gorzej niż pierwszą, wszystko ją bolało, czuła się ociężała i ciągle miała mdłości. Zaczęła też cierpieć na migreny i całe dni leżała w zaciemnionym pokoju. Logan dużo czasu spędzał w Vegas, podobnie jak Johnny, więc kiedy akurat nie leżała w łóżku, uświadamiała sobie, że właściwie nie ma żadnego własnego życia towarzyskiego. Teraz, kiedy nie mogła pracować, czuła się znudzona, niespokojna i samotna.

Pewnego dnia, kiedy siedziała w łóżku oparta wysoko na poduszkach i czytała gazetę, nagle serce podeszło jej do gardła. Ze zdjęcia patrzył na nią uśmiechnięty Nicolò. Stał przed idealnie pościelonym hotelowym łóżkiem. Miał na sobie granatowy garnitur i złoty krawat. Z falą ciemnych włosów zaczesanych do tyłu i wąskimi, wypięłgnowanymi dłońmi wyglądał jak członek jakiejś europejskiej rodziny królewskiej. Pod zdjęciem widniał napis: „Cudowne dziecko biznesu, Nicolò Flores, wraca do branży hotelowej. I chce w swoim łóżku właśnie Ciebie...” Maryanne wzdrygnęła się, kiedy to przeczytała. Nagle poczuła się tak, jakby te słowa były skierowane do niej, jakby to do niej mówił, ją chciał skusić. I chce właśnie Ciebie w swoim łóżku... Zabrzmiało to jak wyzwanie. Ogarnęły ją złe przeczucia.

Rzuciła gazetę na podłogę. To ta przeklęta ciąża. Hormony mogą doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Rozdział 8

1991

Upał i hałas, tak charakterystyczne dla Las Vegas, zaatakowały Logana i Maryanne, kiedy tylko otworzyły się drzwiczki limuzyny. Logan odwrócił się do Maryanne i wsunął jasny loczek za jej ucho.

- Kto by pomyślał? - powiedział. - Ty i ja. Właściciele jednego z największych hoteli w Vegas.

Pocałował ją w czoło. Odsunęła się lekko.

141

- Uważaj na...

- Na twarz. Wiem, wiem. Gotowa pokazać im, jak to wygląda?

- Jasne.

Logan uśmiechnął się szeroko i wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył drzwiczki przed Maryanne. Stanęli na czerwonym dywanie i zaczęły błyskać flesze. Za nimi znajdowała się przyczyna całego tego zamieszania: Piccadilly Circus - najnowsze kasyno w Strip i największy, jak dotąd, projekt Logana. Vegas kwitło. Od otwarcia Mirage dwa lata wcześniej Strip zmieniło się w jeden wielki plac budowy. Jak grzyby po deszczu wyrastały tam nowe hotele i potężne centra rozrywki. Coraz większe, przynoszące coraz większy zysk. Logan postarał się być w epicentrum tej eksplozji biznesu.

- Logan? Pani i pan Barnes... Tędy, Maryanne... Oślepiające błyski fleszy. Najślawniejsza para w Las Vegas, przynajmniej tego wieczoru, uśmiechała się i pozowała do zdjęć. Logan objął ramieniem smukłą talię żony i pocałował Maryanne namiętnie na użytek fotoreporterów.

- Uwielbiają panią jak zawsze, pani Barnes.

- Mnie? Och, ja jestem tu tylko dodatkiem, panie Barnes. To pan jest atrakcją wieczoru.

Podeszli do wejścia - była to znacznie pomniejszona wersja Tower Bridge, dumnie wznoszącego się nad Tamizą. Dalej czekały setki gości.

Maryanne ścisnęła dłoń Logana.

- Zdenerwowana? - spytał.

- Nie. Podekscytowana.

- To dopiero początek, kochanie. To dopiero początek.

Kiedy przeszli przez most i znaleźli się po drugiej stronie, goście zaczęli klaskać i wiwatować, a potem w ogólną wrzawę włączył się kwartet smyczkowy, grając *A Nightingale Sang in Berkeley Square*. Opalony na brąz komik, który miał poprowadzić imprezę, wyszedł przed tłum z mikrofonem, by powitać Logana i Maryanne, i powiódł ich w stronę stojącej na samym środku Tower of London. Wokół znajdowało się wiele innych charakterystycznych dla Londynu budowli: gmachy Parlamentu, wierna, choć mniejsza, kopia tych rzeczywistych (tyle tylko, że wskazówki Big Bena się nie

poruszały - w Las Vegas czas nie płynie), ogrody wzorowane na Hyde Parku, replika Globe Theatre, w której cztery razy dziennie przedstawiano skrócone wersje sztuk Szekspira. Każdego wieczora o dziesiątej odbywał się fantastyczny pokaz fajerwerków inspirowany „spiskiem prochowym”.

Logan pojawił się w oknie wieży, a prowadzący podniósł mikrofon do ust.

- Panie i panowie, mam wielką przyjemność przedstawić państwu człowieka, który stoi za całą tą magią: niezrównanego, czarującego...

Logan pokazał mu gestem, żeby się streszczał.

- .. .bardzo niecierpliwego... Goście wybuchnęli śmiechem.

- Pana Logana Barnes!

Aplauz. I Logan Barnes przejął mikrofon.

Wygłosił przemówienie. Poszło gładko i wypadło doskonale. Wszyscy byli zachwyceni. Wszyscy go uwielbiali.

Logan uznał Piccadilly Circus za oficjalnie otwarte i zaczęła się impreza. Cóż to miała być za noc...

Logan i Maryanne ruszyli przez tłum, pozdrawiając znajomych, przyjaciół i współpracowników w interesach. Oboje byli podekscytowani sukcesem, oboje czuli, że niesie ich jakaś potężna fala. Powietrze pachniało wielkimi pieniędzmi.

Picadilly Circus nie mogło zapowiadać się lepiej.

- Świetnie wykorzystana przestrzeń - powiedział znany architekt do swojego chłopaka.

- Och, zobaczcie, jakie to śliczne! Jak w Anglii... - wołała młodziutka aktorka, w obu rękach ściskając kielichy z koktajlami.

- Wasze zdrowie - powiedział z okropnym angielskim akcentem reżyser, który niedawno dostał Oscara, i podniósł w geście toastu biało-czerwono-niebieskiego drinka. Logan i Maryanne z trudem stłumili chichot.

- Pójdę na górę sprawdzić, co robią dzieci - oznajmiła Maryanne, kiedy już przecisnęli się przez tłum.

- Pospiesz się. Niedługo zacznie się show - odparł Logan.

- Tak, wiem.

Logan patrzył, jak szła w stronę wind. Wyszywana złotymi koralikami sukienka podkreślała jej figurę. Maryanne odwróciła się na moment i pomachała do niego.

- Idź, twoja publiczność czeka!

Posłał jej całusa i wrócił na przyjęcie.

Pięć minut później, na jednym z korytarzy za kulisami między Downing Street a Pall Mail, niejaka Georgia Hardy robiła Loganowi najlepszą laskę w jego życiu, a naprawdę znała się na rzeczy. Należała do grupy tancerek, które miały wziąć udział w pokazie zaplanowanym jako gwóźdź programu wielkiego otwarcia. Wszędzie roiło się od znanych ludzi i przedstawicieli mediów. Przyszli wszyscy, którzy coś znaczyli w Vegas. O tym przyjęciu będzie głośno jeszcze przez długie tygodnie. Logan wspiął się na szczyt, stał się legendą. Do diabła z tymi, którzy twierdzili, że mu się nie uda - pokazał im, jak bardzo się mylili. Lepiej nie słuchać takich głosów, jeśli człowiek chce do czegoś dojść. Żeby odnieść sukces, trzeba ryzykować, trzeba przesuwac granice. On dobrze wiedział, jak daleko może je przesuwac i jak wiele zaryzykować. Zawsze wiedział. W college'u nie nazywali go Złotym Chłopcem bez przyczyny. Wszystko, czego się tknął, zmieniało się w złoto... Chryste, co za dziewczyna... Logan jęknął i owinał sobie jej włosy wokół palców, a potem przyciągnął ją do siebie mocniej, coraz głębiej wchodząc w jej usta. Czuł, że zakrztusiła się lekko, ale zlekceważył to. Mogła to wytrzymać.

Muzyka przybrała na sile; zbliżał się finał pokazu.

Tancerki, ubrane w biało-czerwono-niebieskie kostiumy z lycry, rozpierzchły się po scenie, by za chwilę zebrać się, tworząc kształt róży, czerwonej z niebieskimi płatkami o białych obrzeżach. Rozproszyły się znowu, a potem ruszyły w stronę konstrukcji wznoszącej się w głębi sceny. Stopniowo grupa postaci ułożyła się w taki sposób, by uformować wzór brytyjskiej flagi, która unosiła się nad sceną, falując lekko, jakby poruszana wiatrem. Orkiestra akompaniowała tancerkom, grając angielskie melodie. Kiedy rozległy się pierwsze takty *London Calling*, podekscytowana publiczność poderwała się, krzycząc i klaszcząc.

Tancerki ciągle jeszcze tworzyły flagę, kiedy zaczął się pokaz sztucznych ogni. Eksplodujące na tle ciemnego nieba wielobarwne iskry ułożyły się w napis „FIRST”, po którym wystrzeliły w górę fontanny i rakiety.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin - wyszeptała Maryanne do ucha męża.

Logan czuł się jak król świata.

I wtedy, podczas gdy wszyscy upajali się triumfem Logana, rozległ się okropny trzask i ułożona z ludzkich ciał flaga nagle się rozpadła. Krzyki tancerek mieszały się z krzykiem widowni. Ludzie patrzyli, wstrząśnięci, jak misternie poskładana konstrukcja zmienia się w masę bezładnych nóg, rąk, głów i desek. Na samym dole leżała ładna, szczupła dziewczyna o włosach ciągle jeszcze zmierzwionych po spotkaniu z Loganem. Jej szyja wygięta była pod dziwnym, nienaturalnym kątem - później okazało się, że tancerka doznała trwałego uszkodzenia rdzenia kręgowego. Logan patrzył na scenę, oniemiały z przerażenia. Miał wrażenie, że w tym momencie runęła nie tylko ta drewniana konstrukcja, ale całe jego imperium.

A Nicolo Flores, stojąc w cieniu na tyłach widowni, oparty

o framugę drzwi, chłonał ten chaos i czuł, jak jego serce wypełnia złośliwa satysfakcja. Zaczęło się!

Piccadilly Circus miał być klejnotem w koronie Logana i Maryanne, a stał się kamieniem u ich szyj - symbolem fatum i rozpaczy. Drobną dziewczyną zmiażdżoną przez rozpadającą się konstrukcję

i inne tancerki przeżyła, ale była całkowicie sparaliżowana. Wiele innych tancerek doznało urazów głowy, miały połamane ręce albo nogi, a jedna przebite płuco. O wypadku większość ogólnokrajowych gazet pisała na pierwszych stronach. Olśniewające otwarcie centrum rozrywki w Las Vegas zakończyło się, dosłownie, wielkim upadkiem.

Logan był zdruzgotany. Jego firma, jego życie - wszystko to zostało na zawsze skażone. Ludzie mówili o Piccadilly Circus, ale nikt tam nie chodził. Konstrukcja na scenie najwyraźniej nie była zbudowana solidnie, podejrzewano więc, że reszta hotelu również. To wystarczyło. Odwoływano rezerwacje. Kasyno świeciło pustkami. Ci, którzy mieli w zwyczaju obstawiać wysoko, woleli trzymać

się z dala od tonącego statku. Nawet Logana zdumiało, jak fatalne okazały się następstwa wypadku. A potem zaczęły napływać pozwy od tancerek.

Logan mimo wszystko ciągle był jednak pewny, że zdoła uratować jeśli nie ten hotel, to swoją firmę i reputację. Kiedy do sądu zaczęły wpływać pierwsze pozwy, wynajął najlepszych prawników i uparł się pokryć koszty leczenia wszystkich tancerek. Nie chciał, by przyłgnęła go niego etykieta kogoś, kto umywa ręce. Zignorował opinie swoich prawników, którzy doradzali mu, by próbował odeprzeć zarzuty, a nie zachowywał się tak, jakby przyjmował odpowiedzialność za to, co się stało. W głębi serca był człowiekiem honorowym. Tancerce, której pozew trafił do sądu jako pierwszy, wypłacił pokaźne odszkodowanie.

Wtedy zaczęła się recesja. Logan i Maryanne obciążyli wszystkie hipoteki. Cała firma została zbudowana za pieniądze z pożyczek, a że ludzi, których było stać na pobyty w luksusowych hotelach, ubywało, zmniejszyły się dochody. Ważyły się losy firmy. Johnny pracował dniami i nocami, usiłując utrzymać First na powierzchni. Wystawili kilka nieruchomości na sprzedaż, głównie te, na których zarabiali najmniej, ale nikt żadnej nie chciał kupić.

Tancerki dogadały się ze sobą i pozwały go do sądu wspólnie, co oznaczało, że było je stać na doskonałego adwokata. Logan, który zapłacił jednej, otworzył drogę wszystkim innym pokrzywdzonym w tym wypadku. I nagle okazało się, że musi wypłacić im ogromną sumę. Niedługo potem dostał informację, że nie otrzyma pieniędzy z odszkodowania, ponieważ firma ubezpieczeniowa podejrzewała sabotaż. Nie potrafili niczego udowodnić, zniszczenia były zbyt duże, by dało się ustalić przyczynę wypadku. Logan podejrzewał Nicola Floresę, policja jednak nie miała żadnych obciążających dowodów. Z pewnością nic na tym nie mógł zyskać, mówili policjanci, unosząc znacząco brwi. A on, jako właściciel, niewątpliwie mógł.

Chciał bardziej obciążyć hipotekę, lecz pojawiły się trudności. Banki przestały mu ufać, już nie wydawał się tak wiarygodny jak kiedyś. Zaciskali więc pasa, ale ciągle jakoś się trzymali. Zaciągnęli pożyczkę pod zastaw swojego mieszkania w Nowym Jorku, teraz wartego o wiele więcej niż wtedy, kiedy je kupowali. Był to

poważny zastrzyk gotówki, poza tym niektóre hotele ciągle nieźle sobie radziły. Podjął słuszne decyzje i był przeświadczony, że to pozwoli mu przetrwać ciężkie czasy. Wiedział, że robi, co może, miał wsparcie żony i na duchu podtrzymywało go przekonanie, że przejdą przez kryzys razem. Z pewnością marka, którą z takim trudem i poświęceniem budował, cieszyła się wystarczającym zaufaniem, by mogli wyjść cało z tej burzy.

A potem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Goście korzystający z jego hoteli skarżyli się na zatrucia pokarmowe i problemy skórne, wywołane ukąszeniem pluskiew. Logan nic z tego nie rozumiał. Zawsze przywiązywał ogromną wagę do higieny. Zawsze też płacił wysokie pensje pokojówkom, wyższe niż jego konkurencja, ponieważ wiedział, że wykonują najgorszą, ale też jedną z najważniejszych prac w tej branży. Kiedy łazienka jest brudna albo na nocnej lampce zebrał się kurz, takie rzeczy jak luksusowy wystrój czy sprawny system rezerwacji przestają się liczyć. Ludzie pamiętają brud. Więc gdy pojawiły się pozwy - jeden z nich został wniesiony przez rodziców dziecka, które zatrulo się w restauracji hotelu należącego do First i spędziło kilka dni w szpitalu, inny wniosła kobieta, która twierdziła, że była hospitalizowana z powodu choroby roznoszonej przez pluskwy - Logan miał wrażenie, że jego najgorsze nocne koszmary stają się rzeczywistością. Jak to możliwe, że do tego doszło? I ciągle napływały kolejne skargi.

Wypadek to jedno, z czasem można się z niego podźwignąć. W końcu może zdarzyć się każdemu. Ale wraz z tymi nowymi problemami pojawiły się pogłoski, że hotelom First daleko do standardów pierwszej klasy, że są brudne, zaniedbane, niebezpieczne. Firma, powoli, lecz nieubłaganie, zmierzała do bankructwa.

Dwa lata po otwarciu i rychłym zamknięciu Piccadilly Circus wszystko chyliło się ku upadkowi. Firma miała złą prasę i borykała się ze strumieniem pozwów, który zdawał się nie wysychać. Maryanne czuła, że nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Logana po powrocie do domu tego dnia, kiedy podpisał dokumenty oficjalnie potwierdzające rozwiązanie First i jego bankructwo. Wydał jej się jakiś mniejszy. Dotknęła jego ręki, kiedy wszedł do ich

wynajmowanego mieszkania - diugi już dawno pochłoneły elegancki apartament - ale on minął ją, z roztargnieniem głaszcząc po głowie sześćioletnią Lucię. Potem wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Maryanne chciała z nim porozmawiać, powiedzieć mu, żeby się nie przejmował, że w biznesie tak bywa - ale on tylko pokręcił głową. I wrócił do pracy.

Pracował bez wytchnienia, cały czas, wracał do tego małego mieszkania tylko na kilka godzin, żeby się przespać, i to nie zawsze. Najczęściej spał w biurze, a w domu pojawiał się na chwilę rano, żeby wziąć prysznic i coś zjeść. Maryanne dotarła do kresu wytrzymałości w tygodniu, w którym Logan spędził w domu zaledwie dwanaście godzin. Liczyła je, w miarę jak mijały kolejne dni. Nie, żeby się nudziła - zajmowała się przecież Charliem i Lucią, podczas gdy Logan próbował odbudować swoją firmę. Maryanne dbała o estetykę i kreatywną stronę hotelowego marketingu, teraz więc nie było tam dla niej nic do roboty. Mieszkanie było ciasne, dzieci reagowały na istniejące między rodzicami napięcie. Nie miała chwili spokoju. Opieka nad dziećmi spoczywała tylko na niej. Logan wpadał do domu rzadko, a nawet wtedy, kiedy akurat w nim był, pracował, rozmawiał przez telefon albo przeglądał papiery... Próbowała mu pomóc - raz.

- Nie możesz poprosić o pomoc ojca? Rodziców? - zasugerowała. - Na pewno nie pozostaliby obojętni na twoje, to znaczy nasze, problemy.

- Nie.

Siedzieli w kuchni. Maryanne usiłowała skłonić wybredną Lucię do zjedzenia kolacji.

- Wiem, że nie jesteście ze sobą blisko, to oczywiste, skoro nigdy ich nawet nie poznałam, ale...

- Powiedziałem już, nie.

- Logan, nie możesz sam podejmować takich decyzji. Nasza sytuacja jest bardzo trudna. Nie chodzi tylko o ciebie. Masz teraz rodzinę, dzieci, za które jesteś odpowiedzialny.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Jezu Chryste!

Z całej siły uderzył w drzwiczki kuchennej szafki. Jego pięści przebiły tanią dyktę; ostre odłamki laminatu poraniły mu dłoń.

Krzyknął z bólu. Lucia upuściła łyżkę i zaczęła płakać. Maryanne podeszła do niej, pocałowała ją w czoło, wzięła za rękę i wyprowadziła za drzwi. Tej nocy spała z dziećmi u przyjaciółki.

Następnego dnia, kiedy wróciła do domu, Logan wziął ją w ramiona i oparł brodę na jej głowie.

- Przepraszam. Przykro mi, że straciłem panowanie nad sobą. Ale nie pójdę zebrać do moich rodziców. Albo sami utrzymamy się na powierzchni, albo utoniemy.

Pocałował ją w czubek głowy. Boże, potrafił być taki uparty. Zawsze był gdzie indziej. Prawie nie sypiał. W domu całą noc przewracał się z boku na bok, rozgorączkowany, nerwowy, nawet wtedy, kiedy jego ciało domagało się odpoczynku. Jego mózg pracował nieprzerwanie, bez chwili wytchnienia. Musiał dokonać tego sam albo wcale - choćby miało go to kosztować wszystko, co mu jeszcze pozostało. Zaryzykowałby wszystko dla poczucia, że to on odniósł sukces, tylko on, a nie ktoś inny.

Maryanne stała przez chwilę z zamkniętymi oczami, oparta o niego, udając, że wszystko jest i będzie dobrze, w porządku. Ale sama nie potrafiła już w to uwierzyć.

Nigdy nie przypuszczała, że kobieta, która do towarzystwa ma tylko dzieci może czuć się tak samotna. Nie było pieniędzy, nie mogła więc pójść z nimi na zakupy albo zabrać ich do zoo - a znudziło im się chodzenie w kółko po parku. Siedzieli więc w domu, działając sobie nawzajem na nerwy. Nie tak to sobie wyobrażała - macierzyństwo, swoje małżeństwo z Loganem. Wiedziała, że czeka ją ciężka praca, że będzie musiała uzbroić się w cierpliwość. Ale sądziła, że będą zmagać się z tym wspólnie, że będą drużyną, że razem poświęcą się swojej firmie i rodzinie.

Tymczasem została całkiem sama z synem, który prawie się nie odzywał, i córką, która co chwilę dostawała napadów hysterii. Zachowywali się tak, że kiedyś, podczas jednego z tych rzadkich, spędzanych poza domem dni, całą trójkę wyrzucono z autobusu. Maryanne usiadła na krawężniku i zaczęła płakać. Dzieci szlochały obok niej. Kiedy wreszcie zebrała się w sobie na tyle, by wstać, poszła do biura, gdzie chwilowo

urzędował Logan. Zapłakana, wędrowała ulicami Manhattanu, ciągnąc za sobą umorusane dzieci.

Logan był akurat na spotkaniu z grupą bankierów, których próbował przekonać do sfinansowania jego nowego projektu. Maryanne siedziała w biurze z dziećmi i czekała, aż spotkanie się skończy. Pomieszczenie było małe i brzydkie, przez cienką ścianę dobiegały męskie głosy. Znudzona Lucia zaczęła się domagać, by Charlie się z nią pobawił. Chłopiec, który słuchał muzyki z walkmana, odwrócił się do niej plecami. Maryanne nie miała siły zająć się córką i w końcu mała chwyciła jeden z jej kolczyków i nim zaczęła się bawić. Ale cały czas wierciła się niespokojnie, a kiedy potknęła się o stopę matki, rączkę ciągle zaciskała na srebrnym kółku.

Maryanne krzyknęła z bólu i skrzywiła się, co wystraszyło dziewczynkę. Jej płacz, żalony i donośny, był tylko wstępem do prawdziwego ataku hysterii.

- Co tu się dzieje, do diabła? Co wy tu robicie? - Logan stanął w drzwiach. Starał się mówić cicho, lecz nie potrafił ukryć złości.

Maryanne spojrzała na niego i znowu wybuchnęła płaczem.

- Wyrzucili nas z autobusu, więc przyszedliśmy tutaj, bo... Logan odetchnął głęboko.

- Myślałem, że stało się coś strasznego.

- To było straszne.

- Słuchaj, nie mam czasu na takie rzeczy. To twoje zadanie, prawda? Ja nie mogę zajmować się wszystkim. Idź do domu, nakarm dzieci, ja wrócę później.

I wyszedł wielkimi krokami, zamykając za sobą drzwi. Kiedy Maryanne zbierała się z dziećmi do wyjścia, słyszała, jak tłumaczył ją przed mężczyznami w garniturach.

- Moja żona, tak... Przepraszam, od czasu do czasu coś jej strzela do głowy i przychodzi do biura...

Próbował to zbagatelizować, lecz jego goście milczeli. Maryanne wiedziała, że ta sytuacja nie zrobiła na nich dobrego wrażenia.

Tego wieczoru wrócił bardzo późno, gdy leżała już w łóżku. Poczula od niego zapach whisky i tytoniu.

- Odmówili.

- Przez nas?

150

Milczał przez chwilę.

- Po prostu odmówili. Więcej go o to nie zapytała.

Rano posadziła dzieci przed telewizorem, włączyła bajkę na wideo i podniosła słuchawkę telefonu.

- Nicolo? Mówi Maryanne.

Był to największy błąd, jaki kiedykolwiek popełniła. Rozmawiali prawie całą godzinę. Maryanne sama nie wiedziała, po co właściwie do niego zadzwoniła. Chyba chciała po prostu porozmawiać z kimś, kto ją znał, ją - a nie żonę Logana czy matkę jego dzieci. Z kimś, kto znał też Logana, ale nie miałby ochoty opowiadać jej, jaki jej mąż jest cudowny, inteligentny, charyzmatyczny. Z kimś, kto - w co nie wątpiła - nadal ją kochał.

Potem już codziennie rozmawiali przez telefon. Nicolo ją rozumiał. Miał czas, by jej wysłuchać, zapytać, jak się czuje, co robiła w ciągu dnia. Co robiły dzieci. Nie był nią znudzony, tak jak Logan. Później zaczął jej przysyłać pieniądze. Niewiele, sto dolarów czy trochę więcej, za każdym razem. Mówił, żeby wydała te pieniądze na siebie, a nie na dzieci; żeby kupiła sobie nowe buty. Ale ona zwijała banknoty i chowała do butelki po szamponie. Pieniądze na ucieczkę - tak nazywała to matka, która trzymała je na tyłach szafy. Bo Maryanne planowała ucieczkę. Z powrotem na zachód, tam, gdzie jest morze i słońce, daleko od stresu, samotności i przygnębienia. Omówili to wszystko razem, ona i Nicolo. Przyleci do Los Angeles, najpierw sama, i spotka się z nim na lotnisku. Potem pošłą po dzieci. Powiedział jej, że nie może przyjechać z nimi od razu, bo chwilowo nie ma dla nich miejsca. Nie chciała ich zostawiać, naprawdę, potem jednak spojrzała na nie, takie zależne od niej, takie wymagające, i pomyślała sobie, że mała przerwa dobrze im wszystkim zrobi. Że kiedy już do niej przyjadą, stanie się lepszą matką.

Później, kiedy przypominała sobie ten czas, przyznawała, że nie myślała racjonalnie. Żyła jakby w rzeczywistości równoległej, w alternatywnej wersji swojego życia. Lecz wtedy było już za późno. Zostawiła Charliego i Lucię z sąsiadką, która miała dzieci w tym

samym wieku. Czasami sobie pomagały. Pojechała pociągiem na lotnisko, spojrzała ostatni raz na miasto i wsiadła do samolotu.

Nie przyszedł. Czekala trzy godziny, a potem zadzwoniła. Pewna, że utknął w korku, że pomylił drogę, zatrzymał się, żeby zatankować. Ale kiedy zadzwoniła do niego do domu, odebrał od razu.

- Przyleciałam, jestem na lotnisku - powiedziała. - Gdzie jesteś?

- Skoro odebrałem telefon, to najwyraźniej w domu.

- Ale... sądziłam, że miałeś się ze mną spotkać.

- Owszem. A ja sądziłem kiedyś, że mnie kochasz. Ludzie się zmieniają.

I odłożył słuchawkę.

Rozdział 9

2008

Colette Hardy opadła na przybrudzoną beżową pościel na wersalce i patrzyła jak Anders, facet poderwany poprzedniego wieczoru w jej ulubionym barze Rainbow, wciąga czarne dżinsy. Jednym ruchem zapiął pasek z wężowej skóry. Najwyraźniej bardzo chciał już sobie iść. I co z tego? Naprawdę nie miała ochoty na kurtuazyjne pogawędki. Przeczesała tlenione włosy ręką i zapaliła papierosa. Odchyliła się do tyłu i skrzyżowała nogi, a potem poruszyła palcami stóp. Wytatuowana na jednej z nich jaskółka wyglądała wtedy tak, jakby fruwała.

T No, spadam, mała. Dzięki za przejażdżkę. - Nachylił się nad nią, ciągle bez koszulki, i chciał ją pocałować. Długie ciemne włosy spłynęły na jej twarz, brudne i pachnące whisky.

- To spadaj.

Zaśmiał się, wzruszył ramionami i wyszedł. Takie już miała szczęście w życiu. Podniosła ramiona nad głowę i wstała. Chwyciła metalowy pręt pod materacem i złożyła wersalkę, która za dnia

152

służyła do siedzenia. Włączyła muzykę, dopaliła papierosa, a potem włożyła džinsy i stary T-shirt z logo Guns'n'Roses, wypatrzony na Melrose. Przekroczyła stertę brudnej bielizny, gazet i pustych pudełek po papierosach i poszła do maleńkiej kuchni.

- Colette? Kto to był?

Z sypialni rozległ się cichy głos matki. Była to jedyna sypialnia w mieszkaniu.

- Nikt. Robię dla ciebie kawę. Chcesz tosty?

Matka nie odpowiedziała. Colette usłyszała tylko słabe westchnienie. Świetnie. A więc to będzie jeden z tych dni. Jeden z dni, kiedy matka wzdychała i spoglądała na Colette z wyrzutem, jakby obwiniając ją o to, że siedzi na wózku inwalidzkim. Zwykle też mówiła wtedy, jak to miło, że Colette może wyjść na słońce, kiedy ma ochotę. Szantażowała ją emocjonalnie, wpędzała w poczucie winy. Chciała, żeby Colette siedziała przy niej cały czas, nigdy nie wychodziła i nigdy nie poznała żadnego faceta, z którym mogłaby miło spędzić czas. Ale zaraz potem matka zaczęła kaszleć i Colette zrobiło się jej żal. W końcu to nie jej wina. Winą za to można obarczyć tylko j ednego człowieka...

Colette naląła kawy do kubka i zaniósła go do pokoju matki. Rozsunęła zasłony, wpuszczając słońce, a potem odchyliła barierkę po jednej stronie łóżka, żeby matkę umyć i ubrać. Georgia Hardy po prostu leżała w łóżku i patrzyła na córkę; teraz, gdy w sypialni było jasno, Colette zauważyła, że jej włosy są tłuste i brudne. Będzie musiała je umyć. Zwykle starała się robić to jak najrzadziej, bo był to dla niej wielki wysiłek - przetransportować matkę do łazienki, podtrzymać nad wanną, uważać, żeby do oczu nie dostała się piana. Ale nie mogła odkładać tego w nieskończoność. Kiedyś mama miała takie piękne włosy, Colette pamiętała, że jako dziecko jej ich zazdrościła. Były koloru jasnego, orzechowego brązu, podczas gdy Colette miała włosy ciemnoblonde. Czyli mysie.

Colette dorastała w kolejnych wynajmowanych domach na przedmieściach Los Angeles, przenosząc się z jednego do drugiego, ilekroć jej matkę znudziła okolica albo za długo nie płaciła czynszu lub musiała iść do szpitala. Wtedy dziewczynką opiekowała się rodzina zastępcza. Georgia była samotną matką, aktorką, modelką

i kelnerką o osobowości maniakalno-depresyjnej. Kombinacja ta nie sprzyjała regularnemu trybowi życia. Inne domy, inne twarze, inne ulice - Colette przyzwyczaiła się do ciągłych przeprowadzek, ' czasami nawet w środku nocy matka zawijała ją w kołdrę i kładła na popękanymsiedzeniu starego brązowego pikapa.

Colette także została aktorką, a było to po tym, gdy wszystko się zmieniło. Radziła sobie lepiej niż Georgia, mimo że wówczas już tylko ona opiekowała się matką. Może dlatego, że była skłonna „pójść o ten jeden krok dalej”, by dostać rolę, jak mówili niektórzy reżyserzy. Grała w horrorach dziewczyny, które wchodzą na strych, do piwnicy, do ciemnego lasu, uzbrojone tylko w latarkę; grała pielęgniarki, których jedyną kwestią było: „Doktor zaraz panią przyjmie, pani Molloy”, grała pijane po imprezie - aż w końcu dostała rolę w jednej z dość popularnych telenowel: rolę znudzonej pani domu, o skłonnościach lekko psychotycznych. Pozwoliło jej to wynająć przestronniejsze mieszkanie i opiekunkę na pół etatu dla Georgii, a także chodzić w dzinsach od znanych projektantów; udzielała też wywiadów gazetom telewizyjnym. Potem jednak reżyser został zwolniony, bo dział finansów dostrzegł wreszcie to, co wszyscy inni wiedzieli od dawna: że wydatki wymknęły mu się spod kontroli, że płacił prostytutkom z Hollywood i dilerom narkotykowym. A nowy reżyser chciał nadać telenoweli „nowy kierunek” i „pokazać, czym jeszcze może być *Gardenia Grove*”.

W Los Angeles życie byłej gwiazdy telewizyjnej jest jeszcze cięższe niż życie kogoś, kto gwiazdą chce dopiero zostać. Nikogo nie interesuje, że jesteś dziewczyną, która grała kiedyś w tym właśnie serialu. „Wiesz, w tym, w którym teraz gra Jodie James?” Uch. Złe to wpływało na Colette, bardzo ją przygnębiało. Pragnęła się z tego wyrwać. Teraz, kiedy jej pięć minut minęło, podawała drinki w barze. Przesiadawali w nim głównie rockersi i prostytutki, a ich nie interesowało, w jakiej grała telenoweli. Tak, musiała się stąd wyrwać. Nie chciała dłużej być tą dziewczyną, która kiedyś...

Godzinę później - gdy już wykapała matkę, umyła jej włosy, ubrała ją i usadowiła przed telewizorem - zapaliła papierosa i usiadła z kawą przy laptopie. Najpierw sprawdziła wiadomości, a potem weszła na Google i wystukała nazwisko w wyszukiwarce.

Nic nowego dzisiaj. Trudno. Sprawdzi jutro i pojutrze, i popoju-trze. Pewnego dnia, już wkrótce, dostanie wiadomość. Czekala na nią. Cierpliwie, choć właściwie nie wiedziała na co: na e-mail, może na telefon, na znak, że nadszedł czas. Nie wiedziała jeszcze, co to będzie, ale była pewna, że natychmiast się zorientuje, kiedy to już się stanie. Kiedy w zbroi człowieka, który zrujnował jej życie, pojawi się jakieś większe pęknięcie.

Rozdział 10

Logan siedział w biurze od kilku godzin, kiedy odebrał ten telefon. Głos po drugiej stronie był podniesiony, zdenerwowany.

- Panie Barnes, pan szybko wracać do domu. Pani Barnes... ona... - Linny zaczęła łkać. Logan **słyszał** w tle jakieś zamieszanie.

- Linny, co się stało? Co się dzieje z Maryanne? - Czekał, aż kobieta uspokoi się na tyle, by móc odpowiedzieć.

- Ona spać, panie Barnes, spać bardzo mocno. My myśleć, ona wziąć pigułki... Ona się nie budzić...

Jadąc zatłoczonymi londyńskimi ulicami - na Fulham znowu był korek - Logan przypomniał sobie ten wieczór piętnaście lat temu, kiedy wrócił do domu i znalazł Maryanne skuloną na kanapie w ich mieszkaniu w Nowym Jorku, z twarzą zalaną łzami.

- Co się stało? Annie? Co się dzieje?

Usiadła i spojrzała mu prosto w oczy. A potem łkając, urywanym, zmienionym głosem opowiedziała mu wszystko: jak chciała od niego odejść, wrócić do Nicola, jak go zdradziła, a potem sama została oszukana i ukarana. Twarz miała wykrzywioną przez płacz i poczucie winy. Logan wziął ją w ramiona, przytulił i przez chwilę kołysał łagodnie.

- Nienawidzisz mnie, prawda? - szlochała. - Nienawidzisz mnie, bo cię zdradziłam... teraz już zawsze będziesz mnie nienawidził.

Zaprzeczył, oczywiście. Jak mógłby znienawidzić kobietę, którą tak bardzo kochał, za to, że chciała uciec, skoro przyparł ją do

muru? Dobrze wiedział, jak nieszczęśliwa się czasami przy nim czuła, jak było jej ciężko. A jednak - och, może jakaś jego część rzeczywiście ją za to zniechęciła. Na pewno został zraniony, głęboko zraniony. Ale mówił sobie, że Maryanne była zagubiona, wyczerpana, że nie poświęcał jej dość uwagi. Właśnie tak. Nie mógł jej winić za to, że chciała uciec, i nie mógł się wściekać, że tym, z kim chciała uciec, był Nicolo. Logan wiedział, że nie ma nad nią żadnej moralnej przewagi. Mimo to...

Kiedy się uspokoiła, przekazał jej wiadomość, z którą tego dnia wrócił do domu: zmarł jego ojciec. Maryanne znowu zaczęła płakać, a Logan znowu ją pocieszył i utulił. Przyznał, że w pewnym sensie mu ulżyło. Zawsze czuł się trochę winny, bo nigdy nie odwiedzał rodziców, odwrócił się do nich plecami i wyjechał. Czuł się winny, choć wiedział, że postąpił słusznie, że gdyby został, szybko zaczęłyby się dusić.

Ta noc stała się punktem zwrotnym. Logan i Maryanne znów się do siebie zbliżyli i połączyli siły, by odbudować swoje życie. Śmierć ojca Logana miała też nieoczekiwane konsekwencje - dostali w spadku mały hotelik na Upper East Side, który Peter Barnes kupił wiele lat temu, kiedy odchodząc z marynarki wojennej, otrzymał sporą sumę i założył fundusz powierniczy dla swojego syna. Tylko temu funduszowi zawdzięczali hotel - reszta majątku Petera, ku zdumieniu i rozczarowaniu jego żony, ledwie pokryła długi. Elisabeth Barnes zawsze lekceważyła piętzące się, niezapłacone rachunki, a po śmierci męża zlekceważyła je na dobre - szybko wyszła ponownie za mąż i przeprowadziła się do Australii.

Budynek popadł w ruinę, ale miał mocną konstrukcję. Logan znowu nabrał wiatru w żagle. Teraz, kiedy miał przed sobą nowe zadanie, odzyskał energię. Pracował do późna w nocy, obmyślając plan biznesowy i projekty renowacji. Wstawał o świcie, wychodził, żeby pobiegać, a potem jechał do biura. Maryanne czerpała od niego energię; odsunęła na bok własne potrzeby i skupiła się na wspieraniu Logana, pomagając mężowi i Johnny'emu odbudować firmę. Powoli wychodzili na prostą. Byli ostrożniejsi, brali mniejsze pożyczki, zastanawiali się nad każdym krokiem. Zmienili formę spółki - jej głównym udziałowcem stał się Logan. Nazwali ją też

jego nazwiskiem. Byli starsi, mądrzejsi. Zaczekali, aż nakłady się zwróciły, zanim zainwestowali w kolejny projekt. Tym razem Logan postanowił, że wszystkie jego hotele i przyszłość firmy będą miały solidny fundament.

Teraz, w 2008 roku, Logan poddał się w końcu, zaparkował le-xusa w bocznej uliczce i zdecydował, że dotrze do Chelsea i Westminster Hospital w inny sposób. Siedząc w rikszy, zastanawiał się, kiedy w ciągu tych lat Maryanne znowu zaczęła się załamywać. Ożenił się z pogodną, uśmiechniętą dziewczyną, która miała niezwykle pomysły na przyjęcia i potrafiła wprowadzać je w życie. Była trochę szalona, ale miała dobre serce i potrafiła wszystko zorganizować. Kiedyś rozsadzała ją energia. Była taka bystra, taka pracowita. Kiedy mieszkali w Nowym Jorku, a dzieci były jeszcze małe, wypełniała ich życie magią. Wyciągała je z łóżek i zabierała na chwilę na dół, by mogły zobaczyć wydawane w apartamencie przyjęcia. Dzieci, zaspane, w zmiętych piżamkach, patrzyły przez chwilę szeroko otwartymi oczami, a potem, nim zdążyły się naprawdę rozbudzić, Maryanne szybko odprowadzała je z powrotem do łóżek. Rano zastanawiały się, czy to nie był tylko sen, czy te wszystkie panie w wieczorowych sukniach, takie eleganckie i pachnące perfumami, naprawdę tam były, w ich domu, zalanym teraz słońcem i pełnym aromatu kawy i zapachu porannych gazet.

Maryanne wstawała o szóstej, sprzątała po przyjęciu, gdy Logan i dzieci jeszcze spali, pełna życia i energii. Kiedy przestała to robić? - Logan pytał sam siebie. Kiedy znikła ta dziewczyna, która przychodziła po niego do biura, żeby zabrać go do restauracji w Chinatown, albo do pustego gabinetu w biurze, na przyjemności innego rodzaju?

Ciało Maryanne leżało płasko na szpitalnym łóżku. W żyłę w zgięciu łokcia miała wpięty wenflon. Jej głowa spoczywała na cienkiej poduszce, luźno spięte włosy otaczały bladą twarz. Pod zamkniętymi oczami rysowały się ciemnofioletowe cienie. Logan stanął przy zasłonie wokół jej łóżka i patrzył, jak pierś Maryanne unosi się i opada pod kołdrą. Na oddziale ratunkowym było głośno i tłoczno - szpital traktował wszystkich potrzebujących pomocy

tak samo, więc stawne postacie i żony rekinów biznesu nie cieszyły się tu żadnymi przywilejami.

Za zasłoną, na łóżku obok, jakiś mężczyzna przeklinał policjanta, uderzając przy tym rytmicznie kajdankami w metalowe poręcze.

- Ciota! Pieprzona ciota! Zaraz ze sobą skończę, skończę ze sobą, i będzie to twoja wina, ty świniu! Przypnę sobie do piersi tabliczkę z napisem „zrobił to policjant ciota”.

Na podłodze przy łóżku Maryanne ciągle leżały opakowania po strzykawkach i para lateksowych rękawiczek. Maryanne nie będzie tu długo. Prywatny ambulans już został wysłany, by przewieźć ją na jeden z oddziałów intensywnej terapii szpitala St John i St Elisabeth, gdzie lekarze otoczą ją najtrotro-skliwszą opieką w przyjemniejszym otoczeniu. Logan wyrzucił rękawiczki do kosza na śmieci i spojrzał z niesmakiem na brudne lustro nad małą, zaplamioną umywalką. Nie chciał, by Maryanne obudziła się w takim miejscu.

Powieki Maryanne lekko zadrżały. Mężczyzna na sąsiednim łóżku wciąż przeklinał milczącego policjanta, który go pilnował.

- Ty zafajdany dupku! Jestem chory, tak, jestem chorym człowiekiem, a ten pieprzony system chce się mnie pozbyć. Szkoda czasu na Trevora. Trevor nie jest dla was dość dobry, co? Możecie wsadzić sobie ten system w dupę, gnoje, możecie...

Potok słów przerwała nagle wielka dłoń, która wcisnęła jego twarz w metalową poręcz łóżka.

Policjant się poderwał i natychmiast zorientował się w sytuacji - dostrzegł rozwścieczoną twarz Logana, jego doskonale skrojony płaszcz, wyraz jego oczu, kiedy przyciskał mężczyznę na łóżku do materaca. Wzruszył ramionami, usiadł, skrzyżował nogi w kostkach i uśmiechnął się, kiedy Trevor spróbował wierzgnąć nogami. Była to jedyna część ciała, którą mógł poruszać, ponieważ Logan całym ciężarem wciskał jego tors w materac.

- Zamknij się, do cholery. Po prostu się zamknij. Ale już. - Logan nie krzyczał; jego głos był spokojny i stanowczy. - Na łóżku obok śpi moja żona. Jest chora. Niedługo zostanie stąd zabrana, ale jeśli przedtem ją zbudzisz, gorzko tego pożałujesz. Zrozumiano?

Trevor wybełkotał coś niezrozumiale. Logan puścił go, poprawił płaszcz, nachylił się do policjanta i uściśnił jego dłoń.

- Odwalacie tu kawał dobrej roboty, panie władzo.

- Dziękuję. Staramy się - odparł policjant, chowając głębiej banknot pięćdziesięciodolarowy, który Logan wsunął mu do kieszeni.

Na korytarzu, rozmawiając z Loganem, doktor Hayley Metcalfe nerwowo spoglądała w notatki. Była drobną kobietą, niewysoką i bardzo szczupłą, co pomagało jej podczas studiów, gdyż mogła kupować ubrania dla dzieci, oszczędzając w ten sposób na podatku VAT. Teraz jednak, jako lekarz na oddziale ratunkowym, czuła, że niepozorny wygląd działa na jej niekorzyść, zwłaszcza w kontakcie z aroganckimi konsultantami czy trudnymi pacjentami. Albo ich rodzinami. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i przybrała stanowczy ton.

- Chodzi o to, panie Barnes, że pana żona została tu przywieziona w bardzo ciężkim stanie. A kobieta, która ją przywiozła, pani... - spojrzała w notatki - ...pani Santhisawan, była strasznie zdenerwowana, a przy tym... słabo mówi po angielsku. Pielęgniarkom trudno było się z nią porozumieć...

- Linny pracuje u nas od piętnastu lat - przerwał jej Logan. -Dobrze zna angielski. A problemy pani personelu to naprawdę nie moja sprawa, pani doktor.

Hayley nie miała zamiaru pozwolić, by ten mężczyzna traktował ją z wyższością, bez względu na to, jak był bogaty i wpływowy. Bez względu na to, że nazywał się Logan Barnes i był bardziej znany i popularny niż Alan Sugar i Gordon Ramsay razem wzięci. Boże, koleżanki nigdy nie uwierzą, kiedy im o tym opowie... Och, Hayley, weź się w garść. Jesteś lekarzem, a to jest mąż twojej pacjentki. I tyle. Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Cóż, panie Barnes, nie udało nam się uzyskać od pana pracownicy dokładnych informacji o problemach pani Barnes.

Logan patrzył na nią chmurnie, zdecydowała jednak, że szybko powie wszystko, choć czuła się trochę onieśmielona obecnością tak sławnej osoby. Odchrząknęła.

- Ale to ona dała nam fiolkę, którą znalazła przy pani Barnes, i to okazało się bardzo pomocne. W fiolce był środek przeciwbólowy zawierający opiaty...

- Moja żona cierpi na bezsenność. Żyjemy pod dużą presją, więc czasami nie potrafi przestawić się na inny tryb. Dlaczego się usprawiedliwiam - usprawiedliwiam Maryanne - przed tą dziewczyną, pomyślał Logan z irytacją. Wydawała się zbyt młoda, by studiować medycynę, nie mówiąc już o leczeniu chorych. Sprawiała wrażenie niewiele starszej od Lucii, a Bóg świadkiem, że jej nie powierzyłby opieki nawet nad kimś, kto tylko skręcił sobie nogę w kostce.

- Cóż, środki przeciwbólowe to nie najlepszy sposób na problemy ze snem - powiedziała Hayley. - Chętnie zalecę kilka innych sposobów, które pozwolą pani Barnes sypiać lepiej. Są proste i...

- Niczego nie potrzebujemy. Mamy już dobrą opiekę medyczną, dziękuję.

Zacisnęła zęby. Do diabła, więc to budzące lęk zachowanie, które widziała w telewizji, to nie gra, on naprawdę taki jest. Nie krzyczał i nie klął jak inni, w programie *General Manager* nie trzeba było zagłuszać jego wypowiedzi charakterystycznym piskiem. Ale mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wszystko, co zarządził, wykonywano natychmiast, i teraz Hayley zrozumiała dlaczego.

Logan przez całe swoje dorosłe życie kierował się zasadą: nigdy nie okazywać słabości. W ten sposób zbudował swoją firmę, a potem ją odbudował; w ten sposób funkcjonował w rodzinie. „Czysta, skondensowana arogancja”, jak niedawno określił go pewien krytyk. Logan wiedział, że tak właśnie postrzega go wielu ludzi - niesłusznie. On musiał nad wszystkim panować. Rodzina polegała na nim, pracownicy potrzebowali go u sterów. A Logan nigdy nie uchylał się od odpowiedzialności - w tej chwili odpowiedzialności przede wszystkim za Maryanne. Był na nią zły, ale to mogło poczekać, tak jak wstyd i poczucie zagubienia, które skrzętnie ukrywał przed lekarzami i pielęgniarkami. Teraz musiał przewieźć żonę w jakieś dyskretne miejsce i postarać się, by rodzina zaprezentowała światu jednolity front.

Lekarka znowu zaczęła coś mówić, zerkając od czasu do czasu w swoje papiery.

- Ze względu na... środek, który wzięła, i ze względu na objawy, jakie pani Barnes miała w chwili przyjęcia do szpitala, zaordynowaliśmy jej lek o nazwie naloxoene. Jest bardzo skuteczny, szybko przywraca właściwy rytm oddechowy po przedawkowaniu opiatów. Został podany dożylnie i czynność oddechowa natychmiast uległa poprawie. W tej chwili podajemy już tylko płyny, pani Barnes była bardzo odwodniona. Nadal znajduje się pod wpływem środków uspokajających. Za kilka godzin powinna odzyskać przytomność.

- Dopilnuję, by personel w St John otrzymał wszystkie te informacje.

Doktor Metcalfe spojrzała na niego ostro.

- Więc nadal zamierza pan ją tam przewieźć?

- Oczywiście.

- Panie Barnes, nie ma takiej potrzeby. Zapewniam, że dysponujemy najlepszym sprzętem...

- Nie wątpię, ale prywatny ambulans jest już w drodze. Hayley zaczęło to irytować.

- Naprawdę to panu odradzam, panie Barnes.

Popatrzył jej prosto w oczy. Tak, był bardzo atrakcyjny. Przełknęła ślinę. A także niezwykle uparty i najprawdopodobniej nie bał się narazić swojej żony na niebezpieczeństwo. Miała ochotę powiedzieć mu, że jest samolubny i krótkowzroczny, i... I wtedy właśnie on uśmiechnął się do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

- Proszę posłuchać, doceniam wszystko, co pani dla niej zrobiła. Jest pani niezwykle sumiennym lekarzem. Nie chciałbym, żeby zinterpretowała pani moją decyzję jako brak zaufania do pani czy tego szpitala.

Zawahała się.

- No cóż, to bardzo miło z pana strony, panie Barnes, pozostaje jednak faktem, że...

- Doktor Metcalfe, mogę być z panią szczery? Naprawdę martwię się o żonę... o Maryanne. Jak już mówiłem, żyła ostatnio w dużym stresie i najwyraźniej nie radziła sobie z tym tak dobrze, jak

mi się wydawało. Wiem, że po prostu się pomyliła, wzięła za dużo tabletek nasennych, a prasa... Cóż, przepadam za Wielką Brytanią, ale wasza prasa brukowa raczej nie jest znana z delikatności w takich sytuacjach.

Temu Hayley nie mogła zaprzeczyć.

- Chcę tylko chronić Maryanne przed wszystkim, co mogłoby ją narazić na stres i pogorszenie stanu zdrowia. Jest pani lekarzem, bardzo dobrym lekarzem. Na pewno pani to rozumie.

Hayley westchnęła i Logan już wiedział, że wygrał.

- Musi pan liczyć się z tym, że kiedy lek przestanie działać, znowu mogą pojawić się trudności z oddychaniem - ostrzegła. -Co więcej, ponieważ środek ten neutralizuje działanie opiatów, w przypadku uzależnienia może wystąpić też...

- Czy mam coś podpisać? Ambulans wkrótce przyjedzie, chciałbym wtedy jak najszybciej zabrać żonę.

Podala mu formularz. Bardzo niechętnie. Wolałaby mieć panią Barnes na oku - ona była wyraźnie uzależniona od środków przeciwbólowych i pewnie nie tylko od nich - lecz teraz nic już nie mogła zrobić. W tym starciu to on wygrał i przynajmniej co do prasy miał rację. Wiedziała, że paparazzi zaraz się tu zleca.

Logan złożył zamaszty podpis i oddał formularz lekarce.

- Dziękuję, pani doktor. Za pani profesjonalizm i życzliwość. Szkoda, że należy pani do wyjątków. Chciałbym wesprzeć szpital finansowo. Pomóc potrzebującym. Wiem, że zmagacie się tu z wieloma trudnościami. Moja asystentka będzie w kontakcie.

A potem z tym swoim olśniewającym uśmiechem, błyskając śnieżnobiałymi zębami, odwrócił się i poszedł korytarzem do żony. Hayley patrzyła za nim przez chwilę. Zwyciężył ją, choć zrobił to w białych rękawiczkach. I jeśli miała być ze sobą szczerą, nawet jej się to podobało.

Logan zatrzymał się przed zasłoną. Cóż, ta dziewczyna wykonywała tylko swoją pracę, wiedział o tym. Tak jak wiedział, kiedy porzucić twardy biznesowy ton i przywołać cały swój czar, by osiągnąć cel. Dlaczego więc, skoro tak umiejętnie potrafił rozwiązywać konflikty, dawać przykład i inspirować pracowników, jego rodzina

pogrążyła się w całkowitym chaosie? Na to pytanie Logan nie znał jednak odpowiedzi.

Maryanne zaczęła się budzić i natychmiast poczuła, że wszystko ją boli. Z wysiłkiem uniosła powieki i zobaczyła, że znajduje się w dużym pokoju pomalowanym na mdłe, pastelowe kolory, które wywierają dodatni wpływ na zestresowaną psychikę. Jasne drewniane meble i obrazki z kwiatami i z wiejskimi widoczkami wpływały zapewne dobrze na większość pacjentów, ale wyrobionemu oku Maryanne wydawały się gorsze od graffiti albo dzieł współczesnej sztuki eksperymentalnej. Co za idiota położył ją w tym miejscu?

Chciała usiąść, lecz jej pierś uciskał jakiś ciężar, który wyssał powietrze z płuc i nie pozwalał się ruszyć. Dziwne. Spróbowała jeszcze raz. Nie przejęła się tym. Nie wpadła w panikę. Myśl, że nie jest w stanie oddychać, niemal ją rozbawiła. Może udusi się tu, w tym pokoju, patrząc na koszmarną reprodukcję jakiegoś obrazu Moneta. Uśmiełaby się z tego, gdyby umiała nabrać powietrza.

Monitor przy wezłowniu łóżka wykrył zaburzenia rytmu oddychania i automatycznie uwolnił kolejną dawkę naloxoenu. Lek spłynął do żyły na dłoni Maryanne i kiedy tlen znowu dostał się do krwi, Maryanne osunęła się w gęstą mgłę nieświadomości.

Rozdział 11

Charlie Barnes siedział wygodnie w starym fotelu w studiu w West Hollywood, z laptopem na kolanach, i aktualizował informacje o swoim zespole Twitter. Jednocześnie słuchał, jak TJ Burke, producent i aranżer, przekształcał dobry pomysł i przyjemną melodię w produkt, który się sprzedaje. Charlie pisał piosenki w swoim pokoju, odkąd opanował pierwsze akordy gitarowe, wiedział jednak, że musi się jeszcze dużo nauczyć. Za pieniądze z funduszu powierniczego kupił sobie najlepszy sprzęt i czas jednego z najbardziej wziętych producentów w Hollywood - nie mógł jednak kupić tego,

czego naprawdę potrzebował, by wybić się w przemyśle muzycznym. Bo do tego konieczne jest doświadczenie, talent i czas. Charlie nie miał z tym problemu. Nie chciał przez całe życie być tylko „synem Logana Barnes’a, świetnie zapowiadającym się muzykiem rockowym”.

*W te swoje ciuchy z sześćdziesiątego ósmego
przebierasz się i każesz mi czekać*

Vintage Violet

Vintage Violet...

Charlie słuchał. Jego głos brzmiał lepiej na płycie niż w rzeczywistości. Był tego świadom. Na żywo też brzmiał całkiem nieźle, nie fałszował i przeciągał lekko zgłoski, co dodawało mu specyficznego kalifornijskiego seksapilu, ale wiedział, że to potrafią też tysiące innych. Natomiast wyraźnie wybijał się z tłumu grą na gitarze. Charlie był dobry - naprawdę dobry. Nie wątpił, że odniesie sukces. Dlatego ciągle jeszcze się trzymał, dlatego nie uległ i nie zaczął pracować dla ojca. Logan uważał to za stratę czasu i czekał, aż Charlie znudzi się muzyką i zabierze do przyzwoitej roboty. Ale nie zamierzał czekać zbyt długo i coraz bardziej się niecierpliwił. Charlie wiedział wszakże, że zespół gra coraz lepiej i że już niedługo będą mogli zaprezentować coś szerszej publiczności. A na razie po prostu starał się jak najmniej wchodzić ojcu w drogę.

Inni członkowie zespołu jednak zaczęli się nudzić. Od dwóch tygodni siedzieli w studiu, niemal beczynn timer, i nie bardzo im to pasowało. W tej chwili zabawiali się kamerą wideo. Matt, basista, trzymał ją i filmował swojego brata Brandona, perkusistę. Brandon nadpalonym kawałkiem korka wymalował sobie na twarzy wąsy i właśnie wkładał plastikowy mazak do jednej z dziurek swojego nosa. W studiu unosił się zapach hamburgerów, piwa i chłopców.

- Jezu, wy naprawdę jesteście porąbani - mruknął Charlie. -Może nakręcicie film, w którym nie wyjdziemy na obłąkanych?

Bracia uśmiechnęli się szeroko i wtedy Brandonowi wyleciał z nosa mazak. Matt skierował kamerę na plastikową rurkę leżącą na podłodze.

- Co my tu widzimy... Masz tam sporo paskudnej wydzieliny, Brandon, przyjacielu. Drodzy widzowie, proszę zwrócić uwagę na

te zielonkawe smarki zalegające otwory nosowe... naszego jedyne w swoim rodzaju Brandona.

Charlie przewrócił oczami, pochylił się, wyłączył kamerę i lekko trzepnął Matta w ucho.

- Zamknij się wreszcie. I idźcie po coś do zarcia, dobra?

- Zjadłbym burrito.

- Może być burrito.

Kiedy wreszcie wyszli, TJ spojrzął przez ramię na Charliego. Jego zdaniem, jak na bogatego dzieciaka, młody Barnes nie był taki zły. TJ z pewnością pracował już z gorszymi.

- Będziesz musiał krócej ich trzymać, jeśli chcecie do czegoś dojść.

Charlie wzruszył ramionami.

- Są w porządku.

- Może. Ale czasy, kiedy wystarczyło nagrać coś w studiu, a potem tylko patrzeć, jak dolary spływają na konto, dawno minęły. Żadna wytwórnia nie będzie o was zabiegać, jeśli ograniczycie się do filmowania własnych smarków.

- Uhm. - Charlie wiedział, że TJ ma rację. Mimo wystudiowanego wizerunku luzaka hołdował etyce ciężkiej pracy, tak jak jego ojciec. A Matt i Brandon? Cóż, oni jej nie hołdowali.

- Ty możesz sporo osiągnąć, chyba wiesz. Pomyśl o tym. Charlie pomyślał.

I myślał o tym nadal, kiedy już wyszedł ze studia na La Brea i podszedł do czarnego porsche. Wsiadł do samochodu i spojrzął na swoje odbicie w lusterku - nigdy nie potrafił pozbyć się tego idiotycznego loczka nad czołem, więc tylko szybkim ruchem zmierzwił włosy, a potem wyjął z marynarskiego worka leżącego na tylnym siedzeniu świeży podkoszulek i włożył go. Kiedy już się przebrał, wziął telefon komórkowy, wystukał numer i włączył zestaw głośnomówiący. Zestaw był częścią całego systemu ochrony i bezpieczeństwa, który zamontowano w samochodzie. Bezpośrednie połączenie z serwisem gwarantowało przyjazd służb ratowniczych, jeśli tylko detektory wykryły jakąkolwiek nieprawidłowość. Charlie był przyzwyczajony do zaawansowanych technik zapewniania bezpieczeństwa. Poza kilkoma latami, kiedy to jego rodzina była dość biedna - za dobrze ich

nie pamiętał - dorastał w dostatku, otoczony gadżetami, których zadaniem było chronić go albo zabawiać. Gdy po raz pierwszy bawił się zdalnie sterowanym samochodem, robił to w towarzystwie kierowcy Formuły 1, przyjaciela Johnny'ego, który zabrał go ze sobą na tor wyścigowy na cały dzień. Tam mógł kierować jednym z ćwiczebnych pojazdów za pomocą joysticka. Większość dzieci pamięta swoją pierwszą podróż za granicę, bo jest to ekscytujące, zwykle długo wyczekiwane wydarzenie - ale Charlie i Lucia podróżowali jako dzieci tak wiele, że właściwie nie dostrzegali różnicy między swoim krajem a zagranicą.

Charlie wcisnął jeden z guzików szybkiego wybierania i czekał na połączenie.

- Halo?

- Cześć. Już skończyłem.

- To co, przyjedziesz?

- Będę za dwadzieścia minut.

Ich ciała splotły się ze sobą, kiedy tylko Belle otworzyła drzwi swojego różowego domu z basenem. Już w holu zaczęli nawzajem ściągać z siebie ubranie. Belle była piętnaście lat starsza od Charliego, ale miała jędrne ciało tancerki, ciągle nosiła rozmiar 36, a jej trochę piegowate piersi wyglądały na zupełnie naturalne, co oznaczało, że musiały naprawdę dużo kosztować.

Charlie zsunął kimono z jej ramion i położył na jednej piersi swoją dużą dłoń. Namacał palcami twardy sutek i lekko za niego pociągnął. A potem objął Belle, uniósł do góry i posadził na granitowym kuchennym blacie. Gwałtownie wciągnęła powietrze przez zęby, kiedy jej ciało zetknęło się z zimnym kamieniem. Odsunęła się nieco w tył, by spojrzeć na Charliego. Twarz miał czerwoną z podniecenia. Pochylił się, chcąc znowu ją pocałować, ale ona oparła jedną dłoń na jego piersi, a drugą zaczęła rozpinąć mu spodnie, nie spuszczając przy tym z niego oczu. Oboje oddychali coraz szybciej. Belle powoli go prowadziła. Spokojnie, pomału, jakby chciała jak najdłużej smakować tę chwilę.

- Belle... Cholera, Belle... Uśmiechnęła się i ujęła jego twarz w dłonie.

- Cześć - wyszeptała.

Spojrzał na nią. Nie była już młoda, ale nadal bardzo, bardzo piękna. Jej oczy wyrażały znacznie więcej niż oczy tych pustych gwiazdek, które włóczyły się za nim po Hollywood i liczyły na szybki numer, bo to pozwoliłoby im choć przez chwilę należeć do świata bogatych, sławnych i uprzywilejowanych. Wiedziały, że on był częścią tego świata, który im się marzył, a Charlie zastanawiał się często, czy w ogóle były zainteresowane nim samym. Jako syn Logana Barnesa zawsze czuł, że musi coś udowodnić, czymś się wykazać - a ciągle miał wrażenie, że nie wydorósł. Ale przy starszych kobietach, tych, które odniosły już sukces, nie musiał odpowiadać sobie na pytanie, czy spędzają z nim czas, żeby dostać kartę wstępu dla VIP-ów do jakiegoś klubu, móc pochwalić się koleżankom, że spały z synem Logana Barnesa, czy coś w tym stylu. A przy mężatkach trosk miał jeszcze mniej, bo zwykle bardzo zależało im na utrzymaniu swojego małego romansu w tajemnicy. Lucia mówiła, że je wszystkie pociągało jego ciało. Pewnie miała rację. To mu nie przeszkadzało - jego ciało przynajmniej należało do niego, a nie do jego ojca. A jeśli wyglądały przy tym i pieprzyły się tak jak Belle, mogły używać jego ciała do woli. Pogłaskał jej delikatny różowy policzek. Lubiła czuć, że jest nią całkowicie pochłonięty. Oplotła go ciasno nogami, ścisnęła lekko i podrapała opaloną skórę na jego piersi.

Rozległy się pierwsze takty jednej z nagranych piosenek zespołu Charliego. Spojrzał w stronę krzesła, na którym leżały jego klucze, portfel i telefon komórkowy.

- Zostaw to.

Odwrócił się do Belle, która zdjęła jedną nogę z jego pleców, odchyliła się w tył i oparła smukłą kostkę na jego ramieniu. Charlie pocałował zagłębienie w jej stopie. Belle zachichotała, a potem położyła się na wznak. Znowu odezwał się telefon. Charlie poirytowany zaklął.

- Charlie, zostaw to - powiedziała Belle rozbawionym tonem.

- Uch, nie mogę. A niech to... - Sięgnął po telefon, leżał jednak zbyt daleko, więc Charlie wstał i - przytrzymując Belle, która przyłgnęła do niego, by się nie przewrócić - podszedł do krzesła, podniósł komórkę i usiadł.

167

Belle przez chwilę wierciła się na jego kolanach, szukając wygodniejszej pozycji.

- Tato, cześć... Nie, to nie jest odpowiednia chwila. Nie, jestem w Los Angeles, w samym środku... czegoś...

Belle roześmiała się.

- Czy też raczej kogoś.

Charlie położył palec na jej ustach, żeby ją uciszyć. Zaczęła go natychmiast ssać, poruszając się przy tym w górę i w dół. Charlie westchnął i spojrzał na nią. Jego twarz mówiła wyraźnie, że żadne jej starania w niczym mu już nie pomogą. Czarowna chwila minęła.

- W porządku. Dobrze. Przyjadę. - Rozłączył się i przeczesał kędzierzawe włosy palcami. - Do diabła z tym.

- Tatuś znowu zadzwonił, co? O co chodzi tym razem? Wiesz, Charlie, czas, żebyś już dorósł i przeciął pępowinę. W końcu nawet dla niego nie pracujesz.

Charlie milczał. Nie mógł jej powiedzieć, że ojciec wezwał go do Londynu, bo matka przedawkowała leki.

Belle wstała i rozzłoszczona poszła w stronę oszklonych drzwi, za którymi był basen. Wciągając podkoszulek, usłyszał, że wskoczyła do wody. Nie sądził, żeby mieli się jeszcze kiedyś spotkać.

Drzwiczki limuzyny z przyciemnionymi szybami otworzyły się przed hotelem na jednej z bocznych uliczek londyńskiego Soho i w tej samej chwili błysnęły dziesiątki fleszy. Paparazzi zaczęli wołać Lucię po imieniu, zanim jeszcze ją zobaczyli.

Wyłoniła się z samochodu z wyrazem niepokoju na twarzy, trzymając pod ramię wysokiego mężczyznę w dzinsach, długim brązowym płaszczu z podniesionym kołnierzem i wełnianej czapce naciągniętej niemal na oczy. Niestety nie pozwoliło mu to ukryć, że jest Gerrym Daviesem. Nic zresztą chyba nie pozwoliłoby mu tego ukryć, ponieważ Gerry miał twarz, którą ludzie rozpoznawali natychmiast. Może właśnie ta cecha decyduje o tym, że zostaje się prawdziwą gwiazdą. Tak czy inaczej, paparazzi za nim szaleli. Gerry Davies należał do tej samej ligi co Tom Cruise i Will Smith, ale był dobre dwadzieścia lat starszy od Lucii - miał dzieci niemal w jej wieku. Jego małżeństwo trwało już piętnaście lat i w dodatku

uchodziło za szczęśliwe, a to w Hollywood nie zdarza się często. Cóż za sensacja!

Lucia, zszokowana fleszami, puściła ramię Gerry'ego i zasłoniła twarz dłonią.

- To twój nowy chłopak, Lucia? Przedstawisz go nam? Błysk, błysk, błysk.

- Nie. Bez komentarza. Proszę nas przepuścić.

Podeszli naprawdę blisko, czuła zapach ich wilgotnych, wełnianych płaszczy i zalatującego papierosowym dymem oddechu.

- Lubisz starszych, co, mała? Grzeczna dziewczynka.

- Wpadliście na szybki podwieczorek, co?

- Pewnie nie wiedzieliście, że wynajmują tu pokoje na godziny? Rozległy się obleśne chichoty.

Lucia i Gerry szybko weszli do hotelowego holu. Kilku dziennikarzy chciało przemknąć się za nimi, zatrzymał ich jednak portier. Kiedy szli w stronę wind, Lucia otworzyła puderniczkę. Podbiegł do nich kierownik hotelu.

- Panno Barnes, pan Parr zaprasza do gabinetu. - Kierownik skłonił się lekko przed Gerrym. - Panie Davies, zawsze chętnie pana gościmy. Apartament czeka.

Gerry odwrócił się do Lucii.

- Miło robić z panią interesy, panno Barnes.

Podali sobie ręce. Ich wejście zostało zaaranżowane przez specjalistów od PR i dyrekcję hotelu. Gerry Davies dostał najlepszy apartament na tak długo, jak tylko sobie zażyczył, Lucia otrzymała pokaźną sumę, a o obojgu będzie przez jakiś czas głośno. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem i przyniesie spodziewany efekt, będą mogli pomyśleć o drugim etapie tej farsy. Gerry i tak myślał od jakiegoś czasu o rozwodzie, a namiętny romans z młodą blondynką o dziecięcej buzi mógłby trochę pomóc przed brytyjską premierą jego najnowszego filmu. Ale o to zadbają inni. Od Lucii Barnes niemal od dziecka wymagano tylko, by ładnie wyglądała, dobrze się ubierała i była czarująca. Trzeba przyznać, że z tych trzech obowiązków wywiązywała się bez zarzutu.

Zawsze była małą księżniczką swojego tatusia; Logan oszalał na punkcie córki już w dniu, kiedy przysłała na świat.

Sam był

169

zaskoczony, że ta miłość tak nim zawładnęła. Wcześniej przypuszczał, że będzie lepszym ojcem dla chłopców, bo chłopięcą naturę dobrze znał; wiedziałby instynktownie, jak postępować z synem. I kiedy urodził się Charlie, przecucia te się potwierdziły. Logan pokochał go od pierwszej chwili, chciał zapewnić mu wszystko, nauczyć go wszystkiego, czego jego własny ojciec nigdy go nie nauczył. Ale mimo szoku, jakim jest pierwsze rodzicielstwo, na ogół wyglądało to tak, jak się spodziewał. Odczuwał dumę, miłość, strach i zmęczenie - w równej mierze.

Kiedy jednak urodziła się Lucia, było zupełnie inaczej. Gdy tylko ją zobaczył, zawładnęło nim uczucie, jakiego dotąd nie doświadczył i nie potrafił nazwać - najbliższe chyba pełnemu czci przerażeniu, wywoływanemu przez istoty nadprzyrodzone. W samym fakcie że on, Logan Barnes, stworzył tę doskonałą małą dziewczynkę -dziewczynkę! - było coś cudownego. Nigdy nie wyobrażał sobie, że mógłby mieć córkę; zakładał po prostu, że drugi urodzi się także chłopiec, więc kiedy położna odwróciła się do niego i powiedziała: „Proszę, panie Barnes. Oto pańska córka”, poprosił ją, żeby to powtórzyła, a ona roześmiała się.

- Wszystko w porządku - odparła - to tylko mała dziewczynka, a nie jakiś kosmita. - Po czym spojrzała na Maryanne, która leżała, zarumieniona, dumna i spocona, na szpitalnym łóżku.

- Och - wykrztusił w końcu Logan, a Maryanne, trochę jeszcze oszołomiona środkami przeciwbólowymi, popatrzyła na niego z troską.

- Kochanie?

Nie potrafił od razu odpowiedzieć, nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Bo co można powiedzieć, kiedy ktoś kładzie ci w ramionach wcielenie doskonałości? W końcu jednak odzyskał głos.

- Jest idealna - wyszeptał i podszedł do Maryanne. - Zobacz.

I przez chwilę razem patrzyli na pomarszczoną, siną, zaplamioną krwią twarzyczkę, widząc w niej tylko piękno nie do opisanego.

I tak już, mniej więcej, zostało - przynajmniej jeśli chodzi o Logana. Był ślepy na wady córki. Wpadał we wściekłość, jeśli ktokolwiek zakwestionował jej doskonałość. Krótco po jej narodzinach wrócił pewnego dnia z jakiejś eleganckiej biznesowej kolacji, pie-

niąc się ze złości i wymachując zdjęciem Lucii, które nosił w portfelu.

- Nigdy więcej nie odezwę się do tego dupka Saula Mastersa -pieklił się.

- Na litość boską, co się stało? - spytała Maryanne, odrywając wzrok od ekranu telewizora.

Logan podniósł zdjęcie do góry.

- Chruszczow! Możesz w to uwierzyć? Powiedział, że Lucia wygląda jak Chruszczow!

Maryanne stłumiła śmiech.

- Och, Logan...

Maryanne także kochała córkę i uważała ją za najpiękniejszą dziewczynkę na świecie, była jednak większą realistką i nie oczekiwała, by wszyscy podzielali jej zdanie.

- Moja biedna kruszynka - Logan opadł na kanapę obok żony, ciągle wpatrzony w zdjęcie. - Porównana do tego tłustego, łysego komucha.

- No cóż, jest łysa - odparła Maryanne łagodnie. -**1** dość pulchna. Co w przypadku niemowlęcia jest zupełnie normalne.

- To prawda - uśmiechnął się Logan.

I bardzo delikatnie wsunął zdjęcie z powrotem do portfela.

Dorastając, Lucia powoli zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że ojciec nie potrafi niczego jej odmówić, więc to Maryanne odgrywała dla niej rolę złego policjanta. To ona nalegała, by Lucia odrabiała zadania domowe, wracała do domu o określonej porze i karciała ją za złe zachowanie. Tak jak wtedy, kiedy odkryła, że Lucia ze swojego niezwykle wysokiego kieszonkowego płaci pomocy domowej za sprzątanie swojego pokoju, zamiast robić to sama. Logan tylko się roześmiał i powiedział, że okazała się bardzo przedsiębiorcza. Maryanne jednak trochę się niepokoiła. Jeśli Lucia jest taka w wieku dziewięciu lat, to kim będzie, kiedy podrośnie?

Odpowiedź na to pytanie znalazła się, kiedy Lucia wystąpiła po raz pierwszy w kampanii reklamowej znanej firmy produkującej bieliznę i bez wahania przyjmowała wszystkie zaproszenia i prezenty od tych, którzy ustawiali się do niej w kolejce. Krótko mówiąc,

Lucia, odkąd skończyła szkołę średnią, przez trzy lata imprezowała. Zaczęła studia na wydziale projektowania ubioru, ale rzuciła je po sześciu miesiącach, mówiąc rodzicom, że nie potrafi pogodzić nauki z karierą modelki. Prawda jednak była taka, że po prostu nie miała ochoty się uczyć. Była to ciężka praca, a Lucia zdecydowanie lepiej się bawiła, nosząc ubrania, niż kreśląc ich fasony na papierze. Tak więc pojawiała się w reklamach telewizyjnych i na billboardach, a nawet na wybiegu, i w ogóle miło spędzała czas.

Tyle że ostatnio zaczęło ją to trochę nudzić.

Lucia płynęła przez życie zamknięta w bańce mydlanej, pachnącej perfumami, watą cukrową i mentolowymi papierosami. Z bańki tej bezustannie dobywał się jej głos: Lucia ciągle coś mówiła, rozmawiała z przyjaciółkami albo przez telefon, albo ze swoim psem. W tej chwili robiła to wszystko jednocześnie. Przycupnięta na brzegu biurka, przemawiała do Ratbaga, swojego małego pieska rasy chihuahua, przygotowywała plany na wieczór z Tamarą, która siedziała po turecku na podłodze u jej stóp jak pielgrzym u stóp dziwnie jasnowłosego i szczupłego Buddy, i dyskutowała o strategii PR dotyczącej jej wizerunku z Jonty Parrem, swoim agentem.

Biuro Jonty'ego mieściło się w niewielkim pokoiku nad kafejką w Soho, dokąd się udali, kiedy tylko paparazzi w końcu się rozpięchli. Przy ścianach stały półki z pudłami pełnymi wycinków z gazet, w których pisano o klientach Jonty'ego, a z małego okienka, jeśli się bardzo wychylić, widać było fragment Old Compton Street. Lucia podpisała umowę z Jontym, kiedy wraz z rodzicami przeprowadziła się do Londynu, ponieważ bardzo chciała, by znano ją w Zjednoczonym Królestwie. Na razie otrzymała mnóstwo propozycji pracy w charakterze modelki - przeważnie miała reklamować bieliznę i dżinsy - wystąpiła w kilku teledyskach, wspominały o niej plotkarskie gazety i magazyny. Mogłaby pewnie żądać wysokich honorariów za pojawianie się na przyjęciach, wernisażach i premierach. Jednak o większość zaproszeń musiała starać się sama, z pomocą przyjaciół i znajomych. Jonty na razie nie pokazał jeszcze, ile jest wart, i Lucia pewnie już by go zwolniła, gdyby nie znał reżysera, który miał nakręcić filmy do kampanii reklamowej Heiress, nowego zapachu firmy Crescat. Wiele dziewcząt chciało

być jego twarzą, ale Lucia nie wątpiła, że byłaby z nich wszystkich najlepsza. Musiała tylko przekonać do tego reżysera i firmę kosmetyczną. A skoro Jonty mógł jej w tym pomóc, postanowiła zatrzymać go przy sobie do czasu, kiedy umowa zostanie podpisana, a pieniądze spłyną na jej konto.

- Jonty, posłuchaj... Jonty spojrzał na nią.

- Co, maleńka? Powiedz wujkowi, co ci chodzi po głowie. - Uśmiechnął się szeroko i odchylił na oparcie obrotowego fotela, rozstawiając nogi nienaturalnie szeroko, jakby chciał pomieścić nieistniejący brzuch.

Lucia uśmiechnęła się do niego słodko.

- Naprawdę poważnie myślę o kampanii Heiress. Idealnie się do tego nadaję i potrzebuję tych pieniędzy.

Jonty uniósł jedną brew.

- Daj spokój - mruknął. - Nie mów, że wygrzebujesz drobniaki zza kanapy.

Lucia popatrzyła na niego chłodno znad okularów przeciwsłonecznych. Boże, naprawdę był nieznośnym dupkiem z tą „maleńką” i slangiem, który - w jego mniemaniu - brzmiał młodzieżowo i „ulicznie”.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale mam plany. Duże plany.

- Nabierasz...

- Nie kpij sobie, Jonty. Mówię zupełnie poważnie.

- A nie możesz po prostu pójść do tatusia? Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Nie, nie mogę. Nie w tej sprawie. Wzruszył ramionami.

- W porządku, trzymaj język za zębami. Jeśli chcesz. Albo lepiej nie... - Jonty oblizał się i spojrzał na Lucię w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości co do tego, o czym właśnie pomyślał. Lucia poruszyła się, lekko rozchyliła kolana i popatrzyła na niego zalotnie. Potem wstała, wzięła torebkę i psa, i machnęła ręką do Tamary.

- Idziemy.

Tamara podniosła się z podłogi.

- Nie panikuj, maleńka, Jonty załatwi ci tę sprawę, obiecuję. Tylko powiedz mi jedno.

Lucia odwróciła się do niego plecami.

- Po co ci te pieniądze?

- Och, wiesz przecież. Dziewczyna nigdy nie ma dość butów. Była już w drzwiach, kiedy zadzwoniła jej komórka.

- Charlie, jestem zajęta. Czego chcesz?

- Posłuchaj, coś się stało.

- Takie już jest życie, ciągle coś się dzieje. Ludzie robią różne rzeczy, przemieszczają się, świat się kręci. Weź na wstrzymanie.

Zadzwoniła druga komórka Lucii. Otworzyła ją i wcisnęła odpowiedni klawisz. Teraz nagle zmieniła się w kobietę interesu.

- Słucham, Ranj? Dobrze, dziękuję, przejrzę to jak najszybciej i oddzwonię. Tak, wiem, i naprawdę to doceniam.

Z pierwszego telefonu dobiegał zdenerwowany głos Charliego. Westchnęła.

- Luce, posłuchaj, do cholery!

- Ranj, zadzwonię później. Charlie? Więc o co znowu chodzi?

- Mama jest w szpitalu. Przedawkowała. Czy to twoim zdaniem wystarczająco dramatyczne?

Lucia milczała przez chwilę.

- Tak, Charlie. Rozumiem. W którym szpitalu? Zanotowała adres swoim ozdobnym pismem, każdą kropkę nad „i” biorąc w małe serduszko, jak zawsze - choć tym razem wyszły dość koślawo, bo nie potrafiła powstrzymać drżenia rąk.

- Mamo? Mamo, obudź się.

Ręka Maryanne, o skórze wygładzonej przez regularne pilingi i zabiegi nawilżania, wyglądała bardzo drobno, kiedy Charlie ujął ją w swoje duże, opalone, twarde dłonie. Maryanne leżała nieruchomo, przez chwilę rozkoszując się tym dotykiem, a potem otworzyła oczy.

- Cześć.

Wokół ciemnoniebieskich oczu Charliego pojawiły się drobne zmarszczki. Patrzył na matkę z troską.

- Przestraszyłaś mnie.

170

- Przepraszam, kochanie. Co ty tu robisz? - Maryanne uniosła się na poduszkach. Zauważyła, że leży ciągle w tym samym pokoju, lecz że coś się w nim zmieniło. No tak, znikły reprodukcje obrazów Moneta, a pojawiło się mnóstwo kwiatów. Charlie dostrzegł wyraz zaskoczenia na jej twarzy i uśmiechnął się.

- Zdjąłem te obrazki. Pomyślałem, że nie będziesz zachwycona, jeśli zobaczysz je po przebudzeniu.

Maryanne roześmiała się, a potem zakaszła.

- Naprawdę dobrze znasz swoją matkę. Ale przecież miałaś być w Los Angeles.

- Wróciłem. Długo spałaś. Lucia też już tu była. Ale musiała pójść coś załatwić.

Maryanne wzięła głęboki oddech, wciągając w płuca zapach kwiatów. Słodki i intensywny, szybko wydał jej się duszny. Dostała mdłości.

- Nic ci nie jest? Zadrzała.

- Otwórz okno. Chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem. O Boże.

Charlie otworzył okno i do pokoju wdarł się uliczny hałas i dalekie wycie policyjnych syren. Na gładkim czole Maryanne pojawiły się kropelki potu. Było jej gorąco, a jednak dygotała.

- Zawołam pielęgniarkę.

- Nie, wszystko w porządku.

Skupiła się na oddechu, powoli, głęboko wciągając powietrze. W końcu mdłości ustąpiły.

- Naprawdę wszystko w porządku.

Charlie usiadł znowu, a przy jego lewej brwi pojawiła się pionowa bruzda, jak zawsze wtedy, gdy czymś się martwił albo nad czymś się zastanawiał. Maryanne poniosła rękę i spróbowała ją wygładzić.

- Dostaniesz zmarszczek. Wzruszył ramionami.

- Nie dbam o to. Mamo...

No, to musiało w końcu nastąpić, pomyślała. Szantaż emocjonalny, silna reakcja. Rodzina zawsze próbowała ją kontrolować. Na

ogół robił to Logan, a kiedy nie było Logana, Charlie. Ostatnio nawet Lucia się w to włączyła. Czepiała się, nękała ją. A przez to te bóle głowy tylko się nasilały, stawały się coraz bardziej dokuczliwe... więc co w tym dziwnego, że próbowała je tłumić środkami przeciwbólowymi? Nie powinna jednak się na nich złościć - przecież nie potrafili zrozumieć, jak ona się czuje. Nikt nie potrafił. Lecz te płonące oczy, które bezustannie ją śledzą... To oni zmusili ją do ukrywania wielu rzeczy. Nie rób tego, nie bierz tamtego. My ci pomożemy, mówili, mu cię wesprzemy, kochanie, mamusiu, mamó, Maryanne, pani Barnes. Kiedy otrzymała wszystkie te imiona? Tyle różnych wcieleń jednej osoby. Kiedyś była tylko Maryanne, Maryanne Curtis, tak po prostu. I plan na życie także miała prosty. Ale to było dawno temu. Zanim to wszystko... zanim Logan...

- Wiesz, że cię kocham. I że zawsze będę przy tobie... tak? Maryanne uśmiechnęła się do niego. Jej piękny chłopiec. Taki

zmęczony i zatroskany. Na chwilę ogarnęło ją straszne poczucie winy. To przez nią Charlie tak wygląda, a z jego niebieskich oczu wyziera smutek.

- Ale...

No tak. Wzbudzał w niej poczucie winy i wyrzuty sumienia. Musi być teraz silna. Będzie chciał przeszkodzić jej w tym, co zamierzała zrobić. A jej nie wolno do tego dopuścić. Już się zdecydowała.

- Ale nie mogę już dłużej patrzeć, jak sama siebie niszcysz. Spuściła wzrok, by nie dostrzegł gniewu, który zapalił się w jej

oczach. To tylko chłopiec, powiedziała sobie. Nie złość się na niego. Próbuje tylko postępować tak, jak uważa za słuszne. Jest po prostu zbyt młody, żeby zrozumieć.

- Nie zamierzam jednak próbować cię od tego odwieść... już nie.

Maryanne, zaskoczona, spojrzała na niego. To coś nowego. Czy próbuje ją nabrać? Nie, nie wyglądał na to. W oczach miał łzy. Och, moje biedne dziecko, nie przestawaj. Przestań. Oddychaj.

Odetchnęła.

- Wiem, że to nie twoja wina. Jesteś chora. Kiwnęła głową.

- Och, Charlie. - Teraz to jej oczy wypełniły się łzami, łzami wdzięczności. - To taka ulga, wiedzieć, że ktoś to rozumie. Lekarze chyba położyli już na mnie krzyżyk. Tak jak i wszyscy inni, prawdę mówiąc.

Nagle zrobiło jej się strasznie żal samej siebie.

- Nikt nie położył na tobie krzyżyka, mamó.

- Gdyby tylko mogli znaleźć ich przyczynę, na pewno poczułabym się lepiej. Bardzo się martwię, wiesz, a to tylko pogarsza sytuację.

Charlie odchylił się na oparcie krzesła. Wydawał się zdezorientowany.

- Przyczynę czego? - spytał.

- Bólów głowy. Tych moich okropnych bólów głowy, oczywiście.

Charlie wstał i włożył ręce głęboko do kieszeni. Zamachał ręką.

- Nie, mamó. Nie!

Maryanne ze świstem wciągnęła powietrze.

- Co „nie”? Co masz na myśli?

Starł się opanować emocje, widziała to, bo się przygarbił. Chciała mu powiedzieć, żeby się wyprostował, że to ważne, dbać o kręgosłup...

- Nie bóle głowy, mamó. Nie one są twoim problemem. To ty... nie, to znaczy, chorobą, o której mówię, nie są bóle głowy.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Mówię o uzależnieniu.

Zapadła cisza. Oboje zadrżeli. Po raz pierwszy ktoś z rodziny wypowiedział to słowo. W końcu Maryanne wzięła głęboki oddech.

- Zapomnę, że to powiedziałaś, Charlie. W porządku, wiem, że się denerwujesz. Wiem, że trochę namieszałam, ale nie jestem...

- Mamó! Przestań. Spędzam teraz połowę czasu w Los Angeles. Nie jestem już dzieckiem. Nie musisz się czuć zażenowana. Do diabła, kilku z moich najlepszych kumpli jest na odwyku.

Spróbował się uśmiechnąć, lecz mu się to nie udało.

- Chcę ci pomóc, naprawdę chcę. Lecz nie mogę tego zrobić, dopóki sama sobie nie pomożesz. Nikt nie może. A ja nie potrafię dłużej patrzeć, jak się zabijasz. Za bardzo cię kocham, a to... -

Urwał i otarł łzy pięściami. Wyglądał tak młodo. - To dla mnie za trudne, mamó. Kiedy coś z tym zrobisz, będę przy tobie. Obiecuję.

Odwrócił się szybko i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Słyszała, jak szlochał na korytarzu, i serce jej się ścisnęło. Mimo odrzucenia prawdy, złości i pragnienia, narastającego rozpaczliwego pragnienia, by coś połknąć, cokolwiek, co odwróciłoby jej uwagę od ucisku, który czuła w głowie, wiedziała, że on tylko chciał pomóc. Jak oni wszyscy. Niestety, najwyraźniej nikt z nich rozumiał, że nie potrafi jej pomóc.

Maryanne opuściła szpital St John i St Elisabeth dwa dni później - w taki sposób, w jaki robią to zwykle celebryci, którzy zatruli się alkoholem albo prochami czy przeszli akurat kolejną operację plastyczną, to znaczy w ciemnych okularach, tylnym wyjściem, prosto do czekającej przy podjeździe dla karettek dyskretnej limuzyny. Personel był przyzwyczajony do takich środków ostrożności. Pielęgniarki pomogły jej wsiąść do samochodu, podczas gdy Henry przytrzymał drzwiczki i rozglądał się czujnie dookoła, szukając ukrytych gdzieś paparazzi. Tego dnia jednak miała szczęście: nikt się nie zaczął.

Logan siedział z tyłu i czekał na nią. Maryanne usiadła, oparła głowę o skórzany zagłówek i zamknęła oczy - już czuła się zmęczona - a potem wyciągnęła rękę i palcem pogładziła wierzch dłoni Logana. Miał ochotę cofnąć dłoń, powstrzymał się jednak.

- Dziękuję ci, kochanie - westchnęła.

- Za co?

- Za to, że się mną zaopiekowałeś. Że przeniosłeś mnie do tego szpitala. Nie pozwoliłeś, żebym się obudziła w jakiejś norze.

- Każdy na moim miejscu tak by postąpił.

- Hm. - Odwróciła głowę. Uch. Zabolalo. Więc po prostu postąpił tak „jak każdy by postąpił”? Nawet wobec zupełnie obcej osoby albo znajomego. Przełknęła ślinę i zaczęła grzebać w torebce, żeby się czymś zająć.

Wyciągnęła balsam do ust i nałożyła go na wargi.

- Co za głupota, wciąż nie wiem, jak mogłam to zrobić. Jestem naprawdę taka głupia. - Spróbowała się roześmiać, ale jej śmiech brzmiał nieszczerze. Fałszywie.

Logan spojrział w lusterko wsteczne na Henry'ego, który zrozumiał go natychmiast: nacisnął guzik i wtedy wysunęła się ścianka, oddzielająca kierowcę od pasażerów. Logan odwrócił się do żony.

- Nie jesteś głupia, Maryanne - powiedział twardo.

- Cóż, dziękuję bardzo.

- Jesteś uzależniona.

Znowu to słowo. Dlaczego ciągle o tym mówią? Balsam wypadł jej z drżącej dłoni.

- Cholera - mruknęła i schyliła się, żeby go podnieść.

- Zostaw ten głupi krem. Słyszysz? Zostaw to.

- Dobrze. - Jej głos był cichy i także trochę drżał. Jakby się czegoś bała. To dobrze. Miała nadzieję, że on też trochę się przestraszy. Że da jej spokój. Niestety.

- Od jak dawna to trwa?

- Co takiego?

- Od jak dawna? Od pierwszej recepty na antydepresanty? To wtedy się to zaczęło? A może jeszcze wcześniej?

- Och, Logan, ja tylko od czasu do czasu biorę tabletki przeciwbólowe. Wiesz, że cierpię na migreny. Bardzo cierpię, codziennie. I jakoś nikt tego nie zauważa.

Logan milczał.

- Wzięłam za dużą dawkę, to wszystko - dodała.

Brzmiało to przekonująco. Spojrział jej w oczy. Wytrzymała jego wzrok. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, mogłaby uznać, że jej się udało. Ale Logan zbyt dobrze ją znał.

- Znowu. Nie pierwszy raz zdarzyło ci się coś takiego, prawda? W ubiegłym roku straciłaś przytomność w wannie.

Znalazła cię Linny; nie pojmuję, dlaczego ta kobieta jeszcze nie rzuciła pracy u nas, po tym wszystkim, przez co musiała przejść z twojego powodu. A jak się wtedy tłumaczyłaś? A, no tak, temperatura. Zemdliałaś, bo woda była za gorąca.

- Mamy piec o dużej mocy.

- A teraz znów to zrobiłaś, i znowu Linny musiała zawieźć cię do szpitala, zadzwonić do mnie i powiedzieć, co się stało. Zrobiłaś to celowo?

- Nie! Oczywiście, że nie. - Odwróciła głowę.

- Więc był to wypadek... bo się upiłaś? Cóż, oboje wiemy, że się upiłaś, prawda? Po tej małej scenie przy kolacji? A może chodzi

o to, że nie tylko się upiłaś, ale też naćpałaś. Tak bardzo, by nie pamiętać, ile tabletek zdążyłaś już wziąć?

Maryanne poczuła łzy pod powiekami. Zamrugła.

- Nie, ja...

- Bo lekarz twierdzi, że brałaś te tabletki już od dłuższego czasu.

- Och, daj spokój, to absurd. On nie może wiedzieć czegoś takiego. - Nawet Maryanne zaskoczyła pewność w jej głosie. Była pewna, absolutnie pewna, że nikt nie mógł o tym wiedzieć.

- Nie może? Dlaczego? Bo to nieprawda? Zawahała się.

- Właśnie. Bo to nieprawda. - Ale brzmiało to tak, jakby chciała przekonać samą siebie, a nie Logana.

Logan wypuścił powietrze, sfrustrowany i rozczarowany.

- Kłamiesz, Maryanne.

- Nie! Nie kłamię! Byłam trochę zmęczona, wzięłam niewłaściwe tabletki... i za dużo. Więcej tego nie zrobię.

Łkała teraz przez ściśnięte gardło. Spróbowała przełknąć ślinę

i zapanować nad sobą. Otworzyła okno w nadziei, że świeże powietrze pozwoli jej się uspokoić. Oddychaj. Powoli. On nie wie. Nie może wiedzieć. Wszystko będzie dobrze, już niedługo. Jesteś prawie w domu, a on zaraz wróci do pracy. A wtedy... ale najpierw skup się na oddechu. Spokojnie. Znowu nabrała powietrza. Już lepiej. Odwróciła się do niego i zdobyła na słaby uśmiech.

- Przepraszam. Naprawdę.

Logan patrzył na nią chłodno. Miała wrażenie, że jego twarz zmieniła się w maskę. Wiedział, że ona kłamie - wiedział to ponad wszelką wątpliwość, na litość boską. Lekarze powiedzieli mu, że środek, który jej podali, wywołuje zespół objawów abstynen-cyjnych tylko u osób uzależnionych od narkotyków. Heroiny, me-tadonu, petydyny. Wykorzystują go nawet do diagnozowania uzależnień. A u Maryanne natychmiast wystąpiły wszystkie klasyczne objawy procesu odtruwania. Kiedy opiaty zostały usunięte, jej organizm zaczął się gwałtownie domagać tego, do czego był przyzwyczajony. Rzucała się w drgawkach na łóżku, pociła i wymiotowała.

Logan nie mógł na to patrzeć. To nie była jego żona, ta kobieta na szpitalnym łóżku. To nie mogła być jego żona. A teraz kłamała w żywe oczy, bezwstydnie.

- Och, daj spokój, Maryanne. Uważasz, że jestem głupi, tak? Masz mnie za głupca?

Był wściekły, jakby cała frustracja, która zebrała się w nim w ciągu ubiegłego roku, a może w ciągu kilku ubiegłych lat, znalazła wreszcie ujście. Maryanne się przestraszyła. Patrzył na nią tak twardo, zimno.

- Oczywiście, że nie.

- Naprawdę? Bo mnie właśnie tak się wydaje.

- Nie. Tylko... - Znowu zaczęła płakać. Logan przewrócił oczami.

- Och, proszę. Tym razem to nie zadziała - rzucił krótko. -Więc daruj sobie.

Zagryzła wargi. Potrafił być bardzo, bardzo niedobry, ten jej mąż. Ale ona też potrafiła taka być.

- Żałuję, że za ciebie wyszłam. Logan parsknął śmiechem.

- Co cię tak bawi?

- Chciałaś mnie zranić? Zranić do żywego, wywołać wstrząs, żebym powiedział: „Och, kochanie, biedactwo, pozwól, żebym wszystko naprawił?” Tak?

Prawdę mówiąc, tego właśnie oczekiwała.

- Żałujesz, że za mnie wyszłaś, tak? W takim razie, czy możesz sobie choćby wyobrazić, co ja czuję?

- Ja...

- Dałem ci wszystko. Wszystko, czego pragnęłaś, o co prosiłaś i o co nie prosiłaś. A ty myślisz tylko o sobie, o tym, jak ty się czujesz.

Nagle zrozumiał, że nie wytrzyma tego już ani chwili dłużej. Wcisnął guzik intercomu.

- Henry, zatrzymaj się tutaj. Wsiadam. Zadzwoń, jeśli będę cię potrzebował. Chcę się trochę przejść.

Samochód zwolnił i stanął przy wejściu do St James's Park. Logan wyskoczył na chodnik.

- Henry zawiezie cię do domu - powiedział, nie patrząc na Maryanne. - Czeka tam już pielęgniarka. Będiesz miała dobrą opiekę. Jak zwykle.

Maryanne patrzyła, jak odchodzi pełną ludzi ulicą. Kilka osób odwróciło za nim głowy, jakby zastanawiały się, skąd znają twarz tego ciemnowłosego mężczyzny. A potem ruszyły w swoją stronę. Pewnie uznały, że tylko wydawał im się znajomy.

Będzie miała dobrą opiekę. Jak zwykle. Samochód ruszył, a Maryanne patrzyła, jak jedyna osoba, na której opiece jej zależało, odchodzi ulicą.

Logan szedł szybko przed siebie, oślepiiony gniewem, nie widząc nic ani nikogo. Najbardziej raniły go jej kłamstwa. Jak mogła, nawet nie mrugnawszy, tak bezczelnie kłamać? Od jak dawna to przed nim ukrywała? Lata. Całe lata.

Wspomnił o tym dniu, kiedy zemdląca w wannie i omal się nie utopiła, ale nie zdarzyło się to tylko raz. Wiele takich incydentów, wiele drobnych spraw starał się jakoś wytłumaczyć, powtarzał sobie, że to nic ważnego, pozwalał, by mydliła mu oczy. Nie był teraz zły wyłącznie na Maryanne, ale także na siebie. Dlaczego tak długo udawał, że nic się nie dzieje, chował głowę w piasek? Kiedy Linny zadzwoniła i powiedziała, że nie może dobudzić Maryanne, naprawdę się przeraził. Myślał, że ona umrze. I wcale go to nie zaskoczyło - w pewnym sensie spodziewał się czegoś takiego od bardzo, bardzo dawna. A jednak nie dopuszczał tego do siebie, nie potrafił przyznać sam przed sobą, że jego żona, uzależniona od leków jest także alkoholiczką.

Nie stawiało go to w najlepszym świetle, prawda? Logan Barnes, człowiek sukcesu, wcielenie siły. Ale dostrzec nieszczęście za fasadą pięknej, pokrytej perfekcyjnym makijażem twarzy Maryanne, twarzy, którą znał tak dobrze i tak bardzo kochał? Dostrzec uzależnienie za zasłoną życia, które wspólnie zbudowali, i cudownych wspomnień? Tego nie potrafił, bo musiałby wtedy przyznać, że poniósł klęskę, że zawiódł w tym, co najważniejsze, najbardziej fundamentalne, że nie sprawdził się jako mąż; że nie umiał uczynić jej szczęśliwą, dać jej tego, czego najbardziej potrzebowała, sprawić, by poczuła się spełniona, choć tak bardzo się starał. I nie roz-

czarował jej raz, lecz wiele razy, więc szukała ukojenia i pociechy na dnie fiolki z pigułkami. W końcu nieco ochłonął. Przecież da się to jeszcze naprawić. Pomoże jej, stanie na głowie, by wyzdrowiała. Tak. Jest jej to winny. Zresztą, pomijając już wszystko inne, Logan nie chciał, by jego małżeństwo okazało się porażką. Logan Barnes nie znał tego słowa. Logan Barnes nigdy nikogo nie zawiódł. Nagle jednak przeszła go przykra myśl. To nie całkiem prawda, czyż nie? Był ktoś, kogo naraził na niebezpieczeństwo. Ktoś, kogo nadal widywał w swoich snach. Nie, nie każdej nocy, ale od czasu do czasu przypominała mu o sobie. Nagle, bez uprzedzenia. Widział czubek jej głowy, kiedy klękała przed nim, biorąc jego penis do ust... Słyszał krzyk, kiedy załamało się podium... I widział też ciało, wykręcone, leżące bezwładnie, podczas gdy ratownicy medyczni starali się ocalić jej życie. Pamiętał, jak patrzyła na niego, kiedy przyszedł do szpitala, w którym leżała w plątaninie rurek łączących ją z maszynami. Co gorsza, pamiętał również wyraz twarzy jej córki, gdy delikatnie ocierała czoło matki wilgotnym ręcznikiem. Miała tylko dziewięć lat i już musiała w taki sposób zajmować się matką. Nie potrafił temu sprostać, więc odwrócił się i wyszedł, i zostawił sprawę prawnikom. Nic więcej nie mógł zrobić. Powtarzał to sobie, kiedy pojawiała się w nocnych koszmarach przez wszystkie te lata. Nie powinien obwiniać się do końca życia. A jednak złe sny ciągle do niego wracały.

Rozdział 12

Ciepłe powietrze wpadało do wnętrza samochodu przez otwory nawiewowe i muskało jego policzki. Mark wyjechał swoim zabytkowym czerwonym porsche z pociągu Eurostar na rampę. Przyspieszył, mijając grupkę mężczyzn w białych minibusach, którzy zapewne przyjechali tu na męski weekend, sądząc z obcisłych, jaskrawozielonych spodenek, które miał na sobie jeden z nich.

Wyprzedził ich, rozkoszując się rykiem silnika, kiedy przycisnął pedał gazu, i wjechał na autostradę. Mężczyźni zrobili jakiś brzydki gest pod jego adresem. Natychmiast przestawił się na jazdę po „niewłaściwej” stronie drogi. Dorastał, kursując między tymi dwoma krajami; jeździł do Nicei i Monako, do Paryża na weekendy i dalej, przez Francję, aż do Brukseli. Lubił prowadzić samochód, nie cierpiał latać samolotem i gdyby tylko mógł, zawsze wybierałby się na kontynent swoim ukochanym starym porsche 911. Zwłaszcza że tu mógł pozwolić sobie na szybkość, za jaką w Anglii na długo odebrano by mu prawo jazdy.

Wcisnął pedał gazu mocniej. Chciał jak najszybciej dostać się do Le Touquet.

- *Rien ne va plus.*

Już za późno, by obstawiać. Ci, którzy ciągle trzymali dłonie nad zielonym suknem, zabrali swoje żetony i patrzyli, jak srebrna metalowa kulka pędzi wokół koła i powoli zwalnia. Krupier w starannie wyprasowanej białej koszuli i muszce stał przy drugim końcu stołu z obojętną twarzą, sztywno wyprostowany, i czekał, aż kulka się zatrzyma.

Mark wziął do ręki leżące przed nim żetony i rzucił je na stolik.

Obstawił czerwone - dwadzieścia tysięcy euro; dziesięć tysięcy postawił na centralne *douzaine* - kolumnę liczb biegnącą przez środek planszy, i po pięć tysięcy na trzy czarne numery: osiem, jedenaście i trzydzieści jeden. Dwa żetony postawił na ósemkę, ponieważ ostatnim razem okazała się dla niego szczęśliwa. Ojciec go tego nauczył.

Tok-tok-tok-tok-tok-tok-tok...

Mark wyciągnął szyję. Kulka zwolniła i stanęła.

- *Huit.* - Krupier położył znacznik na wygranym numerze i zsunął ze stołu pozostałe żetony. Kiwnął głową w stronę Marka, który się uśmiechnął. Podwójna wygrana - ósemka należała do środkowej kolumny, więc za to też zgarnął sporą sumę. Zapowiadał się udany wieczór. A to, co zaplanował na noc, sprawi, że będzie ona jeszcze wspanialsza. Dwie i pół godziny później Mark, już tylko w koszuli, bo marynarkę powiesił na oparciu krzesła, położył na stoliku ostatnią kup-

kę żetonów. Nie było już żadnej z osób, które siedziały tu, kiedy przyszedł - nie grał nawet nikt z tych, którzy przyszli zaledwie pół godziny temu. Krupier spojrzał na niego. Jego twarz niczego nie wyrażała, ale Mark wiedział, że pod tą maską obojętności kryje się pogarda. Nie miał mu tego za złe. Facet całe życie stał przy końcu tego stołu, zgarniając żetony biednych głupców, którzy stawiali ostatnie pieniądze, by odrobić straty, zdesperowani i płaczliwi jak porzucona nastolatka. Mark nie był zdesperowany. Miał to gdzieś. Gestem pokazał krupierowi, że wróci jeszcze do stolika, i poszedł do bankomatu w holu. Kolejne pięć tysięcy euro i później wszystkie jego żetony znowu znalazły się w rękach kasyna. Do diabła z tym. Pora zmienić lokal.

Postukał paczką papierosów o porysowaną metalową powierzchnię baru, zapalił jednego i dopił drinka.

Wokół niego pozasezonowi turyści kończyli swoje wieczorne koktajle. Większość przyjeżdżała tutaj na weekend, żeby pograć w golfa. Kilkoro na pewno zdradzało tu swoich małżonków. Mark spojrzał na zegarek. Późno. Jego żona na pewno śpi już od wielu godzin, otulona puchową kołdrą, z twarzą nasmarowaną kremem na noc i starannie zaczesanymi do tyłu włosami. Powinien był się z nią rozwieść, powinien był zrobić to wiele lat temu. Wtedy jeszcze mogłaby znaleźć sobie kogoś innego, miałyby czas, by odbudować swoje życie z jakimś miłym facetem o imieniu Phil albo Tim. Z jakimś miłym, odpowiedzialnym gościem. Ekonomistą albo może prawnikiem. Zamieszkaliby w jakimś starym domu w jednym z małych angielskich miasteczek. June byłaby doskonale szczęśliwa. Teraz taka nie była i Mark dobrze o tym wiedział. Ale cóż, on też nie był szczęśliwy. Przynajmniej dał jej satysfakcję płynącą ze świadomości, że oboje są równie niezadowoleni z życia. Różnica polegała tylko na tym, że była to tylko jego wina. Jego słabość.

June wyszła za niego w dobrej wierze. Szła główną nawą kościoła w swojej skromnej sukience od Catherine Walker - żadnego głębokiego dekoltu ani, Boże uchroni, nagich ramion - gotowa wytrwać przy swoim mężczyźnie na dobre i na złe, w bogactwie i w biedzie - no, biedy nie zaznali - w zdrowiu i chorobie... Cóż, szczerze mówiąc, naprawdę nie mogła przypuszczać, z jakiego

rodzaju chorobą przyjdzie jej się zmierzyć. Urodziły im się dzieci -zamieścili informację o tym w „Timesie” - dwaj chłopcy, dziedzic i ten drugi. Sternley House, rodzinny dom Mallorych, kupił Logan; June bardzo męża wtedy wspierała. Jakiś czas później zajęła się polityką i wtedy on wspierał ją, tak jak przysięgał. Wszyscy razem pozwali do zdjęć na schodach swojego domu na przedmieściu. Mark zrozumiał, że wpadł w pułapkę.

Barman podał mu kolejne martini i miseczkę solonych migdałów, ale Mark tylko machnął ręką. Czas się stąd wynosić, bo stracił dobry humor.

Szedł powoli wąską uliczką. Dziewczyny syczały na niego z cieni, wabiąc go jak kotki.

- *Bonsoir, m'sieur...*

Kiedy rozchyłały płaszcze i podciągały spódniczki, spoglądał na nie z ukosa. Nie podobały mu się. Nie. Nie tutaj. Tu nie znajdzie niczego dla siebie.

Któs się potknął i dopiero wtedy Mark usłyszał, że za nim idą. Szurnięcie buta, stłumione „*Merdel*” Od razu wiedział, co go czeka. Odwrócił się i uniósł ramię, by osłonić twarz. Trzech wyrostków zaczęło go obszukiwać, kopiąc go jednocześnie w łydki. Zachwiał się i upadł na kolana. Jeden z nich - zachowywał się jak przywódca i był postawniejszy od pozostałych - chwycił go za nadgarstek i drugą ręką podciągnął rękaw marynarki do góry. Mark poczuł na gołej skórze szorstki materiał taniej kurtki. Chłopak dostrzegł kosztownego roleksa i zdjął go zrecznie.

Jego kumple uśmiechnęli się szeroko.

- *Zostawcie mnie, zostawcie...*

Któryś z nich kopnął go w żołądek i Mark zgiął się wpół. Zaczęli się śmiać, ukazując zaniedbane zęby. Dziewczyny zniknęły; nie chciały ryzykować spotkania z policją. Nie, żeby policja na pewno miała przyjechać. Sezon się skończył, a to było nadmorskie, turystyczne miasteczko. Rzeczywiście, nikt się nie pojawił. Przywódca bandy podszedł do Marka, chowając do kieszeni jego spinki do mankietów i zegarek, i splunął mu w twarz.

- *Putain.*

182

Mark został sam. Klęczał na bruku w błotnistej kałuży, z powiewającymi rozpiętymi rękawami koszuli. I śmiał się, śmiał, śmiał. Aż w końcu pochylił się do przodu i wymiotował. Był mężem posłanki do parlamentu, odnoszącym sukcesy biznesmenem, należał do zarządu spółki, która trzęsła branżą hotelarską - a oto klęczał w rynsztoku, zbryzgany własną krwią i wymiocinami. I wiedział, że tu właśnie naprawdę jest jego miejsce.

Rozdział 13

Elise McAllister, spokojna i zrelaksowana, siedziała bez ruchu przy zielonym stoliku w jednej z *salles privées* przy Duke Street 33 - małym, ale doskonale urządzonej kasynie, jednym z tych, które jak grzyby po deszczu wyrastały ostatnio w Londynie. Od koniuszków wypielegnowanych, choć nie pociągniętych lakierem paznokci, aż po proste, lśniące włosy, była całkowicie nieruchoma. Jej jedwabna sukienka nie rzucała się w oczy, a jednak doskonale podkreślała kształty ciała. Przycupnięty w spokojnym zakątku Mayfair, nieoznaczony żadnym szyldem klub mieścił się wprawdzie w osiemnastowiecznej kamienicy, ale pod każdym innym względem był w pełni klubem z dwudziestego pierwszego stulecia. Za barem stał młody, seksowny „miksolog” - syn starej prawniczej rodziny, który zbuntował się przeciw tradycji i ku przerażeniu rodziców postanowił iść przez życie, mieszając drinki.

Wystrój wewnątrz był bardzo awangardowy, trochę w stylu Wil-ly'ego Wonka. Kiedy Elise odkryła to miejsce, natychmiast oczarowało ją nastrojem i atmosferą zabawy, którą emanowało tu wszystko, od maleńkich lampek przyczepionych do gipsowych stiuków na suficie, przez kryształowe umywalki w toaletach, aż po długi, pokryty zamszem w kolorze głębokiego fioletu bar. Od razu zapłaciła niezwykle wygórowaną kwotę za kartę członkowską. Jej zachwyty wzrosły jeszcze, kiedy pierwszy raz w życiu wygrała tu w pokera. Dziesięć tysięcy funtów. Przypomniała sobie tamtą chwilę teraz,

kiedy patrzyła na cztery osoby przy stoliku. Pan Żywopłot, siedzący naprzeciw niej, już spasował, podobnie jak Dziedziczka po jego lewej stronie. Przewiska, które Elise nadawała swoim przeciwnikom, inspirowane były sposobem, w jaki grali, strzępami informacji, jakie udało jej się na ich temat uzyskać, albo po prostu wyglądem. Pozwalało jej to postrzegać ich nie jako ludzi z krwi i kości, a bardziej chodzące karykatury, zbiory specyficznych zachowań i osobliwych przyzwyczajzeń.

Aktor, postawny, przystojny mężczyzna po prawej stronie Elise, którego nie doceniła, kiedy pierwszy raz się na niego natknęła, ponieważ jego talent aktorski ujawniał się bardziej przy pokerowym stoliku niż w telewizji, wymruczał coś po nosem i rzucił karty na stół.

- Pas.

Odchylił się na oparcie krzesła, przez chwilę szukał czegoś w kieszeniach, aż w końcu wyjął chusteczkę i hałaśliwie wydmuchał nos. Dziedziczka skrzywiła się z niesmakiem. Pan Żywopłot uśmiechnął się i poruszył lekko na krześle, żeby lepiej widzieć jej dekolt. Elise jednak nie zwracała na nich uwagi, bo kiedy tylko Aktor spasował, skupiła się wyłącznie na jedynym pozostałym przeciwniku.

Wróbel (nazwany tak z uwagi na szybkie, kanciaste ruchy i sposób, w jaki przekrzywił głowę) zajrzał w swoje karty, a potem wbił wzrok w te wyłożone na stół. Elise uśmiechnęła się do siebie. Przestań udawać, że obliczasz swoje szanse, pomyślała. Na tym etapie gry doskonale wiesz już, co masz, a czego nie masz. Do rozdania została tylko jedna karta. Elise wiedziała, że siedem kart da jej możliwość wyjścia „z ręki”. Mogła mieć strita albo kolor. Albo nic, jeśli szczęście jej nie dopisze. Rozdajacemu zostało trzydzieści osiem kart. Szanse, że otrzyma jedną z tych siedmiu, nie były wielkie, ale i nie najmniejsze. Wszystko jednak zależało od tego, co miał Wróbel.

Kiedy tak spoglądali na siebie nad stołem, Elise przypomniała sobie to, co często mawiała Anoushka, gdy grywały w pokera. Dla Elise te wspólne wieczory stały się rodzajem ucieczki, czasem, kiedy mogła koncentrować się tylko na grze i zapomnieć o wszystkim innym. Anoushka, z tym swoim wschodnioeuropejskim akcentem,

powtarzała jej wtedy jak mantrę: „W każdej rozgrywce jest głupiec i złodziej. Nie bądź głupcem, Elise; i nie bój się być złodziejem”. Nie bój się być złodziejem. Elise wiedziała, że sprowadzenie pokera do tej jednej prostej zasady to wielkie uproszczenie - niektórzy gracze stawiali wysoko i sprawdzali śmiało; inni grali spokojniej, ostrożniej, jeszcze inni - zupełnie beznamiętnie, wyłączając zmysły i intuicję, a opierając się wyłącznie na rachunku prawdopodobieństwa. Na końcu każdej gry zawsze był wszakże zwycięzca i pokonany. Głupiec i złodziej. Elise obrzuciła swojego przeciwnika długim, chłodnym spojrzeniem. Kim jesteś? - pomyślała. Głupcem? Nie, prawie na pewno nie, skoro dotarł aż do tego etapu gry. Lecz czy złodziejem? Wróbel wytrzymał jej wzrok przez chwilę, potem jednak zamrugał i spuścił oczy, a jego ramiona lekko zeszywniały. Tak! To na ten znak czekała.

- Podbijam, dziesięć tysięcy - powiedziała i pchnęła stertę żetonów na środek stołu.

- Sprawdzam - odparł natychmiast bez cienia emocji i dołożył swoje żetony do tych, które leżały już na środku.

Rozdający płynnym ruchem odwrócił ostatnią kartę.

- Królowa kier.

Elise pochyliła się nad stołem i zgarnęła całą pulę.

W małym pokoju pełnym ekranów, w suterenie budynku, w którym Elise właśnie szła wymienić żetony na gotówkę, kierownik ochrony odchylił się na oparcie krzesła, pełen podziwu.

- Ona jest dobra - powiedział. - Naprawdę dobra.

Była to największa pochwała, biorąc pod uwagę, że wyszła z ust człowieka, który spędził całe dekady w takich pokoikach, w hotelach, klubach i kasynach całego świata, czuwając, by nikt nie oszukiwał w prywatnych grach toczących się o bardzo wysokie stawki. Widział, jak Chris Moneymaker, który pojawił się nie wiadomo skąd, zdobył puchar; jak Amarillo Slim wyłuskał z kieszeni Larry'ego Flynta prawie dwa miliony dolarów; jak najlepsi gracze wygrywali i przegrywali, a zawrotne sumy krążyły między nimi tam i z powrotem jak piłka na meczu tenisowym. Jego zdaniem kobieta, którą jeszcze przed chwilą obserwował, dorównywała im, a niektórych nawet przewyższała umiejętnościami.

Był w niej chłód charakterystyczny dla prawdziwych zawodowców - oni zdają się mieć serca wykute w bryle lodu i potrafią zachować spokój mimo potężnych strat i nigdy nie okazywać emocji. Często siadają przy zielonym stoliku, ale nigdy nie są uzależnieni od hazardu i nie grają gorączkowo, jak ci, którymi kierują impulsy czy żądza zysku. Widział, jak ta kobieta zapanowała nad grą, spokojnie, subtelnie, z wdziękiem. Zdołała poruszyć nawet serce starego cynika, który widział już wszystko, a nawet jeszcze więcej.

Klucz Elise na moment zaklinował się w zamku; poruszyła nim delikatnie i po chwili ciężkie drzwi do apartamentu ustąpiły. Weszła do środka. Po przeciwległej stronie znajdowały się długie, sięgające od podłogi do sufitu okna z widokiem na rzekę. Penthouse mieścił się w modnej dzielnicy Battersea. Było to eleganckie, nowoczesne mieszkanie w zaprojektowanym przez znanego architekta budynku. Wybrał je jej mąż. Miało wszystkie udogodnienia: duży hol z garderobą, kuchnię wyposażoną w szafki ze stali nierdzewnej, które sprzątaczką codziennie polerowała oliwką dla dzieci, schowek na wino z regulatorem temperatury, wielkie, niemal przemysłowe zlewy. We wszystkich pomieszczeniach, oczywiście zdanie sterowanych, zamontowano system kwadro; sprawiał on, że dźwięk zdawał się dochodzić zewsząd. Nad wannami wisiały duże plazmowe telewizory. W mieszkaniu tym rzeczywiście było wszystko, wszystko, czego można zapragnąć. Ale Elise go nie cierpiała, nie cierpiała tego minimalistycznego wystroju, betonowych podłóg, metalowych drzwi i niekończących się szklanych tafli okien. Na ścianach wisiały dzieła sztuki nowoczesnej utrzymane w stylu, którego szczególnie nie znosiła - zimne, abstrakcyjne obrazy, bez cienia indywidualności i polotu. Były tylko pokazem technicznych umiejętności ich twórców. Elise nie widziała w ich eksponowaniu żadnego sensu - nie lepiej byłoby powiesić fotografie? Wchodząc do mieszkania, często czuła, jak całe jej ciało instynktownie się cofa, jakby chciało z niego uciec. A jednak nie uciekła. Danny. Danny ją tu trzymał. Rozejrzała się teraz po holu; na środku znajdowały się prowadzące na poddasze schody. Zrobiło jej się smutno i zimno. Upuściła

na podłogę błękitną torbę od Marca Jacobsa; metalowe sprzączki zabręczały cicho na kamiennej posadzce. Zrzuciła buty i boso przeszła do salonu. Zawsze żałowała, że nie może wymienić tych traktowanych jako lokata kapitału obrazów na zdjęcia z wakacji, oparte byle jak o książki i nieforemne kubki z gliny, które Danny robił na zajęciach w szkole. Idąc do kuchni, nie włączyła światła, było to zbyt skomplikowane. Zwykle przez przypadek wciskała niewłaściwy guzik i światło zalewało nagle całe mieszkanie. Zgłodniała, więc wyjęła z lodówki talerz z sushi, przygotowany dla niej przez Ines, nianię Danny'ego, stanęła przy otwartych drzwiczkach i zaczęła jeść.

I nagle zmartwiła. Co to?...

Powoli odwróciła się i spojrzała w głąb kuchni. Na wpół ukryty w cieniu, przy końcu długiego stołu o szklanym blacie, w milczeniu siedział Bill McAllister, ciągle w swojej białej, starannie wyprasowanej koszuli ze sztywnymi mankietami. Bill nie uznawał sportowego, nieformalnego stylu. Koniuszek cygara Montecristo zapalił się czerwono w ciemności; Elise usłyszała pełne niesmaku cmoknięcie. Bill powoli wypuścił dym kącikiem ust, nie patrząc na Elise, która sięgnęła ręką do włącznika. Kuchnia pojaśniała, a ją zalała fala ulgi.

- Jezu, Bill, chcesz, żebym umarła ze strachu?

Nie podniósł wzroku, tylko strzepnął popiół do popielniczki z lakierowanego drewna orzechowego. Elise naląła sobie kieliszek czerwonego wina i podeszła do stołu. Kiedy tylko wyczuła emanujący z Billa gniew, tworzący wokół niego niemal widzialną aureę, spięła się. Najwyraźniej nie czekał tu na nią po to, żeby spytać, jak minął jej dzień. Jego usta wykrzywił lekki grymas, patrzył na nią zimnym, twardym wzrokiem, co dziwnie nie pasowało do jego wyglądu chłopca z dobrego amerykańskiego college'u. Elise wyciągnęła rękę i potarła lekko jego ramię.

- Cześć - powiedziała łagodnie.

- Wiesz, z jakiej pochodzę rodziny, prawda, Elise? - spytał oschle.

Zaśmiała się, zaskoczona raczej niż rozbawiona.

- Mam o tym pewne pojęcie.

- I pamiętasz o swoim synu? O Dannym, lat sześć, który śpi teraz na górze? Jest także moim synem, jeśli chodzi o ścisłość, i jedynym wnukiem moich rodziców.

- Tak, Bill.

Do czego on zmierza?

- Chłopiec został wyrwany z bliskiego mu świata; ciągle stara się przystosować do nowej szkoły i każdego dnia pyta o braciszka albo siostrzyczkę.

- Rozmawialiśmy już o tym i...

- Zgadza się - przerwał jej Bill, podnosząc rękę. - Zaczęliśmy

o tym rozmawiać cztery lata temu. Nie chciałaś wtedy drugiego dziecka, nie byłaś gotowa. Źle znosiłaś ciężę.

Wiedziałem o tym,

i zaakceptowałem to. Czekałem. Potem wyprowadziliśmy się z Nowego Jorku i znowu nie był to odpowiedni moment. Tak, to także zaakceptowałem. Nie chciałem wywierać na ciebie presji. Jezu, o jakiej presji można mówić w przypadku osoby, która nie pracuje, ma niańkę, ma wszystko? - W jego głosie brzmiała nuta goryczy. - Teraz, kiedy już się tu zaaklimatyzowaliśmy, nadszedł właściwy moment. Ale ty zwlekasz. Nie chcesz ze mną sypiać. Bóg jeden wie, kiedy ostatnio uprawialiśmy seks. Znowu próbowałem zaakceptować to, że każde małżeństwo przechodzi przez różne fazy, różne etapy. Jestem człowiekiem wyrozumiałym. Myślałem, że wszystko jakoś się ułoży. A potem...

Elise wstrzymała oddech.

- Co potem, Bill? - spytała po chwili.

- Potem odkryłem, dokąd wychodzisz wieczorami. Spojrzała na niego.

- Wychodzę na kolacje z przyjaciółmi, kiedy ty musisz zostać dłużej w pracy. Chodzę też do klubu książki, przecież wiesz.

- Dziwka! - krzyknął. Jego głos odbił się echem od ścian. - Kłamliwa dziwka!

- Bill...

- Dzisiaj, Elise, dzisiaj nie byłaś na kolacji ani w klubie książki. Stanowią tylko pretekst, by jak najmniej czasu spędzać w tym domu, prawda?

Elise wzięła głęboki oddech. Uspokoiła się.

- Nie, dzisiaj nie. Byłam w innym klubie.

- Wiem, gdzie byłaś. Poszedłem za tobą.

- Śledziłeś mnie? Jak śmiałeś, Bill! Czy ja nie mam prawa... Gwałtownie odsunął krzesło i gwałtownie uderzył pięścią

w stół. Elise wzdrygnęła się lekko. Cygaro spadło na podłogę. Przez chwilę zastanawiała się, czy zostawi ślad na kafelkach.

- Nie, nie masz prawa. Do niczego nie masz prawa, ty głupia dziwko. Jak śmiem? Chcę, żebyś była tutaj, w domu. Chcę, żebyś była moją żoną i przyzwoitą matką dla naszego syna, i, tak, chcę, żebyśmy mieli drugie dziecko.

Przychodzisz do domu o drugiej nad ranem jak kurwa, skradasz się po kuchni, bo do późna w nocy siedziałaś w jakimś ohydny, pieprzonym klubie i grałaś w karty. Do diabła, Elise, naprawdę masz klasę, wiesz o tym?

Milczała. Kiedy Bill tak się wściekał, zawsze zastanawiała się, czy lepiej nic nie mówić, kłócić się z nim czy spróbować go udobruchać. Opcja numer dwa odpada, zdecydowała. Siedział tu zapewne od wielu godzin i zdążył się nakręcić. Hodował swój gniew, karmił go i pieścił, tak jak tę szklanekę whisky.

- No, powiedz coś. Powiedz, dlaczego nie miałbym cię po prostu wyrzucić. Twoje życie nie jest ciężkie, prawda, Elise? Nie musisz pracować na te ładne sukienki i buty, które tak lubisz. Nie musisz harować jak wół, żebyśmy siadali przy zastawionym stole, prawda? Odpowiedz, do cholery! - wrzasnął, a jego twarz wykrzywiła złość.

- Nie. Nie muszę.

Uśmiechnął się i podszedł do niej. Dotknął miękkiego szyfonu przy dekolcie sukienki. Elise stała bez ruchu. Była w tym dobra. To w domu nauczyła się tej techniki, która okazała się tak pomocna przy pokerowym stoliku.

- Przepuszczasz moje pieniądze w pokera? O co chodzi, Elise? Myślisz, że nie pracuję zbyt ciężko? A może uważasz, że trzeba mi pomóc pozbywać się pieniędzy, które zarabiam?

Pokręciła głową.

- Wielu ludzi uznałoby, że ci się powiodło, nie sądzisz? Masz piękne mieszkanie... - Teraz mówił cicho, muskając dłonią materiał sukienki na jej brzuchu. A potem jednym ruchem podciągnął sukienkę do góry. Drugą ręką dotknął jej szyi i pogładził ją lekko. -

Szafy pełne markowych ubrań. Kolczyki z brylantami. Ślicznego małego synka, śpiącego w swoim pokoju. Niewinnego. Szczęśliwego. Bezpiecznego. - Stał teraz bardzo blisko niej. Czuła bijące od niego ciepło, gorący oddech muskał jej ucho.

Odwróciła głowę.

- Nie, nie, Elise. Patrz na mnie.

Spojrzała więc na jego twarz. Teraz malował się na niej wyraz triumfu, co było jeszcze gorsze niż wściekłość. Wyraźnie rozkoszował się swoją władzą. Elise zalała fala rozpacz. Nigdy nie zdoła odejść. Jest w pułapce, w pułapce miłości do syna, i zostanie w niej na zawsze.

Bill pchnął ją brutalnie na metalową szafkę. Krzyknęła z bólu, uderzając ramieniem o ostry kant. Gdy zaczął rozrywać jej bieliznę, myślała o czasach, kiedy śpieszyła się do domu, żeby być z nim, kiedy czekała z utęsknieniem, aż wróci z pracy i będzie mogła się do niego przytulić. Teraz, gdy chwycił ją za włosy i odchylił jej głowę w tył, wchodząc w nią szybko, gwałtownie, przypominała sobie dzień, w którym powiedziała mu, że jest w ciąży, a on, z takim dziwnym wyrazem twarzy, chwycił ją za ręce i przysięgał, że będzie najlepszym ojcem, najlepszym mężem, jakiego mogłaby sobie wymarzyć, i że nigdy, nigdy nie pożałuje, że za niego wyszła.

A kiedy zadrżał konwulsyjnie, skończył i w końcu ją puścił, pomyślała o wszystkim, co się wtedy wydarzyło, po czym odwróciła się i wyszła szybko, żeby nie zobaczył jej łez.

Bill stał samotnie w kuchni z rękami w kieszeniach. Przydeptał rzucone na podłogę cygaro i nalał do szklanki whisky. Ktoś to jutro posprząta. Cholera. Nie lubił tracić panowania nad sobą, nie lubił zachowywać się tak wobec żony. Te sceny nie sprawiały mu przyjemności. Ale ona znowu go sprowokowała. Przejrzał pocztę, leżącą na drugim końcu stołu, i jego uwagę przyciągnęło lśniące czarne pudełko z napisem „Pani i Pan McAllister”. Zaintrygowany wziął je do ręki i przesunął palcem po literach, zastanawiając się, kto mógł im przysłać coś tak niezwykłego.

Na górze Elise stała w drzwiach sypialni Danny'ego i patrzyła na drobne ciało rysujące się pod kołdrą. Lampka nocna rzucała na pokój słabe błękitne światło. Widok śpiącego syna uspokoił ją, do-

dał jej sił. Wszystko inne zeszło nagle na dalszy plan. Przesłała mu pocałunek i odwróciła się, żeby wyjść. W tej samej chwili Danny się poruszył.

- Mamusiu?

- Ćśś, kochanie. Śpij.

- Opowiedz mi jakąś historię.

Uśmiechnęła się i przyklękła przy jego łóżku. Wygładziła haftowaną w zwierzęta pościel; był na niej cyrkowy namiot w biało-czerwone pasy i tańczący koń. Danny uwielbiał cyrk i spał zwykle wtulony w pluszowego klauna - wiele dzieci boi się klaunów, dostrzega coś złowieszczego w ich pomalowanych na biało twarzach i rozciągniętych w szerokim uśmiechu ustach, ale Danny za nimi przepadał. Mówił, że jest przy nich szczęśliwy, i Elise zupełnie to wystarczało. Pokój syna był jedynym miejscem w całym domu, w którym czuła się swobodnie. Nawet Billowi nie przyszło do głowy, by ten pokój urządzić w duchu minimalizmu.

- Którą?

- O baloniku. O tym, jak balonik poleciał do cyrku. Powieki same mu opadały, ale dzielnie walczył ze snem.

- W takim razie zamknij oczy, bo inaczej magia nie zadziała. Zamknął je i leżał z poważną, skupioną twarzą.

- Świetnie. Pewnego dnia wróciłeś ze szkoły i poszedłeś na górę zdjąć mundurek. A kiedy już złożyłeś go równo i schowałeś do szafy, jak przystało na grzecznego chłopczyka...

Danny zachichotał.

- Tak jak przystało na grzecznego chłopczyka, bo chciałeś sprawić mamusi przyjemność... więc kiedy już to zrobiłeś, poszedłeś do ogrodu pobawić się, a tam unosił się w powietrzu duży, piękny czerwony balonik. Skąd się tam wziął? Wyciągnąłeś rączkę i chwyciłeś za sznurek. Poczujesz szarpnięcie, najpierw lekkie, potem mocniejsze... A ty trzymałeś za sznurek, trzymałeś bardzo mocno, i balon zaczął się powoli unosić, zabierając cię ze sobą... Śpij teraz, Danny, mój kochany Danielu...

Rano Elise wstała o zwykłej porze i zaczęła przygotowywać śniadanie. Płatki zbożowe, sok pomarańczowy, tost dla Danny'ego.

Kawa i tosty dla niej i dla Billa. A potem nagle znieruchomiała. Nie miała ochoty na śniadanie. Miała ochotę wyjść. Poszła do sypialni, w której ubierał się Bill.

- To koniec.

- Co?

- Dość. Mam dość. Chcę rozwodu.

Przestał zawiązywać krawat i spojrzał na nią w lustrze. A potem uśmiechnął się lekko.

- Nie bądź głupia.

- Głupia? Ubiegłej nocy...

- Tak, przykro mi, że się pokłóciliśmy. - Włożył marynarkę i poprawił kołnierzyk.

- Pokłóciliśmy? Bill, pokłócić się można o to, gdzie pojechać na Boże Narodzenie, albo o coś, co powiedziała twoja matka. Ty mnie zgwałciłeś. To nie jest...

Nie zdążyła dokończyć, bo Bill złapał ją za podbródek i zbliżył do niej swoją twarz.

- Nie mów tak. Nigdy więcej tak nie mów.

Zaciskał palce na jej policzkach. To bolało. Elise stała bez ruchu.

- Nie rozwiedziemy się. Rozumiesz? Nie pozwolę na to. A jeśli ty spróbujesz, zniszczę cię. Postaram się, żeby Danny został ze mną, a ty będziesz mogła go widywać wtedy, kiedy ci na to pozwolę.

- Nie zrobisz tego.

- Wierz mi, zrobię wszystko, żebyś nie odebrała mi syna, więc przemyśl to sobie, Elise, dobrze to sobie przemyśl - i puść ją. - Zawiozę Danny'ego do szkoły. Może jeszcze się zdrzemniesz? Wydajesz się zmęczona. Przyda ci się dzień odpoczynku.

- Wybieram się na spotkanie komitetu, który organizuje bal w Crown.

Bill wzruszył ramionami. Znowu był spokojny, jakby nic się nie stało.

- Aha, jeszcze jedno. Nie planuj nic na 15 października. Zostaliśmy zaproszeni na coś, co na pewno bardzo ci się spodoba. Później ci wszystko opowiem. - Uśmiechnął się do niej, i pomachał wychodząc z pokoju.

Zupełnie normalny poranek. Zupełnie normalny dzień. Elise zaczekała, aż trzasną zamykane drzwi, a potem położyła się na łóżku i się rozplakała.

W drodze na spotkanie komitetu Elise mijała sklepy, do których kiedyś przysłała listy prezentów ślubnych. Wysłała za Billa w Nowym Jorku, ale choć główna lista trafiła do Bergdorf Goodman, inne zostały wysłane także do Londynu, Los Angeles i Paryża, by ułatwić zadanie gościom. Elise nie chciała układać tych list, wolała dostawać przemyślane, osobiste prezenty albo nie dostawać nic - w końcu nie brakowało im pieniędzy na urządzenie domu - ale jej przyszła teściowa uznała jej propozycję za „nie do pomyślenia”. Elise przeglądała więc pracowicie katalogi, wybierając gustowną porcelanę, kryształowe kieliszki i marmurowe deski do krojenia - jedynym prezentem z listy, który naprawdę sprawił jej przyjemność, był ekspres do kawy - komplety pościeli z najdelikatniejszego lnu, zestaw skórzanych toreb podróżnych z metalowymi zamkami i sprzączkami, których waga jeszcze przed spakowaniem przekraczała samolotowy limit, karafki na whisky, której nie znosiła, ale Bill nauczył się ją lubić, bo uważał, że tak trzeba... Te prezenty za grube pieniądze świadczyły głównie o zasobności portfeli obdarowujących. W żadnym z nich nie było nic osobistego. Elise wątpiła, czy zdoła zapamiętać, kto co im dał, dopóki nie przypomniała sobie o oprawionym w skórę notatniku, który dostała od matki Billa właśnie w tym celu.

- Notuj każdy prezent, kiedy tylko zostanie przysłany, obok zaznacz, czy wysłałaś list z podziękowaniem. Będzie to piękna pamiątka - powiedziała z uśmiechem na wąskich wargach, wręczając go Elise podczas „babskiego lunchu” w Le Cirque.

Kiedy teraz myślała o swoim małżeństwie, miała wrażenie, że Bill i jego rodzina próbowali ją kontrolować niemal od dnia oświadczyn. Podczas podejmowania różnych decyzji, choćby tak błahych jak wybór sposobu nakrycia weselnego stołu, Elise usiłowała przeforsować swoje zdanie, nigdy jej się to jednak nie udało. Skończyło się na tym, że wszystko było bardzo poprawne, właściwe i zgodne z życzeniami Billa, jego rodziny, a zwłaszcza matki, Bibi McAllister III. Wszystko poza suknią ślubną Elise.

Trzydzieści lat wcześniej, w 1995 roku, Elise leżała na kanapie przy wychodzącym na morze oknie i spoglądała na swoją lewą dłoń, właśnie przyozdobioną pierścieniem zaręczynowym z dużym brylantem. Poruszyła powoli ręką w prawo i w lewo i patrzyła, jak mniejsze brylanciki odbijają blask większego kamienia. Pierścionek - pamiątka rodzinna, gdyż należał do babki Billa - wydawał się trochę za duży na drobnej dłoni Elise. Był piękny, bez wątpienia budził podziw; brylanty rzucały migotliwe błyski, a sam rozmiar największego z nich przyciągał uwagę. Elise nie wiedziała, dlaczego przestała gestykulować, kiedy z kimś rozmawiała, i nabrała zwyczaju chowania rąk pod stołem albo przykrywania pierścionka palcami.

Oderwała wzrok od klejnotu i spojrzała na migotliwe morze. Przed nim ciągnęły się wydmy i prowadziła prywatna droga do posiadłości, letniej rezydencji McAllisterów, zarazem jednego z najlepszych adresów w East Hampton. Był to jedyny z należących do nich domów, w którym Elise czuła się swobodnie. Apartament w Upper East Side na Manhattanie wydawał się zbyt oficjalny, a w rodzinnej siedzibie w Connecticut panowała atmosfera powagi kojarzącej się z pogrzebem. Najbardziej liczyły się maniery i etykieta. Pogodny nastrój natomiast do priorytetów nie należał. Elise przywykła do wygodnego życia, ale nie na takim poziomie. Była przyzwyczajona do swobody, spontanicznego wyrażania uczuć i zdecydowanie mniejszej liczby zakazów i nakazów. Och, cóż, każda młoda mężatka musi się do czegoś przystosować, pomyślała. Na bikini w biało-granatowe paski włożyła krótką plażową sukienkę z cienkiego białego materiału, żeby chronić swoją jasną skórę przed oparzeniem słonecznym („Nie chcemy przecież, żebyś miała w kościele czerwony nos albo przebarwienia, prawda?”) i poszła poszukać Billa.

Znalazła go na kortach tenisowych. Był spocony i zaczerwieniony i miał poważną, skupioną twarz. Patrzyła, jak raz za razem odbija piłkę. Zawsze dokładnie, celnie, pewnie, jak przystało na kogoś, kto przez całe dzieciństwo mógł uprawiać ten, jakże towarzysko przydatny, sport, z najlepszym sprzętem i najlepszymi instruktorami. Widać było też, że nie brak mu determinacji. Brakowało mu za to trochę lekkości, ale czy to ważne, jeśli ktoś ma tyle chęci i możliwości co Bill?

Lekcja z trenerem dobiegła końca i Bill podszedł do Elise, która stała za krawędzią kortu. Otarł twarz ręcznikiem i uśmiechnął się szeroko.

- Widziałaś? Raz, raz, raz - podkreślił każde słowo szybkim ruchem rakiety.

- Widziałam, kochanie. Dobra robota.

- Głodna? Pomyślałem, że moglibyśmy pójść do klubu. W głębi duszy Elise jęknęła.

- Tak? A ja pomyślałam, że moglibyśmy zostać tutaj. Podeszła bliżej, oparła się o niego całym ciałem i lekko musnęła

jego usta wargami. Poczowała, jak jego ciało natychmiast na to zareagowało.

- Hmm. Przekonałaś mnie.

Wziął ją na ręce i zaniósł do domu, zostawiając swój sprzęt do tenisa na korcie. Ktoś się tym przecież zajmie.

Później, gdy leżała w wannie i patrzyła, jak Bill się goli, pochwyciła jego spojrzenie w lustrze. Puścił do niej oko.

- Bardzo mi się tu podoba, Bill.

- Cieszę się. Jako dzieciak co roku spędzałem tu lato. Piękne to były czasy. - Uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że pewnego dnia nasze dzieci będą miały takie same wspomnienia. Gorące, leniwe popołudnia. Piłka na plaży. Tenis. Świeże powietrze.

- Wiesz, czego bym naprawdę chciała?

- Czego? - Zadarł brodę i wysunął do przodu dolną wargę, ostrożnie przesuwając brzytwą z kościanym uchwytem po skórze wokół jabłka Adama. Jak wiele z najcenniejszych rzeczy, które posiadał, brzytwa należała do rodzinnego dziedzictwa.

- Żebyśmy wzięli ślub tutaj, na plaży. A przyjęcie wydali w ogrodzie, przy basenie. I żeby nie było zbyt wielu gości.

- Powiedziała to bardzo szybko, a potem wstrzymała oddech. Sama nie była pewna, czy to właśnie chce powiedzieć, dopóki słowa nie wyszły z jej ust, ale kiedy się to już stało, poczuła, że rzeczywiście tego właśnie pragnie.

Skromnego ślubu, tylko dla rodziny (choć rodzina Billa do małych się nie zaliczała) i najbliższych przyjaciół... a potem może barbecue albo bufet w pięknym różanym ogrodzie koło domu?

Bill roześmiał się i szerokim pędzlem z szarego włosia nałożył na twarz jeszcze trochę kremu do golenia. Na chwilę zapadła cisza.

- Mówię poważnie.

- Nie bądź śmieszna, kochanie.

- Dlaczego uważasz, że to śmieszne? - zachnęła się Elise. - To wszystko wymknęło się spod kontroli. Już nie chodzi o nas, tylko

o twoją rodzinę i jej towarzyskie zobowiązania. Trzech czwartych zaproszonych gości w ogóle nie znam. Tak jak nie znam większości osób zaproszonych na przyjęcie zaręczynowe. Nie lubię nawet jednej z moich druhen! - Na jej policzki wypłynął rumieniec. Nagle zdała sobie sprawę, jak prawdziwe są wypowiedziane impulsywnie słowa, choć czuła też, że może źle zabrzmiały.

- Kogo? Kogo nie lubisz? Elise przymknęła oczy.

- Och, to takie głupie. Twojej kuzynki.

- Marli? A dlaczego, na litość boską, nie lubisz Marli? Od pierwszego dnia okazywała ci tylko szczerą życzliwość. Nieprawda, ale Elise postanowiła teraz tego nie roztrząsać.

I tak powiedziała już za dużo.

- Przepraszam. Zostawmy to, zapomnij, że w ogóle coś mówiłam.

- Jak niby mam o tym zapomnieć? Moja rodzina i ja wiele miesięcy planowaliśmy to wspaniałe wesele. Nie wspominając już o tysiącach, dziesiątkach tysięcy dolarów, które będzie kosztowało. Weźmiemy ślub w katedrze Świętego Patryka, jednym z najpiękniejszych i najważniejszych kościołów w mieście, jeśli nie w kraju. A Plaża to najdroższy i najbardziej ceniony lokal w Nowym Jorku.

- Wiem, wiem. - Elise wyszła z wanny i owinęła się grubym ręcznikiem. - Będzie fantastycznie, na pewno. I wiem, ile to wszystko kosztowało pracy. - Dotknęła jego ramienia, ale strząsnął jej dłoń.

- Ludzie przychodzą, by obsypać cię prezentami, Elise, by powitać cię w mojej rodzinie. Moja matka przez wiele godzin to organizowała. A poza tym obawiam się, że ślub i wesele na tę skalę to naprawdę sprawa państwa młodych. Nie wolno nam zapomnieć o towarzyskich zobowiązaniach. - Bill wklepał w twarz wodę ko-

łońską i poszedł do sypialni wybrać koszulę. - To coś, czego będziesz musiała się nauczyć.

Elise podażyła za nim. Popełniła błąd, wyskakując z czymś takim. Czuła, że była niewdzięczna, i została skarcona. Przecież jej ślub będzie jednym z wydarzeń roku.

- Nauczę się. I... i jestem bardzo wdzięczna twojej matce za to, co dla mnie robi.

Twarz Billa złagodniała.

- Wiem, że pochodzisz z innego środowiska, więc to wszystko musi ci się chwilami wydawać przytłaczające. Nie ma w tym nic złego. Zawsze ci pomogę, jeśli będziesz tego potrzebowała.

Zapiął spinki u mankietów i spojrział na zegarek.

- Chodź, nie możemy się przecież spóźnić na tę kolację. Van Hassettsowie chcą nas przedstawić Spielbergom.

Tego wieczoru pierwszy raz poważnie się pokłócili. Bill, trochę jeszcze podminowany po sprzeczce o ślubne plany, zachowywał się z rezerwą. Przybyli do domu Van Hassettsów punktualnie, choć Bill twierdził z uporem, że będą spóźnieni, i wmieszali się w tłum gości. Elise, uprzejma i czarująca, gawędziła z panią domu, podziwiając przebudowany niedawno basen i zachwycając się zakąskami. Bill wydawał się z niej zadowolony, dumny nawet, i wszystko układało się jak najlepiej. Ale to się zmieniło, kiedy, zgodnie z zapowiedzią, zostali przedstawieni Stevenowi Spielbergowi i jego żonie, aktorce.

Bill objaśniał im właśnie swoją teorię na temat formacji baseballowych, kiedy sławny reżyser spojrział na Elise.

- Sylvester. Nie jest pani chyba spokrewniona z Pete'em Sylve-strem?

- Owszem, jestem. To mój ojciec - Elise uśmiechnęła się z dumą.

Bill z trudem powściągnął grymas. Ojciec Elise, kaskader, nie był kimś, o kim chciałby rozmawiać. Uważał go za człowieka nieodpowiedzialnego, nieobliczalnego. Facet nie miał nawet własnego domu, tylko krążył po świecie od jednego planu filmowego do drugiego, skakał z pędzących samochodów w sztuczny ogień jak jakiś nastolatek, podczas gdy skończył już sześćdziesiąt dwa lata.

- Jest pani do niego podobna. Takie same włosy.

- Złościły mnie, kiedy byłam mała - zaśmiała się Elise. - Zbyt gęste, zbyt niesforne, no i nie blond. Doprowadzałam tatę do szału, usiłując go nauczyć zaplatać warkocz francuski.

Gdy Elise rozmawiała ze Stevenem Spielbergiem o filmach, w których grał jej ojciec, branzowych plotkach i wspólnych znajomych, Bill coraz bardziej się irytował. A później, w samochodzie, kiedy wracali do domu, powiedział bez ogródek, jak się czuł.

- Nie sądzę, żeby to było właściwe, wspominać o twoim ojcu na takich przyjęciach. Wiem, że go kochasz, i to dobrze, ale to nie jest ktoś, z kim powinienem być kojarzony na tym etapie kariery, nie uważasz? Poza tym nigdy nie można na nim polegać. Atmosfera skandalu otacza go jak brzydki zapach. Lepiej, żeby nie należał do kręgu naszych przyjaciół, kiedy już się pobierzemy.

Elise słuchała tego, oszołomiona, i w końcu wybuchnęła.

- To on o nim wspomniał! To on mnie o niego zapytał! I co, miałam może skłamać? Musisz zrozumieć jedno, Bill, ja nigdy nie wyprę się mojego ojca, nigdy. Wychował mnie sam. Dał mi wszystko. Jest dobrym człowiekiem, kocham go, a jeśli ty jeszcze kiedykolwiek wyrazisz się o nim tak, jak przed chwilą, odejdę i już nigdy nie wrócę.

Bill milczał.

- I jeszcze coś: to on poprowadzi mnie do ołtarza na naszym ślubie...

Bill otworzył usta.

- Albo żadnego ślubu nie będzie. I zaraz je zamknął.

Ślub się odbył, sześć miesięcy później. Pan i panna młoda zawarli wcześniej kilka kompromisów. Elise kroczyła więc główną nawą katedry Świętego Patryka u ramienia dumnego ojca, który uśmiechał się od ucha do ucha, tak przystojny w swoim smokingu jak sam James Bond.

Elise rozkoszowała się wyrazem twarzy matki Billa, kiedy ta zobaczyła jej ślubną kreację. Zamiast prostej sukni od Very Wang albo Oscara de la Renty - do czego namawiała ją Bibi - Elise w ta-

jemnicy przed wszystkimi poszła do młodego projektanta, o którym nikt jeszcze nie słyszał i który z całą pewnością nie należał do nowojorskiego establishmentu. Suknia miała gorset z grubego jedwabiu, w którym talia Elise wydawała się jeszcze węższa, obciągnięty delikatną koronką w kolorze kremowym, lekko tylko wpadającym w róż. Spódnica z przodu opadała miękkimi fałdami do ziemi, a z tyłu miała jaskraworóżowy długi tren. Jedwabne kwiaty umieszczone w fałdach materiału prześwitywały przez koronkę. Kilka warstw tiulu sprawiało, że spódnica miała kształt litery A, była jednak odpowiednio wąska, by podkreślać smukłe biodra i zgrabne nogi panny młodej. A długi welon, przypięty do jej włosów nie tiarą z pereł, jak chciała Bibi, lecz klamrami zdobnymi w diamenty i pióra, opadał na ziemię kremową mgłą, przesłaniając różowy tren. Była to kreacja jednocześnie elegancka i ekscentryczna. Kiedy dotarli przed ołtarz, gdzie czekał już Bill, Elise puściła ramię ojca. Pete pocałował ją w policzek i cofnął się. Katedra była pełna ludzi, przede wszystkim krewnych i współpracowników Billa, Elise postarała się jednak, by grono jej znajomych i przyjaciół jej ojca także było licznie reprezentowane. Jego koledzy po fachu, kaskaderzy, wydawali się dziwnie szerocy w ramionach i ogorzali przy przedstawicielach amerykańskiej klasy wyższej, koleżankach i kolegach z biura rachunkowego, w którym pracowała Elise, i jej znajomych z kursu jogi. Podczas całej ceremonii Bill nie mógł od niej oderwać oczu. Był spokojny i skupiony, słowa przysięgi wypowiedział dźwięcznym, donośnym głosem, wsuwając na palec Elise wysadzaną brylantami obrączkę.

- Za Elise i Billa! - zawołał radosny chór głosów na sali balowej, wypełnionej ludźmi, kwiatami i śmiechem. Z piętnastu tysięcy róż, którymi udekorowano stoły i filary, unosił się upajający zapach. Ich płatki rozsypano także na śnieżnobiałych obrusach. Na sztywnych białych kartach dań widniał herb rodziny pana młodego - a samo menu składało się z sześciu potraw, najwyśmienitszych w *haute cuisine*. Przepiórki, homara, polędwicę wołową podawano z szampanem i kilkoma gatunkami najprzedniejszego wina. Bufet

serwował kilka różnych rodzajów deserów przygotowanych przez znanego mistrza cukierniczego.

Gdy wyszli na lśniący parkiet, by po raz pierwszy zatańczyć ze sobą jako małżonkowie, Elise pomyślała, że kiedy i to dobiegnie końca, będzie mogła wreszcie się odprężyć i trochę zabawić. Spojrzała w oczy Billa; orkiestra zagrała *It Had To Be You* i zaczęli tańczyć.

- Hej - szepnął Bill. - Pani McAllister. Piękna Elise. Dziękuję.

- Za co?

- Za to, że za mnie wyszłaś. Zamknęła oczy i oparła się o jego ramię.

- Och, cała przyjemność po mojej stronie, panie McAllister.

I w tej chwili, w jego objęciach, w tej pięknej sukni, pośród ludzi, którzy klaskali i dobrze im życzyli, naprawdę tak myślała.

Pete Sylvester leżał na plecach i patrzył na sufit sali balowej. Sufit ten uznał za niezwykle piękny, a niejeden sufit już w życiu widział. Nie mógł jednak przyjrzeć mu się dokładniej, bo zaraz zasłoniły mu go twarze córki i zięcia. Boże, jest naprawdę piękna, pomyślał. Nie pojmował, w jaki sposób ten zarozumiały McAllister zdobył jej serce i skłonił ją do małżeństwa. Wszyscy oni byli sztywni i zadzierali nosa. Lecz teraz na ślicznej buzi Elise malowały się ból i rozczarowanie. I to on był tego powodem.

- Jak mogłeś? Och, tato!

Bill pochylił się i postawił go na nogi. Sala zakołysała się, ale zaraz wróciła mu ostrość widzenia - czego niemal natychmiast pożałował, bo teraz wyraźnie widział pełne dezaprobaty twarze przyglądające mu się w groźnym milczeniu.

Wkrótce muzyka znowu zagrała, znowu rozległ się śmiech i rozmowy, i po chwili już nikt zdawał się nie pamiętać, że pijany ojciec panny młodej zatoczył się na stół i przewrócił na podłogę. Pete wiedział jednak, że jego córka tak szybko o tym nie zapomni; wiedział też, że nie może liczyć na żadną pomoc ze strony Billa. Zięć wprawdzie pomógł mu wstać, ale syknął mu przy tym do ucha:

- Pieprzony nieudacznik! Jesteś tylko brudnym, zapijaczonym Irlandczykiem, Sylvester. Wiedziałem o tym od początku, a teraz wiedzą to też wszyscy inni.

Gdyby Elise usłyszała wtedy takie słowa padające z ust męża, byłaby wstrząśnięta. Teraz już nie. Usiadła w oficjalnie urządzonym salonie wysokiej, wąskiej kamienicy w pobliżu Park Lane i przyjęła filiżankę miętowej herbaty od kamerdynera. W wystroju pokoju wykorzystano mnóstwo wzorów i kolorów. Na ścianach oklejonych pasiastą tapetą wisiały ohydne, utrzymane w brązowej tonacji obrazy, warte bez wątpienia tysiące funtów; okna przesłaniały ciężkie kotary. Przy dwóch końcach masywnego, marmurowego kominka stały dumnie orientalne wazony, a między nimi złoty zegar, z tarczą wysadzaną rubinami i poruszającym się wahadłem. W lustrze nad kominkiem Elise widziała odbicie tego upiornego wnętrza, klaustrofobicznego i przygnębiającego. Sięgnęła do talerza, wzięła jeden z różowych makaroników i zaczęła go skubać. Cały pokój był zastawiony małymi, niewygodnymi krzeselkami; siedziały na nich kobiety, które wyszły za najlepiej zarabiających, odnoszących największe sukcesy analityków giełdowych i prezesów wielkich koncernów.

Elise przypomniawszy sobie, że powinna wyglądać na miłą i bezpośrednią, uśmiechnęła się więc do kilku z nich jednocześnie, mając nadzieję, że przyjaźnie i niezobowiązująco. Boże, jak ona nie znosiła tych spotkań.

Inne kobiety w tym pokoju były żonami przez duże Ż, wszystkie takie zadbane, eleganckie i pewne siebie. Każda z nich chciała wyjść za bogatego mężczyznę, każda starała się osiągnąć ten cel i każdej się to w końcu udało. I tak jego pieniądze łączyły się z jej urodą. Kiedy umowa była już spisana i przypieczętowana wystawnym przyjęciem weselnym, wyjeżdżali w podróż poślubną, zwykle na jakąś prywatną wysepkę, gdzie jadali romantyczne kolacje przy świetle księżyca. Całymi godzinami ćwiczyli na siłowni, by ich doskonałe ciała stały się jeszcze doskonalsze, uważnie czytali „Financial Times” i „Economist”, żeby mieć o czym rozmawiać przy kanapkach na przyjęciach w City. Wszędzie, gdzie się znaleźli, prowadzili biznesowe rozmowy i nawiązywali użyteczne kontakty, a wszystko to robili niezwykle skutecznie i po to tylko, by zabezpieczyć i umocnić swoją pozycję społeczną i finansową. Elise czuła, że zupełnie tu nie pasuje.

Kim jednak jestem, by je oceniać, pomyślała. Sama nie była lepsza. One przynajmniej wiedziały, na czym im zależy, i o to walczyły; ona wszystko dostała przypadkiem i już miała tego dość. Wiele z tych kobiet posunęłoby się bardzo daleko, by wyjść za Billa. Niezbyt sympatyczne cechy jego charakteru zupełnie by im nie przeszkadzały; uznałyby z pewnością, że jego status społeczny i finansowy całkowicie je rekompensuje. A Elise, zupełnie nieświadomie, dostała to, co one starały się osiągnąć czasem całymi latami. Wszystkie były dla niej bardzo, bardzo miłe.

Zaproponowały, by chodziła z nimi na kurs pilates i do salonów piękności, gdzie poddawały się zabiegom pedikiuru i manikiuru, rozmawiając przy tym o stanie swoich płytek paznokciowych. Na myśl o tym Elise cierpła skóra.

Wiedziała, że zapraszają ją tylko dlatego, że należy to do ich obowiązków, które muszą wypełniać. Wizyta u kosmetyczki - zaliczone. Spotkanie komitetu zbierającego fundusze na to czy owo - zaliczone. Codzienna lekcja jogi - zaliczone. Seks raz na dwa tygodnie - zaliczone. Zaprzyjaźnić się z żoną szefa - zaliczone. Elise starała się odrzucać tyle zaproszeń, ile tylko mogła, ale nie było to łatwe. Żony wykazywały wielką determinację.

Gospodyni spotkania i zarazem najstarsza kobieta w pokoju, pięćdziesięcioletnia Toody Wills, która przeszła już niejeden lifting twarzy i ostrzykiwanie botoksem, zadzwoniła srebrnym długopisem w swoją szklanę. Usta miała pociągnięte perłową szminką, a włosy zebrane w dziewczęcy kucyk przewiązany wstążką. Uśmiechnęła się i odchrząknęła.

- Witam wszystkie panie. Zanim zaczniemy, przedstawię kilka spraw administracyjnych.

Wypowiedzenie każdego zdania zabierało Toody mnóstwo czasu, ponieważ akcentowała dobitnie każdą sylabę i co chwilę się uśmiechała. Jej idealnie równe, śnieżnobiałe zęby przywodziły na myśl rekina. Elise zacisnęła usta i skupiła uwagę na kartce z porządkiem obrad.

Spotkanie ciągnęło się niemiłosiernie. Największe ożywienie zapanowało wtedy, kiedy dwie panie zaczęły się sprzeczać o to, która z nich zna więcej sławnych osób, kogo może zaprosić. Elise przestała słuchać i zaczęła myśleć o tym, co zaplanowała na póź-

niej. Kupić kawę, odpowiedzieć na zaproszenia na kolacje i przyjęcia - czekały na jej biurku - zadzwonić do florystki...

- No, skończyło się, dzięki Bogu. Masz papierosa?

W słońcu, oparta nonszalancko o balustradę przed domem, stała bardzo urodziwa brunetka w kostiumie: krótkim żakiecie i szerokich spodniach. Włosy miała związane w luźny węzeł, spięty klamrą z diamentem. Elise pierwszy raz widziała ją na spotkaniu komitetu.

Kobieta wyciągnęła do niej rękę.

- Cordelia Templeton, kochana. A ty jesteś Elise. Mój mąż właśnie dołączył do Crown, więc jestem tu nowa.

- Zgadza się. Witaj, Cordelio.

- Mów mi Delly. Czy to nie było nudne? Nie znoszę takich nasiadówek. No ale jeśli się weszło między wrony... - mówiła dźwięcznym głosem, lekko stłumionym przez wydmuchiwany dym.

- Obawiam się, że tak.

- Od razu wiedziałam, że z ciebie pokrewna dusza. - Delly machnęła ręką z papierosem. - Powinnyśmy opracować plan bitwy. Masz ochotę na drinka? Ja już nie mogę się doczekać, kiedy się czegoś napiję.

Nim Elise zdążyła odpowiedzieć, Cordelia chwyciła ją pod ramię i ruszyła ulicą. Przez całą drogę do najbliższej winiarni usta jej się nie zamykały. Mówiła szybko i dowcipnie, a Elise pomyślała, że od dawna nie czuła się z nikim tak dobrze.

Zanim Elise dotarła do restauracji, gdzie miała się spotkać z Billem, jego dwoma klientami i ich żonami, wpadła jeszcze na chwilę do domu. Zrzuciła dzinsy i podkoszulek i włożyła czarną sukienkę z koronkowymi wstawkami, mały czarny żakiecik i zamszowe czółenka od Louboutina z odkrytymi palcami. Po spotkaniu z Delly miała wrażenie, jakby owionął ją nie lekki wietrzyk, ale wręcz porwał wichur. Poprawiła szybko makijaż, mocniej umalowała oczy i zebrała włosy w dość swobodny kok (po trzech kieliszkach szampana, na które namówiła ją Delly, miała pewne problemy z koordynacją ruchów). Potem ucałowała Danny'ego na dobranoc, uściskała Ines i ruszyła szybko do drzwi. Nie chciała spóźnić się na

kolację. Była już na progu, kiedy zadzwonił telefon. Zatrzymała się. Czy powinna odebrać? Do diabła, lepiej tak.

- Halo?

- Czy mogę rozmawiać z panem McAllisterem?

- Niestety, nie ma go w domu. Jestem jego żoną, może mogłabym pomóc?

- A, witam panią, pani McAllister. Mówi Seth Wharton. Dzwonię z banku Lenegan i Pearson - oznajmił młodo brzmiący męski głos.

Ellie w każdej chwili mogła wygłosić standardową formułkę: „Nie, nie potrzebujemy pożyczki, mamy już wystarczająco dużo kart kredytowych, wszyscy jesteśmy ubezpieczeni i nie myślimy o obciążeniu hipoteki”, najpierw jednak postanowiła odesłać go do Billa.

- Może się pan skontaktować z moim mężem przez komórkę; ma pan jego numer?

- Uh, tak, ale nie odbiera. Zadzwoniłem też do biura, Niestety dowiedziałem się, że wyszedł i dzisiaj już nie wróci.

Przepraszam, że zabrałem pani czas.

- Czy coś przekazać?

- Tak, proszę przekazać, że spłynęła już część zysku ze sprzedaży akcji, więc czekamy na dyspozycje, co zrobić z tą kwotą. To nam bardzo pomoże. Chyba że pani sama zechce nas poinstruować?

Elise odłożyła słuchawkę. Dziwne. Bill nigdy nie załatwiał takich spraw w domu. I nikt z banku nigdy nie dzwonił do niego na domowy numer. Jeśli ktoś nie mógł dodzwonić się do biura, zostawiał wiadomość albo pisał e-maila. I dlaczego ona miałaby ich instruować? Och, teraz nie czas się nad tym zastanawiać, później powie o tym Billowi.

Zapisała wiadomość, ale zamiast położyć kartkę obok telefonu, w pośpiechu wsunęła ją do torebki.

Kiedy siedzieli już w szóstkę przy stoliku w modnej restauracji hotelu Chesham, Elise myślała o minionym popołudniu. Delly uraczyła ją wieloma plotkami na temat firmy i jej pracowników, zaczynając od historii pewnej asystentki, która została zwolniona przed trzema miesiącami, po tym jak omyłkowo wysłała e-maila pełnego zjadliwych uwag o jej szefie „...do niego samego, kocha-

na, wyobrażasz sobie? Ale najgorsze, że oni mieli romans, a w tym e-mailu były różne, hm, bardzo osobiste szczegóły, których on wolał nie rozgłaszać. Oczywiście nie mógł powiedzieć, że dlatego ją zwolnił, więc wymyślił jakiś pretekst, a ona wtedy tak się wściekła, że wysłała ten e-mail do wszystkich pracowników firmy!" Potem Delly przeszła gładko do plotek krążących wokół pewnego handlowca, który zmarł w ubiegłym roku. „Samobójstwo, kochana, oczywiście rodzina wyciszyła sprawę. Facet poderżnął sobie gardło po tym, gdy żona nakryła go w łóżku z niańką". Elise dowiedziała się jeszcze co nieco o kilku innych żonach. „Nasza lady Lytham patrzy z góry na wszystkich, którzy nie mają tytułu, bo udało jej się złować starego lorda Timmy'ego, ale zanim włożył jej na palec obrączkę, była pospolitą Amy Brown. Zmieniła imię na Amelia, kiedy przestała pracować jako barmanka w pubie w jego posiadłości". Te historie Delly opowiadała teatralnym szeptem, mrugając znacząco i podkreślając swoje słowa wyrazistą gestykulacją. Elise natychmiast ją polubiła.

Kiedy kelner nalewał dom perignon do kieliszków (podawano go tu z tatarem z najlepszej wołowiny, przybranym żółtkiem jajka), Bill ścisnął pod stołem kolano Elise i uśmiechnął się do niej.

- Wydajesz się taka pogodna. Udany dzień? - Zauważył kosmyk wymykający się spod spinki i zmarszczył brwi, a potem wsunął go za jej ucho.

Elise szybko przygładziła włosy.

- Tak, dziękuję. Na spotkaniu komitetu było... fajnie. Właściwie nawet zabawnie. - Uśmiechnęła się do niego i upiła łyk szampana.

Bill był wyraźnie zaskoczony.

- Cóż, doskonale, doskonale. - Poklepał ją po ręce.

A potem, jak na komendę, ona odwróciła się w lewo, a on na prawo, by podjąć uprzejmą rozmowę z sąsiadami przy stole na tematy tak istotne, jak wyposażenie nowego modelu Aston Martina i trudności ze znalezieniem w Londynie dobrej pomocy domowej.

Szampan pienił się i musował; podano bliny z kawiozem.

Rozdział 14

Miesiąc później

Logan stał w ogrodzie na dachu hotelu Luksus. Było to jedno z jego ulubionych miejsc na L'île des Violettes - sanktuarium ukryte wśród róż, groszku pachnącego i jaśminu, pnących się po kolumnach i kratkach przytwierdzonych do białych ścian. Fontanna z kamienną, obramowaną turkusami podstawą szemrała cicho. Logan niemal czuł na swojej opalonej skórze dotyk chłodnej wody. W rozgrzanym powietrzu od czasu do czasu rozlegał się ptasi świergot z ukrytych w ścianach głośników.

W oddali dojrzał samolot - maszyna podchodziła właśnie do lądowania na sąsiedniej, mniejszej wysepce, która także należała do niego. Goście odbędą ostatni etap podróży łodzią, spokojnie, bez pośpiechu. A błękitnego nieba nad plażami Luksusu nie przetną helikoptery i odrzutowce. Logan postarał się, by nad jego wyspą obowiązywał zakaz latania, więc paparazzi w żaden sposób nie mogli zajrzeć do apartamentów i willi hotelowych gości.

Rozkoszował się ostatnią chwilą samotności. Przybywali z całego świata, jego goście, ta garstka wybrańców, którzy zostali zaproszeni na otwarcie Luksusu. Na moment stracił pewność siebie. Zaczął się zastanawiać, czy postąpił słusznie, udostępniając to miejsce innym. Może próbując dostosować je do swoich potrzeb, zniszczył jego naturalne piękno? Ale przecież egoizmem byłoby zatrzymać je tylko dla siebie. Poza tym nie potrafiłby kupić wyspy tylko po to, by stanowiła jego własność. Był deweloperem. W tej branży pracował i z nią się utożsamiał.

Pamiętał, kiedy się dowiedział, że L'île des Violettes należy do niego - był wtedy na długim i bardzo nudnym spotkaniu. Negocjacje ciągnęły się tygodniami, niewiele więc brakowało, a straciłby nadzieję, że zostanie właścicielem tego rajku na ziemi, o którym marzył od tak dawna. Starał się pogodzić z tym, że może nie jest mu to pisane, a w każdym razie nie jest mu to pisane teraz. Maryanne nie

mogła już słuchać o wyspie, nie potrafiła znieść jego nieobecnego wzroku, kiedy rozmyślał o L'île des Violettes i snuł plany. Próbował więc o tym zapomnieć i skupić się na innych sprawach związanych z firmą - a było ich wiele. Logan Barnes International, wyrosłe na zgłiszczach First, kwitło. Ciągłe należało podejmować setki decyzji, nad wszystkim czuwać. Tego dnia Logan zdążył już zaakceptować plany budowy parkingu na potrzeby jednego z hoteli w Singapurze, omówić koszty montażu nowej instalacji wodno-kanalizacyjnej zamku we Francji, spotkał się też z przedstawicielami trzech agencji reklamowych, które rywalizowały ze sobą o organizację kampanii promującej hotele z polami golfowymi (Logan starał się dotrzeć z ich ofertą do młodszej grupy klientów), zgodził się rozszerzyć program ubezpieczenia pracowników o opiekę dentystyczną i podpisał aneks do umowy dotyczącej wyposażenia hoteli, utrzymanych w tradycyjnym włoskim stylu, w akcesoria łazienkowe.

Dokładnie o jedenastej w jego kieszeni zadzwonił telefon komórkowy. Logan uśmiechnął się przepraszająco do prawników i przerwał połączenie. Uznał, że jeśli sprawa jest pilna, Johnny ponownie zadzwoni. Telefon znowu się odezwał. I znowu był to Johnny. Tym razem Logan przeprosił obecnych i wyszedł na korytarz.

- Mamy ją. Nie, należy wyłącznie do ciebie, więc to ty ją masz. Przez chwilę Logan nie rozumiał, o czym Johnny mówi.

- Kogo mam? - spytał.

- Tę wyspę, stary. Twoją tajemniczą damę, twoją drugą kobietę. Należy do ciebie.

Logan wstrzymał oddech.

- Serio? Nie nabierasz mnie? Johnny, przysięgam, że jeśli...

- Hej, nie żartowałbym sobie z tego. Umowa właśnie została podpisana. Wszystko sprawdziłem i dopiąłem na ostatni guzik.

- Ale nie zdawałem sobie sprawy, że...

- Że byliśmy już tak blisko? Wiem. Postanowiłem siedzieć cicho, dopóki się nie upewnię.

Prawnicy w sali konferencyjnej wymienili zdumione spojrzenia, kiedy zza drzwi rozległ się głośny, radosny krzyk Logana:

- Johnny, jesteś wspaniały! Uwielbiam cię, stary!

Jedna z prawniczek odchrząknęła i rozejrzała się po pokoju.

- Hm, cóż, możemy chyba uznać to zebranie za zakończone. Logan zachichotał teraz na wspomnienie ich twarzy, kiedy

opuszczali salę. Jeden z prawników podszedł do niego i powiedział bardzo uprzejmie:

- Gratuluję, panie Barnes. Chyba otrzymał pan jakąś dobrą wiadomość.

Ku jego przerażeniu Logan rzucił mu się na szyję i gorąco go uściskał.

Teraz popatrzył na białe, lśniące w słońcu budynki rozsiane wśród tropikalnej zieleni, która przywodziła na myśl rajski ogród, po czym spojrział dalej, na biały piasek brzegu i turkusowe wody morza. Podniósł do oczu niewielką lornetkę i zobaczył pierwszych gości -schodzili z łodzi na ląd i rozglądali się dookoła z zachwytem.

Nie, Logan był pewny, że niczego nie zniszczył. Przeciwnie, stworzył prawdziwy raj na ziemi. Obserwując reakcję pierwszych gości, zrozumiał, że odniósł sukces.

Jednym z gości był Nicolo. Logan przyglądał się chłodno, jak jego dawny przyjaciel stara się zapanować nad emocjami. Johnny spytał wcześniej Logana, po co wysłał Nicolowi zaproszenie.

- Żeby zobaczyć, co stracił - odparł bez wahania Logan. Johnny uniósł brwi.

- Trochę to ryzykowne.

- Dlaczego? A cóż mógłby zrobić? Lepiej mieć wrogów na oku.

Wszystko będzie dobrze. Poleciał Steve'owi Bigby'emu, by obserwował Nicola. Nicolo nie zdoła nic wnieść na wyspę. Nic się nie wydarzy. A zaraz po przyjęciu powitalnym Nicolo opuści wyspę i będzie mógł już tylko wspominać ją w samotności...

Elise nie znośła latać, nawet samolotami, tak nowoczesnymi i wygodnymi jak ten. W przestronnej kremowo-czarnej kabinie, urządzonej w stylu art deco, siedziały już dwie inne pary. Kiedy zajmowała swoje miejsce, z tyłu usiadły dwie kolejne osoby: mężczyzna, który wydawał jej się znajomy, choć nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej widziała, i kobieta o platynowych włosach, tak chuda, że jej uda były mniej więcej tej samej grubości, co ramiona Elise. Wyjmując książkę z torebki, usłyszała głos stewardesy:

- Szampana, panie Flores?

Stewardesa podeszła potem do Elise, która wzięła kieliszek. Może to ukoji jej nerwy. Nie chodziło tylko o lot, bała się też spędzić tyle czasu z Billem. Od wielu miesięcy nigdzie razem nie wyjeżdżali. No cóż, teraz byli tutaj razem, postanowiła więc to sobie umilić. Potarła dłonią kark.

- Na tym fotelu nie może ci chyba być niewygodnie - warknął Bill.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego, zdumiona.

- Nie jest mi niewygodnie, tylko próbuję się odprężyć. Wiesz, że nie lubię latać.

- Wspominałaś o tym kiedyś, owszem - powiedział i pograżył się w lekturze gazety.

Lot przebiegał spokojnie. Elise poprosiła o relaksujący masaż twarzy, po czym, otulona w kaszmirowy szlafrok, ułożyła się do snu. Wnętrze samolotu zostało rozplanowane w taki sposób, że każda para miała swoją własną część. Oddzieloną od innych. Dwa duże fotele po rozłożeniu tworzyły szerokie łoże z miękką pościelą. W samolocie znajdowała się dobrze wyposażona kuchnia, a w każdej części dodatkowo miała lodówka z ulubionymi potrawami gości. Elise nalała sobie kieliszek różowego szampana i zamówiła kanapkę z homarem - podano ją niemal natychmiast. Nawet Bill, który zwykle zamawiał akurat to danie z menu, którego w danym dniu nie serwowano, był wyraźnie pod wrażeniem. Elise zjadła i zapadła w sen, ukołysana wonią fiołków i róż kremu do masażu. Sny jej więc pachniały tak słodko, jak wyspa, która czekała na nią u kresu podróży.

L'île des Violettes wznosiła się teraz przed nimi. Za pomostem widać było szeroką, piaszczystą plażę. Wyżej stromy klif mierzył dumnie w niebo, a między gałęziami drzew wisiał czarny wagonik kolejki linowej.

Kiedy dotarli do pomostu, błogą ciszę rozdarł głos Jacinty Tra-montello.

- Na pewno do tego nie wsiądę - oznajmiła stanowczo. - Mam straszny lęk wysokości. Na sam widok ciarki mnie przechodzą.

Towarzyszający jej mężczyzna poklepał ją z roztargnieniem po ramieniu, tak jakby chciał uspokoić jazgoczącego psa. Sternik tylko się uśmiechnął.

Bill odwrócił się do Elise.

- Och, kochanie, tobie to się chyba też nie spodoba, prawda? - powiedział drwiącym tonem.

Elise ugryzła się w język.

- Nic mi nie będzie. Zdecydowanie nie da mu tej satysfakcji.

- Nie ma problemu, proszę pani. Jest wiele sposobów, by dostać się do Luksusu - powiedział sternik i wskazał kilka niewielkich czarnych meleksów, które czekały nieopodal.

Nicolo siedział na kremowych poduszkach rozłożonych wokół łodzi i chłonał widok zbliżającej się wyspy, głuchy na rozmowy innych gości. Był dziwnie zdenerwowany. Płynęli szybko; wiatr zdmuchnął mu włosy z czoła i niemal zaparł mu dech. Wyspa była już bardzo blisko; biała odziana postać czekała, by powitać ich na końcu pomostu.

Piorunujące wrażenie. To nie wyspa z jego wspomnień, lecz jakaś jej ulepszona, idealna wersja. Kolory były bardziej wyraziste, niż zapamiętał, może bardziej czyste, bardziej turkusowe, zapach powietrza słodszy i bardziej upajający. Łódź zwolniła i Nicolo wszedł na pomost. Zauważył srebrne balustrady, a poniżej małe, tropikalne ryby, których wielobarwne łuski błyskały w ocienionej wodzie.

Obsługa zaprowadziła go wraz z Vienną do jednego z meleksów stojących w cieniu krzewów i obsadzoną drzewami drogą ruszyli powoli w stronę wznoszących się wyżej zabudowań hotelu. Nawet ten tropikalny las, pachnący sosną, cedrem i jaśminem, był piękny, ujarzmiony i dziki jednocześnie. Liście chrzęściły cicho na piasku pod kołami meleksa, a z oddali dobiegała kojąca, uwodzicielska muzyka.

Meleks zatrzymał się nagle i Nicolo spojrział przed siebie. Miał wrażenie, że śni - tuż przed nim wyrosła nagle wielka srebrna brama, zdobna w wykute w metalu giętkie łodygi i kwiaty, które wyciągały ku niemu rozchylone pąki.

Kierowca odwrócił się do niego.

- Ma pan klucz, sir?

- Och... klucz?

- Ten, który został przysłany wraz z zaproszeniem. Pan Barnes wyraźnie zaznaczył, że nie wolno tu wejść nikomu, kto sam nie otworzy bramy.

Nicolo sięgnął do kieszeni i wyjął mały srebrny kluczyk z diamentem. W bramie znajdowała się niewielka dziurka, wokół której biegł napis: „Przeze mnie wejdiesz do miasta rozkoszy”. Dante. Czytali Dantego na Harvardzie, cytowali go sobie, zachwyceni siłą i pięknem jego słów. Nicolo pokręcił głową. Po co tu przyjechał? Żeby się zadreć wspomnieniem tego, co utracił? Zawahał się, zbliżając kluczyk do dziurki.

Ciągle miał czas się wycofać, zawrócić. Nie musiał tu wchodzić. A potem poczuł na sobie czyjś wzrok i podniósł głowę. Za ozdobną balustradą na dachu głównego budynku stał Logan - nie sposób było pomylić go z kimś innym - i patrzył na niego z góry. Tak, z góry, dosłownie i w przenośni.

- Zawsze tak było - mruknął Nicolo ze złością.

Logan podniósł kieliszek, który trzymał w ręce, i w drwiącym toaście przechylił go w stronę Nicola.

Willa Billa i Elise znajdowała się na wschodnim krańcu wyspy. Kiedy zeszli z łodzi, mogli odświeżyć twarze i dłonie wodą, która pachniała fiołkami i limonką, następnie wytrzeć je świeżymi lnianymi ręcznikami. Potem wsiedli do jednego z meksów, minęli trzy główne budynki hotelu i wjechali w chłodny cień obsadzonej palmami alei, na której końcu stała willa. Nie było recepcji, ponieważ wszystkie formalności zostały załatwione wcześniej. Kiedy tam dotarli, ich bagaże już na nich czekały.

Elise weszła do środka i otworzyła usta ze zdumienia i zachwytu. Znalazła się w wielkim, okrągłym pokoju; podłoga z czarnego kamienia lśniła jak kawior. Wokół stało kilka obitych miękkim zamszem sof, zarzuconych dziesiątkami poduszek z jedwabiu, aksamitu i strusich piór. Pośrodku na niemal niewidocznych linkach wisiał kryształowy żyrandol - wyglądał tak, jakby płynął w powietrzu. Przez okrągłe okno w suficie do wnętrza wpadały promienie słońca,

rozszczepiały się migotliwie w kryształkach żyrandola, rzucając na ściany i podłogę tęczowe błyski. Sypialnia była jeszcze bardziej niezwykła. Na podwyższeniu stało szerokie łóże przykryte pościelą z tak delikatnego jedwabiu, że wyglądała jak uszyta z wielowarstwowej bibułki. W rogach cztery wąskie srebrne kolumny zdawały się lśnić błękitnym światłem. Elise wyciągnęła rękę, dotknęła jednej z nich i przekonała się, że są wysadzane małymi szlifowanymi akwamarynami. Między kolumnami wisiały suto udrapowane muślinowe zasłony w kolorze jasnego błękitu; jak welon panny młodej spływały fałdami na ciemną drewnianą podłogę. Ściana naprzeciw łóżka była obita jasnoszarymi drewnianymi panelami, zdobnymi w srebrne, filigranowe dekoracje, delikatne i przejrzyste jak pajęczyna. Podczas gdy Bill i Elise krążyli po pokoju, spoglądając na płaskorzeźby wysoko pod sufitem, na ogromną białą szafę w stylu francuskim i rozłożony miękki szezlong u stóp łóżka, panele cicho rozsunęły się na boki. Asha, kamerdyner, który przywiózł ich tu z przystani, nacisnął guzik w ścianie i za panelami ukazał się ogromny ekran plazmowy o doskonałych parametrach. Asha z uśmiechem znów nacisnął guzik i ekran bezszelestnie przesunął się na bok, a pokój otworzył się na prywatny basen, do którego można było wejść niemal prosto z łóżka i który wydawał się łączyć z widocznym w oddali morzem. Teraz, kiedy zapadł zmrok, ocean przybrał barwę szafirów w kolczykach Elise. Wokół basenu stały plażowe łóżka i parawany - należało przecież chronić skórę gości przed poparzeniem słonecznym. Powiało lekkim chłodem i zrobiło się tak przyjemnie, że Elise zrzuciła bucik i zanurzyła stopę w wodzie, chłodnej i miękkiej. Elise aż westchnęła, tak było jej dobrze. W milczeniu przeszła się po pokojach. Nie chciała, by prysnął czar, który zdawał się spowijać to miejsce. W garderobie znalazła miękkie, kaszmirowe swetry w pastelowych kolorach, kapelusz z białej słomki z szerokim rondem i klasyczną panamę, kilka białych i kremowych sarongów i granatową hawajską suknię plażową. W sypialni, w drewnianej, wbudowanej w ścianę szafce, leżało kilka gatunków cygar, które Bill najbardziej lubił; to prawdziwy raj dla

miłośnika dobrego tytoniu, powiedział, wdychając ich specyficzny zapach.

Druga ściana skrywała wysoki, wąski barek, pełen butelek szampana, wina i piwa. Stały tam też dzbanki ze świeżą lemoniadą i sokiem z owoców trópkalnych, było kilka rodzajów czekolady, kawior i inne przekąski, na które mogłaby im przyjść ochota podczas gorącego popołudnia czy w nocy. Barek, wbudowany w ścianę budynku, otwierało się zarówno od wewnątrz, jak i od zewnątrz, więc Asha mógł uzupełnić zapasy, nie czekając, aż goście wpuszczą go do środka. Gruba książka kucharska zawierała przepisy na dania, które w każdej chwili mógł przygotować dla nich prywatny kucharz, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mogli zatem zażyczyć sobie angielskie śniadanie o czwartej nad ranem, zestaw sushi albo obiad z kilku dań czy ciasto czekoladowe - a wszystko to podawano w salonie, przy basenie albo gdziekolwiek indziej, nawet prosto do łóżka.

Czekało ich tu tyle przyjemności, że Elise czuła się tak jak Danny, kiedy zabrała go do dużej lodziarni i pozwoliła mu wybierać wśród różnych smaków. Nie umiał się zdecydować, tak bardzo chciał dokonać właściwego wyboru, a z drugiej strony miał ochotę prawie na wszystko... Na wspomnienie jego ciemnych oczu załała ją fala tęsknoty i przez chwilę niemal żałowała, że nie została z nim w domu. Otrząsnęła się jednak. Nie, spędzi z synem mnóstwo czasu po powrocie do domu - a teraz będzie cieszyła się tymi krótkimi wakacjami. Pomyślała ciepło o Johnnym Stokesie, kliencie Billa i wspólniku człowieka, do którego należała ta wyspa. To on ich tu zaprosił. Dzięki niemu przez cztery dni mogła rozkoszować się tym miejscem, o którym - wiedziała to na pewno - już wkrótce będzie mówił cały Londyn.

Najpierw jednak czekało przyjęcie...

Elise stanęła przed wąskim, wysokim lustrem i obróciła się w obie strony, przyglądając się krytycznie własnemu odbiciu. Miała na sobie długą do ziemi suknię bez ramiączek, uszytą z połyskującego brązowego materiału, głęboko wyciętą na plecach. Barwa sukni pięknie harmonizowała z jej miedzianymi włosami i złocistą,

obsypaną piegami cerą. Odwróciła się w lewo. Lekko zaokrąglony brzuch, który przypominał o czasach, kiedy nosiła w nim Danny'ego, był ledwie zauważalny pod cienkim materiałem. Odwróciła się w drugą stronę i wygładziła suknię, zastanawiając się, czy jest to bardzo widoczne.

- Podziwiasz sama siebie, co?

Bill oparł się o framugę drzwi. Palił papierosa. Spojrzała na niego w lustrze. Pachniał wodą kolońską i jedwabiem. Miał na sobie nowy, bardzo drogi biały smoking, włosy zaczesał do tyłu. Był bardzo przystojny. Ale uśmiechał się krzywo, przez co wydawał się odpychający, przynajmniej Elise, bo wiedziała, co zwykle następowało później.

- Nie - odparła, starając się mówić spokojnie. - Sprawdzam tylko.

- Co sprawdzasz? Czy każdy będzie mógł wystarczająco dużo zobaczyć? - Przesunął dłonią po własnym ciele, kpiąco naśladując Elise, i wydał wargi. - Ooo, patrzcie tylko, czyż nie jestem seksowna? Zobaczymy, czy mążulek będzie dziś wieczorem zazdrosny.

Elise zaczerwieniła się gwałtownie.

- Daj mi spokój. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Przywiozła ze sobą drugą, znacznie skromniejszą sukienkę, na wypadek takiej właśnie sceny. Więc ją włoży.

- Dać ci spokój? To niezbyt miłe, Lisey.

Bill chwycił ją za nadgarstek, kiedy przechodziła obok. Krzyknęła z bólu. Wykręcił jej rękę i przyciągnął ją do siebie. Tym razem już nie krzyknęła. Bill stał w drzwiach, blokując przejście. Jego głos brzmiał gniewnie.

Niebezpiecznie. Elise stała, z ramieniem wykręconym na plecy. Napięta skóra piekła i bolała.

- Puść mnie, Bill. Przebiorę się - wyszeptała.

- Ty się nigdy nie zmienisz, Lisey. Kokieteria leży w twojej naturze, prawda? Nic nie możesz na to poradzić, Szkarłatna Damo.

Objął ją drugą ręką i przyciągnął bliżej. Uśmiechnął się, kiedy się wzdrygnęła.

- Kokietujesz mnie, teraz, prawda? Moja kokietka.

Czuła, że jest podniecony. Nie będzie z nim walczyła, nie dzisiaj. Cokolwiek jeszcze się stanie, utkwiała z nim na tej wyspie na

kilka kolejnych dni, a wiedziała, jaki potrafi być nieprzyjemny, kiedy mu się sprzeciwi. Bill pocałował ją brutalnie i puścił.

- Nie teraz - powiedział. - Później. Zabawimy się później. Uśmiechnęła się z przymusem.

- Przebiorę się i pójdziemy na przyjęcie.

- Nie bądź głupia. - Spojrzał na nią tak, jakby żartowała. Chmury rozproszyły się, przynajmniej na jakiś czas. - Po co miałabyś się przebierać? Wyglądasz cudownie. - Nachylił się i wyszeptał jej do ucha: - Cudownie i seksownie. Nie przebieraj się, tylko zdejmij majtki. Chcę, żeby wszyscy widzieli, jaka jesteś piękna, podczas gdy tylko ja będę wiedział, że pod tą suknią jesteś zupełnie naga. Dobrze?

Kiwnęła głową.

- Dobrze.

- Grzeczna dziewczynka.

Poklepał ją po pupie, kiedy szła zatuszować siniaka na ramieniu korektorem i zrobić to, co jej kazał. Jak grzeczna dziewczynka.

Dwieście najślawniejszych osób na świecie stało na trawniku, cierpliwie czekając na otwarcie drzwi głównego budynku i rozpoczęcie przyjęcia. Od czasu do czasu ktoś coś szeptał albo zaczynał się głośno zastanawiać, co się wydarzy, na ogół jednak panowała cisza.

Potem nagle ktoś krzyknął i wskazał niebo; wszyscy zadarli głowy. Na ciemnym niebie rozbłysło ciągnące się za samolotem słowo „Luksus”, jakby wypisane niewidzialną ręką. I znikło.

Dwieście osób wstrzymało oddech. Znów cisza. Przerwała ją kakofonia dźwięków, muzyka, śmiech, okrzyki. Goście znaleźli się w otoczeniu artystów, którzy pojawili się nagle nie wiadomo skąd. Był to spektakl niepodobny do niczego, co dotąd widział Nicolo; jakiś karnawał nie z tego świata, jakaś uwspółcześniona wersja nieba z *Boskiej komedii* Dantego.

Tancerka w kostiumie z burleski, składającym się z ciasnego gorsecika obszytego cekinami i stroika z piór, jechała ku niemu na koniu z karuzeli, który poruszał się jakby za sprawą magii. Odwrócił się. Kilku akrobatów chwyciło stojącą za nim kobietę - Rose

Ross, supermodelkę - podniosło ją wysoko do góry i podążyło w stronę drzwi. Jej towarzysza, w lektyce w kolorze fuksji, poniosła za nią drużyna Pierrotów. Grubego kongresmena pociągnęła za nimi roześmiana gejsza.

Kiedy wszyscy ruszyli do środka, muzyka stała się głośniejsza, a wybijany na bębnach rytm przyspieszył. Na jego tle rozległ się najpierw wysoki dźwięk smyczków, a potem śpiew. W końcu goście zaczęli zgodnie klaskać, coraz szybciej, coraz bardziej podekscytowani. Nicolo poczuł przyjemne mrowienie w końcach palców. Nic nie mógł na to poradzić, nastrój chwili udzielił mu się tak jak wszystkim. Cyrk Logana Barnesesa ukazał się ich oczom w całej swej wielobarwnej wspaniałości. Delektował się więc spektaklem, chłonąc dźwięki i kolory. Wyda mu się jeszcze wspanialszy, kiedy już się skończy.

Śpiew umilkł, potem smyczki, aż wreszcie został tylko pulsujący rytm. Artyści cofnęli się w cień, w tłumie rozległy się szepty. Znaleźli się w dużym pomieszczeniu, prawdopodobnie w sali balowej albo restauracji, zmienionej jednak nie do poznania na potrzeby tego wieczoru. Pod sufitem falował materiał w kolorach tęczy; lśniły na nim setki małych światełek, które przygasły, kiedy Nicolo spojrział w górę. W tej samej chwili. Punktowy reflektor oświetlał tylko okrągły otwór w suficie. Wyżej niebo było czarne, lśniła na nim tylko jedna gwiazda. Powoli jej blask stawał się coraz intensywniejszy, a ona sama zdawała się przybliżać. Ludzie podnieśli ręce, by osłonić oczy. Wtedy, z samego jej środka, eksplodowały kolory, a na głowy ludzi posypały się kwiaty i sztuczne ognie, które gasły, zanim opadły na podłogę. Po chwili w otworze w suficie ukazał się srebrny trapez, a na nim dwie małe stopki w ozdobnych bucikach. Trapez powoli opadał, ukazując nogi, a potem, jak się okazało, całe ciało Antoinette, supergwiazdy piosenki, która odeszła z show-biznesu przed pięcioma laty, co wzbudziło wiele kontrowersji. Jej płyty nadał na całym świecie sprzedawały się najlepiej. Tłum oszalał. Popłynęły pierwsze takty jej najsłynniejszego przeboju, a kiedy skończyła śpiewać i sala zatrzęsała się od braw i okrzyków „Bis! Bis!”, na ciemną scenę po drugiej stronie sali wyszedł jakiś mężczyzna. Stał przez chwilę, patrząc na tłum. Potem reflektor rzucił na niego snop światła, znowu rozległy się krzyki, a on podniósł obie ręce w geście powitania.

- Panie i panowie, dobry wieczór. Nazywam się Logan Barnes i jestem zachwycony, mogąc powitać was w Luksusie. Elise i Bill stali na końcu sali. Logan zszedł ze sceny i ruszył przez tłum; uśmiechał się, ścisnął dłonie, obejmował ludzi. Znowu zagrała muzyka i rozległ się szmer rozmów. Goście odwracali się do swoich sąsiadów, chcąc podzielić się wrażeniami.

Elise stała oczarowana. Było tego niemal zbyt wiele - zbyt wiele kolorów, zbyt wiele piękna. Akrobaci tworzyli piramidy i wspinali się na kolumny jak wielkie, tęczowe owady. W umieszczonym na środku basenie o przejrzystych ścianach, w intensywnie turkusowej wodzie pływały syreny, piękne i nagie, machając do zdumionych gości. Bill wdał się w rozmowę z jakimś mężczyzną i kiedy obaj zaczęli się zastanawiać, ile to przyjęcie mogło kosztować, Elise odeszła w stronę basenu. Do szklanej ściany podpłynęła syrena i pomachała do niej ręką. Jej długie włosy unosiły się za nią w wodzie. A potem trzepnęła ogonem i znikła. Jak prawdziwa syrena, pomyślała Elise, piękna i śmiertelna.

Odwróciła się do Billa, on jednak nadal był pogrążony w rozmowie, ruszyła więc dalej sama. Podeszła do pagody pokrytej pnącymi różami w odcieniach różu. W środku, na obitym różowym aksamitem tronie, siedziała znana aktorka - wprawdzie dobiegała już sześćdziesiątki, ale nadal słynęła z urody. Trzech karłów masowało jej stopy, ramiona i ręce. Elise zamruła i szła przed siebie, mijając tace pełne jedzenia: piramidy tropikalnych owoców, makaroników i innych wschodnich przysmaków. Po drugiej stronie stały ciasta, a wśród nich tarty owocowe, babeczki z malinami i małe ciasteczka nadziewane i udekorowane czekoladą. Elise wzięła jedno z nich, ugryzła i natychmiast poczuła na języku ten sam eteryczny, kwiatowy smak, jaki miała czekoladka dołączona do zaproszenia. Obok stała fontanna z czarnego marmuru, ozdobiona srebrem. Woda pieniała się i musowała. Nie, pomyślała Elise, to przecież nie może być...

Podeszła do niej kelnerka.

- Czy nalać pani, madame? - spytała, podnosząc z tacy smukły kieliszek.

Elise kiwnęła głową.

- Tak, proszę.

Kobieta podsunęła kieliszek pod jeden z wodotrysków, napełniła go bladozłotym płynem i podała Elise.

- Krug, rocznik 1988, madame.

Elise roześmiała się. Oczywiście. Najlepszy szampan, w fontannie. Jakże by inaczej?

- Elise? Odwróciła się.

- Johnny! Dziękujemy za zaproszenie! Jestem zachwycona.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że mogę odwdziaczyć się twojemu mężowi za to, co dla mnie robi.

Elise kiwnęła głową. Johnny jest bardzo uprzejmy - trudno uznać zarządzanie jego inwestycjami za przysługę, skoro należy on do najbardziej cenionych klientów Crown. Ale to właśnie cały Johnny: otwarty, o wielkim sercu.

- A gdzie Bill?

- Och, gdzieś tam... chyba znowu rozmawia o pracy. Niewiele trzeba, żeby zaczął... - O Boże, nie powinna tego mówić. Zabrzmiało to tak gorzko. - Jest taki oddany swojej pracy, tak ją lubi i nigdy nie może się doczekać, kiedy...

- zaczęła szybko, chcąc zatuszować zmieszanie.

Johnny tylko się uśmiechnął,

- Zaraz go poszukam. Chciałem go komuś przedstawić, ale myślę, że ty bardziej się temu panu spodobasz.

- O kim mówisz?

- O człowieku dnia. - Johnny wskazał mężczyznę, który stał obok, odwrócony do nich plecami, i dotknął jego ramienia.

- Logan, poznaj Elise McAllister, żonę Billa.

Logan odwrócił się z uprzejmym, wyćwiczonym uśmiechem na ustach i wyciągnął rękę. Uśmiech przygasł.

- Witam. Bardzo miło mi pana poznać - powiedziała Elise nieśmiało. - Nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy.

Głos drżał jej lekko. Mężczyzna patrzył na nią uważnie. Zwykle czuła się nieswojo pod takim spojrzeniem, tym razem jednak nie.

218

Gdyby miało to choćby najmniejszy sens, pomyślałaby, że patrzy sama na siebie.

- Logan Barnes.

- Tak. Elise.

Wydawało jej się, że wie, jaka będzie w dotyku jego dłoń - i nie pomyliła się. Była silna i ciepła. Znajoma. Powiedz coś, myślała gorączkowo. Powinnaś powiedzieć coś o wyspie i przyjęciu. Coś błyskotliwego, dowcipnego.

- Kochanie, wszyscy chcą zamienić z tobą parę słów. Nie powinieneś chować się tu z Johnnym i...?

Maryanne spojrzała na Elise i uśmiechnęła się do niej miło. Elise zaczerwieniła się jak uczennica przyłapana na udawaniu dorosłej kobiety. Maryanne była tego wieczora wcieleniem doskonałości, w długiej do ziemi sukni z tęczowego jedwabiu i naszyjniku z kamieni w tych samych kolorach: szafirów, żółtych diamentów, ametystów i rubinów, na złotej żyłce tak cienkiej, że niemal niewidocznej, przez co wyglądały, jakby unosiły się wokół jej szyi w powietrzu. We włosy także wpięła wielobarwne klejnoty i roztaczała wokół zapach drogich perfum.

Cała trójka oddaliła się i wtopiła w tłum wielbicieli Logana, a on popatrzył jeszcze przez ramię na Elise. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Elise wytrzymała to spojrzenie. Miała wrażenie, że nie patrzy w oczy obcej osoby, ale przyjaciela. A potem Logan się odwrócił.

Czyjaś dłoń musnęła jej plecy. Elise zadrżała.

- Może znajdziemy sobie jakieś ustronne miejsce? - szepnął jej do ucha Bill.

Przypomniała sobie czasy, kiedy takie słowa podniecały ją, a nie budziły wstrętu. Uśmiechnęła się.

- Jasne.

Czuła, że musi się z tego wyrwać.

- Trzymajcie Nicola z dala ode mnie. Logan, Johnny, trzymajcie go z dala ode mnie. - Głos Maryanne drżał. - Nie rozumiem, co on tu robi. Co on tu robi? Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?

223

Johnny uniósł brwi.

- Nie wiedziałaś?

Logan położył dłoń na ramieniu żony.

- Nie chciałem, żebyś się tym przejmowała. On musiał tu przyjechać.

- Ale po co? Po co?

- Uspokój się. - Logan wziął ją za ramiona i spojrzał jej w oczy. - Uspokój.

Maryanne wzięła głęboki oddech; chyba zapanowała nad emocjami.

- W porządku. Ale wyjaśnij mi, po co go zaprosiłeś.

- Daj spokój, kochanie, wiesz przecież, jak to jest. Trzeba mieć wrogów na oku, pamiętasz?

Maryanne odeszła, a Logan odwrócił się do Johnny'ego.

- Steve bez przerwy go obserwuje, prawda?

- Bez przerwy - odparł Johnny. - Wszystko pod kontrolą. Za chwilę sprawdzę, co z Maryanne, a ty idź, zabaw się trochę. Dokonałeś tego, stary.

- Nie, Johnny. Dokonaliśmy tego razem.

Wrogów trzeba mieć na oku - ta maksyma nieraz już przysłużyła mu się w przeszłości. Wiedział, że teraz także powinien się jej trzymać.

Maryanne drżącą ręką wytrząsnęła z fiolki kolejną pigułkę, wrzuciła ją do ust i popiła kieliszkiem szampana.

Damska toaleta, w której się znajdowała, została zaprojektowana tak, by przypominać przebieralnię gwiazdy filmowej. Lustro nad toaletką otaczały mleczne żarówki, a na blacie stały perfumy i kosmetyki. Pokojówka w biało-czarnym stroju, wykrochmalonym fartuszku i czepku, krzątała się po drugiej stronie toalety. Maryanne wzięła do ręki flakonik Chanel 5 i zwilżyła nadgarstki. Potem odwróciła się i spojrzała z ukosa na swoje odbicie w lustrze. Wyprostowała się i wciągnęła brzuch. Musiała być w formie, by odegrać rolę pani Barnes lepiej niż kiedykolwiek. Od czasu, gdy przedawkowała w ubiegłym miesiącu, starała się być dobrą żoną. Logan także starał się ją wspierać. Chodziła więc potulnie na spotkania z psychologiem, a nawet wydrukowała trochę informacji o uzależnieniach i rozłożyła je w wielu

miejscach domu. Wyglądało na to, że Logan znowu jej ufał. Uznała, że jeśli zdoła utrzymać wszystko pod kontrolą, nie będzie potrzeby czegokolwiek zmieniać. Musiała jedynie uważać, by nie posunąć się za daleko - nie upić się i nie wziąć za dużo tabletek. Tylko tyle, by zapewnić sobie spokój.

Wygładziła suknię i wróciła na przyjęcie.

Lucia i Jonty stali na drewnianym mostku nad jednym z wielu basenów w Luksusie. Balustrada została opleciona lampkami, które zwieszały się dół jak girlandy kwiatów i odbijały w wodzie. Lucia miała na sobie już trzeci tego wieczoru strój - suknię w duże kolorowe kwiaty z odsłoniętym jednym ramieniem. Od kelnerki w srebrnym bikini, która akurat przechodziła obok, przyjęła koktajl i wychyliła go jednym haustem. Po drugiej stronie basenu stał młody kierowca Formuły 1 i rzucał w stronę Lucii znaczące spojrzenia. Odwróciła się do Jonty'ego, przywołując na twarz najbardziej uroczy ze swoich uśmiechów.

- Nie, nie możesz tam pójść - powiedział natychmiast.

- Co?

- O to właśnie chciałaś zapytać, prawda? Czy możesz pójść pogadać z tym chłopcem-wyścigowcem. Odpowiedź, moja droga, brzmi: nie.

- Nie możesz mi dyktować, co mi wolno, a czego nie.

- Owszem, mogę. Jestem odpowiedzialny za twój publiczny wizerunek. Za to mi płacisz, więc pozwól, że nadal będę wykonywał swoją pracę. Zjedzmy coś.

Na terenie całego hotelu stały stoiska serwujące potrawy kuchni całego świata, można zatem było zatrzymać się i zjeść ślimaka w skorupce z masłem i pietruszką, kilka rodzajów sushi albo opiekane ziemniaki z majonezem truflowym. Jonty nałożył na swój talerz górę jedzenia. Lucia jadała niewiele. Machnęła ręką, w której trzymała papierosa.

- Zadzwoń do niego, kiedy już wrócimy. W każdej chwili mogę zdobyć jego numer.

- Och, wiem, że możesz, kochana - zaśmiał się Jonty. - Możesz zdobyć każdy numer, jaki ci się zamarzy; tylko nie rób tego tutaj.

- Dlaczego? Przecież to przyjęcie zamknięte dla prasy.

Jonty był bardzo cierpliwy, ale Lucia naprawdę testowała tego wieczoru jego wytrzymałość.

- Posłuchaj, dziecko, ludzie plotkują, zgodzisz się chyba ze mną? Tu może i nie ma dziennikarzy, ale wszyscy goście na ciebie patrzą.

Lucia wzruszyła ramionami, pewna siebie.

- To prawda.

- I jeśli zaczniesz się kręcić wokół naszego przystojnego kierowcy, na pewno to zauważą. Najpiękniejsza dziewczyna na przyjęciu i wyścigowiec. To nie uszłoby niczyjej uwagi. Więc jeśli chcesz skorzystać na historyjce o twoim romansie z Garrym Daviesem, musisz się kontrolować. To zapewni ci dużo więcej miejsca w gazetach niż numerki z kierowcą.

Lucia kiwnęła głową i powoli wydmuchnęła dym.

- No, teraz wiem, za co ci płacę tę kupę forsy, Jonts.

- Aha. A kiedy już wrócimy do domu i zechce ci się polecieć do Monako, by dyskretnie pieprzyć się z tym młokosem przez cały weekend, cóż, księżniczko, to będzie już zupełnie inna historia.

Lucia pomyślała o muskularnych udach kierowcy wyścigowego. Hmm. Niewykluczone, że to właśnie zrobi.

- Poza tym, wprawdzie nie wspominałem ci o tym wcześniej, ale mam dla ciebie dobrą wiadomość.

- O Boże. - Lucia chwyciła go za nadgarstek. - Dostałam ją? Dostałam tę rolę?

- Owszem. Jonty załatwił ci rolę, maleńka. - Podniósł kieliszek i stuknął nim o jej szklanę. - Uczcijmy to, dobrze?

- Oczywiście. - Lucia kiwnęła głową i podała mu swojego drinka. - Daj mi tylko dziesięć minut... muszę coś zrobić.

- Ale Luce... Uniosła dłoń.

- Naprawdę tylko dziesięć minut. Zaraz wracam! Uśmiechnęła się szeroko i pobiegła do hotelu. Jonty westchnął, dopił oba drinki i rozejrzał się dookoła za kimś, z kim mógłby się trochę rozerwać. Natychmiast podeszła do niego jedna z tancerek.

- Zostałeś sam? - spytała, poruszając się w takt muzyki. - Zatańczysz?

- Jasne, mała!

I pulchny Jonty zaczął tańczyć w sposób, który wydawał mu się młodzieżowy i modny, podczas gdy jego towarzyszka próbowała się zorientować, w rytm czego tak ochoczo podrygiwał, by móc do niego dołączyć.

Na górze, w swoim apartamencie, Lucia chwyciła laptop i szybko wystukała wiadomość.

„Do: RW Aziz@Azizlawinternational.com Temat: Dziedziczka/ no 98

Ranj - mam ten kontrakt! Zdecydowanie możemy finalizować zakup numeru 98. Zabierz się do tego jak najszybciej, proszę. W środę wracamy do Londynu i przyjdziemy do biura podpisać umowę i omówić różne sprawy. Dzięki. Xx Lucia”.

Lucia rzuciła się na łóżko. Za kilka minut wróci na dół, na przyjęcie, które coraz bardziej się rozkręcało, teraz jednak chciała rozkoszować się chwilą. Nie, nie chodziło o to, że wygrała kontrakt reklamowy - choć musiała przyznać, że była dumna, iż udało jej się pokonać inne dziewczęta, i podekscytowana perspektywą pracy z jednym z najlepszych fotografików na świecie - lecz o to, co to dla niej oznaczało. Bo ten kontrakt, podobnie jak inne kampanie reklamowe, w których brała udział jako modelka, był środkiem do celu; sposobem na samodzielne zarabianie pieniędzy. Odkładała je na konto, tak jak tego od niej oczekiwano, a wydawała na drobiazgi tylko kieszonkowe. I musiała przyznać, że bardzo lubiła patrzeć, jak sumka w banku z tygodnia na tydzień rośnie.

Teraz będzie miała dość pieniędzy, by zrealizować pierwszą fazę swojego planu - dość, by wrócić do banku inwestycyjnego, w którym była już na wstępnym spotkaniu, i negocjować pożyczkę. Dużą pożyczkę; ona pozwoli jej rozpocząć drugą fazę planu. Tak, Lucia nie chciała być dłużej tylko śliczną laleczką, chciała zostać businesswoman. Wyobrażała już sobie, jak zareagują ci, którzy ją znają, kiedy odkryją, że Lucia Barnes weszła na hotelarski rynek.

Drugi etap jej planu zakładał bowiem zakup hotelu mieszczącego się pod numerem 98 przy Bilton Square, niedaleko Bond Street. Został on wystawiony na sprzedaż, ponieważ aktualnemu właścicielowi nie przynosił odpowiednich zysków. Przycupnięty w cichej, bocznej uliczce, po której nie jeździło wiele samochodów, był kiedyś prywatnym staroświeckim klubem wyłożonym drewnianymi panelami - i tak to trwało. Lucia miała wobec niego wielkie plany. Wiedziała, że może odnieść sukces, od niego rozpocząć budowę sieci hoteli. Kolejne etapy planu zostały dokładnie opisane w dokumencie na dysku jej różowego laptopa. Najpierw jednak musiała położyć rękę na nieruchomości przy Bilton Square i zrobić to w taki sposób, by nikt się nie dowiedział, że to ona stoi za tym zakupem, zwłaszcza aktualny właściciel.

Bo Lucia dobrze wiedziała, że ojciec nigdy by jej tego hotelu nie sprzedał.

Maryanne trzymała kieliszek szampana za smukłą nóżkę. Nie widziała Logana, ale wiedziała, że jest gdzieś w pobliżu; krąży po labiryncie pokoi, przyjmuje komplementy, żartuje, kokietuje trochę - nie za dużo, ale tak, by ludzie czuli, że są w centrum jego uwagi. Wiedziała też, że ona powinna robić to samo. Powinna grać rolę doskonałej żony. W tej chwili jednak miała wrażenie, że jest to właśnie tylko rola, rola, którą kiedyś przyjęła i od dawna nie miała już ochoty jej odgrywać. Nie sądziła jednak, by mąż, reżyser - zawsze reżyser - kiedykolwiek pozwolił jej zejść ze sceny. Charlie wepchnął kawałek limonki w szyjkę swojej butelki i pociągnął łyk, obserwując artystów z Cirque du Soleil; właśnie rozpoczęli kolejny numer. Na otwarcie Luksusu przygotowali specjalny show, który naprawdę zapierał dech w piersiach. No tak, tatko z pewnością potrafił wydawać przyjęcia. Charlie zawsze był popularny w szkole, a popularność tę zawdzięczał w dużej mierze rozprawdzonym wśród kolegów zaproszeniom na imprezy organizowane przez rodziców. Logan i Maryanne nie byli tacy jak inni rodzice. Różnili się od nich nawet w prywatnych szkołach, do których chodzili Charlie i Lucia. Zwykle któryś ze szkolnych budynków no-

sił imię ich ojca, co przydawało się zwłaszcza Lucii, bo gdyby nie to, wyrzucono by ją chyba z niejednej szkoły. Charlie ruszył przed siebie plażą, kopiąc piasek. Przyjęcie było wspaniałe, nie bawił się jednak najlepiej. Nie umiał przestać myśleć o Belle. Nie, nie zakochał się w niej, nic z tych rzeczy, ale Belle była zabawna i seksowna, i bardzo mu jej brakowało. Charlie należał do mężczyzn, którzy lubią kobiety i regularny seks. Lecz nie tylko to go dzisiaj dręczyło. Niedługo skończy album i postara się wypuścić go na rynek. Nadal wszakże pozostawało pytanie, czy powinien zacząć pracować dla LBI. Poznać sferę biznesu, kierować jakąś częścią firmy przez pewien czas, zdobyć trochę doświadczenia, by w przyszłości przejąć koncern po ojcu. Ale czy rzeczywiście chciał być hotelarzem, magnatem na rynku nieruchomości? Nie miał pojęcia, wiedział tylko, że tego się od niego oczekuje. Logan pozwalał mu na razie zajmować się muzyką, ale jak długo to jeszcze potrwa?

Charlie dopił piwo i wrócił do swoich obowiązków. Znaleźć siostrę, unikać mamy, z którą ciągle nie był w najlepszych stosunkach, prezentować jednolity rodzinny front. Nie zawsze łatwo jest być bogatym dzieciakiem, bez względu na to, co myślą o tym inni.

Logan znalazł Maryanne pogrążoną w rozmowie z burmistrzem Nowego Jorku. Charlie stał u jej boku i czarował małżonkę burmistrza, a on był pijany, czerwony na twarzy i wyraźnie zachwycony, że znalazł się w centrum zainteresowania.

- Przepraszam - powiedział uprzejmie Logan - ale obawiam, że muszę skraść panu moją żonę.

- Och, a tak sobie miło rozmawialiśmy, prawda, Maryanne?

- Oczywiście. - Maryanne uśmiechnęła się z przymusem. - Proszę mi wybaczyć.

Kiedy tylko nieco się oddalili, odwróciła się do męża.

- Cóż za okropny człowiek. Dlaczego, na litość boską, został tu zaproszony?

- Przysługa za przysługę. Wiesz, jak to jest. Tak czy inaczej, świetnie sobie z nim radziłaś.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Logan spojrzał na nią, zaskoczony.

- Chcę powiedzieć, że byłaś czarująca, jak zawsze.
- Po co ten sarkazm?
- Maryanne, naprawdę, nie wiem, co... Zatrzymał się. Zrozumiał.
- Chodź ze mną. Natychmiast.

Chwyił ją za rękę i stanowczo pociągnął za sobą korytarzem w stronę toalety za hotelowym holem. Kiedy tam weszli, zamknął drzwi.

- No dobra, więc co to jest tym razem? Co wzięłaś? Tabletki przeciwbólowe, normalka, czy może trochę koki? Albo jakieś leki uspokajające? No, jakie mamy dzisiaj prochy dnia?

Policzki Maryanne płonęły, ale reszta jej twarzy pozostała blada. Nie patrząc na niego, otworzyła torebkę i sięgnęła po puderniczkę.

- Odpieprz się, Logan. Niczego nie wzięłam. Nie oskarżaj mnie... Mówiłeś do mnie jak do kurwy, co musi sobie z kimś „radzić”.

- No nie! Nic podobnego! Jezu, nie mogę ci już nawet prawić komplementów, tak? Zawsze chodzi tylko o ciebie, prawda? Nie pozwolisz, żebym cieszył się tym jednym wieczorem, ty samolubna dziwko.

Maryanne otworzyła usta i podniosła rękę - chciała uderzyć go w twarz, ale Logan chwycił ją za nadgarstek. Torebka wypadła jej na podłogę; wysunęła się z niej kosmetyczka i telefon komórkowy.

- Cholera!

Maryanne przyklękła szybko, żeby pozbierać swoje rzeczy.

- No, co to jest, Maryanne? - Czubkiem lśniącego buta Logan kopnął małą buteleczkę pod ścianę.

- Przestań! To vintage Chanel, ty pieprzony głupku! - Maryanne pobiegła po torebkę, a Logan schylił się i podniósł coś, co jeszcze wypadło z kosmetyczki. Zahaczyła obcasem o brzeg sukni, zachwiała się i przewróciła. - Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? - spytała podniesionym, ochrypłym głosem.

Logan wyprostował się. W rękę trzymał małą fiołkę.

- Chyba nie chodzi o to, co we mnie wstąpiło, tylko o to, co ty dzisiaj połknęłaś, prawda?

Maryanne uklękła i znów zaczęła zbierać swoje rzeczy z podłogi.

- Wiedziałem. Wiedziałem, że coś bierzesz. Ale, och, nie, „jak śmiesz” powiedziałaś. „Jak możesz mnie tak oskarżać?!“.

Wredny, zły Logan, biedna, niewinna Maryanne. Wstała. Torebka wisiała u jej nadgarstka, z upiętych włosów wysunęło się kilka pasemek.

- Cóż, dopiąłeś swego. Dobra robota. Miałeś rację. Spryciarz z ciebie. - Jej oczy płonęły. - Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

- Nie, Maryanne. Nie jestem zadowolony, do cholery. - Logan zaśmiał się z goryczą. - Kłamiesz, kręcisz, oszukujesz; myślisz, że jestem z tego zadowolony? Że tak mi zależy na tym, by mieć rację? Że wolę mieć rację, niż wiedzieć, czy robisz to, co obiecałaś? A obiecałaś trzymać się z dala od prochów! - Pokręcił głową. - To jest najważniejszy wieczór mojego życia. A ja, zamiast być tam - wskazał drzwi - bawić gości i cieszyć się tym, że w końcu osiągnąłem to, do czego dążyłem od lat, siedzę w tej pieprzonej łazience i kłócę się z tobą, bo ty, najwyraźniej, postanowiłaś ten wieczór zniszczyć! - Obiema rękami z całej siły uderzył w marmurową obudowę umywalki i zamarł, usiłując opanować gniew. A potem Maryanne uderzyła go torebką i zaczęła okładać pięściami.

- Jak możesz? Jak śmiesz stać i mówić mi, twojej żonie, matce twoich dzieci, że ten hotel, ten budynek, jest najważniejszy w twoim życiu?!

- Tego nie powiedziałem...

- Ale tak myślisz! „Najważniejszy wieczór mojego życia”, to twoje słowa.

Logan odwrócił się i położył ręce na jej ramionach, próbując ją od siebie odsunąć, a ona nie przestawała okładać go pięściami. Po jej twarzy płynęły łzy.

- Nie przypisuj mi tego - powiedział cicho.

- Nie muszę! Sam to robisz.

- Obiecałaś mi. Obiecałaś też Charliemu i Lucii, że spróbujesz, że z tym zerwiesz - pokręcił głową. - Rozczarujesz ich.

- Och, ty wstrętny... - Maryanne chwyciła butelkę balsamu do rąk, bo jej się nawinęła, i cisnęła nią, nie w Logana, po prostu przed siebie. Szklane naczynie uderzyło w ścianę i rozprysło się w drobny mak. Logan zasłonił ramieniem twarz. - Wstrętny sukinsynu. Jak śmiesz wykorzystywać ich w ten sposób! - I Maryanne się rozpląkała, szczerze rozpląkała. Drzwi łazienki otworzyły się i ukazała się w nich głowa jednego z ochroniarzy.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale usłyszeliśmy hałas; czy wszystko w porządku?

- Tak. Dziękuję.

Ochroniarz kiwnął głową i wycofał się taktownie. Maryanne usiadła na miękko wyściełanym stołku przed umywalką i rozpaczliwie szlochała. Kiedy znowu się odezwała, jej głos brzmiał spokojniej, ciszej.

- Nie waż się mówić mi o uczuciach dzieci. Jakbyś naprawdę je znał. Pamiętasz, Logan, kiedy były małe, mówiłeś, że nigdy nie będziesz taki jak twoi rodzice? Że nie dopuścisz do tego, byś nie znał własnych dzieci, nie wiedział, co dla nich ważne, co się dzieje w ich życiu.

Logan zacisnął zęby.

- Może biorę narkotyki, może jestem uzależniona... wreszcie wymówiłam to słowo. Ale czy ty możesz mi powiedzieć, jaki jest ulubiony zespół muzyczny Charliego? Jak miała na imię jego pierwsza dziewczyna? Z jakich przedmiotów Lucia zawsze dostawała piątki? - Podniosła na niego nabiegłe krwią oczy.

Logan spuścił głowę.

- Nie było cię, Logan, nie było cię z nami od bardzo dawna. Przez chwilę patrzyli na siebie. Oboje żalowali wykrzyczanych słów. Oboje nie wiedzieli, jak je cofnąć.

- Chodzi o to, Logan, że ten hotel, ta wyspa, Luksus, są dla ciebie ważniejsze niż ja. Od wielu lat. Niełatwo mi z tym żyć.

Logan wziął głęboki oddech.

- Z tobą także niełatwo żyć, Maryanne. Z tobą także.

228

Rozdział 15

Luksus Logana - Logan Barnes przesuwą granice tego, jak dotąd rozumieliśmy to słowo.

Najnowsze dzieło gwiazdy *General Managera*.

Luksus: najseksowniejsza kryjówka na Oceanie Indyjskim.

Wielkie otwarcie: szacowany koszt: pięć milionów dolarów.

Następnego dnia po wielkim otwarciu w mediach i na ustach wszystkich było tylko jedno słowo: Luksus.

Logan siedział na swoim prywatnym tarasie, wychodzącym na ogrody Luksusu i ocean, i jadł śniadanie składające się z kawy i owoców. Johnny siedział naprzeciw niego. Wyglądamy jak stare dobre małżeństwo przy porannej gazecie, pomyślał Logan i uśmiechnął się do siebie. Na taras weszła Kirsten z kolejną teczką pełną wycinków z różnojęzycznej prasy. Nie spała całą noc, zbierając je. Ciągłe uzupełniała teczkę, w miarę jak w różnych strefach czasowych z drukarni wychodziły kolejne gazety i magazyny. Logan czytał wszystkie, a potem przekazywał jej Johnny'emu.

- Jeśli jeszcze coś przyjdzie, prześlę to panu pocztą elektroniczną.

- Dziękuję, Kirsten.

Odnosił wielki sukces - artykuły w prasie nie pozostawiały co do tego wątpliwości. Otwarcie przebiegło zgodnie z planem. Teraz zaczynała się prawdziwa praca - Luksus powinien spełniać oczekiwania gości, zapewniać im absolutną dyskrecję i zwrócić poniesione koszty. Logan nie oczekiwał, że hotel przyniesie duże zyski - musi jednak na siebie zarabiać. Wielu innym hotelom też musiał poświęcać uwagę, wielu nowym inwestycjom, planom i marzeniom. Na myśl o tym ogarnęła go miła ekscytacja.

Ale była też rodzina. Wspominając ją, nie czuł dumy i radości, choć powinien. Wszyscy jej członkowie, w ten czy inny sposób, budzili w nim niepokój. Życiu Charliego, który interesował się tylko swoim zespołem, wyraźnie nie przyświecał jasny cel. Lucia pozowała

do coraz bardziej ryzykownych zdjęć. A Maryanne... Maryanne. Ten piękny wieczór, jego wieczór, skaziło jej odrażające zachowanie. A przecież kiedyś był oczarowany jej niezwykłym wdziękiem i tym, że umiała znaleźć się w każdej bez wyjątku sytuacji.

Chciał dać jej wszystko. Naprawdę chciał. Pracował, by zapewnić jej piękne domy, kreacje światowej sławy projektantów, możliwość robienia tego, na co miała ochotę. Mogła jeździć wszędzie, kupić, co żywnie się jej spodobało, a jednak wyraźnie nie była zadowolona. Logan nie miał pojęcia, co powinien z tym zrobić.

Nie było cię, nie było cię z nami od bardzo dawna.

Słowa Maryanne dźwięczały mu w uszach. Czy to prawda? Całą noc, leżąc bezsennie w łóżku, podekscytowany przyjęciem i dobitny kłótnią, usiłował uznać te słowa za pijackie majaczenie, oskarżenia kobiety, która nad sobą nie panowała. Ale nie potrafił. W końcu zrozumiał, że już nie zaśnie, i wstał. Otworzył drzwi sypialni, by wypuścić do pokoju ciepłe, słodkie powietrze i posłuchać ciszy, jaka panowała na wyspie - jego magicznej wyspie. L'île des Violettes była pogrążona we śnie. Ciszę mącił jedynie szum oceanu. Choć wzburzony, Logan poczuł spokój.

Wyszedł na zewnątrz i poszedł na plażę drogą oświetloną przez płonące nadal pochodnie i poranne słońce. Ruszył wzdłuż brzegu po wilgotnym piasku, czując, jak woda obmywa mu stopy.

Maryanne mówiła prawdę. Nie znał swoich dzieci - nie znał ich jako ludzi z krwi i kości, jako dorosłych. Prawdą było też, że zrobił to, do czego nie chciał dopuścić. Jak, jak mógł być tak ślepy, by nie widzieć, że poszedł w ślady swojego ojca? Odcinał się, z upływem czasu odcinał od nich coraz bardziej. Nieważne, że nie odciągała go od bliskich whisky, tylko praca - efekt był taki sam. Rozbita rodzina, żal i wyrzuty sumienia. Nie po raz pierwszy w życiu żałował, że nie przyszedł na świat w innej rodzinie - że nie miał normalnych rodziców i brata albo siostry. Ach, ale cóż by mu to dało? Johnny miał wspierać rodzinę i co się z nią stało?

Ale on może jeszcze wiele naprawić, prawda? Jest czas, by naprawić stosunki z Charliem i Lucią, jeśli nie z Maryanne. Myśl ta uderzyła go jak obuchem. Nie wierzył, że zdoła porozumieć się z Maryanne. Nie tylko pomóc jej, ale znowu się do niej zbliżyć.

Nigdy nie przypuszczał, że do tego dojdzie. Inni ludzie oddalali się od siebie, pozwalali, by ich miłość usychała powoli - inni, ale nie oni. Tak walczył, aby ją zdobyć. Jak mógł teraz pozwolić jej odejść?

Szedł przed siebie. Wyspa zaczynała się budzić, rozlegały się pierwsze dźwięki: brzęk szkła, głosy kelnerów zanoszących tace ze śniadaniem do pokoi zmęczonych przyjęciem gości. Logan wiedział, że powinien wrócić do swojego apartamentu, spotkać się z Johnnym i Kirsten; oni pewnie już na niego czekają. Błękitne morze migotało w słońcu i ostre, białe światło raziło go w oczy. Oczy, w których poczuł nagle piekące łzy. Otarł je wierzchem dłoni. To przez to słońce. Tak, na pewno.

Teraz otrząsnął się już z nocnego smutku. Musi skupić się na przyszłości, nie na przeszłości. Odwrócił się do Johnny'ego. - Możemy chyba powiedzieć, że nam się powiodło.

Maryanne siedziała przy toalecie w swoim apartamencie po drugiej stronie korytarza, piła mrożoną kawę i także przeglądała nagłówki w gazetach. Ale sama nie bardzo wiedziała, co czyta, bo nie mogła przestać myśleć o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Wstydziła się swojego zachowania. Wstydziła się tego, że kłamała - okłamała Logana, dzieci, a przede wszystkim samą siebie. Wstydziła się, że ochroniarz widział ją w takim stanie, wstydziła się, że nie pamięta, jak wróciła do pokoju, że siedziała tu, w jednym z najpiękniejszych miejsc na ziemi, z rękami drżącymi od trucizny, którą wprowadziła do swojego ciała, z zaschniętym gardłem i zapuchniętymi od płaczu oczami. I ciągle złakniona narkotyków. Bo chciała wypełnić czymś tę pustkę - w swoim sercu? W duszy?

Ale bardziej jeszcze niż wstyd, dręczył ją okropny smutek. Naprawdę zbłądziła, zgubiła drogę. I straciła męża. Nagle przypomniała sobie coś, co brzmiało niemal jak żart. Jak to było? A, tak, kiedyś w szkole powiedziała koleżankom, gdy pytały ją o ojca, że go „straciła”. Miała nadzieję, że pomyślą, iż umarł, i dadzą jej spokój. Tymczasem usłyszała: „Musiałaś być bardzo nieostrożna. Jak mogłaś stracić całego człowieka? Wypadł ci z torebki?” I odeszły, chichocząc.

No cóż, pomyślała, historia lubi się powtarzać. Odepchnęła Logana za mocno, za daleko, aż i jego straciła - i nie miała pojęcia, jak go odzyskać.

Wlała do kawy trochę brandy i popiła nią tabletkę przeciwbólową. Nienawidziła siebie za to, że to zrobiła. Ale potrzebowała czegoś, co pozwoli jej wrócić do domu. Potem podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer kamerdynera.

- Proszę przygotować samolot. Wracam do Londynu. Nie, nie z Loganem. Sama.

Maryanne nie była jedyną osobą, która przygotowywała się do powrotu. Nicolo krążył po pokoju już od piątej, jak zwykle, choć tym razem w ogóle się nie położył, bo przyjęcie trwało do białego rana. Kiedy zaczął się nowy dzień, wrócił do apartamentu, wziął prysznic, poćwiczył trochę, znowu wziął prysznic, a potem zadzwonił do kamerdynera i poinformował go, że zje śniadanie na plaży.

Teraz złożył serwetkę, dopił wodę i ruszył przed siebie piaszczystym brzegiem. Przybył tu, by zobaczyć królestwo Logana, a teraz postanowił rozsadzić je od środka. Zniszczyć, zaczynając od samego serca tego imperium. Nadszedł czas.

Elise siedziała nad prywatnym basenem i popijała sok z liczi. Słyszała Billa - rozmawiał przez swój iPhone z jakimś maklerem czy dilerem. Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu.

- Nie, nie ma sprawy, jak mus to mus. Tak, w porządku, ciao.

Usłyszała za sobą kroki. Czekala. Wyczuła jego obecność. Przypomniała sobie poprzedni wieczór. Wrócili do apartamentu późno w nocy. Bill przewrócił ją na ziemię, kiedy tylko przeszli przez drzwi, i zrobił to z nią na zimnej, marmurowej podłodze salonu. Rąbnęła ramieniem o nogę krzesła i czuła ból przy każdym ruchu Billa, ale nie dbała o to. Już dawno zauważyła, że skargi nie przynoszą żadnego efektu - a czasem wręcz odwrotny, co zdarzało się, kiedy Bill był w złym humorze. Bardzo ją już zmęczyło życie w rytmie nastrojów Billa, w cieniu jego gniewu. Kiedy uderzył ją po raz pierwszy, jakoś to sobie wytłumaczyła. Klasycznie - wypadek, kochali się przecież tak namiętnie, poniosło go. Za drugim ra-

zem powiedziała mu, że jeśli coś takiego się powtórzy, odejdzie. Za trzecim oboje wiedzieli już, że to bluff. Wtedy mieli już Danny'ego i mimo całej radości, jaką dawał jej syn, Elise rozumiała, że Bill trzyma w ręku wszystkie karty.

- Nie pozwolę ci odejść z nim - szeptał jej do ucha. - Jeśli odejdiesz, odejdiesz sama. Nigdy nie pozwolę, żebyś odebrała mi syna.

Elise przemyślała to i rozumiała, że wpadła w pułapkę. Teraz spojrzała na niego znad ciemnych okularów.

- Co się stało? - zapytała. - Coś nie tak w biurze?

- Muszę wracać. Chodzi o konto Johnny'ego, ludzie, którzy się tym zajmują, mają jakiś problem. Bezużyteczne dupki. Ale ponieważ chodzi o niego...

- Jeśli musisz wracać, trudno.

- Właśnie. Ale chcę, żebyś ty została tutaj.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się lekko. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu.

- W porządku. Zostanę.

- Potrzebujesz odpoczynku, co? - uśmiechnął się szeroko. Nie odpowiedziała.

- Przydad się wreszcie na coś - ciągnął Bill. - Zostań tu i bądź miła dla Johnny'ego. Zaprzyjaźnij się z nim... i z Loganem, jeśli nadarzy się okazja. Oni mogą bardzo wpłynąć na moją przyszłą karierę.

Wyprężył się. Był bardzo dumny ze swojego statusu w Crown, z sukcesów, jakie tam odnosił.

- Tylko postaraj się mnie nie skompromitować - rzucił jeszcze. Elise kiwnęła głową.

- Nie zawiodę.

Wychodząc, z torbą na ramieniu, Bill zatrzymał się.

- Aha, Lisey?

- Tak?

- Możesz mi dać kartę wejściową do mieszkania? Zgubiłem gdzieś moją. Załatwię ci nową, nim wrócisz.

- Co zrobiłeś ze swoją?

233

- Gdybym to wiedział...

- W porządku, zaczekaj. - Przyniosła torebkę z garderoby i przejrzała karty: kilka kredytowych, prawo jazdy, karta wstępu na siłownię... aż znalazła tę, która pozwalała im dostać się na parking i otworzyć drzwi budynku, w którym mieszkali. - Proszę.

I w tej samej chwili zauważyła w torebce coś jeszcze - złożoną kartkę papieru. Tę, na której zanotowała tamtego wieczoru wiadomość dla Billa. Zawahała się, a potem zamknęła torebkę i podała Billowi kartę.

- Pa. Do zobaczenia wkrótce.

Kiwnął głową i ujął jej twarz w dłonie, przytrzymując jej brodę silnymi palcami.

- I żadnego hazardu, pamiętasz?

- Oczywiście - wymamrotała. - Zawarliśmy przecież umowę, prawda?

Pocałował ją w czoło.

- Tak. Zawarliśmy umowę. I wyszedł.

Dlaczego nie przekazała mu tej wiadomości? Sama nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Zapomniała o niej, ale to przecież nie koniec świata; mogła powiedzieć Billowi o telefonie i dać mu notatkę. Coś ją jednak powstrzymało. Coś, co tkwiło głęboko ukryte w umyśle.

Ludzie, którzy pracują w bankach, zwłaszcza za granicą, i codziennie kontaktują się z ważnymi klientami, nie zostawiają wiadomości ich żonom. I wtedy nagle zrozumiała. Tamten człowiek nie uważał jej za kogoś, kto nic nie wie o sprawie. Powiedział: „Chyba że pani sama zechce nas poinstruować”. Nie powiedziałby tak, gdyby miało to coś wspólnego z kontem Billa albo jego pracą. Powiedział tak, bo zapewne chodziło o ich wspólne konto, takie, które zostało założone na jej nazwisko, na przykład. Ale dlaczego Bill zakładałby wspólne konto, na jej nazwisko, nic jej o tym nie mówiąc?

Podniosła telefon i zadzwoniła do kamerdynera.

- Czy samolot mojego męża już odleciał? Zapomniałam mu o czymś powiedzieć.

- Och, przykro mi, pani McAllister, właśnie wystartował. Czy coś przekazać?

- Nie, nie, to nic pilnego. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, przebiegła przez sypialnię i ubrana wskoczyła do basenu, wydając przy tym głośny, radosny okrzyk. Zanurzyła się, czując, jak woda zamyka się nad czubkiem jej głowy, a sukienka unosi lekko wokół niej. Poruszyła nogami, wypłynęła na powierzchnię, zaśmiała się radośnie i przeczesła mokre włosy palcami. Czuła się tak, jakby rozstąpiły się chmury, a ona dopiero teraz, w pełnym słońcu, mogła zobaczyć, jak piękna jest ta wyspa. To miejsce było nie tylko luksusowe, było też niemal mistyczne. Elise przepłynęła całą długość basenu, rozkoszując się myślą, że całe trzy dni ma tylko dla siebie, a potem wyszła z wody. Nie chciała stracić ani jednej chwili.

Hotel był cudowny, bardzo jej się podobał, ale jeszcze bardziej interesowała ją wyspa, wciąż dzika pod warstwą luksusu. Elise włożyła bikini, szorty i podkoszulek i postanowiła zwiedzić Lile des Violettes.

Zostawiła za sobą hotelową plażę i poszła w kierunku przystani, do której przybiła ich łódź. Miała wrażenie, że od tej chwili upłynęły całe tygodnie. Czas zwolnił. Usiadła na końcu pomostu, zanurzyła nogi w wodzie i patrzyła na ławicę małych srebrnych rybek, pływającą wokół jej stóp. Danny byłby nimi zachwycony, uwielbiał ryby. Danny. Poczula nagły ucisk w sercu, tęsknotę za synem i lęk przed tym, co zamierzała zrobić. Wstała i poszła dalej. Nie myśl o tym teraz, powiedziała sobie. Przyjdzie na to czas.

Dalej plaża zwężała się, a rosnące przy niej krzewy zgęstniały. Elise nie знаła tych roślin - miały powykęcane korzenie i wydzierały lekko żywiczny zapach. Po tej stronie wyspy było znacznie goręcej, najwyraźniej plaża z kontrolowaną temperaturą tu nie sięgała.

Elise włożyła klapki. Widziała przed sobą piasek, a potem drobny żwir, a za zakrętem - duże kamienie. Może powinna zawrócić, ale coś kazało jej iść dalej. Po długim spacerze po piasku bolały ją łydki i spalona słońcem skóra na karku, ale rozruszała mięśnie i sprawiło jej to przyjemność. Pod wpływem impulsu zaczęła wspinać się na skały. Kiedy weszła na górę i przedarła się przez mangrowcowe

zarośla, pomyślała, że zachowała się nierozsądnie. Nie ubrała się odpowiednio, miała niewygodne buty (jak zwykle), niezbyt dokładnie posmarowała się kremem i chcąc jak najszybciej wyjść z domu, zapomniała zabrać wodę. Teraz było jej bardzo gorąco, zmęczyła się i chciało jej się pić. Co gorsza, zbliżał się przypływ, a czy ona ma dość sił, by wspiąć się jeszcze wyżej? Cholera. Powinna zawrócić czy iść dalej? Może znajdzie jakąś inną drogę? Postanowiła iść dalej. A gdyby stało się najgorsze i utknęłyby tutaj, przynajmniej będzie w cieniu. Ale przecież do tego nie dojdzie... chyba.

Szła przed siebie, coraz bardziej zgrzana, spragniona i wystraszona. Klapki japonki ocierały ją między palcami. Potknęła się o korzeń mangrowca i krzyknęła, a potem podniosła głowę i zobaczyła, że wydostała się z zarośli.

- Och!

Przed nią rozciągała się połać piasku, porośnięta mnóstwem mniejszych i większych fiołków. Na środku stał jakiś na wpół zrujnowany budynek. Było tu trochę chłodniej, słyszała też szum wody. Boże, ależ chciało jej się pić. Poszła w stronę, z której dobiegał szum. Czy to strumień? Och, nie, nie ma chyba halucynacji słuchowych?

Minęła budynek i zobaczyła, że piaszczysty teren ciągnie się dalej - do skał i wodospadu. Spływał do jeziorka czystej słodkiej wody. Elise podbiegła do niej i zaczęła pić, a potem zdjęła koszulkę i zanurzyła się w jeziorku, po raz drugi tego dnia zamykając pod wodą oczy. Cudowne uczucie. A kiedy się wynurzyła, oniemiała. Bo przed nią stał Logan Barnes we własnej osobie. Wyciągnął do niej rękę i wskazał niewielką chatkę.

- Mam tam ręczniki. Może nawet znajdę jakąś koszulkę. Chwyciła jego dłoń i pozwoliła, by pomógł jej wyjść z wody.

- Dziękuję - powiedziała, zakłopotana. - To znaczy... przepraszam. Zgubiłam się.

- Aha. To nie jest już część hotelu, chyba wiesz. Ale tym razem ci wybaczę.

Skrzywił się lekko na widok zaczerwienionej skóry na jej szyi i ramionach.

- Uhm. Trzeba to zakryć. Chodź.

Zaprowadził ją do chatki, w której stał stół, stary fotel i szafa z najpotrzebniejszymi rzeczami. Logan wyjął z niej ręcznik i bawełnianą, męską koszulę z długimi rękawami.

- To musi wystarczyć, zanim wrócimy do hotelu. Ale jak zdołałaś dotrzeć aż tutaj?

Elise zaczerwieniła się.

- Wędrowałam i... O Boże, mówię, jakbym miała sześć lat. Przepraszam. Tylko że... w tej wyspie jest coś takiego... że czuję... - urwała, bo speszyło ją jego uważne spojrzenie.

- Mów dalej. Co czujesz? Zastanowiła się.

- Czuję się tak, jakby mnie wzywała. Jakby w jakiś sposób należała do mnie i kazała mi siebie zgłębiać. Nie mogłam się powstrzymać. Ta wyspa jest jak syrena, która swoim śpiewem uwodziła marynarzy. Tu... tu działa jakaś magia, prawda?

Logan patrzył na nią bez słowa. Elise roześmiała się, zakłopotana.

- O Boże. Pewnie myślisz, że zwariowałam albo dostałam udaru słonecznego.

- Nie. Wcale nie myślę, że zwariowałaś - odparł. - Myślę, że jesteś pierwszą osobą, która rozumie, dlaczego musiałem kupić tę wyspę.

Myślała o nim; nie potrafiła przestać o nim myśleć od chwili, kiedy spotkali się przy wodospadzie tego ranka. A teraz stał obok niej przy barze ostrygowym.

- Napijesz się? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, dał znak kelnerowi. A on przyniósł białe brzoskwińowe bellini dla niej i piwo dla Logana.

- *Santé*. - Przychylił butelkę w jej stronę i wystawił twarz na wiatr wiejący od morza. - Przyjemniej tu niż w deszczowy wieczór w Londynie.

- Przyjemniej niż gdziekolwiek indziej.

- Dziękuję, że przyjęłaś zaproszenie na kolację - powiedział Logan. - Wydajesz się teraz znacznie spokojniejsza niż rano.

241

Nie wygląda tylko na spokojniejszą, jest też niezwykle piękna, pomyślał. Prosta jedwabna sukienka opadała wokół jej smukłego ciała miękkimi fałdami. Nawet zaczerwienione od słońca ramiona nie przyćmiewały jej pełnej blasku urody.

- Strasznie się tego wstydzę - powiedziała. - Wdarłam się na teren prywatny jak jakiś złodziej.

- Ależ nie. Naprawdę zrobiło na mnie wrażenie, że dotarłaś aż tam. Musiało ci to zabrać sporo czasu.

- Owszem. Lecz dzięki tobie wróciłam łatwiejszą drogą. Kiedy wysuszyła ubranie i wypła jeszcze trochę wody,

Logan

poprowadził ją ścieżką ukrytą wśród drzew mangrowca na brzeg, gdzie przy małym drewnianym pomoście czekała motorówka. Potem osobiście odwiózł ją na plażę przed jej apartamentem.

Rozmawiali chwilę o hotelu. Elise powiedziała Loganowi, jak była podekscytowana, kiedy zobaczyła pokoje, i co pomyślała, gdy obudziła się rano i od razu ujrzała morze. Śmiał się, kiedy wyznała mu, że czuła się jak dziecko w Boże Narodzenie, gdy otworzyła garderobę i znalazła w niej tyle ślicznych rzeczy. A potem uśmiech na jej twarzy nagle przygasł. Na kilka chwil zapomniała o Billu, o jego groźbach, o wszystkim. Niestety potem to wróciło, jak zawsze znienacka. Lecz co w tym złego, że poszła z Loganem na kolację? Bill powiedział jej przecież, żeby była miła dla niego i dla Johnny'ego.

- Przepraszam - powiedziała, skrepowana. - Pewnie cię nudzę, gadając bez końca o tym, jak cudowne jest to miejsce. Nikt nie musi ci tego mówić, sam je stworzyłeś.

- Nie nudzisz mnie ani trochę. Wierz mi, to najprawdziwsza prawda.

Na moment zapadła cisza.

- A więc... twój mąż musiał wyjechać.

- Tak.

Znowu oboje umilkli, myśląc o tym, jaki to szczęśliwy zbieg okoliczności. Potem Logan przejął inicjatywę.

- Lubisz owoce morza, prawda? Świetnie. Więc chodźmy na kolację.

Zszedł z białych schodków tarasu i poprowadził ją przez hol głównego budynku do wyjścia. Elise podążała za nim, nie wiedząc,

242

dokąd zmierzają. Ale Logan miał w sobie siłę i pewność siebie, które sprawiały, że czuła się przy nim bezpieczna. Szli ścieżką obsadzoną po obu stronach gardeniami; białe kwiaty lśniły w świetle księżyca, wydzielając upajającą woń. W końcu dotarli do małej plaży, przy której na wodzie unosiła się motorówka. Za sterem ktoś stał. Wsiadli do łódki i wypłynęli na ocean. Panowała tu cisza i ciemność. Elise przez chwilę rozkoszowała się spokojem, patrząc, jak światła hotelu nikną w oddali.

- Stąd ładnie go widać, prawda? - spytał Logan.

- Tak, wspaniały widok. Jak z bajki. Szkoda, że mój syn, Danny, nie może tego zobaczyć. Bardzo by mu się tu podobało.

- Ile ma lat?

- Sześć.

- Dobry wiek. Ciesz się nim, bo już niedługo będziesz miała w domu przyszczatego nastolatka.

- Wiem - roześmiała się Elise.

- Musisz go tu przywieźć. Nie odpowiedziała.

- No, dotarliśmy na miejsce.

Czyli do czegoś, co wyglądało jak splachetek białego piasku wynurzający się z wody w pobliżu trochę większej wysepki. Logan podał Elise rękę i kiedy już zaczęła się zastanawiać, czy będą brodzili w wodzie, by dostać się na wysepkę, rozległ się cichy szum i spod rufy motorówki wysunęła się dmuchana kładka.

- Zdejmij szpilki, dobrze? - powiedział Logan. A potem, kiedy ostrożnie weszła na kładkę: - Nie bój się, jest bezpieczna. Ma podpórki, które wbijają się w dno, więc na pewno nie spadniesz.

Elise uśmiechnęła się do siebie. Na razie Logan Barnes spełniał oczekiwania, jakie mogła budzić jego reputacja człowieka, który zmienia w złoto wszystko, czego się dotknie. Wyglądało na to, że wynalazł nawet sposób chodzenia po wodzie.

Na plaży stał niski, okrągły stół, wokół niego leżały duże poduszki. Wysokie kieliszki odbijały światło setek świec, palących się na piasku. Kilka metrów dalej przy dużym barbecue krzątał się kucharz. Płomienie lizały półokrągłe dno woka. Kucharz obrócił coś, co smażyło się obok na grillu, i szybko zaczął kroić coś na blacie.

- Och.

Logan poklepał poduszkę i Elise usiadła. Tuż obok stołu znajdował się barek na kółkach, z nierdzewnej stali, pełen butelek wina. Miał dwie części z regulowaną temperaturą. Na wierzchu stało wiaderko z lodem, na metalowych uchwytach wisiały kieliszki i drewniana taca. Logan zauważył, że Elise przygląda się temu wszystkiemu.

- Obawiam się, że dogadzam sobie bez umiaru. Lubię mieć wybór win do kolacji.

Elise spojrzała na niego.

- Jest pan taaaki elegancki, panie Barnes - powiedziała zadziornie.

Logan rzucił w nią serwetkę. Od tak dawna nikt nie odważył się z niego śmiać. Bardzo mu się to spodobało. Nalał do kieliszka kru-ga i podał jej, a potem siedzieli obok siebie, pili szampana i słuchali plusku fal. Zewsząd otaczała ich woda, zupełnie jakby znaleźli się na środku oceanu. Po piasku przebiegł krab.

- Spójrz - Logan wskazał wodę. Pochyliła się.

- Zaczekaj, kiedy jest ciemno, widać je lepiej. - Dał znak kucharzowi, żeby przygasił płomienie, i Elise krzyknęła z zachwytu na widok tysięcy maleńkich światełek migoczących w ciemnej wodzie.

- Co to?

- Świeące ryby. Świecą sobie, gdy szukają pożywienia i chcą porozumiewać się ze sobą. Sprytne, prawda?

Zachwycona, patrzyła na nie w milczeniu.

- Dlaczego mnie tu przywiozłeś? - spytała nagle.

- Bo jesteś zbyt piękna, by być tak smutną. A tu panuje spokój, więc pomyślałem, że ci się tutaj spodoba. No, a poza tym, to moja wyspa. To ja jestem odpowiedzialny za to, by gościom niczego nie brakowało i by dobrze się bawili. Tak lepiej?

Elise tylko uniosła brwi. Płomienie rozbłysły znowu, ryby znikły, a potem kucharz podszedł do stołu i położył na nim tacę pełną owoców morza: ostryg, wielkich, świeżo złowionych krewetek, ośmiorni-czek. Elise uświadomiła sobie nagle, jak bardzo zgłodniała.

Przez całą kolejną godzinę delektowali się wyśmienitymi daniami: krabami w sosie chilli, homarem, małżami skropionymi sokiem

z cytryny, plasterami polędwicy z tuńczyka podanymi w formie sashimi, cienkimi jak ryżowy papier. Wokół nich cicho szemrał ocean, miękko i kojąco. Do kolacji pili chłodne sancerre, rozmawiali i śmiali się. Elise nie pamiętała, kiedy ostatnio śmiała się tak szczerze, aż do bólu policzków. Gdy już zjedli, kucharz znikł i zostali sami na piaszczystej plaży. Szum motorówki ucichł w oddali.

- Nie martw się, przyjadą po nas, kiedy tylko zechcemy. Mam krótkofalówkę.

- Nie martwię się. - Elise mówiła prawdę. Zapomniała o Billu, o strachu, o przyszłości - była tylko ona i Logan w najpiękniejszym zakątku świata.

- Zawsze chciałeś zostać potentatem w branży hotelowej? -zapytała.

- Nie. Chciałem zostać astronautą. W szkole marzyłem, żeby polecieć na księżyc.

- Och. Cóż, może dobrze, że jednak podjąłeś inną decyzję. Hotele? To znacznie bezpieczniejsze.

- Fizycznie bezpieczniejsze, tak. Ale hotelarstwo wiąże się z ryzykiem. Głównie finansowym. A Luksus... ta wyspa... to najbardziej ryzykowne ze wszystkich moich przedsięwzięć. Jednak było warto. A ty? Kim ty chciałaś zostać, kiedy dorośniesz?

- Matką. I nią jestem. - Zawahała się. - Nigdy nie marzyłam o żadnej konkretnej pracy, nie miałam wielkich ambicji. Chciałam tylko być szczęśliwa. Nie wiem, jak to się stało, że skończyłam tak...

Urwała i wbiła wzrok w kolana.

A więc o to chodzi, pomyślał Logan. Stąd ten smutek w jej oczach. Postanowił zaryzykować; lekko dotknął jej dłoni.

- Nigdzie nie skończyłaś, Elise. Pamiętaj, że wszystko można zmienić.

- Chodzi o to, że nigdy nie wyobrażałam sobie, że zostanę żoną biznesmena - powiedziała Elise cicho. - Należę do komitetu, który organizuje bal charytatywny... i nie wiem nawet, jak to się stało. Jak stałam się jedną z kobiet, które zajmują się czymś takim. Nie cierpię tego, ale to moja praca, jeśli można to tak nazwać. Kiedy wrócę do domu, będę musiała zająć się szukaniem miejsca na ten bal. Miejsca, gdzie grubi bankierzy i ich chude żony usiądą

sobie, wcinając *foie gras* i udając, że interesuje ich cel tego balu, choć pewnie nigdy o nim nawet nie słyszeli. Nie wiem, czy coś bardziej może przygnębiać. - Urwała. - Przepraszam. Chyba trochę mnie poniosło.

- Cóż, w tym akurat mogę ci pomóc. Nic nie poradzę na grubych bankierów i ich chude żony, ale przynajmniej mogę zaproponować miejsce na bal. Wiem, że Bill bardzo pomógł Johnny'emu. Jestem pewien, że z kolei LBI wam pomoże.

- Nie chciałam...

- Wiem. Wiem. Żaden problem, załatwię to. Powinno ci to nabić trochę punktów w komitecie. Doświadczenie mówi mi, że często te miłosierne panie są okropne...

Gdy wyjmował z barku butelkę koniaku, Elise usiłowała zapanować nad emocjami.

- Nie powinnaś czuć się schwyтана w pułapkę, Elise. Na zmiany nigdy nie jest za późno.

- Ale ja jestem schwyтана w pułapkę. Moja sytuacja jest dość... skomplikowana.

Logan postanowił zaryzykować jeszcze raz. Odwrócił jej dłoń i spojrzał na nadgarstek. Siniak był teraz ciemnoniebieski i niemal błyszczał w świetle księżyca.

- Skomplikowana z powodu czegoś takiego jak to? Elise cofnęła rękę i zadrżała.

- Bill nie jest szczęśliwy - powiedziała. - Odniósł sukces, tak. Ale nie jest szczęśliwy. I nie zawsze wyładowuje złość... kulturalnie. - Z trudem przełknęła ślinę. Nigdy wcześniej nie powiedziała tego głośno.

Logan ledwie opanował gniew, który wezbrał w nim na myśl, że ta urocza kobieta jest traktowana w taki sposób.

- Myślałaś o tym, żeby od niego odejść?

- Cały czas o tym myślę. Ale odejść nie mogę.

- Danny?

- Tak.

Zrozumiał, widziała to. Była mu wdzięczna, że tylko kiwnął głową, nie prosił, żeby mu to wyjaśniła, nie zadawał pytań. Po prostu przyjął to do wiadomości. I sącył drinka.

- Cóż, nie on jeden odniósł sukces, a nie jest szczęśliwy. Choć to nie powód, by bić żonę.

- Myślałam, że jesteś...

- Szczęśliwym mężem? Ojcem złotej rodziny Barnesów, jak w *General Managerze*?

Elise wzruszyła ramionami.

- Właśnie.

- Kiedyś, tak. Kiedyś byłem szczęśliwy.

- Więc co się stało?

- Szczerze, Elise? Prawda jest taka, że ciągle sam tego nie wiem.

Elise spędziła z Loganem siedem godzin. Dotknął jej tylko trzy razy - kiedy pomagał jej zejść na ląd, poklepał ją po ręce i odwrócił jej nadgarstek. Przypominała sobie ten dotyk, przewracając się z boku na bok w chłodnej pościeli.

Nie mogła zasnąć. Nie potrafiła przestać wyobrażać sobie jego dłoni sunących powoli po jej ramionach, szyi, piersiach... jego usta przy jej ustach...

Rozdział 16

Mark i Logan minęli główne wejście do hotelu i ruszyli w stronę bram Luksusu. Mark wyglądał elegancko jak zawsze, mimo południowego upału. Logan zdecydował się wrócić do Londynu, choć wolałby zostać na wyspie. Tym bardziej że Elise miała tu być jeszcze jeden dzień. Uświadomił sobie jednak, że ma zobowiązania. Luksus to jego niejedyny hotel, a poza tym musi w końcu porozmawiać poważnie z Maryanne. Mark cieszył się, że nie wyjeżdża. Jego żona przygotowywała się do kampanii wyborczej, co oznaczało, że przez dom przewalą się tłumy kobiet rozdających ulotki.

- Nie martw się, czuвам nad Luksusem - zapewnił Logana. -Na razie wszystko idzie gładko. Pojawiło się kilka drobnych problemów, ale nic, czego byśmy nie przewidzieli.

Loganowi podobał się sposób, w jaki Mark mówił. Tak poprawnie. Tak bardzo po angielsku.

- Świetnie. Wszystko musi iść gładko, kiedy goście zaczną płacić.

- Zgadza się. I tak będzie. Ale, muszę lecieć. Na razie, Logan.

Logan wiedział, że może mu ufać - uwadze Marka rzadko umykały najdrobniejsze nawet szczegóły. Ostatnio jednak Mark wydawał się trochę nieswój. Logan miał nadzieję, że nie zamierza odejść z firmy czy coś w tym rodzaju. Mark zawsze przywiązywał wagę do drobiazgów, których Logan, skupiony na całości, często nie dostrzegał. Postanowił, że kiedy się spotkają, porozmawia z nim, upewni się, że wszystko w porządku. Nie mógł go teraz stracić.

Przez całą drogę powrotną do Londynu myślał tylko o niej. Co kilka minut próbował się skoncentrować na tym, czym akurat powinien się zająć, ale zaraz jej twarz znowu pojawiała mu się przed oczami i serce zaczynało bić szybciej. Niezwykła kobieta. Taka inteligentna, dowcipna, pełna życia. Widział w jej oczach przyszłość i czuł, że mógłby stać się jej częścią.

Zadzwonił telefon. Rachel.

- Fergus Chilman na linii, w sprawie wywiadu.

- Dziękuję, Rachel, połącz mnie z nim.

Fergus był starym przyjacielem, dziennikarzem. Pomagał Loganowi pisać autobiografię. Pił trochę za dużo, zwłaszcza ostatnio, ale świetnie przeprowadzał wywiady. Wyciągnął już z Logana więcej, niż ten miał ochotę zdradzić. Logan wiedział, że musi się skupić i przestać marzyć o Elise McAllister jak zakochany nastolatek, bo w przeciwnym wypadku zacznie o niej opowiadać Fergusowi.

- Fergus! - powitał go serdecznie. - Gotowy do dalszej pracy?

- A jakże. Doszliśmy ostatnio do studiów. No, stary, a tak przy okazji, przyjęcie było pierwsza klasa.

- Więc dobrze się bawiłeś?

- Impreza stulecia. Wszyscy ciągle o niej mówią.

- Mam nadzieję. Kosztowało mnie to fortunę.

- Nie wątpię. No dobra, skończyliśmy na Harvardzie. Samotny młody mężczyzna, Ivy League... na pewno wiążą się z tym jakieś pikantne historie.

- Dużo się uczyłem i chodziłem spać o dziesiątej.

- Jak my wszyscy, stary, jak my wszyscy... No, puść trochę farby. Nie wzięłaś tej gigantycznej zaliczki za opowiadanie o tym, ile hoteli udało ci się otworzyć, co?

Logan wybuchnął śmiechem.

- Okej, okej. Ale nie będzie za dużo seksu. Wiesz, jestem żonaty.

Hm, żonaty, tak, ale... czy zachowywał się jak żonaty mężczyzna? Nie, teraz nie miał czasu na takie rozważania.

- Chyba nie zawsze tak było? Zresztą jak chcesz, możesz coś wymyślić, to bez znaczenia. Ludzie chcą poczuć, że udało im się zajrzeć za kulisy, tylko to się liczy.

- Dobra, poddaję się... No cóż, było raz tak, że...

Podczas gdy Logan wracał z Luksusu, upojony sukcesem, czytając poświęcone mu artykuły, czytał je także ktoś inny. Colette Hardy siedziała przy łóżku matki, wpatrzona w ekran swojego małego laptopa. Logan Barnes cieszył się życiem, jakby nigdy nic - jakby ona i jej matka nie były ważne, jakby to, co się z nimi stanie, w ogóle się nie liczyło.

Popisywał się swoim sukcesem, triumfował, chwalił się swoimi rozpieszczonymi dziećmi. Ale już niedługo. Już niedługo.

Przez całą powrotną drogę z wyspy Nicolo siedział obok śpiącej Vienny, zżerany zazdrością i gniewem. Tyle lat udawało mu się utrzymać rywalizację z Loganem pod kontrolą - wyglądało to więc tylko na zwykłe przepychanki dwóch bogatych przedsiębiorców, których łączyła wspólna przeszłość. W końcu nic w tym niezwykłego. Ale gdzieś w głębi jego serca nadal palił się płomień. Nicolo podsyczał go od czasu do czasu. Wstawał w nocy i kilka godzin surfował po Internecie, sprawdzając, co jeszcze zdołał osiągnąć Logan. Rozmyślał nad tym, co zrobić, żeby trochę uprzykrzyć mu życie. Pozwalał sobie na cudowne, rzadkie chwile, kiedy to udawało mu się zrobić rysę na gładkiej fasadzie życia Logana.

W końcu przekupił jedną z sekretarek pracujących dla LBI i zdobył plany dotyczące otwarcia nowego kasyna w stanie Michigan. Uprowadził ruch Logana i sam przedstawił je w departamencie

planowania. Logan pozwał go do sądu; sprawa ciągnęła się ponad rok. Nicolo nie dbał o to - rozpoczął budowę i z rozkoszą wplątał Logana w skomplikowane sądowe procedury.

Logan w odwecie postarał się, by budowa została przerwana: nagle wszystkim pracownikom Nicolo zabrakło wizy albo pozwolenia na pracę, co oznaczało, że musiał wydać krocie, by się z tym uporać.

Kiedyś to Logan dolał oliwy do ognia - w wywiadzie dla „For-besa” dał do zrozumienia, że rodzina Nicola powiązana jest z maltańską mafią. Nicolo nie miał wprawdzie takich powiązań, ale jak każdy Don wysoko cenił honor swojej rodziny - odegrał się więc, udzielając wywiadu, w którym całkiem wyraźnie sugerował, że Logan stworzył firmę dzięki brudnym pieniądзом. „Wystarczy zajrzeć w papiery - powiedział - a prawda zaraz wyjdzie na jaw. To, co powiedział Barnes, szarga moje nazwisko; myślę, że powinien być bardziej ostrożny, bo w końcu ludzie zaczną grzebać także w jego przeszłości. Każdy wie, jak można wykorzystać hotele i kasyna do prania brudnych pieniędzy, zwłaszcza ja wiem o tym doskonale... sam zostałem o to oskarżony”.

Zawsze kiedy Nicolo uległ pokusie wywarcia zemsty - zemścił się już dostatecznie, a jednak nie potrafił przestać - czuł niesmak do samego siebie. I jak narkoman przysięgał sobie, że to się nie powtórzy, że uwolni się od narkotyku i zamknie za sobą przeszłość. Naprawdę tego chciał, chciał dać sobie z tym spokój i poświęcić całą energię rozwijaniu własnego biznesu i sprawom osobistym, zamiast tak bardzo skupiać się na życiu Logana. Nicolo sam odniósł wielki sukces, uzdolnienia, które wykazywał w bardzo młodym wieku, rozwinęły się i dojrzały wraz z nim. Zdominował rynek hoteli w stanie Kalifornia - jego nieruchomości były bardzo nowoczesne i przyciągały młodych, dobrze sytuowanych klientów. Miał wszystko, czego zapragnął: kolekcję dzieł sztuki, której zazdrościło mu niejedno muzeum, zaproszenia na każdą premierę, wernisaż i kolację, byle znalazł na nie czas. Nie miał jednak niczego ani nikogo, kto zagościłby w jego sercu. Od kiedy rozstał się z Maryanne, nie związał się z żadną kobietą, która by coś dla niego znaczyła. Już nigdy nie odważył się nikomu zaufać czy na kimś polegać. Tamtego

dnia, kiedy siedział na starym dywanie w swoim mieszkaniu, z pierścieniem zaręczynowym w ręce, zmienił się na zawsze. Zamknął serce, zabarykadował je i nikogo do niego nie dopuszczał. Już nigdy więcej nie zaryzykuje. Zamiast miłością i przyjaźnią, starał się więc wypełnić swoje życie pracą, czymś, co absorbowało jego uwagę. Na ogół mu się to udawało. Nie miał żadnych prawdziwych przyjaciół, ale mnóstwo ludzi kręciło się wokół niego ze względu na jego pieniądze i wpływy; nie brakowało też kobiet, które chętnie by z nim spały. Mieszkał w końcu w Los Angeles. Ale od czasu do czasu, kiedy wydawało mu się, że już się z tym uporał, jakaś iskra znowu wzniesła pożar i udreka, której smak znał od ponad dwudziestu lat, się odradzała.

Nikt nie brał tego zbyt poważnie. Ot, dwóch tytanów biznesu, napędzanych testosteronem i ambicją, walczy ze sobą na salach sądowych i na łamach gazet. Nikt, kto o tym czytał i zastanawiał się, który z nich tym razem zwycięży, nie wiedział, co się za tym kryje, nie znał okoliczności, w jakich się poznali, i przyczyny tego, że musieli się rozstać. Nikt nie znał rozmiaru strat, jakie już ponieśli w tym pojedynku, ani nie mógł przewidzieć, jakie jeszcze poniosą. Najtrudniej było, kiedy na ekrany wchodził *General Manager*. Nicolo jechał Bulwarem Zachodzącego Słońca, rozmawiając przez zestaw głośnomówiący ze swoim księgowym, kiedy po raz pierwszy zobaczył ich na billboardzie. Logan Barnes, Johnny Stokes i Mark Mallory. Plakat wisiał wysoko nad drogą, a na nim oni z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z surowym wyrazem twarzy. „*General Manager*”, głosił napis. „Już wkrótce. Kto pierwszy się wymelduje?”

- Zadzwoń później - powiedział Nicolo do księgowego i wjechał w boczną ulicę, gdzie mógł zaparkować.

Wysiadł z samochodu i podszedł pod billboard. Trzy twarze spoglądały na niego z góry. Wyprostował się, ale w porównaniu z nimi wydawał się mały jak karzeł. Cóż za ironia. Logan - to on zrujnował mu życie. Johnny, człowiek, który na to patrzył. I Mark: najwyraźniej zajął jego miejsce w tym tercecie. A więc Logan postanowił zaskarbić sobie świat mediów. Dołączyć do celebrytów. Pewnie wyobrażał sobie, że zostanie Gordonem Ramsayem hotelarstwa czy kimś takim. To miało sens. W biznesie liczyła się teraz przede wszystkim marka,

a telewizja i inne media najszybciej ją budowały. Nicolo zapalił papierosa; stał i spoglądał na plakat. Będą wkrótce wszędzie. Program zostanie wyemitowany za kilka miesięcy i te twarze ukażą się w telewizji, w prasie, w Internecie. Pojawia się książki, promocje, wywiady. Jak to znieść? Jak siedzieć i patrzeć na to, podczas gdy oni będą się pławili w światłach jupiterów, Logan ze swoją wspaniałą rodziną, Johnny ze swoim przykładnym życiem bogatego singla, i Mark z jego perfekcyjnym wizerunkiem angielskiego dżentelmena... Krzycząca niesprawiedliwość. To on powinien tam być. To on powinien być mężem Maryanne, to on powinien być trzecim członkiem tego zespołu, to on powinien mieć żonę, przyjaciół i prawdziwe życie, a nie to coś, co tylko je pozorowało.

Rzucił niedopałek na chodnik. Miał wrażenie, że płuca mu płoną, ścierpła mu skóra. Szybko wrócił do samochodu, usiadł za kierownicą i pozwolił sobie na pięć minut czystej, intensywnej wściekłości, która zalała go jak rozgrzana do białości lawa.

Potem pojechał do domu i zaczął snuć plany.

O wyspie, kupionej niedawno przez LBI i zamiarach wybudowania na niej najbardziej ekskluzywnego hotelu na świecie, na początku tylko szeptano. Nicolo nadstawił wtedy uszu. Wyspa? Gdzieś daleko, odcięta od reszty świata... czy to właśnie ta wyspa? Przebąkiwano o niej na mieście i w hotelowych korytarzach. W końcu pojawiły się pierwsze artykuły w prasie i o wyspie zrobiło się głośno. Wtedy też wspomniała o niej Vienna. Magiczne miejsce, o którym Logan marzył od lat...

Tak, to na pewno Lile des Violettes. Wyspa, na którą popłynęli razem, cała ich trójka; przysięgli sobie wtedy, że na nią wrócą - ale już jako jej właściciele. Dwóch z nich wróciło. Bez niego. „Jeden człowiek uzbrojony w marzenia koronę śmiało będzie brać, trzech, gdy jedną pieśń odśpiewa, królestwem w posiadach może zachwiać”.

Tym razem Nicolo postanowił udowodnić, że nawet jeden człowiek może zwalić gmach imperium.

Colette na pewno dostała już ostatnią partię artykułów, którą jej wysłał, a także pieniądze. Dawał jej pieniądze od lat, lecz nigdy nie były to zbyt wysokie kwoty. Tyle, by starczyło na opłacenie

rachunków, ale nie na wygodne życie, zwłaszcza że chodziło o życie z kobietą, która wymagała stałej opieki. Nicolò robił to z przyjemnością. Dziewczyna pielęgnowała w sobie nienawiść do Logana niemal równie wielką jak jego własna, a on podsycił ją, jak umiał. Natknął się na Colette właściwie przez przypadek. Jeden z prywatnych detektywów wynajętych do wyszukiwania brudnych historyjek z życia Logana znalazł wzmianki o niej i jej matce w jakichś sądowych dokumentach i skontaktował się z nimi, chcąc wy badać, czy Nicolò mógłby je wykorzystać do swoich celów. Colette miała wtedy zaledwie osiemnaście lat i obwiniała Logana o wszystko, co w jej życiu było nie tak, to znaczy o wypadek matki i jego skutki: biedę, stracone możliwości, prace, których nie mogła przyjąć, i odebrane jej dzieciństwo.

Nicolò bez trudu to wykorzystał. Zależało mu, by cały czas dręczyło ją poczucie głębokiej niesprawiedliwości, by dokładnie widziała przepaść, jaka dzieliła jej życie od życia rodziny Barnesów. W miarę jak rosła fortuna Logana, rosła też furia i żądza zemsty Colette. Teraz wreszcie mógł jej dać doskonałą okazję do wzięcia odwetu, pieniądze, dzięki którym mogła tego dokonać, a także obietnicę, że nadal będzie ją wspierał.

Zaangażowała się w to wszystko, tak jak przypuszczał. Czekał latami na właściwy moment - i teraz ten moment nadszedł.

Minał tydzień, od kiedy Elise opuściła Lile des Violettes i teraz pobyt tam wydawał jej się tylko snem. Wspaniale było znowu zobaczyć Danny'ego, mniej wspaniale - Billa. Teraz siedziała przy swoim biurku i piła poranną kawę, ostrożnie trzymając w ręce filiżankę. Palec był spuchnięty, ale chyba nie złamany - w każdym razie mogła nim poruszać. Bill wygiął go tak mocno, że zaczęła krzyczeć z bólu. Tym razem wściekł się o to, że wyszła z Delly na kolację i nie powiedziała mu, dokąd się wybiera. Danny'ego zostawiła pod opieką Ines. Gdy wróciła do domu, Bill zrobił jej okropną awanturę. Zarzucił jej, że poszła do kasyna, i w końcu Elise musiała zadzwonić do restauracji i poprosić o potwierdzenie, że w niej była, podczas gdy Bill słuchał tej rozmowy z drugiego aparatu. Zrezygnowała z kasyna, było to zbyt ryzykowne. Grała przez Internet,

za każdym razem dokładnie usuwając z komputera wszelkie ślady po stronach, na które wchodziła. Wygrane przelewała na swoje tajne konto oszczędnościowe, które założyła specjalnie w tym celu. To był jej ratunek. Jej ucieczka. Kwota na koncie rosła.

Awantury stawały się coraz poważniejsze, nie miała co do tego wątpliwości. A może to ona zbliżyła się do granicy wytrzymałości? Czy zaczęła się przygotowywać do podjęcia największego ryzyka w swoim życiu? Nie wiedziała. Ale wiedziała, że już niedługo coś musi się wydarzyć.

Teraz jednak miała różne sprawy do załatwienia. Telefony. Danny był bezpieczny, w szkole. W domu panowała cisza. Elise wyjęła z torebki kartkę papieru i wystukała zapisany na niej numer. Czekając na połączenie, zastanawiała się, co powinna powiedzieć. „Dzień dobry, mówi Elise McAllister, oddzwaniam, bo...” Nie, niedobrze. „Halo, mówi Elise McAllister... Dzwonię w sprawie...” Uhm. Musi się rozluźnić, z nadzieją, że wszystko jakoś się ułoży. Zrób to teraz, nakazała sobie, zanim spanikujesz. Oddychaj głęboko....

- Dzień dobry. Lenegan i Pearson. Cholera. Teraz nie było już odwrotu.

- Dzień dobry, czy mogłabym rozmawiać z Sethem Whartonem?

- A kto dzwoni?

- Pani... - Głos jej zadrżał i niewiele brakowało, a odłożyłaby słuchawkę. Och, na litość boską, kobieto, weź się w garść. - Mówi Elise McAllister.

- Proszę zaczekać.

Elise powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Pani McAllister, witam panią. W czym mogę pomóc?

- Dzień dobry, panie Wharton, chcę tylko sprawdzić, czy mój mąż już do pana dzwonił. Mieliśmy tu mały rozgardiasz.

- Nie, jeszcze nie, ale postanowiłem go nie nękać. Założyłem, że pani albo mąż skontaktujecie się ze mną, kiedy będziecie gotowi. W końcu pieniądze nigdzie się nie wybierają.

- Właśnie. - Elise urwała. Co dalej? - A więc...

- Może przypomnę pokrótce sprawę? Muszę tylko wiedzieć, czy zysk ze sprzedaży tych akcji, wynoszący trzy miliony fun-

tów szterlingów, zostanie u nas, czy mamy go przelać na państwa wspólne konto, tak jak robiliśmy to niejednokrotnie... chyba że macie państwo dla nas jakieś inne instrukcje.

Chryste. Co się dzieje?

Odchrząknęła.

- Hm. Tak. Proszę przelać je na nasze wspólne konto.

- Oczywiście. Gdyby tylko zechciała pani jeszcze podać hasło. Przykro mi, ale muszę o to prosić...

- Rozumiem. - Elise zastanawiała się gorączkowo. Jakie hasło mógł wymyślić Bill? Nie było to żadne z tych, które знаła. A zatem nie było to ani jej imię, ani Danny'ego, ani jego matki... - Przepraszam, że zabieram panu czas, ale mamy sporo różnych haseł, więc muszę sprawdzić.

- Naturalnie, poczekam.

I wtedy ją olśniło. Hasło musiało być takie, jakie - jego zdaniem - sama by wybrała.

- Elise kocha Billa - powiedziała i wstrzymała oddech. Czy wystarczająco dobrze znała swojego męża?

Seth roześmiał się.

- Wzruszające, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, pani McAllister.

Poprosiła Seta, by przesłał kopie transferów na sekretne konto e-mailowe, którego używała czasem do internetowego pokera, a potem patrzyła na tę górę pieniędzy, która wpłynęła na konto założone na jej nazwisko, a potem znikła, przelana na konto Billa.

Znowu sięgnęła po telefon i zadzwoniła do swojej nowej przyjaciółki, Delly, która jak zwykle miała wiele pomysłów na to, po co zakłada się sekretne konta bankowe i jak to zrobić.

W końcu zadzwoniła do LBI Hotels i poprosiła o połączenie z Loganem. Postanowiła przypomnieć mu o propozycji udostępnienia sali na bal charytatywny organizowany przez Crown. Bill chciał przecież, żeby bardziej włączyła się w życie jego firmy, czyż nie? Chciał, żeby była miła dla Johnny'ego i Logana. Ona spełniała tylko jego życzenia. Nie zdając sobie z tego sprawy, Bill, który wkładał tyle energii, by odciąć żonę od świata zewnętrznego, sam otworzył przed nią drzwi, a w nich świeciło światło.

255

Delly i Elise przechadzały się po sali balowej, stukając obcasami po wypolerowanej podłodze, i słuchały menedżerki, która o niej opowiadała. Sala była rzeczywiście wspaniała: duża, z wysokim sufitem, galerijką biegnącą dookoła i kilkoma przyległymi pomieszczeniami - znajdował się w nich bar i miejsce do odpoczynku. Zgodnie z instrukcjami Logana hotel miał być zarezerwowany na potrzeby balu, wyjaśniła menedżerka, bardzo niska kobieta, która po każdym zdaniu energicznie kiwała głową, jakby w myślach odhaczała wykonane zadanie.

- Czy możemy też prosić o specjalne potraktowanie, jeśli chodzi o rezerwację pokoi? - spytała Delly.

- Jeżeli goście zadeklarują, czy będą chcieli wynająć pokój, czy też nie, na miesiąc przed balem. Jeśli chętnych będzie więcej niż pokoi, przygotujemy je w innych hotelach pana Barnes'a, a także zapewnimy transport do nich.

- Och, więc...

- Pan Barnes poinformował mnie, że cały hotel ma być do dyspozycji firmy Crown na czas balu, i że dotyczy to także pokoi. Och, przepraszam...

Rozdzwoniła się komórka menedżerki, głośno i ostro. Kobieta odeszła dalej i odebrała telefon. Delly chwyciła Elise za rękę; ta krzyknęła, bo brylanty z pierścionków przyjaciółki wbiły jej się w dłoń.

- Wiesz, całe miasto będzie o nas mówiło, zostaniemy gwiazdami komitetu dobroczynnego Crown. Nigel posika się, kiedy powiem mu, jak tego dokonałam. To znaczy, jak my tego dokonałyśmy. W porządku, jak ty tego dokonałaś, ale... Jezu, nie mogę uwierzyć, że dostałyśmy cały hotel na tę noc. A tak przy okazji, od jak dawna się z nim pieprzysz?

- Delly! Z nikim się nie pieprzę. Spotkaliśmy się tylko raz. To nie znaczy, oczywiście, że pieprzyłabym się z nim, gdybym nawet... - urwała nagle.

- Nie krępuj się, kochana, wszyscy to robią.

- Nie, naprawdę. Poznałam go w Luksusie. Na otwarciu. Zabrał mnie na kolację na plaży. To było... cudowne.

Delly rozejrzała się na boki.

- Nie wątpię. Otwarcie Luksusu, co? Cóż, jeśli jeszcze się z nim nie pieprzysz, to niedługo na pewno zaczniesz. On najwyraźniej oszalał na twoim punkcie, a mężczyźni tego pokroju zwykle dostają to, na co mają ochotę. Idź z nim do łóżka i ciesz się chwilą, szczerze ci radzę.

Elise zaczerwieniła się. W tym momencie wróciła do nich menedżerka.

- Pani McAllister; pan Barnes prosi, by pani jak najszybciej do niego zadzwoniła. Chciałby osobiście omówić z panią szczegóły dotyczące tego wydarzenia. Przeprasza, że nie mógł tu przyjść, ale może pani zadzwonić do niego na ten numer. - I podała Elise elegancką kartę wizytową.

Delly szturchnęła ją łokciem pod żebro.

- Mówiłam ci, kochana - powiedziała teatralnym szeptem i wybuchnęła perlistym śmiechem.

Elise rzuciła jej spojrzenie, które miało być łagodniejszą wersją kopniaka, ale na Delly nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Elise do pani menedżerki. - Na pewno się z nim skontaktuję.

Kiedy już obejrzały salę, poszły na szybkiego drinka, a potem Delly pojechała taksówką na kolejne spotkanie. Elise miała odebrać Danny'ego ze szkoły dopiero za kilka godzin, poszła więc pieszo przez Covent Garden; spoglądała na stoiska na rynku, artystów zabawiających tłum na placu i słuchała kwartetu smyczkowego. Zatrzymała się przy balustradzie i patrzyła przez chwilę na muzyków. Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła wizytówkę Logana. Myślała o nim, a także o tym, co usłyszała od Delly na temat forward-tradingu.

- Forward-trading, front-running, jakkolwiek to nazwać, jest to nielegalne.

- A nie tylko... źle widziane? - spytała Elise z nadzieją. Może Bill jednak działa zgodnie z prawem? Ale nie.

- Nie, to nie jest tylko źle widziane. Posłuchaj, Elise, jeśli znasz kogoś, kto to robi, bądź bardzo ostrożna i nie wdawaj się z tą osobą w żadne interesy, bo możesz zostać w to wciągnięta. - Delly spojrzała na nią przenikliwie. - Masz jakieś kłopoty, Elise?

- Och, nie! Jesteś kochana i dziękuję za wyjaśnienia, ale nie chodzi o żadną znajomą osobę, Boże broń!

Czy zabrzmiało to przekonująco?

Delly upiła łyk drinka i wzruszyła ramionami.

- Więc zadzwoniłaś do mnie z Oceanu Indyjskiego, żeby o to zapytać, chociaż nie masz żadnych kłopotów. W porządku.

Elise zaczerwieniła się.

- Tak, żadnych, Delly, naprawdę.

- Cóż, pamiętaj o tym, co ci powiedziałam. Bądź ostrożna. I nie mówię tylko o tym, ale też o Loganie.

Elise zaczerwieniła się jeszcze bardziej, ale tym razem niczemu nie zaprzeczyła.

- Spróbuję.

Spróbuję. Teraz, na ulicy, zatrzymała się nagle i stała tak, patrząc w przestrzeń. Wróciła do rzeczywistości, kiedy jakiś mężczyzna w żółtej marynarce chciał wcisnąć jej do ręki ulotkę. Spojrzała przez ramię i zobaczyła, że stoi obok automatu telefonicznego. Od lat nie korzystała z automatów, lecz w dużej, ciężkiej słuchawce i wsuwaniu kolejnych monet w szczelinę było coś dziwnie uspokajającego. Zrobiła to szybko, niewiele myśląc, bo wiedziała, że gdyby zaczęła się zastanawiać, opuściłaby ją odwaga.

Przypomniały jej się czasy, kiedy zdawała egzaminy, kiedy czekała na wynik testu ciążowego, kiedy szła na spotkanie w sprawie pracy - wszystko naraz. Drżały jej ręce i przełykała nerwowo ślinę, starając się uspokoić oddech. Po drugim sygnale w słuchawce rozległ się głos.

- Logan Barnes International, słucham.

Spotkali się w małej włoskiej kafejce w Soho, gdzie rozflirto-wani kelnerzy podawali espresso z buchającą parą maszyny i małe słodkie ciasteczka. Przyszła pierwsza, a on, wchodząc, natychmiast ją zauważył. Jej nieruchoma sylwetka i opanowanie wyróżniały ją w tłumie. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Witaj.

- Cześć.

258

Nagle ją onieśmielił. Patrzył jej prosto w oczy - pewnie się niecierpliwił, chciał jak najszybciej omówić kwestię balu. Przez telefon rozmawiał z nią krótko: podał jej tylko nazwę lokalu i zaproponował, by tam się spotkali. Teraz Elise, zakłopotanej, wydało się, że źle odczytała jego intencje. Bardzo dużo pracował i nie miał czasu na przesiadywanie przy kawie ze znudzonymi gospodyniami domowymi.

- Hotel jest wspaniały, menedżerka okazała się bardzo pomocna. - Elise sięgnęła do torebki. - Jeśli ustalimy, kiedy będę mogła potwierdzić szczegóły, zorganizuję wszystko i przestanę zawracać ci głowę.

- Zawracać mi głowę?

Spojrzała na niego i znowu napotkała ten przenikliwy wzrok.

- Jak mogłabyś zawracać mi głowę? Elise, nie myślałaś chyba, że naprawdę chciałem rozmawiać o balu organizowanym przez firmę twojego męża?

- Och... - Elise nie wiedziała, gdzie podziać oczy, więc upiła duży łyk kawy i skupiła się na tym, by jej nie wypluć, była bardzo gorąca.

Logan stał przez chwilę przy stoliku, a potem wyciągnął do niej rękę.

- Chodź.

Wstała i ujęła jego dłoń. Rozejrzał się dookoła. Byli w rogu sali, ukryci przed wzrokiem innych. Logan pochylił się i bardzo delikatnie pocałował Elise w usta. Nawet nie drgnęła. Bała się, że gdyby się poruszyła, rozpadłaby się na kawałki albo powiedziała coś niewybaczalnie głupiego. Tymczasem świat wokół nich po prostu się kręcił.

- Dokąd?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Do lepszej włoskiej restauracji niż ta. Kiwnęła głową.

- Dobrze.

Wyprowadził ją na ulicę i przywołał czarną taksówkę.

- Lotnisko London City - powiedział do taksówkarza. Odwróciła się do niego.

255

- Co? Nie, nie mogę.

- Nie martw się. Wrócisz do domu przed północą. - Uśmiechnął się ciepło i wziął ją za rękę. - Daj spokój. Rzym jest naprawdę blisko. Przeżyjemy przygodę.

Elise nagle się przestraszyła. Propozycja była kusząca, ale ona nie mogła tak po prostu polecieć do Rzymu na kolację z człowiekiem, którego widziała tylko raz. Śmieszny pomysł. I, szczerze mówiąc, także trochę irytujący. Cofnęła dłoń.

- Nie. Posłuchaj... chyba źle mnie oceniłeś. Może jednak to był błąd.

- Wsiadacie czy jak? - spytał zniecierpliwiony taksówkarz. Logan machnął ręką.

- Nie, przepraszam.

Spojrzał na Elise. Cholera. Wszystko zepsuł, wywierał na nią zbyt wielką presję.

- W porządku, nie musimy lecieć - powiedział.

- Nie szukam jakiegoś bogatego faceta, który będzie chciał zrobić na mnie wrażenie swoimi pieniędzmi i porwać mnie do Rzymu na kolację - wydusiła. - Jestem matką, jestem... Myślałam, że mnie... - zaśmiała się. - Chciałam powiedzieć... myślałam, że mnie lepiej znasz, ale skąd miałbyś mnie znać? My przecież w ogóle się nie znamy. Tak, powtarzam, to był błąd. - Podniosła rękę, żeby wezwać taksówkę.

- Zostań, proszę. - Logan ujął ją za łokieć i przyciągnął do siebie. - Proszę. Naprawdę mi przykro. Nie robiłem czegoś takiego... od bardzo dawna.

Opuściła rękę, popatrzyła na niego i westchnęła.

- Cóż, miło mi to słyszeć.

- Nie chciałem zrobić na tobie wrażenia - zaczął, ale zaraz sprostował: - No dobrze, chciałem, ale nie dlatego, bym uważał, że pieniądze robią na tobie wrażenie. Tylko... tylko pomyślałem, że to będzie dobra zabawa. - Urwał. -

Słuchaj, prawda jest taka, że się pogubiłem. Jestem żonaty od bardzo dawna, a teraz wydaje mi się... nie, jestem pewny, że to koniec mojego małżeństwa. Moja żona choruje. Moja rodzina się rozpada. Nie wiem, co się dzieje między nami, między tobą i mną. Ale bez wątplenia coś się dzieje.

Zapadła długa cisza. W końcu Elise dotknęła dłonią jego twarzy.

- Tak, dzieje się - uśmiechnęła się. - Mówiłeś coś o dobrej zabawie, prawda?

Uniósł brwi.

- Tak.

- Więc chodź. Mam pomysł.

- Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Flaga opadła, psy wyskoczyły zza barier i przeleciały obok Logana i Elise jak czarnoszary błysk. Ludzie zaczęli krzyżeć; wychyleni do przodu, machali biletami i dopingowali zwierzęta. Logan wtopił się w tłum - uwaga wszystkich skupiła się na wyścigu.

- Clearwater, dawaj, dawaj! Clearwater, do przodu! Szybciej! Logan odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać. Elise wyraźnie dała się ponieść emocjom.

- Clearwater, dasz radę! Dalej, Clearwater! Dawaj, mały! Tak! Wyrzuciła ramiona w powietrze, krzyknęła głośno, po czym

włożyła do ust kciuk i palec wskazujący i głośno, przeciągle gwizdnęła. Logan ciągle się śmiał, kiedy się do niego odwróciła.

- No co?

Szturchnęła go lekko, z udawanym gniewem.

- Dlaczego się ze mnie śmiejesz?

- Nie przyszłoby mi do głowy, że lubisz takie rzeczy.

- Mówiłam ci, że lubię hazard, prawda?

- Owszem, ale myślałem, że mówisz o ruletce, o kartach, a nie... - wskazał głową tor wyścigowy - o tym.

Zmrużyła jedno oko.

- Cóż, wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

- Zapewne.

Uśmiechnęła się, a on odwrócił wzrok.

- Chodź, zaraz zacznie się następny bieg - zawołała, podekscytowana. - Którego psa tym razem obstawiłeś?

Tak wielu rzeczy Logan nie wiedział o Elise McAllister, ale było też wiele takich, które o niej wiedział. Wracając z Luksusu, włączył w samolocie komputer, otworzył akta Billa i Elise i czytał

o niej, wspominając, jak wyglądała po wędrowce po wyspie, zmęczona i brudna, a później, na kolacji, piękna i elegancka. Myślał

o jej skórze, tak jasnej i zachęcającej, by jej dotknąć; o oczach, które błyszczały i zwęzły się, gdy się śmiała; o tym, jak się poruszała. Oczarowała go tak, jak nie przypuszczał, że ktokolwiek jeszcze go oczaruje. Przeczytał o niej wszystko, co udało mu się znaleźć w aktach. Kiedy samolot wylądował w Londynie, Logan wiedział już, gdzie studiowała (w Brown), gdzie wyszła za męża (na Manhattanie), czy miała rodzeństwo (tak jak on była jedynym dzieckiem swoich rodziców). Wiedział, że podoba jej się piosenka *Diamonds on the Soles of her Shoes*, ale jej mąż woli Beethovena (to sekretarka Billa zaopatrywała go w płyty), więc w ich domu głównie one odzwierciedlały jego muzyczne upodobania. Elise ściągnęła jednak piosenkę Simona i Garfunkela z hotelowego zbioru iTunes. Wiedział, że ona bardzo dużo czyta, lubi szampana, sushi i białe róże. Przede wszystkim jednak, że jest piękna, inteligentna i marnuje się przy swoim mężu brutalu.

Teraz, patrząc jej w oczy, bardzo chciał dowiedzieć się więcej: jak pachnie skóra na jej karku i czy wysuwa język, kiedy się na czymś koncentruje; jak wygląda, gdy rano wstaje z łóżka i wieczorem, gdy kładzie się spać. Chciał wiedzieć, jak dotykałaby go w łóżku, czy byłaby cicha i spokojna, czy oplotłaby go nogami i krzykiem prosiła o więcej...

Później, kiedy odebrali już swoje wygrane („Dwadzieścia trzy funty! Kupię ci frytki” - zawołała Elise, podekscytowana. „W Anglii chyba raczej chipsy?” - odparł), Logan wezwał swój samochód i niemal natychmiast tego pożałował. Jechali do centrum Londynu niemal w całkowitym milczeniu. Obecność szofera zupełnie zmieniła atmosferę. Oboje czuli, że - choć dyskretnie - są obserwowani. Oboje też pomyśleli, że godziny, które spędzili razem, zostały skradzione z ich prawdziwego życia - tego płynącego gdzie indziej.

Logan podwiózł Elise pod jej apartament, a sam pojechał do domu, do South Kensington. Kiedy samochód się zatrzymał, Logan się zawahał. Nie miał ochoty wejść do środka. Podniósł głowę i spojrzął w okna Maryanne - paliło się w nich światło. A więc jego

żona jest w domu, leży w łóżku albo na szezlongu, skacowana, pijana, naćpana? Może wszystko naraz. Charlie siedzi pewnie w studiu, pracuje po nocach jak większość artystów, a jutro będzie spał do późna. Lucii na pewno nie ma, poszła na jedną z tych imprez, na których swoją obecność uważała za obowiązkową. W miarę, jak zbliżały się jej urodziny, było ich coraz więcej. Logan poczuł się zmęczony. Jego mała córeczka za tydzień skończy dwadzieścia jeden lat. Jego dzieci są już dorosłe. Kiedy to się stało?

- Panie Barnes? - Głos Henry'ego brzmiał cicho i spokojnie, jak zawsze. - Chce pan jeszcze gdzieś pojechać?

Logan pokręcił głową. Położył się zaraz spać, a rano pójdzie do pracy. Jak zwykle. Tyle tylko, że zaszły pewne zmiany i w końcu trzeba coś z tym zrobić. On i Maryanne nie mogą dłużej tak żyć, bo takie życie nie przynosi im nic dobrego. Musi z nią porozmawiać. Ale nie dziś.

- Nie, dziękuję, Henry. Dobranoc. Wsiadł z samochodu i wszedł do domu.

Następnego dnia Logan, kiedy tylko przyszedł do biura, zadzwonił do Elise i zapytał, czy mogłaby się z nim spotkać po południu na godzinę.

- Wczoraj na wyścigach świetnie się bawiłem - powiedział. - I chciałbym ci jakoś za to podziękować. Nie bój się, nie będę próbował znowu uprowadzić cię do Włoch.

- Dobrze - zgodziła się od razu.

Nie spała już od świtu, a ilekroć o nim pomyślała, serce mocno waliło jej w piersi. Bill ucieszył się, kiedy powiedziała mu o hotelu i o kolacji, na którą zabrał ją Logan.

- Mam nadzieję, że nie zanudziłaś go babską paplaniną? - spytał. - Ludzi takich jak Barnes nie interesuje, gdzie jadłaś lunch ani co zrobiło dzisiaj twoje dziecko.

- Nie - odparła. - Nie wyglądał na znudzonego.

Elise przybyła pod wskazany adres. Mała boczna uliczka w pobliżu Shoreditch - po co ją tu ściągnął? Wzruszyła ramionami i nacisnęła dzwonek. Drzwi zaraz się otworzyły, a w głośniku obok nich rozległ się głos Logana.

- Elise? Wejdz na trzecie piętro.

Nie było tam windy, więc kiedy pokonała mnóstwo wąskich schodów, zabrakło jej tchu w piersi. Logan na nią czekał. Wydawał się zachwycony tym spotkaniem, a jej znowu serce podskoczyło do gardła. Odsunął się od drzwi, żeby ją wpuścić.

- Wejdz, proszę.

Znalazła się w małym warsztacie, pełnym drewnianych form obuwniczych, ułożonych w równych rzędach na półkach od sufitu do podłogi. Na stojakach stały buty we wszystkich fasonach, jakie można sobie wyobrazić, a tuż obok w pudełkach leżały obcas, setki obcasów: szpilki, koturny, eleganckie wąskie słupki. Wszędzie porozkładane były wielkie foldery z próbkami skórzanych tkanin w różnych kolorach, a z szuflad wystawały najróżniejsze materiały dekoracyjne: pióra, cekiny, małe ptaszki i motyle, wielkie kolorowe szkiełka i koronki. Elise rozglądała się, zdumiona i oczarowana. Logan patrzył na nią z przyjemnością.

- Zdumiewające, co? To jest pan Warwas - Logan wskazał niewysokiego, wąsatego mężczyznę obok siebie. - A to jego pracownia.

Elise uśmiechnęła się i ucisnęła dłoń pana Warwasa.

- Chciałbym kupić ci buty... Lubisz buty?

- Och, tak, ale...

- Proszę, bardzo chciałbym sprawić ci przyjemność. Elise kiwnęła głową.

- Dziękuję.

- Dobrze.

Pan Warwas uśmiechnął się do Logana i zniknął na zapleczu warsztatu.

- A teraz... Jak myślisz? Może coś takiego? - Logan podniósł do góry czarny skórzany but z wysoką cholewką i srebrnymi sprzączkami.

Elise parsknęła śmiechem.

- Hm. Nie planuję w najbliższym czasie zabaw w stylu sado-maso, więc chyba jednak nie.

- Szkoda - odparł Logan lekko.

- Naprawdę? Więc ciągnie cię do tego? - Zagryzła wargi. - Lochy i bicze?

260

Roześmiał się.

- Nie, naprawdę nie. Spokojny ze mnie człowiek.

- No cóż, nigdy nie umiałam chodzić na bardzo wysokich obcasach.

Znowu pojawiło się między nimi to niewypowiedziane seksualne napięcie. Oboje je czuli.

- W takim razie myślę, że powinnaś trochę poćwiczyć.

Elise przeszła przez warsztat w bardzo wysokich, dziesięciocentymetrowych platformach.

- Ojej! - zachwiała się i chwyciła Logana za ramię. W tych butach była od niego wyższa. Objął ją w talii i podtrzymał.

- Hm, może jednak nie te - powiedziała. Usiadła i zdjęła je. - Jak znalazłeś to miejsce?

- Ludzie często mówią mi o takich rzeczach. Przyprowadziłem tu córkę, kiedy skończyła osiemnaście lat. Lucia uwielbia tu przychodzić.

Na moment oboje przypomnieli sobie, że każde z nich ma też inne życie. Logan wskazał na półce parę błękitnych pantofelków.

- A te? - spytał, kiedy je włożyła.

- Sama nie wiem - odparła.

W końcu wybrała czółenka z jedwabiu w kolorze pistacjowej zieleni o długich, zaokrąglonych i lekko zadartych do góry czubkach, odsłoniętych piętach i średniej wysokości obcasach. Buty miały zostać ozdobione złotym haftem w formie lilii, a obcasy kryształami Swarovskiego tej samej barwy co haft. Elise o tym nie wiedziała, ale Logan zażyczył sobie, by tuż pod podbiciem wprawiono dwa prawdziwe diamenty - żeby miała je na podeszwach bucików. Jak w piosence *Diamonds on the Soles of her Shoes*.

Później szli bocznymi ulicami - raczej nie spotkaliby tam kogoś znajomego. Spacer i luźna, swobodna rozmowa obojgu sprawiła przyjemność. Przechodnie spoglądali czasem na Logana, najwyraźniej go rozpoznając, ale nikt ich nie niepokoił.

Elise opowiedziała mu o swoim życiu, o tym, jak w dzieciństwie, przy małym składanym stoliku na planie filmowym, ojciec

nauczył ją grać w karty. Zawsze powtarzał jej, że powinna mieć własne pieniądze i nie być od nikogo zależna. Ku swojemu zdumieniu, powiedziała Loganowi nawet o swoim sekretnym koncie bankowym i o tym, że choć Bill zabronił jej grać w pokera, ona robi to nadal przez Internet i zbiera wygrane.

- To dobrze. Nikt nie powinien mówić ci, co masz robić, rozstawiać cię po kątach, nawet twój mąż - stwierdził Logan. Słyszając to, lekko się skrzywiła. Logan przystanął.

- To nie moja sprawa... choć czuję się tak, jakby była moja. Ale, ty nie musisz tolerować tego, że on cię bije. Elise szła dalej, podenerwowana; nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Cieszę się, że czujesz, jakby to była twoja sprawa - odezwała się w końcu. - Ale to moje małżeństwo, to ja ponoszę za nie odpowiedzialność. Na dobre i na złe. - Uśmiechnęła się drwiąco. Ścisnęła ją w gardle.

Logan kiwnął głową.

- No tak.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Ale nie zamierzam znosić tego bez końca.

- Dobrze to słyszeć.

Wzięła głęboki oddech. Co chciał przez to powiedzieć? Po prostu, że cieszy się, iż ona nie ma zamiaru tkwić do końca życia w nieszczęśliwym, pełnym przemocy związku... czy coś więcej? Zmieniła temat. Zaczęła mówić o tym, że odziedziczyła po ojcu zamiłowanie do wyścigów i szybkich samochodów. Logan rozumiał ją doskonale i opowiedział jej o swoich wyprawach z Johnnym i o chacie w górach, którą kupili, bo kochali spokój i strome zbocza. A potem więcej o Johnnym, o tym, jak się z nim zaprzyjaźnił, i o wypadku, w którym zginęła cała jego rodzina.

- To okropne. - Oczy Elise wypełniły się łzami.

- Tak. Ale Johnny nie pozwolił, żeby zżarła go gorycz. Zmienił się i nigdy nie wykorzystywał tragedii jako wymówki.

- Godne podziwu.

- To niesamowity facet. Tamtego dnia staliśmy się dla siebie jak rodzina. Wkrótce będziesz mogła go lepiej poznać.

Serce Elise zatrzepotało na obietnicę rychłego spotkania. Co kryje dla nich przyszłość? Na razie to jeszcze nie romans, a jednocześnie już coś więcej, niż zawodowa znajomość, jak przedstawiała to mężowi. Bill. Zadrżała na myśl, co mógłby jej zrobić, gdyby się dowiedział. .. A właściwie, czego mógłby się dowiedzieć? Jeszcze niczego. A potem, nagle, to się stało.

Logan zatrzymał się i wyciągnął do niej rękę.

- Elise?

Nie odpowiedziała. Czekwała. Podszedł bliżej, a ona pozwoliła wziąć się w ramiona i pocałować. Pocałunek był długi i namiętny, a jego ramiona wydały jej się najcieplejszym, najbezpieczniejszym miejscem na ziemi.

Kiedy się od siebie odsunęli, spojrzła na niego.

- Och - szepnęła.

- O co chodzi?

- Czuję się...

Nie wiedziała, jak to opisać, to przejmujące uczucie, że nie był to wcale ich pierwszy pocałunek, to dziwne przeświadczenie, że zna Logana od lat, a jednocześnie doświadcza czegoś zupełnie nowego.

- Jakbyś wróciła do domu?

Do oczu znowu napłynęły jej łzy, ale teraz były to łzy radości, ulgi i podniecenia.

- Tak. Jakbym wróciła do domu.

Rozdział 17

Od otwarcia Luksusu minął miesiąc, a przez hotel przewinęło się wiele gwiazd.

Na zachodniej plaży, zwanej „różową”, ze względu na kolorowy piasek wysypywany tam codziennie o świcie, a także parasole i parawany w biało-różowe pasy, leżeli Lola i Colm Farlon, sącząc drinki. Lola była projektantką mody i właścicielką sieci sklepów sprzedających luksusowe towary, podczas gdy jej mąż cóż robił?

Wiecznie się awanturował. Lola piła mus z trawy cytrynowej, granatów i soku z pomelo, a Colm koktajl z szampana, soku z passiflory i polskiej wódki. Lola poprawiła daszek chroniący przed słońcem ekran jej iMaca i zmarszczyła brwi. Sprawdzała właśnie nową stronę internetową swojej sieci i najwyraźniej coś się jej nie spodobało. Skrzywiła się lekko, nie odrywając wzroku od komputera.

- Lola... Lolita... co się stało? - spytał Colm grubym, śpiewnym głosem.

- Ile papierosów wypaliłeś wczoraj wieczorem? Strasznie skrzypisz.

Colm westchnął.

- Piękna, a taka zimna, ta moja Lola. Ani jednego dobrego słowa dla biednego irlandzkiego chłopaka. - Położył się na plecach i wydał wargi. - Co się dzieje z imperium Farlonów? Nie zarobiło jeszcze dzisiaj milionów?

- Nie kpij, Colm. Martwię się o nową stronę internetową. Jeśli się nie sprawdzi, wyjdziemy na amatorów.

- A tego byśmy nie znieśli. Nie wielcy Farlonowie. Spojrzała na niego ostro.

- Już się upiłeś? Na litość boską, nie minęła jeszcze jedenasta! Nie przestawał jej głaskać, przesuwał rękę w stronę jej brzucha.

- Zostaw teraz pracę, Lola. Piękna Lola. - Zaczął mówić z silnym irlandzkim akcentem, bełkotał, jego słowa stały się niemal niezrozumiałe. - Zaraz, zaraz umrę ze zgryzoty, jeśli nie rzucisz biednemu irlandzkiemu chłopcu choć kilku okruchów czułości...

Lola zmarszczyła brwi.

- Colm, to nasza firma. Nasze nazwisko... twoje nazwisko. Nasza przyszłość. Nie chcesz...

- Och, chcę, naprawdę chcę. Chcę. - Pociągnął za sznureczek w majtkach bikini i rozwiązał supeł. Lola, zaskoczona, otworzyła usta, wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem i pozwoliła, by mąż przyciągnął ją do siebie.

Jacinta Tramontello usłyszała śmiech młodych ludzi leżących nieco dalej na plaży i skrzywiła się lekko. Colm Farlon był taki przystojny i uroczy. Miał nieprzyzwoicie długie rzęsy i gęste, ciemne

loki, w które od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła go w samolocie, chciała zanurzyć dłonie. Zauważył wtedy jej spojrzenie i bezczelnie puścił do niej oko. Rozpoznał ją, oczywiście, nadal była sławną aktorką, choć niestety skończyła już czterdzieści pięć lat. Przechodząc obok niego, rozmyślnie bardzo powoli, miała wrażenie, że spojrzał na nią z zainteresowaniem. Teraz śmiech umilkł i głosy przeszły w cichy szept. Jacinta napięła lekko mięśnie brzucha (ciagle trochę obolałe po niedawnym zabiegu chirurgicznym, ale za to sprawne i jędrne), wstała i wyrzała za parawan, żeby rzucić okiem na Farlonów. Colm właśnie zaciągał zasłonę. Jego młoda żona leżała na łóżku, półnaga, smukła i niezdolnie śliczna. Colm zauważył Jacintę i spojrzał jej prosto w oczy, a potem z zarożumiałą, pewną siebie miną odwrócił się i lekko musnął palcami pierś żony. Zasłona opadła, lecz Colm zdążył jeszcze puścić oko do Jacinty.

Usiadła, czerwona z podniecenia i zakłopotania. Wiedział, że go obserwowała, i myślał, że pożąda go o wiele starsza od niego kobieta, sprawiła mu przyjemność - nawet teraz, kiedy kochał się ze swoją piękną młodą żoną. Upokorzona, chcąc poprawić sobie nastrój, Jacinta odwróciła się do mężczyzny leżącego obok; szczerze mówiąc, nie spełniał jej oczekiwań. Uprawiał z nią seks na żądanie, oczywiście z zapalem i tak długo, jak chciała, ale na tym koniec. Nie było w tym żadnego flirtu, ekscytacji, zabawy. Teraz spał snem młodych, beztroskich ludzi. Dotknęła jego ramienia.
- Marco... Marco, obudź się.

Połąskotała go. Otworzył oczy i w pierwszej chwili zmrużył je, zirytowany, lecz natychmiast opanował się i uśmiechnął do niej czarująco. Pochyliła się i pocałowała go, a on odwzajemnił pocałunek. Nie zwracała uwagi na rutynę ich zbliżeń - zawsze najpierw całował ją w usta, potem zaczynał całować szyję i ramiona, w końcu odsuwał stanik i muskał językiem sutki - i skupiła się na nim: cóż za wspaniałe ciało, a zwłaszcza te idealne usta, zmysłowe wargi i giętki język, który przesuwiał się właśnie w dół jej brzucha tylko po to, by sprawić jej przyjemność. Dziesięć minut później z tej przyjemności nie został jednak nawet ślad. Sfrustrowana i zła, popatrzyła na Marca. Przepraszał ją spojrzeniem.

- Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło, przysięgam.
 - Zamknij się! Według ciebie jak mam się czuć ze świadomością, że jestem jedyną kobietą, która cię nie podnieca? A teraz coś z tym zrób. Dziennikarzy tu nie ma, prawda? Więc nie opowiadaj mi bajek o tym, że ktoś może nas przyłapać.
 - Ależ podniecasz mnie, naprawdę, podniecałaś mnie przecież każdej nocy, odkąd tu przyjechaliśmy... - W jego głosie zabrzmiała nuta zmęczenia. Oj niedobrze.
 - Och, przepraszam, Marco. Pewnie dopadło cię zmęczenie? Może za dużo od ciebie wymagam? Bo zaprosiłam cię do najbardziej ekskluzywnego hotelu na świecie, obsypuję cię luksusowymi prezentami i chcę w zamian tylko jednego?
 - Nie, nie wymagasz za dużo. To cudowny tydzień. Ale Jacinta nie potrafiła zapanować nad złością.
 - I nie zapominajmy o pieniądzach, Marco. Nie wyświadczasz mi przysługi, ja ci płacę, tobie i twojemu „menedżerowi”. I to mnóstwo pieniędzy, chyba wiesz. A może nie? Może on ci nie uświadomił, ile jesteś wart? Jedno spojrzenie powiedziało jej, że znał dokładną sumę.
 - Więc przestań wynajdywać wymówki i zapewniać mnie, jak bardzo mnie pożądasz. Pokaż mi to, i to zaraz, bo inaczej odeślę cię do domu, nie zapłacę ani pensa i wystawię rachunek za te wakacje.
- Popatrzył na nią; nienawidził i jej, i siebie. I zaczął myśleć o kimś, kto zawsze, zawsze go podniecał. O swoim „menedżerze”, jak go określiła, swoim najlepszym przyjacielem, swoim kochanku i jedynym człowieku na świecie, którego kochał.
- Nieco dalej na tej samej plaży Colm i Lola zakryli usta dłońmi, by stłumić śmiech. Słyszeli każde słowo z tej wymiany zdań.
- Chodź, kochanie, wracajmy do pokoju. Mam ochotę na linijkę. Chciałbym wchłonąć twoje piękne ciało...
 - Po co wracać do pokoju? Chcę, żebyś zrobił to teraz. Tutaj. - Oddychała szybko; lekko rozchyliła usta.
 - Lola, Lola. Niegrzeczna dziewczynka.
 - Daj spokój. Tu można robić wszystko; chyba o to nam chodziło, co? Żadnego ryzyka. Żadnych granic. No, dalej.

Sięgnęła do swojej płóciennej torby plażowej i wyjęła z niej małe srebrne etui na karty kredytowe, w którym trzymała zawiniętą w bibułkę działkę kokainy i banknot dwudziestodolarowy. Potem położyła się na wznak na leżaku, rozwinęła bibułkę i nie spuszczać wzroku z Colma, wysypała trochę białego proszku między małe, sterczące piersi. Znieruchomiała na moment, a potem rozwiązała majtki bikini także z drugiej strony i wyspała resztę kokainy na starannie wydepilowaną skórę.

- Prowokuję cię - szepnęła.

Colm, z uśmiechem sięgnął pod banknot, zrolował go i pochylił głowę.

Lucia Barnes stała w garderobie swojej matki w londyńskim domu w South Kensington, przeglądając zawartość szafy. Był dzień jej dwudziestych pierwszych urodzin, potrzebowała więc czegoś bajecznego na kolację, którą rodzice wydawali na jej cześć dla nieco ponad stu najbliższych przyjaciół. Potem zamierzała się przebrać w absolutnie odlotowy strój na imprezę po kolacji, na którą zaproszonych zostało około pięciuset osób.

Czuła, że to nie tylko urodziny - dziś zaczynał się nowy etap jej życia. Zaraz po powrocie z Luksusu spotkała się z Ranjem - pobięła do jego eleganckiego biura niedaleko Mount Street i podpisała umowę, zgodnie z którą oficjalnie został jej prawnikiem, a także dokumenty dotyczące założenia za granicami kraju firmy o nazwie Light.

Potem włożyła nowy kostium w prążki i pojechała do bankiera inwestycyjnego, który - ku jej zaskoczeniu - po przejrzeniu biznes-planu i planów renowacji budynku przy Bilton Square zgodził się pożyczyć jej pieniądze. Całą sumę. Lucia wyszła na zalaną słońcem ulicę, wstąpiła do sklepu za rogiem i kupiła sobie torebkę od Gucciego, żeby to uczcić. Cóż, teraz, kiedy niemal została już hotelarką, powinna odpowiednio wyglądać, czyż nie? Przeglądając stroje na wieszakach, uśmiechnęła się na myśl o tym. Klasyczny kostium od Yves Saint Laurenta, włożony na gołe ciało? Szkarłatna sukienka mini, która podkreśli jej piękne nogi? Kremowozłota sukienka w stylu greckiej tuniki, elegancka i wytworna? Żadna z tych kreacji nie wydawała jej się odpowiednia, żadna nie była dość wyjątkowa.

I wtedy ją zobaczyła - zwiewną, szyfonową sukienkę ufarbowaną w taki sposób, że brzeg, obszyty małymi cekinami był barwy ciemnego indygo, wyżej materiał przechodził w coraz jaśniejsze odcienie błękitu, a na linii dekoltu w czystą, chłodną biel. Tak. Biel podkreśli opaleniznę jej ramion i delikatną linię obojczyków. Sukienka była dość skąpa, by Lucia mogła pokazać, w jak dobrej jest formie, a z drugiej strony zasłaniała wystarczająco dużo, by ojciec nie zaczął się czepiać. Później, po kolacji, wymknie się na chwilę i przebierze.

Wyjęła sukienkę z szafy i poszła do pokoju, w którym Maryanne przechowywała buty. Jakiś czas temu widziała tam srebrne sandały na niewielkiej platformie.

Lucia nie mogła się doczekać chwili, kiedy powie wreszcie całej rodzinie, że ona, Lucia Barnes, jest nową właścicielką hotelu przy Bilton Square. Nie będą mogli w to uwierzyć. A jednak tak się stanie. Musi tylko jeszcze trochę zaczekać.

Lucia bardzo lubiła występować przed salą pełną ludzi, którzy przyszli tu po to tylko, by ją podziwiać, spoglądać w dziesiątki par oczu i kąpać się w ich uwielbieniu. Nie mogła zrozumieć, że niektórzy obawiają się publicznych występów. Dla niej było to tak naturalne, jak bycie nagą. A i w tym Lucia się wyróżniała.

- Idziemy wszyscy do Neonu; został na tę noc zarezerwowany tylko dla nas... dziękuję, tatku... więc nie zapomnijcie zabrać ze sobą biletów. - Pomachała w powietrzu pękiem srebrnych wisiorków z wygrawerowanym napisem „Lucia - 21”, które tego wieczoru miały odegrać rolę biletów wstępu do tego ekskluzywnego klubu w Mayfair. Goście wybuchnęli śmiechem. Wisiorki brzęczały w powietrzu jak klucze, klucze, które pozwolą im wejść na tę niepowtarzalną, wyjątkową imprezę. - Dziękuję wszystkim za przybycie i za wspaniałe prezenty - Lucia wskazała stół w rogu sali w Ivy Club, na którym piętrzyły się paczki i torby z logo najlepszych firm: Gucci, Jo Malone, Tiffany.

Wpadające przez witraże w oknach światło rzucało na nie kolorowe błyski. - Dziękuję też moim rodzicom za wydanie tego cudownego przyjęcia. - Spojrzała w stronę Logana, który wyglądał doskonale w białej koszuli i garniturze. Uśmiechnął

się z dumą do córki i podniósł kieliszek. Zorientował się, że Lucia zauważyła puste miejsce obok niego. W pierwszej chwili nie potrafiła ukryć rozczarowania, zaraz się jednak opanowała. Logana na moment ogarnęła złość na Maryanne. Jak mogła nie przyjść na dwudzieste pierwsze urodziny swojej jedynej córki?

Podszedł do Lucii, objął ją ramieniem i wzniosł za nią toast.

Goście wychodzili z klubu, śmiejąc się i rozmawiając. Prezenty Lucii odjechały czarną furgonetką do domu - Lucia rozpakuje je następnego dnia. Logan ucałował córkę na pożegnanie, a ona wraz z przyjaciółmi udała się do kolejnego lokalu na dalszy ciąg imprezy. Nie miał jej tego za złe. Młodym jest się tylko raz.

Jonty otworzył przed nią drzwiczki samochodu. Logan zauważył, że wsiadając, osłaniała ręką dolną część brzucha. Dziennikarze także to zauważyli, był tego pewny, bo nagle wszyscy skierowali w tę stronę obiektywy aparatów. O Boże, ona chyba nie jest... a może?

No, lepiej, żeby nie była w ciąży!

Chwycił ją za ramię.

- Zaczekaj chwilę.

- O co chodzi, tatusiu?

- Czy masz mi może coś do powiedzenia?

Lucia przełknęła ślinę. Nie wie, niemożliwe, żeby wiedział, prawda? Jeśli Ranjowi coś się wymknęło, pozwie tego małego drania do...

- Wiesz, że możesz powiedzieć mi wszystko, kochanie, prawda? Jeśli masz jakieś kłopoty...

Spojrzał na jej brzuch. O Boże.

- Nie bądź śmieszny, tatusiu! Oczywiście, że nie. Naprawdę, ja... - Już miała powiedzieć, że jest grzeczną dziewczynką, ale powstrzymała się. No, to byłaby gruba przesada. - Bardzo uważam -zapewniła, patrząc na niego z niewinną miną.

Odetchnął z ulgą.

- Jezu. Nie rób mi tego.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Tatusiu, to tylko taki PR-owy blef Jonty'ego. Nie przejmuj się.

273

- W porządku. Baw się dobrze i nie pozwól, by Jonty wciągnął cię w coś, czego bym nie zaaprobował. Hm?
Spojrzał na nią surowo, ale oboje wiedzieli, że to tylko gra. Lucia potrafiła owinać go sobie wokół małego palca.

- Oczywiście. Nie czekaj na mnie.

Pomachała ręką i już jej nie było. Logan przez chwilę patrzył za odjeżdżającym samochodem. Jego mała księżniczka dorosła. Trudno mu było to przyznać, lecz przecież nie była już księżniczką. Dla niego jednak pozostanie nią na zawsze.

Jonty siedział w samochodzie, podekscytowany.

- Doskonale, po prostu doskonale - wyrzucił z siebie. Lucia nałożyła na usta odrobinę błyszczyku.

- Kupili to, prawda?

- Weszli w to na całego. A za parę dni staniesz przed nimi w tej uroczej tunice, takiej luźnej i niejednoznacznej...

Logan wyciągnął komórkę i zadzwonił do Elise. Od tego popołudnia w Shoreditch telefonowali do siebie, kiedy tylko mogli, i dwa razy się widzieli. Oba spotkania były o wiele za krótkie - pół godziny skradzione w porze lunchu, szybki drink wieczorem. Musieli być ostrożni. Nie zdarzyło się nic poza kilkoma pocałunkami, lecz oboje czuli napięcie między nimi. Na drugie spotkanie Elise poszła do biura LBI i Logan przedstawił ją Johnny'emu.

- Pamiętasz Elise McAllister, żonę twojego klienta, Billa.

- Tak cudownie bawiliśmy się na otwarciu Luksusu... Bill, niestety, musiał wrócić wcześniej; no tak, ale ty przecież o tym wiesz, bo... Tak czy inaczej, Logan bardzo mi pomógł w sprawie balu dobroczynnego... - Plotła trzy po trzy, jak idiotka. Zamknij się, skarciła się w duchu.

Johnny kiwnął głową i spojrzał na Logana.

- Na pewno. To bardzo szlachetny człowiek.

Elise zaczerwieniła się gwałtownie. Widział, że coś się dzieje bez dwóch zdań, pożegnała się więc szybko, obiecując, że przekaże Billowi pozdrowienia.

- To widać - powiedział Johnny do Logana, kiedy tylko wyszła. - Owszem, ja znam cię lepiej niż większość ludzi, ale inni też się w końcu zorientują.

Logan otworzył usta, żeby zaprzeczyć, lecz zaraz je zamknął. Nie mógł oszukiwać Johnny'ego. Włożył ręce do kieszeni i milczał.

- Po prostu bądź ostrożny - powiedział Johnny cicho. - Masz wiele do stracenia.

Johnny nie myli się co do tego, że powinniśmy być ostrożni, pomyślał Logan. Ale myli się, mówiąc, że mam wiele do stracenia. Przeciwnie - mam wiele do zyskania.

Rozmowa była krótka. Elise czekała właśnie na powrót Billa do domu i trochę się denerwowała, ale Loganowi wystarczyło, że przez kilka minut słyszał jej głos. Potem rozłączył się, wszedł do czekającego samochodu i dał znak Henry'emu, by ruszał. Wściekał się na Maryanne. Kiedy stanęli na światłach, po pasach przeszła gromadka dziewczyn, które najwyraźniej świętowały czyjś wieczór panieński - wszystkie miały różowe królicze uszy i grube uda wystające spod zdecydowanie za krótkich spódniczek. Logan niemal ich nie zauważył. Nie obchodziło go to, co działo się na ulicy. Przepelniający go gniew zdradzała jego twarz i całe ciało. Kiedy samochód sunął ulicami West Endu, Logan siedział ze wzrokiem wbitym w okno i myślał tylko o tym, co powie żonie, kiedy się z nią w końcu zobaczy.

Maryanne przestała udawać, że nad wszystkim panuje, że jest normalnie, jak należy. Bo po co? Leżała na środku pokoju, w którym trzymała buty, z pustą butelką po winie obok. Nie wiedziała, która godzina. Nie dbała o to. Nie położyła się do łóżka, tylko wędrowała po pokojach i piła. Logan zabrał jej tabletki, ale nie opróżnił lodówki. Mogła zapić się na śmierć. Cóż, może to właśnie zrobi. Pokaże mu, panu Bardzo Ważnemu, co to myśli, że cały świat ma pod kontrolą. Tere-fero. Wstała i poszła chwiejnie do lodówki w garderobie. Oooo. Nie ma już wina. Co się z nim mogło stać? Może Carla się do niego dobrała. Nieważne. Nieważne, nie-waż-ne.

Zejdzie na dói i przyniesie wino. O to właśnie chodzi. Ma jakiś plan. Jakiś cel w życiu. Tak.

Ale były za to papierosy, które zostawiła tu Lucia. Maryanne rzadko paliła, teraz jednak tak jej się nudziło. Gdzie podziali się wszyscy? Z roztargnieniem otworzyła paczkę. W środku, między beżowymi filtrami, tkwił znajomy kawałek zwiniętego papieru. Skręt. Wyciągnęła go. Od dawna tego nie robiła, ale... do diabła, zapaliła i przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze, obracając się w prawo i w lewo. Nieźle. Jak na jej wiek. Nagle zakreśliło się jej w głowie i ciężko opadła na kanapę. Pokój zdawał się wirować wokół niej, dostała mdłości. Uch. To jednak nie był dobry pomysł. Odchyliła się w tył, na oparcie, i skręt wypadł jej z ręki. Czuła się fatalnie. Zamknęła oczy i się rozplakała. Kiedy powoli osuwała się w ciemność, ogarnął ją głęboki smutek i żal nad samą sobą.

Gdyby Maryanne zgodziła się na zamontowanie w swoim pokoju detektora dymu - czego nie zrobiła, bo uważała, że to zepsułoby wystrój - czujnik wykryłby dym niemal w chwili, kiedy zapaliła skręta, i alarm włączyłby się zanim jeszcze wybuchł pożar. System zraszaczy automatycznie zalałby wszystko wodą i Maryanne mogłaby cierpieć najwyżej z powodu mokrych włosów i wkurzonego męża.

Ale dopiero kiedy dym wydostał się szparą pod drzwiami na korytarz i zarejestrował go czujnik w suficie, uruchomił się alarm przeciwpożarowy. Do tego czasu Maryanne przez piętnaście minut leżała na podłodze w pokoju, który powoli wypełniał się dymem, a jedwabny dywan tlił się, wydzielając drobiny cyjanku.

W chwili gdy jedwabny dywan w domu rodziców zajął się ogniem ze skręta, Lucia Barnes, pochylona nad bugatti veyronem, napawała się seksem na masce najdroższego i najszybszego samochodu świata. Ten samochód podniecał ją najbardziej, choć jego właściciel naiwnie wierzył, że to on jest przyczyną ekstatycznych jęków kochanki. Dziedzic wielkiej firmy budowlanej i jeden z najbardziej znanych ludzi w Londynie był atrakcyjny w szorstki, męski

sposób, więc kiedy odwrócił ją i wepchnął wyżej na maskę, Lucia nie protestowała. Zarzucił sobie jej kolano na ramię, mocno wciskając biodra między jej nogi, znieruchomiał i spojrzał jej w oczy.

- Dziedzic i dziedziczka - szepnął. - Doskonała z nas para. Znowu zaczął się poruszać, coraz szybciej, tak, że musiała chwycić go w pasie, by nie spaść z samochodu. Jęknął, kiedy ścisnęła go udami.

- Och, tak... Tak...

- Rob, przestań. Przestań, do diabła!

- Co?

Lucia usiadła i wymknęła mu się. Rob, zirytowany, spojrzał w stronę, w którą patrzyła, i zobaczył policyjny samochód, dwóch funkcjonariuszy i młodego reżysera w okularach, który tego wieczoru towarzyszył Lucii.

- O cholera.

Lucia próbowała bez powodzenia oczarować policjantów, stosując swój popisowy chwyt „na małą zagubioną dziewczynkę” - co, biorąc pod uwagę okoliczności, było mało wiarygodne. W tym samym czasie ktoś inny, z kim także się niedawno przespała, planował zemstę za sposób, w jaki go porzuciła. Lucia Barnes nie miała zwyczaju zostawiać po sobie porządku - w żadnym sensie tego słowa.

Na ulicy wokół prywatnych ogrodów, przy których znajdował się dom Barnesów, stało kilka wozów strażackich i karetek pogotowia. Pracownicy zatrudnieni w domu i goście czekali przy końcu ulicy, podczas gdy z sąsiednich budynków ciągle jeszcze wyprowadzano mieszkańców na wypadek rozprzestrzenienia się pożaru. Zdaniem strażaków dom nie uległ większym zniszczeniom tylko dzięki niezawodności systemu przeciwpożarowego.

Drzwi otworzyły się i ratownicy medyczni znieśli po schodach nosze. Logan siedł obok, trzymając żonę za rękę.

Tłumek na ulicy poruszył się, rozległy się przerażone głosy. Maryanne miała na twarzy maskę tlenową, nie można więc było zorientować się, czy jest przytomna.

Logan puścił jej bezwładną dłoń, dopiero kiedy ratownicy wsunęli nosze do ambulansu, szybko wskoczyli do środka i natychmiast się nią zajęli. Logan stał jak sparaliżowany przed otwartymi drzwiczkami. Znowu, powtarzał tylko w myślach. O Boże, nie, nie teraz.

Kiedy usłyszał dźwięk alarmu, od razu pobiegł do pokoi Maryanne, jakby wiedział, że to tam należy szukać źródła problemów. Johnny, który był wtedy z nim, skończył rozmowę przez telefon i wystukał 999, na wypadek, gdyby automatyczne połączenie ze służbami ratowniczymi z jakichś powodów nie zadziało. Niewiele brakowało, a pobiegłby za Loganem, zamiast tego jednak zrobił szybki obchód domu, zebrał pracowników i wyprowadził wszystkich na zewnątrz.

Gdy Logan dotarł do drzwi garderoby Maryanne, okazało się, że są zamknięte od wewnątrz. Spod nich wydobywał się dym -widział go i czuł jego zapach. Z małego pomieszczenia gospodarczego na końcu korytarza wyjął ręcznik, zmoczył go i obwiązał wokół twarzy, a potem rozejrzał się za czymś, czym mógłby otworzyć drzwi. W tym schowku niczego takiego jednak nie było. Pokój obok był gabinetem dla gości. Antyczne krzeselko, zbyt delikatne, podobnie jak biurko, nie nadawało się, rzeźbione drewniane nogi nie wytrzymałyby uderzenia w solidne drzwi. Szybko, szybko -coś musi się znaleźć w tym domu, pełnym kosztownych mebli i dzieł sztuki... Sztuka! Aha. Logan pobiegł korytarzem do sali kinowej i chwycił stojącą w kącie ciężką rzeźbę z brązu. Wprawdzie niewielka, ważyła jednak sporo i Logan z trudem przeciągnął ją pod drzwi Maryanne. Tam podniósł ją i z całej siły cisnął w drzwi. Pękły, i nic więcej. Cóż on sobie wyobrażał, że jest Bruce'em Willisem w jakimś filmie akcji i tak po prostu dostanie się natychmiast do środka? Spróbował ponownie i tym razem zaokrąglony kawał brązu zrobił wyrwę w drewnianej płycie. Zamierzył się znowu, lecz nagle ktoś odsunął go stanowczo na bok; grupa strażaków wyważyła drzwi i wbiegła do pokoju. Nie pozwolili mu tam wejść.

Teraz Johnny pociągnął go w stronę czekającego range rovera, podczas gdy grupa mężczyzn podłączyła Maryanne do kroplówki

i jakiejś skomplikowanej aparatury. Jej ciało wydawało się takie małe i drobne - to chyba niemożliwe, by zniosło coś takiego dwa razy w tak krótkim czasie?

- Pojedziemy za nimi, żeby nie przeszkadzać w karetce - powiedział Johnny łagodnie. - Chodź, przyjacielu.

W szpitalu lekarze nadal podawali Maryanne tlen, zaniepokojeni jej szybkim oddechem; mógł świadczyć o zatruciu cyjankiem z toksyn zawartych w dymie, jak również o podrażnieniu płuc. Nadal nie odzyskała przytomności.

Logan i Johnny czekali pod drzwiami jej sali.

Kiedy wreszcie Loganowi pozwolono zobaczyć żonę, prosto z przyjęcia urodzinowego Lucii przyjechał Charlie.

Wszyscy trzej stanęli u stóp łóżka, po czym Logan podszedł bliżej i delikatnie odsunął z twarzy Maryanne kosmyk włosów.

- Gdzie Lucia? - spytał syna.

- Uhm, Lucia... - zaczął Charlie i urwał. Jak, do diabła, powiedzieć ojcu o czymś takim?

Logan spojrzał na niego ostro.

- Co?

- Nie, nic jej nie jest, tylko...

Do sali wszedł lekarz i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na nich, a potem w swoje notatki.

- Byłoby chyba lepiej, gdyby pański syn zaczekał na zewnątrz, panie Barnes.

- Nie - powiedział stanowczo Charlie. - Chcę to usłyszeć.

- Może zostać.

- No dobrze. - Lekarz od czternastu godzin pełnił dyżur i właściwie było mu wszystko jedno. - Wyniki badań wykazały obecność niewielkiej ilości cyjanku we krwi pani Barnes. Jednak ze względu na szybką akcję ratowniczą, podjętą już na miejscu zdarzenia, rokowania są optymistyczne. Początkowo stan pani Barnes wydawał się bardzo poważny, ponieważ straciła przytomność. - Lekarz odchrząknął. - W tej chwili jesteśmy jednak pewni, że była nieprzytomna już w chwili, kiedy wybuchł pożar.

I tego obawiał się Logan.

- To właśnie sprawiło, że określenie stopnia zatrucia dymem okazało się bardzo złożone. Ale pani Barnes wyjdzie z tego bez szwanku. Chcielibyśmy jednak zatrzymać ją na obserwacji; jeśli jej stan się nie pogorszy, jutro będzie mogła wrócić do domu, choć pewnie jeszcze przez kilka dni może czuć się osłabiona.

- Dziękuję, doktorze. Zapewniam pana, że moja żona będzie dużo odpoczywała.

Na korytarzu Logan zatrzymał się na chwilę, usiłując zebrać myśli. Och, Maryanne, co ty sama sobie robisz? I swoim dzieciom? Dlaczego jesteś tak nieszczęśliwa, że siebie niszczysz?

Johnny uspokajającym gestem położył mu dłoń na barku.

- Wyjdzie z tego, stary. My ją z tego wyciągniemy.

Logan spojrział na przyjaciela, właściwie członka jego rodziny.

- Mam nadzieję. Ja chyba ją zawiodłem. Johnny wzruszył ramionami.

- Człowiek robi to, co może. Chodź, zobaczymy, co się stało w domu. Zadzwońłem już do Slade'a.

Logan odwrócił się do Charliego, który stał kilka kroków dalej, i objął go trochę niezdarnie.

- Idziesz z nami? Mama do jutra będzie na środkach uspokajających, więc nic tu po nas.

- Tak. Słuchaj, tato, muszę ci coś powiedzieć...

W tym momencie zadzwoniła komórka Logana. Otworzył ją.

- Logan Barnes.

- Dobry wieczór, panie Barnes, mówi sierżant Haworth z aresztu przy komisariacie na West End Central. Mamy tu pańską córkę.

Logan oparł się plecami o ścianę. Spojrział na Charliego i westchnął. Najwyraźniej o tym próbował mu powiedzieć syn.

- Dobry wieczór, sierżancie - odparł zgnębiony. - Za co została zatrzymana?

Kiedy tak stał przed szpitalną salą, na której leżała jego nieprzytomna żona, czekał na powrót do domu, który omal nie spłonął, i rozmawiał z policjantem, który zatrzymał jego córkę, Logan był zupełnie odrętwiały. Wszystko to wydawało się tak absurdalne, że niewiele brakowało, a parsknąłby śmiechem. Ale nie mógł. Przeżywał prawdziwy dramat. Jego życie się rozpadało. Miał rozdarte

serce. Miotał się między wściekłością, że Maryanne mogła być tak głupia, żalem nad nią i nad samym sobą, a upokorzeniem, bo jego żona okazała się żalonym wrakiem. Hm, to twoja wina, że stała się kimś takim, prawda, Logan? - rozległ się cichy głos w jego głowie. - Kiedyś była szczęśliwa. Szczęśliwa i beztraska. A potem wyszła za ciebie i wszystko zaczęło się psuć. Nie poświęcałeś jej dość uwagi, tylko pracowałeś i oczekiwałeś, że pieniądze i ładne rzeczy wystarczą. Głupi Logan. Nie, to nie tylko jego wina, nie może wziąć na siebie całej odpowiedzialności za to, co się stało. Maryanne jest dorosła.

Nie, nie, nie. On się wściekał, ale ona omal nie umarła. Omal nie stracił jej na zawsze. A może jednak? Szła przez swoje życie, potykając się przy każdym kroku, zagubiona w labiryncie bólu i smutku. Musi pomóc jej się z tego wydostać. Bardziej się o to postarać.

Jeszcze kilka tygodni temu był na swojej cudownej wyspie -rozkoszował się chwilą otwarcia swojego luksusowego hotelu, pлавił w zachwycie i pochwałach. Czyżby to dlatego? Upadek często poprzedza pycha. Może wpadł w pułapkę pychy, nie po raz pierwszy zresztą. Nie po raz pierwszy... Pycha już kiedyś podcięła mu nogi, rzuciła go na łopatki. I nie tylko jego. Ta biedna kobieta, Georgia Hardy, już nigdy nie wyzdrowiała. Może takie było jego przeznaczenie - budować i patrzeć na ruinę tego, co stworzył. Odnosił międzynarodowy sukces, cieszył się sławą - i najwyraźniej poniósł klęskę w tym, co najważniejsze: miłość, rodzina, życie, prawdziwe życie.

- Obraza moralności publicznej, proszę pana - mówił mu do ucha sierżant Haworth. - I próba przekupstwa. Czyli, innymi słowy, panna Barnes została przyłapana podczas odbywania stosunku se-ksu-al-ne-go (sierżant przeciągnął sylaby) na ulicy, a następnie usiłowała uniknąć konsekwencji, proponując funkcjonariuszom łapówkę... - Policjant urwał na moment. - Przykro mi to mówić -dodał, ale tak naprawdę chyba wcale nie było mu przykro. - Upiera się też, by reprezentował ją niejaki pan Stokes. O ile dobrze zrozumiałem, to pański prawnik?

- Tak, zgadza się. Zaraz tam będziemy.

Logan zamknął telefon. Przez chwilę miał wielką ochotę zostawić Lucię, by sama wypła piwo, którego sobie nawarzyła. Co ta smarkula sobie wyobraża? Nie zasługuje na jego pomoc, nie zasługuje, żeby znowu wpłacił za nią kaucję. Ale wiedział, że to zrobi. To jego obowiązek jako jej ojca. Bóg jeden wie, że zaczął sobie właśnie uświadamiać, iż jako rodzic nie sprawdził się. Wstał, znużony, i spojrzał na Johnny'ego.

- Musimy iść.

Kiedy Johnny uporał się w końcu ze skutkami pełnej wrażeń nocy Lucii - ułagodził policjanta, który przez kilka godzin słuchał jej pogrózek, towarzyszył jej na przesłuchaniu i przekonał ją w końcu, żeby się zamknęła i pozwoliła mu odpowiadać na pytania - wybiła siódma rano. Logan i Charlie od czterech godzin siedzieli na niewygodnej ławce i czekali. Niewiele rozmawiali, bo obaj byli wstrząśnięci i wyczerpani.

- Próbowałem ci powiedzieć - usprawiedliwiał się zdenerwowany Charlie.

- Tak, wiem. W porządku, Charlie, to nie twoja wina. Nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą.

Podniósł wzrok. W drzwiach stała Lucia. Wyglądała niechlujnie, potargana. Wydawała się bardzo, bardzo młoda.

- Co to ma znaczyć? - spytał Logan ostro. - Czy to kolejny blef, który wymyśliłaś do spółki z tym idiotą Jontym? Jakby prasa i tak się tobą nie interesowała?!

- Nie.

Cicho. Ostrożnie.

- Zwalniam go - oznajmił Logan.

- Nie możesz. To ja mu płacę. Buntowniczo. Wkrótce jej sytuacja się zmieni.

- Tak? Przekonasz się niedługo, że mogę zrobić wszystko, na co przyjdzie mi ochota. A teraz wsiadaj do samochodu.

I Lucia wsiadła.

Dom niewiele ucierpiał w pożarze. Kiedy wrócili, strażacy właśnie odjeżdżali i zaczynało się sprzątanie. Mieli dużo szczęścia. Po-

koje Maryanne wymagały odświeżenia i nowych mebli - co jej zapewne specjalnie nie zmartwi - a korytarz trochę zniszczył dym i woda. Cały dom miał zostać jeszcze kilkakrotnie dokładnie sprawdzony, ale wstępne oględziny nie wskazywały na naruszenie struktury budynku.

Logan powiedział Charliemu, żeby się spakował, poprosił też Linny, by spakowała dwie torby: dla niego i Maryanne. On i Charlie zamieszkają w niewielkim hoteliku należącym do LBI w Soho, do czasu zakończenia prac w domu. Maryanne z nimi nie pojedzie. Nadal nie odzywał się do Lucii, która nadąsana stała za bratem.

- A ja? Też mam się spakować? - spytała. - Dokąd jedziemy? Był zbyt zmęczony, by teraz się nią zająć.

- Charlie i ja zatrzymamy się w Lexington. A ty... - Odwrócił się. - Rób, co chcesz. Zresztą jak zwykle.

Poszedł do swoich pokoi przespać się pół godziny, a potem przebrał się i pojechał do szpitala, by spotkać się z doktorem Slade'em. Zamierzał przenieść Maryanne do innego ze swoich hoteli, Sternley House - wiejskiej posiadłości, którą kupił od rodziny Mal-lorych - gdzie lekarz pomoże jej dojść do siebie. Na pewno jej się to nie spodoba. Ale tak będzie najlepiej. Członkowie jego rodziny nie potrafili sami o siebie zadbać, postanowił więc, że zrobi to za nich.

Prywatny ambulans wjechał na teren Sternley krętą wiejską drogą, prowadzącą na tyły hotelu, z dala od głównego wejścia. Drzwi otworzyły się i metalowa platforma opuściła wózek z Maryanne, ciągle pod wpływem środków uspokajających, na ziemię. Doktor Slade, wysoki, przystojny mężczyzna o gęstych kręconych włosach, był przy tym obecny. Potem szedł tuż obok wózka, pchanego przez kierowcę w stronę drzwi. Minęli kuchnię i wsiedli do windy, która zawiozła ich na ostatnie piętro budynku - to tu przez cały następny tydzień miała przebywać Maryanne.

Wszystkie rezerwacje zostały odwołane, gości przeproszono i zrekompensowano im tę niedogodność.

Zaproponowano im nieodpłatne pobyty w innych hotelach LBI albo, również nieodpłatny, pobyt w Sternley House w innym terminie. Jako przyczynę podano konieczność przeprowadzenia niecierpiących zwłoki prac renowacyjnych w tych pokojach.

W rzeczywistości miała je zająć Maryanne, doktor Slade, zespół zapewniających całodobową opiekę pielęgniarek i ochroniarz zatrudniony przez Logana, który chciał mieć pewność, że jego żona pozostanie tam, gdzie najszybciej będzie mogła w spokoju przejść detoksykację.

Kiedy Maryanne ułożono na dużym łóżku, doktor Slade podłączył ją do kroplówki z płynami, witaminami i minerałami, żeby się nie odwodniła i mogła rozpocząć leczenie w jak najlepszej kondycji. Potem rozchylił jej usta, delikatnie położył na języku stumiligramową tabletkę ibogainy i cofnął się, bacznie obserwując pacjentkę. Jeśli nie wystąpi reakcja alergiczna, rano Maryanne otrzyma pełną dawkę leku.

Maryanne ocknęła się i choć jeszcze trochę otepliała, natychmiast poczuła znajome objawy detoksykacji. Mdłości, poty, dreszcze, bóle stawów i mięśni. Wszystkie członki wydawały jej się tak ciężkie, jakby jakiś wielki magnes ciągnął je w dół. Otworzyła oczy i skrzywiła się, kiedy poraziło ją ostre światło. Miała sucho w ustach, pękały jej wargi.

Nad nią pojawiła się nagle czyjaś przystojna twarz. Chłodna ręka zmierzyła jej puls, a potem rozchyliła powieki, by zajrzeć w źrenice.

- Witaj, Maryanne. Nie martw się, nie czujesz się może najlepiej, ale nic ci nie grozi. Jestem doktor Slade. Możesz nazywać mnie Jeremy. Twój mąż poprosił mnie, żebym pomógł ci przestać brać pigułki, z czym masz pewne problemy.

Maryanne patrzyła na niego, zdezorientowana. Co to za miejsce? Chciała wstać, ale okazało się to zbyt trudne, a zaraz potem ta sama chłodna ręka ją powstrzymała.

- Leż spokojnie, Maryanne. Jesteś w dobrych rękach. W Sternley House.

Sternley House. Ta nazwa wydała jej się znajoma, lecz kręciło jej się w głowie i nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ją słyszała.

- Teraz dam ci tabletkę. Chcę, żebyś ją połknęła. Wkrótce poczujesz się lepiej. Możesz na początku być trochę zdezorientowana, mogą dokuczać ci mdłości, a także pojawić się wyraźne wspomnienia. Ale chcę, żebyś mi zaufała. Dobrze?

W łagodnie modulowanym głosie tego mężczyzny było coś kojącego, więc zaufała mu, choć czuła się tak niepewnie. Kiwnęła głową. Przymocował do jej klatki piersiowej końcówki elektrokardiografu.

- Świetnie. Cały czas będę monitorował twój stan. No, to zaczynamy...

Podał jej lekarstwo i pomógł jej usiąść, żeby mogła je połknąć z odrobiną wody. Tabletką była duża i sprawiło jej to trudność.

- Dobra robota. A teraz spróbuj się odprężyć, Maryanne. Cały czas będę tu z tobą...

Maryanne oparła głowę o poduszki i powoli zapadła w sen.

Obrazy nadpływały zewsząd, ilekroć zamknęła powieki. Była przytomna, tak jej się przynajmniej wydawało, ale nie całkiem. Nie potrafiła kontrolować swoich myśli, czuła się zbyt ciężka, by się podnieść, i ciągle ją mdliło. W uszach dziwnie jej dudniło.

Wizje, które pojawiały się przed jej oczami, widziała wyraźnie, jak na plazmowym ekranie telewizora w domu.

Widziała siebie sprzed kilku lat, na jakimś przyjęciu. Rozpoznała nawet sukienkę, którą miała wówczas na sobie, od Versace. Ręce lekko jej drżały i pamiętała uczucie niepokoju - teraz też się pojawiło i po chwili wpadła w panikę, tak samo jak wtedy. Potem nagle znalazła się w łazience, myła ręce, stojąc obok swojej przyjaciółki Gerthe -a Gerthe trzymała w ręce fiolkę valium i mówiła, że zaraz poczuje się lepiej. I tak się stało. Połknęła tabletkę i natychmiast się odprężyła, a uczucia, z którymi nie umiała sobie wcześniej poradzić, gdzieś się rozplynęły...

Zmusiła się do otwarcia oczu i wizja znikła. Była w hotelowym apartamencie w Sternley House. Teraz przypomniła już sobie, że to jeden z hoteli Logana, jeden z ich hoteli. Jakie to głupie, że wcześniej o nim nie pamiętała. Kto zapomniałby o własnym hotelu? Nagle zrobiło jej się niedobrze, pochyliła się więc do przodu i zwymiotowała do miski, szybko podstawionej przez ładną młodą pielęgniarkę. Zamknęła oczy i pod jej powiekami natychmiast pojawiły się kolejne wizje.

Leciała nad oceanem i widziała, jak pod warstwą przejrzystych chmur powierzchnia oceanu migoce w promieniach słońca. Patrzyła

na to z okien prywatnego odrzutowca. Logan był zły, krzyczał na nią. Nie zrobiła czegoś, co mu obiecała. Zawiodła go.

Ktoś objął ją ramieniem. Otworzyła oczy i zobaczyła doktora Slade'a.

- Dasz radę pójść ze mną, Maryanne?

Spróbowała, ale była taka słaba i niezdarna: nie mogła skoordynować ruchów. Opadła na łóżko i znowu zamknęła oczy. Słyszała dobiegający gdzieś z boku uspokajający głos, ale film w jej głowie znowu się zaczął i skupił całą jej uwagę.

Była w Nowym Jorku i piła, piła dużo, nie dla przyjemności, lecz by stępić ból... wtedy przypominała sobie o środkach przeciwbólowych, które Logan trzymał w apteczce - dostał je po urazie kolana, doznanym w trakcie uprawiania jakiegoś głupiego sportu. Nie przypominała sobie jakiego. Poszła chwiejnie do łazienki (gdzie był wtedy Logan? Pewnie nie w domu - nigdy nie było go w domu!) i wysypała tabletki na dłoń, przez chwilę na nie patrzyła, a potem połknęła je wszystkie i popiła kieliszkiem wina.

I znowu te dźwięki, jakiś jęczący, nieznośny odgłos, w którym w końcu rozpoznała szloch, kobiecy szloch... Swój własny szloch, bo to ona płakała, oglądając ten koszmarny film. Teraz rozpoczęła się nowa scena, nieznośnie trudna: nałykała się pigułek i upiła do nieprzytomności w dniu dwudziestych pierwszych urodzin jedynej córki. A potem w końcu zemdląca, samotna, zapomniana, otoczona pięknymi przedmiotami.

Charlie i Logan siedzieli w jadalni hotelu Lexington, gdzie zatrzymali się po pożarze, i jedli śniadanie.

- Ten album jest naprawdę niezły, tato. Jest dobry. TJ mówi, że...

- Kto to jest TJ?

Charlie znieruchomiał ze sztukami w rękach, starając się opanować. Nie chciał wrzasnąć na ojca, że mówił mu już to sto razy. Logan nigdy nie słuchał.

- TJ Burke. To jeden z najlepszych producentów. Pracował ze Stonesami, z Madonną...

Logan nie odpowiadał, a Charlie zrozumiał, że musi wymyślić coś bardzo szybko, żeby ojciec dał mu spokój.

- Wkrótce będziesz mógł czegoś posłuchać. Logan podniósł głowę.
 - Naprawdę? Więc jest prawie skończony?
 - Nie, ale mamy już z czym pójść do firm nagraniowych. TJ uważa, że przynajmniej zorganizują nam przesłuchanie.
 - Posłuchaj, Charlie, wszystko bardzo pięknie i ładnie. Cieszę się, że zrobiłeś coś, z czego jesteś dumny, coś, na co będziesz kiedyś mógł spojrzeć i powiedzieć: hej, dokonałem tego. To wspaniale.
- Jakieś „ale” wisiało w powietrzu. - Charlie je czuł.
- Ale... No właśnie.
 - Nie przewracaj oczami. Masz dwadzieścia pięć lat. Zajmowałeś się tym od dawna i nie mam ci tego za złe. Cóż, założyłem dla ciebie i Lucii fundusze powiernicze właśnie w tym celu, żebyście mogli podejmować sami takie decyzje. - Uśmiechnął się. - Nawet jeśli nie są to decyzje, które mi się podobają. Cóż, między innymi na tym polega rodzicielstwo.
 - Na przyglądaniu się, jak dzieci popełniają błędy, tak?
 - Niekoniecznie błędy, raczej dokonują innych wyborów. Myślę jednak, że już czas, żebyś zaczął traktować muzykę bardziej jako hobby. I zaczął pracować dla mnie.
- Charlie pociągnął duży łyk kawy. Gorąca. Skrzywił się. Nie miał ochoty pracować dla Logana. Chyba niczego bardziej nie chciał. Kochał ojca, ale tak bardzo się od niego różnił. Nie interesowały go nieruchomości i hotele. Wiedział, że nie sprawdziliby się w tym - żeby wspiąć się na szczyt, trzeba mieć pasję. Jego pasjonowała muzyka, nie hotelarstwo. A myśl, że mógłby pracować dla ojca i zawsze być tylko przeciętniakiem, go przerażała.
- W porządku, posłuchaj. Dobijmy targu - powiedział, uznając, że teraz, dla odmiany, to on może przejąć kontrolę nad rozmową.
- Logan spojrział na niego. Z zainteresowaniem.
- Co proponujesz?
 - Skończę to demo. Jeśli pojedziemy na przesłuchanie i zaproponują nam nagranie albumu, tym się zajmę. Nagrywaniem płyt. Jeśli nie, jeśli nasza muzyka okaże się do niczego, zacznę pracować dla ciebie.

Logan zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem wyciągnął do syna dłoń. Podali sobie ręce: Logana wysuwała się z wykrochmalonego białego mankietu i rękawa kaszmirowej marynarki i połyskiwał na niej złoty zegarek; Charliego - odsłonięta do łokcia, opalona, pokryta złotawymi, rozjaśnionymi słońcem włosami, z dużym, wytrzymałym na wodę zegarkiem do nurkowania.

Charlie naprawdę musiał nagrać tę płytę...

Wkrótce po odejściu Charliego do Logana dołączył Johnny. Otworzył pękatą teczkę, wyjął plik papierów, przejrzał je i podał Loganowi kilka stron do podpisania.

- Jak tam Charlie? - spytał.

- Nie jest mu łatwo. Boi się, że matka w końcu się zabije. Powiedziałem mu, żeby pomyślał o pracy dla mnie.

- Uważasz, że to odpowiedni moment?

- On potrzebuje stabilizacji. Muzyka i tak dalej, wszystko bardzo pięknie, lecz Charlie nie jest już dzieckiem.

Powinien wziąć na siebie odpowiedzialność, to dobrze mu zrobi. Nie pozwolę, żeby stał się taki beznadziejny jak Lucia. A skoro już o tym mowa, co z nią? - Logan oddał podpisane dokumenty Johnny'emu, który natychmiast podał mu kolejny plik.

- Za kilka tygodni musi się stawić w Westminster Magistrate Court - odparł Johnny. - Jeśli nie będzie zbyt arogancka, powinno się skończyć na grzywnie i upomnieniu.

- Lepiej niech nie oczekuje, że zapłacę grzywnę.

- Obawiam się, że oczekuje.

- Więc niech się zastanowi nad sobą.

- A co słychać na wyspie? - spytał Johnny.

- Wygląda na to, że wszystko w porządku. Żadnych skarg... Nie, prawdę mówiąc, jedna. - Logan westchnął. - Kilka godzin temu rozmawiałem z Markiem. Podobno ktoś narzekał, że morze jest zbyt ciepłe.

- Ha! Ciężkie życie, co?

- Właśnie.

Johnny rzucił okiem na swój iPhone.

- Dziś po południu kręcimy *General Managera* w Chesham Place.

- Tak. Zadania z obsługi VIP-ów?
 - Aha. To powinno być interesujące. A w przyszłym tygodniu... Toronto, prawda?
- Logan kiwnął głową.
- Trzeba tam pojechać. Oba hotele w Toronto i ten w Vancouver przyjmują mniej gości. Muszę sprawdzić dlaczego.
 - Przy okazji moglibyśmy się wybrać do Whistler. Poszaleć trochę na stoku. Przydałoby nam się chwila odpoczynku.
 - Nie, za dużo się tu teraz dzieje. A skoro już o tym mowa, co słyhać w sprawie Bilton Square? Znaleźliśmy nabywcę?
 - To jeszcze nic pewnego, ale ktoś się tym interesuje. Nie wiem, kto to taki, staram się dowiedzieć więcej.
 - Jak to nie wiesz, kto to? - zaniepokoił się Logan.
 - To jakaś nowa firma, nazwisk nie znam. W każdym razie prywatna. Zleciłem już komuś, żeby się im przyjrzał.
 - Jak nazywa się ta firma?
 - Uhm... - Johnny przewinął e-maila. - Light Hotels.
 - W porządku. Słuchaj, uważam, że powinniśmy od razu wracać; teraz nie bardzo możemy sobie pozwolić na wakacje.
 - Nie mówię o wakacjach, chodzi o kilka dni. Poza tym przecież zawsze tak jest. Nigdy nie ma spokoju.
 - Tyle że czasami jest bardziej niespokojnie niż zwykle.
 - Przydałoby ci się trochę dystansu. Podładowałbyś akumulatory. W końcu nie byliśmy tam od wieków.
 - Ale Maryanne...
 - Jest w dobrych rękach. Nie możesz jej w żaden sposób pomóc, dopóki nie przejdzie detoksu. Twojego wsparcia będzie potrzebowała, kiedy wróci do domu.
 - Sam nie wiem...
 - A ja wiem. Organizowanie ci czasu wolnego należy do moich obowiązków. Gdyby nikt cię nie powstrzymał, pracowałbyś w Boże Narodzenie.
- Logan zaśmiał się i upił łyk kawy.
- Przecież trochę pracuję w Boże Narodzenie.
 - Właśnie. Pojedźmy do Whistler. Odpoczniemy, odetchniemy świeżym powietrzem. Zrobimy plany. To rozkaz.
- 289

Logan zastanawiał się przez chwilę. Kusiła go perspektywa kilku dni w górach. Co więc go powstrzymywało? Elise.
- Ona ciągle tu będzie, kiedy wrócisz - powiedział Johnny, jakby czytając w jego myślach. - A ty spojrzysz na wszystko z innej perspektywy.

Logan nie potrzebował perspektywy, lecz czasu, żeby wszystko sobie poukładać, zastanowić się, dokąd zmierza jego znajomość z Elise i co on chciałby z tym zrobić. Podjął decyzję.

- W porządku, masz rację. Wybierzmy się w góry.

- Świetnie! Powiem Jimowi, żeby szykował samolot. Lecimy jutro.

Charlie jechał na nagranie kilku gitar do swojego albumu do małego studia w południowym Londynie. Nie mógł się doczekać, był podniecony i gotowy do pracy. Bardzo chciał udowodnić ojcu, że może zostać muzykiem.

Studio zajmowało część dawnego kościoła, wnętrza miały więc wysokie stropy. W jednym rogu sali stały stare organy Hammonda. Na ścianach sali do nagrań na żywo wisiały różne gitary, a w pomieszczeniu dźwiękowców - okładki płyt, zdjęcia zespołów na różnych imprezach, roznegliżowane dziewczyny, fotografie dzieci reżysera dźwięku i bilety z koncertów. Nie było tu tak elegancko jak w Los Angeles, ale Charliemu bardziej się podobało.

Miał wrażenie, że tutaj może wreszcie być sobą. Zagrał swoje partie gitarowe po mistrzowsku i późnym wieczorem wyszedł ze studia podekscytowany. Album powoli nabierał kształtu; męczący i miejscami śmiertelnie nudny proces tworzenia płyty dobiegał końca. Charlie czuł, że będzie mógł być z tego dumny.

Zbyt nakręcony, by wrócić od razu do domu, postanowił pojechać na West End i zjeść późną kolację. Kiedy otworzył drzwiczki i chciał wskoczyć na tylne siedzenie czekającego na niego samochodu, dostrzegł kątem oka jakiś ruch; odwrócił się szybko, unosząc pięści w obronnym geście.

- Jezu, nie strzelaj!

Nie stał przed nim żaden typ spod ciemnej gwiazdy, czego się obawiał, lecz dziewczyna. Podniosła ręce do góry w teatralnym ge-

ście poddania. Nie miała więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, lecz wydawała się wyższa, bo nosiła srebrne sandałki na wysokich, wąskich platformach. Ubrana była w czarne, nieprzezrocyste rajstopy i krótką czarną tunikę, odsłaniającą smukłe nogi.

Popatrzyła z obawą na potężnego kierowcę, który wysiadł z samochodu i przyjął groźną postawę. Kiedy przestała mierzyć go wzrokiem, spojrzała na Charliego, także wysokiego i mocno zbudowanego. I zaczęła chichotać.

- Przepraszam, chciałam tylko poprosić o pomoc, ale spoko. Nie sprawię kłopotu.

- Wszystko w porządku. - Charlie spojrzał na kierowcę, który natychmiast się wycofał, i uśmiechnął się do dziewczyny.

- Ty też jesteś Amerykaninem - stwierdziła.

- Uhm. Ale teraz mieszkam tutaj, w pewnym sensie.

- Ja również. Tak czy inaczej widziałam, jak wychodziłeś z kościoła, więc pomyślałam, że nic mi z twojej strony nie grozi. To takie głupie... spotkałam się z moim chłopakiem, pokłóciliśmy się i uciekłam, ale zostawiłam torebkę, a on wyszedł już z restauracji i nie wiem, dokąd poszedł. Ma mój telefon i wszystko... - Urwała i wbiła wzrok w ziemię.

- I nie masz pieniędzy na powrót do domu. Zaczerwieniła się.

- Właśnie. Ale nie próbuję cię nabrać, żebyś dał mi na prochy, naprawdę. Nie chcę pieniędzy, tylko pomyślałam sobie, że może odwiózłbyś mnie do domu.

- O której pokłóciłaś się z chłopakiem?

- Godzinę temu, bo co? - spojrzała na niego pytająco.

- Pomyślałem sobie, że pewnie nie zdążyłaś dokończyć kolacji. Zabrał ją do kasyna i prywatnego klubu, ze wstępem tylko za

okazaniem karty członkowskiej; mieścił się tuż obok hotelu Lexington i należał do rodziny. Siedzieli na tyłach sali, przy stoliku ustawionym tak sprytnie, że siedząc przy nim, można było dobrze widzieć, kto wchodzi i wychodzi, samemu nie będąc jednocześnie widzianym. Zamówili piwa i hamburgery z frytkami i przez całą godzinę bez przerwy rozmawiali.

Dziewczyna - Jamie, jak się przedstawiła - była miła i dowcipna; słuchała takiej samej muzyki jak Charlie, a w Los Angeles chodziła do tych samych barów. Rozmawiali o podróżach i muzyce, i o tym, jak to jest być Amerykaninem w Londynie. Jamie powiedziała mu, że przyjechała do Anglii pół roku temu.

- Studiuję. Zwiedzam. Bardzo mi się tu podoba. A ty? Od jak dawna tu mieszkasz?

- Och, od kilku lat, z przerwami. Moi rodzice i siostra mieszkają tu przez większą część roku. Ja spędzam więcej czasu w Los Angeles. Tylko że ostatnio...

- Co?

- A, nic. Sprawy rodzinne; to nudne.

- Nie, to wcale nie jest nudne. Opowiedz mi o nich. Czym zajmuje się twój ojciec?

Charlie nie miał ochoty tego dnia rozmyślać więcej o swojej rodzinie. Słyszeć, jak zwykle: „Och, to ten facet z *General Managera*, rany, jak to jest być jego synem?" Nie, nie chciał prowadzić takich rozmów z tą dziewczyną. Chciał, żeby interesowała się tylko nim. Zmienił temat.

- Och, handlem nieruchomościami. Nic ciekawego. A twoi rodzice?

Przez jej twarz przemknął cień.

- Nie znam ojca. Nigdy go nie widziałam ani nie słyszałam. Charlie zmarszczył brwi. Nagle zrobiło mu się głupio, że wyparł

się własnego ojca. Przynajmniej go miał.

- Przykro mi.

- Dlaczego? Jeśli czegoś nie znasz, to ci tego nie brakuje, prawda?

- Pewnie tak. A twoja mama?

Znowu ten cień, jakby bólu czy gniewu, pojawił się na jej twarzy.

- Och, po prostu jest mamą. Normalną mamą. - Jak bardzo by chciała, by była to prawda. Postanowiła rozładować atmosferę.

- No dobra. A teraz to, co naprawdę ważne.

Charlie spojrzał na nią wyczekująco. Sięgnęła ręką i przysunęła dwa stojące na środku stołu słoiczki.

- Frytki jesz z keczupem czy z majonezem? Charlie roześmiał się. Naprawdę zabawna dziewczyna.
 - Zawsze z keczupem - odparł. - Uważam tę całą majonezową modę za dziwactwo.
- Podniosła dłoń, żeby przybić piątkę.
- Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości, stary - powiedziała i oboje zachichotali. Potem spojrzała na niego i zaproponowała: -Zatańczmy.
 - Ja nie umiem tańczyć.
 - Nie ściemniaj, jesteś muzykiem, więc to niemożliwe, żebyś nie umiał tańczyć.
 - Nie umiem. Moje stopy są za duże czy za małe, jakoś tak. Uniosła jedną brew.
 - No dobra: za duże. Roześmiała się.
 - Nie powinnaś zadzwonić do swojego chłopaka? - spytał Charlie.
 - Hm. Co do... no cóż, nazwanie go chłopakiem było trochę na wyrost. I wątpię, żebym jeszcze kiedyś się z nim spotkała.
- Uśmiechnęła się czarująco; Charlie omal nie odpowiedział tym samym. Coś takiego nigdy mu się nie przydarzyło.
- No dobra, a co z twoimi rzeczami... torebką i tak dalej? Podaj mi jego adres.
- Nagle przejął kontrolę nad sytuacją. Spodobało mu się to. Jej również.
- Elsen Street 46. - Przeliterowała nazwę. - To chyba niedaleko stacji metra na Gloucester Road, ale nigdy tam nie byłam.
- Charlie zapisał adres na serwetce, zawołał kelnera, wręczył mu serwetkę i szepnął coś do ucha.
- W porządku. Załatwione.
 - Załatwione? Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Twoje rzeczy niedługo tu będą. Odchyliła się na oparcie krzesła.
 - Nieźle.
- Charlie spojrzał na nią, zakłopotany. Śmiała się z niego? Ale ona zaraz podniosła się, pochyliła i pocałowała go w policzek. Jej

włosy opadły mu na twarz. Jednocześnie wsunęła mu coś do ręki, po czym szybko odeszła w stronę damskiej toalety. Charlie spuścił wzrok i zobaczył, że trzyma w dłoni jedwabne majtki, jeszcze ciepłe. Poderwał się z krzesła i ruszył za nią.

Charlie nie był kochliwy, ale kiedy już zdarzyło mu się zakochać, to bez pamięci. Jamie była fascynująca, spontaniczna, pogodna i bardzo, bardzo seksowna. Tego właśnie potrzebował - odświeżającej odmiany, bo przytłaczało go to, co działo się w domu.

A ona też chciała się do niego zbliżyć. Colette, która na ulicy przedstawiła się Charliemu jako Jamie, oczywiście dokładnie wiedziała, gdzie go szukać. Postarała się odnaleźć studio, pojawiła się pod nim i odegrała rolę małej zagubionej dziewczynki. Kilka tygodni upojnego seksu z Charliem traktowała jako niezbyt ciężki obowiązek, bo był dokładnie w jej typie. Muskularny, wysoki. W czasie, który spędzili razem w łóżku, bawiła się równie dobrze jak on. Różnica polegała na tym, że on błyskawicznie tracił dla niej głowę, a ona leżała i myślała tylko o jednym: o jego ojcu.

Colette wreszcie doczekała się chwili, w której mogła odegrać się na Loganie. A czekała długo. Teraz jednak, dzięki Nicolowi, wiedziała już, co robić. Nicolo dał jej wystarczająco dużo pieniędzy, by mogła na czas swojej nieobecności umieścić matkę w luksusowym prywatnym szpitalu, więc Georgia znajdowała się pod dobrą opieką. Colette powiedziała jej, że wybiera się do Anglii ze swoim chłopakiem na małe wakacje i że wkrótce wróci - najpóźniej za kilka tygodni. Nie lubiła okłamywać matki, tak bezbronnej, ale nie miała wyboru. Zresztą robiła to wszystko dla niej. Georgia nawet nie zauważy, że córka wyjechała. A ona niedługo wróci, z pieniędzmi, które pozwolą jej odpowiednio zająć się matką. Cień Logana Barnesa wreszcie zniknie z ich życia.

Na billboardach w całym Londynie widniało jej fantastyczne ciało w jego pełnej krasie, więc bardzo poprawił się Lucii nastrój po upokarzającym zakończeniu jej urodzinowej imprezy. Ojciec nadal rozmawiał z nią sucho i tylko wtedy, kiedy musiał. Wstydził się za nią. Na myśl o tym Lucia w pierwszej chwili także się zawstydziła,

ale zaraz się opanowała. Do diabła z nim. Sztywniak. Zawsze chodzi tylko o niego. Szargasz imię mojej rodziny, zobacz, jak przez ciebie wyglądam, i tak dalej. W końcu była już dorosła i nie rozumiała, dlaczego to, co robiła, tak się na nim odbijało.

Już wkrótce udowodni mu jednak, że nie jest jakąś ślicznotką z pustą głową. Ranj złożył ofertę na zakup Bilton Square, przekonany, że zostanie przyjęta. Lucia spotkała się już z dekoratorem wnętrz, który chciał zająć się renowacją, a teraz, kiedy pozyskała pieniądze, nie było żadnego powodu, dla którego nie miałyby sfinalizować transakcji. Kiedy wyjdzie na jaw, kto jest nabywcą, wybuchnie wrzawa. Niektórzy będą twierdzili, że ona nie mogła tego dokonać, że nic nie wie o branży, że jest zbyt młoda. Że udało jej się kupić ten hotel tylko dzięki pozycji jej ojca. Lucia wiedziała, że jest młoda, ale ojciec, zakładając swoją pierwszą firmę, także był młody. A postanowiła nabyć hotel w tajemnicy, by uniknąć oskarżeń o nepotyzm.

Może należało wybrać nieruchomość nienależącą do LBI, ale ten hotel był po prostu idealny, a ona już bardzo konkretnie wyobrażała sobie, co można by z nim zrobić. Chciała zmienić go w klub tylko dla pań, który stanowiłyby przeciwwagę dla tych charakterystycznych dla Londynu, sztywnych i staromodnych klubów dla dżentelmenów. Hotel znajdował się w pobliżu najlepszych sklepów, a hotelowa restauracja będzie serwowała dania przygotowane zgodnie z zaleceniami każdej diety, jaką kiedykolwiek wymyślono. Lucia prowadziła już także rozmowy z fryzjerką wielu gwiazd, Jeanine Aslett, o otwarciu salonu na terenie hotelu. Czuła, że urodziła się, by to robić. Niemal zawsze obserwowała, jak to działa, miała to we krwi. I podczas gdy inni hotelarze badali rynek, analizując statystyki, ona wiedziała, czego chcą kobiety, bo była jedną z nich. Nie miała więc zamiaru pozwolić, by Bilton Square kupił ktoś inny. Poza tym zakup hotelu tuż pod nosem Logana był dobrym sposobem pokazania mu, że jest dorosła i samodzielna.

Zniecierpliwiona, spojrzała na ekspedientkę, która pakowała właśnie bieliznę do szeleszczących papierowych toreb. Chciała jak najszybciej wrócić do swojego pokoju, gdzie czekał na nią kierowca Formuły 1, poznany w Luksusie. Zadzwoiła do niego po tym,

co teraz nazywała „incydentem”, i namówiła go, by przyleciał się z nią zobaczyć - łatwo jej poszło, bo seks telefoniczny był jedną z jej specjalności. Chodzi o to, że żaden z facetów, z którymi zwykle sypiała, nie wydawał się w tej chwili specjalnie nią zainteresowany. Zdumiewające, jak niewielkie zamieszanie z udziałem policji potrafi wystraszyć ludzi. Prawdziwy mężczyzna nie przejmowałby się tym, że przyłapano go bez spodni - zwłaszcza z nią. Niech się pieprzą. (Albo nie).

Ekspedientka przygotowała ostatnią paczkę. Klasyczny komplet z czarnej satyny, gorset z marszczoną taftą, różowa tiulowa halka i seksowne majtki, czerwony komplet z kokardkami po bokach, obcisłe, czarne, skórzane rękawiczki zapinane na guziczki w nadgarstku - wszystko to trafiło do czarno-różowych toreb. Lucia spojrzała na cenę zakupów, która wyświetliła się na czytniku w kasie. W tej samej chwili zadzwoniła jej komórka.

- Tu Tamara. Lucia, widziałaś już plakaty na mieście? Lucia uśmiechnęła się, zadowolona.

- Tak, wiem, są wszędzie. Przynajmniej raz Jonty rzeczywiście zrobił to, co obiecywał. Dobrze, że zdążył, zanim mój ojciec go zwolnił.

- O cholera, więc jednak ich nie widziałaś. - Słowa Tamary zabrzmiały złowieszczo, ale jej głos wydawał się dziwnie radosny. - Po prostu... idź i zobacz. Te przy Tottenham Court Road. Zresztą... obojętnie które.

Lucia siedziała na tylnym siedzeniu samochodu, nie wierząc własnym oczom. Zdjęcie na billboardzie ukazywało ją stojącą tyłem, ale z głową odwróconą lekko w stronę obiektywu, przed wielkim łóżkiem. Za nią ciągnęła się po podłodze długa szata z przejrzystego szyfonu. Nagie pośladki były krągłe, oczy spoglądały kusząco, uwodzicielsko...

Lecz na zdjęciu widniał napis nabazgrany wielkimi czerwonymi literami:

„Ta brudna dziwka zaraża rzeżączką”.

Kazała kierowcy pojechać przez Bloomsbury i wokół Stran-du, gdzie ujrzała kolejny billboard z czerwonym napisem. A potem jeszcze na Trafalgar Square i na Charing Cross Road... Lucia miała

wrażenie, że w drodze do domu zobaczyła setki swoich zeszpeconych zdjęć. W pewnej strasznej chwili samochód zatrzymał się na światłach tuż obok jednego z billboardów. Jakaś kobieta spojrzała w tylne okno i rozpoznała Lucię, a potem pokazała ją swojej towarzyszce i obie zaczęły się śmiać. Lucia poczuła, że palą ją policzki. Wystukała numer Jonty'ego.

- Co. To. Kurwa. Jest?

- No i kto tu jest niegrzeczną dziewczynką?

- Nic w tym zabawnego. Czy to ty?

- Ech? Po co ja miałbym zrobić coś takiego?

- Nie wiem, Jonty... może to jeden z twoich fantastycznych pomysłów na wzrost popularności?

Jonty wybuchnął głośnym śmiechem i długo nie mógł się uspokoić. Potrafił być prawdziwym sukinsynem.

- Chcę, żebyś doprowadził do ich usunięcia. I to natychmiast.

- A jak niby miałbym to zrobić?

- Nie wiem jak, po prostu to zrób!

- Nie da rady. Pamiętaj, że już dla ciebie nie pracuję. Ale posłuchaj, to może być nawet korzystne dla ciebie.

Nieważne, czy mówią o tobie dobrze, czy źle; ważne, żeby mówili. Tyle że dzwonił już do mnie Gerry Davies. Mam ci przekazać, że jeśli spróbujesz się z nim jeszcze raz skontaktować, zadzwoni na policję. Lucia krzyknęła z wściekłości.

- No i oczywiście w reszcie kampanii *Dziedziczki* wystąpi już ktoś inny - ciągnął Jonty. - Dostaniesz pierwszą wypłatę, i na tym koniec.

Lucia rzuciła telefon na podłogę. Jej plany, jej marzenia -wszystko stracone. Bez całej kwoty, jaką miała otrzymać za tę kampanię, nie zdoła kupić Bilton Square. Zaczęła płakać.

Kierowca spojrzał w lusterko.

- Na co się gapisz?

- Dokąd teraz, panno Barnes?

Komórka znowu zaczęła dzwonić. Lucia skasowała połączenie i skuliła się na siedzeniu.

- Do domu. Chcę jechać do domu.

- Ale dom jest ciągle...

- Po prostu mnie tam zawieź.

Wiedziała, że celebryci muszą radzić sobie ze złośliwymi plotkami, z pogłoskami rozsiewanymi przez prasę brukową. Ale tego nie mogła uznać tylko za złośliwe, wredne kłamstwa. Bo kiedy zobaczyła czerwone graffiti, natychmiast domyśliła się, kto je zrobił -ponieważ napisał prawdę.

Przy małym stoliku przed kafejką w Covent Garden Tom Cope z Bromley, malarz i dekorator dorabiający sobie także jako model, cieszył się owocami swojej całonocnej ciężkiej pracy. Ludzie zatrzymywali się i spoglądali na billboardy, próbując odgadnąć, czy napisy są częścią kampanii, czy też reklamy zostały zeszepeczone. Tom wraz z grupą przyjaciół zużył w ciągu nocy wiele litrów czerwonej farby, lecz warto było. Głupia krowa. Poderwała go w klubie, przez kilka tygodni traktowała jak pieska pokojowego, pozwalając mu zakosztować życia wyższych sfer, a potem rzuciła - zostawiając mu na pamiątkę zranione ego i uczucie pieczenia podczas oddawania moczu.

Podczas gdy Johnny i Logan szli Dean Street w stronę czekającego na nich range rovera, ludzie jak zwykle rozpoznawali Logana, tym razem jednak ich spojrzenia nie wydawały się przyjazne.

Kiedy wsiedli do samochodu, Henry odwrócił się do nich, marszcząc brwi.

Logan natychmiast to zauważył.

- O co chodzi, Henry?

Szofer zawahał się. Nie miał najmniejszej ochoty przekazywać hiobowych wieści, ale był to jego obowiązek jako lojalnego pracownika.

- Nie spodoba się to panu, sir. - Nacisnął guzik i szyba w oknie samochodu bezszelestnie zsunęła się w dół.

A za oknem był billboard z nagą Lucią i czerwonym napisem. „Ta brudna dziwka zaraża rzeżączką”.

Logan patrzył na to dłuższą chwilę. Johnny i Henry milczeli. Gdy Logan wreszcie się odezwał, mówił powoli i ze śmiertelnym spokojem.

- Połącz mnie z bankiem. Niech zablokują wszystkie jej karty kredytowe na moje konta. Nie chcę, żeby miała dostęp do funduszu powierniczego, nie wolno jej korzystać z samolotów ani samochodów, ani żadnych rodzinnych pokoi w naszych hotelach.

Johnny zawahał się.

- Zrób to, Johnny. Zaraz. Córka czy nie, ta dziewczyna musi się nauczyć, że nikomu nie wolno upokarzać mnie w taki sposób.

Maryanne siedziała na balkonie swojego apartamentu w Stern-ley. Była słaba, zmęczona i blada. Nie umalowała się, a włosy związała w luźny kucyk. Miała na sobie kaszmirowy sweter, szerokie, miękkie spodnie z dżerseju i zamszowe baletki. Mimo słońca było dość chłodno. Na brzegu jeziora siedziało kilka kaczek, które wyglądały jak stare pary małżeńskie. Maryanne nagle zatęskniła za uspokajającą obecnością Logana.

Doktor Slade usiadł i postawił przed nią na stoliku szklanę świeżego soku. Nie wyglądał zachęcająco - miał dziwny brązowy kolor. Lekarz zauważył jej podejrzliwe spojrzenie.

- Marchew, jagody acai i zarodki pszenicy - wyjaśnił. - Jest pyszny.

Spróbowała. Smakował równie wstrętnie, jak wyglądał. Uniosła jedną brew. Lekarz odważył się roześmiać i przepraszająco wzruszyć ramionami.

- Zgoda, może nie jest najlepszy. Ale dobrze ci zrobi. - Urwał. - Jak się dzisiaj czujesz?

- Do niczego.

- To normalne. A jak czujesz się psychicznie, emocjonalnie?

- Do niczego. - Westchnęła. - Te wizje... jakbym oglądała film z najgorszych momentów ostatnich lat mojego życia. Ze wszystkiego, czego najbardziej się wstydzę.

- To dość często występujący skutek uboczny ibogainy. Pacjenci przypominają sobie chwile z okresu uzależnienia, na ogół te najbardziej znaczące.

- Więc dzięki temu środkowi unika się fizycznych efektów detoksykacji, ale w zamian ogląda swoje najgorsze chwile.

- W pewnym sensie. Nie wiemy dokładnie, jak to działa. Lecz to najbardziej bezbolesna metoda detoksykacji, jaką znamy. Porównaj to z objawami, które pojawiły się u ciebie po przedawkowaniu i pierwszym odtruciu.

Rzeczywiście. Tym razem nie doświadczała tego okropnego bólu i skurczów ani dojmującego pragnienia, by coś wziąć, cokolwiek, byle przerwać ten upiorny proces.

- Może te wspomnienia, obrazy, na których widzisz, jak popadałaś w nałóg, działają oczyszczająco? Mają przypomnieć o tym, jak do tego doszło, na wypadek, gdyby kusiło cię kiedyś w przyszłości?

Kiwnęła głową. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak bardzo się wstydzę. Tego, co ze sobą zrobiłam.

- Nie wstydz się. Bądź wdzięczna, że teraz jesteś już wolna od narkotyków, bo jesteś wolna. Na tym zbuduj swoją siłę. Twoje ciało wiele przeszło i potrzebuje czasu, by odzyskać formę. Patrz tylko w przyszłość. Twoją przyszłość, z twoją rodziną.

Jeśli będzie jeszcze miała jakąś rodzinę. Choć Maryanne o tym nie wiedziała, Logan wybierał się właśnie do Kanady, zaprzątnięty myślami o innej kobiecie. Charlie był w łóżku z Colette, która całkiem zawróciła mu w głowie. Lucia siedziała w domu po pożarze, odpalając jednego papierosa od drugiego, nieświadoma, że ojciec właśnie odciął ją od pieniędzy. Rodzina Barnesów zaczęła się rozpadać.

Rozdział 18

W swoim biurze na wyspie, w hotelu Luksus, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, Mark odsłuchiwał nagranie sprzed kilku dni.

„Więc przestań wynajdywać wymówki i opowiadać mi, jak bardzo mnie pożądasz. Pokaż mi to, i to zaraz, bo inaczej odeślę cię do domu, nie zapłacę ani pensa i wystawię rachunek za te wakacje.

Chodź, kochanie, wracajmy do pokoju. Mam ochotę na linijkę. I chciałbym ją wciągnąć wprost z twojego pięknego ciała - o, dokładnie z tego miejsca, tutaj...

Po co wracać do pokoju? Chcę, żebyś zrobił to teraz. Tutaj".

Mark odetchnął z ulgą. Nagrało się. Ściągnął to na pendrive'a, wsunął go do kieszeni i zabrał się do pracy.

Zachowywał się niełojalnie wobec Logana, ale to nie znaczy, że zamierzał pozwolić na obniżenie standardów. W końcu był profesjonalistą.

Jako dyrektor LBI od mniej więcej dwunastu lat, Mark ściśle współpracował z Loganem przy wielu nowych projektach - od małych miejskich hoteli po wielkie ośrodki golfowe i spa w letnich kurortach. To właśnie w związku z jedną z takich angielskich nieruchomości kiedyś się spotkali. Logan złożył ofertę kupna bardzo zaniedbanej, ale interesującej z architektonicznego punktu widzenia posiadłości w Dorset. Dla rodziny Marka czy raczej tego, co z niej zostało, był to ostatni moment. Znajdowała się w bardzo kiepskiej sytuacji finansowej, podobnie jak wiele innych rodzin, odkąd skończyły się czasy właścicieli ziemskich. Z niegdyś wielkiej i dobrze prosperującej posiadłości Małlorych pozostał tylko dom zbyt duży na potrzeby jego mieszkańców i od dawna nieremontowany. Ogród, przy którym powinien pracować cały sztab ogrodników, był zaniedbany. Tymczasem bank odmówił dalszego wsparcia. Kiedy Logan przyjechał tam jaguarem pewnego deszczowego listopadowego dnia, prosto z Nowego Jorku, wschodnie skrzydło Sternley House było już od trzech lat zamknięte ze względu na rozsypujący się dach, sufit w sali balowej przeciekał, zniszczony przez nietoperze, a galerię minstreli toczyły korniki, więc i tam nikt nie wchodził. Ale jadąc przez ogrody, zarośnięte wysoką trawą i dziczałymi krzewami, mijając otoczony murem warzywnik, kiedyś pełen malin, sałaty i groszku, a teraz chwastów, Logan spojrzał na jasną bryłę starego domostwa i postanowił przywrócić je do dawnej świetności.

Oferta, którą złożył, była bardzo korzystna; Mark i jego matka szybko ją przyjęli - pod jednym tylko warunkiem. Choć Logan cieszył się dobrą opinią, a oni wierzyli, że zmieni ich rodową siedzibę w elegancki hotel, był jednak Amerykaninem, kimś obcym,

podchodzili więc do niego trochę nieufnie. Mark zastrzegł sobie prawo do pozostania w domu. Miał być w nim zatrudniony i o niego dbać, by Logan przypadkiem nie zechciał kiedyś zmienić hotelu w hostel pełen rozwrzeszczanej młodzieży, urządzającej imprezy karaoke. Pomijając wszystko inne, Mark potrzebował pracy, a nie miał żadnych kwalifikacji, które pomogłyby mu ją znaleźć. Zaczął więc pracować dla Logana, nauczył się podstaw hotelarstwa i ku swemu zaskoczeniu odkrył, że nie tylko lubi tę pracę, ale też się w niej sprawdza. Miał wrodzone wyczucie tego, czego klienci oczekują od różnych rodzajów hoteli, i potrafił zapewnić gościom odpowiedni poziom usług: dyskrecję, spokój, wygodę. Został wychowany, by być gospodarzem innego rodzaju, ale dobrze przystosował się do swojej nowej roli.

W końcu wyprowadził się ze Sternley House, choć jego matka nadal mieszkała w niewielkim domku na terenie posiadłości, i zaczął wspinać się po szczeblach kariery w LBI, aż w końcu awansował na stanowisko dyrektora hoteli. Blisko współpracował z Loga-nem, wraz z nim tworzył markę firmy i otrzymywał wysoką pensję. Miał też udział w zyskach, prawo do korzystania z firmowych odrzutowców, ilekroć tego potrzebował, trzy domy w różnych częściach świata i garderobę pełną garniturów ulubionej marki Savile Row. Ale ciągle czegoś mu brakowało; to, co osiągnął, nie dawało mu prawdziwej satysfakcji. Logan ocalił jego rodzinny dom, ale zmienił go w coś innego. To nie było już dziedzictwo Marka - teraz posiadłość należała do Logana, stała się częścią jego coraz potężniejszej, coraz bardziej rozrastającej się firmy. Mark wiedział, że powinien cieszyć się, iż jego dom stał się eleganckim hotelem, a nie byle jakim ośrodkiem wczasowym ze stołówką serwującą posiłki w trzech turach, nigdy jednak nie pogodził się z tym, że sam nie potrafił go uratować. Och, odgrywał w tym pewną rolę, nie łudził się jednak, że cokolwiek naprawdę od niego zależy. To Logan dyrygował, a Mark mógł najwyżej grać w jego orkiestrze.

Przez całe lata Mark odpychał uczucie bezsilności, tak jak kiedyś odpychał myśli o remontach, na które nie było go stać. Z tą różnicą, że teraz zapomnienie znajdował w ruletce, rekompensatę w eleganckich garniturach i kosztownych spinkach do mankietów.

Jego duszę coś zatruwało. Wiedział o tym. Znał to, znał tego diabła, który siedział na jego ramieniu i szeptał mu do ucha. Czasami mu ulegał i później zawsze czuł niesmak do samego siebie. A ponieważ dusił pragnienia w sobie, nie mógł sobie nawet czasami pofolgować, i poczucie niespełnienia zżerało go od środka.

Tylko jedna osoba wiedziała, co naprawdę lubił. Kim naprawdę był. Nie jego żona. Nie Logan ani Johnny, którzy z czasem stali się jego najlepszymi przyjaciółmi - a odkąd *General Manager* wszedł na ekrany, wszyscy trzej jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli. Mark nigdy dotąd nie miał takich przyjaciół. Był cichym, poważnym dzieckiem, które nie potrafiło nawiązać kontaktu z rówieśnikami ze strachu przed odrzuceniem. Zawsze stał z boku i obserwował. Jego słabości ujawniały się, już kiedy dorastał, co także mu nie pomogło. Wiedział, że jest inny. Przyjaźń z Loganem i Johnnym, zaufanie, jakim go obdarzyli, sprawiały, że to, co robił, stawało się coraz bardziej trudne. Ale nie miał wyboru. Nie mógł ryzykować, że wszyscy odkryją jego tajemnicę. Na samą myśl o tym przeszywał go dreszcz. A gdyby nie zgodził się wziąć udziału w planach Nicola, zostałby zdemaskowany jako zwyrodnialec, oszust i zdrajca. Nie mógł na to pozwolić.

Kiedy tak siedział, nerwowo zagryzając wargę, zadzwoniła jego komórka.

- Pan Mallory? Mówi Marie Vignes z Les Jeux Sont Faits.

- Witaj, Marie, co mogę dla ciebie zrobić?

- *Il y a un problème avec Lucia*. Dzwoni i domaga się apartamentu, ale nie mamy żadnych wolnych pokoi. Grozi, że wszystkich zwolni, krzyczy na moich pracowników... A ja nie mogę się dodzwonić do monsieur Barnes. Nie odbiera telefonów.

Dziwne. Logan zawsze był osiągalny.

- Ja spróbuję się z nim skontaktować, Marie. I dam ci znać. Mark wystukał numer komórki Logana.

- Tak?

- O, jesteś! - krzyknął Mark. - Marie Vignes nie mogła się do ciebie dodzwonić.

- Byłem na spotkaniu - rzucił krótko Logan tonem zniechęcającym do rozmowy.

303

- Rozumiem. - Mark przedstawił problem. Zwięźle i rzeczowo. - Twoja córka mówi, że nie może zostać w Londynie, bo media nie dają jej spokoju.

- Cóż, musi sobie sama z tym poradzić. Nie wolno jej wynająć pokoju w żadnym z hoteli, ani w Les Jeux, ani Luksusie. Proszę, byś powiadomił o tym kierowników.

Mark zapewnił, że to zrobi, i odłożył słuchawkę. A więc rozpieszczona panna Barnes w końcu posunęła się za daleko i tatuś stracił cierpliwość. Życie Logana zaczynało się komplikować. A wkrótce skomplikuje się jeszcze bardziej.

Lucia słuchała przez chwilę muzyki w słuchawce, ze zniecierpliwieniem zdrapując lakier z paznokci. W końcu Marie wróciła do telefonu.

- Przykro mi, Lucio, ale nie możemy wynająć ci pokoju.

- Marie, posłuchaj mnie...

- *Non* - To ty posłuchaj! Powiedziano mi, że nie możesz się tu zatrzymać. W innych hotelach również; jeśli do nich zadzwonisz, usłyszysz to samo. Koniec z darmowymi pokojami, panno Barnes.

Niestety Marie miała rację. Lucia zadzwoniła jeszcze tylko do jednego hotelu LBI, w Paryżu. Kierownik nie znał jej tak dobrze jak Marie, więc był uprzejmiejszy, ale odpowiedź brzmiała tak samo.

Gorące łzy spłynęły jej po policzkach na podbródek. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Ręce jej drżały.

Dlaczego on tak ją karze? To takie niesprawiedliwe - własny ojciec traktuje ją jak pariasa, a przecież nic złego nie zrobiła! To nie jej wina, że jakiś facet, z którym się przespała, zaraził ją chorobą, którą ona przekazała dalej. Nie miała żadnych objawów, nie zrobiła tego celowo. Teraz jednak musiała obmyślić jakiś plan, bo nie miała pieniędzy ani gdzie mieszkać. Boże, ojciec okazał się prawdziwym draniem. Cóż, wdała się w niego. Byli siebie warci.

Wieczorem w dniu poprzedzającym wyjazd Logana i Johnny'ego do Kanady Elise zdołała wymknąć się z domu - powiedziała Billowi, że wybiera się na przyjęcie urodzinowe znajomej z kursu

304

pilates. Spotkali się w londyńskim biurze Logana, niedaleko City, na ostatnim piętrze budynku, w którym mieścił się też hotel Lexington. W drodze Elise bardzo się denerwowała, tak jak przez całe popołudnie. Nie mogła się doczekać spotkania, a jednocześnie dręczył ją niepokój. Coraz częściej okłamywała Billa i była pewna, że ją prędzej czy później nakryje. Nie wyobrażała sobie, co się wtedy wydarzy, ale myśl o tym, że mogłaby nie zobaczyć się z Loganem, jeszcze bardziej ją dobijała.

Weszła do hotelu, pojechała windą prosto do jego biura i delikatnie zapukała do drzwi. Otworzył natychmiast.

- Cześć - powiedział, całując ją w policzki, czoło i czubek nosa. Jej skóra była miękka i pachniała różami.

- Witaj - odparła. - Tęskniłam za tobą.

- Ja też za tobą tęskniłem. - Pocałował ją w usta. Odwzajemniła pocałunek, przyciągając go do siebie; wtedy znieruchomiał i odsunął się trochę.

- Chcę ci coś pokazać - powiedział. - A jeśli teraz nie przestaniemy, to mi się nie uda.

- Co?

Uśmiechnął się.

- Chodź. Pokażę ci.

- Tu jest jak na dachu świata, prawda?

Wiatr targał włosami Elise, zarzucając długie pasma na jej twarz. Przytrzymała je ręką i zaśmiała się.

- Cudownie!

Stali na dachu hotelu i patrzyli na Londyn. The Eye, pałac Buckingham, parlament - z tego miejsca widać było wiele najbardziej charakterystycznych dla miasta budowli.

- Ten widok uświadamia mi, dlaczego tak mi się tu podoba - powiedział Logan. - Budynki są różnej wysokości, nie tak jak w Stanach, kraju drapaczy chmur. Żadnej różnorodności, jakbyś patrzyła na las. A spójrz tylko na to.

Stanął za nią i nad jej ramieniem wskazał miasto. Elise czuła ciepło jego ciała i zapach wody kolońskiej. Pocałował ją w szyję. Oparła się o niego, rozkoszując się tą chwilą.

305

- Zjemy coś? - poprowadził ją po dachu tam, gdzie za plataniną rur dostrzegła targane przez wiatr białe płótno. Na dachu - nie miała pojęcia w jaki sposób - ustawiono biały marokański namiot, otwarty z przodu, obszyty ozdobną bordiurą. Na szarym asfaltowym dachu rozłożono beduiński dywan, ciągnął się aż do namiotu, a na nim leżało mnóstwo mniejszych i większych poduszek w różnych odcieniach czerwieni, pomarańczy i fioleto.

Elise zajrzała do środka. Stał tam niski stół z jedzeniem, a w wiaderku z lodem chłodziła się butelka szampana. Elise pochyliła głowę, zrzuciła buty i weszła do namiotu. A Logan za nią.

- Pomyślałem, że urządzimy sobie piknik.

Nie odpowiedziała. Nie potrafiła. Przez chwilę tylko siedziała, patrząc na to piękne miejsce, ten mały raj, który Logan dla niej stworzył.

- Jesteś czarodziejem - szepnęła. - Jak to zrobiłeś?

- Och, nie mogę ci tego zdradzić. Etyka zawodowa czarodziejów mi nie pozwala, rozumiesz. Mogłabyś rozpowiedzieć, jak wyjąć królika z kapelusza, albo...

Och, przestań tyle gadać, Logan, na litość boską, pomyślała. Zamknij się i pocałuj mnie wreszcie. I wtedy właśnie to zrobił.

Na początku oboje się hamowali. Kiedy Logan przesunął dłonią po jej ciele i musnął jej pierś, Elise nie wiedziała, czy rozbierając się przy mężczyźnie, nie Billu, nie poczuje się zakłopotana. Ale gdy już do tego doszło, gdy Logan zdjął jej top i położył ją na poduszkach, napięcie i lęk znikły. Wypuściła go z objęć, by i on mógł się rozebrać.

Szybko zrzucił z siebie ubranie, po czym położył się obok niej, a ona oparła głowę o jego ramię. Niepewność ustąpiła i w żadnym z nich nie pozostał już nawet cień wątpliwości.

Szorstki dotyk dywanu i chłodny powiew wpadającego do namiotu wiatru sprawiły, że włoski na całym ciele Elise lekko się uniosły. Oplotła Logana nogami i skupiła się na nim. A on znieruchomiał na moment i oparł się na łokciu, by spojrzeć jej w oczy.

- Kocham cię. - Zaskoczyły go te słowa. Naprawdę tak myślał, ale jeszcze nie chciał tego powiedzieć. - Przepraszam

- wyszeptał. - Za wcześnie?

- Tak, za wcześniej. Ale nie dbam o to. Ja też cię kocham. Oboje odczuli ogromną ulgę. Logan pochylił się i namiętnie pocałował Elise.

Później pili szampana i jedli pozostawioną dla nich w namiocie kolację. Logan sięgnął za poduszki, wyciągnął z nich lśniące czarne pudełko i ceremonialnie wręczył je Elise.

- Byłbym zapomniał. Już przyszły.

Elise otworzyła paczuszkę, odsunęła na bok płatki róż, którymi przysypana była bibułka, i wyjęła jeden bucik.

Tak pięknych nawet sobie nie wyobrażała. Bładozielony jedwab połyskiwał, a złocisty haft, delikatny jak mgła, był prawdziwym dziełem sztuki. Kryształy błyszczały w świetle.

- Och, Logan. To pantofelki księżniczki.

- Odwróć.

Odwróciła bucik i przez chwilę patrzyła na podeszwę z kremowej skóry, w której migotał pięknie ozdobiony kryształ.

- O mój Boże. Ta piosenka... moja ulubiona: *Diamonds on the Soles of Her Shoes*. Skąd wiedziałeś?

- Hm... czas się przyznać. Czytałem twoje akta.

- Moje... Och, te z Luksusu?

- Tak. - Pocałował ją w pierś.

- Więc sprawdzałeś mnie?

- Nie. Czytałem o tobie. To duża różnica.

- Rozumiem.

Musnął językiem jej sutek, a potem podniósł głowę.

- Jesteś zła? - zapytał. Roześmiała się.

- Zła? Nie, na pewno nie.

Nie mogła uwierzyć, że to zrobił. I nie mogła uwierzyć, że to ona sprawiła, iż zdobył się na taki gest. Ale jedno spojrzenie na jego twarz powiedziało jej, że przynajmniej dla tego jednego człowieka taką kobietą była. Opadła na poduszki i patrzyła, jak pieści jej ciało.

Elise obudziła się następnego ranka i przez chwilę leżała w łóżku, wspominając wydarzenia poprzedniego wieczoru. Miała wrażenie,

jakby to wszystko działo się wiele lat temu albo przytrafiło komuś innemu. W innym życiu. Ale czy jej innym życiu? Logan odwiózł ją do domu, sam prowadząc samochód, by nie korzystać z szofera. Elise weszła do mieszkania. Była zdenerwowana, bo nie wiedziała, czy Bill już śpi i czy w ogóle wrócił do domu. Otworzyła drzwi, zobaczyła jego marynarkę na oparciu krzesła w jadalni i serce zaczęło walić jej jak młotem. Proszę, nie, nie zniosę kolejnej kłótni, kolejnej awantury. Nie dziś - nie po tym cudownym wieczorze. Ale w domu panowała cisza, a kiedy Elise weszła do sypialni, zobaczyła, że Bill leży w łóżku pogrążony w głębokim śnie. W pokoju unosił się nieprzyjemny zapach whisky. Rozebrała się szybko i wślizgnęła pod kołdrę, bardzo ostrożnie, żeby go nie zbudzić.

Teraz przeciągnęła się, wstała z łóżka i poszła do przylegającej do sypialni łazienki. Puściła wodę i naląła do wanny trochę ojejku do kąpieli Jo Malone. Jeszcze wcześniej, Danny pewnie ciągle śpi. Kiedy wanna była już pełna, Elise weszła do niej i leżała tak długo, aż woda ostygła. Marzyła... śniła na jawie.

Potem powoli wyszła z wanny i włożyła dzinsy i kaszmirowy bezrękawnik. Kawa. Musi napić się kawy, może wtedy wreszcie naprawdę się obudzi.

Drzwi sypialni nie chciały się otworzyć. Pchnęła je mocniej. Cholera, musiały się zaciąć. Kolejna rzecz do naprawienia w tym apartamencie, który miał być taki idealny, a okazał się porażką. Podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer Ines. Chciała ją prosić, żeby przyszła wcześniej i pomogła otworzyć jej drzwi. Ale telefon Ines był wyłączony. Cholera. Zadzwoiła na komórkę Billa - nie odbierał. Było to głupie, wiedziała o tym, ale zaczynała wpadać w panikę. Danny niedługo się zbudzi. Musi się wydostać z tego pokoju. Kilka razy odetchnęła głęboko i zadzwoniła do biura, w którym pracował Bill.

- Crown Asset Management, słucham.
- Proszę z biurem Billa McAllistera.
- Chwileczkę.
- Marjorie Vincent.
- Marjorie, mówi Elise McAllister.

Asystentka Billa była dla niej zawsze bardzo uprzejma, ale Elise wyczuwała w jej głosie nutę dezaprobaty, ilekroć się widziały albo rozmawiały.

- Dzień dobry, pani McAllister. W czym mogę pomóc?

- Chciałabym rozmawiać z Billem.

Po drugiej stronie na moment zapadła cisza.

- Jest teraz na spotkaniu z klientem.

- To ważne. - Elise starała się nadać głosowi stanowczy ton. Jest żoną Billa, ma prawo rozmawiać z nim, jeśli uzna to za konieczne. Postanowiła, że nie pozwoli, by ta kobieta wytrąciła ją z równowagi.

- Przykro mi, pani McAllister, ale prosił, by go z nikim nie łączyć. Nawet z panią. Mam przekazać, żeby nie niepokoiła się pani o Danny'ego; już odwiózł go do szkoły.

Elise rozłączyła się i przez chwilę myślała o tym, co usłyszała. „Nawet z panią”. A więc wyraźnie zaznaczył, żeby jej z nim nie łączyła. Dlaczego? Nigdy nie dzwoniła do niego do pracy. I wtedy nagle zrozumiała. Zamknął ją w sypialni jak niegrzeczne dziecko, któremu chciał dać nauczkę. Wiedział, że zadzwoni do biura, i dlatego wydał takie polecenie asystentce. Myśl, że mąż zamknął ją na klucz w pokoju, była tak absurdalna, że gdyby jednocześnie tak jej nie zaniepokoiła, Elise wybuchnęłaby śmiechem.

Później usłyszała szcęk otwieranych drzwi i kroki Billa, stłumione przez gruby dywan. Zabawne, jak charakterystyczną rzeczą jest chód. Ten jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny sposób, w jaki idziemy przez świat. Elise rozplątywała akurat srebrny łańcuszek, który zaczepił o długi kolczyk z akwamaryną i diamentami. Próbowała go delikatnie wyłuskać, starając się niczego nie ułamać ani nie wygiąć. Nie odwróciła się, żeby spojrzeć na męża. Była zadowolona, że ma akurat zajęte ręce, dzięki temu mogła się na czymś skupić.

- Ines zabrała Danny'ego na podwieczorek. Ja wróciłem do domu wcześniej. Stwierdziłem, że powinniśmy porozmawiać. Może powiesz mi, gdzie byłeś wczoraj wieczorem, i parę innych rzeczy.

- A gdyby wybuchł pożar? Pomyślałeś o tym? Może nawet wolałbyś, żebyśmy była tu wtedy uwięziona.

Bill lekko wzruszył ramionami; widziała jego odbicie w lustrze nad toaletką.

- Jest jeszcze balkon.

Milczała. O czym tu dyskutować? Odłożyła kolczyki na miejsce i spojrzała na Billa. Stał naprzeciw niej, pewny siebie, arogancki.

- Bez względu na to, czy chcesz rozmawiać, czy nie, ja mam ci kilka rzeczy do powiedzenia. - Ta wyższość w jego tonie, wyższość pana i władcy.

Ale wkrótce przekona się, że karta się odwróciła.

Kiedy Bill uderzył ją w twarz, zdała sobie sprawę, że karta nigdy się nie odwróci. Nie na jej korzyść, w każdym razie, nie w tym małżeństwie. Zachwiała się i oparła o krawędź stołu, żeby nie upaść. Słyszała ciężki oddech Billa i dostała mdłości. Opanowała się po chwili.

- Wiem o tym konczie - oświadczyła.

- Tak, domyśliłem się. Seth powiedział mi, że z tobą rozmawiał i zostawił dla mnie wiadomość. Jakoś do mnie nie dotarła.

- I wiem, co robisz z tymi pieniędzmi.

Milczał. Upił łyk whisky i patrzył na nią. Odpowiedziała mu twardym spojrzeniem.

- Jak mogłeś, Bill? Jak mogłeś tak ryzykować wszystko, co mamy? Jak mogłeś ryzykować przyszłość naszego syna?!

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- Doskonale wiem. Forward-trading, front-running... To nielegalne! Możesz za to pójść do więzienia.

Skinął lekko głową.

- Więc rozpracowałeś to. Mądra dziewczynka. Przypuszczałem, że w końcu to rozgryziesz. Dlatego powiedziałem Sethowi, żeby trzymał się tej wersji na wypadek, gdybyś do niego zadzwoniła. Chciałem sprawdzić, czy mi ufasz. Okazało się, że nie. Wiesz, jak się z tym czuję, Elise?

- Jak ty się czujesz?

Bill zrobił krok w jej stronę.

- Tak, ja. Tu chodzi o mnie, Elise, nie o ciebie. To ja włożyłem w to mnóstwo pracy, to ja zarabiam pieniądze. Jaki właściwie jest twój wkład w życie tej rodziny, może mi powiesz, do cholery?

Nie słuchaj, powiedziała sobie Elise. Nie słuchaj tego głosu, który odzywa się teraz w twojej głowie i mówi, że on ma rację, że jesteś nikim, że nic nie znaczysz.

- Mam wyciągi z tego konta - oznajmiła. - Chcę, żebyś dał mi rozwód. Chcę, żebyś pozwolił mi odejść bez awantur. W przeciwnym razie dam te wyciągi zarządowi Crown, DTI i każdemu, kogo będzie to interesowało, a oni już będą wiedzieli, co z nimi zrobić.

Bill pokręcił głową.

- O mój Boże. Jednak nie jesteś tak mądrą dziewczynką, jak myślałem. - Uśmiechnął się. - To wszystko jest na twoje imię, Elise. Na twoje imię. Jesteś moją żoną. Naprawdę sądzisz, że ktoś uwierzy, że ty nie miałaś z tym nic wspólnego?

Trzymaj się, nakazała sobie. Trzymaj.

- Ale wtedy to już nie będzie miało znaczenia. Crown przeprowadzi w tej sprawie dochodzenie; będą musieli to zrobić. Firma na tym ucierpi; ty prawdopodobnie stracisz pracę. Proszę bardzo, możesz obwinie mnie i pociągnąć za sobą. Ale po co? Dlaczego nie pozwolisz mi zwyczajnie odejść? Bo nasze małżeństwo jest takie wspaniałe? Bo tak bardzo mnie kochasz?

Roześmiała się przez łzy, nie potrafiła ich dłużej powstrzymać.

- Do diabła z tym, Bill. Po prostu zostaw mnie w spokoju.

- W mojej rodzinie ludzie się nie rozwodzą, wiesz przecież. Wiedziałaś o tym, kiedy za mnie wychodziłaś. Nie zamierzam przysparzać wstydu rodzicom ani narażać swojej kariery tylko po to, żebyś mogła zabrać mi pieniądze i spieprzyć gdzieś z moim synem.

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Niczego od ciebie nie potrzebuję.

- Bo masz swoje, ukryte na tym śmiesznym tajemnym koncie? - Jego śmiech zabrzmiał okrutnie. - Tak, o tym też wiem.

Elise zaczęła płakać. On wiedział o wszystkim. Ale ciągle mogła go zdemaskować.

- Więc jesteś gotów stracić wszystko, na co pracowałeś, wszystko zaryzykować? Bo bez względu na to, na czyje imię założyłeś to konto, zbankrutujesz. Wiesz o tym.

- Och, Lisey. Niezły blef. Ale nie grasz teraz w pokera, kochanie. Nie chodzi o to, co ja jestem gotów stracić, ale o to, czy ty jesteś gotowa stracić Danny'ego.

Ujął jej twarz w dłonie i pogłaskał kciukiem jej policzek.

- No właśnie. Uważaj, żebyś nie popełniła błędu, Elise. Jeśli mnie wydasz, stracisz go. Jesteś na to gotowa, Lisey? Jesteś gotowa stracić syna?

Pokręciła głową. A więc to koniec. Bill wygrał.

Trzypiętrowy dom stał w prywatnym lesie; sunąc zasypaną śniegiem drogą wśród drzew - do kół samochodu przytwierdzili łańcuchy - Johnny i Logan odprężyli się i cieszyli przejażdżką. Po chwili zza zakrętu wyłonił się budynek z bali i elektryczna brama otworzyła się przed nimi powoli. Spędzili tu wiele szczęśliwych tygodni, wypoczywali, rozważali sprawy zawodowe z innymi członkami zarządu, jeździli na nartach - i to właśnie zamierzali robić tym razem: jeździć na nartach i oddychać powietrzem, niemal czystym tlenem. U szczytu schodów przy głównym wejściu czekała na nich Judith, gospodyni.

- Mam na linii panią Elise McAllister. Na centrali powiedzieli mi, że prosił pan, by łączyć ją o każdej porze.

Nie zwracając uwagi na pytające spojrzenie Johnny'ego, Logan wyskoczył z samochodu i wszedł za Judith do budynku. Podniósł słuchawkę telefonu w salonie. Pomieszczenie o wysokim, łukowatym sklepieniu tonęło w powodzi światła.

- Elise. Witaj, kochanie.

- Witaj. - Chwila ciszy. - Gdzie jesteś?

- Właśnie przyjechałem do Whistler. Wszystko w porządku? Usłyszał westchnienie i dźwięk ten rozdarł mu serce.

- Elise? Co się stało? Powiedz mi!

- Bardzo mi przykro, ale nie możemy się więcej spotykać - wyrzuciła z siebie.

- Co?

- Popełniłam błąd. Przepraszam za zamieszanie.

- Elise, nie! Chodzi o Billa? Mówiłem ci przecież, że nie musisz tego tolerować. Ja mogę ci pomóc.

- Nie chcę, żebyś mi pomagał. Nie potrzebuję pomocy. Jak już powiedziałam, popełniłam błąd i przepraszam za... za to, że dałam ci do zrozumienia, że między nami coś może być. Nie może. Nigdy. Proszę, nie próbuj się ze mną więcej kontaktować. Proszę. Obiecuj mi to.

Logan słuchał, osłupiały.

- W porządku - odparł w końcu ochryple. - Nie masz za co przepraszać. Rozumiem. - Zaskoczył go ten straszny ból, jaki odczuwał. - Obiecuję, że nie będę się z tobą kontaktował.

- Przepraszam - powiedziała jeszcze. Ale Logan już odłożył słuchawkę.

- Kocham cię - dodała, lecz nikt jej już nie słyszał.

Tego wieczoru Logan i Johnny siedzieli w wannach z gorącą wodą na tarasie z widokiem na góry. Wcześniej dali wolny wieczór kucharzowi i rozpalili barbecue. Na kolację zjedli grillowane steki z domowym chlebem i gęstą, ostrą musztardą. Teraz, z pełnymi brzuchami, leżeli w jacuzzi, czując, jak gorąca woda opływa ich zmęczone ciała. Znad wanien w zimnym nocnym powietrzu unosiły się kłęby pary, parowały też ich oddechy, kiedy rozmawiali, popijając zimne piwo z butelek.

- Nie mogę uwierzyć, że właściwie wydziedziczyłem własną córkę.

- Lucia nie jest głupia. Kiedy tylko zorientuje się, że nie żartujesz, zaraz uporządkuje swoje sprawy.

- Tak myślisz?

- Ja to wiem. Bo co mogłaby zrobić? Pójść do pracy?

- Ha. Słuszna uwaga. - Logan sięgnął po kolejne piwo. - Ty to masz szczęście, Johnny. Żadnych dzieci, o które trzeba się troszczyć, ani żony, za którą trzeba płacić. Przynajmniej na razie. Chyba, że zamierzasz poprosić o rękę księżniczkę z Park Avenue?

- Do diabła, nie.

- Dzięki Bogu. Bo gdybym został twoim przyjacielem, musiałbym zgubić obrączki.

- Nie. Prawdę mówiąc, chcę z nią zerwać; za dużo ostatnio wspomina o małżeństwie. Nie rozumiem dlaczego, wiem, że nadal

widuje się też ze swoim byłym. Ja chyba nigdy się nie ożenię. To bez sensu, chyba że byłoby tak jak u ciebie i Maryanne. Logan milczał.

- Wiem, że w tej chwili nie układa wam się najlepiej, ale będzie dobrze, prawda?

- Oczywiście. Wszystko się ułoży. - Logan wyszedł z wanny i owinał się grubym ręcznikiem. - Napijesz się whisky? Ociekając wodą, która natychmiast zaczynała parować z podgrzewanej podłogi, podszedł do barku w rogu holu. Johnny podążył za nim.

- Kim ona jest? To znaczy, wiem, że to Elise, ale dlaczego właśnie ona? Dlaczego teraz?

Logan nalał whisky do dwóch szklanek i wręczył jedną John-ny'emu. W kamiennym kominku trzaskał ogień, od czasu do czasu rzucając iskrę poza palenisko. Logan włączył system kwadro i pokój wypełniły bluesowe dźwięki gitary, niskie, surowe, rytmiczne. Johnny cierpliwie czekał na odpowiedź. Kiedy Logan wreszcie się odezwał, język mu się plątał pod wpływem alkoholu i emocji.

- Ona jest... Johnny, wiesz, że zawsze będę kochał Maryanne, moją żonę, matkę moich dzieci. Ale między nami wiele się już skończyło... skończyło się nasze małżeństwo. To wszystko zaszło za daleko, za dużo się wydarzyło... - Westchnął. - Oboje popełniliśmy błędy. Za bardzo się nawzajem poraniliśmy, tego nie sposób już naprawić. A... Elise... to coś... nie wiem. Zadzwoiła do mnie i powiedziała, że nie chce mnie więcej widzieć, że popełniła błąd. Ale ja wiem, że to nie był błąd. Kocham ją, Johnny. Nie mogę pozwolić jej odejść. Po prostu nie mogę. Jeszcze długo nie położyli się spać. Nie rozmawiali więcej o Elise, tylko grali w bilard i słuchali muzyki. Następnego ranka wcześniej wyruszyli na narty. Widok z helikoptera zapierał dech w piersi. Białe, nieskazitelne stoki pokryte puszystym śniegiem ciągnęły się kilometrami. Niebo było błękitne jak na dziecięcym rysunku, bez jednej chmury. Wspaniale. Johnny włożył okulary przeciwsłoneczne. Światło raziło go w oczy i zastrzało ból głowy. Jak na to, ile wypił poprzedniego wieczora, czuł się wyjątkowo kiepsko. Zwykle

nie miał kaca - a w każdym razie nie takiego, który godzinę czy dwie po przebudzeniu jeszcze by mu dokuczał. Popił kawą kilka tabletek przeciwbólowych, ale wiele mu nie pomogły.

Z helikoptera wysiedli na szczycie góry. Stok wyglądał jak grzbiet wielkiej fali. Logan i Johnny stali przez chwilę bez ruchu, potem spojrzeli na siebie, kiwnęli głowami i ruszyli w dół. Szusowali zygzakami, zostawiając za sobą równoległe ślady. Zimne powietrze smagało twarz Johnny'ego, przenikało jego mózg i całe ciało aż do kości.

Powinno mu to dodać energii, dziś jednak kręciło mu się w głowie, był słaby, zgnębiony. Kiedy zjechali do doliny, brakowało mu tchu w piersi. Logan odwrócił się do niego, podekscytowany.

- Boże, brakowało mi tego. Niemal zapomniałem, jaka to wielka frajda.

Johnny kiwnął głową.

- Co z tobą? - Logan zmarszczył brwi.

- Wszystko w porządku. Wezwijmy helikopter, niech zabierze nas na jakiś wyższy szczyt.

Wkrótce poczuje się lepiej.

W pół drogi w dół następnego zbocza Johnny zorientował się, że jednak wcale nie czuje się lepiej. Migrena i mdłości nasiliły się. To nie był tylko kac. Wróciły zawroty głowy, trudno było mu skupić myśli, słabły mu nogi. Chciał zwolnić, ale prędkość, jaką już osiągnął, w połączeniu z ograniczoną kontrolą nad własnymi mięśniami mu to uniemożliwiły. Nogi rozjechały mu się niebezpiecznie, a potem, jakby w zwolnionym tempie, jedna zahaczyła o drugą. Johnny stracił równowagę, przewrócił się i runął w dół ośnieżonego stoku.

Logan zrozumiał, że wydarzyło się coś złego, kiedy usłyszał krzyk. Zatrzymał się gwałtownie, bryzgając falą śniegu spod nart, i odwrócił w stronę, gdzie ostatni raz widział przyjaciela. Ale Johnny'ego tam nie było. Logan podjechał szybko do wysokiego, stromego urwiska i przeraził się, gdy zobaczył spadające w dół ciało.

Pochylił się i wyciągnął szyję - nie dotrze do Johnny'ego; urwisko jest zbyt strome, zbyt niebezpieczne. Szybko wyjął radio z kieszeni kombinezonu.

- Wracaj tu zaraz - polecił pilotowi. -1 zadzwoń na 911. Johnny spadł z urwiska. Jesteśmy na zachodnim zboczu. Pospiesz się, źle to wygląda.

A potem mógł już tylko stać i patrzeć, jak koziółkujące ciało przyjaciela zatrzymuje się wreszcie, daleko w dole, i leży tam nieruchomo, z członkami powykrecanymi pod nienaturalnym kątem.

Helikopter wylądował tak blisko Johnny'ego, jak tylko było to możliwe, czyli w pewnej odległości. Pilot dał znak Loganowi, by do niego podszedł. Za chwilę obok niego wylądował drugi helikopter. Logan nie mógł się ruszyć, stał tylko i patrzył, jak pilot, przeszkolony w zakresie ratownictwa górskiego i pierwszej pomocy, podąża w stronę Johnny'ego - który na pewno potrzebował bardziej profesjonalnej opieki. Jeśli w ogóle żył. Żył, oczywiście, że żył. Musiał żyć.

- Proszę wsiadać, panie Barnes. Ze śmigłowca będziemy mogli utrzymywać z nimi kontakt. - Zgłosił się pilot drugiego helikoptera. - Ekipa ratunkowa jest już w drodze.

Logan kiwnął głową. W radioodbiorniku rozległy się trzaski.

- Jak to wygląda? - spytał pilot.

- Oddycha, ale źle z nim, bardzo źle. Zrobię, co będę mógł, ale nie mam tu sprzętu, żeby zająć się obrażeniami tego rodzaju. Potrzebna jest ekipa ratunkowa, jak najszybciej.

- Będzie tu za dziesięć minut.

- Nie wiem, czy on tyle wytrzyma. Logan chwycił radio.

- On musi żyć, Phil. Zrób wszystko, żeby żył, na litość boską.

Johnny, przywiązany pasami do noszy, z rurką wystającą z ust i usztywnioną szyją, leżał bez ruchu, podczas gdy ratownicy przypinali do noszy uprząż, dzięki której można było wciągnąć go do śmigłowca. Spieszyli się, bo zarówno obrażenia, jak i niska temperatura działały na niekorzyść Johnny'ego.

W szpitalu Johnnym natychmiast zajęli się lekarze. Logan mógł tylko czekać. Jako najbliższa mu osoba podpisał zgodę na operację, wypełnił formularze ubezpieczeniowe i potwierdził, że Johnny pokryje wszelkie koszty nieujęte w ubezpieczeniu. Tkwił w szpitalu, kiedy jego przyjaciela przewożono na blok operacyjny i podczas

trwającej osiem godzin operacji. Johnny nie miał żadnej bliskiej rodziny. Nie miał żony, dzieci ani rodziców, którzy czuwaliby przy jego łóżku, choć Melissa, jego dziewczyna, jechała już do szpitala. To Logan był wymieniony w jego dokumentach ubezpieczeniowych jako najbliższy krewny, to Logan zawsze spieszył mu z pomocą, to Logan był jego przyjacielem, jego bratem. I to Logan trwał przy nim teraz. Jeszcze kilka godzin temu zazdrościł Johnny'emu wolności i niezależności. Teraz, kiedy leżał na stole operacyjnym i tylko Logan czekał pod drzwiami na wieści, wydawał się bardzo samotny.

Rozległo się pukanie i wszedł lekarz w stroju chirurga. Stan Johnny'ego był stabilny, ale ciężki. Lista obrażeń, których doznał, wydała się Loganowi przerażająca. Z trudem skupił uwagę na medycznych terminach: pęknięcie podstawy czaszki, krwiak wewnątrzczaszko-wy, rozsiane uszkodzenia wypustek nerwowych, spowodowane tym, że kiedy Johnny spadał, jego mózg trząsł się w czaszce jak koktajl w shakerze. To zwykle prowadziło do długiej śpiączki i rozległych urazów mózgu. Lekarz powiedział, że będą monitorowali ciśnienie Johnny'ego i, jeśli okaże się to konieczne, zastosują trepanację od-barczającą. W każdej chwili mogą też wystąpić drgawki.

Po wywodzie lekarza przez chwilę siedzieli w milczeniu. Przerwał je chirurg:

- Krótko mówiąc, panie Barnes, pana przyjaciel ma szczęście, że żyje. A będzie miał jeszcze więcej szczęścia, jeśli tak zostanie.

Wiadomość o wypadku Johnny'ego rozeszła się szybko. Telefon Logana dosłownie się urywał. Zadzwoił do Rachel i poprosił ją, żeby natychmiast przyleciała. Potem wyłączył komórkę, wrócił do chaty i spał cztery godziny.

Potem wykąpał się w dużej miedzianej wannie, ustawionej na podwyższonej platformie. Zawsze lubił widok, który się z tego miejsca rozciągał, lubił leżeć w gorącej wodzie i patrzeć na grę światła na górskich szczytach. Teraz jednak góry straciły swoje majestatyczne piękno i wydały mu się złowieszcze, groźne. Mógł myśleć tylko o tym, jak wyglądał Johnny na dnie urwiska; w uszach ciągle słyszał jego krzyk, kiedy spadał w dół, uderzając o skały. Logan zanurzył na moment głowę w wodzie, a potem opłukał się i wyszedł

z wanny. Odwrócił się od okna, połączył się z Rachel za pomocą intercomu i poprosił ją, by zorganizowała mu powrót do Nowego Jorku, by potem została z Johnnym i towarzyszyła mu do Nowego Jorku, kiedy tylko będzie można go tam przewieźć. W nowojorskim Presbyterian Hospital czekał już na niego sztab najlepszych lekarzy. Sama myśl o operacji na mózgu Johnny'ego, wybitnego prawnika, wydawała się przerażająca, podobnie jak myśl, że ten wspaniały mózg został prawdopodobnie poważnie uszkodzony.

Teraz Logan chciał tylko jak najszybciej wrócić do miasta. Górską chatę straciła cały swój urok, marzył o tym, by wyjechać. Johnny został tu w dobrych rękach, a on sam powinien wrócić, zająć się sprawami, które na niego czekały. Ale jak im sprostać teraz, bez pomocy człowieka, który trwał u jego boku dłużej niż jego żona? Po raz pierwszy w życiu Logan miał wrażenie, że jest zupełnie sam.

Elise dowiedziała się o wypadku z Internetu. Było jej wstyd, czuła się winna; zaczęła szukać czegoś na temat Logana w Google'u i nagle wyskoczyła jej strona z wiadomościami. Patrzyła, przerażona, jak on wychodzi ze szpitala w Whistler, przybity, zmartwiony. Potem pokazano jeszcze miejsce w górach, w którym doszło do wypadku, i drewniany dom. Jeden z programów informacyjnych relacjonował też rozmowę z lekarzem, który mówił o obrażeniach Johnny'ego. Rokowania nie były optymistyczne.

Pod wpływem impulsu Elise kupiła kartkę pocztową.

„Jedyną rzeczą, jakiej można być pewnym co do losu, to to, że na pewno się odwróci”, napisała i wysłała kartkę do biura Logana w Londynie.

Rozdział 19

Maryanne się nudziła. Logan zarządzał LBI ze swojego biura w Nowym Jorku, a cały wolny czas spędzał w szpitalu u Johnny'ego. Niekiedy nawet wraz z Rachel tam pracował. Ona też chciała

tam pojechać, gdy tylko opuściła Sternley, Logan jednak twierdził, że pracuje bez przerwy, od rana do nocy, i prawie nie sypia. Powiedział jej, że powinna odpocząć po ostatnich przeżyciach po pożarze. Uwierzyła mu. A jednak było coś jeszcze. Czuła, że on nie chce jej przy sobie. I nie miała mu tego za złe. Kiedyś w czasie kryzysu zwróciłby się do niej, teraz zwrócił się do swoich współpracowników. A ona - do kogo? Nie do Charliego, który zakopał się w studiu i pracował nad swoim albumem. Poza tym ciągle patrzył na nią podejrzliwie, mimo że przeszła przez detoks. Mówił, że zanim znowu jej zaufa, musi się upewnić, że warto.

Boże, mogłaby zabić dla kieliszka wina. Wytrawnego sancerre albo pouilly fuisse - o tak, dobrze by jej to zrobiło. Niemal czuła już w ustach jego smak. Westchnęła i zamknęła magazyn o wystroju wnętrz, który przeglądała z roztargnieniem, szukając czegoś, co zainspirowałoby ją do zmian w zniszczonych przez pożar pokojach. Chwilowo zatrzymała się w Lexington, ponieważ dom na razie nie nadawał się do zamieszkania. Może wynajmie coś w międzyczasie, zamiast siedzieć w tym hotelu. Wstała i przejrzała się w długim lustrze. W ciągu tych kilku dni, od czasu kiedy wyjechała ze Sternley, przytyła ze trzy kilo. Jeśli tak dalej pójdzie, za tydzień będzie ważyła tonę i Logan nigdy nie zechce wrócić do domu.

Logan. Coś było nie tak. Czuła to. Nie chodziło tylko o Johnny'ego. Poprzedniego dnia spytała męża, o co naprawdę chodzi.

- Johnny omal nie zginął, Maryanne! - odparł ze zdumieniem. - Nadal może umrzeć. Nikt nie wie, czy będzie jeszcze kiedyś się poruszał, mówił, czy wstanie z łóżka. Przykro mi, że w tych okolicznościach nie mogę poświęcić ci więcej uwagi.

Rozrywka. Potrzebuje rozrywki. Mogłaby pójść na zakupy, ale nie miała ochoty na kontakty z ludźmi. Włączyła laptop i wystukała adres internetowego sklepu z odzieżą znanych projektantów, który przysyłał wszystko jeszcze w dniu zakupu. Dwie godziny później miała trzy nowe torebki, siedem par butów, parę zamszowych kozaczków, cztery sukienki, dwa płaszcze, trzy żakiety, jedenaście bluzek i pięć par markowych dżinsów. Aha, jeszcze trzy naszyjniki i pierścionek. I okulary przeciwsłoneczne. Lśniące czarno-białe torby zajmowały prawie całą podłogę apartamentu.

Maryanne ciągle jednak nie czuła się szczęśliwa. Brakowało jej Lucii, do której nie mogła się dodzwonić. Od czasu, kiedy opuściła Sternley, córka zadzwoniła tylko raz, żeby powiedzieć, że zatrzymała się u przyjaciół.

- U kogo konkretnie, kochanie? Chciałabym zobaczyć twoją śliczną buźkę. Daj spokój, na pewno nie jest aż tak źle, przede mną nie musisz się ukrywać. Jestem twoją mamą. Cokolwiek zrobisz, nie będę się na ciebie długo gniewać. Ale Lucia wykręciła się telefonem na drugiej linii i odłożyła słuchawkę.

Maryanne się nudziła i przyznawała, że czuje się także samotna. Od pożaru dzwoniли do niej przyjaciele, przysyłali kwiaty i prezenty, ale Logan wszystkim mówił, że wyjechała na kilka dni, żeby do siebie dojść.

Wszystkie spotkania zostały odwołane, na zaproszenia ktoś inny odpowiadał w jej imieniu. Cóż, to nie kłamstwo, rzeczywiście powinna dojść do siebie. Ale dzieci zajmowały się swoimi sprawami, Logan był tysiące kilometrów od niej i niańczył Johnny'ego -och, do diabła z tym. Nie powinna tak myśleć. To demony - demony budzą w niej zazdrość i złość. To naturalne, że Logan chciał być z Johnnym. Ale Maryanne głęboko zastanawiała się, dlaczego Johnny stał się ważniejszy od niej. Czy ona nie zasługuje na odrobinę uwagi i wsparcia?

Och, przestań, Maryanne, przestań się nad sobą użalać. To nikomu nie pomoże. Przypomniała sobie o butelce wina, którą chciała zamówić do pokoju - choć wiedziała, że gdyby to zrobiła, Logan natychmiast by się o tym dowiedział. Nie powinna pić. Obiecała wszystkim, że koniec z alkoholem. I naprawdę tego chciała, chciała być kimś lepszym. Już była kimś lepszym - doktor Slade o to zadbał. Więc trzeba to uczcić. Tak! Miała ochotę spotkać się z ludźmi, odbudować przerwane życie towarzyskie. Wyda przyjęcie, by uczcić nową siebie. Inną, czystą i fantastyczną. Chwyciła telefon.

Następnego dnia Maryanne zatrzymała się przed restauracją na dole hotelu, gdzie wydawała przyjęcie dla swoich pięćdziesięciu najlepszych przyjaciółek. Na nogach miała oliwkowe jedwab-

ne szpilki od Louboutina, z kokardami, które jak kamelie kwitły u nasady dziesięciocentymetrowych obcasów. Włosy w odcieniu naturalnego blondu - osiągnięcie takiego efektu zajmowało cztery godziny - miała zebrane w luźny kok z zaczesaną na bok grzywką i kilkoma dłuższymi pasmami opadającymi wokół twarzy. Długie kolczyki z wielu drobnych brylantów rzadkiej zielonej barwy kołysały się przy każdym jej ruchu i błyszczały w słońcu. Delikatny makijaż podkreślał piękno skóry nasączonej botoksem i restyła-nem, złuszczonej i odżywionej kremami i maseczkami z witaminami, enzymami, ekstraktami z alg, hormonami - wszystko to powinno niszczyć wolne rodniki, ujędrniać, pobudzać odnowę komórek i wydzielanie kolagenu, niwelować skutki promieniowania UV... Maryanne zależało na tym, by stanąć przed znajomymi jak odrodzona, świeża. Zamierzała dobrze się bawić na lunchu, a następnego dnia odnaleźć Lucię i spędzić z nią trochę czasu, jak kiedyś. Postanowiła, że później wyciągnie Charliego ze studia i dowie się, co u niego słychać. Jej piękny chłopiec. Znowu stanie się dobrą matką - chyba na to nie za późno? Nie, na pewno nie. Będzie ładnie wyglądała i dobrze się czuła. Będzie dobra. Musi być. Nie ma wyboru. Bo jeśli jej się nie uda - jeśli znowu osunie się w tę otchłań i pozwoli, by demony pochwyciły ją w swe szpony - wszyscy ją opuszczą i zostanie sama. A tego by nie zniosła.

Uśmiechnęła się promiennie i pchnęła drzwi Orangerie. Na sali zapadła cisza, a zaraz potem rozległa się burza oklasków. Klaskało pięćdziesiąt par starannie wypielegnowanych rąk pięćdziesięciu londyńskich dam z towarzystwa. Żon rosyjskich oligarchów, ary-stokratek, celebrytek. Gdyby połączyć ich majątki, suma przekroczyłaby zapewne budżet niejednego państwa. To one wypełniały życie Maryanne, to z nimi chodziła na lunche, robiła zakupy i piła - to znaczy piła kiedyś, poprawiła się w duchu. Nagle przyszło jej do głowy, że stoi przed nimi sama, jak na piedestale; wspaniała, podziwiana, ale zupełnie sama. Sala wydała jej się wielka i pełna ludzi, których właściwie nie знаła i którzy nic dla niej nie znaczyli - albo znaczyli bardzo mało. Dla nich to był tylko kolejny lunch, coś, co wypełni im dzień, coś, co można skreślić w kalendarzu. Nie zależało jej na tych ludziach. Liczyli się jej syn, córka... mąż. Rodzina, jej

jedyna rodzina, bo matka zmarła wiele lat temu, kiedy dzieci były jeszcze małe. Nie pamiętały jej - na szczęście. Pod koniec życia Sa-tiva stała się złośliwa. Mieszkała w domu opieki, w którym zmarła jej matka. Dużo piła. Maryanne widywała się z nią jak najrzadziej, nie chcąc narażać Charliego i Lucii na jej alkoholowe wybryki. Podjęła słuszną decyzję.

Po śmierci teścia - Maryanne nigdy go nie poznała - Elisabeth Barnes sprzedała dom i wyjechała z drugim mężem do Australii. Logan od lat nie widział matki.

Dzieci pytały czasami o dziadków, bo dorastając, zauważyły, że wielu ich szkolnych przyjaciół ma babcie i dziadków, którzy zabierają ich na lody i do kina, ale tak naprawdę się tym nie przejmowały. Maryanne uznała, że nie tęskni się za czymś, czego się nigdy nie miało. A ona bardzo się starała zrekompensować im wszystko, czego nie dostały, spędzać z nimi czas, interesować się tym, co przeżywały - przynajmniej kiedyś tak było. Od pewnego czasu już nie, to prawda. Ale dobry czas wróci. Jej dzieci - tylko one się liczą.

Oklaski zaczęły cichnąć. Maryanne czuła, że powinna zareagować, coś zrobić. Weź się w garść, Maryanne. Wzięła się w garść. Weszła między stoliki, zaczęła między nimi krążyć, witać się z gośćmi. Cały czas jednak zastanawiała się, kim jest dla tych ludzi. Przyjaciółką? Czy kimś żalonym, kto robi z siebie przedstawienie? Uśmiechała się szeroko, śmiała się i rozmawiała wesoło, ale serce miała ciężkie i smutne.

Rachel spojrzała na rachunek za lunch, który właściciel restauracji przesłał do biura Logana do podpisu. Maryanne nie tylko uraczyła pięćdziesiąt osób krugiem po sto funtów za butelkę, ale też wieloma innymi daniami i różnym winem za dziesięć tysięcy funtów, przy czym wyprowadziła z równowagi humorzastego szefa kuchni, Francuza, który wybiegł z niej, kiedy tylko przyjęcie dobiegło końca. Poza tym Maryanne obdarowała wszystkich gości zestawami kosmetyków z hotelowego spa. Wybrała oczywiście najlepsze: serum pod oczy, krem nawilżający z białym złotem i krem na noc z systemem odżywiania komórkowego - za łączną kwotę dwustu pięćdziesięciu funtów.

Krótko mówiąc, małe przyjętko Maryanne kosztowało Logana prawie trzydzieści tysięcy funtów. A do tego należało doliczyć jeszcze nowy strój i biżuterię, które razem kosztowały niemal tyle samo, co lunch. Rachel wzięła głęboki oddech i zapukała do drzwi gabinetu. Nie chciała przekazać Loganowi złych wieści, nie miała jednak wyboru. Niewielu ludzi o tym wiedziało, ale sytuacja finansowa LBI nie wyglądała najlepiej. Budowa Luksusu pochłonęła mnóstwo pieniędzy, podobnie jak jego promocja i otwarcie. Zanim poniesione nakłady zaczną się zwracać, minie dużo czasu. Logan włożył w swoją wyśnioną wyspę krocie, więc inne hotele musiały zarabiać więcej niż dotychczas, by pokryć wydatki, a kilka z nich niezbyt sobie radziło. Zaplanowano zebranie zarządu, aby przedyskutować problemy, a Logan polecił Rachel bacznie przyglądać się wydatkom i informować go o wszystkich rachunkach na zaskakująco wysokie kwoty. Dotychczas Rachel po prostu podpisywała rachunki. Trzydzieści tysięcy funtów - nic szczególnego, firmę bez problemu było na to stać, ale Logan wiedział, że jego rodzina ma duże wydatki, które łatwo mogą wymknąć się spod kontroli.

No i brakowało Johnny'ego... Rachel doznała szoku na jego widok, kiedy poleciała do niego, a potem towarzyszyła mu, nieprzytomnemu, nieświadomemu niczego, z powrotem do Nowego Jorku, miasta, które tak kochał. Twarz miał nabrzmiałą, bladą i pokrytą szwami, a pod oczami rysowały się głębokie cienie. Został przetransportowany do szpitala w specjalnie wyposażonym samolocie. Rachel siedziała naprzeciw niego i patrzyła, jak lekarze bez przerwy monitorują jego stan, bezustannie sprawdzając puls i ciśnienie. W pewnej chwili Johnny dostał drgawek. Rachel zerwała się, przerażona, ale głos lekarza pozostał spokojny, podobnie jak jego ruchy, kiedy wstrzyknął coś Johnny'emu.

- To z powodu obrażeń, jakich doznał, spadając - wyjaśnił, nie odwracając się do Rachel. - Ma wstrząśnienie mózgu. To tak, jakby włożyła pani kawałek gliny do piłki tenisowej, a potem rozegrała nią mecz. To właśnie stało się z jego mózgiem. Pani przyjaciela należy operować, a takich operacji nie można przeprowadzić w szpitalu w Whistler, bo nie ma tam odpowiedniego sprzętu.

Rachel założyła, że lekarz chciał opisać stan swojego pacjenta, nie używając fachowej terminologii medycznej, ale ciągle miała przed oczami głowę Johnny'ego odbijaną raketami na korcie tenisowym.

Została z nim jeszcze kilka godzin po tym, kiedy przylecieli do Nowego Jorku. Karetka pogotowia przewiozła go z lotniska na drugi koniec miasta. Opiekowano się nim troskliwie, ale Rachel z bólem patrzyła na tego silnego mężczyznę, zwykle pełnego życia i energii, teraz tak całkowicie uzależnionego od innych i nieświadomego tego, co się wokół niego dzieje. Miała nadzieję, że nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Trzydzieści tysięcy funtów? Na lunch?

- I prezenty dla gości. Logan zaśmiał się gorzko.

- No tak, oczywiście, prezenty... nie wolno zapomnieć o prezentach. - Wstał i wyszedł przed biurko. - To śmieszne, do cholery. Naprawdę nie jestem skąpcem, ale wydać tyle pieniędzy na lunch w środku tygodnia, bez żadnego szczególnego powodu? Co potem? Złote majtki?

Rachel nie wiedziała, co powiedzieć. Jej stosunki z Loganem układały się dobrze, szczerze. A jednak czuła, że nie wolno jej krytykować żony szefa, nawet w takiej sytuacji. Uśmiechnęła się.

- Diamenty na podeszwach jej pantofelków? Roześmiała się, ale Logan nie. Przeciwnie, spochmurniał.

- Podpisz to, Rachel. A ja muszę porozmawiać z Maryanne o jej wydatkach.

- Oczywiście. - Zawahała się. - Przykro mi, jeśli powiedziałam coś niestosownego.

Spojrzał na nią z roztargnieniem.

- Co?

- To o diamentach. Żartowałam. Przepraszam.

Logan bez przerwy myślał o Elise. Wciąż nie dzwoniła. A on tak za nią tęsknił. Nie odbierała jego telefonów, a e-maile, które do niej wysyłał, wracały bez odpowiedzi. Tęsknił za nią i martwił się o nią. Czy naprawdę powiedziała wtedy to, co czuje? Że popełniła błąd?

Z trudem oderwał się od tych myśli i wrócił do Nowego Jorku, do swojego biura, w którym Rachel, zaniepokojona, czekała na jego odpowiedź.

- Przepraszam, za dużo zwaliło mi się na głowę. Nie martw się, proszę, poradzę sobie.

Rachel, której wyraźnie ulżyło, kiwnęła głową.

- Co słyhać u Johnny'ego? - zapytał.

- Jego stan jest podobno stabilny. Trzeba go operować. Wszystko ci przekażę, jak tylko skontaktuję się z lekarzami.

- Pojadę tam później - westchnął. - Harmonogram dzisiejszego spotkania już gotowy?

- Tak, leży w twojej skrzynce. Są tam też wiadomości z Paryża i Berlina, na które powinieneś rzucić okiem, i raport Marka dotyczący Luksusu; on sam wraca jutro.

- W porządku.

- Jeśli chodzi o uroczystość rozdania nagród, rzecz jasna przyjedzie ekipa filmowa. Chcieliby również przeprowadzić wywiad z tobą i Maryanne, kiedy już odbierzesz nagrodę. Mogę zadzwonić do Maryanne w tej sprawie, jeśli chcesz. Larry Morton chce wypożyczyć jej biżuterię na tę okazję.

- Dobrze. Tak, jeśli możesz, powiadom ją o tym... Kiedy przyjeżdża?

Chciał porozmawiać z Maryanne przed uroczystością, na którą miała przylecieć z Londynu. Pierwszy sezon *General Managera* został nominowany w dorocznym konkursie telewizyjnym, w kategorii Najlepszy Reality Show. Logan miał nadzieję, że prestiżowe szklane trofeum przypadnie właśnie jemu. Dlatego wybierał się na tę uroczystość z Maryanne u boku. I z Markiem. Powinien być tam także Johnny, powinni tam być we trzech. Loganowi bardzo brakowało Johnny'ego, który zawsze potrafił rozładować napięcie i udzielić trafnych rad. Chciał wiedzieć, co zdaniem Johnny'ego powinien zrobić w sprawie Elise, w sprawie swojego małżeństwa i tylu innych sprawach. Także w sprawie Lucii.

- Och, Rachel, jeszcze jedno; gdzie jest Lucia? Uhm.

- Nie wiemy.

325

Spojrzał na nią ostro.

- Nie telefonowała?

- Nie, odkąd Marie powiedziała jej, że nie będzie mogła zatrzymać się w Les Jeux. Potem zadzwoniła do Paryża, gdzie także poinformowano ją, że zgodnie z twoim poleceniem, nie będzie mogła dostać pokoju.

- I nie ma jej w domu? Ale pewnie zadzwoniła do Maryanne? Rachel pokręciła głową.

- Nie. Nie dzwoniła też do Charliego. Rozmawiałam z nim dziś rano. Pracuje w studiu.

- Rozumiem.

Logan nie wiedział, co powiedzieć, i było to dla niego całkiem nowe doświadczenie. Wziął do ręki leżące na biurku pióro, ale zaraz je odłożył. Nie martwił się o córkę. Odciał ją wprawdzie od funduszu powierniczego i wszystkich swoich kont, lecz Lucia miała swoje własne konto, a na nim, o czym wiedział, sporo pieniędzy. Dość, by utrzymać się na dotychczasowym poziomie przez kilka miesięcy. Większość ludzi żyłaby z tej kwoty parę lat.

Ale gdzie ona się podziewała?

Maryanne usiadła na miękko wyściełanym stołku przed długim owalnym lustrem, podczas gdy młoda kobieta zaczęła ozdabiać jej szyję i nadgarstki biżuterią z drogimi kamieniami; ochroniarz przyglądał się temu obojętnie. Przyleciała do Nowego Jorku tego ranka, by towarzyszyć Loganowi na uroczystości rozdania telewizyjnych nagród. Denerwowała się. Nie widziała męża od dnia, w którym umieścił ją w Sternley, od pożaru ich londyńskiego domu. Wiedziała, że był na nią zły - także z powodu niedawnego lunchu. Zadzwonił do niej, wściekły.

- Nie możesz tak po prostu trwonić moich pieniędzy, Maryanne! - krzyczał. - Nie zgadzam się na to!

- Twoich pieniędzy? Może jesteś teraz wielkim i ważnym biznesmenem, który lata po całym świecie, może jesteś telewizyjną sławą, ale jesteś także moim mężem, więc to nasze pieniądze. Ja też mam coś do powiedzenia, Logan, ja też mam coś do powiedzenia.

322

- Więc powiedz coś, cokolwiek, co wyjaśni mi, dlaczego wywaliłaś trzydzieści tysięcy funtów na rozrywkę dla gromady kobiet, które nie wiedziałyby nawet, kim jesteś, gdybyś nie była moją żoną. Tylko dzięki mnie masz te pieniądze i dobrze o tym wiesz.

Maryanne rzuciła wtedy słuchawkę. Był taki arogancki. Ale miał rację.

Kobieta założyła jej na szyję naszyjnik z pereł i diamentów i szybko go zapięła. Maryanne zmarszczyła nos. Nie, nie ten. Ale coś sobie kupi. Więc to wszystko są jego pieniądze, tak? No, ona mu pokaże. Kobieta zdjęła naszyjnik i ostrożnie włożyła go do wybitego aksamitem pudełka. Wybrała drugi i pokazała go Maryanne. Tak, ten wyglądał niezłe. Duży, pięknie oszlifowany brylant, otoczony rzędem mniejszych czarnych brylantów, wisiał na łańcuszku z takich samych ciemnych kamieni.

- Podoba mi się - powiedziała Maryanne, a kobieta kiwnęła głową i założyła go na jej szyję. Leżał na dekolcie płasko, a wielki brylant przyciągał wzrok. Był jasny i przejrzysty, a otaczające go czarne brylanty jeszcze bardziej podkreślały jego biel. Naszyjnik pięknie wyglądał na kremowej skórze Maryanne, kontrastując z jej rudawymi włosami.

- Przynieś suknię z garderoby - powiedziała Maryanne. Carla, jej pokojówka, kiwnęła głową i znikła za drzwiami sypialni.

Wróciła po chwili z suknią w sztywnym ochronnym worku. Zdjęła go i przyłożyła suknię do Maryanne, żeby mogła zobaczyć ją z naszyjnikiem. Wyglądała idealnie. Na czarnej tafci były naszyte małe kryształki i perły, a że suknia nie miała ramiączek, odsłonięty dekolt i ramiona doskonale eksponowały niezwykle klejnot. Maryanne podniosła rękę i zebrała włosy w górze. Tak, zdecydowanie kok, pomyślała; ta fryzura podkreślała piękną linię jej szyi i ramion. Kobieta z Larry Morton przytknęła do jej ucha prosty brylantowy kolczyk. Był to pojedynczy pięciokaratowy kamień oszlifowany podobnie, jak kamień w naszyjniku.

- Tak, całkiem ładnie razem wyglądają - powiedziała Maryanne, a potem zmarszczyła brwi, jakby coś przyszło jej do głowy; pochwyliła w lustrze spojrzenie kobiety. - Ile kosztują te kolczyki?

- Dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Maryanne zastanawiała się przez chwilę. Chciała pokazać Lo-ganowi, że nie może traktować jej w ten sposób, twierdzić, że gdyby nie on, ludzie by jej nie znali. To ją zraniło, głęboko zraniło, bo oddawało myśli, które dręczyły ją w bezsenne noce: że nie jest nic warta. Słyszała głos w swojej głowie; pytał: Kim jesteś? i mówił: Maryanne Barnes, zmarnowałaś swoje życie. Stałaś się kimś, kim nigdy nie chciałaś się stać: swoją matką. Kimś, kto odwraca się i ucieka, gdy życie wydaje mu się zbyt trudne. Kimś, kto ratuje się narkotykami i alkoholem, żeby nic nie czuć. Słowa, które usłyszała od Logana przez telefon, na nowo obudziły ciemność w jej duszy. Była złą żoną, złą matką; kłamała i oszukiwała ludzi, którzy ją kochali. Po raz kolejny pokazała im wszystkim, że nie zasługuje na ich miłość. Spojrzała na kobietę. Kupi te kolczyki. On to zobaczy - może to w końcu otworzy mu oczy, może wreszcie zwróci na nią uwagę. Tak, on musi znowu zacząć ją dostrzegać.

- Chyba je wezmę. Na pamiątkę tego wieczoru.

- Świetnie, pani Barnes. W takim razie jutro odbierzemy naszyjnik. Czy mogę zaproponować pani teraz kieliszek szampana?

Kobieta lekko przechyliła trzymaną w ręce butelkę. Maryanne widziała na niej drobne kropelki wody. Tylko jeden. Jeden kieliszek na pewno jej nie zaszkodzi. Po prostu rozluźni ją trochę, pozwoli odegrać swoją rolę i stłumi to okropne poczucie pustki. Tak. Wszystko pójdzie dobrze.

- Dlaczego nie?

Kobieta skinęła głową, wyjęła korek z butelki i nalała szampana do kieliszka.

Na ulicy przed hotelem Royal kłębił się tłum paparazzi, a pod drzwiami bezustannie podjeżdżały limuzyny, z których goście wysiadali wprost na czerwony dywan. Ruchem kierowała dziewczyna ze słuchawką i mikrofonem. Celebryci, reżyserzy, aktorzy - nawet ci najbardziej sławni - musieli czekać na swoją kolej. Byli tu dziś wszyscy - gwiazdy małego ekranu, cieszące się popularnością, i ci, którzy przybyli po nagrody za najlepszy debiut, najlepszą rolę ko-

mediową, najlepszą rolę dramatyczną. Stali z rękami w kieszeniach smokingów, gotowi na wypadek przegranej pokryć wściekłość i zawiść profesjonalnymi uśmiechami, a na wypadek wygranej wygłosić podziękowania swoim agentom, producentom, mężom i kochankom.

Maryanne i Logan siedzieli w samochodzie. Nie spędzili dotąd ani chwili sam na sam. Logan był w szpitalu u Johnny'ego, a w drodze powrotnej pojechał po żonę krótko przed uroczystością. Maryanne wiedziała, że jej unikał. Teraz odwróciła się do niego.

- Rozmawiałeś z Lucią? Martwię się o nią. Nie spojrzaj na nią.

- Nie. Jestem pewny, że nic jej nie jest, po prostu się wstydzi. I tak być powinno. Przyczaiła się gdzieś i czeka, aż cała sprawa przyschnie, w nadziei, że o tym zapomnimy.

- Może.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Są jakieś nowe wiadomości o stanie Johnny'ego?

- Nie. Żadnych zmian. - Logan patrzył przez okno na kolejkę celebrytów sunących powoli do drzwi. - Chodź - powiedział. - Lepiej już wejdźmy.

- Logan, zaczekaj.

Musiała coś powiedzieć. Byli jak dwoje obcych ludzi siedzących obok siebie, a za chwilę wmieszają się w tłum reporterów z aparatami i kamerami i będą udawać, że wszystko jest normalnie. A nie było normalnie, nic nie było normalnie, i to już od bardzo dawna. O Boże. Poczula, że zaczyna ją ogarniać panika. Nie da rady, nie wytrzyma tego. Logan odwrócił się do niej, zniecierpliwiony.

- O co ci chodzi?

- Ja... - przełknęła ślinę. - Ja chyba nie... Spojrzaj na nią twardo.

- Posłuchaj, Maryanne. Nie możesz się dzisiaj rozsypać. Musisz wziąć się w garść. Rozumiesz?

Wzięła głęboki oddech. Drżała. Boże, co się z nią dzieje? Kiedyś doskonale czuła się w tłumie, ale potem coś się zepsuło. Ludzie zaczęli wydawać się zagrożeniem, coraz trudniej było jej z nimi rozmawiać. Straciła pewność siebie, łatwo wpadała w panikę. Pomagała

sobie alkoholem i pigułkami. Tylko, żeby przetrwać kolejne przyjęcie, dziś też zaczeka, aż wszyscy wejdą do środka i połknie jedną z tabletek, które ukryła w torebce. Tylko jedną. To pozwoli jej przebrnąć jakoś przez ten wieczór. Szampan pomógł, ale tylko trochę.

- Rozumiem. Nic mi nie jest. Chodźmy.

Elise patrzyła na Logana, który właśnie spojrział w kamerę. Zadrżała, widząc jego brązowe oczy, i przypomniała sobie ten wieczór na dachu jego hotelu: jak ją dotykał, jak jej pożądał. Zerknęła na Maryanne - stała przy nim, błyszcząc brylantami, doskonale zakonserwowana w sposób, który wymagał nie tylko pieniędzy, ale też prawdziwego poświęcenia. Elise z trudem stłumiła zazdrość, starając się nie wyobrazić sobie siebie na jej miejscu. Logan objął żonę ramieniem i pociągnął za sobą, szepcząc coś do jej ucha, kiedy usiedli, gładząc jej dłoń...

Brakowało jej go, z bólem myślała o wspólnej przyszłości - przez chwilę ją sobie wyobrażała. W tej przyszłości byłaby z mężczyzną, który ją kochał, cenił, uważał, że jest kimś wyjątkowym, kimś, kogo należy chronić. Bill - wyszedł właśnie na spotkanie ze swoim kolejnym klientem - od czasu ostatniej kłótni nie tknął jej nawet palcem, ani w gniewie, ani z pożądania. Była mu za to wdzięczna. Wiedział, że wygrał bitwę; wiedział, że ona od niego nie odejdzie, jeśli oznaczałoby to dla niej utratę syna.

Jej rozmyślenia przerwał cichy głosik, dobiegał od drzwi pokoju.

- Mamusiu, miałem taki zły sen...

Wyłączyła telewizor i odwróciła się do Danny'ego.

- Och, kochanie, chodź tutaj, już wszystko w porządku.

Danny wdrapał się na jej kolana. Pogłaskała go po głowie, ukołysała do snu, a potem zaniósła na górę do łóżka. Leżał w jej ramionach taki ciepły i ufny. Jej Danny. Jej ukochany syn. Był wart tego poświęcenia.

W hotelowym holu sławy show-biznesu gawędziły przy szampanie, czekając na rozpoczęcie uroczystości. Goście, którzy weszli już do środka, rzucali dyskretne spojrzenia ponad ramionami rozmówców, by zobaczyć, kto właśnie wchodzi. Kiedy w drzwiach ukazali się wreszcie Logan i Maryanne, wszyscy odwrócili głowy

w ich stronę, szeptem wymieniając uwagi. Ekipa *General Managera* podążała tuż za nimi; filmowała wszystko, co się działo.

Logan krążył przez chwilę po holu, uśmiechnięty. Komplementował panie, ścisnął dłonie panów. To miejsce należało do nich, do niego i do Maryanne.

A potem, kiedy znaleźli się już blisko sali balowej, wszystkie głowy znowu odwróciły się do drzwi, w stronę trzech wchodzących właśnie osób.

Wykalkulował to w czasie doskonale. Wszyscy już byli, prezentacja zaraz miała się zacząć - a on pojawił się właśnie w tym momencie. Zatrzymał się na sekundę, rozkoszując się ogólną konsternacją. On, Nicola Flores, w towarzystwie dwóch kobiet: swojej dziewczyny, Vienny i Lucii Barnes. To ona przyciągała całą uwagę.

Logan odwrócił się i dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Twarz Nicola wyrażała pełne pychy zadowolenie. Teraz to on miał przewagę. Lucia wyglądała na zdenerwowaną. Maryanne była przerażona. Potem wraz z mężem weszła do sali balowej.

Gdy Logan i Maryanne rozmawiali z Asimem Feratem, ojcem Melissy i właścicielem firmy, która wyprodukowała *General Managera*, pojawił się kelner z tacą pełną kieliszków szampana. Logan niemal niedostrzegalnie uniósł brew, kiedy Maryanne wzięła jeden do ręki. Nie przejęła się tym. A on postanowił nie interweniować.

Czuł obecność Nicola i Lucii po drugiej stronie sali. Nicola spoglądał na niego od czasu do czasu, gestykulując swobodnie. Logan udawał, że go nie widzi. Lucia rzucała w stronę rodziców buntownicze spojrzenia, ale i ją Logan ignorował. Nie pozwoli, by swoimi próbami zwrócenia na siebie uwagi zepsuła mu ten wieczór. Ale Jezu, nie wyobrażał sobie, by córka mogła go kiedykolwiek tak zawieść. Cóż, teraz już nic z tym nie zrobi. Nie okaże emocji - ci wszyscy ludzie na to tylko czekają. Uśmiechnął się uprzejmie, kiedy kolejna kobieta, która najwyraźniej postanowiła udowodnić światu, że jednak można być i bardzo bogatym, i bardzo szczupłym, podeszła do nich, by się przywitać, a także, bez wątpienia, zdobyć jakiś temat plotek.

- Helena! - Maryanne musnęła ustami powietrze obok jej policzków. - Tak się cieszę, że tu jesteś! Nie widziałyśmy się całe wieki!

Zauważyła wyraz jego twarzy, kiedy brała szampana z tacy, a jakże, ale udawała, że nie. Wzięła pigułkę, wsunęła ją pod język i zaczęła, aż się rozpuści. Wkrótce potem całe jej ciało zaczęło ogarniać przyjemne uczucie rozluźnienia. Upiła łyk szampana, dwie używki połączone w jedno w jej krwi sprawiły, że wszystko wokół przybladło, uspokoiło się. Znowu mogła się zgrabnie poruszać, była pewna siebie, dowcipna, interesująca. Zignorowała głos, który mówił jej, że znowu stąpa po cienkim lodzie; że postępuje źle. Jest żoną Logana. Jeśli Logan chce, by wzięła się w garść, zrobi to. Zrobi to, czego on chce, będzie taka, jaką on chce ją widzieć. Tyle że teraz potrzebuje pomocy, by jej się udawało. Naprawdę potrzebuje pomocy.

Kelnerzy uprzątnęli talerze i napełnili kieliszki, a Maryanne zabawiła gości przy stole. Rozmawiała z ożywieniem, gestykulowała i co chwilę wybuchała śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. Opowiadała o tym, jak wybierała naszyjnik.

- W końcu pokazała mi ten i od razu wiedziałam, że będzie idealny.

Upiła łyk wina i odwróciła się do kobiety po swojej prawej stronie.

- Kolczyki także są wspaniałe - usłyszała.

- Prawda? - Maryanne się uśmiechnęła. - Logan kupił mi je na pamiątkę tego wyjątkowego wieczoru.

Przez towarzystwo zebrane przy stole przebiegł szmer uznania. Maryanne uśmiechała się czarująco. Kobiety pokryły zazdrość okrzykami podziwu, a mąż jednej z nich nachylił się do Logana :

- No, to nas załatwiłeś - powiedział teatralnym szeptem. - Teraz wszystkie będą chciały coś na pamiątkę.

Logan roześmiał się, ale potem spojrzał na Maryanne ponuro. Jutro rano każe jej zwrócić te cholerne kolczyki.

W toalecie Maryanne skropiła się perfumami. Czuła się wspaniale, była zachwycona sobą. Miała kolczyki, a Logan musiał to przełknąć. Świat należał do niej. Do żony człowieka chwili. Była jak nowo narodzona.

Kathy Stovell, prezenterka programów o modzie i dziewczyna szefa kuchni, Henriego, pierwszego z telewizyjnych kucharzy, który w prawdziwie gwiazdorskim stylu zrezygnował z używania nazwiska, weszła do toalety i zaczęła poprawiać makijaż.

- Witaj, Maryanne. Zaraz ogłoszą wyniki - powiedziała, nakładając błyszczący na usta. - Logan zdenerwowany?

- Och, znasz mojego męża. Do wszystkiego podchodzi na luzie. No, lepiej już pójdę. Do zobaczenia.

Pochyliła się, by pocałować Kathy w policzek, a ta chwyciła ją za ramię.

- Chcesz koki? - W ręce trzymała małą srebrną fiolkę z zakrętką ozdobioną szafirem. - Wiesz, jak te przemówienia potrafią się ciągnąć.

Maryanne zawahała się. Nie powinna. Gdyby Logan wiedział... ale skąd miałby wiedzieć? Na razie wszystko szło całkiem dobrze, tylko czuła się trochę zmęczona - pewnie z powodu wina i szampana wypitego na pusty żołądek, w który od jakiegoś czasu nie wlewała alkoholu. Koka trochę ją rozrusza.

- To prawda. Dzięki. - Wzięła fiolkę i małą srebrną łyżeczką nabrała białego proszku. Wysypała go na wierzch dłoni, a potem przycisnęła palec do nosa z jednej strony i głęboko wciągnęła kokainę.

Kiedy wróciła do stolika, Logan nachylił się do niej, starając się mówić tak cicho, by nikt go nie usłyszał.

- Powiedziałem ci to już raz w samochodzie, a teraz ostrzegam cię po raz ostatni, nie zepsuj mi tego wieczoru, tak jak wszystkiego innego.

- Jak wszystkiego innego? Co to znaczy?

- Jak wszystkiego, co ostatnio zdażyłaś zniszczyć. Przełknęła ślinę.

- To bardzo niesprawiedliwe, Logan. Wiesz, że niedawno chorowałam.

- A teraz?

- A teraz wszystko jest już w porządku. Dopilnowałeś tego, prawda?

Logan odsunął się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie zatrzymasz tych kolczyków - oświadczył.

- Nie próbuj mi grozić, Logan - odpowiedziała po chwili. - Nie ty jeden umiesz postawić na swoim!

- Maryanne, lepiej nie przeciągaj struny. Jestem już bardzo blisko...

Popatrzyła na niego.

- Czego?

Z trudem się opanował.

- Niczego. Po prostu nie zepsuj tego, dobrze?

Maryanne wstała od stołu, przeprosiła gości i odeszła, usiłując ukryć ból i gniew. W toalecie krążyła przez chwilę nerwowo po marmurowej posadzce. Żeby zająć czymś ręce, umyła je kilka razy, puszczając zimną wodę na nadgarstki, w nadziei, że uspokoi to wzburzoną krew. Jak on śmie traktować ją w taki sposób? Jak śmie sądzić, że ujdzie mu to na sucho? Nagle uświadomiła sobie, że jest wstawiona. Nie bardzo, ale wystarczająco. Lepiej, żeby została tu kilka minut. Wyrzeźwiła trochę. Wzięła się w garść. Uch...

Odetchnęła głęboko. Ciągle była nienaturalnie podekscytowana po koce. Do oczu napłynęły jej łzy. On jej już nie kocha. To oczywiste. Nikt jej nie kocha. Ani mąż, ani dzieci, nikt. Jest całkiem sama. Wszyscy się od niej odwrócili. Och, pomóżcie mi, pomóżcie, powtarzała bezgłośnie - ale kogo właściwie prosiła o pomoc?

Zamknęła się w jednej z kabin. Och, Maryanne. Co ty wyprawiasz? Pomyśl o czymś kojącym, o czymś kojącym...

Nie o tym, że Lucia przyszła tu z Nicolem, nie o tym, co powiedział Logan, nie myśl o tym, co będzie później - tylko oddychaj, oddychaj. O tak. Oddychaj. Znowu ogarnęła ją panika, pole widzenia zawężyło się i pociemniało na brzegach, serce waliło jej jak młotem - miała wrażenie, że rozerwie jej klatkę piersiową. Została w kabinie. Spróbuje się uspokoić.

Wyszła w końcu z toalety i ruszyła korytarzem w stronę sali balowej, gdzie ciągle trwało przyjęcie. Wiedziała, że niedługo rozpocznie się ceremonia wręczania nagród. Lepiej, żeby już wróciła i odegrała swoją rolę, to znaczy siedziała obok Logana, uśmiechała się i sprawiała wrażenie dumnej z męża. Nagle jedne z drzwi do

sali otworzyły się i stanął w nich Nicolo i jeszcze jeden mężczyzna, nieznaną Maryanne. Śmiali się i klepali po plecach. Nicolo zauważył ją. Ich oczy spotkały się na moment. Zamarła. O Boże. Znowu zaczęła ją ogarniać panika. Nicolo pożegnał swojego towarzysza i podszedł do Maryanne. Stali naprzeciw siebie na korytarzu, tacy wspaniali i piękni - on w smokingu od znanego projektanta i lakierkach, ona w balowej sukni i brylantach. Na ułamek sekundy czas się cofnął i oboje przypomnieli sobie te dni, kiedy patrzyli na siebie inaczej. Z miłością, przyjaźnią, pożądaniem. Potem została tylko nienawiść. To ona stworzyła tę nienawiść, to ona była jej przyczyną.

- Co ty z nią robisz? - wyszeptwała.

- Z nią?

- Wiesz, o kim mówię. O Lucii. Co robisz z moją córką? Nicolo spokojnie włożył ręce do kieszeni.

- Po prostu daję zdolnej dziewczynie okazję do pokazania swojego talentu. Co w tym złego? Powinnaś być z niej dumna. Oboje powinniście dumni. Myślałem, że cenicie ducha przedsiębiorczości?

Wyraził się jasno. A to zabolalo.

- Poza tym, Maryanne, ty sama nie potrafiłabyś chyba pomóc swojej córce? O którą podobno tak bardzo się troszczysz? - Podszedł bliżej. - Może byłoby jej łatwiej, gdyby nie miała matki alko-holiczki.

Maryanne zaczęły drżeć ręce.

- Ja nie jestem... - Usiłowała się opanować. - Troszczę się o córkę. Bardzo.

Nie, nie pozwoli mu na to - nie pozwoli mu się upokorzyć. Nie pozwoli, by tak do niej mówił.

- Zostaw moją rodzinę w spokoju, Nicolo. Słyszysz? Dość krzywd już wyrządziłeś.

- Ja wyrządziłem komuś krzywdę? - Nicolo pokręcił głową i zaśmiał się gorzko. On wyrządził krzywdę? Przecież to jego skrzywdzono. W porządku, uległ pokusie odegrania się na Loganie, ale nie zrobił nic, czego na jego miejscu nie zrobiłby Logan czy ktokolwiek inny. No, poza... Nie. O tym nikt nie wiedział. I nigdy się

nie dowie. - Cóż, to kwestia punktu widzenia. Ale to chyba bez sensu, żebyśmy się teraz kłócili o to, kto ma rację, prawda?

Maryanne serce znowu waliło jak młotem, rozpaczliwie próbowała nad sobą zapanować. Nie możesz rozsypać się na jego oczach. Nie możesz sobie na to pozwolić.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić, Nicolo. - Wyprostowała się z godnością. On kiedyś ją kochał, a potem, gdy go potrzebowała, odrzucił. Cóż, nie miała mu tego za złe - zresztą i tak go nie chciała, wybrała kogoś lepszego. On nie powinien o tym zapominać. Dokonała wyboru. - Bo po co? - ciągnęła. - Nic dla mnie nie znaczysz. Muszę wracać do męża.

Chciała go zranić, ale on wydawał się niewzruszony. Jednak choć zachował spokój, krew w nim zawrzała.

Maryanne uniosła lekko suknię i minęła Nicola. Ale kiedy była zaledwie kilka centymetrów od niego, odwrócił się nagle do niej, szeroko otwierając oczy. Poczula na sobie jego wzrok i zatrzymała się.

- Co? O co chodzi?

Patrzył na nią przez chwilę. Potem zrobił gest, jakby wyciągał do niej rękę.

- Ciągle tak samo pachniesz - wyszeptał.

Spojrzała na niego, przerażona. Jego słowa, intymne i nabrzmiałe wspomnieniami, zawisły w powietrzu, tak jak jego dłoń. Maryanne zrobiła krok w jego stronę.

- Och, Nico...

Dźwięk jej głosu sprawił, że czar prysnął. Nicolo cofnął rękę i szybko wrócił na salę balową.

Maryanne pobiegła z powrotem do toalety, wytrącona z równowagi tym, co się właśnie wydarzyło. Znowu ogarnęła ją panika, znowu drżały jej ręce. Otworzyła torebkę, wyjęła fiolkę, a potem wysypała na rękę jedną, drugą... i trzecią tabletkę.

Ciągle tak samo pachniesz. On tak bardzo ją kiedyś kochał. Był pierwszym człowiekiem, który naprawdę ją kochał, a ona odrzuciła i podeptała tę miłość. Jak wyglądałoby jej życie, gdyby z nim została? Nie, nie może się teraz nad tym zastanawiać, bo oszaleje. Ma męża, a on teraz czeka na nią na sali. No, dalej. Czas na ciebie. Wsta-

ła. Ooo - ledwie trzymała się na nogach. To pewnie przez te nerwy. Usiadła znowu. Lepiej weźmie jeszcze jedną tabletkę, na wszelki wypadek. Przechyliła głowę do tyłu i połknęła pigułkę. Usiadła na klapie sedesu i zaczęła, aż panika ustąpi. O, już dobrze. Tego jej było trzeba. Skąd w ogóle przyszło jej do głowy, że poradzi sobie bez nich? Głupia Maryanne. Więcej nie popełni tego błędu. Są jej przyjaciółmi, pomocnikami, towarzyszami. Jej śliczne małe proszki.

- A teraz przechodzimy do nagrody za najlepszy reality show; jest to kategoria, w której zawsze panuje najbardziej zacięta konkurencja.

Na ekranie nad sceną ukazała się cała sala, ujęta szerokokątnym obiektywem. Ludzie przy stolikach uśmiechali się do kamery i czekali.

- A oto nominowani; przypominam, że kolejność jest przypadkowa: *Top Chef*...

Aplauz. Pokazano zbliżenia twarzy prowadzących ten program.

- *American Idol*...

Błysk białych zębów na ekranie.

- *Hell's Kitchen*... Znowu oklaski.

- I...

Gdzieś na tyłach sali rozległ się głuchy odgłos.

- *General Manager*

Na ekranie pojawiła się teraz twarz Logana. Uśmiechał się szeroko, ale miejsce obok niego było puste. Na tyłach sali znowu rozległ się głuchy odgłos; kilka osób odwróciło się. Nagle drzwi się otworzyły i na salę, chwiejnym krokiem, weszła Maryanne.

- Oj, przepraszam - zachichotała. - Drzwi się chyba zacięły, u, ciiiicho! - drobnymi kroczkami ruszyła przez salę w stronę swojego stolika.

- A zwycięzcą jest... - ciągnął prowadzący, Gerald Geras. Światło przygasło i zapanowała cisza. Maryanne zajęła swoje

miejsce i poklepała Logana po ręce. Nie patrząc na żonę, ujął jej dłoń i przytrzymał na stoliku. Czuł od niej alkohol. Jej skóra była rozpalona.

337

- Ojoj, zapomniałam. Logan baldzo, baldzo zły. - Maryanne wydeła usta, sepleniąc jak małe dziecko. Teraz ludzie zaczęli zwracać na nią uwagę. Goście siedzący przy ich stoliku poruszyli się, zakłopotani. Coraz głośniej warkotały werble, preludium do ogłoszenia zwycięzcy. Logan uśmiechał się, starając się sprawiać wrażenie, że wszystko jest w porządku.

- Ćśśś, kochanie. Zaraz powiedzą, kto wygrał - wyszeptał.

- A zwycięzcą został... *General Manager!*

Burza oklasków. Rozbłyły światła, zagrała orkiestra, kamery skupiły się na Loganie. Ale kiedy ruszył w stronę sceny, przy jego stoliku rozległy się przerażone głosy.

- Co ona robi?

- O mój Boże, ona nie...

Kiedy Logan wstał, Maryanne także się podniosła, przecież to powinna zrobić jako jego żona. Pocałowała go, może nieco zbyt namiętnie, zważywszy na jego widoczny chłód. Ale kiedy odszedł od stolika, ona podążyła za nim, trzymając się brzegu jego marynarki.

- Idę z tobą. - Potknęła się o rąbek swojej sukni i pewnie by upadła, gdyby nie chwyciła Logana za ramię, żeby odzyskać równowagę.

Logan stanął i starał się myśleć, choć niełatwo mu to przychodziło, że to jego żona, kobieta, za którą jest odpowiedzialny. Ujął ją pod ramię, mocno. Zaczekał, aż się wyprostowała. Maryanne oparła mu głowę na ramieniu, uśmiechając się w uroczo dziewczęcy sposób - tak jej się przynajmniej wydawało.

Wprowadził ją na schody, uważając, żeby się nie przewróciła. Potem podszedł do mównicy i ujął mikrofon.

- Jak widzicie, moja żona i ja nie lubimy się rozstawać ani na chwilę. Jesteśmy jak para zakochanych nastolatków, prawda, skarbie?

Wszyscy się roześmiali. Wyglądało na to, że Logan, profesjonalista, znowu uratował sytuację. Ale wtedy mikrofon chwyciła Maryanne.

- Tak zakochanych, że kupiłeś mi te śliczne kolczyki.

Logan uśmiechnął się i spojrzał na Geralda Gerasa, z nadzieją, że prezenter zabierze ją z podium. Ale Maryanne była jak komik, który dopiero rozgrzewa się przed publicznością.

- Czyż nie są śliczne? Kupił mi je mój mąż, Logan Barnes, zwycięzca... Hurra! Logan górá! *Numero uno* hotelarstwa i telewizji!

Wyrzuciła ramiona w powietrze, ale straciła przy tym równowagę i zatoczyła się. Próbowwała złapać Logana za ramię, ale tym razem jej się nie udało i runęła na podłogę.

Sala oszalała. Wszyscy wyciągali szyje, by zobaczyć to widowisko. Lucia ukryła twarz w dłoniach. Nicolo uśmiechał się pod nosem. Logan pochylił się, chcąc pomóc żonie wstać, ona jednak go odepchnęła.

- Zostaw mnie! Zostaw mnie w spokoju! Wiem, że mnie nienawidzisz, dobrze wiem! Chcesz się mnie pozbyć... to ty mnie popchnąłeś, draniu....

Zaczęła histerycznie szlochać. Logan odsunął się i stanął z boku.

Kamery pracowały bez przerwy. Teraz już nic nie mogło uratować sytuacji. Logan tego wieczoru poniósł klęskę. Rozejrzał się po sali i natychmiast napotkał spojrzenie Nicola. Jego wróg drwiącym gestem go pozdrowił, a potem odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać.

Logan był zrozpaczony. Ostatni raz spojrzał na Maryanne, która leżała na podłodze i płakała, po czym podniósł dłonie w przeproszającym geście i zszedł z podium. Maryanne leżała tam nadal, wstrząsana łkaniem. Kilka osób z obsługi podbiegło do niej i starało się ją uspokoić.

A kamery wszystko to zarejestrowały.

Kilka godzin później Logan siedział na krześle przy łóżku John-ny'ego i pił kawę. Aparatura medyczna cicho szemrała, a on oglądał telewizję - programy informacyjne zdominował temat wczorajszego rozdania nagród.

Dziennikarze rzucili się na to jak sępy na świeżą padlinę. Logan nie spał tej nocy, tylko siedział obok przyjaciela i pił kawę. W tej chwili chciał być tylko tutaj.

W końcu, kiedy zbudził się dzień, wyłączył telewizor. Nadszedł czas, by spotkać się z Maryanne. Nie mógł odkładać tego w nieskończoność.

Nagle, kiedy Logan już wstał i przygotowywał się do wyjścia, powieki Johnny'ego poruszyły się - jakby ich mięśnie leciutko zadrżały. Coś się stało, coś ożyło w nieruchomym ciele. Logan natychmiast wcisnął guzik na ścianie.

- Johnny? Johnny, słyszysz mnie? Wszystko w porządku, lekarz już idzie. Zaczekaj.

Żeby tylko naprawdę się przebudził, żeby nie były to tylko mimowolne odruchy w śpiączce albo, co gorsza, zwiastun zbliżającej się śmierci. Logan tak bardzo go potrzebował. Teraz bardziej jeszcze niż kiedykolwiek.

- Johnny, Johnny, proszę cię, zostań.

Maryanne obudziła się i przez kilka błogosławionych sekund nie pamiętała nic z poprzedniego wieczoru. Odpłynęła znowu w półsen, ale wkrótce narastające mdłości i ból głowy sprawiły, że otworzyła oczy.

Przy jej łóżku stała Rachel ze szklanką soku i dwoma tabletkami tylenolu w ręce. Maryanne połknęła je z wdzięcznością, popijając wielkim łykiem słodko-kwaśnego napoju. Potem natychmiast pobiegła do łazienki i wszystko to wymiotowała. Rachel czekała.

Maryanne powoli wyszła z łazienki, owinięta w biały szlafrok kimono. Twarz miała bladą i opuchniętą, resztki makijażu rozmazane wokół oczu. Trudno było rozpoznać w niej tę promienną, elegancką kobietę, która pojawiła się poprzedniego wieczoru na uroczystości rozdania nagród. Teraz wygląda staro, pomyślała Rachel, staro i niezdrowo.

- Czy mogłabyś zamówić dla mnie herbatę, Rachel? - spytała Maryanne cicho.

- Oczywiście.

Maryanne powoli podeszła do fotela przy kominku.

- Byłaś tu całą noc? - zapytała.

- Logan poprosił mnie, żebym z tobą została.

- Dziękuję. To przecież nie należy do twoich obowiązków. Doceniam to, co zrobiłaś.

- Wszystko należy do moich obowiązków. - Rachel uśmiechnęła się lekko.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Kelner wniósł do pokoju tacę w herbatą.

- Co... co dokładnie się wczoraj wydarzyło, Rachel?

O Boże. Rachel tego się właśnie obawiała. Co odpowiedzieć? Czy Maryanne rzeczywiście chce znać prawdę? W tym momencie Maryanne rozwiązała te wątpliwości.

- Muszę to wiedzieć. Powiedz mi, proszę.

Rachel wzięła głęboki oddech. Maryanne zamknęła oczy, jakby chciała przygotować się na to, co zaraz usłyszy. I usłyszała.

Nie płakała, ku zaskoczeniu ich obu. Siedziała w milczeniu, z zamkniętymi oczami. Rachel, najdelikatniej jak potrafiła, opowiedziała jej o wszystkim, nie pomijając niczego poza tym, czego wiedzieć nie mogła. Maryanne zapełniła te luki: pamiętała, jak ogarnęła ją panika i jak próbowała uspokoić się za pomocą tabletek, pamiętała, jak wciągnęła kokainę, a potem popijała winem środki przeciwbólowe.

Rachel skończyła i na chwilę zapadła cisza.

- Jest też dobra wiadomość - odezwała się w końcu Rachel. - Johnny odzyskał przytomność. W każdym razie wydaje się świadomy, choć na razie nie mówi. Logan dzwonił w nocy. Czekamy na dalsze wiadomości.

Prawdę mówiąc, Rachel nie potrafiła myśleć o niczym innym. Zmusiła się, by zostać z Maryanne, ale miała wielką ochotę rzucić wszystko i pobiec do szpitala, by dowiedzieć się więcej o stanie Johnny'ego. Głupia. Przecież i tak nic by jej nie powiedzieli. Nie należała do jego rodziny ani nawet przyjaciół. Była tylko pracownikiem.

- A Lucia? - zapytała Maryanne. - Dlaczego przyszła z Nico-lem?

- Chyba dostała u niego pracę. Maryanne oparła głowę o fotel.

- O Boże.

- Tak. Steve próbuje dowiedzieć się więcej. Wygląda na to, że się zbuntowała.

Maryanne upiła łyk herbaty. W tej chwili nic nie mogła na to poradzić.

- Rachel, czy zrobiłabyś dla mnie jeszcze jedno? Znajdź, proszę, najlepszy ośrodek odwykowy, w którym są wolne miejsca, i zorganizuj mi przejazd. Już czas, żebyśmy uporała się z tym raz na zawsze.

Kiedy Logan wszedł do pokoju, Maryanne właśnie się pakowała. Przez chwilę stał w drzwiach i patrzył na nią - bladą, o twarzy obrzękłej i ściągniętej. To nie była dziewczyna, z którą się ożenił, w której tak bardzo zakochał się, że dla niej zdradził jednego ze swoich najlepszych przyjaciół. Zmieniła się, a on się do tego przyczynił.

Wyczuła jego obecność i odwróciła się.

- Witaj - powiedziała cicho.

Logan uśmiechnął się słabo, podszedł bliżej i usiadł na brzegu łóżka. Leżały na nim jej ubrania, równo poskładane w kostkę.

- Johnny wybudził się ze śpiączki. Byłem przed chwilą w szpitalu. Jest przytomny. Nie mówi, ale otworzył oczy. To dobry znak.

- Tak, Rachel mi powiedziała. Dzięki Bogu, Logan. Bardzo się cieszę.

- Ja też. Myślałem, że on umrze. Naprawdę tak myślałem.

- Wierzę.

Logan wskazał walizki.

- Jedziesz do domu? Wzięła głęboki oddech.

- Nie. Jadę na odwyk. Porządny odwyk. Kiwnął głową.

- Dokąd?

- Rachel znalazła ośrodek w górach. Nazywa się Savannah Centre. Świeże powietrze, długie spacery, terapia. W promieniu setek kilometrów żadnych barów. - Urwała. - Logan, tak mi przykro, ja... - Zasłoniła oczy. Nie mogła znieść wyrazu rozczarowania na jego twarzy. Zawiodła go, zdradziła. Oderwała ręce od oczu, mokrych od łez. - Wiem, że już to mówiłam, lecz tym razem naprawdę tak myślę. Potrzebuję pomocy, prawdziwej pomocy, nie tylko na chwilę. Nie oczekuję, że wybaczysz mi to, co zrobiłam wczoraj wieczorem, chcę jednak, żebyś wiedział, jak bardzo jest mi z tego powodu przykro.

- Wiem. Wiem. - Wyciągnął do niej dłoń. - Ale, Maryanne...

Nie umiał wydusić tego z siebie. Maryanne zaczęła płakać.

- Ale jest już za późno. To chciałeś powiedzieć, prawda? Już za późno, to koniec, ty już mnie nie kochasz. Och, nie, nie... - Miała wrażenie, że serce zaraz jej pęknie. W końcu to się stało - odepchnęła go od siebie na dobre.

- Nadal cię kocham. I zawsze, zawsze będę kochał. Jesteś moją żoną, matką moich dzieci. Tyle że nie jest już nam ze sobą dobrze, prawda? To nie tylko twoja wina; również moja. Zawiodłem cię. Zawiodłem ciebie i nasze dzieci.

Maryanne puściła jego rękę. Nagle ogarnął ją gniew.

- Zawiodłeś nas, bo się od nas odwróciłeś. Odwróciłeś się i pozwoliłeś, żeby wszystko spadło na moją głowę!

Logan patrzył na nią, zaskoczony. Tego się nie spodziewał.

- To nieprawda! Pracowałem. Pracowałem dla was!

- Zakopałeś się w swojej pracy, stałeś się dla mnie całkowicie nieosiągalny, dla mnie, dla Charliego i Lucii.

Pamiętasz, jak kiedyś Charlie wrócił do domu i chciał, żebyś posłuchał, jak on gra? Wtedy kiedy uczył się grać na gitarze? Ale ty byłeś zbyt zajęty, zawsze byłeś zbyt zajęty, więc zamiast go posłuchać, następnego dnia wykupiłeś pół sklepu muzycznego!

Logan pamiętał.

- Nie znam się na muzyce - powiedział, ale nawet jemu wydało się to kiepską wymówką.

- Wcale nie musiałeś się znać na muzyce. A Charlie nie potrzebował mnóstwa kosztownych sprzętów, których nawet nie potrafił używać. Potrzebował taty.

Maryanne szybko, cała w nerwach, wkładała ubrania do walizki.

- Pamiętasz, co zawsze powtarzałeś, Logan? Że nie miałeś dobrego kontaktu ze swoim ojcem, że do niego nie trafiałeś, że nie interesował się twoim życiem. A twoja matka była taka sama... a nawet gorsza. Pamiętasz, jak obiecywaliśmy sobie, że my będziemy dla naszych dzieci zupełnie inni? Więc co się stało?

Logan także się zezłościł.

- Co się stało? Ty mi powiedz! Nie tylko ja się zmieniłem, Maryanne, nie możesz zwalić całej winy na mnie. Skoro już tak szczerze o tym rozmawiamy, może powiesz mi, co się stało z tobą?

- Ze mną? Ja zawsze troszczyłam się o dzieci, zawsze wiedziałam, co się z nimi dzieje. Ostatnio... przyznaję, przeżywałam trudny okres.

- Delikatnie powiedziane.

- Zgoda, Logan. - Odwróciła się do niego. - Zawiodłam, owszem, ale nie tylko mnie się to zdarzyło. A kiedy dzieci dorastały, byłam dobrą matką, wiem, że tak. Więc nie odbieraj mi tego. Proszę.

Zaczęła płakać, nie próbując się nawet opanować. Jej wykrzywiona twarz była zmęczona i brzydka. Logan wziął głęboki oddech. Przyznał jej rację.

- Tak. Byłaś dobrą matką.

- Ale złą żoną?

- Ja tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś.

- Och, więc o to ci chodzi? Mam powiedzieć: „Byłaś złą żoną, to wszystko twoja wina”, żebyś mogła się nad sobą użalać? Znowu zacząć topić smutki w alkoholu?

Wściekły, podniósł głos. Maryanne zamknęła oczy.

- Wiem, że na to zasłużyłam.

- O tym właśnie mówię, Maryanne. O tym. - Wskazał dłonią dzielącą ich przestrzeń. - Nie tak powinno być. Nie tak kiedyś było. Kiedyś pracowaliśmy razem i dogadywaliśmy się. Zawsze znajdowaliśmy wspólny język. Teraz już nie.

Przygryzła wargi. To prawda. Ale tak trudna do przyjęcia. Zamknęła walizkę.

- Powinnam już iść.

Logan potarł czoło, zmęczony. Tyle godzin nie spał.

- Nie chcę się kłócić, Maryanne.

- Ja też nie chcę. Już nie. Chyba... chyba wszystko zostało powiedziane. Tylko nie rozumiem, jak to możliwe, że do tego doszło.

- No właśnie.

Stali przez chwilę i patrzyli na siebie.

- Więc tak się to kończy? To chyba powinna być jakaś wielka scena. A nie tylko dwoje ludzi w hotelowym pokoju.

Dwadzieścia lat... i nic więcej? - Maryanne znowu zaczęła płakać.

Logan podszedł do niej, objął ją i delikatnie przytulił.

- Och, Annie. Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

Rzeczywiście. Było mu przykro z wielu powodów - bo ją zawiódł, bo nie potrafił jej pomóc, bo ją zdradzał, bo pogrążał się w pracy, kiedy potrzebowała go żona i dzieci. Było mu przykro z powodu kłótni, awantur, złości, a przede wszystkim dlatego, że stojąc tu i trzymając ją w ramionach, żałował, że nie obejmuje innej kobiety.

Rozdział 20

Kiedy Maryanne wyjechała do ośrodka odwykowego, Logan przespał się kilka godzin, a potem pojechał do biura. Po drodze zadzwonił do szpitala.

- Stan pana Stokesa jest stabilny. W tej chwili jest u niego przyjaciółka.

- Mówił coś?

- Proszę nie oczekiwać cudów, panie Barnes. - W głosie pielęgniarki zabrzmiała lekka nuta pogardy. - Pan Stokes nie może mówić. Nie wiemy, jak bardzo uszkodzony został jego mózg. Pański przyjaciel jest nadal w bardzo ciężkim stanie. Otworzył oczy, tak, ale to nie oznacza, że wszystko będzie w porządku, rozumie pan.

- Rozumiem, siostrze, oczywiście. Dziękuję.

Cholerna baba. Teraz Logan siedział w sali zarządu swojego biura na Manhattanie. Twarze zebranych przy stole współpracowników były poważne. Stawili się wszyscy, z wyjątkiem Johnny'ego.

- Naszym głównym problemem są w tej chwili media. Chciałbym was przeprosić: moje życie osobiste weszło w konflikt z naszymi interesami... i nie pozostanie bez wpływu na wasze życie zawodowe. Jest mi z tego powodu bardzo przykro, ale stało się, i musimy poradzić sobie z tym najlepiej, jak potrafimy. Media nam jednak nie odpuszczą. Kirsten, to twoja działka. Jak najlepiej możemy z tego wybrnąć?

Kirsten zastanawiała się przez chwilę.

- Zjednoczony front, przynajmniej na razie. Maryanne się leczy, my wystosowujemy oficjalne oświadczenie, w którym stwierdzamy, że cała rodzina ją wspiera. Podkreślamy, że najważniejsze jest w tej chwili jej zdrowie, że aby mogła dojść do siebie, media powinny zostawić ją w spokoju, i mamy nadzieję, że to uszanują.

Logan kiwnął głową.

- Czy ekipa *General Managera* zgodziła się zniszczyć nagranie? Złamią zasady umowy, jeśli tego nie zrobią, prawda?

- Szara strefa. Z formalnego punktu widzenia to do nich należą wszystkie nagrania, a nie do ciebie.

- Postaraj się więc, by stała się mniej szara. Niech im się nie wydaje, że mogą się stawiać.

Prawnik zastępujący Johnny'ego kiwnął głową.

- I tak już zostało to wyemitowane w wiadomościach. Nagrywali uroczystość... - Urwał, bo Logan spojrzał na niego ponuro.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że nagranie zostało wyemitowane, dziękuję. Nie życzę sobie jednak, by producenci sądzili, że mogą je wykorzystać. Wyobrażacie sobie, jak by to wyglądało?

- Przepraszam, ale jest coś jeszcze - wtrąciła się Kirsten. - Musimy jak najszybciej podjąć decyzję co do Lucii.

Twarz Logana stężała.

- Steve?

- Zatrzymała się w hotelu Nicola w West Hollywood. Poza tym... - Steve wzruszył ramionami. - Może dla niego pracować. Nie ma dowodów na to, że dzieje się coś złego. Próbuję dowiedzieć się więcej, ktoś cały czas ma ją na oku.

Logan kiwnął głową.

- Moim zdaniem powinieneś się z nią skontaktować - powiedziała Kirsten stanowczo. - Sądzę...

- Doceniam twoje zaangażowanie w tę sprawę, Kirsten, ale to ja zdecyduję, co dalej zrobić w sprawie Lucii.

Dziękuję.

Kirsten wydeła wargi, kiwnęła jednak głową.

- Nie zamierzam nikogo z was okłamywać - ciągnął Logan. -LBI stanęło przed wielkim wyzwaniem. Jak wiecie, wiele naszych ostatnich inwestycji zostało w dużej mierze sfinansowanych z kredytów, co pozwoliło nam osiągnąć szybki wzrost, zdomino-

wać pewne obszary rynku i umocnić naszą pozycję jako wiodącej grupy w branży luksusowych hoteli. Wszystko to sprawia, że to my kontrolujemy rynek. Budowa Luksusu, z uwagi na niezwykle charakter tego projektu, a także to, że to zdecydowanie największa inwestycja od czasu, kiedy firma odzyskała płynność, wiąże się też z dużym ryzykiem. Luksus nie jest inwestycją nastawioną na duży zysk. Ze względu na współczynnik liczby pracowników do liczby gości, założoną z góry ekskluzywność, niezwykle wysoką jakość usług, przez dłuższy czas nie zwróci nawet poniesionych na jego budowę nakładów. Z drugiej jednak strony, choć z trudem, wychodzimy na swoje. A ja wierzę, że stanie się on symbolem wielkiego powrotu LBI do gry, czego oczekujemy. Teraz lecę do Londynu. Można się ze mną kontaktować pod tymi numerami co zwykle.

Na ulicy przed hotelem Logana otoczyli dziennikarze.

- Czy to prawda, że...

- Jak się czuje pańska żona, panie Barnes?

- Czy może pan potwierdzić, że ostatnio przedawkowała?

- Panie Barnes, czy potwierdzi pan, że Lucia jest uzależniona od seksu i przejdzie terapię odwykową?

- Panie Barnes...

- Panie Barnes...

- Panie Barnes...

Dziennikarze nie dawali za wygraną nawet wtedy, kiedy wszedł już do samochodu, co ułatwił mu jeden z hotelowych ochroniarzy. Nie miał osobistego bodyguarda, bo po co, i nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby chodzić za nim wszędzie krok w krok. Lecz w chwilach takich jak ta, kiedy media rzucały się na niego jak stado sępów, zaczynał doceniać zalety posiadania własnej ochrony.

Do Londynu dotarł przed wieczorem i od razu spotkał się z Charliem na kolacji. Chciał być jak najdalej od Nowego Jorku, od miejsca, w którym został skompromitowany. Chciał też pogadać z synem, z którym od dawna się nie widział. Rozmowa z Maryanne przed jej wyjazdem do Savannah Centre uświadomiła mu, jak skrzywdził swoją rodzinę. Tak, miał dobre intencje, lecz niewiele

to znaczyło, skoro skutki jego działań były opłakane. Ciągłe jednak mógł zrobić coś dobrego - przynajmniej dla Charliego.

Czekał na syna w modnej japońskiej restauracji; popijał sancer-re i patrzył przez okno. W sali cicho szemrały głosy, a na zewnątrz Londyn szykował się do kolejnej nocy. Ludzie spieszyli do domów po długiej pracy w oświetlonych jarzeniówkami biurach; palce mieli przybrudzone farbą drukarską z darmowych gazet. Kurierzy na motocyklach przemykali między samochodami, a kierowcy wciskali klaksony i klęli. Logan uwielbiał to miasto.

Myślał o Lucii. To on ponosił winę za to, co się z nią stało. Rozpieszczał ją i psuł, odkąd się urodziła. Miała wszystko, co najlepsze, wszystko, o co poprosiła - więc teraz nie mógł mieć do niej pretensji o to, że oczekiwała, iż będzie tak nadal. Kiedy jej koleżanki z klasy bawiły się miauczącymi kotkami na baterie, Lucia zażądała na urodziny robota - różowego kotka za sześć tysięcy dolarów. Gdy nastolatki chciały mieć iPody, Lucia miała iPoda ze słuchawką wysadzaną brylantami. A to były tylko prezenty. Logan, jako córeczce tatusia, pozwalał jej na wszystko, wszystko uchodziło jej płazem, bo była - w swojej najlepszej wersji - zabawna, uczuciowa i go kochała. Jego mała dziewczynka. Jego mała dziewczynka, która zaraziła jakiegoś Bogu ducha winnego faceta rzeźaczką, której tyłek widniał na co drugim billboardzie w Londynie, która zatrzymała się w hotelu należącym do Nicola Floresa... A jednak... na zawsze pozostanie jego ukochaną córką.

Charlie opadł na krzesło obok niego i zamówił piwo u przechodzącego kelnera.

- Cześć. Co u mamy? Kiedy będziemy mogli z nią porozmawiać?

- Za kilka dni. Najpierw musi się tam zaaklimatyzować. Dojechała szczęśliwie. Zadzwoń, gdy będzie gotowa, jestem tego pewny. Wiem, że będzie chciała pomówić z wami obojgiem, ale lepiej żeby sama zdecydowała kiedy.

Do stolika podszedł kelner. Logan zamówił zestaw sushi, a potem zaczął czekać, aż mężczyzna odejdzie.

- Mama postanowiła zrobić rzecz bardzo trudną i możemy być z niej naprawdę dumni - ciągnął. - Lecz musimy też dać jej czas, by mogła zastanowić się nad swoim życiem; to dotyczy także nas.

- Tak, w porządku.

- Jak sobie radzisz z prasą? Kirsten i Steve robią, co do nich należy?

Charlie wzruszył ramionami, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Ja mam gdzieś prasę. Dużo pracuję i poznałem dziewczynę.

- Och, jak miło; a kto to jest?

Wspaniale. Może Charlie otworzy się przed nim, może nawet poprosi o jakąś ojcowską radę.

- Ma na imię Jamie. Jest super - odparł Charlie, nie przerywając jedzenia. Najwyraźniej „super” było wszystkim, czego Logan miał się dowiedzieć o nowej dziewczynie jego syna.

- Rozmawiałaś ostatnio ze swoją siostrą?

- Nie. Nie odbiera moich telefonów. Twoich też pewnie nie zechce...

- Cóż, to się okaże.

- Wkurzyła się. Nie spodziewałbym się, że przybiegnie w podskokach. - Charlie zanurzył kawałek sushi w sosie sojowym.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Charlie wbił wzrok w pałeczki.

- No wiesz... ty lubisz, kiedy wszystko idzie tak, jak ty chcesz. A inni ludzie czasami chcą czegoś innego. Albo potrzebują czegoś innego. To znaczy, jesteś szefem w rodzinie tak samo jak w firmie i często wydaje nam się, że nie mamy nic do gadania, bo to ty za wszystko płacisz.

Ostatnie słowa wymknęły mu się niemal mimo woli. Charliego chyba też zaskoczyły.

- Ach, tak. A w takim razie co chciałbyś mi powiedzieć? Bo, jak rozumiem, to znaczy, że w ogóle nie masz zamiaru pracować w firmie?

Charlie westchnął.

- Tego nie twierdzą. Nie wiem. Wiem tylko, że chcę robić swoją muzykę.

- Rozumiem. Muzykę. Cóż, dobrze wiedzieć, że wszystkie plany biorą w leb. - Logan zdjął z kolan serwetkę i wstał.
- Wybacz, że zostawiam ci rachunek do uregulowania. Nie chcę, żebyś pomyślał, że stawiam ci kolację, by móc cię kontrolować.

Logan wsiadł do samochodu i ruszył M40 w stronę Oksfordu. Sam nie wiedział, dokąd jedzie, i nie obchodziło go, gdzie w końcu wyląduje. Był zdenerwowany i zły. Zawsze wierzył, że pewnego dnia Charlie pójdzie w jego ślady. Wyobrażał sobie, że przekazuje mu swoją wiedzę, uczy go; że kiedyś będą pracowali razem, ramię w ramię, ojciec i syn. Ale Charliego absolutnie nie interesowało hotelarstwo. Nigdy. Logan nie mógł go zmusić do pracy w LBI, choć tak bardzo mu na tym zależało. Z drugiej strony, nikt nie powiedział, że dzieci muszą zawsze pójść drogą, jaką wybrali dla nich rodzice, prawda? Cóż można dla nich zrobić? Płacić za szkoły, nauczyć odróżniać dobro od zła, dać pewność siebie, która pozwoli im podejmować decyzje i popełniać błędy - później można już tylko stać z boku i patrzeć, co robią. Dla kogoś, kto tak jak Logan lubił sprawować nad wszystkim kontrolę - a nawet tego potrzebował - była to trudna lekcja. Ciągle jeszcze jej nie odrobił. Odchylił głowę w tył i patrzył na ciągnącą się przed nim autostradę. Anglia. A więc ona jest teraz zaledwie kilka kilometrów dalej. Nie przestał myśleć o Elise, ale już do niej nie telefonował. Wiedziała, gdzie on jest. Zrozumiał, że nie może ciągle do niej wydzwaniać, bo gdyby Bill się o tym dowiedział, mogłoby to pogorszyć jej sytuację - nawet gdyby tych telefonów nie odbierała. Tak jak nie mógł zmusić dzieci, by robiły to, czego on sobie życzył, tak nie mógł zmusić Elise, by go kochała. Ale nie było mu łatwo się z tym pogodzić.

Elise jak zwykle sprawdziła w swojej torebce, czy ma wszystko, co jej potrzebne, zwłaszcza trzy najważniejsze rzeczy, to znaczy telefon, portfel i klucze. A także książeczkę czekową, choć teraz już chyba nikt nie wypisywał czeków; notes, żeby wiedziała, dokąd pójść i co załatwić; iPod, którego prawie nie używała; okulary przeciwsłoneczne w etui; odpowiednio wyposażoną kosmetyczkę, by mogła w każdej chwili poprawić swój wygląd; perfumy. Było tam

wszystko, w cudownie miękkiej torbie marki Bamford z delikatnej białej skórki. Na dworze świeciło słońce. Miała nadzieję, że poprawi jej to nastrój, niestety nie. Boże, tak bardzo za nim tęskniła! Bez przerwy od wielu dni, i sama nie wiedziała, jak to możliwe. W końcu przeżyła trzydzieści lat bez niego, więc dlaczego teraz dręczyło ją poczucie tak wielkiej straty?

Od dnia, w którym powiedziała mu, że nie mogą się już spotykać, skupiła się na Dannym. To dla niego podjęła taką decyzję. Kiedy tylko zobaczyła jego uśmiech i usłyszała, jak z przejęciem opowiada o zoo i o tym, że gdy dorośnie, zostanie ośmiornicą, zrozumiała, jak bardzo kocha tego chłopca i jak w porównaniu z nim wszyscy inni mężczyźni w jej życiu bledną i niewiele znaczą.

Inni mężczyźni w jej życiu. Pomyślała teraz o tym, którego właśnie zamierzała odwiedzić po raz pierwszy, odkąd przeprowadziła się do Londynu. Nie widziała ojca od lat. Od incydentu na przyjęciu weselnym nie układało się między nimi. Bill starał się zniechęcić ją do spotkań z ojcem, a ona była zła, że Pete ją zawiódł w tak ważnym dla niej dniu. Widywali się coraz rzadziej. Pete nie próbował tego zmienić, nie chciał wtrącać się do nowego życia córki, choć pewnie żałował, że nie wybrała sobie na męża kogoś innego.

Kiedy urodził się Danny, Elise pogodziła się z ojcem. Chciała, by jej syn znał swojego dziadka, by słuchał opowieści o jeździe na słoniach i podróżach po całym świecie, które tak ją zachwyciły, kiedy była dzieckiem. Billowi nie bardzo się to podobało, ale nie protestował.

A potem, kiedy Danny miał dwa lata, doszło do dwóch wypadków. Najpierw Pete, który opiekował się wnukiem, zamiast go pilnować, pił i grał w karty obok basenu. Wtedy Danny omal nie utonął - był już siny, kiedy Pete zorientował się, że nie słyszy dzieciaka, że on nie pluska się już tuż przy brzegu, lecz unosi się pod wodą.

Elise nie mogła znieść bólu i poczucia winy, które ogarnęły ją, kiedy stała i patrzyła na ciało synka leżące na szpitalnym stole, przypięte do różnych rurek i kroplówek. Ale też w jej sercu płonął gniew. Później nie mogła nawet spojrzeć na ojca, a on wyjechał wkrótce do Belize, by pracować przy jakimś filmie.

Dwa tygodnie później Elise dowiedziała się przez telefon, że jej ojciec wypadł z łodzi. Cóż za ironia losu - on także omal nie utonął. Zastanawiała się nawet przez chwilę, czy rzeczywiście uległ wypadkowi. Zaraz jednak odrzuciła tę myśl; jej ojciec był kaskaderem, wykonywał jeden z najniebezpieczniejszych zawodów. Nie utonął, ale połamał sobie niemal wszystkie kości, kiedy - spadając z wysoka - uderzył w taflę wody. Uszkodził sobie także rdzeń kręgowy, więc choć kości się zrosły, Pete Sylvester, który zawsze biegał, skakał i robił salta, teraz, na wpół sparaliżowany, mógł tylko leżeć w łóżku w domu opieki.

I to tam Elise właśnie się wybierała. Nie bardzo wiedziała, dlaczego poczuła nagle, że musi odwiedzić ojca, zapomnieć o gniewie i pojechać do niego. Miało to coś wspólnego z kolacją na plaży z Loganem, który zapytał ją wówczas o ojca. Coś drgnęło wtedy w jej sercu i zrozumiała, że tak dalej być nie może.

Nie wiedziała nawet, gdzie jest ten dom opieki. Wszystko zorganizował Bill - pozwoliła mu przejąć kontrolę nad sytuacją. Nie powinna to tego dopuścić, wiedziała o tym. To na niej spoczywała odpowiedzialność za ojca, nie na Billu. Mąż jednak zapewnił ją, że teraz tworzą drużynę, że stali się niemal jednością. Twoje obowiązki to moje obowiązki, mówił łagodnie. Zdjął więc ten ciężar z jej ramion, pozostawiając jej opiekę nad Dannym, który, na szczęście, szybko dochodził do siebie.

Elise wsiadła do swojego audi, włączyła system GPS i wystukała adres, który znalazła w notesie Billa. Nie powiedziała mu, że wybiera się na spotkanie z ojcem. Była to kolejna z jej tajemnic. Miała ich wiele.

Dom opieki już z zewnątrz wyglądał ponuro. W oknach wisiały poszarzałe firanki, a ogród przed budynkiem z czerwonej cegły był bardzo zaniedbany. Podobnie jak pacjenci tej placówki, pomyślała z przerażeniem Elise, idąc korytarzem w stronę pokoju, w którym, jak jej powiedziano, leżał Pete. Podłoga się lepiała, sale były ciemne i od dawna niemalowane. Wzięła głęboki oddech, wkroczyła do pokoju ojca i natychmiast tego pożałowała: w środku unosił się silny zapach uryny, chloru i rozgotowanych jarzyn.

Kiedy tylko otworzyła drzwi, łzy napłynęły jej do oczu. Gniew, który odczuwała przez ostatnie cztery lata - a wręcz w sobie pielęgnowała - znikł na widok ukochanego ojca, leżącego pod kocem w tym okropnym miejscu. W pokoju słyszała tylko odgłosy respiratora, do którego Pete był podłączony.

- Och, tato. Gdzie on cię umieścił? - wyszeptała zduszonym głosem.

Twarz Pete'a drgnęła; najwyraźniej rozpoznał głos córki. Podniósł prawe ramię, jedyną kończynę, którą jeszcze częściowo władał. Elise podeszła bliżej i stanęła nad nim, żeby mógł ją zobaczyć.

- Li... - Mógł wydobyć z siebie tylko ten cichy dźwięk, wypowiedziany jedną stroną ust.

- Tak mi przykro, tato. Nie wiedziałam. Powinnam była przyjechać tu wcześniej. Tak bardzo mi przykro.

Usiadła na krześle obok, ujęła jego dłoń i płakała, a on mógł ją pocieszyć, tylko lekko ściskając jej rękę.

Doznała szoku. Choć tyle wiedziała o Billu, o tym, czego się wobec niej dopuścił, nie przypuszczała, że mógłby skazać jej ojca na vegetację w takim miejscu. Uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie zna swojego męża. Dobijała ją myśl o latach, które ojciec tu spędził, nie mając do kogo otworzyć ust, nikogo, kto chciałby z nim porozmawiać, powiedzieć mu, że go kocha. Wychyliła się z samochodu i zwymiotowała. I choć bardzo chciała wierzyć, że Bill nie wiedział, gdzie wysłał Pete'a, nie mogła. Wszystkie elementy tej układanki doskonale do siebie pasowały. Pamiętała, jak chętnie Bill podjął się zorganizowania wszystkiego i nie chciał mówić o finansach - dlatego że chodziło o tak nędzne kwoty, co teraz dopiero zrozumiała; jak zadbał o to, by nie poznała adresu, który musiała wykraść podstępnie. Przypomniała sobie, jak przy tych rzadkich okazjach, kiedy wspominała ojca, na twarzy Billa pojawiał się zarozumiały uśmiezek, i jak zniechęcał ją do odwiedzania Pete'a, podając jako powód troskę o jej dobre samopoczucie.

To ona była temu winna.

Nie pojechała do domu, lecz do Brighton. Zaparkowała w pobliżu przystani i ruszyła przed siebie brzegiem morza, patrząc, jak powoli zapada zmierzch, a słońce kryje się w srebrzystym morzu. Ludzie, którzy przyjechali tu na piknik, pakowali się i wracali do samochodów z sennymi dziećmi o zaróżowionych policzkach. Studenci pracujący przy plażowych trampolinach chowali swój sprzęt, na kamienistej plaży pod grillami płonął jeszcze ogień. Elise podeszła do stoiska, gdzie sprzedawano owoce morza, i kupiła pojemnik smażonych krewetek. Jedząc, mijała budki z rybami, sklepiki z pamiątkami, restauracje i bary, które właśnie zaczynały się zapełniać i polecały wieczory z muzyką z lat dziewięćdziesiątych. Oferta dla imprezowiczów chyba zbyt jeszcze młodych, by odczuwać nostalgię za czymkolwiek.

Gdy słońce znikło za horyzontem, wyjęła telefon i zrobiła to, co powinna zrobić już dawno.

Kiedy Elise zadzwoniła, zapłakana, Logan natychmiast zawrócił i ruszył do Brighton.

- Tak mi przykro. Tak mi przykro. Nie chciałam. Bardzo chciałam być teraz z nią, przytulić ją, pocieszyć.

- Och, Elise, to nie ma znaczenia, nic nie ma znaczenia. Posłuchaj, już jadę, więc zostań tam, gdzie jesteś. Przyjadę po ciebie, tylko na mnie czekaj.

Nigdy dotąd nie prowadził samochodu z taką prędkością, pewny, że w końcu zatrzyma go policja; ale gnał przed siebie, myśląc tylko o tym, jak najszybciej do niej dotrzeć. Zobaczył ją na brzegu morza. Było chłodno, bo słońce już zaszło. Elise miała zaczerwienione oczy i twarz zapuchniętą od płaczu. Rzuciła mu się w ramiona, wstrząsana łkaniem, a on stał, głaskał ją po głowie i czekał, aż się uspokoi. Potem pocałował ją i jej łzy zostały mu na twarzy.

Otarła je ręką.

- Kocham cię. Kocham. Kocham - powtarzał, przyciskając ją mocno do siebie i prowadząc do samochodu.

- Ja też cię kocham. Już dłużej tego nie zniosę. Kiedy zobaczyłam tatę, jak leży tam i...

- Nie możesz dłużej zostać z Billem.

Pokręciła głową.

- Nie mogę. Ale tak się boję. Strasznie się boję, że stracę Dan-ny'ego.

Opowiedziała Loganowi o wszystkim, kiedy wiózł ją do Londynu, skuloną na przednim siedzeniu; wydawała się taka drobna i krucha. Wezwał któregoś ze swoich pracowników, by odprowadził jej samochód do Londynu.

Opowiedziała mu o przemocy, jakiej dopuszczał się wobec niej Bill, o jego atakach furii, o ciemnych interesach i pogroźkach, kiedy dowiedział się, że je odkryła. O tym, że zagroził, iż odbierze jej syna, jeśli ona odejdzie lub powiadomi kogoś o jego oszustwach.

- Więc to dlatego powiedziałaś, że nie możesz się już ze mną spotykać.

- Tak. To była najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałam zrobić.

- Nie pozwolę, żebyś straciła syna. Obiecuję. - Logan dotknął jej uda lewą ręką, prawą nadal trzymając kierownicę. - Zaufaj mi, Elise. Nie pozwolę na to. Bill McAllister nie odbierze ci syna.

- Nie odbierze.

- Ufasz mi?

- Oczywiście.

- To dobrze. Pamiętaj o tym.

Rozdział 21

Maryanne, roztrzęsiona, szła korytarzami za pielęgniarzką do pokoju, który jej przydzielono. Kobieta nie miała na sobie tradycyjnego pielęgniarzkiego stroju, tylko sportowe spodnie khaki z kieszeniami po bokach i podkoszulek. Budynek, pełen drewna i światła, był wysoki. Naturalne materiały miały tworzyć spokojną, pogodną atmosferę. Ale Maryanne niewiele zauważała i nic nie mogło zapobiec ogarniającej ją panice. Zatrzymała się nagle. Nie, nie da rady. Nie zdoła tego zrobić.

Pielęgniarka odwróciła się do niej.

- O co chodzi? - zapytała łagodnie.

- Przepraszam, ale popełniłam błąd. Nie mogę... po prostu nie mogę.

Pielęgniarka podeszła do niej.

- W porządku - powiedziała spokojnie. - Wiem, że to trudne. Wszystko jest tu nowe, nie wiesz, czego się spodziewać, więc się boisz. Może wejdziemy do pokoju, usiądziemy i porozmawiamy?

- Nie. Nie rozumiesz, ja się nie boję, oczywiście, że nie. Tylko nie mogę tego zrobić. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. - Cofnęła się szybko. Było jej gorąco, czuła ucisk w piersi i dziwne pieczenie, jakby powietrze w płucach nagrzewało się. Wzięła głęboki oddech.

Pielęgniarka ujęła ją za rękę.

- Maryanne. Maryanne, postaraj się uspokoić.

- Ja... - Głos Maryanne był dziwnie wysoki i świszczący, więc umilkła. Serce biło jej bardzo mocno i trzy razy szybciej niż zwykle. To na pewno zawał. Nie potrafiła opanować drżenia, z trudem chwytła powietrze. Miała mroczki przed oczami, szumiało jej w uszach.

- Powoli i równo. Oddychaj powoli i równo.

Nie mogę! - chciała krzyknąć. W ogóle nie mogę oddychać, umieram, umrę zaraz tu, na tym korytarzu, na twoich oczach. Nie tak miało być! Ciemność ogarnęła wszystko i Maryanne straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, pielęgniarka siedziała obok niej na podłodze; trzymała przy jej ustach papierową torebkę. Maryanne otworzyła oczy, a kobieta uśmiechnęła się do niej.

- Wszystko w porządku, nic ci nie jest. Miałaś tylko atak paniki. Jak się teraz czujesz?

Maryanne chwilę leżała bez ruchu. Czuła się nieźle, była tylko trochę roztrzęsiona, jak po nerwowym szoku. Usiadła.

- Muszę widzieć się z lekarzem.

- Później ktoś do ciebie przyjdzie. Ale wierz mi, nic złego się nie dzieje.

- Zemdlałam, a ty nie chcesz nawet wezwać lekarza? Powinnam pojechać na pogotowie.

- Naprawdę myślisz, że na pogotowiu rozwiązałyby twoje problemy? Z alkoholem i narkotykami?
- Co? Nie, myślę, że na pogotowiu mogliby rozwiązać problem, jaki najwyraźniej mam z sercem.
- Rzeczywiście twoje serce nie jest w najlepszym stanie. Ale ty chorujesz psychicznie, Maryanne, a nie fizycznie. Och, na litość boską!

Maryanne zeszła po dużych kamieniach, a dalej podążyła zwirową ścieżką i przez trawnik. Zamszowe kozaczki, które miała na nogach, były już brudne. Jakże nie znosiła wsi. Na wsi zawsze jest pełno błota i dołów, brak za to sklepów i restauracji. Nie rozumiała, jak można mieszkać w takim miejscu. Nie, nie zostanie tutaj, nie zamierza słuchać tych bzdur o problemach duchowych i złamanym sercach. Zadzwoi do kogoś i zorganizuje sobie powrót do miasta.

Szła przed siebie po trawie, nie zwracając uwagi na to, że buty grzęzną jej w mokrej ziemi. Sięgnęła do kieszeni po telefon. Och, do diabła, zapomniała - zabrali go jej wraz z kartami kredytowymi, biżuterią, poza ślubną obrączką, i całą resztą. Zamknęli to w sejfie. Kim była teraz, pozbawiona tego wszystkiego?

Nagle poczuła, że sytuacja ją przerosła. Wyczerpanie wydarzeniami ostatnich dni, szok związany z tym, co stało się na uroczystości rozdania nagród, świadomość skali problemów dobiły ją. Usiadła na trawie, nie zwracając uwagi na to, że jest mokra i błotnista, i rozplakała się. Myśl, że ostatnio niewiele robiła poza tym, że zalewała się łzami, sprawiła, że rozszłochała się jeszcze rozpaczliwiej. Nie sprawdziła się ani jako żona, ani jako matka i człowiek. Nie mogła wytrzymać jednego dnia w ośrodku odwykowym, lecz nie potrafiła też z niego wyjechać.

W końcu została. Nie, nie z żadnych szlachetnych pobudek, nic z tych rzeczy. Po prostu myśl, że będzie musiała przyznać się do porażki, znieść drwiny, powiedzieć Loganowi i dzieciom, że temu nie sprostą, była gorsza niż pozostanie w ośrodku. Postanowiła więc, że spędzi w nim kilka tygodni. Odpocznie, pooddycha świeżym powietrzem, poćwiczy. I zobaczy, co dalej.

Przez kilka dni dużo spała i dąsała się na obowiązkowych sesjach terapeutycznych, podczas których starała się, by nikomu nie udało się do niej dotrzeć. Wreszcie pewnego ranka zeszła na dół i dowiedziała się, że tego dnia czeka ją inny rodzaj terapii. Kurt, psycholog - zajmował się osobami uzależnionymi, czuwał nad tym, by docierały na zajęcia, i spotykał się z nimi indywidualnie - powitał ją w holu z uśmiechem, który miał dodać jej energii i odwagi.

- Dzień dobry, Maryanne.

- Witaj, Kurt.

- Każdy dzień przynosi nowe wyzwanie, prawda? Maryanne spojrzała na niego nieufnie. Do czego on zmierza?

- Chyba tak.

- Chyba, Maryanne? Powinnaś to wiedzieć. I czuć w swoim sercu.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Chryste, chyba coś unosi się tu w powietrzu, pomyślała. Ludzie przyjeżdżają do tego ośrodka, żeby leczyć się z uzależnień, ale czasami miała wrażenie, że stosuje się tu gaz rozweselający. Zajęcia na wolnym powietrzu prowadzono nieco dalej, za głównym budynkiem, w którym odbywały się indywidualne i grupowe sesje terapeutyczne. By tam dotrzeć, trzeba było minąć coś, co Maryanne uznała za zabudowania gospodarcze - tam zapewne wysyłano brudne pranie i inne rzeczy, lecz tym nie musiała zawracać sobie głowy. Kurt szedł przed nią. Podniósł rękę na powitanie z mężczyzną, który stał w kurzu na padoku obok dużego czarnego konia. Gdy zbliżali się do ogrodzenia, mężczyzna ruszył ku nim, po czym zatrzymał się i patrzył na nich. Był bardzo wysoki. Miał na sobie jasnoniebieską koszulę z jakiegoś miękkiego materiału, dżinsy i podniszczone, lecz starannie wypastowane skórzane buty do konnej jazdy z wysokimi cholewkami. Każdy jego ruch wydawał się przemyślany. Kiedy stał, to całkowicie nieruchomo, kiedy coś robił, każdy jego gest miał cel, żaden nie był bezsensowną stratą energii. Bił od niego niezwykle spokoj.

- Sam, to jest Maryanne. Maryanne, to Sam. Zajmuje się hipoterapią.

358

Kiedy Kurt odszedł, Sam i Maryanne patrzyli na siebie przez chwilę. Sam z ufnością i bez skrępowania. Nie odezwał się ani nie otworzył furtki. Po prostu stał.

- No i co? - spytała w końcu Maryanne. Uśmiechnął się lekko.

- Chciałabyś tu wejść?

- Nieszczerólnie. Ale chyba po to tu przyszłam, co? Wzruszył ramionami. Maryanne spojrzała na konia, który stał równie spokojnie jak Sam.

- Nie bój się, on cię nie stratuje.

Kiedy Maryanne zrozumiała, że Sam nie otworzy jej furtki, zrobiła to sama i weszła na padok.

- Kim właściwie jesteś? Zaklinaczem koni?

- Nie. Zaklinacze koni trenują konie.

- A ty trenujesz ludzi?

- Nie da się trenować ludzi.

Przyjrzała mu się, ale nic nie wskazywało na to, że żartował. Dupek bez poczucia humoru, pomyślała. Zapowiadała się ciężka praca.

I rzeczywiście była to ciężka praca, zresztą tego się spodziewała. Sam podał jej brązową skórzaną uprząż i poprosił, by podeszła do konia, założyła ją na niego i przyprowadziła bliżej. Maryanne miała ochotę powiedzieć mu, że to skandal nazywać proste, bezsensowne czynności terapią, ale ugryzła się w język. Takie metody mogły okazać się skuteczne w przypadku przygłupów, którzy się tu leczyli, ona jednak przejrzała je natychmiast i była pewna, że na nią nie podziałają. Czuła jednak, że nawet gdyby to powiedziała, Sam bez słowa wzruszyłby tylko ramionami.

Ruszyła w stronę konia z uzdą w ręku, ale on natychmiast pobiegł do przeciwległego rogu. Spróbowała znowu - z tym samym skutkiem. Kiedy spojrzała, sfrustrowana, na Sama, on tylko odwrócił się i patrzył na góry, jakby podziwiał widok. Doskonale. Tym razem postanowiła przechytrzyć konia. Zaszła go z boku, a potem nagle skoczyła na niego. On jednak jej umknął, pokłusował do Sama i położył mu łeb na ramieniu. Sam zaśmiał się i sięgnął

do kieszeni po smakołyk. Maryanne się zbuntowała. Wytrenował tego pieprzonego konia, żeby tak się zachowywał. Traciła tylko czas i energię, usiłując wykonać polecenie - najwyraźniej była to jakaś głupia sztuczka. Chodziło o to, by ją upokorzyć.

- Nie pozwolę, żebyś ze mnie drwił, ty i ten twój cholerny koń - krzyknęła, z wściekłością ciskając uprząż na ziemię.

- I nie pozwolę sobą manipulować! Nikomu! Słyszysz?

- Chyba słyszy cię cały stan.

- Doskonale. W takim razie niech cały stan się dowie, że jesteście wszyscy bandą dupków, którzy manipulują innymi i tylko udają, że zależy im na czymś więcej niż na pieniądzach.

Trzęsła się ze złości. Sam spojrział na nią i kiwnął głową, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że usłyszał, ale nic poza tym.

Miała ochotę go uderzyć, jednak tego nie zrobiła. Wyszła z pa-doku, wróciła do budynku, wkroczyła do gabinetu Kurta i oznajmiła, że wyjeżdża.

- A kiedy tylko wrócę do domu, pozwę was wszystkim do sądu i wtedy zobaczycie.

Kiedy już ją uspokoił, co prawie zawsze mu się udawało mimo jej negatywnego stosunku do niego, powiedział, że odtąd codziennie będzie brała udział w sesjach z Samem i jego koniem. Przez kolejne dwie godziny uzgadniali szczegóły dotyczące dalszego ciągu terapii. Kurt wiedział, że Maryanne jest uparta i chce czuć, że panuje nad sytuacją; wiedział też, że jeśli ma jej pomóc, to on musi nad wszystkim panować. Nie wątpił, że mimo protestów i pogroźek Maryanne bardzo chciała, by ktoś jej pomógł, że całe jej zachowanie było rozpaczliwym wołaniem o pomoc. Kurt pracował w ośrodku od dziesięciu lat i nieraz z takim zachowaniem się spotkał. Ci, którzy tu przyjeżdżali, twierdzili, że nie potrzebują pomocy, że już wszystko wiedzą. A on po prostu robił swoje i zwykle jego pacjenci wychodzili w końcu na prostą.

Kiedy wreszcie się dogadali, Maryanne udała się na sesję jogi w sali z oknami na ogród.

Następnego dnia po śniadaniu i porannej sesji grupowej wróciła na padok. Nadal była naburmuszona i zła, bo poprzedniego dnia nie udało jej się wykonać zadania, musiała jednak przyznać, że coś

w tym człowieku i jego koniu ją fascynuje. Może chodziło o jego wyraźny brak zainteresowania jej osobą - bardzo chciała zmusić go do jakiejś reakcji. Postanowiła, że podczas następnej sesji złapie to cholerne zwierzę. Przez cztery dni co rano chodziła na padok, podnosiła z ziemi uprząż i próbowała założyć ją na konia. Ale udało jej się dopiero wtedy, gdy przestała się starać. Gdy się wreszcie poddała i usiadła na ziemi.

- Doskonale, twoje na wierzchu - powiedziała. - Poczekam tu sobie, aż będziesz gotowy.

I wówczas, ku jej zaskoczeniu, koń spokojnie sam do niej podszedł.

- Cześć, koniku. Cześć, Raff.

Pochylił łeb, a ona podniosła uprząż. Nawet nie drgnął, kiedy wsunęła mu ją na szyję, a potem powoli wstała. Złapała uzdę i poprowadziła konia do Sama.

- Więc on to wyczuł?

- Co? To, że przestałaś się rządzić? - Sam uniósł brew. - Tak, myślę, że tak - powiedział to lekko drwiącym tonem, ale tym razem Maryanne nie zaczęła krzyczeć, tylko zaśmiała się z samej siebie.

- No nie. W porządku, wygrałeś. Rozumiem.

- Nie chodzi o to, żeby wygrać, lecz o to, by czasami umieć się wycofać, nie starać się osiągnąć wszystkiego natychmiast. Ludzie także przyjdą do ciebie sami... w odpowiednim czasie, jeśli im na to pozwolisz.

- Uhm. A co dalej? Jaka będzie kolejna lekcja z Samem i Raf-fem?

Teraz to w jej głosie zabrzmiała lekka nuta kpiny, teraz to ona zażartowała z człowieka, który niewiele mówił, ale - jak zaczynała przypuszczać - miał do powiedzenia więcej niż ktokolwiek inny.

- Nie będzie więcej lekcji. No, w każdym razie tego rodzaju. Teraz nauczymy cię na nim jeździć.

Johnny leżał na szpitalnym łóżku i zmęczonymi oczami, które dopiero zaczynały znowu przyzwyczajać się do światła, patrzył na Rachel siedzącą obok w milczeniu. Wyciągnął rękę i lekko dotknął jej ramienia. Odwróciła się szybko, uradowana.

- Johnny? O Boże! Czy ty... Jak się czujesz? Zaczekaj, zawołam pielęgniarkę.

Pochyliła się i wcisnęła guzik. Johnny nie próbował się odezwać - zaschło mu w ustach. Ale nawet gdyby spróbował, nie mógłby powiedzieć tej pięknej dziewczynie, którą obserwował, odkąd odzyskał przytomność, to znaczy przez ostatnie pół godziny, że nie ma pojęcia, kim ona jest ani dlaczego siedzi obok niego w tym dziwnym miejscu. Do pokoju wszedł lekarz, szybkim, ale spokojnym krokiem, i pochylił się nad łóżkiem.

- Dobry wieczór, panie Stokes. Miło pana widzieć. Zrobię tylko kilka badań, żeby sprawdzić, jak się pan miewa. Johnny patrzył na niego w milczeniu. Kto to taki ten pan Stokes? Wszystko to nie bardzo mu się podobało.

Rozdział 22

Colette i Charlie robili teraz wszystko razem. Kumple z zespołu pokpiwali z niego, mówiąc, że jest pod pantoflem, kiedy pojawiał się w studio ze swoją dziewczyną. Przychodzili objęci, z palcami wsuniętymi w szlufki dżinsów.

Charlie nie dbał o nic - po raz pierwszy w życiu się zakochał i nie obchodziło go, co myślą inni. Liczyła się tylko ona. Ona. Jamie była jego drugą połową, jego pokrewną duszą - po prostu to wiedział. Keczup, nie majonez; wódka, nie dżin; T-shirty z wyprzedaży, nie z Abercombie; rock, nie R'nB; i ponad wszystko seks. Naprawdę do siebie pasowali. Jamie nie narzekała, że tyle czasu zabiera mu muzyka, jak wcześniej inne dziewczyny. Przychodziła do studia razem z nim i nie siedziała tam, przeglądając magazyny - nie, miała własne pomysły i naprawdę lubiła jego grę. I, co było dla Charliego najważniejsze, słuchała, słuchała jego muzyki tak jak nikt dotąd.

- Ta część tutaj... myślałeś o tym, żeby przesunąć wokal na środek? - pytała.

Charlie wiedział, że TJ-a to wkurzało. Ale on był zachwycony. Albo słuchała uważnie wokalu.

- Samotność - mówiła - to o tym tutaj śpiewasz, prawda? Słyszę to w twoim głosie. Biedactwo.

Podchodziła do niego, siadała mu okrakiem na kolanach i namiętnie go całowała.

- Ja sprawię, że będzie ci lepiej - szeptała mu do ucha.

I było mu lepiej. Przy niej wszystko było lepsze. Nie zwracała uwagi na to, co ktoś o niej pomyśli.

- Niech się pieprzą! - mówiła. - Teraz tylko my się liczymy! Nie ci ludzie, którzy idą do pracy w garniturach, z teczkami, nie ci smętni nudziarze. - Naśladowała przy tym sztywny krok biznesmenów. - Oni robią tylko to, co według nich powinni. Spełniają czyjeś oczekiwania. Wyobrażasz sobie coś gorszego?

Nie wyobrażał sobie. Jamie inspirowała go i przekonywała, by nie przerywał pracy nad albumem, by „udowodnił swojemu tacie, na co go stać”.

- Nie będziesz potrzebował jego pieniędzy - dodawała - bo sam, kochanie, mnóstwo zarobisz.

Rozumiała go tak, jak jeszcze nikt. Tylko ona widziała, ile naprawdę jest wart.

- Ty myślisz, Charlie, i to mi się właśnie tak w tobie podoba. Zresztą nie tylko to - mówiła, wymownie dotykając jego krocza.

Połączenie seksu i zrozumienia to potężna siła, a Colette bardzo wcześnie nauczyła się ją wykorzystywać. Cóż, musiała wykorzystywać, co tylko mogła, czyli niewiele. Miała jednak urodę, bystry umysł i doskonale rozumiała mężczyzn. Każdy z nich chciał być kimś ważnym, wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju. Rzadko coś zgłębiali, rzadko próbowali dociec, dlaczego akurat teraz ktoś powiedział im komplement, na który od dawna czekali, dlaczego ktoś nagle zauważył to, czego nie dostrzegała żona albo nie doceniał szef. Zwykle odgadywała ich potrzeby. Na ogół wiedziała, czego im brakuje, czego nie mają. Człowiek zawsze najbardziej pragnie tego, czego nie dostaje. Sztywny, pozbawiony poczucia humoru facet chce poczuć się jak dusza towarzystwa, co to sypie świetnymi dowcipami jak z rękawa. Nieśmiały, zawsze lekceważony,

chce choć raz poczuć, że to on jest najbardziej interesujący, a nie jego przystojniejszy kumpel. Colette doskonale zdawała sobie sprawę, czego oczekiwali, i podawała im to na srebrnej tacy. Stała się twarda i robiła, co trzeba. Poznała Nicola i w lot się zrozumieli. On także czegoś od niej chciał, tylko nie wiedział jeszcze czego. Dostrzegali w sobie nawzajem ogień płonący w ludziach, którzy zostali zdradzeni - przez przyjaciela, kochankę albo po prostu przez życie - i podsycali go w sobie nawzajem. Nie, nigdy nie byli kochankami. Ale Nicolo przysyłał jej pieniądze, podporządkowywał ją sobie, bo nigdy nie wiedziała ani kiedy przyjdą, ani jaka będzie to kwota. Przysyłał jej też informacje o tym, co robi Logan, publicznie, a czasem też prywatnie, ilekroć udało mu się wygrzebać coś, co mogło ją zainteresować. Ona mu się nie odwdzięczała - na razie.

- Nadarzy się okazja, nie martw się o to, Colette - powtarzał. - Coś się pojawi, coś, co będziesz mogła zrobić, i oboje osiągniemy swoje cele. Trzeba czekać.

A potem, kiedy otwarto Luksus, kiedy zaczęto mówić o tym, jak ekskluzywny i luksusowy jest to hotel, i o tym, że nikt, kto nie został dokładnie sprawdzony pod każdym względem, nie zdoła dostać się na wyspę, a na zdjęciach w prasie pokazano całą rodzinę Logana wsiadającą do prywatnego odrzutowca - wtedy oboje dostrzegli w tym szansę, którą mogli wykorzystać. Był nią Charlie.

Charliego nie musiała aż tak bardzo okłamywać - był jej zdaniem utalentowany, a Colette spędziła dość czasu w barach i klubach muzycznych, by umieć wyrobić sobie o nim zdanie. Poza tym był przystojny, seksowny i dowcipny, więc i to jej odpowiadało. Po prostu chciał, żeby ktoś w niego uwierzył. Tego mu brakowało, a ona wyczuła to niemal natychmiast i wiedziała, jak mu to dać. Potrzebował kogoś, kto mówiłby mu, że jest dobry, że sobie poradzi, że to, co robi, jest warte zachodu, bo wszyscy inni uważali jego pasję za hobby, nie za prawdziwą pracę. Lubiła go, naprawdę go lubiła - a w każdym razie polubiłaby, gdyby sobie na to pozwoliła. Ale nie mogła sobie na to pozwolić, bo wtedy czułaby się winna, że wykorzystuje go, by wziąć odwet na Loganie, że zbliżyła się do

niego tylko po to, by wszystko, czego dowie się o jego rodzinie, przekazać Nicolowi.

A do tego nie mogła dopuścić - nie wolno jej zapomnieć o tym, co naprawdę ważne. Logan nie dawał Charliemu tego, czego on potrzebował. A ona mu to dawała. W chwilach, kiedy czuła, że zaczyna mięknąć, że za dobrze się bawi w towarzystwie młodego Barnes'a, wystarczało zwykle, by spojrzeć na zdjęcia matki, które zawsze nosiła w portfelu. Jedno zostało zrobione przed wypadkiem, drugie po nim. I wtedy nie miała już wątpliwości.

W tej chwili też popatrzyła na fotografię matki - tę sprzed wypadku, kiedy Georgia mogła tańczyć, biegać, bawić się z córką, podrzucać ją do góry. Teraz ledwie mówiła, a w jej głosie zawsze brzmiał ból. Ciało tancerki, niegdyś tak silne i sprawne, stało się sztywne wskutek paraliżu, uzależnione od aparatury medycznej i innych ludzi.

Colette weszła do gabinetu Logana w domu Barnesów w Londynie. Został odnowiony po pożarze i tam właśnie zatrzymała się wraz z Charliem. Lucia była w Stanach, Maryanne w ośrodku odwykowym, a Logan w Nowym Jorku. Rodzina rozproszyła się po świecie, więc w domu panowała cisza i spokój. Charlie jeszcze spał. Colette obudziła się wcześniej, cicho wstała z łóżka, włożyła dzinsy i podkoszulek i zbiegła na dół.

Pokój wyglądał bardzo oficjalnie, jak to biuro. Stało w nim wielkie biurko i trzy komputery - nie był to po prostu gabinet pana domu, w którym załatwia się takie rzeczy, jak opłaty za gaz czy prąd, lecz jedno z miejsc, z których Logan zarządzał swoim imperium. Pracował wszędzie, gdzie się akurat znajdował, nawet w domu. Facet naprawdę nie umiał odpuścić. Colette przesunęła palcami po blacie biurka. Od czego zacząć?

Pokręciła się trochę po gabinecie, przejrzała kilka teczek pełnych, jak się okazało, papierów bez znaczenia, a potem nagle znalazła coś interesującego. Nie umiała dostać się do żadnego z komputerów, wszystkie zabezpieczono hasłami - wypróbowała kilka, które wydały się oczywiste, ale nie trafiła. Nie była hakerem i nie wiedziała, jaki rodzaj alarmu został zainstalowany w systemie Logana. Przejrzała szybko rachunki i zdumiała się, jak wielkie pieniądze

wydawała Maryanne. Tysiące funtów na faceta, który nawoził pieprzone tulipany; pięćset funtów co miesiąc na akcesoria do łazienek dla gości; karma dla psa, która kosztowała więcej niż to, co Colette i jej matka wydawały na jedzenie przez cały tydzień. Jezu. Znalazła się w innym świecie. W świecie Charliego.

Zdjęcia były w małej kopercie, wsuniętej do teczki bez podpisu. Niewiele brakowało, a w ogóle by jej nie otworzyła. Pewnie właśnie o to chodziło.

W środku znalazła dwa artykuły, które ukazały się w gazetach po wypadku. O matce pisano: „Georgia Hardy, tancerka z grupy baletowej, została ranna w wypadku”. Żadnej wzmianki o jej obrażeniach, rokowaniach dotyczących jej stanu zdrowia, ani o tym, że miała córkę. Tylko tyle: „tancerka z grupy baletowej”.

Ale kiedy Colette przejrzała inne papiery w kopercie, zrozumiała, że dla Logana jej matka nie była tylko „tancerką z grupy baletowej”. Przynajmniej przez pewien czas. Na odwrocie zdjęcia, swoim krągłym, zamaszystym pismem, które Colette pamiętała z dzieciństwa, Georgia napisała:

Nie mogę się już doczekać, kiedy Cię zobaczę w ten szczególny wieczór. Obiecuję, że dla Ciebie będzie on jeszcze bardziej wyjątkowy, jeśli odszukasz mnie przed spektaklem’.

Całuję, G.

Colette usiadła w fotelu za biurkiem, podciągnęła kolana pod brodę, odwróciła fotografię i spojrzała na śliczną, uśmiechniętą twarz matki.

A potem otarła oczy, podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer Nicola.

W magazynie było zimno, a głos fotografa, który powarkiwał na Lucię, udzielając jej wskazówek, odbijał się echem od pustych ścian. Nie przypominało to w niczym sesji, którą zrobiła dla kampanii perfum - wtedy wszyscy starali się, by czuła się wyjątkowo, jak gwiazda wieczoru. Dzisiaj czuła się raczej jak mebel. Asystentka podeszła do niej, włożyła jej na głowę wielką futrzaną czapę i szybko przekreśliła ją na bok.

- Au! Ciagniesz mnie za włosy!
- Oj, przepraszam. - Dziewczyna przewróciła oczami.
- No, Lucia, pozujemy, pozujemy...

Poprawiła pelerynę, układając ją w taki sposób, by spadała z jej ramion, i skrzyżowała nogi. Sesja inspirowana zimną wojną odbywała się w wyłożonym boazerią miejscu, które miało przypominać staroświeckie biuro wojskowe. Lucia przysiadła na brzegu biurka, odsłaniając długie, nagie nogi.

Asystentka wręczyła jej dużą teczkę z napisem „Ścisłe tajne”.

- Dobra, a teraz zajrzyj do teczki.
- Nie bardzo mi to odpowiada.
- Po prostu mnie słuchaj, Lucia. Cisnęła teczkę na podłogę.
- Nie mów do mnie w ten sposób. Inaczej uzgodniłam to z Nico-lem.

Podczas gdy Lucia i fotograf ze złością mierzyli się wzrokiem, do magazynu wszedł Nicolo.

- To znaczy jak? Odwróciła się do niego.
- Dzięki Bogu, Nicolo. Nie podoba mi się to, czuję, że będę wyglądała jak...
- Jak ktoś, kto przeszedł na drugą stronę. No cóż, w końcu to jest temat tej sesji, tak, dziecinko? - wtrącił się fotograf.
- Przeszłaś na drugą stronę i stałaś się uroczym, seksownym szpiegiem. O, doskonale, nie ruszaj się teraz... Tak... - Nie przestawał pstrykać zdjęć.

Nicolo położył dłoń na ramieniu Lucii.

- Posłuchaj, wiem, że to dla ciebie trudne.

Fotograf chrząknął i Nicolo odsunął się, by nie zasłaniać Lucii. Wtedy fotograf podniósł do góry kciuki i dalej robił swoje.

- Ale ustaliliśmy, że to najlepszy sposób, by przesłać twojemu ojcu czytelną wiadomość. On nie słucha głosu rozsądku, odciął cię od pieniędzy, więc trzeba uderzyć w jego czuły punkt.

Lucia spojrzała na niego niepewnie.

- Wydaje mi się, że przesadzamy... W końcu on jest moim ojcem.
- Ale chyba nie zachowuje się ostatnio jak dobry tatuś, prawda? Znam Logana. Zareaguje na to. Otrzeźwieje i wszystko wróci

do normy. A ty sama mówiłaś, że potrzebujesz pieniędzy... żeby zrealizować swoje plany?

Zawahała się. To, co zapłaci jej Nicolò, zrekompensuje jej straty związane z zerwanym kontraktem reklamowym.

Częściowo właśnie dlatego się na to wszystko zgodziła: Nicolò zaproponował jej za tę sesję pokaźną sumę. A ona naprawdę bardzo chciała kupić ten hotel.

- Słuchaj, chcę ci pomóc. Mimo że na pewno twój ojciec wyrażał się o mnie niepocholebnie, nie jestem potworem. - Uśmiechnął się do niej, a potem wzruszył ramionami. - Ale jeśli zmieniłaś zdanie, trudno. Możemy to wszystko odwołać.

- Nie, nie. Ufam ci.

Nie ufała mu, oczywiście. Tyle że na razie nie miała wyboru, musiała tańczyć, jak jej zagrał.

Ufała mu, oczywiście, mała głupia dziwka. Nicolò miał talent - zresztą niejedyn - wzbudzania zaufania, często wbrew wszelkiej logice. Wcześniej udało mu się z matką, a teraz z córką. Jak Lucia mogła uwierzyć, że kiedy Logan zobaczy ją przebraną za szpiega, przechodzącą na stronę wroga w konflikcie, który media nazywały zimną wojną, przyjmie ją z otwartymi ramionami? Absurd. Nie do wiary, że Logan, niegłupi w końcu facet, spłodził takie durne dzieci. Dobrze, bardzo dobrze.

Sprawdził nowe wiadomości e-mailowe. Przyszła jedna od Colette, która informowała, że nadal spotyka się z Charliem, że radzi sobie doskonale i że potrzebuje pieniędzy. Znalazła coś w gabinecie Logana - coś, co jest dowodem na to, że on przed wypadkiem sypiał z jej matką. Nicolò się ucieszył. Wszystko naprawdę świetnie się składa. Musi się tylko postarać, by Colette nadal mu pomagała i, co jeszcze ważniejsze, by chciała zemścić się na Loganie. Może uda mu się wykorzystać jej informacje i zszargać dobre imię Logana. Idealny mąż? On przecież chciał, by tak go postrzegano. Nieprawdziwy wizerunek. Zwłaszcza teraz, kiedy Maryanne jest w ośrodku odwykowym i próbuje stawić czoło swoim demonom. Odkrycie, że Logan zdradzał ją wiele lat temu, nastąpiło w bardzo dogodnym dla Nicola momencie. Zalogował się do swojego internetowego konta bankowego i natychmiast przesłał Colette trzysta tysięcy funtów.

Mark Mallory wrócił po spotkaniu do biura i zalogował się w Internecie. Anonimowo. Otrzymał e-mail od Nicola Floresa: Reperkusje po ceremonii rozdania nagród?

Mark kliknął: „odpowiedz”.

„Media szaleją. Maryanne na odwyku. Logan nadal nie wie, co robi Lucia, wyraźnie go to gryzie. Co dalej? Nie wiem, ale na pewno dostał nieźle w kość. Jeszcze go takim nie widziałem. Twierdzi, że wszystko się ułoży, ale podejrzewam, że nadrabia miną”.

Kliknął: „Wyślij”.

Odpowiedź przysłała niemal natychmiast: „Bezpieczeństwo?”

„To nie problem. Mam większe możliwości” - odpisał Mark.

„Dobrze. Wkrótce się skontaktuję” - odpowiedział Nicolo.

Mark patrzył na ekran. Nieźle się urządził. Czekał na instrukcje od człowieka, którego jedynym celem było pogrążenie Logana i firmy, dla której on, Mark, pracował od lat. Czuł się rozdarty. Wiedział, że źle postępuje: zdradza swojego szefa, gryzie rękę, która go karmi. Potępiał zdradę i przeżywał coraz większy stres z tego powodu, że pomaga Ni-colowi realizować jego plany. Niemał przez to wyłysiał. Z drugiej jednak strony w głębi serca nienawidził Logana - człowieka, który przejął jego rodzinny dom i zrobił to, czego on sam, dziedzic, nie potrafił dokonać. Był zbawcą, rycerzem na białym koniu. Nie, Mark nigdy mu tego nie wybaczył. A Nicolo wykorzystał tę słabość, tę niechęć, która kryła się pod cienką warstwą uprzejmej lojalności.

Szukał więc, szukał i szukał, aż znalazł coś, co pomogło mu przekonać Marka, by został jego oczami i uszami w LBI. Mark starał się kontrolować swoją nienawiść, co na ogół mu się udawało, czasem jednak nie potrafił jej powściągnąć.

Wyglądało na to, że Nicolo ma całą siatkę szpiegów. Mark przypuszczał, że jedną z zalet posiadania kasyn i barów jest dostęp do informacji. Nicolo wiedział, kto z kim romansuje, jakie są gusty wpływowych postaci przemysłu filmowego, kto od kogo kupuje narkotyki i które gwiazdy filmowe próbują ukryć, że zaczynały od prostytutki na telefon. Uważnie obserwował ludzi należących do kręgu bliskich znajomych Logana i czekał, aż nadarzy się sposobność. Czekał cierpliwie.

Kiedy nadeszła wiadomość, nie był zaskoczony, w każdym razie nie bardzo. Niewiele już mogło go zaskoczyć. Zyskał sposobność osiągnięcia tego, na czym mu zależało, w wyjątkowo czysty sposób. Przez chwilę rozkoszował się uczuciem satysfakcji i oczekiwania na rozwój wydarzeń, świadom tego, że będzie mógł wreszcie dostać się do samego jądra działań Logana, jak do wnętrza ostrygi, by odsłonić jej miękkie, blade ciało.

Mark wyłączył pocztę i spróbował przypomnieć sobie okoliczności, które doprowadziły do jego obecnej relacji z Nicolem Floresem.

Poznał tę dziewczynę w barze, jak zwykle. Dość szczególnym barze, z dala od centrum i zgiełku Hollywood. Czekala na niego przy stoliku w rogu sali, zgodnie z wcześniejszymi telefonicznymi ustaleniami, ubrana w czarną szyfonową bluzkę i czarną spódnicę z miękkiego dżerseju, opadającą fałdami wokół jej smukłych bioder. Włosy związała w luźny koński ogon i włożyła duże okulary przeciwsłoneczne. Uśmiechnęła się błyszczącymi różowymi wargami, kiedy podszedł i usiadł naprzeciw niej. Na myśl o tym, co go czeka, poczuł przyjemny dreszczyk.

Oczekiwanie - bardzo je lubił.

Rozkoszował się nim, siedząc z nią przy stoliku i pijąc wytrawne białe wino. Coraz bardziej podekscytowany. Wiedział, że ona czeka, by przejął inicjatywę, i że zrobi wszystko, co jej każe - absolutnie wszystko, co podsunie mu wyobraźnia. Jej oczy zdawały się pytać: Czego dzisiaj pragniesz? Kiedy wreszcie wyjdziemy z tego baru i zatańczymy nasz taniec? Znała już Marka, znała jego upodobania, wiedziała, jak spędzają wspólne wieczory. Mieli swój własny świat, jak para kochanków zamknięta w wirze pożądania i spełnienia. Ale ich spotkanie było też transakcją biznesową i Mark zawsze starał się, by za swoje, niemałe zresztą, pieniądze otrzymać dokładnie to, czego chce.

Kiedy był już gotowy, kiedy nacieszył się oczekiwaniem, wstał i wskazał głową drzwi. Dziewczyna zarzuciła na ramię miękką zamszową torbę. Rękaw jej bluzki podwinął się przy tym lekko i Mark z przyjemnością patrzył na miękką linię jej nadgarstka i delikatną skórę przedramienia.

Pokój w hotelu niczym nie różnił się od tych, z jakich korzystał: anonimowy, czysty, nijaki. Mark za każdym razem wynajmował

pokój w innym hotelu, za każdym razem używał innego nazwiska i zawsze płacił gotówką - ostrożność typowa dla cudzołożników i klientów prostytutek. Dziewczyny pracowały w dyskretnych, wyspecjalizowanych agencjach i zostały wybrane ze względu na określone swoje cechy - Mark lubił takie, które wyglądały na arystokratki i były wyniosłe, a nawet aroganckie. Wielu mężczyzn, którzy płacą za seks, szuka tego, czego nie dostaje od stałego partnera - on, w pewnym sensie, robił to także. Tyle że on, chłopiec z angielskiej prywatnej szkoły, potrzebował bezpieczeństwa i wygody, pociągało go więc to, co przypominało mu dziewczęta znane z dzieciństwa.

Jak zwykle opuścił żaluzje i włączył jedną lampę, by pokój tonął w półmroku, a potem usiadł w fotelu w rogu. Skrzyżował nogi w kostkach, tak że widać było wiśniowe skarpetki z najdelikatniejszej bawełny, i oparł podbródek na rękę. Skinął głową.

Dziewczyna stanęła naprzeciw niego, dość daleko jednak, by nie mógł jej dotknąć. Spojrzała mu w oczy i zaczęła się rozbierać. Powoli rozpięła błyszczące guziczki bluzki z czarnego szyfonu, jeden za drugim, zaczynając od dołu, tak że jego oczom najpierw ukazała się opalona skóra jej płaskiego brzucha, a potem miękki zarys piersi. Przy ostatnim guziku znieruchomiała na chwilę, przytrzymując brzeg bluzki razem, a potem spuściła głowę, tak że włosy opadły jej na twarz, i zrzuciła bluzkę. Miała na sobie stanik z czarnego przejrzystego materiału, obszytego czarną satyną. Mark przygryzł wargę.

Jedną ręką zebrała ciemne włosy u góry, by odsłonić smukłą szyję. Potem znowu pozwoliła im spłynąć na ramiona miękko, lśniąco kaskadą. Spojrzała na niego i rozpięła spódnicę, która opadła na podłogę. Stanęła obok niej, ciągle w szpilkach. Jej skąpe majtki były czarne tak jak stanik, uszyte z czarnej satyny ozdobionej tylko szyfonową falbanką. Nie spuszczać wzroku z Marka, uszczypnęła lekko sutki. Były małe, twarde i dobrze widoczne przez cienki szyfon. Potarła je lekko - tym razem Mark nie potrafił się powstrzymać i też potarł swoje krocze przez materiał garnituru. Nie rozebrał się, jeszcze nie. Jeszcze zaczeka.

Wstrzymał oddech, kiedy włożyła kciuk pod gumkę majtek i odciągnęła ją. Spuściła oczy - jak niewiniątka - zaglądając pod satynę.

Uśmiechnęła się i znowu spojrzała na Marka. Pochylił się do przodu. Zsunęła nieco majtki i zrobiła krok w jego stronę. Zatrzymała się. Jednym zręcznym ruchem rozpięła stanik i zrzuciła go. Zakryła piersi przedramieniem, unosząc je lekko, a potem rozpostarła palce dłoni, ukazując między nimi jeden sutek.

Teraz miała na sobie tylko majtki i szpilki. Kolejny krok ku niemu. Mark nadal był ubrany, od wypolerowanych butów po kosztowny jedwabny krawat. Patrzył chciwie, kiedy położyła dłonie na smukłych biodrach i zaczęła zsuwać majtki. Bardzo powoli, raz z jednej strony, raz z drugiej. Zaszło mu w ustach, oblizał wargi. Serce podeszło mu do gardła.

Jeszcze jeden krok do przodu - i stanęła tuż przed nim. Wyprostował się w fotelu. Czuł napięcie między ich ciałami. Dziewczyna zatrzymała się, a potem jednym szybkim ruchem zrzuciła majtki. Jej penis był mały, lekko wygięty do wnętrza uda, nadal miękki. Otaczająca go skóra została starannie wydepilowana i kiedy Mark pochylił się i wziął go do ust, poczuł delikatnie piżmowy zapach.

Na nagraniu wideo, które Nicolo pokazał Markowi następnego dnia, w sali kinowej jego posiadłości z lat trzydziestych, moment ten widać było bardzo wyraźnie. Mark patrzył, przerażony, na siebie samego, powiększonego kilkakrotnie na wielkim ekranie, ssącego chciwie penis prostytutki, która podtrzymywała z tyłu jego głowę i delikatnie gładziła go po włosach. Nagranie było dłuższe - sfilmowano całe spotkanie w hotelu - ale Markowi zupełnie wystarczało to jedno ujęcie. Nicolo zatrzymał wideo i groteskowo wykrzywiona twarz Marka znieruchomiła na ekranie.

Nie mógł oderwać od niej oczu; wyglądała dziwnie, upiornie hipnotyzowała.

- No i co? To ma mnie przestraszyć? - burknął. - Daj spokój. Skandale seksualne chodzą teraz za grosze. Za pięć minut nikt nie będzie o tym pamiętał. Nie myślisz chyba poważnie, że z tego powodu zrobię... cóż, cokolwiek chciałbyś, żebym zrobił...

Nicolo uśmiechnął się, rozbawiony, wcisnął guzik na pilocie i na ekranie pojawiło się zdjęcie Marka: stał na podium i ścisnął dłoń siwowłosej kobiety; tuż obok nich widniał wielki czek, a nad

nimi baner z napisem: „Akcja przeciw molestowaniu”. Czek został wręczony przedstawicielce fundacji charytatywnej podczas balu wydanego przed rokiem przez LBI. Fundacja ta należała do ulubionych organizacji Logana. Działała na rzecz wzrostu świadomości społeczeństwa w sprawie różnych form molestowania dzieci. Mark spojrzał na ekran. Okej, okej. Nie wszystko stracone. Był pewny, że wyjdzie z tego obronną ręką.

- Nie widzę związku. Pełnię funkcję ambasadora LBI, kiedy trzeba, podobnie jak inni członkowie zarządu.

- Związek? Związek, panie Mallory, jest taki: ta „dziewczyna” ma szesnaście lat, to znaczy jeszcze sporo jej zostało do osiągnięcia wieku uznawanego w Kalifornii za pełnoletność. W ubiegłym roku poddała się operacji piersi.

Niektórzy chirurdzy nie mają skrupułów. To smutne, prawda? Cóż, zainteresuje wielu ludzi...

Markowi zrobiło się gorąco, a zaraz potem oblał go zimny pot. Już po nim. Jeśli to wyjdzie na jaw, na pewno straci pracę. Transseksualna prostytutka to jedno, nieletnia prostytutka - to całkiem coś innego. I to nie tylko kwestia pracy. Ta sprawa zaciąży na całym jego życiu. Wiedział, jak szybko rozchodzą się takie wieści. Bardzo długo starał się ułożyć swoje życie tak, jak tego pragnął. Nie mógł teraz tego wszystkiego zaprzepaścić.

- Więc czego pan chce, panie Flores?

Nicolo wyszedł z małej budki operatora na tyłach sali i usiadł w fotelu obok Marka, na widowni. Wyglądała podobnie jak w każdym kinie, tyle że fotele nie były obite zwykłym bordowym welurem, lecz prawdziwą skórą, miały opuszczane oparcia, a przy każdym z nich był mały metalowy blat, na którym można postawić napój i przekąski. Mark pomyślał, że w innych okolicznościach chętnie obejrzałby tu jakiś stary film, *Casablankę* albo coś z Marilyn Monroe.

- Spokojnie, nie chcę pieniędzy.

- Rzeczywiście, chyba nie brakuje panu gotówki. Nicolo uśmiechnął się.

- Na szczęście nie. Interes idzie dobrze. Ale mógłby iść jeszcze lepiej.

- To znaczy?

I tak się to zaczęło.

Teraz, rozmawiając z Nicolem przez telefon, Mark zdradzał człowieka, dla którego pracował niemal przez całe swoje dorosłe życie. Sam był zaskoczony swoim spokojnym, rzeczowym tonem. W jego głosie nie pobrzmiwała nawet nuta emocji. Równie dobrze mógłby prowadzić dla grupy finansistów prezentację na temat prognozowanej sprzedaży jakiegoś produktu.

- Jacinta Tramontello, aktorka, ze swoim kochankiem, na plaży: ostra wymiana zdań dotycząca, hm, natury ich związku. Lola i Colm Farlon, także na plaży, rozmowa ujawniająca ciekawe szczegóły z ich życia prywatnego i zawodowego. Johnson Jones, zwierający się przyjaciółce z tego, że jego firma wykupiła tysiące kopii nagranych ostatnio przez niego singla, żeby dostać się do rankingów.

Nicolo uśmiechnął się do siebie. Wreszcie to on był górą. Czekał tyle lat i patrzył, jak Logan buduje swoje imperium, przyjmuje zaszczyty i nagrody i zbija majątek, o jakim Nicolo, choć bardzo bogaty, mógł tylko marzyć. Koniec z tym. Teraz Nicolo wreszcie się odegra: to on zapanuje nad sytuacją, a Logan będzie błagał, by go nie zrujnował.

- Dobra robota, Mark. W tej chwili przelewam pieniądze na twoje konto.

Mark odchrząknął. Więc to koniec.

- Dziękuję. Oryginalne nagranie jest w sejfie. Przesyłam ci szczegóły wraz z kopią.

Zapadła cisza, a oni obaj wystukali instrukcje na swoich komputerach. Tak oficjalnie. I szybko. Mark spojrzał w kamerę. Nicolo patrzył na niego.

- A więc... - powiedział Nicolo.

- A więc... - Mark przygryzł wargę. - Pozostaje jeszcze ostatni etap naszej transakcji.

- Tak? - Nicolo lekko się uśmiechnął, unosząc pytająco brwi.

- Nagranie wideo.

Nicolo wyjął z kieszeni srebrną obcinarkę do cygar. Przyciął koniec montecristo, włożył cygaro do ust i zaczął rytmicznie ssać, przypalając je jednocześnie zapalniczką.

- Nagranie wideo. Aha. Nie, nie sędzę.

- Tak się umówiliśmy.

- Nie wydaje mi się, Mark. Nie pamiętam, żebym się tak umawiał.

- Posłuchaj... Jestem człowiekiem żonatym, mam wizerunek publiczny...

Mark wstał, czując, jak ogarnia go gniew, i zaczął wymachiwać pięściami przed ekranem, ale szybko zorientował się, że to groteskowe. Dzieliły ich tysiące kilometrów, na litość boską. Usiadł znowu, nie patrząc na ekran, by nie widzieć zadowolonego z siebie, zarozumiałego Nicola.

- Tak, wiem. Nie panikuj, Mark. Nie zamierzam ujawniać twoich seksualnych ekscesów. Twoja *petite peccadillo* pozostanie naszą tajemnicą. Po prostu lubię zawsze mieć jakieś zabezpieczenie, i tyle.

Markowi zrobiło się niedobrze. Głupiec! Jak mógł sądzić, że Nicolo odda mu nagranie i tak to się zakończy?

- No odpuść. Nie musisz więcej brudzić sobie rąk tą sprawą. Ciesz się pieniędzmi i zapomnij o tym wszystkim. Może pojechałbyś na wakacje? Ale raczej nie na prywatną wyspę Logana... przynajmniej jeśli zależy ci na dyskrecji.

Mark wyciągnął rękę i gwałtownie wyrwał kamerę z gniazdka. Zdążył jeszcze usłyszeć, jak Nicolo śmieje się ze swojego dowcipu.

Nicolo wyłączył kamerę, ciągle chichocząc pod nosem. Oddać wideo? Na pewno nie. Zbyt wiele go to wszystko kosztowało, by teraz przekazać Markowi dowody. Wykluczone.

Drzwi gabinetu były zamknięte, lecz sprawdził to raz jeszcze, a potem przesłuchał nagranie.

„... mam ochotę na linijkę...”

Nagranie było dobrej jakości, głosy wyraźnie rozpoznawalne. Nicolo uśmiechnął się i wcisnął guzik intercomu, żeby porozmawiać z Vienną.

- Vienna, zadzwoń do Maksa i powiedz mu, żeby tu przyszedł. - Nie patrzył na nią, kiedy z nią rozmawiał. - I zarezerwuj apartament w Marmont na dzisiejszy wieczór. Chyba będę chciał coś uczcić.

Za kilka godzin nagrania zostaną zweryfikowane przez Maksa, eksperta w tej dziedzinie, aby po ich upublicznieniu nikt nie wątpił

w ich autentyczność. Kilka sławnych, wpływowych osób odkrywających swoje pilnie strzeżone tajemnice przed całym światem. Ale naprawdę niszczące będzie to, co niewypowiedziane - podejrzenie, że to dopiero początek. Plan był prosty, lecz genialny. Nicolo zamierzał dotrzeć do ludzi, którzy stanowili klientelę Luksusu, by sami mogli zobaczyć - czy też raczej usłyszeć - jaką bujdą są mrzonki o absolutnej dyskrecji. To typowe dla Logana: wierzyć, że uda się zbudować coś na lojalności innych; że można bezgranicznie ufać wszystkim swoim pracownikom. Nicolo wiedział sporo o lojalności. Zwłaszcza to, że nie istnieje. Każdego da się kupić - wystarczy dowiedzieć się, jak bardzo ktoś ceni swoje sumienie. Teraz Logan zostanie zrujnowany, okryty hańbą, wystawiony na pośmiewisko. Nicolo nie mógł się już tego doczekać.

Ktoś obdarzony mniejszą wyobraźnią wysłałby po prostu nagrania do mediów albo wrzucił je na YouTube. Ale nie Nicolo. Takie rzeczy są dla dzieciaków i półgłówków - nagrania straciłyby na sile przekazu, zanim trafiłyby do rąk rzeczywiście wpływowych ludzi. Plan Nicola to było coś jak koń trojański, co nadawało całej sprawie jeszcze więcej pikanterii.

Tak jak zaproszenia na otwarcie Luksusu dostarczyli kurierzy, tak nagrania zostaną skopiowane i doręczone stu najbardziej znanym osobom z listy gości (w tym także tym, które „występowały” w nagraniach) przez tych samych kurierów. Nicolo nie musiał wysłać ich do wszystkich - ta setka w zupełności wystarczy. Zwłaszcza że on opłaci fotografów, którzy zarejestrują reakcje kilku z tych osób w chwili otrzymania przesyłki - zdjęcia te przydadzą się bardzo, kiedy sprawą zajmie się prasa. Nicolo miał nadzieję, że dostanie coś w rodzaju zdjęć Cherie Blair na progu rządowego domu - media z pewnością zrobią z nich dobry użytek. Co więcej, Nicolo zamierzał wysłać nagrania na eleganckich czarnych iPodach w pudełkach podobnych do tych, w jakich Logan rozsyłał swoje zaproszenia. Spojrzał na zegarek: siódma rano. Wysłał napisany wcześniej e-mail do swojego pracownika, który miał się zająć dostarczeniem iPodów. Tak, już czas. Nicolo był gotowy. Miał nadzieję, że Logan też.

Bez przerwy kontaktował się z Colette. Jej znajomość z Char-liem rozwijała się tak, jak tego oczekiwał; dziewczyna spędzała z chłopakiem mnóstwo czasu i miała oko na Barnesę.

- Spróbuj sprawdzić, jak wyglądają finanse - powiedział. - Chcę wiedzieć, jak Luksus sobie z tym radzi. Ile to już minęło... pół roku? Poszperaj trochę, kiedy będziesz u nich w domu następnym razem, wejdź do jego gabinetu. Chcę znać dokładne sumy.

Nicolo wiedział, że w Luksusie zaangażowane są potężne pieniądze. Odkąd hotel na wyspie został otwarty, często pisała o nim prasa. Plotkowano, że niedawno gościł tam prezydent Francji - ale nikt z pracowników hotelu tego nie potwierdził i nikomu nie udało się dostać zdjęć. Nikomu, poza Nicolem. Otworzył teraz folder w swoim komputerze i zaczął przeglądać fotografie przesłane przez Marka. Był to prawdziwy materiał wybuchowy. Tego, co zostało na nich utrwalone, nikt wcześniej nie widział ani nawet sobie nie wyobrażał. Luksus rzeczywiście stał się placem zabaw sławnych i bogatych, pomyślał. Jedno ze zdjęć przedstawiało członka brytyjskiej rodziny królewskiej pijanego w sztok, drugie - prawicowego amerykańskiego senatora, tańczącego nago przy swoim prywatnym basenie, na innym sławna aktorka uprawiała seks na plaży. Jeśli te zdjęcia zostaną opublikowane - nie, kiedy to się stanie - koniec z Luksusem.

Mark wcisnął gaz w swoim porsche. Jechał do Sternley - jedyne miejsce, w którym miał ochotę się teraz znaleźć. Chciał zobaczyć solidne szare mury starego domu, chciał pójść obsadzoną starymi jabłonią aleją w stronę jeziora. Nicolo Flores nigdy nie odda mu tego nagrania. Mark wściekał się, że okazał się takim głupcem i choć przez chwilę mu ufał. Przypuszczał, że skłoniła go do tego desperacja; jego umysł odciął się od wszystkiego, co już wiedział o Nicolu i jego sposobach działania. To dlatego uwierzył, że on chce tylko tej jednej rzeczy, a potem odda mu nagranie i nikt nigdy o niczym się nie dowie.

Na myśl o tym jeszcze mocniej wcisnął pedał gazu. Od jak dawna pracował dla Logana? Prawie od dwudziestu lat. W tym czasie miał okazję sporo dowiedzieć się o Nicolu, poznać jego metody. A jednak

wyobrażał sobie, że wszystko dobrze się skończy. Bałwan, idiota. Pod wpływem gniewu i wstydu kurczowo zaciskał palce na kierownicy.

Droga zwięzła się i w oddali ukazała się wieś Sternley. Od tego miejsca aż do bram posiadłości prowadził jeden pas, który przechodził później w szeroki, wysypany żwirem podjazd, stwarzający zagrożenie dla sportowych samochodów o niskim zawieszeniu, ponieważ każdego roku płynął tamtędy strumień i w nawierzchni pojawiały się wypełnione wodą dziury i ostre kamienie.

Mark wiedział, że kiedy tam dotrze, zwolni, na razie jednak gnał przed siebie, myśląc o nagraniu wideo i umowie, którą zaakceptował, chcąc uratować swoją skórę. Był wtedy z tą kobietą - czy i ją opłacał Nicolo? Ile razy Nicolo obserwował go podczas spotkań z kobietami, o których wiedział, że wcale kobietami nie są? Od jak dawna znał tajemnicę Marka? A przede wszystkim, kto mu ją zdradził? To on podstawił mu nieletnią, żeby go z nią sfilmować? A może to zbieg okoliczności? Pytanie, w jaki sposób Nicolo poznał jego upodobanie do transseksualistów, wisiało nad nim jak wielka gradowa chmura.

Nie potrafił sobie z tym poradzić. Musi powiedzieć o wszystkim Loganowi, musi go ostrzec przed Nicolem. Może Logan wymyśli, jak go powstrzymać. Włożył rękę do kieszeni. Gdzie telefon? Te cholerne komórki były coraz mniejsze, łatwo się gubiły. Spojrzał przez ramię na swoją teczkę leżącą na tylnym siedzeniu. Sięgnął lewą ręką, żeby ją otworzyć. Samochód podskoczył na wyboju i teczka spadła na pogłogę.

- Cholera.

Nie spuszczać oczu z drogi, schylił się, żeby ją podnieść. Udało mu się ją otworzyć i wygrzebać telefon. Spuścił wzrok, by odszukać numer Logana. Dokładnie w tej chwili zza zakrętu wyjechał range rover. Obaj kierowcy pędzili; żaden nie mógłby z czystym sumieniem przysiąc, że wszystko doskonale widział. Winą za ten wypadek prawdopodobnie można by obarczyć ich w równym stopniu. Ale tylko jeden za to zapłacił - poniósł śmierć na miejscu.

Eleganckie iPody pojechały do adresatów. Na każdym znalazło się, starannie nagrane, to, co miało zniszczyć Logana. Nicolo

z satysfakcją patrzył, jak pakunki z iPodami ładowano do czarnej furgonetki, która po chwili odjechała. Za godzinę wszystkie zostaną dostarczone. Zalogował się do Internetu przez swój iPhone i wszedł na stronę **HYPERLINK Feil! Hyperkoblingsreferansen er ugyldig.**" Po lewej stronie ekranu znajdował się adres mailowy z ikonką „Prześlij link!”.

Kliknął. Nie zamierzał przesłać linka, ale zamieścić folder z wybranymi zdjęciami i nagranie wideo.

Z **HYPERLINK Feil! Hyperkoblingsreferansen er ugyldig.**" www.tittle-tattler.com g.10.00

Kilka hollywoodzkich megagwiazd otrzymało dzisiejszego ranka niezwykle przesyłki - iPody w lśniących czarnym pudełkach zaczęły docierać do posiadłości i apartamentów w całym mieście godzinę temu. Moje źródła podają, że na iPodach nagrane są niezwykle interesujące sceny z Luksusu - ekskluzywnego hotelu na wyspie, do którego obecnie wszyscy chcieliby pojechać....

Z **HYPERLINK Feil! Hyperkoblingsreferansen er ugyldig.**" www.tittle-tattler.com g.10.30

Poniżej zdjęcie z nowego przedmiotu pożądania całego miasta, nagrań z Luksusu. Możemy nazywać cię odtąd Pierwszym Bufonem Świata - co ty na to, Logan?

Z **HYPERLINK Feil! Hyperkoblingsreferansen er ugyldig.**" www.tittle-tattler.com g.11.15

Z ostatniej chwili! Tylko tutaj! Zdjęcia z hotelu Luksus!

Tak, zgadza się. Właśnie otrzymałem zdjęcia celebrytów z hotelu na tak zwanej „ekskluzywnej” wyspie. Tej, na którą nikt nieproszony nie może się podobno dostać? - zapytacie zapewne. Tak, właśnie o nią chodzi. I mówię wam, te zdjęcia naprawdę warto zobaczyć...

Logan próbował porozmawiać z Lucią, kiedy zaczęła dzwonić jego komórka. Zignorował to. Ale zaraz potem rozległo się ciche, ale stanowcze pukanie do drzwi i do pokoju weszła Kirsten, bardzo

poważna. Kiedy tylko na nią spojrział, zrozumiał, że musiało się stać coś okropnego. Wstał szybko.

- Co się dzieje?

W pierwszej chwili pomyślał o Maryanne i dzieciach, ale Kirsten natychmiast go uspokoiła.

- Z twoją rodziną wszystko w porządku, nie panikuj. Odetchnął z ulgą.

- Więc o co chodzi?

- O Luksus.

I podała mu laptop, żeby sam mógł zobaczyć.

Same zdjęcia wystarczyłyby, by go pogrążyć, ale w połączeniu z nagraniami stanowiły wybuchową mieszankę. Już słyszał telefony w całym biurze. Spojrzął na zdjęcia nagich senatorów i gwiazd kina w kompromitujących sytuacjach. Przesłuchał nagrania rozmów gości Luksusu, którzy czuli się naprawdę swobodnie, bo sądzili, że są bezpieczni, że w tym miejscu nikt nie może ich podsłuchać.

„Więc przestań wynajdywać wymówki i opowiadać mi, jak bardzo mnie pożądasz. Pokaż mi to, i to zaraz, bo inaczej odeślę cię do domu, nie zapłacę ani grosza i wystawię rachunek za te wakacje”.

„Chodź, kochanie, wracajmy do pokoju. Mam ochotę na linijkę...”

Po co wracać do pokoju? Chcę, żebyś zrobił to teraz. Tutaj”.

Patrzył, słuchał nagrań i wyobrażał sobie, co wszyscy będą o tym mówili i pisali w Internecie - najpotężniejszym ze współczesnych mediów, które przekazuje informacje z prędkością światła - te wszystkie spekulacje o tym, jak jego hotel był infiltrowany,

i drwiny z niego, człowieka, który zasiadał w jury programu dla przyszłych hotelarzy, a sam pozwolił okpić się w taki sposób. Ludzie będą snuć podejrzenia, kto mógł do tego doprowadzić, i Logan czuł, że powoli, lecz nieubłaganie traci Luksus. Teraz już nikt nie będzie chciał tam pojechać. On sam stanie się - już jest - pośmiewiskiem. Przecież ten hotel miał dbać o dyskrecję, być bezpieczną przystanią, sekretnym zakątkiem, w którym można mówić wszystko i robić wszystko, na co przyjdzie ochota, bez obaw, że ktoś to usłyszy albo zobaczy.

I to zaufanie legło w gruzach. Bezpowrotnie.

Policjant, który przybył na miejsce wypadku pół godziny później - po informacji osoby, która podczas spaceru z psem widziała krakę i zadzwoniła na telefon alarmowy - znalazł Marka: siedział na przednim siedzeniu samochodu, patrzył przed siebie i ciągle ścisnął w dłoni komórkę z numerem Logana na ekraniku. Właśnie miał wcisnąć guzik, kiedy doszło do wypadku.

Nie odezwał się ani kiedy policjant otworzył drzwiczki, ani kiedy ratownicy medyczni ostrożnie pomogli mu wysiąść z samochodu. Kierowca range rovera wypadł przez przednią szybę, przeleciał nad niskim sportowym samochodem Marka i runął za nim na ziemię. Mark nie wypuścił telefonu z ręki aż do chwili, kiedy umieszczono go w karetce pogotowia. Dopiero wtedy policjantowi udało się wyłuskać go z jego zaciśniętych palców i zadzwonić pod numer widoczny na ekraniku.

Policjant kiwał głową, słuchając Logana, który powiedział mu, że gdy tylko Mark zostanie zbadany, przyśle po niego samochód i zabierze go do Londynu. Nagle poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia, i odwrócił się. Mark wyciągnął rękę po telefon.

- Muszę z nim porozmawiać. Czy to Logan?

- Tak, to pan Barnes. Potwierdził, że jest pan jego pracownikiem, i zamierza przysłać tu prawnika, który będzie obecny podczas spisywania pana zeznań, a po badaniu w szpitalu odwiezie pana do domu.

- Proszę pozwolić mi z nim pomówić. - Mark poszarzał na twarzy.

Policjant, choć niechętnie, podał mu telefon.

- Logan?

- Mark, dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Słuchaj, nie martw się, nie oskarżą cię ani nic z tych rzeczy. Oni chcą tylko...

- Logan, posłuchaj... - Mark mówił szybko. Jeśli nie powie tego teraz, później już się nie odważy i posłucha instynktu, który każe mu uciec, schować się, ukryć i nie przyznać się temu człowiekowi, zawsze dla niego tak dobremu, że zdradzał go w najohydniej-szy sposób. - To ja nagrywałem te rzeczy dla Nicola Floresa. Szantażował mnie, ale to żadne usprawiedliwienie. Nie powinienem był mu ulec. Powinienem... Cóż, już za późno. To ja.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Markowi napłynęły łzy do oczu. Mógł sobie wyobrazić, co czuł Logan; wiedział, jak wielki zadał mu cios. Przełknął ślinę.

- Przykro mi, Logan. Wiem, jak bardzo cię zawiodłem. Siebie też, jeśli to w ogóle jakieś pocieszenie.

W szpitalu Mark został dokładnie zbadany - żadnych złamań, tylko kilka zadrapań i siniaków.

- Miał pan szczęście, panie Mallory - usłyszał. Mark tak nie uważał.

- Zadzwoniliśmy do pańskiej żony - ciągnął lekarz. - Już tu jedzie, żeby zabrać pana do domu.

- Aha. - Mark kiwnął głową. Kogo jak kogo, ale żony na pewno nie chciał zobaczyć. Mąciło mu się w głowie. Będzie musiał wszystko jej powiedzieć. Ze nie ma już pracy i że nie zagra więcej w *General Managerze*, bo Logan na pewno go zwolni, musi go zwolnić. Nawet gdyby nie chciał - ale na pewno będzie chciał. Ufał mu, a on go zdradził. Logan stanie na głowie, by ocalić to, co tylko się da z tej katastrofy, wyjaśnić, jak do niej doszło. Boże. Jaką straszną rzecz zrobił. Wszystkie konsekwencje jego działań dopiero wyjdą na jaw. Pewnie nie od razu, ale z czasem. A Nicolo zawsze będzie miał tamto wideo. I haka na niego.

Zadzwoniła komórka. Mark westchnął i odebrał.

- Mark Mallory.

Lekarz dał mu gestem znać, żeby ją wyłączył.

- Tu nie wolno korzystać z telefonów komórkowych - oznajmił. Mark tylko machnął ręką.

- Mówi Fergus Chilman. Słuchaj, pewnie ci się to nie spodoba, ale chyba powinienes o tym wiedzieć...

Słowa lekarza przestały docierać do Marka, kiedy słuchał Fergus, dziennikarza, który pomagał Loganowi pisać jego autobiografię. Fergus nie słyszał jeszcze o zdradzie Marka - słyszał za to o nagraniu wideo, które inny dziennikarz dostał od Nicola Floresa, ukazującym, jak Mark zabawia się z bardzo młodą, bardzo ładną transseksualną prostytutką.

- Chciałem cię ostrzec. W końcu... Do diabła, w końcu masz żonę, pokazujesz się w telewizji i tak dalej... Obawiam się, że rozdmuchają tę historię na całego.

Sternley było tak wspaniałe, jak je zapamiętał. Pojechał tam ze szpitala taksówką. Policjant, który zjawił się na miejscu wypadku, powiedział mu, żeby nie wyjeżdżał przez kilka tygodni, bo może ktoś od nich zechce jeszcze z nim porozmawiać, ale na tym sprawa się skończyła. Zdumiewające, doprawdy, jak szybko uznano wypadek, w którym zginął człowiek, za sprawę zamkniętą. Ruch na drodze wstrzymano tylko na czas wykonywania zdjęć i załatwiania różnych formalności. Mark nie wiedział, kim był człowiek, który zginął, nie znał jego nazwiska. Nie dopytywał się o szczegóły; nie chciał nic o nim wiedzieć.

Taksówka przejechała długą, obsadzoną drzewami aleją do domu i zatrzymała się przed bramą. Mark pochylił się do przodu.

- Tu wysiądę.

Koszmar, wracać do Sternley na tylnym siedzeniu czerwonego opla astry, w którym unosił się zapach waniliowego odświeżacza powietrza i papierosów.

Rześki chłód. Idąc podjazdem, Mark czuł przez podeszwy butów żwir i kamyczki. Kiedy dom wyłonił się zza zakrętu, serce na moment podskoczyło mu w piersi - jak zawsze. Niewiarygodne, czego dokonał Logan: wspaniałe odnowił budynek, zachował jego oryginalny charakter i stworzył atmosferę kojarzącą się raczej z prywatną siedzibą niż z hotelem. Ale to oznaczało, że to teraz jego dom, jedna z wielu jego nieruchomości, a nie rodzinna posiadłość Mallorych. Spojrzał na ogrodnika, który siedział na kosiarce i sunął powoli po dużym, równym trawniku.

Minęła go jakaś ciepło opatulona para, która wybrała się na spacer z mapami i w kaloszach. Kobieta, w brązowej futrzanej czapce, trzymała mężczyznę pod ramię. Uśmiechnęła się do Marka, kiedy przechodził obok. Czy oni w ogóle go zauważyli. Przecież nic o nim nie wiedzieli. Ale wkrótce się dowiedzą. Wkrótce wszyscy się dowiedzą. Zalała go fala wstydu i żalu. Gdyby trzymał się z dala od Logana, gdyby nie przyjął jego oferty - nic takiego by się nie

wydarzyło. Nicolo nie zatopiłby w nim swoich szponów, on nie musiałby nikogo zdradzić, po prostu wszystko zostałoby po staremu. Gdyby był silniejszy, gdyby umiał zachować kontrolę nad Sternley, sam pewnie otworzyłby tu prywatny hotel. Zrobiłby to, gdyby był facetem z jajami, a nie mięczakiem.

Czuł, że nie zniesie wstydu i upokorzenia, które go czekają. Wszyscy się dowiedzą, że jest zdrajcą i zboczeńcem, tak naprawdę pedofilem, biorąc pod uwagę, jak młody był ten chłopiec. Żona się z nim rozwiedzie, zabierze dzieci, a on straci pracę. I kto go w tej sytuacji zatrudni? Kogoś, kto zdradził przyjaciół i krążył po tanich motelach, podrywając chłopców, którzy wyglądają jak dziewczęta? Nikt. Media urządzią na niego nagonkę - dobrze wiedział, jak to wygląda. Widział już, jak włóczy się po ulicach, zaniedbany, brudny. Będą śledzić każdy jego krok, może nawet zostanie pozwany do sądu. I dlaczego to wszystko? Jaki jest powód? Nicolo Flores i jego nienasycona, niepojęta żądza zemsty.

Mark szedł przed siebie zamyślony. Jego życie się skończyło. Nikt go nie zatrzymał, kiedy wszedł do holu, gdzie znajdowała się recepcja - nikt przecież nie zatrzyma kogoś, kto wygląda, jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza, a on właśnie tak wyglądał. Ruszył przed siebie wąskim korytarzem. Minał bar, dawniej niedużą jadalnię, skreślił w korytarz, gdzie na półkach stały dziesiątki par nowych butów do polowania, które mogli wypożyczać goście, i znowu wyszedł na zewnątrz. Przeszedł przez wybrukowaną kamieniami ścieżkę, pchnął małą furtkę, zarośniętą częściowo żywopłotem, i znalazł się na dziedzińcu, przy którym stały stare stodoły i magazyny. Sięgnął do kieszeni i wyjął pęk kluczy - zawsze miał je przy sobie, by mu przypominały, że bez względu na to, kto jest właścicielem, Sternley zawsze pozostanie w głębi jego serca.

Co za ulga, zamki nie zostały zmienione. Otworzył je łatwo. Wszedł do środka i zaciągnął się zapachem swojego dzieciństwa - siana, mydła do czyszczenia siodeł, starej skóry i tytoniu do fajki. Rozejrzał się. Niewiele się zmieniło; nadal leżały tu sterty włochatych derek i siodeł, na hakach wbitych w kamienne ściany wisały końskie uprząże. Na małym stoliku w kącie stał tani czajnik, kilka wyszczerbionych kubków i porysowana błękitna puszcza ze ślub-

nym zdjęciem księcia Karola i księżnej Diany na pokrywce. Mark wiedział, że gdyby ją otworzył, znalazłby w środku paluszki maślane i rumowe herbatniki. Jak zwykle. Geoff Harwood, do którego należało to królestwo, pracował dla rodziny Mallorych, odkąd Mark sięgał pamięcią, a jednym z warunków sprzedaży posiadłości firmie LBI było zachowanie przez Geoffa pracy aż do emerytury. I rzeczywiście nadal tu pracował, Mark nie miał co do tego wątpliwości, gdy patrzył na puszkę z ciastkami i widział panujący w tym miejscu porządek. Geoff zawsze bardzo dbał o porządek. Mark pamiętał jego duże dłonie, które uczyły go, jak siodłać konie, polować na bażanty, dzikie gęsi, a nawet głuszce i strugać fujarki z kawałków drewna.

Mark odszukał kolejny klucz w pęku - mały i zimny. Wyjął go z kieszeni i szybko podszedł do wysokiej metalowej szafki w rogu pomieszczenia.

Strzał usłyszeli wszyscy goście w Sternley; wielu jadło właśnie na kolację wołowy rostbef. Kilka osób podniosło głowy, zastanawiając się, co to za hałas. Pewien mężczyzna, który sam był właścicielem posiadłości, a w Sternley obchodził z żoną rocznicę ślubu, stwierdził, że padł strzał z broni palnej i nasłuchiwał uważnie. Żona szturchnęła go łokciem i powiedziała, żeby przestał myśleć o polowaniu, bo w ten weekend na pewno się na nie nie wybierze.

Mężczyzna odwrócił się do niej z uśmiechem. Kelner, napełniający właśnie ich kieliszki, pomyślał, że to dziwne, bo strzał rozległ się bardzo blisko zabudowań, a przecież pracownicy hotelu nie polowali na terenie posiadłości.

Spojrzał na kierownika sali, który zdawał się myśleć o tym samym, bo zaraz wyszedł sprawdzić, co się stało.

Ciało Marka znalazł Geoff w magazynie przy stajniach, za stertą siodeł. Kiedy tylko usłyszał strzał, natychmiast domyślił się, że wypaliła jedna z jego strzelb: czyścił je i strzelał z nich od czterdziestu lat, więc znał je doskonale.

Żaden z pracowników hotelu nie wziąłby żadnej z nich bez jego zgody, a jej tym razem nikomu nie udzielił. Nikt poza nim nie miał też klucza do szafki na broń. Popędził więc kamienistą ścieżką, mimo bólu w kolanach, do magazynu.

Drzwi były otwarte. Najpierw zauważył skórzane podeszwy butów, a potem rozpoznał Marka.

- Aaa, Mark, ty głupi, ty głupi... co ty zrobiłeś?

Podszedł do niego. Nie zwracając uwagi na krew, nie zważając na to, że głowa Marka została rozerwana przez strzał, a spod czaszki wypływał mózg, Geoff usiadł obok niego i przytulił go. Mark nie żył, dla niego nie było już pocieszenia, a jednak stary człowiek kołysał go łagodnie, jakby chciał ukoić płaczące dziecko czy chore zwierzę.

- Już dobrze, już, maleńki, już dobrze, już po wszystkim -szeptał.

I było już po wszystkim.

Rozdział 23

Wieść o samobójstwie Marka rozeszła się błyskawicznie, zgodnie z przewidywaniami Fergusa.

W gazetach już pojawiły się zdjęcia żony Marka - stała przed ich wiejskim domem, blada, zszokowana.

- O niczym nie miałam pojęcia - powiedziała dziennikarzom. -Od pewnego czasu każde z nas prowadziło osobne życie. Absolutnie niczego nie podejrzewałam. - I weszła do domu, zamykając za sobą drzwi.

Mówiła prawdę, Logan wiedział o tym, a jednak było coś bardzo smutnego w pośpiechu, z jakim starała się zdystansować od człowieka, z którym, mimo wszystko, przeżyła tyle lat i miała dwoje dzieci. Cóż, nie miał teraz czasu się nad tym zastanawiać. Musiał zrobić wszystko, żeby zminimalizować skutki tragedii i przygotować się do konferencji prasowej.

- Panie Barnes, wiedział pan, co robi Mallory?

- Czy ten chłopiec był niepełnoletni?

- Skąd wzięło się nagranie wideo? Czy było częścią zabawy seksualnej?

- Wiedział pan o nielojalności członka zarządu? Czy nie miał pan o tym pojęcia?
- Logan, pewne źródła podają, że za wszystkim tym stoi Nicolo Flores. Jakiś komentarz? To twój odwieczny wróg, czy tym razem cię znokautował?
- Po pierwsze i najważniejsze pragnę przekazać moje szczerze kondolencje rodzinie Marka Mallory'ego - Logan czytał z kartki. -Był on, bez względu na to, o co jest obecnie oskarżany, dobrym człowiekiem. Dobrym pracownikiem i dobrym przyjacielem. -Spojrzał w kamerę. Nie, nie pozwoli, by Nicolo, który na pewno to ogląda, dostrzegł ból, jaki zadała mu zdrada Marka. - Są dowody na to, że to Mark robił zdjęcia i nagrywał rozmowy na wyspie... ale w tej sprawie zostanie przeprowadzone dokładne dochodzenie, a wtedy, jestem tego pewny, poznamy powody, dla których to robił. Jeśli chodzi o wideo ukazujące Marka z jego towarzyszem...
Rozległy się gwizdy i śmiechy. Logan je zignorował.
- To wydaje się bardzo prawdopodobne - ciągnął - iż było ono przedmiotem szantażu. Na krótko przed śmiercią Mark powiedział mi, że go szantażowano.
Na razie postanowili nie ujawniać, że Mark przyznał się do tego, iż był wtyczką w firmie Logana. Na razie. Uznali, że najpierw przeprowadzą dochodzenie i spróbują pokazać potencjalnym gościom, że hotel jest znowu bezpieczny - może im się uda.
- Chyba wiem, kto szantażował Marka...
Nicolo, w swoim wygodnym biurze w Los Angeles, oglądał w telewizji konferencję prasową Logana. Logan sprawiał wrażenie wyczerpanego, jakby nie spał od tygodni. Nicolo wyprostował się w fotelu. Czy Logan otwarcie go oskarży? Niemal miał nadzieję, że to zrobi.
- Lecz nie zamierzam dać tej osobie podstaw do oskarżenia mnie o pomówienie.
Uśmiechnął się szeroko do kamer. Nicolo ze złością zmarszczył brwi.
- Ale wiedz jedno: sprawiłeś, że dobry człowiek się zabił.

Logan twardo patrzył w kamerę, a Nicolo w jego oczy. Dzielili ich w tej chwili tysiące kilometrów, ale zwarli się ponad wodami oceanów w śmiertelnym uścisku, w niekończącej się walce o to, kto okaże się silniejszy.

Nicolo wyłączył telewizor, przez chwilę spoglądał na ciemny ekran, a potem podniósł telefon. Słowa Logana były wyzwaniem.

Następnego dnia była niedziela i „Wiadomości ze Świata” pisały o tym na pierwszej stronie. Artykuł ilustrowały zdjęcia Logana, Maryanne i Georgii - sprzed wypadku i po nim. Autor dokładnie opisał romans Logana z kobietą, która doznała paraliżu w wyniku upadku z wadliwej konstrukcji, na której występowała. Omal nie przypłaciła tego życiem. W historii tej było niemal wszystko, co kocha prasa brukowa: piękna tancerka, która została kaleką, jej śliczna, jasnowłosa córka i bogaty mężczyzna, który nie przejął się strasznym losem kochanki. Dotąd nie udało się odnaleźć córki; dziennikarze trafili pod jej ostatni adres, -lecz mieszkanie stało puste. Ale i bez niej historia była ponura. Żona Logana znajdowała się właśnie w ośrodku odwykowym - wiadomość o tym natychmiast wykorzystano. Czy romanse Logana doprowadziły jego żonę do alkoholizmu i uzależnienia od narkotyków? - pytał dramatycznie autor artykułu.

Nagle ujawniła się kolejna kobieta, która twierdziła, że sypiała z Loganem, a po niej następna. Tyle że teraz nie miało już znaczenia, czy to prawda - prawda się nie liczyła, liczyła się tylko historia.

Kirsten próbowała jakoś okiełznać prasę, ale niewiele mogła zrobić.

- Połóż uszy po sobie i spróbuj to przeczekać - poradziła Loga-nowi. - Pracuj, zajmij się Luksusem. Burza w końcu ucichnie, a na razie pozostaje ci tylko czekać.

I Logan zajął się Luksusem - zresztą głównie tym się teraz zajmował. Godzinami dzwonił do przyjaciół, gości i celebrytów, którzy wybierali się na wyspę, a teraz gromadnie odwoływali rezerwacje. Osobiście gwarantował im dyskrecję, obiecywał, że nie będzie żadnych problemów, że historia się nie powtórzy. Usiłował też udobruchać tych, których tajemnice wyszły na jaw, którzy czuli

się oszukani i upokorzeni, i obawiali się o swoje kariery. Na próżno. Wszyscy rezygnowali z wypoczynku na wyspie. Nikt nie miał ochoty na wakacje, z których zdjęcia mogły ukazać się w gazetach na całym świecie.

On jednak ciągle walczył.

Colette czytała artykuł w „Wiadomościach ze Świata” sama, w sypialni Charliego, zadowolona, że udało jej się odegrać niebagatelną rolę w tym, co spotkało Logana, w tym wielkim widowisku. Ujawniła prawdę. Logan pieprzył jej matkę, a potem rzucił ją, jak zepsuty przedmiot. A teraz za to płaci. Jego życie się rozpada. Prawie nie śpi, ciągle siedzi w biurze i dzwoni do hotelowych gości, księgowych, prawników. Pracuje niemal przez całą dobę, usiłując uratować swoją firmę, ale wygląda na to, że mu się to nie uda. Na jego oczach wszystko, co zbudował, z hukiem się wali. I został z tym całkiem sam. Jego żona leczyła się w ośrodku odwykowym, a Johnny, o którym Charlie często wspominał, wciąż leżał w szpitalu. Charlie niezmiernie cenił Johnny'ego; mówił o nim zawsze bardzo ciepło.

- Johnny wstał z łóżka - oznajmił, podekscytowany, poprzedniego dnia. - Właśnie dzwoniła Rachel. Przeszedł trzy kroki!

To dobrze dla Johnny'ego. Kiedyś Colette miała nadzieję, że usłyszy takie same słowa o swojej matce; marzyła, że pewnego dnia Georgia wstanie z łóżka, a paraliż zacznie ustępować. Niestety, okazał się trwały.

Nicolo przerwał milczenie. Wiedział, że jego układy z Markiem Mallorym prędzej czy później wyjdą na jaw, postanowił więc, że przedstawi swoją wersję świata, zanim Logan go uprzedzi, udając jakiś jednoosobowy genialny zespół dochodzeniowy. Nicolo wyszedł więc przed szereg, rozkładając dłonie w ugodowym geście. Oczywiście nagiął i podkolorował nieco prawdę, by ukazać się w korzystniejszym świetle. Nie zamierzał przyznać się do szantażu. Nikt nie mógł mu niczego udowodnić.

- Skontaktował się ze mną jeden z pracowników Logana Barnes'a, zajmujący w firmie wysokie stanowisko; chciał podzielić się

ze mną informacjami, które jego zdaniem mogłyby zainteresować goście rezerwujących miejsca w Luksusie, a liczących na pełną dyskrecję. Nie jest oczywiście tajemnicą, że Logan i ja czasem w przeszłości nie zgadzaliśmy się ze sobą, poczułem jednak, że jako kolega po fachu, także hotelarz, powinienem ostrzec ludzi, którzy zdaniem mojego informatora byli najbardziej zagrożeni. Logan Barnes najwyraźniej złożył obietnice dotyczące bezpieczeństwa i prywatności, których nie potrafił spełnić, uznałem więc, że rozpowszechnienie tej informacji leży w dobrze pojętym interesie publicznym. Przyznaję, sposób dostarczenia nagrań i zdjęć był może nieco teatralny, ale cóż, pewna ekstrawagancja leży w mojej naturze. Chciałbym także złożyć kondolencje rodzinie Marka Mal-lory'ego, człowieka, od którego uzyskałem tę informację i który, o czym się właśnie dowiedziałem, zmarł tragicznie dzisiejszego ranka. Pragnę, by nie było wątpliwości co do tego, że nie mam nic wspólnego z przekazaniem prasie nagrania, na którym Mark Mal-lory występuje z nieletnią transseksualną prostytutką. Nigdy też nie szantażowałem Marka, wbrew temu, co się obecnie sugeruje. Nie musiałem się do tego uciekać. Takie oskarżenia są zupełnie bezpodstawne i godzą w moje dobre imię, dlatego moi prawnicy zareagują błyskawicznie, jeśli ktokolwiek będzie rozsiewał takie pomówienia.

Logan oglądał oświadczenie Nicolo na jednym z kanałów informacyjnych, tak jak kilka dni wcześniej Nicolo oglądał jego konferencję prasową. Pokręcił głową. W jaki koszmar się nawzajem uwikłali.

- Chciałbym też przekazać wyrazy współczucia Loganowi Barnesowi - ciągnął Nicolo. - Ani Luksus, ani Sternley House w najbliższej przyszłości nie będą mogły przyjmować gości - dlatego, korzystając z okazji, pragnę zapewnić osoby, które dokonały w nich rezerwacji, lecz wolałyby z niej obecnie zrezygnować, że z pewnością znajdą miejsca w moich hotelach, należących do firmy Flores Incorporation.

Cholerny drań, próbuje przejąć jego klientów. Ale czegoż innego można się po nim spodziewać. Rozległo się pukanie i do pokoju weszła Kirsten.

- Usiądź, Kirsten. Dziękuję że trzymasz wszystkich z dala ode mnie. - Logan odłożył pióro na blat biurka. - Jest źle, tak? Naprawdę źle.

- Dobrze nie jest. - Kirsten spojrzała na niego poważnie. - Nie uda nam się kontrolować mediów; one rządzą się swoimi prawami, przecież wiesz.

Kiwnął głową.

- I, do pewnego stopnia...

- Co? Wyduś to. Jeśli uważasz, że to wszystko moja wina, powiedz mi to.

Nie, nie uważała tak. Ale ten konflikt... Pokręciła głową.

- Nie, nie to chciałam powiedzieć. Tylko że kto mieczem wojuje...

Miała rację. Często wykorzystywali media dla własnej korzyści, kiedy było im z tym wygodnie. A to broń obosieczna.

- Udało ci się porozmawiać z Lucią? - spytał.

- Nie. Próbujemy się z nią skontaktować, ale wyłączyła komórkę, a kiedy chcemy połączyć się przez hotel, nie odbiera telefonów.

- Rozumiem. Dziękuję. Zapadła cisza.

- Mogę ci jeszcze w czymś pomóc? - przerwała ją Kirsten.

- Nie, dziękuję.

Logan siedział w swoim gabinecie po wyjściu Kirsten i rozmyślał. Luksus wymykał mu się z rąk, czuł to. Bardziej niż cegokolwiek innego pragnął teraz polecieć na tę wyspę, do starej chaty, którą zachował tylko dla siebie, gdzie tamtego dnia spotkał Elise. Elise. Tylko myśl o niej trzymała go przy zdrowych zmysłach. Wszystko inne pogrążyło się w chaosie.

Maryanne, Charlie, Lucia... Co on zrobił ze swoją rodziną? Dlaczego, na przykład, każe pracownikom dzwonić do swojej córki? Do diabła, Logan, powiedział sobie, zachowaj się jak ojciec. Podniósł słuchawkę i wystukał jej numer.

Po drugim sygnale został przełączony na pocztę głosową. Wziął głęboki oddech i zostawił wiadomość.

- Ogromnie mi przykro, Lucio. Przykro mi, że poczułaś się osamotniona, zawiedziona tak bardzo, że uznałaś, iż może ci pomóc Nicolo. Ja... chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że nie mam ci tego za złe. Niczego nie mam ci złe. Jesteś moją małą dziewczynką. Moją księżniczką. Światłem mojego życia. Zawsze możesz na mnie liczyć.

Lucia wysłuchiwała wiadomości od ojca. Widziała go na konferencji prasowej. Wydawał się taki zmęczony i zestresowany. Chciała wrócić do domu, ale tak bardzo się wstydziła tego, jak postąpiła. Jeszcze raz spojrzała na zdjęcia, na których miała na sobie kostium szpiega. Na wszystkich była czerwona pieczętka z napisem: „Tajny agent” - jak na czyichś aktach. I Lucia dostała mdłości. Nie, nie może zrobić czegoś takiego własnemu ojcu. Ani matce - to by dobiło Maryanne. Żaden hotel nie jest tego wart.

Nie, będzie odważna, udowodni, że jest córką swojego ojca. Podarła zdjęcia i wsunęła je do koperty wraz z liścikiem do Nicola: „Przepraszam, wycofuję się z naszej umowy. Muszę zrobić to, co uważam za słuszne. Pozdrawiam, Lucia Barnes”.

Podkreślając zamasyście swoje nazwisko, poczuła się dumna z siebie, po raz pierwszy od bardzo dawna.

Rozdział 24

Maryanne próbowała słuchać osoby, która właśnie mówiła, ale nie potrafiła się skupić. Pokój był duszny, głos monotony. Poruszyła się lekko, żeby oprzytomnieć.

- I kiedy sądziłam, że już się od niego uwolniłam i zaczęłam nową pracę, dowiedziałam się, że mam żółtaczkę typu C... I wtedy się napiłam...

Siedzący w półkolu członkowie grupy terapeutycznej wydali kilka pełnych zrozumienia pomruków, a Maryanne w duchu jęknęła.

Uważała cały ten program za bezsensowne uzalanie się nad sobą, a sesje poświęcone historii życia były w nim najgorsze. Na każdej z nich ktoś inny odczytywał grupie swoją autobiografię, którą wcześniej musiał napisać, co zabierało kilka dni. Odczyt był zwykle przerywany przez szloch, łkania i okrzyki, że to zbyt bolesne, że nie do zniesienia - a wtedy uczestnicy terapii musieli delikwenta pocieszać i namawiać, by jednak wszystko z siebie wyrzucił. Maryanne miała ochotę skryć się wtedy za ciemnymi okularami, ale tego jej zabroniono. Terapeuta stwierdził, że uniemożliwiają komunikację i nie pozwalają jej wyzdrowieć. Zgadza się, do diabła, że utrudniają komunikację, o to właśnie chodzi. Tutaj z pewnością nie było nikogo, z kim miałaby się ochotę komunikować, a jeśli już, to wyłącznie w kwestiach podstawowych.

Rozejrzała się po sali. Wygodne meble, na ścianach zdjęcia przyrody - zbliżenia jesiennych liści, pierścieni z wnętrza pnia cedru, kropli rosy na pajęczynie. Obrazy, które miały koić udęczone umysły i ciała obolałe po procesie odtruwania. Zmęczone. Maryanne spojrzała w okno - tak chętnie po prostu by stąd wyszła, położyła się na trawie i patrzyła w niebo. Tu, w górach, powietrze było czyste, pachniało życiem i słońcem. To było pozytywne. Maryanne zmuszała się do zauważania i zapamiętywania wszystkich pozytywów tego miejsca. April, terapeutka, wyrwała ją nagle z zamyślenia, wypowiadając głośno jej imię.

- ...i poprosimy Maryanne, żeby na następnej sesji opowiedziała nam swoją historię.

Maryanne szybko podniosła głowę. April spoglądała na nią ponad okularami bez oprawek, z twarzą okoloną chmurą ufarbowanych włosów. Maryanne miałaby ochotę umówić April z kolorystą z prawdziwego zdarzenia i fryzjerem, który obciąłby wreszcie te okropne rozdwojone końcówki tak wyraźnie widoczne.

- Och, nie sądzę, żebym dała radę, April. Nie jestem jeszcze gotowa.

- A ja myślę, że jesteś, Maryanne. Bardzo skąpo dzielisz się z nami swoim życiem. Nie mówisz o swoich uczuciach ani o tym, dlaczego czujesz się w tym miejscu tak, a nie inaczej. Uważam, że powinnaś skupić się na sobie.

Cholera.

- Nie, naprawdę, jest jeszcze za wcześnie. - Maryanne uznała, że czas na łyzy. Umiała płakać na zawołanie. Teraz też łyzy natychmiast napłynęły jej do oczu. Delikatnie otarła je opuszkami palców. - Ciągle jestem roztrzęsiona. To wszystko jest jeszcze zbyt świeże.

April patrzyła na nią spokojnie. Chryste, cóż to za zimna suka. Na pewno jest też oziębła.

- Próbujesz wzbudzić współczucie, Maryanne. Nie chcesz nam pozwolić się do siebie zbliżyć.

Kilku członków grupy z powagą pokiwało głowami; Maryanne spojrzała na nich urażona.

- Płaczę, bo jest mi smutno.

- Płaczesz, bo nie chcesz napisać historii swojego życia.

Teraz Maryanne naprawdę się rozplakała, ale ze złości. Wiedziała, że nie postawi na swoim; i to doprowadzało ją do furii. Odetchnęła głęboko. Wdycham spokój, wydecham niepokój, powtarzała w duchu, tak jak ją tego nauczyli. To też było pozytywne.

- Zgoda, napiszę historię mojego życia.

Tak, napisze ją; jeśli chcą poznać jej życie, pozwoli im.

Siedząc przy małym biurku w swoim pokoju, wyjęła notatnik i długopis i położyła je na blacie. Zdjęła z długopisu nasadkę. Jej dłoń zawisała nad białą kartką papieru. Zawahała się i poszła otworzyć okno. Otwierało się tylko częściowo, jak okna we wszystkich pokojach, ale wystarczająco, by wpadło trochę świeżego powietrza. Wróciła do biurka i usiadła przed notatnikiem.

Nie, nic z tego, na tym krześle zaraz rozbolą ją plecy. Wzięła długopis i notatnik i podeszła do łóżka. Usadowiła się na nim wygodnie i zaczęła pisać.

Urodziłam się w Houston...

Miała zamiar zmyślić wszystko poza najbardziej podstawowymi faktami ze swojego życia, takimi jak daty i imiona. Traumatyczne przeżycia z dzieciństwa, przerwane związki z ludźmi, korzenie uzależnień - to wszystko chciała wysnuć z wyobraźni. Ale nie bardzo jej się to udawało. Kiedy już zaczęła pisać, odkryła,

że w przelewaniu na papier swojej historii jest coś, co wymusza szczerość. Całe życie rozwinęło się przed nią jak wstęga. Pisanie przywoływało dawno zapomniane wydarzenia i głęboko pogrzebane uczucia. Jakby odwiedzała przeszłość i ludzi, którzy ją zamieszkiwali. Po dwóch godzinach skończyła opowiadać o swoim związku z Nicolem i rozpoczęła wątek swojego życia z Loganem. Pierwsza ciąża. Radość, która powinna charakteryzować te piękne miesiące, była skażona poczuciem winy i strachem, że Logan ją odrzuci, bo w końcu pozna prawdę. Pisząc to, myślała o Charliem i przypomniała sobie, dlaczego zdecydowała się przez to wszystko przejść - dla niego i dla Lucii. Może jej związku z Loganem nie da się już odbudować, nigdy więcej nie zawiedzie jednak swoich dzieci. Nie będzie piła i brała narkotyków, bo chce dawać oparcie najbliższym zawsze wtedy, kiedy jej potrzebują. Przejdzie terapię, weźmie lekarstwa - czy też raczej przestanie je brać - i znowu stanie się dobrą matką.

Tego dnia, kiedy Maryanne zaczęła rodzić Charliego, Logana nie było w mieście. Zadzwoiła do niego, gdy skurcze stały się bardzo bolesne i regularne, ale Logan potrzebował jeszcze dwóch godzin, by dotrzeć do domu, a ona była sama i bardzo się bała. Leżała w wannie, starając się zachować spokój, ale w końcu się rozpłakała i zapomniała, jak kontrolować oddech. Potem przeraziła się, że urodzi w mieszkaniu, zdana na siebie, więc wyszła z wanny i znowu do niego zadzwoniła, na wpół stojąc, na wpół kucając przy ścianie sypialni. Płakała i błagała go, żeby się pospieszył. Potrzebowała go, a jego przy niej nie było.

W końcu jej strach zmienił się w gniew i zaczęła krzyczeć.

- Nie chcesz tu być, prawda, Logan? Nie chcesz mieć dziecka. Chciałbyś być wolny, pieprzyć wszystko, co się rusza i robić, na co tylko przyjdzie ci ochota.

- Annie, zadzwoń do położnej. Jej numer jest na lodówce, pamiętasz?

- Nie mogę. Nie mogę... nie mogę... - łkała do słuchawki.

- Maryanne, posłuchaj. Musisz zachować spokój. To nie jest dobre ani dla ciebie, ani dla dziecka.

Maryanne zaczęła głośno jęczeć, opadła na kolana, słuchając dziwnych, niemal zwierzęcych dźwięków wydobywających się z jej piersi. Wypuściła słuchawkę z ręki. To dziecko Nicola, nie twoje, ale ja wybrałam ciebie i teraz boję się, że dokonałam złego wyboru. I boję się, że ty się o tym dowiesz i mnie odrzucisz... To chciała mu powiedzieć, ale nie potrafiła. Musi to pogrzebać, musi wytrwać w swojej decyzji i stworzyć swojemu dziecku dobry dom, z człowiekiem, który jest jej mężem i którego szczerze kocha.

- Logan! Logan, pomóż mi...

Próbowała to pogrzebać. Tak bardzo chciała wytrwać przy Loganie, być dla niego dobrą żoną i dobrą matką dla Charliego, a potem także dla Lucii. Ale małżeńska rzeczywistość okazała się trudniejsza, niż sobie to kiedykolwiek wyobrażała, od samego początku. Miała wrażenie, że została schwytana w pułapkę. Zmieniła nazwisko, ale przyzwyczajenie się do tego długo trwało. Podpisując nim czeki i rachunki, czuła się jak oszustka. Maryanne Barnes. Pani M. Barnes. Jakby żyła cudzym życiem, jakby bawiła się w kogoś innego.

W końcu udało jej się z tym uporać. Powoli zaczęła cieszyć się swoim małżeństwem. Teraz, pisząc o tym, pograżyła się we wspomnieniach tych pierwszych wspólnych lat, kiedy ona i Logan ciągle byli kochankami w pełnym znaczeniu tego słowa. Pisała o czasach, kiedy zatrudniali opiekunkę do dzieci i szli na całą noc na tańce, a potem wracali do domu i do świtu się kochali. Rano Logan brał prysznic, pił dużą, mocną kawę i jechał do pracy, i choć oboje przez cały dzień byli niewyspani, wspomnienie upojonej nocy pozwalało im przetrwać. Bywało, że Logan wracał z pracy wcześniej, a wtedy cała czwórka sadowiła się na kanapie. Siedzieli tak godzinami, jedząc popcorn i oglądając stare filmy, głupie czarno-białe filmy, w których ludzie ślizgają się na skórkach od bananów i zwisają z Empire State Building. Maryanne i Logan trzymali się za ręce i z podziwem patrzyli na rodzinę, którą udało im się stworzyć.

Czas mijał, a ona pisała. Przedstawiła wszystko, aż do czasu, kiedy coś zaczęło się psuć. Naprawdę psuć. To było po wypadku w Piccadilly Circus; po tym, gdy chciała odejść od Logana, bo

w chwili rozpaczliwej samotności i zagubienia pomyślała, że jeśli wróci do Nicola, rozwiąże to wszystkie problemy. Czuła się taka winna. Jego reakcja sprawiła, że zrozumiała, jak bardzo go zraniła. Wcześniej nigdy tego nie widziała. Za bardzo pochłaniał ją nowy romans, miłość do Logana i pierwsza ciąża, by mogła choć na chwilę zapomnieć o sobie i zauważyć, co zrobiła Nicolowi.

Ale wtedy to zobaczyła, nagle, z bliska. Co za koszmar. Miała wrażenie, że ktoś wycisnął z niej wszystko i została tylko pustka. Dwoje ludzi, którym Nicolo ufał, naprawdę ufał, zdradziło go. Za jego plecami, razem, zwrócili się przeciw niemu, a potem zostawili go samego. Maryanne dobrze знаła smak samotności. Jak mogła mu coś takiego zrobić?

Bolała ją ręka, ale nie przestawała pisać o tym, jak mijały lata. Logan i ona pracowali ciężko, ale coraz bardziej osobno. Logan chciał postawić firmę na nogi i zapewnić żonie i dzieciom życie na odpowiednim poziomie. W końcu Maryanne wybrała właśnie jego. Nie miał jej za złe, że uciekła do Nicola, kiedy nastały ciężkie czasy; uznał, że to on zawinił. Zawiódł ją. Teraz znowu należała do niego i mieli szansę wszystko naprawić. Obiecał, że udowodni jej, iż się nie pomyliła. I zakopał się w pracy.

W ciągu tych lat Maryanne nieraz czuła niepokój; wiedziała, że Logan nie pozwoli, by cokolwiek stanęło mu na drodze. Chciał odzyskać wszystko, co stracił, a potem zdobyć jeszcze więcej, dużo więcej. Zauważyła jednak, że coraz bardziej odsuwał się przy tym od niej i dzieci - od tych, dla których zdobywał się na tak wielki wysiłek.

Czasami zastanawiała się, czy coś o tym powiedzieć - kiedy przygotowywała śniadanie dla Charliego i wiedziała[^] że Logan już od wpół do szóstej jest w biurze, albo kiedy kolejną noc kładła się spać sama, bo on ciągle pracował. Może powinna mu powiedzieć, że wolałaby, by był w domu, piekł gofry i siedział przed telewizorem albo przeszkadzał jej, gdy odkurzała? A jeśli oznaczałoby to, że już zawsze będą mieszkali w tych kilku pokojach w Queens? Cóż, ona właściwie nie miała nic przeciw temu. Czy nie należało mu przypomnieć, że facet, w którym się zakochała, nie był sławny i bogaty, ale poświęcał się temu, co kochał? I że nie widziała już w tym, co robił, pasji, że teraz chodziło tylko o pieniądze i sukces? Ale nigdy nie

zdradziła mu tych swoich myśli. Nigdy nie było odpowiedniej chwili, a poza tym Maryanne nie wierzyła, że przyniosłoby to skutek. Trwała więc w tym i miała nadzieję, że w końcu wszystko się ułoży. Powtarzała sobie, że jej zadaniem jest wspierać męża, to jej rola.

W 1994 roku Logan otworzył odziedziczony po ojcu hotel. Otwarcie było skromne, żadnych fanfar i czerwonych dywanów (w przeciwieństwie do uroczystości otwarcia najnowszego kasyna Nicola Floresa w Atlantic City, podczas której ze szklanych ścian zjeżdżały modelki w bieliźnie firmy Victoria's Secret). Logan i Johnny zainteresowali się klientelą z górnej półki turystycznego rynku i podróżującymi biznesmenami, którzy mieli dość nijakich, jednokowych hoteli należących do wielkich sieci. Zrozumieli, że ludzie pragną czegoś niezwykłego, czegoś, czego nie dostają w domu; że chcą najwyższej klasy restauracji i klubów, a nie tylko bufetów śniadaniowych i minibarów. Czuli też, że styl hotelu powinien pasować do jego otoczenia, zarówno pod względem architektonicznym, jak i każdym innym. Hotel LBI na Hawajach nie mógł wyglądać tak samo jak hotel LBI w Mediolanie. Wszystkie te hotele spełniały potrzeby ich gości.

Numer 67, na przykład, był małym hotelikiem na Manhattan Upper East Side i odzwierciedlając ducha dzielnicy, przypominał prywatny dom. Nie było w nim ani oficjalnej recepcji, ani tradycyjnego minibaru. Maryanne z radością zajęła się projektowaniem wystroju wnętrz. Wynajdywała antyki na pchlich targach, by w każdym pokoju znajdowało się coś unikalnego - stary portret, który oprawiła w nowe ramy, albo zestaw do tryktraka z polerowanego drewna na stoliku do kawy. Uwielbiała to. Teraz, kiedy absorbowaly ją nie tylko dzieci, odepchnęła od siebie wątpliwości co do swojego małżeństwa. Charlie i Lucia wydawali się szczęśliwi. Dla Charliego zawsze liczyła się przede wszystkim muzyka; kiedy miał w uszach słuchawki walkmana, był wniebowzięty. Lucia natomiast uwielbiała kucyki i jazdę konną, jak zresztą wiele dziewczynek w jej wieku. Na ósme urodziny Logan kupił jej cały komplet strojów do konnej jazdy wraz z butami i opłacił lekcje z trenerem.

Słowa spływały potokiem spod długopisu, zapełniała się kartka za kartką. W 1996 roku LBI otworzyło kolejne dwa hotele, jeden

w San Francisco, drugi w Waszyngtonie. Ekspansja poza granice Nowego Jorku oznaczała konieczność podróży. Czasami Maryanne towarzyszyła Loganowi, zwykle jednak jeździł z Johnnym albo sam. A podczas tych wypraw pojawiały się pokusy Maryanne wiedziała, że w jego życiu były inne kobiety, inne kochanki. Nigdy jednak nie zdecydowała się porozmawiać z nim o tym otwarciu. Czuła, że niewiele ma do powiedzenia, skoro wcześniej omal nie uciekła do Nicola.

Ale kiedy Logan zaczął coraz częściej wyjeżdżać sam, nabrała podejrzeń. Pragnęła zatrzymać go w domu. Z Nicolem właściwie do niczego nie doszło, a nie chciała, by w jej małżeństwie niewierność stała się akceptowaną normą. Zaczęła przeszukiwać kieszenie Logana, bo niby sprawdzała, czy nie zostawił w nich chusteczek przed oddaniem ich do prania. Zadawała mu mnóstwo pytań: gdzie był, co robił... Logan twierdził, że ona wpada w paranoję, że to tylko jej wyobraźnia. Że powinna mu zaufać.

Przestała więc grzebać mu w kieszeniach, sprawdzać, gdzie był. Przyznała mu rację. Musi zaufać mężowi. Świadomość, że miał kochanki, nie bolała przez to mniej, ale i ona przecież zdradzała - najpierw Nicola z Loganem, potem Logana z Nicolem. Choć nie poszła z Nicolem do łóżka, w głębi serca czuła, że zdradziła Logana, tak jak wcześniej Nicola. Logan się nie mylił, wpadała w paranoję i mogła przez to zniszczyć swoje małżeństwo.

W 1997 roku Lucia skończyła dziesięć lat. W tym samym roku LBI weszło na rynek karaibski, kupując jeden ośrodek wypoczynkowy na Jamajce, a drugi w Trynidad i Tobago. Charlie zaczął mieć kłopoty w ekskluzywnej szkole na Manhattanie. Nie koncentrował się na lekcjach, włóczył po sklepach muzycznych i przesiadywał z grajkami na ulicach. Za karę Logan przestał mu dawać kieszonkowe. Chłopak wcale się tym nie przejął i sam zaczął grać na ulicach. Lucia znudziła się kucykami i zainteresowała Girl's World. Była to zabawka, głowa z plastiku naturalnej wielkości, którą Lucia i jej koleżanki całymi godzinami cesały i malowały. Loganowi robiło się słabo na sam jej widok, więc przekupywał córkę, by chowała ją, kiedy był w domu. Co nie zdarzało się często. W grudniu, pisząc listy do swoich przyjaciół i znajomych, Maryanne obliczyła, że

z trzystu sześćdziesięciu dni w mijającym roku spędziła z Loganem siedemdziesiąt dwa.

W kolejnym roku, pisała, LBI jako jedna z pierwszych firm hotelarskich wprowadziła rezerwacje online. Logan i Johnny wybudowali nową bibliotekę przy szkole średniej, do której kiedyś chodzili, i ponownie zaproponowano im członkostwo w Russell Clubie, elitarniej organizacji, z której usunięto ich po katastrofie Piccadilly Circus. Szybko wracali na szczyt. Logan, proszony o to, ciągle wygłaszał odczyty i wykłady w szkołach biznesu oraz z okazji różnych uroczystości, co oznaczało rosnącą popularność i czeki opiewające na wysokie sumy.

W tym czasie Maryanne nie zajmowała się już wystrojem hotelowych wnętrz - Logan uważał, że na tym etapie niezbędny jest „spójny wizerunek”, jaki jego zdaniem mogła zapewnić tylko wzięta firma dekoratorska. Zaczęła więc organizować przyjęcia, co także bardzo lubiła i była w tym dobra. Bawiło ją to - spotykała się z mnóstwem ludzi, wymyślała tematy imprez, tworzyła scenografie. Cały czas musiała znać światowe trendy mody, kuchni, florystyki. Przynajmniej nadal pracowała dla LBI, choć czasem spoglądała wstecz i żałowała tego, co minęło. Ale ludzie mówili o jej przyjęciach i chcieli, by zorganizowała coś dla nich, prosili, by poleciła im dobrego florystę albo zaangażowała dla nich tego nowego szefa kuchni, o którym głośno w całym mieście, na przykład bar micwę małego Szymona.

W 2000 roku na milenijnej imprezie sylwestrowej, wymyślonej i zaplanowanej przez Maryanne, bawiło się dwa tysiące osób. Maryanne stała się jedną z najbardziej poszukiwanych konsultantek towarzyskich na Manhattanie. Charlie oznajmił, że w przyszłym roku zamierza pojechać do Los Angeles, by studiować w Musicians Institute. Logan, który tylko czekał, aż Charlie znudzi się muzyką, bardzo protestował, ale Maryanne przekonała go w końcu, by mu na to pozwolił.

- Niech się bawi, póki jest młody - mówiła, choć wiedziała, że Charlie nigdy nie zostanie takim biznesmenem, jakiego chciałby w nim widzieć Logan. Uważała jednak, że uporają się z tym, kiedy nadejdzie czas.

Lucia skończyła trzynaście lat i, co było do przewidzenia, znudziła jej się plastikowa głowa, a zaczął ją interesować prawdziwy makijaż i chłopcy. Każdy weekend spędzała w towarzystwie grupy przyjaciółek z równie zamożnych domów, przebierając się w Saks Fifth Avenue i rozmyślając nad tym, jakim kolorem lakieru marki Chanel pociągnąć swoje ciągle dziecięce paznokcie. Maryanne zastanawiała się teraz, czy nie powinna była bardziej chronić Lucię, postarać się, by jej dzieciństwo trwało dłużej. Logan kupił w tym czasie pierwszą nieruchomość w Anglii - podupadłą posiadłość Sternley House - i rozpoczął działalność w Europie. W domu nie było go całymi tygodniami. Maryanne w dzień robiła zakupy, a wieczorami planowała przyjęcia.

Kiedy pojechali na pierwsze od wielu lat wspólne wakacje - trzydniową wycieczkę narciarską do domu, który Logan kupił w górach niedaleko Whistler w Kolumbii Brytyjskiej - musieli wrócić wcześniej, bo Maryanne przewróciła się i złamała rękę. Przeszła trzy operacje i pół roku miała rękę w gipsie - złamanie okazało się skomplikowane. Długi czas bardzo cierpiała. Siedząc samotnie w domu, strasznie się nudziła, więc starała się pracować. Brała środki przeciwbólowe, a wieczorami piła trochę więcej niż zwykle. Środki przeciwbólowe spełniały swoją funkcję za dnia, a alkohol wieczorami, w nocy jednak nie mogła spać i czuła się samotna. W końcu zebrała się na odwagę i powiedziała Loganowi, że chce podróżować razem z nim i znowu udzielać się przy kolejnych otwieranych hotelach. Dzieci dorastały i nie potrzebowały już jej stałej obecności. Właściwie zdawały się w ogóle jej nie potrzebować. Logan, o dziwo, wyraził zgodę. Wyznał, że od jakiego czasu czuje się tak, jakby nie należał do rodziny; nie miał pojęcia, co się dzieje w domu, jak toczy się ich życie, więc łatwiej było mu trzymać się od nich z daleka. Nadarzała się okazja dla niego i Maryanne, by odbudować dawny związek, znów odnaleźć drogę do siebie nawzajem. Powiedział, że mu jej brakowało. Przywołując te słowa, Maryanne gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej brakowało teraz Logana - mimo wszystko. Cokolwiek się między nimi wydarzyło, choć tak bardzo się ranili, kiedyś byli partnerami, jednością. I za tym tęskniła. Wiedziała, że będzie już inaczej. Wróciła do pisania.

W 2001 roku zrezygnowali z usług firmy projektowej, która zajmowała się hotelami LBI, i otworzyli własną. Zarządzała nią Maryanne, zatrudniając w niej zespół, który wspólnie skompletowali. Była podekscytowana. Sieć hoteli, którą stworzyli, należała do światowej czołówki, a ona i Logan znowu mogli żyć jak prawdziwi małżonkowie. W tym czasie przejęli kilka podupadających hoteli w Londynie i postanowili kupić w tym mieście dom, by nie podróżować bez przerwy między kontynentami. Maryanne pamiętała, że była wtedy taka radosna i pełna optymizmu, choć naprawa stosunków małżeńskich okazała się trudniejsza, niż przypuszczała. Minęły lata, odkąd ona i Logan spędzali ze sobą czas - i wiele się zmieniło. Maryanne podróżowała z nim w interesach, ale wieczorami siedziała sama w pokoju hotelowym, podczas gdy Logan jadł i pił z kolegami w barze.

- Kolacja z chłopakami, rozumiesz? - wyjaśniał, a ona kiwała głową i zamawiała jedzenie do pokoju. Jedzenie i butelkę wina. A potem spoglądała przez okno na miasto, w którym się akurat znajdowali - na Pragę, Rzym albo Berlin - i myślała, że równie dobrze mogłaby być gdziekolwiek indziej. Na przykład w domu.

Zasypiała, oglądając telewizję, a następnego dnia szła po zakupy, do czego Logan zawsze ją zachęcał.

- Nie chcę, żebyś nudziła się na tym spotkaniu, ot suche kwestie finansowe. Idź i kup sobie jakieś buty, no i prezent dla Lucii.

Więc to właśnie robiła. Kupowała i kupowała, w rekordowo krótkim czasie potrafiła niemal opróżnić sklep Gucciego. Lucia uwielbiała ją za to. Maryanne zawsze wracała do domu z naręczami torebek, kaszmirowych sweterków i błyskotek ze strefy bezcłowej, kupowanych tuż przed odlotem.

Zbliżając się do czterdziestki, w roku 2003, Maryanne zorientowała się, że jej firma projektowa doskonale radzi sobie bez niej. Zaczęła podejrzewać, że Logan stworzył ją tylko dla niej, żeby sprawić jej radość, a nie dlatego, że naprawdę cenił jej talent i zdanie. Zresztą i tak on wszystko akceptował, ona nie podejmowała żadnych decyzji, więc wszyscy projektanci zwracali się z pytaniami do niego. Stała się zbędna. Zbędna w pracy czy też w tym, co kiedyś w jej mniemaniu za pracę uchodziło: zbędna w domu. Domem

zajmowała się służba i doskonale obydwała się bez niej. Maryanne zaczęła się nudzić. Ciągłe brała środki przeciwbólowe, choć lekarz twierdził, że nie są jej już potrzebne. Ale co on mógł wiedzieć? Przecież cierpiała. Zaczęła gorzej sypiać, więc do środków przeciwbólowych dołączyły nasenne. A ponieważ ona i Logan mieli teraz osobne sypialnie, nikt nie kontrolował dawek, które przyjmowała, ani coraz większej ilości leków w jej łazienkowej apteczce. Urządziła przyjęcie z okazji szesnastych urodzin Lucii w Boujis w Londynie. Wynajęła wtedy grupę Brush - która trzykrotnie wygrała konkurs Brit Awards, by na nim zagrała - za sumę, od której nawet jej zakręciło się w głowie. Wszystkie dziewczyny dostały torebki i kupony na buty marki Jimmy Choo. Następnego dnia Maryanne poszła do lekarza, a on powiedział, że naprawdę powinna brać mniej tabletek nasennych. Obiecała, że to zrobi, i dostała receptę na prozac.

Na początku następnego roku Loganowi wreszcie udało się kupić wyspę - jego marzenie niemal od dwudziestu lat. Właściciel zmarł i Lile des Violettes została wystawiona na sprzedaż. Maryanne nigdy tam nie była, ale Logan zawsze opisywał wyspę jako oazę spokoju i miejsce, w którym czuł się najszcześliwszy.

- W takim razie, dlaczego chcesz tam otworzyć hotel? - spytała, kiedy opowiedział jej o swoich planach. - Przecież to wszystko zniszczy.

Spojrzał na nią osłupiały.

- Bzdura. Za kogo ty mnie masz? To piękny zakątek. I chcę, żeby wszyscy zobaczyli, jak bardzo piękny... No, niezupełnie wszyscy. - Wyjaśnił jej, że zamierza udostępnić wyspę tylko starannie wyselekcjonowanej elicie, prawdziwym VIP-om. - Rozumiesz? Nie zamierzam zmienić tego miejsca w jakiś park tematyczny. To ma być ekskluzywny hotel, tylko dla wybrańców. Pod ścisłą kontrolą.

Maryanne kiwnęła głową, nie bez goryczy. W końcu i tak wszystko było pod ścisłą kontrolą Logana.

Lucia skończyła osiemnaście lat, a Maryanne znowu wpadła w depresję. Tęskniła za Charliem, który wzbraniał się przed powrotem z Los Angeles, gdzie założył zespół i kupił mieszkanie. Oboje, on i Lucia, posiadali fundusze powiernicze, które pozwalały

im robić niemal wszystko, na co przyszła im ochota. Logan chciał od najmłodszych lat uczyć ich odpowiedzialności finansowej. Kiedy skończyli szesnaście lat, wysłał ich na dwudniowe seminarium poświęcone zarządzaniu finansami. Teraz, kiedy dzieci dorosły, Maryanne czuła się stara. Bezużyteczna. Logan złościł się. Jakież ona mogła mieć powody do depresji? Żadnych. Była niewdzięczna. Przywoływała więc uśmiech na twarz, a łyzy zachowywała na wieczór, na czas samotności. Nie zawsze jej się to udawało, ale środki przeciwbólowe trochę to ułatwiały - ułatwiały zresztą nie tylko to. Pomagało też valium, które zaczęła zażywać, choć czasami czuła się po nim trochę oderwana od rzeczywistości. Więc rano otrząsała się, łykając pigułki, które dostała od swojej przyjaciółki Lorny. Tylko tak, na rozruch. Nie, żeby ich naprawdę potrzebowała.

Maryanne zbliżała się do końca swojej historii; pisała o najświeższej przeszłości. Było to bolesne, ale nie przerywała. Dotarła zbyt daleko, by teraz zrezygnować. Jej życie leżało przed nią na gęsto zapisanych kartkach. Płakała, wspominała, notowała. W 2006 roku Logan, Johnny i Mark podpisali kontrakt na realizację *General Managera*, a Logan i Maryanne na stałe przenieśli się do Londynu. Kilka miesięcy wcześniej Maryanne przeszła załamanie nerwowe po wypadku samochodowym - wjechała na chodnik i uderzyła w latarnię. Leżała tydzień w prywatnej klinice w Nowym Jorku. Zapewniała, że nic jej nie jest, czuje się tylko trochę zestresowana. Bardzo żałowała samochodu, który nadawał się już tylko na złom, najważniejsze jednak, że nikomu nic się nie stało. Po prostu była bardzo, bardzo zmęczona. Uzgodnili więc, że zmiana otoczenia dobrze zrobi im wszystkim. Charlie właściwie mieszkał w Los Angeles, ale regularnie przyjeżdżał do domu. Lucia narzekała, że musi rozstać się z przyjaciółmi, ponieważ jednak najwyraźniej nie zamierzała wyprowadzić się z domu, Logan był twardy. Cieszyło go, że nadal mieszkała z nimi - w ten sposób łatwiej było mu mieć na oku ją i jej wydatki. Obiecał jej nowe maserati, jeśli przeprowadzi się bez scen. Ciągle musiał często i długo przebywać w Nowym Jorku - tam częściowo kręcono *General Managera*, a LBI miało wiele hoteli w Stanach, ale on także był gotów do przeprowadzki.

Już bardzo długo mieszkali na Manhattanie. Na początku Maryanne podobało się w Londynie. Zapraszano ją na różne przyjęcia, poznawała wielu ludzi - no i kupowała meble do nowego domu, organizowała kolacje, odkrywała sklepy.

Ale wkrótce znowu zaczęły się bezsenne noce. I bóle głowy, koszarne bóle głowy, które wybuchały nagle. Logan zdobył sławę, sławę znacznie większą, niż się spodziewali, i teraz cały świat na nich patrzył. Gdziekolwiek się pojawili, byli bez przerwy pod ostrzałem ludzkich spojrzeń. Wtedy zaczął się lęk, nieznany, paraliżujący lęk, który ogarniał ją, ilekroć musiała wyjść z domu i spotkać się z ludźmi. Czuła się tak, jakby znowu była niezdarną nastolatką, nijaką, niezręczną i zagubioną. Nagle zdała sobie sprawę, dlaczego jej matka, którą zawsze pogardzała, ciągle popijała - wtedy znacznie łatwiej rozmawiać z ludźmi i nie obawiać się, że się ich zanudzi na śmierć.

Tak, to była ta ostatnia kropla, która przepelniła czarę - świadomość, że stała się taka sama jak kobieta, której nie mogła kiedyś znieść. Więc wypierała tę myśl, topiła ją w winie i dżinie, zagłuszała tabletkami, dusiła pod warstwami kosztownych ubrań.

Ale ból nie mijał.

Maryanne łkała, pisząc te słowa. Nigdy nie zdołała zabić tego bólu.

Położyła długopis na biurku. Wydawało jej się, że nie da rady, że to zbyt trudne. Ciężko było jej nieść tę tajemnicę przez życie, ale jakoś sobie radziła, prawda? Cierpiała, tak, lecz nie bardziej, niż na to zasługiwała. Teraz miała dokonać czegoś innego - stanąć twarzą w twarz z samą sobą i błędami, które popełniła i ukryła. I czuła, że to ją przerasta.

Włożyła gruby wierzysty pulower i wyszła z domu.

Raff pasł się na łące w pobliżu padoku. Kiedy ją zobaczył, podbiegł, żeby się przywitać.

- Właśnie wybierałem się na przejażdżkę. Przyłączysz się? Odwróciła się i zobaczyła Sama na dużym, karym koniu.

- Na Raffie?

- Zmiana scenerii dobrze mu zrobi. Tobie chyba też.

401

Cienista ścieżka wśród drzew pachniała mchem i korą. Maryanne powoli jechała na Raffie za Samem przez mroczny las.

- Nie wiem, czy temu podołam - wyznała cicho.

Sam nie odpowiedział, ale czuła, że słucha uważnie. W kołyszącym rytmicznie kroku konia i milczącej obecności trenera było coś, co sprawiało, że po raz pierwszy od wielu lat umiała się otworzyć.

- Nie wiem, jak to zrobić.

- Jak zrobić co? Chwila ciszy.

- Jak żyć bez narkotyków, alkoholu... bez znieczulenia. I, co jeszcze ważniejsze, jak powiedzieć prawdę. Mój syn nie jest biologicznym synem swojego ojca. To znaczy Logan, mój mąż, nie jest jego ojcem.

Czekała na świst gwałtownie wciąganego powietrza albo jakieś inne oznaki wstrząsu czy dezaprobaty, ale nic takiego nie nastąpiło. Sam po prostu jechał dalej.

- Żaden z nich nie zna prawdy. Trzymałam to w tajemnicy przez ponad dwadzieścia lat. Charlie dorastał, uważając Logana za swojego ojca, ale on nim nie jest. Jego ojcem jest straszny człowiek, a ja nie chcę, by miał z nim cokolwiek wspólnego.

Teren obniżał się i Maryanne odchyliła się lekko w tył, tak jak uczył ją Sam. Pod końskimi kopytami szeleściły opadłe liście.

- Ale teraz Charlie jest już dorosły i może sam powinien podjąć decyzję. Ja nie mogę go ciągle chronić.

Kontrolować... on pewnie tak by to nazwał. Jest bardzo czuły na punkcie kontroli.

Sam nie odpowiedział, lecz miała wrażenie, że lekko skinął głową.

- Muszę powiedzieć im wszystkim, tak?

- Kiedy już zaczniesz mówić prawdę, stanie się to łatwiejsze.

- Może. Tylko jak zacząć?

Zjechali ze zbocza i znaleźli się na skraju polany. Sam wyciągnął rękę w lewo.

- Tędy. Chcę ci coś pokazać.

Las został z tyłu, a przed nimi ciągnęła się wielka równina. Wiał wiatr, powietrze było czyste i zimne. Zsiedli z koni i patrzyli na wznoszące się w oddali góry.

- Uaa.
 - To jest coś, no nie?
 - Przywozisz tu wszystkie dziewczęta? Sam uśmiechnął się lekko.
 - Nie. Tylko te, którym trzeba przypomnieć, że to wszystko jest właściwie dość proste.
 - Co jest proste? Życie? - Maryanne zaśmiała się. - Nie żartuj.
 - Tak. To proste. Jesteśmy pyłkami. To, co robimy, w końcu okazuje się bez znaczenia, liczą się tylko ci, których zraniliśmy, i ci, którzy byli nam bliscy. No popatrz: to wszystko było tu tysiące lat temu. I jeszcze długo tu będzie. One to wiedzą. - Wskazał konie, które pasły się obok spokojnie. - Po prostu wyznaj prawdę, Maryanne. Świat stanie się dla ciebie znacznie prostszy, kiedy zdasz sobie sprawę, że nie musisz odpowiadać za to, co robiłaś, przed nikim poza samą sobą i swoim sumieniem.
 - I Bogiem? - spytała Maryanne, pokrywając wzruszenie sarkazmem. Sam wzruszył ramionami.
 - Może. Moim zdaniem Bóg to właśnie nasze sumienie, ale nazwij to, jak chcesz. Tak czy inaczej te góry nie będą pamiętały, co zrobiłaś i czego nie zrobiłaś, nie będą pamiętały o tajemnicach, które ukrywałaś, i o tych, które ujawniłaś. Wkrótce wszyscy obrócimy się w proch i pył, ale póki tu jesteś, możesz przynajmniej czuć się dobrze sama ze sobą. - Odwrócił się i spojrzał na nią jasnymi, niebieskimi oczami. - Nie uważasz?
 - Wieczorem tego samego dnia Maryanne usiadła i napisała trzy listy. Kiedy skończyła, poszła do Kurta i powiedziała mu, co w nich jest. Zapytał, czy może je przeczytać. Zgodziła się. Jeśli ma być szczerą i uczciwą, może równie dobrze zacząć od razu. Nowa Maryanne.
 - Wyślę je od razu. Ekspresem? Kiwnęła głową.
 - Wspaniale, Maryanne. Prawda cię wyzwoli.
- Maryanne uśmiechnęła się i ku zdumieniu ich obojga podeszła do brodatego terapeuty i objęła go. Może on jednak wcale nie gada bzdur, pomyślała. W każdym razie nie zawsze.

Rozdział 25

Bill wszedł do domu po bardzo długim, suto zakrapianym lunchu i rzucił teczkę na podłogę. Pod jedną pachą miał butelkę kruga, pod drugą bukiet kwiatów i nucił pod nosem. Zdążył już wypić kilka butelek szampana.

- Elise? - Poluzował krawat i zdjął marynarkę. - Zgadnij, kto został nowym dyrektorem Crown? Kto jest wielkim tatusiem? Och, Danny, mój synku... - zaśpiewał.

Jego głos odbił się echem od ścian apartamentu. Żadnej odpowiedzi. W domu nikogo nie było.

Zaczął tańczyć na środku salonu, kręcąc biodrami i wyrzucając ramiona w górę, ale zaraz uświadomił sobie, że jest sam, i poczuł się głupio. Dlaczego nikogo nie ma? On akurat chętnie by się zabawił!

- No, chodźcie tu, chodźcie, gdzie się podziewacie?! Lisey! Chodź i pokaż tatusiowi, jaki jest wspaniały!

Tak. Czeka go przyjemny wieczór. Tylko gdzie jest ta głupia krowa? Och, trudno. Skoro jej nie ma, on wróci do baru. Dziewczyny, które tam poznał, na pewno mu pogratulują, w sobie tylko właściwy sposób.

Nagle dostrzegł list oparty o wazon na szklanym blacie stołu i kopertę tuż za nim.

- *Drogi Billu* - przeczytał piskliwym głosem. Boże, naprawdę się spił. Odchrząknął i zaczął czytać po cichu: - *Odchodzę od Ciebie. I zabieram ze sobą Danny'ego. Nawet nie myśl o tym, by nas szukać czy pozwać mnie do sądu.*

- *Zachwiał się. - Wiem, mówiłeś, że nigdy nie pozwolisz mi odejść, ale nie masz wyboru. Możesz opowiadać o mnie, co chcesz, to niczego nie zmieni. Zbyt długo Ci wierzyłam, zbyt długo wierzyłam w to, co mówiłeś. Niszczyłeś mnie: moje serce i mojego ducha tak samo, jak moje ciało. Koniec z tym. - To nie może się dziać naprawdę. To on tu podejmuje decyzje, nie ona, nie ta głupia dziwka... Jak ona śmie? - Skoro już o tym mowa, zabezpieczałam ślady za każdym razem. Na początku*

nie bardzo wiedziałam po co; nie przypuszczałam, że kiedykolwiek zdobędę się na to, co teraz robię. Lecz choć bardzo starałam się mnie zniszczyć, przetrwałam. Ilekroć mnie dotknąłeś... nie, skończmy z eufemizmami, za późno już na to. Ilekroć mnie uderzyłeś, ilekroć mnie pobiliś, robiłam zdjęcia. Znajdziesz je wszystkie w kopercie. Tak, właśnie w tej.

Chwycił kopertę i szybko ją otworzył. Wypadło z niej kilkadziesiąt fotografii. Nadgarstek Elise z szerokim fioletowym siniakiem, lekko żółtym na brzegach - pamiątka po nocy, kiedy krępował jej ręce, mocno. Twarz Elise, z półprofilu, z cienkim, długim zadrapaniem na kości policzkowej. Stłukła wtedy kosztowny kryształowy wazon, a on, wściekły, chwycił kawałek szkła i przejechał nim po jej twarzy. Ślad na ramieniu, po tym, kiedy pchnął ją na futrynę. Patrzył na zdjęcia i pograżał się w pijackim żalu nad samym sobą. Jak ona mogła zrobić z niego jakiegoś brutala, który bije żonę? To przecież nieprawda. To zawsze była jej wina, to ona go do tego doprowadzała. Potrafiła wytrącić go z równowagi, wkurzała go, choć wiedziała, że z niego nerwus. Dlaczego po prostu nie robiła tego, czego od niej chciał? Wtedy do niczego takiego by nie doszło. Nagle, rozwścieczony, gwałtownym ruchem zmiotł zdjęcia ze stołu, a wraz z nim wazon, który roztrzaskał się na podłodze. Ale to mu nie wystarczyło. Ciągle miał przed oczami te straszne rzeczy. Zdjęcia przyciągały jego wzrok, dręczyły go, oskarżały. Zaczął nimi rzucać, darł na strzępy obrazy jej twarzy, ramion i nóg, jakby chciał w ten sposób unicestwić to, co kiedyś robił, unieważnić, udać, że to wszystko nigdy się nie stało.

Nie odpuścił, dopóki nie zniszczył wszystkich zdjęć; wokół leżały teraz tylko kolorowe strzępy papieru. Nierozpoznawalne wizerunki jakiejś kobiety. Jego żony. O Boże. Co on jej zrobił? Złamał ją. Osunął się na kolana wśród kawałków papieru i znowu sięgnął po list.

Możesz zniszczyć zdjęcia, ale domyślasz się chyba, że zachowałam ich kopie. Mój адвокат także. Może to paranoja, lecz poinstruowałam go także, by przekazał je policji, gdyby spotkało mnie

coś złego. Paranoja - a może nie? W ciągu ostatnich lat miałam okazję się przekonać, do czego jesteś zdolny się posunąć.

Nie złamałeś mnie. Chcę, żebyś to wiedział. Długo jednak myślałam, że jest inaczej. A jednak ci się nie udało. Odnalazłam w sobie siłę, której istnienia nie podejrzewałam. I w pewnym sensie Tobie to zawdzięczam, Bill. Choć zakrawa to na ironię, człowiek, dla którego kazałeś mi być miłą, bo miało to pomóc Ci w karierze, udowodnił mi, że jestem warta więcej. Że zasługuję na więcej -i Danny też. Tak, Logan Barnes. To on pokazał mi, że dawna Elise, ta, którą tak bardzo starałeś się stłamsić, nadal żyje w głębi mnie. Musiałam ją tylko odnaleźć.

Dziękuję Ci więc, Bill. Uwolniłeś mnie. Jestem wolna. Już nigdy nie będziesz mógł mnie skrzywdzić.

Elise

List wypadł mu z ręki. Bill usiadł na podłodze, oparł się o ścianę i zaczął wyc z bezsilnej wściekłości.

Elise dotarła do domu opieki godzinę za późno. Pielęgniarka, która przekazała jej wiadomość, była oschła, niekomunikatywna. Powiedziała po prostu, że jej ojciec „odszedł” - użyła tego staroświeckiego eufemizmu - jedenaście minut po piątej. W pierwszej chwili Elise chciała zapytać, co to znaczy. Dokąd odszedł? Ale jeszcze zanim otworzyła usta, dotarł do niej prawdziwy sens tych słów. Ojciec zmarł.

- Och, nie. Och, nie. Przyjechałam po niego... Chciałam go stąd zabrać! - krzyczała, jakby to mogło cokolwiek zmienić. Przecież on nie mógł tak po prostu umrzeć.

- Bardzo mi przykro - powiedziała pielęgniarka. - Próbowaliśmy się skontaktować z panem McAllisterem, ale nie odbierał telefonu. - Nie mówiła tego tak, jakby naprawdę było jej przykro; wydawała się wręcz zirytowana i zniecierpliwiona. - Chcielibyśmy wiedzieć, kiedy ktoś przyjedzie po zwłoki.

„Zwłoki”. To niemożliwe. Jej silny, odważny ojciec nie mógł się tak nagle zmienić w „zwłoki”. Po prostu nie mógł. Doznała szoku. Zmarł samotnie, w tym strasznym miejscu, porzucony i zapomniany-

ny przez nią. Chciała go zabrać, przenieść do jakiegoś przyzwoitego zakładu, w którym miałby należytą opiekę i towarzystwo, lecz nie zdążyła. A teraz było już za późno.

Była z siebie taka zadowolona, kiedy zapieczętowała kopertę i pobiegła po Danny'ego, a potem przyjechała z nim tutaj. Odeszła od Billa, wygrała, czuła, że może wszystko naprawić. Teraz czuła się pusta i odrętwiała. Trzymała zimną dłoń ojca i delikatnie głaskała jej wierzch kciukiem. Pielęgniarka zgodziła się niechętnie, by Danny zaczekał w dyżurce i dostał coś do rysowania, podczas gdy Elise żegnała się z ojcem. Lekarz przyjechał i odjechał, a Elise zadzwoniła do najbliższego zakładu pogrzebowego i ustaliła godzinę odbioru ciała. Teraz pozostało jej tylko się pożegnać.

Ale jak pożegnać się z kimś, kogo od tak dawna nie widziała? Przyjechała, żeby znowu się z nim przywitać, powiedzieć: Dzień dobry, to jest Danny, twój wnuk, tato. Zobacz, jak urósł. Chciała pokazać mu zdjęcia, zapewnić, że bardzo go kocha. I postanowiła, że mimo wszystko to właśnie zrobi.

- Tato, wiem, że mnie nie słyszysz - mówiła, na początku przez łzy, potem coraz spokojniej. - Ale... może jednak mnie słyszysz? Danny jest tu ze mną. To taki śliczny chłopczyk. Taki wesoły. W ubiegłym tygodniu byliśmy razem w...

Siedziała przy ojcu, trzymała go za rękę i opowiadała mu o wszystkim, o czym chciała opowiedzieć.

Kiedy furgonetka z zakładu pogrzebowego podjechała pod budynek, Elise była już gotowa. Czekala przed drzwiami. Pracownicy okryli ciało i je zabrali. Niesympatyczna pielęgniarka podeszła do Elise.

- Wzięła pani już jego rzeczy osobiste? - warknęła.

- Nie było tego chyba wiele, prawda? Proszę posłuchać, jeśli za to zapłacę, czy mogłaby pani oddać wszystko, co posiada jakkolwiek wartość, na cele dobroczynne i wyrzucić resztę? Przykro mi, ale sama nie potrafię się tym zająć. Kobieta wzruszyła ramionami.

- Dobrze. Ale miałam na myśli jego papiery. Są tam, w szufladzie.

Elise spojrzała na nocną szafkę.

- Och.

- Zostały tu przywiezione razem z nim. Jest tam chyba jego testament.

Elise otworzyła szufladę i wyjęła małą paczuszkę i znajdujący się pod nią album ze zdjęciami. Na paczuszce było napisane: „Dla Elise - mój ostatni rzut kośćmi”. Na widok pisma ojca uświadomiła sobie nagle, że jego już nie ma. Naprawdę odszedł. Nie rozumiała, co znaczyły słowa na paczuszce, wcisnęła ją jednak do torebki i poszła po Danny'ego. Chciała jak najszybciej opuścić to miejsce.

Elise leżała w łóżku obok Logana, z głową opartą na jego piersi, i wodziła palcami po jego skórze. Znajdowali się w apartamencie hotelu Lexington. Danny spał mocno w pokoju obok, wyczerpany tym długim, dziwnym dniem. Najpierw mama kazała mu wstać, ale zamiast zawieźć go do szkoły, jak zwykle, zabrała go samochodem do jakiegoś brzydko pachnącego budynku, gdzie musiał rysować w małej salce. Potem przywiozła go do tego wielkiego hotelu i pozwoliła mu zjeść lody czekoladowe, a miła pani ze sklepu z pamiątkami dała mu misia. Danny, przyciskając pluszaka do siebie, zasnął natychmiast, kiedy tylko przyłożył głowę do poduszki.

- Nic mu nie będzie, prawda? - niepokoila się Elise. Logan pocałował ją w czubek głowy.

- Da sobie radę, tylko musi się przyzwyczaić do nowej sytuacji; dla niego to duża zmiana. Ale dzieciaki są twarde. Przystosowują się.

Kiwnęła głową.

- Chyba tak. - Spojrzała na niego. - A ty? Ty się przystosujesz? Zrobisz to wszystko jeszcze raz, ze mną i z Dannym? Masz już jedną rodzinę. Jesteś pewny, że chcesz zacząć życie od początku?

- Tak. Niczego nie jestem tak pewny. - Logan pogładził jej włosy.

- Nawet jeśli... Bill będzie nam to utrudniał? Logan wzruszył ramionami.

- Ach, walczyłem z silniejszymi od Billa, pamiętasz?

- Ale czy poradzisz sobie z tym wszystkim? - Elise oparła się na łokciu. - Firma, hotele... Tak dużo masz na głowie. Nie chciałabym być dla ciebie ciężarem. Nie zniosłabym tego.

Odwrócił się do niej i przesunął dłonią po jej biodrze.

- Nigdy nie będziesz dla mnie ciężarem. Potrzebuję cię, teraz bardziej niż zwykle. Chcę, żebyś była przy mnie, Elise.

- Przyciągnął ją bliżej do siebie i pocałował delikatnie, ze łzami w oczach. - Ciężar... jak mogłaś nawet tak pomyśleć. Och, Elise...

Pocałował ją znowu, tym razem namiętnie. Mąż krzywdził tę cudowną kobietę tak bardzo, że odebrał jej pewność siebie. Logan przysiągł sobie, że nie pozwoli na to w przyszłości. Postara się, by już zawsze była bezpieczna, kochana, podziwiana. Bez względu na wszystko.

Nie spali tej nocy, pierwszej nocy, jaką spędzili razem. Ten czas wydał im się zbyt ważny, by mogli go zmarnować na sen. Usiedli i rozmawiali do rana.

- Nie mogę się rozwieść z Maryanne, wiesz. Jeszcze nie.

- Tak, wiem.

- Przykro mi. Chciałbym być wolny, chciałbym być tylko dla ciebie, ale...

- Ale ona może cię potrzebować.

- Ja nie mogę jej pomóc, już nie. Pomoże jej czas. Ona musi z tego wyjść. Dla siebie. Dla dzieci.

Elise ujęła jego dłoń i pocałowała kolejno wszystkie palce.

- W porządku, Logan. Rozumiem. Przeżyłeś z nią wiele lat. To nie zniknie tylko dlatego, że ja się nagle pojawiłam. Twoja sytuacja jest zupełnie inna niż moja i Billa.

- Więc zaczekasz? Zgadzasz się poczekać?

Elise westchnęła. Dopóki mogła leżeć w ramionach Logana, zgadzała się na wszystko. Tymczasem za zaciągniętymi storami wstawało już słońce.

- Nie musisz się rozwieść, żeby być ze mną. Po prostu mnie kochaj, nic innego się nie liczy.

Rozdział 26

Nicolo właśnie wyszedł ze spotkania z jednym ze swoich menedżerów. Przejrzał z nim dane liczbowe, które wskazywały na wyraźny wzrost jego udziałów w rynku w ciągu kilku ubiegłych tygodni. Czuł się doskonale. Atak na Logana przyniósł wielki sukces. Producenci *General Managera* oznajmili, że program bezpowrotnie schodzi z anteny, a Logan, jego odwieczny wróg, z dnia na dzień wydawał się coraz bardziej zmęczony i zestresowany. Wszystko układało się znakomicie.

Nicolo podjechał pod hotel, by zabrać Lucię, ale dowiedział się, że wyjechała.

- Co to znaczy: wyjechała? - wrzasnął na recepcjonistkę.

- Przykro mi, panie Flores, opuściła pokój jakiś czas temu, ale prosiła, żeby oddać panu to. - Podała mu kopertę.

Nicolo zajrzał do środka - były tam podarte fotografie i liścik, napisany dziecinnym charakterem pisma, z małymi serduszkami zamiast kropek. Zaśmiał się. Więc wycofujesz się z umowy? Dobre sobie! Tak ci się tylko wydaje.

Wcisnął kopertę z powrotem do rąk wystraszonej recepcjonistki i ruszył do drzwi.

- Wyrzuć to - warknął jeszcze przez ramię. - A jeśli ona tu wróci, niech nikt nie waży się jej wpuścić, jasne?

Dziewczyna kiwnęła głową.

Przyjechał do swojej posiadłości na szczycie wzgórza dziesięć minut później. Prowadziła tam szeroka, obsadzona drzewami droga. Po obu jej stronach stały okazałe wille w różnych stylach architektonicznych. Domu Nicola, otoczonego ogrodzeniem z kutego żelaza, w stylu hiszpańskim, pilnie strzegła firma ochroniarska. Nicolo zaparkował mercedesa przed budynkiem, wbiegł na schody i przez otwarte drzwi. Przeszedł wyłożonym kafelkami holem do gabinetu na tyłach rezydencji, z którego dobiegały czyjeś głosy. W holu znajdowała się wystawa dzieł sztuki nowoczesnej - na honorowym miejscu, naprzeciw głównego wejścia, wisiała grafika

Andy'ego Warhola, a wewnątrz spiralnej klatki schodowej wielokolorowy mobil Alexandra Caldera. Nicolo podziwiał swoją kolekcję sztuki, ilekroć przechodził przez hol - była symbolem jego sukcesu. Lubił patrzeć na obrazy, niemal witał się z każdym z nich z osobna. Wszystkie przypominały mu, jak daleko udało mu się zejść. Przystanął przed lekko uchylonymi drzwiami gabinetu. Słyszał Viennę. Rozmawiała przez telefon. Widział jej cień, kiedy krążyła po pokoju. Przytrzymała słuchawkę brodą i zapaliła papierosa. Grzywka opadła jej na oczy, więc odrzuciła ją gestem, który zawsze go irytował. Psychoanalityk pewnie by stwierdził, że to dlatego, iż przypominał mu podobny gest Maryanne - tak odgarniała włosy z czoła - który jemu wydawał się czarujący, więc jego wspomnienie sprawiało mu ból. Nicolo odparłby wtedy, że to bzdura, że ten ruch irytuje go, bo jest taki niezdarny i pozbawiony wdzięku. A on lubi wszystko to, co piękne i eleganckie. Nieważne zresztą. Nie zamierzał poddawać się psychoanalizie. Vienna oparła rękę na biodrze i stanęła obok wysokiego okna, wychodzącego na zadbane ogród i basen w kształcie nerki. W jej głosie brzmiała napięcie. Była wyraźnie zdenerwowana.

- Nie wierzę... Skąd mam wiedzieć, że to prawda? Nicolo słuchał uważnie, wstrzymując oddech.

- On nie mógł tego zrobić. To Logan... to była wina Logana. Jaka wina Logana?

- Do wypadku doszło z winy Logana, Nicolo wszystko mi wyjaśnił. Zapytałam go o to na samym początku naszej znajomości. Powiedział, że Logan nie zadbał o bezpieczeństwo...

O Boże! Nicolo wpadł do gabinetu.

- Kto to? Z kim ty rozmawiasz?

Vienna odwróciła się, przestraszona. Szybko odłożyła słuchawkę i podbiegła do niego.

- To ty spowodowałaś tamten wypadek w Piccadilly Circus. Ty!

- Co ty pleciesz, jak niby miałbym to zrobić? Zignorowała to pytanie.

- Kiedy zaczęliśmy się spotykać, wyszukałam cię w Google'u i rozmawialiśmy o tym, pamiętasz? - Zapaliła kolejnego papierosa. Szybko, nerwowo.

- Powiedziała, że słyszałam coś o tej sprawie, i zastanawiałam się, jak mogło dojść do tego wypadku, a ty stwierdziłeś, że to przez Logana, bo nie przestrzegał zasad bezpieczeństwa. To twoje słowa!

- I co z tego? To prawda.

- Nie, nie, to nie jest prawda. To była ta kobieta... to była ona!

- Jaka kobieta? Vienno, gadasz od rzeczy. Wpadłaś w histerię. Vienna zaciągnęła się dymem.

- To była ta kobieta, ta z wypadku. Jest w klinice, w Kalifornii, niedaleko stąd. Ona... Ona...

Rozpłakała się, ale nie umilkła.

- Ktoś musiał trzymać pieprzoną słuchawkę przy jej uchu, ale powiedziała mi prawdę... Tańczyła, kiedy nagle poczuła, że platforma się rusza, i spojrzała w dół.

- Zamknij się, Vienna, po prostu się zamknij. Nie wiesz, co mówisz.

- Nie zamknę się! - Jej głos przeszedł w piskliwy skrzek. - Nigdy więcej się nie zamknę. Powiedziała, że spojrzała w dół i zobaczyła, że konstrukcja się chwieje, nie dlatego, że została niestarannie zmontowana, tylko dlatego, że ktoś ją podciął, ktoś celowo podciął jeden z filarów. Nic nie powiedziała, bo martwiła się o Logana. Nigdy nie wierzyła, że to jego wina. Nie wiedziała, co się stało, więc milczała. Teraz leży w szpitalu, bo jej córka wyjechała... Ona ma córkę, Nicolo. Wiedziałeś o tym?

- Tak. Wiedziałem - rzucił i natychmiast tego pożałował. Vienna oskarżycielsko wyciągnęła w jego stronę rękę z papierosem.

- Oczywiście, że wiedziałeś. Wiesz wszystko o wszystkim, co ma jakikolwiek związek z Loganem i jego rodziną, ty cholerny świrze!

Uderzył ją w twarz, mocno. Ale nie zamilkła.

- Nic nie powiedziała, bo bała się, że wtedy nie dostanie odszkodowania, i nie chciała pogorszyć sytuacji. Ale w szpitalu ktoś pokazał jej angielską gazetę. Pisali o niej, o tym, że sypiała z Loganem, kiedy była młoda. Leżała tam, w tym łóżku, i zaczęło do niej docierać, że ktoś musiał dawać jej córce pieniądze... Przez

wszystkie te lata pieniądze pojawiały się nie wiadomo skąd. Najpierw myślała, że są od Logana, ale nie, bo potem zadzwoniła Colette i powiedziała, że wszystko się wyjaśni. Ta kobieta jest może sparaliżowana, ale zdrowa na umyśle i niegłupia. Pomyślała sobie: Ciekawe, kto mógł to zrobić, kto mógł tak bardzo chcieć zaszkodzić Loganowi, kto zawsze był jego wrogiem? Bo przez te wszystkie lata Colette pokazywała jej artykuły, artykuły, które ktoś jej podsyłał, gdyż bardzo mu zależało na tym, żeby je przeczytała... Vienna urwała i odetchnęła.

- Ta kobieta, Georgia Hardy, leży w łóżku i nie ma do kogo otworzyć ust, ale ma dużo czasu na myślenie. Więc poprosiła jedną z opiekunek, żeby dowiedziała się, jak można się z tobą skontaktować. A to przecież nietrudne. Nie zaliczasz się do skromnych, szarych obywateli, prawda? - Vienna zaśmiała się, choć łzy cisnęły się jej do oczu; w jej głosie pobrzmiwała nuta hysterii. - Zadzwoniła tu i zostawiła wiadomość dla ciebie, ale ja rozpoznałam jej nazwisko i oddzwoniłam. Jesteś pieprzonym szaleńcem. Szantażowałeś Marka, a teraz on nie żyje, i prawie zabiłeś tę kobietę. Dlaczego masz taką obsesję na punkcie Logana? To nienormalne. Ty jesteś nienormalny.

Podszedł do niej i znów wymierzył jej policzek. Vienna uderzyła głową w okienną szybę. Krzyknęła i rzuciła się na niego, wymachując rękami. Próbowwała szarpać go za włosy i koszulę.

- Powiem - dyszała. - Pójdę do Logana, do gazet i powiem wszystkim, co zrobiłeś.

- Nie. Nie zrobisz tego. - Przyciskał jej drobne ciało do wielkiej szyby.

- No, dalej, bij mnie. - Plunęła mu w twarz. - Rozgrzewasz się przed seksem, co? Proszę bardzo.

- Nie stanąby mi, ty brudna dziwko. Roześmiała się.

- Oboje wiemy, że to nieprawda.

Prowokowała go, rzucała mu wyzwania. Jej nieprzytomne oczy były obwiedzione ciemnymi kreskami, a rzęsy pokrywała gruba warstwa tuszu. Zawsze budziło to w nim niesmak - nakładała nową warstwę tuszu na starą, zamiast najpierw zmyć makijaż.

- Zamknij się. Zamknij się wreszcie.

- Nie zmusisz mnie. Nie możesz wszystkich zmusić, żeby robili to, co ty chcesz. Wielki Nicolo! Nie, ty wcale nie jesteś wielki. Jesteś małym chłopczykiem, który biega za Loganem, próbując zwrócić na siebie jego uwagę.

- Kazałem ci się zamknąć.

Zmrużył oczy i przyciskał jej szyję ramieniem. Oddychała z trudem, jakby nie mogła złapać powietrza.

- Bądź moim kumplem, Logan - dyszała. - Spójrz na mnie, nie zostawiaj mnie. Maryanne, chciałbym być twoim chłopakiem... Och, nie, ty wolisz Logana... Uuu...

Zacząła się śmiać. Nicolo wciąż mrużył oczy. Zalała go fala gorąca, czuł, jak krew buzuje mu w żyłach. Chciał tylko jednego: żeby się zamknęła, żeby była cicho. Łzy wezbrały mu pod powiekami. Napał na nią całym ciężarem ciała. Ledwie chwytala powietrze. Przestała się śmiać, jej oddech przeszedł w płytki, chrapliwy świst. Zaczęła czepiać się jego ramion, wbijać paznokcie w jego skórę. Teraz z jej gardła wydobywały się jakieś nieludzkie dźwięki. Ale on tylko powtarzał w kółko:

- Cicho bądź, cicho bądź, cicho bądź... I nagle Vienna ucichła.

Nicolo podszedł do niskiej komody z ciemnego drewna, w której był jego barek. Nalał sobie szklaneczkę whisky z kryształowej karafki i wziął srebrne szczypce leżące obok kubelka na lód. Trochę zdziwiony zauważył, że ręce mu nie drżą, kiedy wrzucił lód do szklanki, a potem nią poruszał. Żadnych oznak zdenerwowania. Czy to znaczy, że jest psychopatą albo socjopatą? Może doznał szoku. Ale czuł się zupełnie spokojny. Prawdę mówiąc, nie czuł nic.

Wyparł słowa Vienny ze świadomości. Teraz musiał zrobić dwie rzeczy - pozbyć się jej ciała i upewnić się, że to, co wiedziała, w żaden sposób mu nie zaszkodzi. Miał już plan. Uda mu się, jeśli nie poniosą go nerwy.

Ciało Vienny było oparte o szybę. Pochylił jego górną część do przodu, żeby nie dotykało okna. Potem podszedł do metalowego panelu przy drzwiach i wcisnął guzik - żaluzje zamknęły się powo-

li. Teraz nikt nie mógł zajrzeć do środka. Zresztą dom był otoczony murem, a tego dnia ogrodnicy nie pracowali. Nicolo nie chciał jednak ryzykować. Dopił whisky i wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi na klucz. Upewnił się, że gospodyni poszła już do domu i nikt go nie podsłucha, po czym wrócił do gabinetu.

- Potrzebuję pomocy. Trzeba, hm, posprzątać.

Głos po drugiej stronie wydawał się lekko rozbawiony.

- Posprzątać? W porządku. A gdzie?

Nicolo podał adres. Słyszał kiedyś o tym człowieku. Była to postać z półświatka, o której prędzej czy później musiał usłyszeć każdy, kto długo przesiadywał w klubach i barach Los Angeles. Wszyscy wiedzieli, że ten facet posprząta każdy bałagan, byle tylko zaoferować mu za to odpowiednie pieniądze. A Nicolo z pewnością miał teraz na głowie niezły bałagan. Wziął więc głęboki oddech i zadzwonił do niego. Sam chciał jak najszybciej wyjść z domu. Uciec od Vienny, jej oczu, jej wykrzywionej twarzy... Od wspomnienia jej słów: „Bądź moim kumplem, Logan. Spójrz na mnie, nie zostawiaj mnie. Maryanne, chciałbym być twoim chłopakiem... Och, nie, ty wolisz Logana...”

Wychodząc, wziął kopertę z listem, który gospodyni zostawiła dla niego na stoliku w holu, a potem zamknął za sobą drzwi na klucz.

Pół godziny później D., jak go nazywano, podjechał furgonetką pod wejście dla dostawców, zgodnie z instrukcjami, które Nicolo przekazał mu przez telefon, a potem zamknął bramę. Był ostrożny i traktował swoją pracę poważnie. W końcu chodziło o ludzkie życie - czy też, znacznie częściej, śmierć. Wyjął z furgonetki skrzynkę z narzędziami.

Plastikowa i lekka, zawierała wszystko, czego mógł potrzebować, by posprzątać pokój. Potem odsunął małą metalową zasuwkę. Pod podłogą, którą było widać, znajdowała się druga, a w wąskiej przestrzeni między nimi mógł ukryć wiele różnych rzeczy. Uniósł lekko pokrywę, lecz kiedy spróbował podciągnąć ją wyżej, coś się zacięło.

Szarpnął, ale nic nie wskórał. Cholera. Trzeba naprawić to teraz - lepiej, żeby nie musiał się z tym mocować, kiedy wyniesie ciało z domu. Otworzył skrzynkę z narzędziami i wyjął lewarek.

Kiedy Lucia upewniła się, że Nicolo wyszedł, opuściła swoją kryjówkę w wielkiej szafie holu i pobiegła do gabinetu. Położyła rękę na klamce i zawahała się. Nie miała ochoty tam wejść. Ale musiała. No, dalej. Zrób to.

Otworzyła drzwi. Od razu zobaczyła ciało Vienny rozciągnięte na podłodze. Zmartwiała. Nie, to nie może być trup. Ludzie nie zostawiają w swoich domach trupów, tak po prostu na podłodze. Nawet Nicolo. Kurwa. Kurwa!

Pochyliła się, nie podchodząc blisko do Vienny, i spojrzała na jej twarz. Vienna miała zamknięte oczy. Może jednak żyje. Może po prostu zemdląca, uderzyła się w głowę czy coś w tym rodzaju. Co robić? Lucia wyprostowała się i palcami stopy, ostrożnie, trąciła biodro Vienny. Nic. Przesunęła stopę i pchnęła nogę. Vienna nawet nie drgnęła.

- Vienna? - wyszeptała Lucia.

Znowu popatrzyła na jej twarz, a później na szyję, i zauważyła sinoczerwony ślad. Vienna na pewno nie żyła.

Cholera. Co robić? Co robić? Usłyszała trzask drzwi samochodu i szybko podniosła głowę. Żaluzje były zamknięte, ale podeszła do okna i wyjrzała zza nich ostrożnie. Na tylnym podjeździe, za ogrodem, dostrzegła tył furgonetki.

Mężczyzna w roboczym kombinezonie właśnie coś z niej wyciągał. Będzie musiała się spieszyć. Podbiegła do biurka, starając się zachować jak największą odległość od ciała na podłodze. Uch. To wszystko dla rodziny.

D. prowadził ostrożnie; niezbyt szybko, niezbyt wolno. Nie chciał, by zatrzymała go policja, ale nawet gdyby do tego doszło, podczas pobieżnych oględzin policjanci nie znaleźliby nic poza sprzętem remontowym. Ciało leżało w schowku pod podłogą. Zobaczyliby je, oczywiście, gdyby szukali dokładnie, dostrzeżliby, że podłoga znajduje się wyżej, niż powinna. Ale dotychczas nikt nie zwrócił na to uwagi, a schowek od lat dobrze mu służył. W ciągu całej swojej „kariery” D. ukrył w nim wiele różnych rzeczy.

Był profesjonalistą. Zwracając się do niego o pomoc, Nicolo dokonał dobrego wyboru. Skreślił w stronę małego lotniska, minął je i rozejrzał się bacznie dookoła. Nigdzie nikogo. Zwolnił i podjechał do hangaru.

Znad kanionu unosił się gęsty, gryzący dym; spowijał wszystko szarą mgłą pełną drobinek popiołu. Las płonął od pięciu dni, ewakuowano tysiące ludzi mieszkających w okolicy. Ogień pochłaniał drzewa i domy, choć z helikopterów i samolotów zrzucano w płomienie wodne bomby.

Pilot, wynajmowany okazjonalnie przez D. do podobnych zadań, bez trudu znalazł więc rzadziej zaludniony teren, gdzie nie było telewizyjnych kamer ani świadków tego, co zamierzał zrobić. Zresztą gdyby nawet ktoś zauważył helikopter, uznaliby pewnie, że należy on do służb ratowniczych albo jakiejś stacji telewizyjnej.

D. zaczekał, aż dotarli do miejsca, w którym pożar szalał szczególnie gwałtownie. W pobliżu nie było żadnych zabudowań, więc strażacy koncentrowali swoje wysiłki gdzie indziej. Dał znak pilotowi, który skierował helikopter w dół, zbliżył się do ziemi, tak jak tylko było to możliwe, i ustawił go we właściwej pozycji.

D. ostrożnie wytoczył ciało z helikoptera. Spadło głową w dół prosto w płomienie.

Podczas gdy D. sprzątał bałagan, Nicolò załatwiał inną ważną sprawę.

Stanął nad łóżkiem, na którym leżała Georgia Hardy. Patrzyła na niego z przerażeniem. To niebezpieczny człowiek; przyczyna jej tragedii. Manipulował Colette, kazał jej wślizgnąć się do rodziny Barnesów i sprawił, że odkryła romans matki z Loganem.

Jej powieki leciutko zadrżały.

- Nie bój się - powiedział. - Nie chcę cię skrzywdzić. Nie przyszedłem tu, żeby... - Urwał. Myślał o tym... o tym, żeby ją zabić. W drodze do szpitala stwierdził, że wszystko byłoby dużo prostsze, gdyby po prostu umarła we śnie.

Chwilowy brak tlenu w respiratorze, który za nią oddychał, i po problemie. Ale nie. Nicolò zabił Vienne, lecz nie był zimnym psychopata. Nadal nie mógł uwierzyć, że odebrał komuś życie. Wydawało mu się to nierealne. - Przyszedłem, żeby przeprosić - dokończył.

- Och.

- Przykro mi. Hm. Wiem, że to puste słowa. Całe twoje życie, życie twojej córki... Cóż. Nic, co powiem, tego już nie zmieni.

- Tak.

Oboje popatrzyli na jej sparaliżowane ciało.

- Ale mam nadzieję, że od tej chwili nie będziesz się dzieliła z innymi swoimi teoriami na temat wypadku. - Wziął głęboki oddech. - Wiesz, o czym mówię. Chcę kupić twoje milczenie. Chcę, abyś mi obiecała, że zatrzymasz dla siebie swoje podejrzenia, a ja w zamian zrobię to, co powinienem był zrobić już dawno temu: zapłacę za odpowiednią opiekę nad tobą.

Georgia milczała.

- I za studia dla Colette; za wszystko, czego potrzebuje. Wszystko, czego obie potrzebujecie. Zdaję sobie sprawę, że właściwie nie mam prawa o to prosić, ale proszę. Bo to musi się wreszcie skończyć. Dla każdego z nas.

Georgia kiwnęła głową.

- Dobrze - szepnęła.

Nie pozostało już nic więcej do powiedzenia. Nicolo nie mógł znieść widoku tej kobiety. Szybko ruszył do drzwi. Czuł niesmak do siebie samego. Karcił swoją żądzę zemsty w najgorszy z możliwych sposobów. Jak mógł pozwolić, by doszło do czegoś takiego?

Zatrzymał się w progu.

- Nigdy nie chciałem, by to się stało - powiedział. - Nigdy nie przypuszczałem, że...

Nie dokończył. Jaki to ma sens? To, co myśli, jest już bez znaczenia. Ostatecznie będzie liczyło się tylko to, co zrobił.

Rozdział 27

W głębi serca Maryanne wiedziała, że dla niej i Logana to już koniec. Od jakiegoś czasu funkcjonowali nie jak para, ale dwoje ludzi powiązanych ze sobą skomplikowaną siecią pracy, rodziny i miejsc zamieszkania. Kiedyś stanowili jedność, teraz żyli obok siebie - smutne to. Spędzili razem tyle lat, tak wiele wspólnie zbudowa-

li. Ale w pewnym sensie świadomość tego wyzwalała Maryanne -będzie musiała zacząć od nowa i nauczyć się tego nowego życia. I zrobić to sama, jak dorosły człowiek, bez potężnego Logana Barnes, za którym dotąd mogła się skryć, na którym mogła się oprzeć. Małżeństwo z nim nie było tylko relacją uczuciową, lecz także pracą, stanowiskiem, odgrywaną publicznie rolą.

Boże, miała już naprawdę dość tego, że każdy jej pomysł i decyzję musiała przedyskutować z grupą analityków. Radziła sobie z tym tak samo, jak ze wszystkim innym: butelka wina, różowe tabletki i odcinanie się od świata. Teraz, zamiast tego, jeździła konno z Samem. Nabierała sił; nogi nie bolały jej już tak bardzo po każdej sesji, mięśnie ud stawały się coraz prężniejsze. Wysiłek fizyczny dawał jej cel, zastępował dawne dążenie do zapomnienia. Nie nudził jej, przypominał raczej medytację. Poza tym dzięki niemu mogła spędzać czas z Samem. Sam nadal niewiele mówił, ale Maryanne coraz bardziej pragnęła jego towarzystwa. Gdyby mogła, zamieniłaby wszystkie inne zajęcia na konne przejażdżki albo pomoc Samowi w stajniach. Musiała jednak uczestniczyć w całym programie terapii. A teraz, po długim i wyczerpującym dniu i lekkiej kolacji, była gotowa na sesję grupową. Przeczytała na niej swoją historię i przeżyła ją jeszcze raz, wraz z bólem i żalem. Zaczęła niepewnie, czując na sobie wzrok innych. Ale czytając, przestała zwracać na nich uwagę, koncentrowała się tylko na słowach, które miała przed oczami. Kiedy prawie godzinę później podniosła wzrok, zaskoczył ją widok tych wszystkich twarzy - tak bardzo zaangażowała się w opowiadanie swoich losów, że niemal zapomniała o obecności członków grupy.

Dopiła młłą miętową herbatę i już miała wyjść, kiedy podszedł do niej Kurt i odsunął krzesło po drugiej stronie stołu.

- Witaj, Maryanne. Czujesz się dzisiaj spokojniejsza?

- Tak, trochę. Dziękuję. Zaraz biegnę do koni. Przy nich zawsze czuję się lepiej.

Kurt kiwnął głową.

- Hm, tak, to piękne zwierzęta, prawda?

- Bardzo piękne. Więc do zobaczenia jutro na porannej sesji.

- Zaczekaj, proszę. Maryanne, my, to znaczy ja i cały zespół terapeutyczny, uważamy, że nie powinnaś uczestniczyć w tylu sesjach z Raffem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cóż, omówiliśmy to i uważamy, że będzie lepiej, jeśli zaczniesz spędzać więcej czasu z grupą, a mniej przy koniach. Hipoterapia to wspaniała metoda, ale nie może zastąpić innych form leczenia. A mamy wrażenie, że w twoim przypadku równowaga została zachwiana.

Maryanne poczerwieniała.

- Więc to znaczy, że nie wolno mi przebywać z końmi, tak?

- Nie, nie o to mi chodzi. Ale stwierdziliśmy, że w tej chwili nie powinnaś spędzać z nimi aż tyle czasu.

- Ale dlaczego? Tylko to daje mi nadzieję na przetrwanie. A ty mówisz, że nie wolno mi tego robić.

- Maryanne, złościsz się, w porządku. I właśnie ten gniew jest częściowo powodem, dla którego podjęliśmy taką decyzję. Uważamy, że powinnaś mniej się angażować. Jesteś jeszcze rozchwiana emocjonalnie i na tym etapie nie byłoby dobrze, gdybyś za bardzo przywiązała się do jednej formy terapii czy jednego terapeuty.

Wtedy wreszcie zrozumiała. Chodzi o Sama. Chcą odsunąć ją od niego, podczas gdy ona uważa go za swojego jedyne prawdziwego sprzymierzeńca na całym świecie. Poderwała się i ruszyła do drzwi jadalni. Niemal biegła. Mimo wszystko nie chciała zrobić sceny w miejscu publicznym. Kurt wyszedł za nią.

- Postaraj się uspokoić, Maryanne. Porozmawiamy o tym jeszcze na spotkaniu dziś wieczorem.

Zignorowała go. Wbrew wszystkiemu zobaczy się z Samem. Słowa Kurta uświadomiły jej, że czuła do Sama coś więcej niż tylko przywiązanie ucznia do nauczyciela czy przyjaciela. Kochała go. Dlatego działał na nią tak kojąco, dlatego chciała spędzać z nim jak najwięcej czasu. A kiedy zdała sobie z tego sprawę, natychmiast zrozumiała, co powinna zrobić. I nie pozwoli, by ktokolwiek stanął jej na drodze.

Sam był w stajni, czesał Raffa, kiedy przybiegła Maryanne. Zatrzymała się w drzwiach, z trudem łapiąc oddech. Sam spoj-

424

rzał na nią, uśmiechnął się i dalej cesał konia długimi, płynnymi ruchami.

- Nie dam rady bez ciebie, Sam.

- Więc już z tobą rozmawiali? Kiwnęła głową.

- Tak, rozmawiałam z Kurtem. Nienawidzę ich. Nienawidzę tego miejsca. Tylko ty jesteś... tylko ty nie jesteś kompletnym gównem.

- Wielkie dzięki.

- Sam!

Znieruchomiał, po czym powoli położył zgrzebło na półce pod ścianą.

- Tak?

- Kocham cię.

Podszedł do niej i spojrzał jej w twarz. Wydawał się taki silny, taki spokojny.

- Maryanne...

- Tak?

Spuścił głowę. Jego milczenie już nie koilo. Przeciwnie: krępowało i budziło niepokój.

- Kurt ma rację. Nie powinnaś spędzać tu aż tyle czasu. Ja muszę zajmować się także innymi pacjentami, a ty musisz odzyskać równowagę.

- Nie. Nie słyszałaś, co powiedziałam? Kocham cię. To nie ma nic wspólnego z terapią. Czuję między nami więź. Ty też wiesz, że ona istnieje.

Sam pchnął drzwi, a ona cofnęła się, żeby mógł wyjść. A wtedy on, zamiast wziąć ją w ramiona, pocałował i powiedzieć, że także ją kocha - czego była pewna - podszedł do kolejnych drzwi stajni.

- Bardzo cię szanuję, Maryanne. Ale twoje uczucia do mnie nie są prawdziwe.

- Są, wiem, że są.

- Przeżyłaś trudny okres. Nadal zmagasz się z wieloma problemami. To naturalne, że przywiązujesz się do ludzi, którzy ci pomagają. - Sam wyjął z wiadra marchewkę i wszedł do stajni obok, w której stał Misty, inny z koni należących do ośrodka.

Maryanne weszła za nim.

- Przywiązuję się? Ja nie jestem przywiązana, ja... Spójrz na mnie, dobrze? - Chwyła go za rękaw i próbowała odwrócić przodem do siebie. Łagodnym ruchem oswobodził ramię.

- Tak będzie najlepiej, Maryanne. Wierz mi.

- Nie, nie będzie! Nie dla mnie! - Jej głos przeszedł w chrapliwy pisk. Wydawało jej się, że wypłakała wcześniej wszystkie łzy, myliła się jednak.

Sam skończył karmić konia marchewką i spróbował odciągnąć Maryanne do drzwi.

- Chodź. Nie powinienem był pozwolić ci tu wejść.

- Nigdzie nie idę. Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie powiesz, że ty mnie nie kochasz. Że nic do mnie nie czujesz.

- Maryanne, chodź, proszę cię.

- Powiedz to! - Z całej siły uderzyła go pięściami w pierś.

- Nie kocham cię. Przykro mi. Ale nie chcę, żebyś czuła się z tym źle, Maryanne. To naprawdę zdarza się dość często.

Przerzucanie swoich emocji na innych. Zagubienie we własnych uczuciach.

- Spójrz na mnie. Spójrz mi w oczy i powiedz to.

Sam wziął głęboki oddech i powoli podniósł na nią wzrok.

- Nie kocham cię.

Wiele go to kosztowało, bo wiedział, jak bardzo ją to zaboli. A także dlatego, że - choć sobie to wyrzucał - on także czuł, że istnieje między nimi więź. Nie, teraz Maryanne nie kochał; była jego pacjentką, zranioną, zagubioną kobietą, która potrzebowała pomocy, a nie romansu. A czy mógłby pokochać ją w przyszłości? Niewykluczone.

Maryanne wydała straszny, zduszony jęk gdzieś z głębi siebie i rzuciła się na ziemię. Nie mogła znieść więcej bólu i odrzucenia. W tej chwili nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co robi, czuła się tylko strasznie nieszczęśliwa.

Miała wrażenie, że odrzucili ją wszyscy, do których kiedykolwiek coś czuła. Chciała tylko przestać tak niewyobrażalnie cierpieć. Chciała się ukryć, zwinąć w kłębek i chronić to, co jeszcze z niej zostało. Ból zdawał się rozrywać na kawałki i jej ciało, i umysł.

Krzyk, który odbił się nagle echem od ścian stajni, zdawał się pochodzić znikąd i zewsząd zarazem. Sam drgnął, zaskoczony. Spłoszony koń cofnął się gwałtownie. W tej samej chwili Maryanne przetoczyła się w kąt stajni. Szukała schronienia i ukojenia, ale wpadła pod kopyta wierzgającego zwierzęcia przerażonego hałasem.

- Dobrze... już dobrze...

Sam próbował uspokoić konia, trzymając się z dala od jego przednich nóg. Ale było już za późno. Maryanne leżała na ziemi, z jej ust płynęła krew. Sam wciąż usiłował zapanować nad zwierzęciem na tyle, by móc wyjść i sprowadzić pomoc, wiedział jednak, że wyraz twarzy Maryanne będzie go prześladował do końca życia.

Rachel weszła do pokoju z dwiema kopertami w ręce. Kiedy podawała je Loganowi i Charliemu, zadzwoniła jej komórka.

- Te listy przyszły właśnie z Savannah, od Maryanne... Rachel Mount przy telefonie, słucham.

Odwróciła się, a Logan otworzył kopertę i zaczął czytać.

- Tak, jest tutaj. *Mój drogi Loganie...*

Kiedy tylko Rachel usłyszała głos w telefonie, zrozumiała, że nie może spodziewać się dobrych wieści. Podala telefon Loganowi i patrzyła na niego, jak słuchał, nie wypuszczając listu z ręki. Znieruchomiał nagle i spojrzał na Charliego, który czytał swój list. Jego dłonie lekko drżały.

- Maryanne zmarła dwie godziny temu. Doszło do wypadku... Charlie, tak mi przykro. Mama nie żyje.

Maryanne nie żyła. Charlie wypadł z pokoju. Logan nie pobiegł za nim. Da mu czas, a potem go poszuka. Odesłał wszystkich, którzy byli z nim w pokoju, i zamknął drzwi. A potem ukrył twarz w dłoniach i płakał tak, jak nigdy dotąd od dziecka. Płakał nad Maryanne, tą piękną dziewczyną, którą zobaczył pewnego dnia na ulicy i którą później tak bardzo skrzywdził. Którą kiedyś tak bardzo kochał, że był gotów zdradzić Nicola - prawdę mówiąc, zdradzić wszystkich - by ją zdobyć. Płakał nad tym, że kiedy ją już zdobył,

tak ją zawiódł. Oszukiwał ją, zdradzał, zostawiał samą sobie. Nie pomógł jej, nie spełnił obietnic, jakie jej kiedyś złożył. Odcinał się od niej, wychodził do pracy, zamiast się nią zająć. Płakał nad swoimi dziećmi - je także zawiódł - i nad każdym swoim słowem, które zraniło Maryanne; nad wszystkim, czego nie powiedział, a co ona tak bardzo pragnęła usłyszeć. Siedział na podłodze swojego biura i płakał, płakał, płakał.

Mój drogi Loganie

Myślę, że wiesz już to, co chcę ci napisać; że jeśli nawet nie byłeś tego świadomy, od dawna czuleś to w głębi serca. Zawsze tak dobrze się rozumieliśmy, prawda, ty i ja? Bez słów. Nie mogę więc uwierzyć, że nie domyślasz się tego, co zaraz przeczytasz.

Od czego zacząć? Niemal słyszę, jak mówisz: „Od początku”. Cóż, nie zacznę od początku. Zacznę od końca - bo oboje wiemy, że to już koniec naszej historii. Kiedy poprosiłeś mnie o rękę, mówiłeś, że robisz to dlatego, iż tak naprawdę byliśmy już małżeństwem w głębi naszych serc, a ty chcesz, by teraz wiedział o tym cały świat. Nie, nie będę pisała o rozwodzie, bo to bez znaczenia. W końcu przecież się dogadamy. Chodzi o to, że teraz nie jesteśmy już małżeństwem w naszych sercach, prawda? Patrzymy w dwie różne strony.

Nasze dzieci i wspólna przeszłość zawsze będą nas ze sobą wiązały. Nasze dzieci. Och, Loganie. Chciałam napisać, że cię oszukałam, ale tak chyba nie było. Myślę, że oszukiwaliśmy się nawzajem: ja - nie mówiąc tego, co powinnam była powiedzieć; ty - udając, że nie wiesz tego, co wiedziałeś. Bo wiedziałeś, prawda? Wiedziałeś, że Charlie nie jest twoim biologicznym synem? Jestem pewna, że tak. Tak jak jestem pewna, że pod każdym innym względem jesteś jego ojcem. Kochałeś go i troszczyłeś się o niego od dnia jego narodzin. I za to, tak jak i za wszystko inne, zawsze będę Cię kochała i zawsze będę Ci wdzięczna. Czy to nie ironia losu, że Nicolo pozostał tak nierozzerwalnie związany z nami? Jedyny człowiek, o którego istnieniu wolałbyś zapomnieć. Ale to niemożliwe.

Zadzwoń do mnie. Przyjedź mnie odwiedzić. Napisałam do Charliego. Napisałam też do Nicola. Pewnie to cię rozzłości, ale wiem, że postąpiłam słusznie. Zbyt długo trzymałam innych

w mroku niewiedzy i przez to sama tkwiłam w ciemnościach. Jest jeszcze wiele rzeczy, o których chciałabym Ci powiedzieć, ale to wszystko może poczekać do naszego spotkania.

Wiedz jednak, że bardzo długo byłam dzięki Tobie naprawdę szczęśliwa. Cała reszta jest tylko moją winą.

Zawsze Cię kochająca

Maryanne

Logan trzymał list między złożonymi jak do modlitwy dłońmi. Jakby ściskając go tak mocno, mógł w jakiś sposób zatrzymać przy sobie Maryanne - poprzez jej ostatnie słowa, które mówiły tak wiele, choć jeszcze więcej nie dopowiadały.

Och, Maryanne, szlochał, zawiodłem cię. I tak bardzo mi z tego powodu przykro.

Tak, wiedział. Wiedział o Charliem. Od zawsze. Ale świadomie o tym nie myślał. Kochał go. Bardzo go kochał.

Nigdy nie widział w nim nikogo innego jak syna - własnego syna. Ale Charlie nim nie był. I teraz trzeba stawić temu czoło. Logan podniósł słuchawkę telefonu.

- Charlie? Musimy porozmawiać.

Luksus, wyspa były stracone. Nic więcej nie dało się już zrobić. Wszystkie rezerwacje zostały odwołane, zainteresowanie Lile des Violettes spadło do zera. Koszty utrzymania hotelu były ogromne; Logan nie mógł finansować go bez zysku - to zrujnowałoby go całkowicie. Musiał ograniczyć straty - i tak ogromne - i zamknąć hotel. Wydał setki milionów dolarów na zakup wyspy i budowę hotelu. Wszystko na nic. Teraz siedział w swoim gabinecie i przeglądał zdjęcia z prezentacji, którą przygotował. Hotel nadal wydawał mu się wspaniały. Ale, Chryste, poświęcił tak wiele, by go stworzyć. Pozwolił, by ta wyspa go uwiodła, by stała się tak ważna, że na niczym innym mu nie zależało. „Jak syreny, które przywodziły marynarzy do śmierci”, powiedziała kiedyś Elise. Lile des Violettes na pewno przywiodła Logana do upadku.

Zobaczył tę wyspę i wymyślił Luksus tak wiele lat temu i nie spoczął, póki nie dostał tego, czego pragnął. Zapłacił za to wysoką cenę - nie tylko on.

425

Drogi Nicolo

Nie wiem, od czego zacząć. Tyle się wydarzyło, prawda? Tyle było między nami gniewu i nienawiści. Bardzo mi przykro, że tak się stało. Zakochałam się w Tobie, a potem w Loganie. Nie oczekuję, że wybaczysz mi, iż Cię zdradziłam, ale chcę, byś wiedział, jak bardzo żałuję, że sprawy tak się potoczyły. Nie zarzucam Ci, że się na mnie odegrałeś. Ty wtedy byłeś pełen gniewu, ja szukałam pociechy w ciężkim dla mnie czasie. Zrobiliśmy to, co zrobiliśmy. Cóż, poczucie winy i żal to ulotne uczucia - nauczyłam się tego podczas kilku ubiegłych tygodni. Trzeba patrzeć do przodu.

Posłuchaj tylko - czyż nie wydaję się starsza i mądrzejsza od dziewczyny, którą kiedyś znałeś? Tak właśnie zmienia ludzi życie.

Ale nie piszę tego listu, by zastanawiać się nad przeszłością i gdybać. Ten etap chyba wszyscy mamy już za sobą. Chodzi o to, że jest coś, co muszę Ci wyznać. Pewnie powinnam była to zrobić już dawno temu. Za bardzo się jednak bałam. Wsadziłam głowę w piasek i miałam nadzieję, że problem zniknie. A im dłużej się to robi, tym trudniej jest później ujawnić prawdę, czyż nie? Och, dość tych wymówek, Maryanne.

Charlie jest twoim synem. Sądzę, że został poczęty wtedy, gdy po raz ostatni byliśmy razem. Teraz, kiedy to piszę, zadaję sobie pytanie, czy mi uwierzysz. Cóż, tak wygląda prawda.

Napisałam też do Logana i jemu także ją wyznałam. Jeśli się nad tym zastanawiasz - nie, on nie wiedział, choć myślę, że mógł coś podejrzewać. Charlie, choć nie biologicznie, jest jego synem. Nie wiem, jak zostanie rozwiązana ta sytuacja. Wiem tylko, że zbyt długo ukrywałam prawdę, a jeśli mam wyzdrowieć, muszę ją wyznać.

Charliemu jeszcze nie powiedziałam. Sądzę, że my, we troje, powinniśmy o tym porozmawiać. Zdecydować, co robić dalej.

Mam nadzieję, że kiedy minie pierwszy szok, ta wiadomość Cię uszczęśliwi. Charlie to wspaniały chłopak i jestem bardzo dumna z tego, że mogę nazywać go swoim synem. Mam nadzieję, że Ty też będziesz. Może z czasem zagoją się niektóre stare rany, nawet jeśli na początku z bólem.

Nie wiem, jak podpisać ten list, więc podpiszę go po prostu

Maryanne

426

Następnego dnia Charlie siedział w kinie hotelu Chesham, oglądając nieme czarno-białe filmy na plazmowym ekranie, kiedy na salę weszła Colette. Charlie patrzył na Harolda Lloyda, który zwiślał ze wskazówki wielkiego zegara nad pełną samochodów ulicą, a Colette patrzyła na twarz Charliego, na której odbijało się światło ekranu. Był taki piękny, młody i tak bezmiernie smutny.

- Uwielbiała te filmy. Te głupoty. Laurel i Hardy, skórki od banana, takie rzeczy.

Colette podeszła i objęła go za szyję.

- Witaj.

- Cześć.

- Dziwne, moja mama też bardzo je lubiła.

- Naprawdę?

- Tak. Mówiłam ci, że była aktorką, prawda? Dorastała, oglądając te filmy, i zainteresowała się kinem. I ja oglądałam je w dzieciństwie.

- Ja także. Kiedy byłem chory, mama otulała mnie kocem i włączała telewizor. A potem siedziała i oglądała razem ze mną. I, Jezu, tak strasznie się śmiała.

Na chwilę zapadła cisza.

- Bardzo mi przykro - westchnęła Colette. - Chyba to nie czas i miejsce dla mnie. Powinieneś być ze swoją rodziną.

- Nie. - Charlie ujął obie jej dłonie i ucałował je. - Chcę, żebyś była ze mną. Czuję się tak, jakby... - Pokręcił głową.

- Co?

Jak miał jej powiedzieć, że dla niego ona jest równie ważna jak rodzina... że chciał, by należała do jego rodziny?

Przecież prawie się nie znali. Gdyby jej to wyznał, na pewno by od niego uciekła.

- Po prostu cię potrzebuję.

- Jasne. Nigdzie się nie wybieram.

Charlie mocno ścisnął jej rękę, kiedy siedzieli tak obok siebie, oglądając stary film. A potem zamknął oczy i się rozplakał.

Colette oglądała film. Nie skłamała, rzeczywiście oglądała takich filmów wiele, kiedy dorastała, ale nie dlatego, że jej matka tak bardzo je lubiła; Georgia ciągle była na przesłuchaniach albo

w pracy. Colette po prostu podobali się zabawni aktorzy, no i że wszystko zawsze dobrze się kończyło. W jakiś sposób stare komedie dodawały jej otuchy.

Nie powinno jej tu być, wiedziała o tym, bez względu na to, co mówił Charlie. On jej nie znał. Myślał, że ją zna, ale nie, znał kogoś innego, kogoś o imieniu Jamie, fikcyjną postać stworzoną po to, by wślizgnąć się w jego życie, w życie jego ojca. Czuli się z tym coraz gorzej. Matka Charliego nie żyje, Charlie śpi oparty na jej ramieniu, a ona go oszukuje. Nieważne, do czego dążyła, osiągnęła swój cel. Charlie na to nie zasługiwał. Delikatnie pogłaskała go po głowie. Nie, nie zasługiwał na to.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołała Colette cicho, starając się nie obudzić Charliego.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Lucia, z ręką na biodrze. Charlie podniósł głowę, zaspany.

- Luce?

- Cześć - odparła i podeszła do niego. Charlie wstał. Objęli się i rozplakali.

Colette zostawiła ich samych. Zeszła do kuchni na dole i zaparzyła kawę. Musi stąd zwać, musi się stąd wynieść. Śmierć Maryanne wszystko zmieniła. Wraz z nią wypalił się gniew Colette. Widziała cierpienie Logana, widziała, jak zamykał hotel, jak wszystko zaczęło się walić, a teraz patrzyła, jak Charlie i Lucia oplakują matkę. Nie, to nie było w porządku. Colette też tęskniła za swoją matką.

Wróciła na górę. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi, co mu powie. Pierwszy raz w życiu nie miała żadnego planu.

Charlie i Lucia siedzieli na kanapie. Kiedy Colette weszła do pokoju, Charlie wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją.

Wiedziała, że nadchodzą trudne chwile. Dla nich obojga.

- Charlie, muszę z tobą porozmawiać.

- Jasne, skarbie, ale za sekundę. Lucia właśnie mi coś opowiada...

- Okej.

To może poczekać. W końcu oszukiwała go od miesięcy. Jeszcze jedna godzina? Co za różnica.

Lucia czytała kiedyś notatki Fergususa Chilmana do autobiografii Logana - był tam fragment dotyczący hotelu w Vegas, pierwszego hotelu, i wszystkiego, co się później zdarzyło. Wcześniej nie знаła tej historii tak dokładnie, prawdę mówiąc, właściwie jej nie interesowała. A była fascynująca. Podczas lektury coś nagle zwróciło jej uwagę. Poszła z tym do Fergususa, przyznała się, że czytała jego teksty, i opowiedziała o swoich podejrzeniach. Zgodził się z nią. I zaczęli razem szukać dalej.

- Fergus i ja to zaplanowaliśmy... ale wszyscy musieli w to uwierzyć. Mama, tato, Nicolo, wszyscy. Tata odciął się ode mnie po aferze z przyjęciem i billboardami. Straciłam kontrakt, więc nie mogłam kupić hotelu.

Już wcześniej opowiedziała bratu o Bilton Square.

- Chciałam tylko udowodnić, że nie jestem głupia. Ze nie jestem jakąś głupią rozpieszczoną dziewczynką, którą interesują tylko buty i ciuchy. Więc poszłam do Nicola, powiedziałam mu, co się stało, że jestem zupełnie sama i potrzebuję pomocy. Przyjął mnie z otwartymi ramionami, a w zamian chciał tylko kilku rzeczy...

Charlie uniósł jedną brew z miną zatroskanego, starszego brata.

- Nie, nic z tych rzeczy. Umówiliśmy się na sesję zdjęciową i że pójdę z nim na uroczystość rozdania nagród. Rozumiesz, chciał pokazać wszystkim, że to on wygrał. Wiesz, cały on. W każdym razie... dał mi klucze do swojego domu. Poszłam tam, kiedy był na konferencji prasowej o tych wszystkich nagraniach z Luksusu, i znalazłam dowody, których szukałam. Bez wątpienia Nicolo szantażował Marka Mallory'ego. Znalazłam nagranie. I coś jeszcze. To była Vienna... On ją zabił. Słyszałam, jak ją zabijał. I widziałam jej ciało - wzdrygnęła się.

Charlie patrzył na nią przerażony.

- Zabił ją? Jesteś pewna?

Lucia, ze łzami w oczach, kiwnęła głową.

- Tak, przysięgam. Udusił ją... Byłam akurat w domu, grzebałam w jego rzeczach, kiedy nagle wrócił... Schowałam się. Strasznie się pokłócili, bo Vienna zadzwoniła do tej kobiety, która została ranna w wypadku w Las Vegas.

433

- Co? - wtrąciła się nagle Colette. - Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, blada jak płótno.

Lucia spojrzała na dziewczynę brata. Dlaczego ją to interesuje? I w ogóle kim ona jest?

- Zadzwoń do Georgii Hardy. To ona została ranna w wypadku. Ale to było bardzo dawno temu, więc chyba nie możesz o tym nic wiedzieć.

- Mylisz się - wychrypiła Colette. Charlie spojrział na nią, zaskoczony, ale go zignorowała. Musiała się dowiedzieć, czy Lucia mówi prawdę. - Co właściwie chcesz powiedzieć? Że to Nicolo spowodował wypadek?

Lucia kiwnęła głową, wzburzona.

- Tak. O to właśnie kłócił się z Vienną. Dlatego ją zabił. Ona z niego drwiła, dokuczała mu, mówiła, że kochał mamę i że nie jest tak dobry jak tata. A on kazał jej się zamknąć, ale ona nie chciała, a potem... - Lucia zaczęła płakać. - Leżała na podłodze. Całkiem... - Wzdrygnęła się. - Przepraszam. To było okropne. - Sięgnęła do torebki po papierosy. Wyjęła też płytę DVD i podała ją Charliemu. - Tym szantażował Marka. Nie wiem, czy teraz to pomoże w czymś tacie. Może tak.

Colette patrzyła na Lucię, zdezorientowana. Powoli wstała. Więc to było jedno wielkie kłamstwo. Wszystko na nic. Wszystko, co zrobiła, na nic się nie przyda... i zrobiła to niewłaściwemu człowiekowi. Ten, który naprawdę był winny, który obmyślił cały ten plan, wprowadził ją w błąd. A potem karmił jej gniew i żądzę zemsty... O Boże. Musi stąd wyjść, musi stąd uciec. Odwróciła się.

- Jamie? Dokąd idziesz?

Nie spojrzała na Charliego - nie potrafiła.

- Przykro mi. Po prostu... pamiętaj, że jest mi bardzo przykro. Och, cholera.

Wybiegła z domu, chwytając po drodze torebkę, w której miała portfel i paszport. Wszystko inne zostawiła. Charlie, zdezorientowany, pobiegł za nią.

- Jamie? Jamie, zaczekaj, co się stało? Jamie, proszę! - Dogonił ją, chwycił za ramię i spojrział błagalnie w oczy. - Nic nie rozumiem,

kochanie. Dlaczego jest ci przykro? Cokolwiek się stało, na pewno to naprawimy, Jamie. Proszę. Proszę! Rozpłakała się.

- Potrzebuję cię, Jamie. Bardzo cię potrzebuję.

- Nie, nie potrzebujesz mnie, Charlie. Nie wiesz nawet, jak naprawdę mam na imię.

Podjechała taksówka. Colette wskoczyła na tylne siedzenie, jednocześnie wciskając Charliemu coś do ręki.

- Nic nie wiesz. - Pochyliła się do przodu. - Proszę na Heathrow, jak najszybciej.

Charlie uderzył pięściami w szyby.

- Hej tam, spokojnie, kolego!

- Jamie, na litość boską! Nie zostawiaj mnie! Nie teraz... Taksówka odjechała. Szofer pokręcił głową

- Sprzeczka kochanków? - spytał, spoglądając w lusterko wsteczne. Nic nie odpowiedziała. Skuliła się jak dziecko i płakała rozpaczliwie. Szofer wzruszył ramionami, skręcił i ruszył w stronę lotniska.

Nie zna nawet jej imienia? Co ona chciała przez to powiedzieć? Była Jamie, jego najdroższą Jamie, która go rozumiała, była taka zabawna, oryginalna i seksowna. Powoli wrócił do domu. Nic z tego nie rozumiał. Usiadł na schodach i rozwinął kawałek papieru, który wcisnęła mu do ręki. Okazało się, że to artykuł z gazety na temat wypadku w Piccadilly Circus wraz fotografią jakiejś kobiety. Odwrócił ją. „Nie mogę się doczekać naszego spotkania podczas wielkiego wieczoru. Obiecuję sprawić, że będzie dla ciebie jeszcze bardziej wyjątkowy, jeśli tylko odnajdziesz mnie przed pokazem... Całuję, G.”

Kim jest G? Przejrzał artykuł i natknął się na coś, co rozpoznał: na zdjęcie małej dziewczynki. Z artykułu wynikało, że jest to córka Georgii, Colette Hardy. Chodzi o to, że była to ta sama fotografia, którą jakiś czas temu pokazała mu Jamie. Tego dnia zaśmiewali się ze zdjęć z jego starego albumu i Charlie bardzo chciał zobaczyć jej zdjęcia z dzieciństwa. To była Jamie. To była Colette. Ta sama osoba.

Kiedy Colette wylądowała w Los Angeles, natychmiast pojechała do szpitala, by zobaczyć się z matką. Georgia akurat oglądała film. Zamrugła lekko, a Colette wyciągnęła rękę i wyłączyła telewizor. Potem usiadła na krześle przy łóżku, położyła głowę na poduszce obok głowy matki i opowiedziała o wszystkim, co zrobiła.

- Cśś. To już bez znaczenia. To koniec, kochanie. Już po wszystkim - wyszeptała Georgia.

Charlie poleciał do Los Angeles, a tam natychmiast pojechał do domu Nicola, ciągle ściskając w ręce list od matki. Ale w posiadłości Nicola roiło się od policjantów - krążyli wokół z radioodbiornikami, a śledczy w plastikowych kombinezonach wnosili i wynosili z domu swój sprzęt. Na zewnątrz czekali też paparazzi i gapie, ludzie, którzy nie mają nic lepszego do roboty. Charlie podszedł do jednego z nich.

- Co tu się dzieje?

- Nicolo Flores... zdaje się, że zabił swoją dziewczynę.

- O rany.

- Tak. Niezła historia, co? Dziwki potrafią wszystkich bogatych i lumpów spod mostu, doprowadzić do szału, no nie?

- zaśmiał się chrapliwie.

- Chyba tak.

- Jeden z tych pismaków mówił, że szukają go, bo niezłe narozrabiał. Zdaje się, że chodzi o Logana Barnesę... Wiesz, tego hotelarza?

- Tak, wiem, o kogo chodzi.

- Podobno jakaś tancerka została ranna w którymś z hoteli tego Barnesę, dawno temu, i wychodzi na to, że za tym też stał Flores.

- Naprawdę?

- Tak słyszałem. - Mężczyzna porozumiewawczo mrugnął okiem. - Można by pomyśleć, że ci bogacze mają się czym zająć i bez takich rzeczy, no nie? A teraz Flores zniknął. Pewnie coś wy-niuchał.

Charlie kiwnął głową i odszedł. Tak, to był koniec.

Rozdział 28

W bardzo skromnym pogrzebie Maryanne uczestniczyli tylko Logan, Charlie i Lucia. Dzień był ponury. Znad gór nadpłynęły ciemne chmury i wisiały nad małą kapliczką, przy której ją pochowali. Uznali, sądząc z listów, które napisała do Logana i Charliego, że była bardziej pogodzona ze sobą właśnie tutaj, w Savannah, niż gdziekolwiek indziej. Nie chcieli pochować jej na Manhattanie ani w Londynie - oba miasta za bardzo kojarzyły się z jej bólem, udręką i uzależnieniami. Tu wreszcie zaczęła dochodzić do siebie. I niech tak pozostanie.

Stali w trójkę przy grobie i patrzyli, jak prosta trumna opada do jego wnętrza. Ciągłe byli jeszcze w szoku z powodu jej śmierci i wszystkiego tego, co się wydarzyło - informacji o tym, kto jest ojcem Charliego, zdrady Marka, przecieków w Luksusie, walki z Nicolem i ucieczki Lucii, cały ten splot wydarzeń wrócił do nich kiedy Maryanne odeszła. Dopiero teraz zaczynało do nich docierać, co stracili. Najboleśniej znosił to Charlie: on przeszedł najwięcej. Logan patrzył na niego, kiedy jego matkę opuszczano do grobu, i zastanawiał się, czy chłopak kiedykolwiek się z tego otrząśnie. Miał nieprzytomny wzrok, patrzył na Logana tak, jakby go nie widział. A potem poszedł do swojego pokoju i całymi godzinami leżał tam w łóżku i do nikogo się nie odzywał. Cała rodzina była teraz w Londynie, choć Charlie znikł na kilka dni po śmierci Maryanne, a po powrocie nie chciał nikomu powiedzieć, co robił. Lucia, smutna i milcząca, także cierpiała, ale wydawała się silniejsza od brata. Logan jednak martwił się tym, co mogła zobaczyć w domu Nicola - jak to na nią wpłynie? To wciąż jeszcze dzieciak. Tym razem wszakże będzie mogła liczyć na swojego ojca; tym razem ojciec jej nie zawiedzie. Wreszcie będzie prawdziwym tatą dla obojga swoich dzieci.

Pastor odwrócił się do Logana, a jeden z grabarzy podszedł do niego i podał mu małą drewnianą skrzynkę z ziemią. Logan nabrał pełną jej garść i przykląkł przy grobie.

- Przykro mi, Annie. Przepraszam cię za wszystkie te chwile, kiedy cię zawiodłem. Przepraszam za to, że pozwoliłem, by ta wyspa, praca i różne inne rzeczy przesłoniły mi to, co naprawdę ważne. Ciebie. Charliego. Lucię. To dobre dzieciaki. Dobrze je wychowałeś. Nie mówiłem ci tego zbyt często, więc powiem teraz: byłeś dobrą matką. I kochałem cię.

Rzucił garść ziemi na trumnę i spojrzał na Charliego, który zrobił krok naprzód.

- Mamo, nie chcę, żebyś odeszła. Nie chcę, żebyś leżała tu, w ziemi. Nie mogę tego znieść. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Przecież mogłaś. Nie wiem, dlaczego wszyscy ciągle mnie okłamują. Chciałbym, żebyś wróciła i zapewniła mnie, że wszystko będzie dobrze.

Charlie rzucił ziemię do dołu i spuścił głowę. Czuł się tak strasznie zagubiony i samotny. Ostatnia do trumny podeszła Lucia.

- Mamusiu. Kochana mamusiu. Nie ułatwiałam ci życia, prawda? Przepraszam. Powinnam była zauważyć, jaka czułaś się nieszczęśliwa, ale samolubnie myślałam, że sobie poradzisz. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Och, tak bardzo będzie mi ciebie brakowało. Nie chcę, żebyś odeszła i zostawiła mnie tu samą.

Rozwarła dłoń i ziemia przesypała się między jej palcami. Potem odwróciła się do ojca, przytuliła do niego i wybuchnęła płaczem.

Sześć miesięcy później

Kościół powoli się zapełniał. Na uroczystość upamiętniającą Maryanne przyszło kilkaset osób. Przyjaciele, pracownicy LBI, ludzie, których poznała podczas ostatnich tygodni swojego życia w ośrodku w Savannah. Przed ołtarzem stała duża, oprawiona w złotą ramę fotografia - zdjęcie Maryanne z czasów jej młodości. Siedziała na karuzeli, na malowanym koniu, obejmując ramionami Charliego i Lucię, by nie spadli. Zdjęcie było lekko zamazane, bo kiedy Logan je robił, tego wiosennego dnia w Central Parku, karuzela już się kręciła. Wybrali to zdjęcie, gdyż pokazywało to wszystko, co chcieli powiedzieć światu o Maryanne. Wyglądała na

nim młodo, śmiała się, przytulała dzieci i z miłością patrzyła na człowieka po drugiej stronie obiektywu. Logan spojrział teraz na to zdjęcie, a potem odwrócił się i popatrzył na wnętrze kościoła, niemal już pełne. W jednym z pierwszych rzędów siedział Johnny, ciągle trochę blady, a obok niego Rachel; trzymała go za rękę. Bardzo się do siebie zbliżyli, kiedy Johnny był w szpitalu. Rozstał się z Melissą i powiedział Loganowi, że „chyba w końcu znalazł tę jedyną - a ona była tu, tak blisko, przez cały czas”. Johnny odzyskiwał zdrowie; nadal wprawdzie chodził o kulach i jedną nogę miał unieruchomioną przez specjalny stelaż, ale przynajmniej mógł się samodzielnie poruszać. Czekala go jeszcze jedna operacja i nie ulegało wątpliwości, że w najbliższym czasie nie będzie mógł skakać ze spadochronem - choć Logan podejrzewał, że w końcu i do tego dojdzie. Wiedział, na co stać przyjaciele. A teraz cieszył się, że odtąd Johnny nie będzie już sam, lecz z Rachel. Logan jej ufał.

Ale przecież ufał też kiedyś innym. Markowi. Jego zdrada głęboko go zraniła. Jeśli Nicolo chciał mu w ten sposób coś pokazać, to osiągnął swój cel. Odpłacił mu pięknym za nadobne, i Logana to dotknęło. Dawno temu ukradł Nicolowi kogoś, kogo on bardzo kochał. Wiele lat później Nicolo to sobie odbił. Odebrał Loganowi pewność, że wszyscy w jego życiu są tymi, za których się podają. Bolesna nauczka. Jak to mówiła nauczycielka fizyki? Każda akcja wywołuje reakcję o tej samej sile i przeciwnym zwrocie. A reakcja wcale nie musi być natychmiastowa. Utracił nie tylko zaufanie. Stracił Maryanne - i to wiele lat temu, czyż nie? Zagubili się w ciemności i nie wiedzieli, jak odnaleźć drogę powrotną. Jego stosunki z Charliem i Lucią także nie układały się najlepiej, miał jednak nadzieję, że to zmieni. Obiecał sobie, że będzie o nie dbał, bardziej się starał.

Przyszli do niego tamtego dnia i powiedzieli mu wszystko. Byli wstrząśnięci. I nagle wydali mu się tacy młodzi.

- Musimy powiadomić policję - oznajmiła Lucia, a Logan przyznał jej rację.

Siedział z nią, kiedy składała zeznania, z najdrobniejszymi szczegółami opowiadając o tym, co widziała i słyszała w domu Nicola. Powtarzała cierpliwie wszystko, co policjanci chcieli usłyszeć

ponownie, nie buntowała się. Logan był z niej dumny. I jeszcze bardziej dumny, kiedy opowiedziała mu, z wahaniem, o planach kupna hotelu przy Bilton Square. Obawiała się jego reakcji, on jednak był zachwycony i zaskoczony. Zrobiło to na nim wrażenie.

- Light Hotels... Lucia, to znaczy światło... Powiniennem dodać dwa do dwóch, prawda?

- No tak.

Kiedy zapytał ją, do czego zmierza, nie potrafiła ukryć entuzjazmu.

- Damski klub, co? - Logan przejrzał plany i projekty, które zgromadziła w portfolio. f

- Tak, coś takiego jak te kluby dla dżentelmenów. Wiem, że to brzmi trochę dziwnie, ale pomyśl o tych wszystkich kobietach, które przyjeżdżają do Londynu na zakupy. Nie zawsze chcą zostać na noc, ale potrzebują jakiegoś miejsca, w którym mogłyby odpocząć, albo muszą przenocować, ale nie lubią wielkich, bezosobowych hoteli...

Naprawdę myślę, że to mogłyby się udać.

On też tak myślał. I zaproponował, że wesprze jej plany finansowo i wystąpi w roli poręczyciela, kiedy będzie się starała o pożyczkę.

- Zajmiesz się tym sama, ja nie będę się wtrącał - obiecał. - Nikt cię nie oskarży o podpieranie się tatusiem. Tylko pamiętaj, to nie jest zabawa, ale cholernie ciężka praca. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Trzeba nadzorować przebudowę, rozmawiać z architektami i inżynierami, z prawnikami, z krewkimi kucharzami...

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

- A jakże, o tym wszystkim już wiem. Naprawdę, tato, gdzie twoim zdaniem byłam przez wszystkie te lata? Myślisz, że chodziłam z głową w chmurach?

Logan właśnie tak myślał.

Rzeczywiście, niewiele wiedział o swoich dzieciach. Lucia już się usamodzielniała, kupując od niego hotel za rozsądną cenę. Ciężko pracowała. Wstawała codziennie o szóstej, o wpół do siódmej wychodziła z domu. Uczyła się życia, była zdeterminowana i miała plastyczne uzdolnienia po matce. Logan uważał, że córka sobie poradzi. Chyba jej nie doceniał.

I nie tylko jej. Charlie przyszedł do niego przed kilkoma miesiącami z płytą CD. Usiedli i razem jej wysłuchali. Była świetna - nawet Logan, który niewiele wiedział o muzyce, musiał to przyznać. Po śmierci Maryanne Charlie uciekł w swoją muzykę. Logan obawiał się, że to, co zrobiła Jamie, zniechęci go do pracy, że nie będzie chciał spędzać czasu w studiu pełnym wspomnień; ale się mylił.

- I co dalej? - spytał, kiedy płyta dobiegła końca i pogratulował synowi. - Przesłuchanie?

Charlie przestąpił z nogi na nogę.

- Uhm, już się tym zająłem.

- Och. Chętnie przyjdę.

- Przykro mi, ale... Muszę to zrobić sam. Rozumiesz mnie? Logan rozumiał aż za dobrze. Charlie nie był jego biologicznym

synem, a jednak miał pewne jego cechy. Nie był jego biologicznym synem... Nicolo nie zadzwonił ani nie kontaktował się w inny sposób. Logan spytał Charliego, czy z nim rozmawiał - chłopak tylko wzruszył ramionami i powiedział, że nie. Logan nie naciskał. Przyjdzie czas na szczerą rozmowę. I tak Charlie przyjął wiadomość, że Nicolo jest jego ojcem, dość spokojnie, zważywszy na okoliczności.

- Nie jesteś zaskoczony? - spytał Logan. - To potężny szok. Charlie milczał przez chwilę.

- Tak, potężny. To znaczy, nie spodziewałem się tego. Ale z drugiej strony zawsze czułem, że różnię się od Lucii. I od ciebie. Jest w tym więc jakaś dziwna logika.

Istotnie, dziwna.

- I mam już umowę - ciągnął Charlie niepewnie. - Zrobi to Universal... to znaczy, moją płytę. Chcą ją wypuścić w przyszłym roku.

Logan był dumny z nich obojga. Charlie nie podejmie wprawdzie współpracy z LBI - Logan porzucił więc marzenia o spółce ojca i syna - ale przecież równie dobra byłaby spółka ojca z córką?! Kiedy powiedział to głośno, Lucia wymierzyła mu kuksańca.

- Hej! Żadnego planowania - skarciła go. - Mówiłeś, że nie będziesz się wtrącał.

Podniósł ręce do góry: Tak, tak, a jakże. Ale Lucia, w głębi duszy, była bardzo zadowolona.

Wyspa została sprzedana deweloperowi z Dubaju, który zamierzał przekształcić ją w centrum konferencyjne. Logan na samą myśl o tym dostawał drgawek. Ale musiał to zrobić. Najwyższy czas, by się od niej uwolnić - L'île des Violettes i tak już zbyt długo trzymała go w swoich siłach. A są przecież w życiu ważniejsze sprawy.

Otrzymał także dar od wyspy. Elise siedziała teraz obok niego i trzymała go za rękę. Od śmierci Maryanne bardzo mu pomagała, a on wspierał ją podczas rozvodu z Billem. Elise nie domagała się od męża pieniędzy, mimo to Bill utrudniał rozstanie. Elise jednak była silna, silniejsza, niż sądziła, i nie miała zamiaru się ugiąć. Nie potrzebowała pieniędzy Billa - ani Logana. Ojciec zostawił jej wspaniały spadek. Papiery, które znalazła w szufladzie obok łóżka ojca, istotnie zawierały jego testament, ale wbrew temu, czego się spodziewała, nie był to bezwartościowy świstek papieru.

Okazało się, że przed wypadkiem Pete zamierzał rzucić pracę kaskadera i planował coś równie ryzykownego, choć innego. Wraz ze swoim przyjacielem, kamerzystą Hansem Neumanem, postanowił założyć firmę. Zdążyli jeszcze opatentować swój wynalazek, nim Pete uległ wypadkowi, a wkrótce potem Hans zmarł na raka płuc. Wszystkie jego udziały przejął Pete. Cała dokumentacja tkwiła więc w szufladzie Pete'a aż do dnia jego śmierci, kiedy Elise zabrała jego papiery. Przejrzała je i znalazła wpis do rejestru firm. Nie miała nic lepszego do roboty, a zaintrygowało ją, z jakiego powodu jej ojciec postanowił rozstać się z kaskaderką, więc zaczęła drążyć. I dowiedziała się, że Pete Sylvester i Hans Neuman opracowali technologię badania tęczówki w taki sposób, że przy jej wykorzystaniu kamery mogłyby odróżniać żywą tkankę od fotografii wysokiej jakości albo sztucznego oka. A to dotychczas było niemożliwe.

Elise zmówiła teraz modlitwę za nich obu. Grywała znowu w karty, a zdobyte pieniądze przeznaczala na dalsze badania. Logan nie miał nic przeciw pokerowi. Zachęcał ją nawet i był dumny, kiedy wracała do domu i oznajmiała, że wygrała jakiś turniej albo prywatną grę. Zawsze chciał wszystko o tym usłyszeć. Elise wiedziała, że jeśli wcieli teorię w życie, zrewolucjonizuje to systemy ochrony bezpieczeństwa w hotelach. Czuła się tak, jakby wreszcie odkryła, co chce robić jako dojrzała kobieta. I mogła dać coś Loga-

nowi. Nie przerzucała się z męża na męża, z jednego mężczyzny, który ją utrzymywał, na drugiego. Byli sobie równi - jak partnerzy.

Na razie jeszcze z nim nie mieszkała. Wynajęła niewielkie lokum w Brompton Cross, niedaleko londyńskiego domu Logana. Danny przyzwyczajał się do widywania Billa co drugi weekend, a Elise stopniowo poznawała go z Loganem, Charliem i Lucią. Danny jako małe dziecko miał za sobą trudne przeżycia i Elise nie chciała nazbyt go obciążać. A w głębi serca cieszyła się wolnością, jaką dawało jej samodzielne mieszkanie. Mogła spędzać w piżamie całe ranki i jeść na śniadanie lody, jeśli przyszła jej na to ochota. Albo pomalować łazienkę na jaskrawy róż, bo tak jej się podobało. W końcu zamieszkają razem, w swoim domu, i będą robić wszystko to, co robią ludzie, kiedy zaczynają wspólne życie - kłócić się o tapety, o miejsce na telewizor i opuszczanie klapy sedesowej. Tak, będzie dobrze. A na razie nie ma pośpiechu. Przyszłość przed nimi.

Logan patrzył na zdjęcie Maryanne. Elise odwróciła się do niego, wzięła go za rękę i uściśniła ją lekko. Kościół był pełny; muzyka przycichła i na środek wyszedł pastor.

- Panie i panowie, zebraliśmy się tu dziś, by wspomnieć Maryanne Rose Barnes...

Po uroczystości, kiedy goście zaczęli wychodzić z kościoła, Logan, Charlie i Lucia stali w drzwiach, dziękując wszystkim za przybycie. Później Logan podszedł do Elise, która stała nieco dalej. Razem ruszyli do bramy.

- Bardzo ją zawiodłem - powiedział. Nie zaprzeczyła.

- Tobie tego nie zrobię.

- Wiem.

- Wiesz? - Spojrzał na nią z przestraszeniem.

- Tak.

- Skąd?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu wiem. My ci na to nie pozwolimy.

- Nie pozwolicie mi. Dobrze.

- Tak. A kiedy mówię „my” ...

Logan rzucił jej pytające spojrzenie.

- Tak?

- Mam na myśli siebie, Danny'ego... - Urwała, a Logan wstrzymał oddech. - I nasze dziecko. - Dotknęła dłonią brzucha.

- Naprawdę? Kiwnęła głową.

- Dwunasty tydzień. Proszę. - Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej wydruk USG. Logan patrzył na to zdumiony i zachwycony.

- O rany.

- Przepraszam... nie trzymałam tego w tajemnicy, po prostu chciałam mieć pewność.

Przyciągnął ją do siebie.

- Och! Cudownie.

- Cudownie.

Logan delikatnie musnął palcami jej brzuch, a potem spojrzał w oczy.

- Więc może teraz wreszcie dasz się namówić i przeprowadzisz się do mnie?

- Tak byłoby najlepiej. - Zrzuciła mu ręce na szyję. - Choć prawdę mówiąc...

- Co? Elise, jeśli nie masz zamiaru wychowywać mojego dziecka, mieszkając ze mną pod jednym dachem, lepiej jeszcze to przemyśl. Ja... - Nie dokończył. - Z czego się śmiejesz?

Pocałowała go.

- Niepotrzebnie się oburzasz. Chciałam tylko powiedzieć, zanim mi tak ostro przerwałś, że może powinniśmy się jednak najpierw pobrać.

- Och, rozumiem. Tak. Tak, oczywiście, to doskonały pomysł.

Epilog

Nicolo Flores siedział w małej kafejce przy plaży i popijał piwo. W tym dniu odbywała się uroczystość ku pamięci Maryanne i Nicolo podniósł szklanekę w milczącym toaście za jedyną kobietę, którą kiedykolwiek naprawdę kochał. Wydawało mu się niemal, że wróciły dawne czasy w San Diego. Z tym, że w Panamie panowała wyższa temperatura, a powietrze nie było takie czyste. Miał dość pieniędzy, by móc mieszkać tu przez jakiś czas. Nadal nie wiedział, jak odkryli, że to on stał za wszystkimi problemami Logana, od upadku Georgii Hardy podczas występu, przez sprawy sądowe, po pieniądze, które co miesiąc przelewał na konto Colette. Zemsta słono go kosztowała. A czy była tego warta? Nie tylko Logan zapłacił wysoką cenę.

Dowody zniknęły z jego gabinetu i trafiły w ręce policji. Zachodził w głowę, kto sfotografował ciało Vienny leżące na podłodze. Zdjęcia znalazły się we wszystkich raportach z wydarzenia. D. zabrał jej ciało z domu i zrzucił z helikoptera w płomienie, ale zostały zdjęcia. Ktoś musiał je zrobić przed przybyciem. Nicolo nie przejął się tym jednak zbyt. Ciało nie było, więc trudno będzie czegokolwiek dowieść. Tak czy inaczej, nie wybierał się w najbliższym czasie do Stanów. Związał z kraju w ostatniej chwili, przelał tyle pieniędzy, ile zdołał, i kiedy policja zastukała do drzwi jego rezydencji, siedział w samolocie. Zdążył tylko dzięki temu, że ktoś zadzwonił do niego i go ostrzegł. Ktoś, od kogo na pewno nie spodziewałby się pomocy.

Zapłacił za drugie piwo i wziął je ze sobą na brzeg morza. Tego nie pił za Maryanne, lecz za swojego syna.

Postanowił, że pewnego

dnia napiją się razem. Po raz pierwszy spotka się z nim, twarzą w twarz, jako ojciec.

Na razie jednak podniósł kufel, spoglądając tylko na jego zdjęcie. To temu młodemu człowiekowi zawdzięczał wolność.

- Dzięki za ostrzeżenie, Charlie.

Podziękowania

*Dziękuję mojemu agentowi Simonowi Trewinowi, który kibicował mi wiernie, wspierał mnie, przemawiał głosem rozsądku i dodawał mi otuchy podczas pisania i publikacji tej książki. Dziękuję też jego uroczej asystentce Arielli Feiner, prawdziwemu fachowcowi. Dziękuję mojej redaktorce Cat Cobain, która odegrała wielką rolę w nadaniu tej powieści kształtu. Jestem jej nieskończenie wdzięczna za celne uwagi, ogromny entuzjizm i niezachwianą wiarę w Luksus. Dziękuję wszystkim w *Headline Review* za ich ciężką pracę - szczególnie Emily Fumiss, Jo Liddiard i Sarze Porter. A także Joan Deitch, która dokonała korekty rękopisu, wkładając w to mnóstwo pracy -za wszelkie pozostałe błędy odpowiedzialność ponoszę tylko ja. Wielu ludzi poświęciło mnóstwo czasu i hojnie dzieliło się ze mną swoją wiedzą, kiedy szukałam informacji potrzebnych do napisania tej powieści - szczególnie Elizabeth Coulter, sir Rocco Forte, Louise Mahoń i Mike Wharton.*

To wielkie szczęście, że mam rodzinę, która podtrzymuje mnie na duchu - zarówno bliższą, jak i dalszą. Dziękuję rodzicom, siostrze i teściom za ich miłość i pomoc.

Chcę też podziękować mojemu mężowi Jackowi za cierpliwość, poczucie humoru, wiarę w to, że zdołam dokonać tego, co sobie zamierzyłam, oraz jakże potrzebne mi czasami przypomnienie, że wszystko to jest częścią tego procesu.